

# CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

PORUSZAMY SIĘ PO OMACKU  
Z OPASKĄ NA OCZACH,  
NIEZDOLNI WIDZIEĆ RZECZYWISTOŚĆ  
I POSTRZEGAĆ ISTNIEJĄCE MOŻLIWOŚCI.

CIUCIUBABKA

arne  
dahl

CIUCIUBABKA

---

**arne  
dahl**

przekład  
Anna Krochmal  
Robert Kędzierski

---

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:  
BLINDBOCK

Redakcja:  
Ewa Kaniowska

Projekt okładki:  
Magdalena Zawadzka

Zdjęcia na okładce:  
ostill / Shutterstock, 1000 Words / Shutterstock, Renata Sedmakova / Shutterstock, Vasin Lee / Shutterstock

Korekta:  
Małgorzata Denys, Maciej Korbaśiński

Redaktor prowadzący:  
Małgorzata Głodowska

Copyright © Arne Dahl 2013  
Published by agreement with Salomonsson Agency  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-000-3

**Wydawnictwo**  
**CZARNA**  
**OWCA**  
www.czarnaowca.pl

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)  
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

## Centrala – Haga, Holandia:

**PAUL HJELM:** szwedzki inspektor policji kryminalnej, który – ku swojemu zdziwieniu – został szefem tajnej, lecz cieszącej się coraz większym uznaniem grupy Opcop działającej w strukturach Europolu.

**JUTTA BEYER:** staranna policjantka z Berlina, która szybko się rozwija na różnych polach policyjnej pracy, stała partnerka Arto Söderstedta.

**MAREK KOWALEWSKI:** polski policjant od zwalczania przestępczości gospodarczej, obdarzony wieloma niespodziewanymi talentami i zawsze w dobrym humorze.

**MIRIAM HERSHEY:** Brytyjka żydowskiego pochodzenia, dawniej tajna agentka MI5, która niedawno otarła się o śmierć i tworzy klasyczną konstelację z Laimą Balodis.

**LAIMA BALODIS:** twarda litewska policjantka; dawniej infiltrowała mafię, a teraz przekonuje się, że szef wykorzystuje ją do różnych podejrzanych działań.

**ANGELOS SIFAKIS:** zastępca szefa jednostki i człowiek odpowiedzialny za organizację pracy; dawniej zwalczał korupcję w Atenach i potrafi na wszystko spojrzeć z szerszej perspektywy.

**CORINE BOUHADDI:** policjantka o marokańskich korzeniach, pracowała w jednostce antynarkotykowej w Marsylii i wykazuje pewne zamiłowanie do „trawkopodobnych” substancji.

**FELIPE NAVARRO:** policjant z Madrytu od zwalczania przestępczości gospodarczej; niedawno jego życie uległo gruntownym przemianom i nie nosi już krawata.

**DONATELLA BRUNO:** nowy członek grupy, dawniej prowadziła śledztwa w sprawach związanych z korupcją; szefowa lokalnego biura grupy Opcop w Rzymie.

**ADRIAN MARINESCU:** nowy członek grupy z Bukaresztu, specjalista od nasłuchu i monitorowania, zwłaszcza mafii.

**ARTO SÖDERSTEDT:** Finoszwed z policji kryminalnej z wykształceniem akademickim, dawniej mafijny adwokat, policyjny instruktor i bohater akcji.

## Lokalne biuro – Sztokholm, Szwecja:

**KERSTIN HOLM:** komendantka policji, która zostawiła za sobą biurokrację i została szefową lokalnego biura jednostki Opcop w Sztokholmie.

**JORGE CHAVEZ:** doświadczony śledczy o chilijskich korzeniach, pracuje na przemian w Sztokholmie i w Hadze.

SARA SVENHAGEN: ekspertka od przesłuchań i trzeci panel sztokholmskiego tryptyku grupy Opcop, pracuje na przemian w Sztokholmie i w Hadze.

Na obrzeżach:

GUNNAR NYBERG: pisarz z wyspy Chios, były członek policyjnej Drużyny A; nieoficjalnie wynajęty w charakterze wolnego strzelca przez dawnego kolegę Paula Hjelma.

1

# Ślepota

Magdeburg – Brunshwik, 2 stycznia

WJECHAŁA PROSTO w światło. Światło, które niemal ją oślepia.

To takie uczucie jak tamtej nocy, kiedy rozpoczęła swoją długą podróż z Berlina do Brukseli. Wjechała wtedy w światło świtu, a w tej chwili magicznie klarowne, zimowe słońce wstaje nad miastem, o którym wie, że nazywa się Magdeburg. W oddali, na lewo od autostrady, widzi, jak tarcza słońca obejmuje dwie wieże gotyckiej katedry, jakby tak naprawdę światło płynęło od nich, otaczając je niczym aureola. Poniżej autostrady wije się Kanał Śródlądowy w stronę Łaby – a może jest na odwrót – by tuż poza polem jej widzenia utworzyć największe skrzyżowanie szlaków wodnych w Europie. Ale to inne skrzyżowanie – autostrad A2 z Berlina oraz A14 z Lipska – kilkanaście kilometrów dalej sprawia, że przypomina sobie słowa ostrzeżenia, które padły wczorajszego wieczoru.

Zazwyczaj nie jeździ samochodem, a już zwłaszcza na tak długich trasach. W tych nielicznych przypadkach gdy potrzebuje samochodu, najczęściej ktoś ją podwozi. Ale nie dziś; dziś okoliczności są wyjątkowe. I nie ćwiczyła poślizgu kontrolowanego od czasów, gdy miała dwadzieścia parę lat.

Faktycznie jest ślisko. Kilka razy czuła, że koła tracą przyczepność – chwile, gdy ten potworny, prastary lęk próbuje wyrwać się z piersi – i widziała kilka oblodzonych wraków na obrzeżach A2. Raczej pojazdy, które wypadły z trasy, niż skutki zderzeń, ale mimo wszystko to incydenty związane ze śliską nawierzchnią. Na szczęście jej mechanik samochodowy twierdzi, że jej zimowe opony są najwyższej klasy.

Nie powinno być tak źle.

Gdyby nie wczorajszy wieczór. Nowy Rok w Berlinie dobiegł końca. Odnalazła w sobie ospały, noworoczny spokój. Nowy Rok, nowe nadzieje i naprawdę nowe możliwości. Łagodny, wewnętrzny uśmiech. Wszystko poszło lepiej, niż mogła oczekiwać. Ponowna wizyta. I wszystko wydawało się całkiem znośne, pełniejsze nadziei. I wtedy nagle padły słowa ostrzeżenia.

„Najniebezpieczniejszy odcinek autostrady w Niemczech”.

Chyba zaczyna się gdzieś na granicy landu? Tuż za granicą Saksonii-Anhalt i Dolnej Saksonii – i dokładnie w chwili gdy próbuje sobie przypomnieć nazwy miejscowości, zupełnie nieoczekiwanie mijają tę granicę. Zaraz potem widzi przemykającą obok tablicę z odległościami i nazwami miejscowości. Dwie z nich poznaje. Helmstedt i Peine. To chyba były te?

Tak. Znajomy, męski głos. „Najniebezpieczniejszy odcinek autostrady w Niemczech to A2, między Helmstedt a Peine”.

Gdy tylko wjeżdża do Dolnej Saksonii, czuje, że próbuje być bardziej skoncentrowana. Niedługo dojedzie do Helmstedt. Między Helmstedt a Peine leży Brunshwik.

Zawodowe wspomnienia z Brukseli; lubi się orientować. To trasa przelotowa przez Niemcy, główny szlak łączący całą wschodnią Europę z zachodnią. Przejeżdża tędy codziennie sto dwadzieścia tysięcy pojazdów. Intensywny ruch drogowy z Polski. Ilość spalin, gazów cieplarnianych i szkodliwych emisji wpływających na zmiany klimatu przebija tylko liczba wypadków. Mówi się, że policja z Brunshwiku to najbardziej aktywna drogówka w Europie.

A teraz drogi są śliskie.

Zimowe piękno zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. I zmienia się również słońce, które zdążyło już wznieść się kawałek nad horyzont. Jego magia staje się czarna; czarna magia. Gdy mija Helmstedt, bardzo wyraźnie czuje grudę w gardle.

Na Autobahn zawsze miała problemy. Ta przedziwna bezgraniczność. Przymus, by częściej patrzeć w lusterko wsteczne niż przed siebie. Nieustanna potrzeba zwracania uwagi na przeceniających swoje możliwości mężczyzn w średnim wieku, którzy z zawrotną prędkością nadjeżdżają od tyłu w swoich służących autoterapii naddźwiękowych bańkach, a potem wiszą metr za tobą i mrugają długimi światłami, bo jedziesz tylko sto sześćdziesiąt.

Ale w porządku, nie mogłaby powiedzieć, że francuscy kierowcy są o wiele lepsi. Choć nigdzie indziej aż tak wyraźnie nie widać różnic kulturowych. Czy właściwie lepiej się czuje w bezprawnej dżungli komunikacyjnej Paryża niż w tym dobrze nawożonym ogrodzie wysokich prędkości, jakim jest Autobahn?

Właściwie to żadnej z tych rzeczy nie woli. Obie są nie na miejscu. Obie należą do dwudziestego wieku, a dwudziesty wiek odszedł. Nadeszła pora, by wreszcie się odważyć wkroczyć w kolejne stulecie.

Tak jak odrzuciliśmy dwudziesty wiek. Jego nieskończone możliwości, by naprawdę stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo, w którym wszyscy mogą odnaleźć swoje miejsce i nikt nie musi się znaleźć poza nawiasem. Po raz pierwszy naprawdę były na to środki. I co z tym zrobiliśmy? Pozwoliliśmy na to, by bez walki osunąć się z powrotem ku najbardziej średniowiecznym wartościom, ku coraz prymitywniejszemu społeczeństwu, w którym najsilniejszy wygrywa.

Jest dla niej jasne, że całe to rozumowanie wynika z pragnienia, by minąć Brunshwik, minąć Peine i wrócić na „zwyčajną” Autobahn. Po prostu myśli o czym innym. Jakby Autobahn pozwalała na myślenie o czym innym.

W chwili gdy odwraca głowę w lewo, by dojrzeć zarysy Brunshwiku, widzi coś innego. To dalekowzrocne spojrzenie – jakże istotne, akurat na Autobahn decydujące o życiu lub śmierci – wychwytyje światła ostrzegawcze. To pierwsza rzecz.

Pierwsza z całej serii oznak, docierających do niej z prędkością, która wystawia na próbę analityczne możliwości jej mózgu. Jakies cztery, pięć samochodów przed nią ktoś włącza światła ostrzegawcze. Kolejne światła przed nią, zarówno hamulcowe, jak i ostrzegawcze, czerwone i pomarańczowe, gdzieś bardzo blisko odgłosy hamowania, gwałtownego. Odgłos poślizgu?



Potem cisza.

Dopiero gdy jej samochód nieruchomieje i dzięki szybkiemu, brzemiennemu w skutki spojrzeniu w lusterko wsteczne może stwierdzić, że również pojazdy za nią stoją w miejscu, dopiero wówczas zaczyna się kolejna seria wydarzeń. I ma miejsce na przeciwnym pasie.

Pierwszy jest dym. I nie jest to spokojna, pełna wdzięku eteryczna mgiełka, która powoli unosi się w przestrzeń. To zupełnie nie ten rodzaj dymu. Prędzej kula dymu, sfera. Czarna kula: wygląda, jakby odbiła się od ziemi i została znów ciśnięta w górę przez ogromną dłoń, która zdążyła się cofnąć dawno temu. Zamiast niej w górze jest coś innego, teraz, gdy kula dymu rozwiewa się na sklepieniu nieba, i *tego* zdecydowanie tam być nie powinno. A ona nie powinna wysiadać z samochodu, kiedy to widzi. I inni, z innych samochodów, które się zatrzymały, też nie powinni tego robić. Ale robią to. To się wydaje nieuniknione.

W powietrzu, gdzie przed chwilą była kula dymu, teraz jest naczepa. Ciężka, bardzo ciężka naczepa. Wygląda to jak zatrzymany kadr. I nie sposób sobie wyobrazić sił, które cisnęły tę naczepę w powietrze.

To naczepa z cysterną.

Co prawda dzieje się to daleko, a ruch jest tak dziwnie powolny, że nic z tego nie wydaje się rzeczywiste, ale prawdopodobnie powinni teraz siedzieć schronieni w samochodach. Widzi tę świadomość w oczach innych kierowców i pasażerów. Ale jest już za późno, by cokolwiek zrobić, bo teraz naczepa z cysterną znów mknie w dół. Poniżej widać chaotyczne kłębowisko pojazdów. Karambol. Widzi kilka czarnych samochodów, dwa czerwone, jeden niebieski, jeden srebrny i widzi malutki, biały samochodzik w samym środku. Wygląda na to, że wszyscy zderzyli się ze wszystkimi, ale raczej nie jest to śmiertelny wypadek, nie ma tych totalnych zniszczeń, które w takich razach widuje się na Autobahn. W każdym razie wygląda na to, że nikt nie zginął. *Jeszcze nie.*

Bo ostatnią rzeczą, jaką widzi, zanim naczepa z cysterną spada na stłoczone samochody, jest coś, co z niej wycieka. Nie wycieka – raczej wypływa, tryska. Od tej przejrzystej cieczy, którą dostrzega zaledwie przez ułamek sekundy, rozchodzi się drganie. Płyn tryskający z naczepy z cysterną sprawia, że powietrze zaczyna drżeć.

Wtedy naczepa spada. Zupełnie bezgłośnie.

Nie ma żadnego odbicia, trwającego choćby ułamek sekundy elastycznego ruchu wstecz. Naczepa po prostu spada i leży. Jak przyklejona. Ma czas, by odwrócić się w stronę innych kierowców i pasażerów, i widzi, że oni również wiedzą, co teraz nastąpi. Widzi to w ich oczach.

Powolność, z jaką odwracają głowy.

Z jaką je opuszczają. Jak w zbiorowej modlitwie. Do zupełnie jakiegokolwiek boga.

Niežnośnie przeciągająca się chwila, gdy naczepa z cysterną układa się na ziemi po swoim długim locie. Nie widzi tego, ale przybierające na sile drganie powietrza mówi jej, że ciecz wciąż cieknie. Że dalej wylewa się z naczepy.

I wtedy dzieje się to, co nieuniknione. Ciecz się zapala. Jeden ogromny, bezgłośny płomień wznosi się

prosto w górę, jak z poziomego odwiertu. Rozprzestrzenia się we wszystkie strony. Po długiej nieobecności znów powraca dźwięk. Jak pulsujący ryk. Pulsujący ryk, gdy eksplodują kolejne zbiorniki z paliwem. Nieubłagana reakcja łańcuchowa paliw kopalnych.

Teraz wygląda to jak las płomieni. Gęsta dżungla czystego ognia. Mimo odległości gorąco dociera do patrzących na przeciwnym pasie. Zalewa ich. Z jakiegoś powodu myśli, że jej brwi właśnie zniknęły.

Obłędna prędkość spalania. To nawet nie reakcja łańcuchowa. Wszystko dzieje się równocześnie. Świat płonie. Gorąco połyka dźwięk. Dźwięki są wsysane w płomienie. Wszystko jest ogniem. Ciężki czarny dym, który znów formuje kulę i unosi się do góry.

Potem wszystko kończy się równie nagle, jak się zaczęło. Ogień przygasa, gdy już pożarł wszystko, co stało na jego drodze. Kula dymu się unosi i zastępuje ją czarna, ale coraz bardziej rozpraszająca się mgła. Wynurzają się z niej kolejne wraki samochodów, całkowicie wypalone.

Wszystko jest czarne. Spalone i czarne. To świat po ragnaröku.

A jednak nie do końca. Coś stoi pośrodku, jakby w środku okręgu. I nie jest czarne. Jest białe.

To ten mały, biały samochodzik w samym centrum wypalanej czerni.

I dzieje się coś obłędnego. Drzwi białego samochodziku się otwierają. Wysiada z niego chwiejnie młody mężczyzna, równie biały jak samochód. Rozgląda się. Choć jest bardzo mało prawdopodobne, by cokolwiek widział. To raczej wpojony nawyk. Żeby się rozglądać. Wyrobić sobie jakieś pojęcie. Ocenić sytuację.

Młody mężczyzna stoi przy samochodzie. Nic nie widzi. Ale żyje.

Natomiast ci na przeciwnym pasie widzą bardzo dużo. Widzą mały, biały samochodzik, który stoi pozornie nieuszkodzony wśród całej tej wciąż tłącej się czerni. I to jest jak objawienie.

Kobieta rozgląda się. Spogląda na innych kierowców. Ich spojrzenia się spotykają i są takie podobne. Widzą to samo. Widzą biel wynurzającą się z całej tej czerni, zza zasłony dymnej coraz bardziej rozpraszających się ciemności.

I myśli:

Samochód z napędem elektrycznym.

To wtedy zdaje sobie sprawę, co musi zrobić.

Târgu Mureș, Rumunia, 17 lutego

CZASEM LUDZIE SIĘ DZIWIĄ, że Mander Petulengro potrafi odróżnić światło od ciemności. Wielu uważa, że Mander oszukuje, że mimo wszystko coś jednak widzi. Ale tak nie jest. Urodził się niewidomy i nie widział nigdy. Nie wie nawet, co to znaczy.

Odczuwa różnicę, gdy spotyka ludzi, którzy niedawno stracili wzrok. Naprawdę cierpią, bardzo silnie przeżywają utratę. Wciąż żyją jako cienie we wszechświecie widzących.

On nie. Jest sam w swoim wszechświecie. Czasem, gdy spotyka innych niewidomych od urodzenia, doświadcza czegoś w rodzaju wspólnoty. Tak jakby ocierali się o jego świat. A jednak nigdy tak naprawdę w niego nie wkraczają. Nie w pełni. Oni również są sami w swoich światach.

Był taki czas, kiedy pragnął, by ktoś pojawił się w jego wszechświecie. To był czas wędrówki. Mała Luminitsa z Sarajewa. Choć była równie niewidoma jak on, widziała go lepiej niż ktokolwiek inny. Znacznie lepiej niż on sam. Przez krótką chwilę znajdowali się w tym samym wszechświecie.

Nie, nie zagłębiamy pod ten kamień.

Wycofał się. Ten dom opieki będzie ostatnim miejscem jego pobytu. Właściwie to najbardziej czeka na następną ciemność. Wyczuwa, że przejście nie będzie szczególnie drastyczne.

Odsunął się nawet od gitary. Teraz, gdy siada na łóżku i rozdrapuje kolejne zupełnie świeże ugryzienie pchły, pozwala sobie na to, by przesunąć dłonią po krzywiznach instrumentu. Myśl o Luminitsie z Sarajewa zostaje brutalnie wyparta przez warstwę kurzu, która szeleści między jego palcami. Przez chwilę przepelnia go smutek, bo pozwolił, by gitara znów pokryła się kurzem. Potem również tę myśl odsuwa od siebie. To logiczne. Wycofał się. Już dość się w życiu nagrał, naśpiewał, nawędrował. I widział znacznie więcej niż wszyscy widzący.

Wącha kurz. Zgniatą go lekko między palcami. Poznaje woń brudu, naprawdę starego brudu, ale i coś jeszcze. Pachnie metalem. Jakimś ciężkim metalem. Czy to naprawdę właściwe miejsce, by udać się na spoczynek? Wszystkie te lata mają się skończyć w tym miejscu?

Târgu Mureș nie jest jego domem. To inna część Transylwanii. Jego domem była mała wioska Casin, niedaleko Miercurea-Ciuc w okręgu Harghita. Ale po tym, co się stało, wioska już nie istnieje. Nie istnieje na jego mapie. Został skazany na wędrówkę. A teraz ją zakończył. I przestał grać na gitarze. Śpiewać.

Przestał żyć.

Słyszy ich już od jakiegoś czasu. Wchodzą do pokoi, a za nimi dumny kierownik, mówiący takim tonem, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. Rozumie, że to coś oznacza, i w innym życiu zareagowałby szybciej. Wtedy opuściłby już ten dom opieki – wyszedłby tyłem, zna tę drogę jak własną kieszeń – zanim

byłoby za późno. Ale za późno na co? Co mu może tutaj grozić? Czy nie jest już na samym dnie?

O wiele za późno pojmuję, że odpoczynek to nie dno. Możliwość odpoczynku. Istnieje dno, gdzie odpoczynku nie ma.

Wie, że jest dzień. Wie, która jest godzina. Tuż po drugiej. To najcieplejsza pora dnia. A mimo to czuje chłód wnikający w stawy. Nie jest aż taki stary. Nie powinien czuć chłodu wnikającego w stawy.

Połowa lutego, kwadrans po drugiej po południu. Czuje światło. Dokładnie wie, jak jest widno. Drzwi są zamknięte, słyszy to, zauważa to po świetle, wygląda na to, że zamknęli drzwi do wszystkich pokoi. Czuje, że coś się dzieje.

Ale nie czuje lęku. Czego miałyby się bać? Czy nie przeżył już wszystkiego?

Gdy drzwi się otwierają, Mander Petulengro po raz pierwszy od wielu lat czuje nie tyle lęk, bo to by było za dużo powiedziane, ile coś nieprzyjemnego, wrażenie, że jego świadomie statyczna egzystencja zmieni się w dynamiczną.

Bo wie, że gdy drzwi się otworzą, stanie się jaśniej. Na korytarzu jest jaśniej, a osiem pokoi „gości” to najciemniejsze miejsca w domu opieki. Ale tym razem nie robi się jaśniej. Choć słyszy, że drzwi otwierają się szeroko, robi się ciemniej. Jeszcze ciemniej.

Z początku sądzi, że jego dobrze udokumentowane wyczuwanie światła – to, którego nie powinien mieć – zostało wyeliminowane. A potem zdaje sobie sprawę, że dzieją się inne rzeczy.

Zupełnie inne.

Słyszy po krokach, że jest ich trzech i w porównaniu z lekkimi krokami kierownika, wążącego mniej więcej siedemdziesiąt pięć kilo (które wydają się lżejsze, ostrożniejsze), wszyscy trzej stąpają ciężiej. Dwaj są naprawdę ciężcy. Ale odzywa się głos trzeciego.

– Wodogłowie jest niezłe, poza tym nie jesteśmy zadowoleni.

Basowy głos kogoś, kto przywykł do posłuchu, a mimo to neutralny, rzeczowy, z nieustannie wyczuwalnym tonem groźby. Szuranie ołówka po kartce notesu. Mander Petulengro próbuje sobie przypomnieć, co znaczy „wodogłowie”, i równocześnie węchem wyczuwa, że kierownik coraz mocniej poci się pod pachami.

– Ale płasawica Huntingtona była chyba świetna? – mówi kierownik pojednawczym tonem. – Do tego jest taki mały. Można go z dobrym skutkiem połączyć z matką o odpowiednio bujnych kształtach.

– Organizowanie naszej działalności to chyba nie twoja sprawa, prawda?

– To nie tak...

– Rzadko zdarzało mi się widzieć tak paskudną achondroplazję – przerywa bas. – Naprawdę myślisz, że przyniesie nam chociaż centa?

Mander Petulengro słyszy głęboki wdech kierownika i próbuje poskładać elementy tej układanki. Co to jest? Co się dzieje? I co to ma z nim wspólnego? Może nic. Ma nadzieję, że nic. Chce się lekko obrócić i znów wygodnie ułożyć wśród wygłodniałych pcheł. Ale tego nie robi. Nieruchomieje. Skupia się. Wodogłowie, płasawica Huntingtona, achondroplazja – to chyba jakieś terminy medyczne? Co to?

Choroby?

I: „Naprawdę myślisz, że przyniesie nam chociaż centa?”.

Słyszysz ciężkie kroki, podchodzą do każdego z ośmiu „gości” w pokoju. Szczerze mówiąc, nie wie, czy cała ósemka tu jest. Jego czujność była zbyt długo uśpiona.

Słyszysz, jak kierownik odchrząkuje i mówi:

– Ale najlepsze zostawiliśmy na koniec.

Mander nawet nie drgnie. Jego dawna czujność nie umarła, leżała tylko odłogiem. Kiedyś ratowała mu życie podczas długich wędrówek. Ona i śpiewanie. I gitara.

Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu czuje potrzebę, by sięgnąć po gitarę.

Znów skrobanie ołówkiem, potem kilka kroków do przodu. Prosto do Mandera. I nagle wszystkie kawałki układanki wpadają na właściwe miejsce. Każdy opada dokładnie tam, gdzie powinien być. I pojawia się obraz. Obraz, którego nie widzi nikt prócz niego.

Mander widzi go w swój szczególny sposób.

– Niby on? – pyta sceptycznie bas.

– Jest niewidomy od urodzenia – mówi z zapalem kierownik. – Proszę tylko spojrzeć na jego oczy.

Kto się oprze zupełnie białym oczom?

– Ale ma ponoć trudną historię, tak?

– Wycofał się – zapewnia kierownik. – Przeżył czystki w Harghicie w sierpniu dziewięćdziesiątego drugiego, wywędrował na południe i nie było go przez piętnaście lat.

– Nie prosiłem o kompletne CV – mówi bas. – Chcę tylko wiedzieć, czy będzie robił problemy.

– To uosobienie spokoju – zapewnia kierownik.

Na chwilę zapada cisza. Manderowi Petulengro wydaje się, że wyczuwa skinienie głowy, jako drobną zmianę ciśnienia ciemnego powietrza.

– Ciprian załatwi szczegóły finansowe – mówi bas i jeden z tych o ciężkim kroku się oddala. Za nim kroki kierownika, teraz znacznie szybsze. Odgłosy cichną.

Szybkie szuranie ołówka, potem kilka kroków do przodu. Monstrualny oddech – kucnął – i zdradziecka łagodność basu.

– Nie będziesz robił problemów, co?

– Nazywam się Mander Petulengro – mówi Mander.

– Nie chcę wiedzieć, jak się nazywasz.

– Czyli przed chwilą pan mnie kupił?

– To ostatnie pytanie, jakie zadajesz, prawda? Kupiliśmy całkiem obiecujące wodogłowie, niedorozwiniętego sześciolatka z płasawicą i naprawdę wstrętne karła. A teraz już nie jesteśmy tacy pewni. Ślepy z przerażającymi, wywróconymi oczami. Chodź.

Gdy zbliżają się ciężkie kroki, Mander zdaje sobie sprawę, że jego życie wcale się nie skończyło w tym zapchlonym łóżku. Że teraz znów wszystko się zmieni. Nagle do głowy przychodzi mu pewna myśl

i wyciąga rękę na lewo. Wyczuwa krzywizny i nagle bardzo wyraźnie widzi Luminitsę z Sarajewa.

Widzi ją na swój szczególny sposób.

– Dostaniecie bonus – mówi, w chwili gdy bardzo ciężka ręka opada na jego ramię. – Jestem muzykiem.

Przez moment jest cicho. Ręka cofa się z jego ramienia.

W końcu bas mówi:

– Muzyków załatwiamy gdzie indziej.

– Ale nie niewidomych muzyków – mówi Mander i czuje mocne bicie serca.

Znowu cisza. Ten rodzaj ciszy, który, jak się nauczył, oznacza, że ktoś wymienia spojrzenia.

– Dobra – mówi bas i właściciel tego głosu wstaje, oddech się odsuwa. – Dobra, masz minutę. Pokaż, co umiesz.

Mander Petulengro sięga po gitarę. Zdmuchuje warstwę kurzu. Czuje w nozdrzach woń ciężkiego metalu, gdy układa instrument na kolanach. Głaszcze delikatnie jego krzywizny i tym razem z jego wyobraźni nie znika obraz Luminitsy z Sarajewa.

Jego własny obraz.

Gdy gra pierwszy akord, jego serce bije zupełnie spokojnie. I jest jasno, jak w zwykłe lutowe popołudnie.

Haga – Amsterdam, 28 czerwca

CIENIE WYDAWAŁY SIĘ TAKIE OBCE, gdy ostre promienie letniego słońca wdzierały się przez okna siedziby Europolu w Hadze; każde ziarenko kurzu wydawało się wirować. To już nie były te same cienie.

W ogóle wędrówka po pomieszczeniach zajmowanych przez grupę Opcop wydawała się nieoczekiwanie *samotna*. Te same pomieszczenia, a jednak nie. Było tu otwarte pomieszczenie biurowe, kącik spotkań nazywany przez wszystkich *whiteboardem*, lokal przeznaczony na większe zebrania o sakralnym przezwisku Katedra, i gabinet szefa, własny gabinet Paula Hjelm, z oknami wychodzącymi zarówno na otwarte pomieszczenie biurowe, jak i na Raamweg, z widokiem na Hagę. Teraz, gdy spoglądał na miasto z zupełnie pustego gabinetu szefa, wydawało mu się, że dostrzega asymetryczne zarysy nowej głównej siedziby Europolu kilka kilometrów dalej, po drugiej stronie niewielkiego parku Scheveningse Bosjes.

To były już ostatnie gorączkowe dni. Przeprowadzka praktycznie dobiegła końca, zwłaszcza że część zespołu przez cały czas znajdowała się w Amsterdamie i prowadziła obserwacje wymagające dużej liczby personelu. Lokale były puste. W otwartym pomieszczeniu biurowym, gdzie w ostatnich latach tak bardzo wysilali umysły, nie było ani jednego komputera, ani jednego krzesła, nie było w nim nawet biurka. Interaktywna tablica świeciła nieobecnością; została już przeniesiona. Katedra wyglądała jak po wojnie, z dwudziestoma siedmioma ziejącymi dziurami, gdzie niegdyś zamontowane były ekrany pozwalające grupie połączyć się z przedstawicielami krajowymi z dwudziestu siedmiu krajów członkowskich Unii Europejskiej. A pustka w gabinecie szefa przypominała pustkę, którą odczuwał Paul Hjelm.

Ale w dobrym sensie.

Skończyła się pewna epoka. Zacznie się nowa. I zacznie się w najlepszy możliwy sposób.

Ruszył do wyjścia. Gdy się odwrócił i spojrział na otwarte pomieszczenie biurowe, zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie widzi je po raz ostatni. Przez chwilę stał i chłonał wspomnienia być może najważniejszych lat w swoim życiu zawodowym.

I najsamotniejszych w jego życiu prywatnym.

Ale już niedługo. Gdy jechał na północ w stronę Amsterdamu, czuł narastające wyczekiwanie, prawie jak nastolatek. Podczas tych pięciu mil na autostradzie wypełniło go czysto fizyczne szczęście, a gdy wjeżdżał do gminy o osobliwie rytmicznej nazwie Haarlemmermeer, również i jego serce zaczęło bić inaczej. Bardziej rytmicznie.

W Haarlemmermeer mieści się jedno z największych lotnisk w Europie i to właśnie na Schiphol przy bramkach na sali przylotów poczuł, że jego życie zaczyna się na nowo. Druga połowa pewnej epoki

zaczęła się w chwili, gdy ją zobaczył. Drobna, ciemnowłosa, bezpretensjonalna, a mimo to wydawała się otoczona światłem, które głęboko go wzruszyło. Kiedy jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

W tamtej chwili Paul Hjelm i Kerstin Holm wrócili do domu.

Zwykle łatwo im się ze sobą rozmawiało, mieli raczej problemy z tym, żeby przestać ze sobą rozmawiać, ale w tej chwili było im trudno znaleźć właściwe słowa. Wszystko, co mogliby powiedzieć, zabrzmiałoby płasko. A więc przez większość czasu milczeli, póki nie włożył jej walizek do bagażnika i póki nie usiedli obok siebie w samochodzie. Pozwolili sobie na pocałunek. Długi pocałunek.

Potem Kerstin odchrząknęła i powiedziała:

- Jorge cię pozdrawia i dziękuje.
- Za co? – zdziwił się Paul Hjelm, uruchamiając silnik.
- Za to, że znów może trochę pobyć szefem.

Hjelm się roześmiał.

- Natomiast ty ani trochę nie będziesz szefową.
- Przez kilka tygodni mogę to przeżyć – uśmiechnęła się Kerstin Holm.

Potem znów przez chwilę milczeli. To było dobre milczenie. Na wysokości parku Rembrandta Kerstin spytała:

- A więc hotel Ambassade...?
- Herengracht – pokiwał głową Paul. – Mały apartamencik z widokiem na kanał.
- Luksusy – uśmiechnęła się Kerstin. – Ale...?
- Jakie ale?
- Zabrzmiało to tak, jakbyś miał „ale” na końcu języka.
- Nie myślałaś o tym, żeby zostać detektywem?
- Czyli na początek nie Herengracht, tylko Lauriergracht?
- A masz coś przeciwko temu? To tylko kilkaset metrów od hotelu. Zajrzymy tam szybko. Żebyś sama mogła zobaczyć. I do tego poznać naszych nowych ludzi.
- Słyszałam, że jeden z nich cholernie ciężko pracuje.
- Tak, Adrian. W tej chwili bardzo go potrzebujemy. Żeby nie musieć zatrudniać tłumacza z zewnątrz.

Kerstin Holm pokiwała głową. Nie miała nic przeciwko temu. Jak mogło być inaczej? Tyle tylko że miała nadzieję na coś innego. Jak najszybciej. Może nawet ostentacyjnie, w hotelowej wannie.

Jazda samochodem po Amsterdamie zawsze była ryzykownym przedsięwzięciem. Nieustanny, jednokierunkowy chaos komunikacyjny, pojawiające się nagle znikąd tramwaje, rowerzyści ignorujący wszystkie zasady ruchu drogowego – a do tego te wąskie uliczki wzdłuż wszystkich kanałów, wszystkich tych *grachten*, które tak trudno od siebie odróżnić.

Lauriergracht był jednym z najkrótszych. I najwęższych. Można było spokojnie siedzieć w mieszkaniu po jednej stronie kanału i zaglądać do mieszkania po drugiej stronie. Poza tym tuż obok był most. W razie potrzeby można było w kilka sekund podbiec i dołączyć do drugiego zespołu, który siedział już



w niewielkim mieszkanku w domu naprzeciwko. Na piętrze poniżej tego obserwowanego.

Tyle mogła instynktownie stwierdzić Kerstin Holm, zanim boczną uliczką dotarli do budynku i zostawili potwornie niewłaściwie zaparkowany samochód swojemu losowi.

Na rozgrzanej letnim upałem klatce schodowej pachniało wilgocią, a wręcz pleśnią. Kerstin weszła za swoim partnerem po wąskich, siedemnastowiecznych schodach i stanęła pod drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze, na których widniała tabliczka z nazwiskiem Bezuidenhout.

Stara pani Bezuidenhout od kilku tygodni była zakwaterowana w znacznie bardziej luksusowym mieszkaniu przy Jan Luijkenstraat. Osiemdziesięcioletnia wdowa po armatorze najprawdopodobniej nie poznałaby swojego starego mieszkania. Było naszpikowane najróżniejszym sprzętem do monitorowania i nasłuchu. Kerstin Holm chwilowo nie chciało się przyglądać tym wszystkim urządzeniom. Skupiła się zamiast tego na identyfikacji mężczyzny z ogoloną głową, który leżał wyciągnięty na zupełnie niepasującym do dużego salonu łóżku polowym. Miał na głowie bezprzewodowe słuchawki i otworzył oczy, jakby go przyłapano na czymś wstydlwym. A dokładniej mówiąc na tym, że je zamknął. Gdy wstawał z chwiejnego łóżka, Kerstin Holm odwróciła głowę i spojrzała w stronę okna. Wysoka ciemnoskóra kobieta podniosła wzrok znad czegoś, co przypominało teleskop, i spojrzała ze zdumieniem na nowo przybyłych. Potem wyprostowała plecy, uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Szef. I komisarz Holm, jak przypuszczam?

– Spotkałyśmy się co najwyżej cyfrowo – odparła Kerstin, wyciągając rękę. – Corine Bouhaddi, prawda?

– We własnej osobie – odparła Bouhaddi i objęła dłoń Holm w niemal żelaznym uścisku.

Gdy Bouhaddi siadała przy wielkim biurku, na którym stało z pół tuzina monitorów i klawiatur, łysemu udało się podźwignąć z łóżka polowego i podszedł do nich.

– Adrian Marinescu – przedstawił się, ściskając dłoń Kerstin. – I szefie, przepraszam, że wyglądałem, jakbym spał. Nie spałem.

– Spokojnie – powiedział Hjelm. – Ciężko pracujesz. Czyli w tej chwili nie ma żadnej aktywności?

Marinescu pokręcił głową, poprawił słuchawki, które zsunęły się trochę krzywo po jego najwyraźniej śliskiej głowie, i odparł:

– Od ponad godziny.

– To się może zaraz zmienić – oświadczyła Bouhaddi i wcisnęła kilka klawiszy. – To dlatego patrzyłam przez lornetkę. Zbliży się coś, co zdecydowanie przypomina *postańca rowerowego*.

Marinescu westchnął cicho.

– Jestem gotowy.

Bouhaddi wcisnęła jeszcze kilka klawiszy. Na jednym z monitorów pojawił się posłaniec rowerowy, który wszedł po schodach, pogrzebał w dużej torbie na ramię i zadzwonił do drzwi z małą tabliczką z napisem „U.M.A.N. Imports”. Na sąsiednim ekranie dwóch wysokich mężczyzn wstało z sofy i rozpięło o wiele za szerokie marynarki. Spomiędzy nich wysunął się trzeci i przylgnął do ściany przy drzwiach

wejściowych. Jeden z tych wysokich krył drugiego, który podszedł do drzwi i spojrzął w wizjer. Potem schował pistolet za plecy i otworzył lewą ręką. Odebrał kopertę bąbelkową formatu C5 i również lewą ręką złożył elektroniczny podpis. Posłaniec rowerowy zaczął – jak to posłańcy rowerowi – zbiegać po schodach, a wysoki podał kopertę mężczyźnie stojącemu przy drzwiach, który ją wziął i zniknął z kadru. Bouhaddi szybko kliknęła klawisz i mężczyzna pojawił się z zupełnie innej perspektywy, widziany z góry. Rozsiadł się przy biurku, na którym stało kilka komputerów, i umieścił kopertę bąbelkową w dziwnym urządzeniu. Dwukrotnie przesunęła się po niej smuga światła i mężczyzna wpatrzył się uważnie w jeden z monitorów. Potem zaczął rozrywać kopertę i powiedział coś basowym głosem w języku, który przypominał Kerstin Holm coś w rodzaju bardziej szorstkiego włoskiego. Dźwięk był stosunkowo słaby, ale tym głośniej zabrzmiało natychmiastowe tłumaczenie symultaniczne Adriana Marinescu w wyraźnej angielszczyźnie, z akcentem typowym dla dawnego bloku wschodniego.

– „Zaraz zobaczymy, czy załatwili to gówno. Jak ja mam, kurwa, dość Skandynawii. Skąpe skurwysyny. A w Grecji przecież nawet ci niby najbardziej nadziani nie mają już kasiory”.

Potem nastąpiły dwa chrząknięcia w tym samym kanonie muzycznym – możliwe, iż chodziło o śmiech. Mężczyzna rozłożył list wyjęty z bąbelkowej koperty i go przeczytał. Kiwał głową, ale niczego nie komentował.

– *Bardzo niewiele* robią cyfrowo albo przez komórkę – powiedziała Bouhaddi. – Sądzymy, że próbują zminimalizować ryzyko nasłuchu.

– Może coś podejrzewają? – spytała Holm.

– Nic na to nie wskazuje – odparł Hjelm. – Wygląda na to, że chodzi o ogólną ostrożność.

– A nie można by zatrzymać posłańca rowerowego?

– Dostawy są przeprowadzane na cholernie wiele fantazyjnych sposobów – powiedziała Bouhaddi. –

Poza tym w Amsterdamie jest absurdalna ilość firm kurierskich. Naszym najbardziej brawurowym posunięciem było wysłanie jednego z naszych ludzi na drugą stronę, żeby fizycznie zatrzymał posłańca rowerowego i sfotografował papiery. To byłś chyba ty, Marek?

Na trzecim monitorze pojawił się obraz Marka Kowalewskiego. Siedział przy znacznie mniejszym biurku, na oko w znacznie mniejszym pokoju niż elegancki salon wdowy Bezuidenhout. Skierował szeroką, rumianą twarz do kamery i powiedział zdziwiony:

– Ale was tam dużo.

– Gościnne występy – odparł Hjelm.

Z boku ekranu wyjrzała jakaś postać, delikatna, kobieca twarz o południowych rysach, której Kerstin Holm nie znała. Domyśliła się jednak, że chodzi o Donatellę Bruno, wcześniejszą szefową lokalnego biura grupy Opcop w Rzymie, która w końcu dała się namówić na opuszczenie meteorologicznie gorącego klimatu Włoch na rzecz zawodowo gorącego klimatu w Hadze. Przedstawiły się sobie szybko, a potem Kowalewski ciągnął:

– Tak, ja to zrobiłem. Zgarnąłem posłańca rowerowego, zanim zdążył wejść na schody. Wciągnąłem

go w uliczkę, otworzyłem ostrożnie podobną kopertę bąbelkową i sfotografowałem list. Macie u siebie kopię. Potem ważne było to, żeby dokładnie tak samo zamknąć kopertę.

– Jak widziałaś, prześwietlają wszystkie koperty, zanim je otworzą – zauważyła Bouhaddi. – Ale nie wiemy, czego dokładnie szukają.

– Najbardziej się obawiałem – odezwał się z monitora Kowalewski – że posłaniec spanikuje, kiedy te dranie otworzyły drzwi. Ale wszystko poszło dobrze. Niczego nie podejrzewali. Tyle że na przyszłość coś takiego się nie sprawdzi. To o wiele zbyt ryzykowne.

– Tu jest ten list – powiedziała Bouhaddi, kliknęła i otworzyła zdjęcie na czwartym ekranie. – Jak widzicie, to szyfr. Nasi eksperci mają go już od tygodnia, ale go nie złamali. Dwie części, coś, co wygląda jak ciągły tekst, i coś, co bardziej przypomina listę.

– A jak *sądzicie*, o co chodzi? – spytała Holm, przyglądając się uważnie pisanemu odręcznie szyfrowi literowemu, który zupełnie nic jej nie mówił.

– Prawdopodobnie to sprawozdania z działalności z różnych filii w całej Europie – odparł Hjelm. – Wydarzenia, problemy, dochody, a zwłaszcza nowe nabytki. Rozrastają się przecież zdumiewająco szybko. I może do tego plan operacyjny.

– Wciąż nie pojmuję, jak można zarabiać tyle pieniędzy na żebrakach – stwierdziła szczerze Kerstin Holm.

– Trochę jest tak, że to faktycznie możliwe – odparła z monitora Donatella Bruno. – W katolickich krajach jesteśmy hojni i w odróżnieniu od Skandynawów wciąż najchętniej używamy gotówki.

– Czyli to nie dlatego, że Skandynawowie są „skąpymi skurwysynami” – zauważył Hjelm z elegancką autoironią.

– Chodzi raczej o wasz nienaganny luterański etos pracy – odparł Kowalewski z bardzo neutralną ironią.

– A trochę jest tak – ciągnęła Bruno – że po raz pierwszy mamy realne przesłanki świadczące o tym, że ta żebracka szajka ma związki z grubszym handlem żywym towarem. I być może z większą organizacją przestępczą.

– Ale wciąż nie wiemy z którą i w jaki sposób – wyjaśnił Hjelm – i dlatego tutaj siedzimy.

– Gdybym ja była szefem – zauważyła Corine Bouhaddi ze słodkim uśmiechem – byłabym trochę ostrożniejsza z tym „siedzimy”.

Kerstin Holm ku swemu zdumieniu stwierdziła, że wybuchnęła głośnym śmiechem. Szybko spróbowała załagodzić ten nietakt pytaniem:

– I są Rumunami, tak?

– Dialekt z Bukaresztu – pokiwał głową Adrian Marinescu. – Sami żebracy to też prawie wyłącznie Rumuni. Tyle że to Romowie. Cyganie, jak się ich również nazywa, romscy muzycy oraz mniej lub bardziej niepełnosprawni Romowie. W tej chwili są już w każdym europejskim wielkim mieście. Chodzi o dziesiątki tysięcy ludzi, którzy są niewolnikami.

– Romowie z Rumunii – powiedziała Holm.

– Wiem, co masz na myśli – rzucił dość ostro Marinescu. – Ale nie wolno nam zapominać, że Rumunia ma największą populację Romów w całej Europie... choć zależy to trochę od tego, czy wlicza się do Europy Turcję. Półtora miliona według prezydenta Bănescu. Nie jest tak, że jesteśmy większymi rasistami.

– Zostawmy to na razie – powiedział pojednawczo Hjelm. – Musimy już jechać.

– Konferencja już się zaczęła? – spytała Bouhaddi.

– Nie – powiedział Hjelm. – Inauguracją jest bankiet dziś wieczorem, niedaleko Amsterdamu.

– Będziemy mieszkać w hotelu – powiedziała Holm. – Wasz szef prawdopodobnie od wielu miesięcy nie sprzątał swojej kawalerki.

– Konferencja? – spytał trochę spokojniej Marinescu. – Przepraszam, siedzę tu od dwóch tygodni odizolowany od świata...

Paul Hjelm wyjaśnił:

– Przed oficjalną inauguracją nowej głównej siedziby Europolu we wspomnianej siedzibie głównej odbywa się trzydniowa konferencja European Police Chiefs Convention. Inauguracja będzie pierwszego lipca. Dopiero wtedy będzie mógł przyjść cały Opcop. To znaczy ci z was, którzy tu nie siedzą.

Pożegnali się i wyszli. Gdy znaleźli się na ulicy, za wycieraczką samochodu tkwił mandat. Paul Hjelm wrzucił go do schowka na desce rozdzielczej, gdzie zdaniem Kerstin Holm było już bardzo dużo podobnych świstków.

– Amsterdam – powiedział po prostu Hjelm i ruszył.

Herengracht nie był daleko. Po krótkiej jeździe samochodem ku swemu szczeremu zdziwieniu znaleźli miejsce parkingowe, z którego można było dojść spacerem do hotelu. Dostali pokój, który faktycznie okazał się niewielkim, gustownie urządzonym apartamentem z kilkoma wielkimi oknami wychodzącymi na Herengracht. Natychmiast padli sobie w objęcia, nie zaciągnęli nawet grubych zasłon. Gdy ubrania spadały na podłogę, Kerstin Holm spytała:

– Co powiesz na kąpiel?

– Bardzo chętnie – odparł Paul Hjelm.

Chicago, 9 maja

## GĘSTOŚĆ ENERGETYCZNA.

Zasięg.

Czas ładowania.

Wpływ na środowisko.

Moje życie skupia się wokół tych pojęć od dziesięciu lat. To było dla mnie wszystko. Tylko to. Uzyskanie tej niezrównanej skuteczności, która nagle wszystko uwalnia i całkowicie zmienia zasady gry.

Do tej pory nie było to możliwe. Do tej pory chodziło wyłącznie o teorię. Ale teraz widzimy rozwiązanie, z wielu różnych stron równocześnie, i tego się właśnie dowiedziałem na tej konferencji. Nauczyłem się też innej rzeczy i to dlatego piszę, choć nigdy dotąd nie miałem tego w zwyczaju. To było dziwnie dwuznaczne doświadczenie. Ale jeszcze do tego wrócę, „drogi pamiętniku”.

Szczerze mówiąc, na takie konferencje jeździ się, bo nie ma się wyjścia. Człowiek trzyma język za zębami, nie mówi więcej, niż musi, słucha konkurencji, która też próbuje trzymać język za zębami, próbuje wyczytać jak najwięcej między wierszami, zauważyć te nieuniknione chwile, gdy ktoś niechcący się wygada. Pionierskie badania ubrane w niezobowiązujące banały i groteskowa czujność.

W pewnym sensie ta konferencja w Chicago była dokładnie taka sama, może nawet jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Poszczególne zespoły badawcze ważyły każde wypowiediane słowo. Ale na innej płaszczyźnie wszystko się zmieniło. Trudno mi to sprecyzować, zwłaszcza że jestem badaczem skupionym na swojej pracy. A jednak nie umiem tego określić inaczej niż jako pewien nastrój, pewien duch. Staromodny duch wynalazczości. Albo równie staromodny szybkoć. Ciśnienie i temperatura rosną, czas gotowania skraca się o połowę, a gdy wszystko jest gotowe, otwiera się mały wentyl i gwizdząc, wyrzuca z siebie parę gorętszą niż zwykła para.

To tak, jakby wszyscy czekali na ten gwizd.

I jakby niemal każdy z nas mógł to osiągnąć.

Jak zwykle jesteśmy tu cudzoziemcami. Obecne są oczywiście zespoły badawcze z wielkich amerykańskich uniwersytetów oraz niektórych małych z całego świata. Ale ci mali są tutaj, żeby się przyglądać i uczyć, a wielcy bynajmniej nie są niezależni. Mają swoich stałych partnerów z przemysłu samochodowego i naftowego. A zdecydowaną większość obecnych stanowią oczywiście badacze z czysto komercyjnych przedsiębiorstw. Virpi i ja stwierdziliśmy wczoraj podczas kolacji, że spośród głównych graczy chyba tylko my jesteśmy całkowicie niezależni.

Ale tak teraz wygląda świat.

Zresztą nikt się na poważnie z nami nie liczy. I bardzo dobrze, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę

wiadomość od Jovana, którą otrzymałem dziś rano. Właściwie miałem ochotę wskoczyć w samolot i od razu lecieć do domu.

To jeden z powodów, dla których o tym piszę, choć drugorzędny. Główny powód jest inny. Będę musiał jeszcze do tego wrócić.

Słuchanie o postępach poczynionych przez innych mimo wszystko jest ekscytujące. Można chyba powiedzieć, że Tesla Motors nadal pracuje nad rozwojem ekologicznie czystych pojazdów, IBM bohatercko stawia na baterie litowo-tlenowe, wspierana przez inwestorów kapitału wysokiego ryzyka Envia Systems wydaje się bliska przełomu odnośnie do gęstości energetycznej starych dobrych akumulatorów litowo-jonowych, ale to zespół badawczy z MIT przykuł największą uwagę swoim *semi-solid flow cell*. Podczas dzisiejszej prelekcji przedstawiciele MIT myślałem sobie po cichu: no to dopiero jesteście w połowie drogi.

Podobnie jak zespół z MIT odseparowaliśmy dwie podstawowe funkcje baterii – magazynowanie energii, dopóki nie będzie potrzebna, oraz oddawanie jej, kiedy ma być używana – i największą przeszkodą było dla nas właśnie magazynowanie. Brakowało nam pewnego drobnego, ale istotnego elementu. Gdyby tylko ten problem został rozwiązany, stałoby się to naprawdę możliwe; można by nie tyle ładować samochód o napędzie elektrycznym – na co nadal stawia zdecydowana większość – ile wymienić rozładowany płyn akumulatorowy na naładowany. Po prostu zatankować samochód o napędzie elektrycznym na pierwszej lepszej stacji benzynowej, gdzie rozładowany płyn byłby ponownie ładowany, chemicznie, bez zużycia prądu. Wyłącznie czyste produkty odpadowe. Całkowicie przyjaźnie dla środowiska.

Wiadomość od Jovana dziś rano nie była może tym drobnym, acz istotnym elementem, lecz pierwszym krokiem w jego kierunku. Niedługo problem magazynowania przestanie istnieć.

Nie jestem z tego dumny, ale muszę przyznać, że słuchałem odczytu ekipy z MIT z pewną złośliwą satysfakcją.

I było tak, jakby ten dziennikarz to widział. Zaraz potem się do mnie przyczepił. To było prawie najście. Natychmiast spytałem o jego akredytację prasową. To, co mi podsunął pod nos, mignęło mi zbyt szybko, bym mógł cokolwiek przeczytać. Potem spadł na mnie grad pytań. Jak daleko się właściwie posunął ten wspólny europejski projekt? Jak blisko jesteśmy? Czy sądzimy, że samochody na benzynę wkrótce przejdą do historii? Jeśli tak, to jak szybko to nastąpi? I naprawdę zadał mi to pytanie:

„Dlaczego profesor się tak ironicznie uśmiechał, kiedy prelekcję wygłaszali przedstawiciele zespołu badawczego z prestiżowego Massachusetts Institute of Technology?”.

A potem jeszcze spytał: „Jaką to rozmowę telefoniczną odebrał profesor dziś rano podczas śniadania?”.

Uważam się za ściśle racjonalnego człowieka. Niewielu ludzi jest tak racjonalnych jak ja. A mimo to nie potrafię całkowicie racjonalnie wyjaśnić, co sprawiło, że w tamtej chwili chwyciłem jego kartę akredytacji prasowej, którą nosił na szyi. Naprawdę musiałem sprawdzić, jak się nazywał, kto to

właściwie był. Jego reakcja była, delikatnie mówiąc, obcesowa. O ile ja zachowałem się zdecydowanie, ale w nieplanowany sposób, o tyle jego reakcja była jeszcze bardziej stanowcza i wyjątkowo dobrze zaplanowana. Sądząc po sile, z jaką wyszarpnął mi z ręki plastikową plakietkę, nie był to zwyczajny dziennikarz naukowy, jestem o tym przeświadczony.

Nie udało mi się odczytać jego nazwiska. Ale teraz, gdy siedzę w pokoju hotelowym i przyglądam się skaleczeniu na prawej dłoni, przemawia to do mnie o wiele bardziej niż jakiegokolwiek nazwisko. To sącząca się z mojej ręki krew sprawia, że zaczynam prowadzić ten pamiętnik. Z pewnego punktu widzenia można by to uznać za zwyczajne wydarzenie podczas nagłośnionej przez media konferencji energetycznej. Ale z innego punktu widzenia był to pierwszy sygnał świadczący o tym, że nasza praca nie dotyczy już tylko gęstości energetycznej, zasięgu, czasu ładowania i wpływu na środowisko. Chodzi w niej o przyszłość – i zaczęły działać potężne siły.

Możliwe, że przesadzam. To nawet bardzo prawdopodobne, że chodziło po prostu o jakiegoś dziennikarza naukowego, który pomyślał, że ma szansę zdobyć sensacyjny materiał, i dlatego był taki nabuzowany. Ale nie wiem. Mam mieszane uczucia. Z jednej strony nie mogę się już doczekać, by kontynuować pracę w domu; teraz jesteśmy naprawdę blisko.

A z drugiej strony trochę się... boję.

Amsterdam, 28 czerwca

PLAMKA ŚWIATŁA PORUSZAŁA SIĘ wyraźnie po suficie hotelowego pokoju. Odbicie letniego słońca w wodach Herengracht ciągle zmieniało kąt względem okna. Doprowadzenie się do porządku zajęło Kerstin Holm trochę czasu i Paul Hjelm zdążył obejrzeć w telewizji cały mecz piłkarski i połowę kolejnego, leżąc w smokingu na łóżku. Trzy połowy ligi holenderskiej. Chociaż teraz mieli chyba letnią przerwę. Co oznaczało, że to były powtórki. Ale to nie robiło żadnej różnicy, bo i tak nie wiedział, co to za drużyny. Znał Ajax, PSV, Feyenoord, Twente, a w ostatnim czasie również klub z Hagi, ADO Den Haag. Ale to nie była żadna z nich.

– Ile będę musiała jeszcze czekać, zanim skończy się ta piłka ręczna – zabrzmiało od drzwi.

Paul Hjelm podniósł wzrok, spojrzał na elegancko ubraną Kerstin Holm i pomyślał o drobnych niesprawiedliwościach w życiu.

Te drobne były jego częścią, te wielkie nigdy.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Potem spojrzał na jej jasnoczerwoną długą suknię i powiedział:

– To było warte czekania przez półtora meczu.

Uśmiechnęła się i poprawiła mu muszkę, po czym wyszli na wciąż rozgrzane, zatłoczone miasto.

W taksówce z zepsutą klimatyzacją Paul Hjelm spytał pachnącego tytoniem taksówkarza:

– Jak daleko jest do Muiderslot?

– Jakieś piętnaście kilometrów – odparł ochryple taksówkarz.

– Strasznie seksownie to brzmi, kiedy mówisz po niderlandzku – powiedziała po szwedzku Kerstin.

Hjelm uśmiechnął się i odparł:

– Choć właściwe pytanie powinno brzmieć: *co to jest Muiderslot?*

– Nie doczytałeś tego? Poważnie? Muiderslot to średniowieczny zamek na małej wysepce przy południowym krańcu położonego najbardziej na południe wielkiego sztucznego jeziora IJmeer. Duże I, duże J. Kiedyś położony był na morzu, teraz na jeziorze.

– Średniowieczny zamek?

– Z trzynastego wieku.

– A skoro już mówimy o odległej przeszłości – nawiązał Hjelm – wspominałem ci, że Gunnar nagle się odezwał?

– Jaki Gunnar?

– Już zapomniałaś o dawnych towarzyszach?

– *O shit!* Gunnar Nyberg? – wybuchnęła Kerstin Holm. – Nie odzywał się do mnie co najmniej od pół roku. Czego chciał?



– Możesz mi wierzyć lub nie, ale ukończył swoją powieść.

– I dlatego do ciebie zadzwonił?

– Czyżbym słyszał ironię w głosie, madame?

– Chyba od dawna nie masz czasu na powieści?

– Właściwie to w mojej codziennej samotności czytam więcej niż kiedykolwiek dotąd. Wprawdzie głównie policyjne śledztwa i notatki służbowe. Ale Gunnar niestety nie dzwonił z powodów literackich, lecz finansowych. Pytał, czy mam jakieś dobre kontakty, by ubiegać się o unijne dotacje. Pogadałem z paroma osobami.

– I co tam u mojego Gunnara? Dalej mu się podoba życie pisarza?

– On i Ludmila dopiero co wzięli ślub.

– O rany! – powiedziała Kerstin Holm. – Dlaczego nic mi nie wspomniał? Trzeba przecież opowiadać o takich rzeczach starym policyjnym partnerom.

– Poza tym wygląda na to, że wszystko u nich w porządku. Czują się wspaniale na Chios, ale mimo to odniosłem niejasne wrażenie, że mają jakieś problemy finansowe. I że Gunnar nie może sobie znaleźć miejsca.

– Strasznie gwałtownie przyhamował od setki do zera – stwierdziła Holm. – Efekty gwałtownego hamowania ujawniają się dopiero później.

Taksówka opuściła już centrum Amsterdamu i wjechała na autostradę prowadzącą nad jeziora. Hjelma nigdy nie przestały zdumiewać sztuczne jeziora w Holandii oraz sztucznie stworzone tereny – poldery. Wzięto przyrodę we władanie i po prostu zablokowano dużą morską zatokę Zuiderzee i zmieniono ją w duże jezioro IJsselmeer, zasilane słodką wodą z rzeki IJssel. Następnie IJsselmeer zmniejszono o dwie trzecie, tworząc grunty orne, a samo jezioro podzielono na kilka mniejszych. Południowa część tego położonego najbardziej na południe stała się jeziorem IJmeer, wzdłuż którego teraz jechali.

Wkrótce dotarli do niewielkiej, dość anonimowej miejscowości Muiden, przez którą trzeba było przejechać, by dotrzeć na wyspę z zamkiem Muider slot. Jego szare blanki wznosiły się majestatycznie nad przejrzystą, niebieską wodą jeziora. Gdy znaleźli się trochę bliżej, zobaczyli, że charakterystyczne średniowieczne mury otoczone są nawet klasyczną fosą. Przez chwilę cofnęli się w czasy średniowiecza, niczym krzyżowcy, którzy ogarnięci tęsknotą za domem powrócili z dalekich pól bitewnych – ale wtedy pojawiły się żaglówki i samochody. Oraz średniowieczne bitewne chorągwie, ozdobione gwiazdami Unii Europejskiej zamiast insygniów miejscowego feudała, co wywierało zaskakująco autoironiczne wrażenie. Chorągwie niosła zgraja średniowiecznych kuglarzy, którzy przypuszczali atak na niby na każdy nadjeżdżający samochód. Większość z nich stanowiły nie taksówki, lecz limuzyny oraz grupa umartwiających się średniowiecznych mnichów krążących po podzamkowym parkingu.

Kierowcy limuzyn próbowali się od nich odsunąć – jak od irytującego odbicia w krzywym zwierciadle – gdy paląc papierosy, szykowali się na długie i nużące nocne czekanie.

Hjelm i Holm wysiedli z taksówki i napadł ich kolejny średniowieczny orszak, tym razem grupa

muzykantów z wiernymi epocem instrumentami, takimi jak fidele, flety poprzeczne, dudy, szałamaje, flety jednoręczne i rogi naturalne. Hjelma uderzyło, że wszyscy muzycyści mają śniadą cerę. Jakby wszyscy byli jednej narodowości.

Para dotarła do zamkowej bramy, której pilnowali odziani w liberie lokaje. Jednak ich twarde spojrzenia bynajmniej nie były spojrzeniami lokajów. Hjelmowi wydało się nawet, że rozpoznaje twarz, którą widział już w korytarzach Europolu; pewnie jakiś policjant, któremu znudziło się siedzenie za biurkiem. Odwrócił się demonstracyjnie, gdy Hjelm skinął mu głową. Pewnie dorabiał sobie w nie do końca oficjalny sposób.

– Witajcie państwo – odezwał się niezbyt serdecznym tonem jeden z lokajów i odhaczył ich na liście.  
– Swoje miejsca przy stole znajdziecie państwo na afiszu przy bramie zamkowej.

Na wewnętrznym dziedzińcu roiło się od oficjalnie ubranych dygnitarzy i ogromnej liczby kelnerów. Jedna z nich natychmiast podała im kieliszki z szampanem. Nieco wrzaskliwa, średniowieczna muzyka zdawała się dobiegać z tak wielu stron, że Hjelm zaczął podejrzewać, iż kilka grup muzykantów stoi i rozgrzewa się pod murami. Państwo Hjelm i Holm balansowali kieliszkami z szampanem, przebijając się przez tłum, ale nie poznawali ani jednej twarzy.

W końcu dotarli do afisza z rozmieszczeniem gości przy stołach i doszli do wniosku, że będą siedzieć naprzeciwko siebie przy stole w miejscu o nazwie Wapenzaal na drugim piętrze zamku. Wtedy Hjelm poczuł, jak ktoś klepie go w ramię, i spojrzał w młodzieńczą twarz dyrektora Europolu. Przywitali się serdecznie. Kerstin Holm widziała się z nim już parę razy i zawsze robił wrażenie kogoś roztropnego.

– Obawiam się, że towarzysz pani Holm przy stole jest trochę nudziarzem! – wrzasnął, żeby przekrzyczeć wściekłe wycie rogów naturalnych i fletów poprzecznych. – Komendant główny maltańskiej policji Hubert Carabott to przykład tego, jak można się przedwcześnie postarzeć. Ale ciekaw jestem, czy ty, Paul, docenisz swoją towarzyszkę przy stole.

– I mówisz takie rzeczy przy mnie?! – krzyknęła z uśmiechem Kerstin Holm. Trudno było krzyżeć i uśmieczać się równocześnie i miała wrażenie, że jej twarz wykrzywia się w bardzo dziwnym grymasie.

– Wyłącznie platonicznie, oczywiście – wyjaśnił dyrektor. – To gość specjalny. Marianne Barrière, komisarz UE z Francji.

– No proszę! – zawołał Hjelm, któremu niezbyt to zaimponowało.

– Ale tak naprawdę to chciałbyś to mieć już z głowy, wiem o tym! – krzyknął mu do ucha dyrektor i położył rękę na jego ramieniu.

– Wiesz to z własnego doświadczenia?! – spytał Hjelm i poczuł, że zaczyna chrypnąć.

– Jestem dyrektorem dużej agencji unijnej! – odwrzasnął neutralnym tonem dyrektor. – Wtedy się tak nie myśli.

– A mimo to... – zaczął Hjelm, ale dyrektora zmiotła już wezbrana fala tłumów.

Paul i Kerstin próbowali trzymać się razem, ale rozdzielono ich już po pięciu minutach. Paul zaczął rozmawiać z duńską komendantką policji, z którą właśnie zaczynał się zapoznawać, gdy porwał ją tłum.

Znalazł się w towarzystwie greckiego ministra spraw wewnętrznych i musiał się nasłuchać tego i owego na temat Unii Europejskiej, choć wcale nie miał na to ochoty. Niemniej słuchanie niecenzuralnych angielskich słów w wydaniu Greka było całkiem zabawne. Potem rozległ się dźwięk dzwonka, przypominający ostatni dzwonek przed rozpoczęciem przedstawienia w teatrze, i goście zaczęli tłumnie wchodzić do zamku.

Wielka szeroka brama, kamienne schody w bliżej nieokreślony sposób pachnące średniowieczem, kobiety na kilkunastocentymetrowych obcasach ubrane w długie suknie i usiłujące wspiąć się po czymś, co zbudowano na długo przed pojawieniem się szpilek i obcisłych sukni; śmiechy i wielojęzyczny gwar, który przez sondę z kosmosu mimo wszystko zostałby odebrany jako rozmowy prowadzone po angielsku, aczkolwiek nie w doskonałej angielszczyźnie. Pogoń przez kolejne sale, by znaleźć właściwe pomieszczenie, właściwy stół, właściwe miejsce.

Wapenzaal powinna być starą zbrojownią, gdzie kiedyś, dawno temu, rycerze odkładali swoje halabardy i kusze. Było to największe pomieszczenie, jakie Paul Hjelm widział dotąd podczas swej wędrówki po zamku. W końcu hostessa pomogła mu odnaleźć właściwe miejsce. Po drugiej stronie stołu stała już Kerstin Holm. To było niczym objawienie, oaza na pustyni. Uśmiechnęła się do niego z lekką ironią, a on przez stół ścisnął jej dłoń. Jakiś starszy dżentelmen podprowadził ją do miejsca, przy którym właściwie już stała; zapewne był to komendant główny maltańskiej policji Hubert Carabott. Miejsce na prawo od Hjelma wciąż było puste, ale na plakietce leżącej na jednym z wielu pustych kieliszków na wino widniało nazwisko Marianne Barrière. Uwagę Paula pochłonęła kobieta siedząca po drugiej stronie, której towarzysz jeszcze nie pojawił się przy stole. Przedstawili się sobie. Była prokurator generalną z Bratysławy na Słowacji i Paul nie miał najmniejszych szans załapać jej nazwiska – było zbyt nieprzystępne, również w formie pisemnej. Gdy wciąż na stojąco rozmawiali o tym i owym, zerknął w stronę siedzącej po drugiej stronie stołu Kerstin i jej spojrzenie oczywiście nie powinno było być aż tak pełne wyrzutu. Ale było. Najbardziej przerażające wydało mu się to, że dopiero gdy spojrział na słowacką prokurator generalną oczami Kerstin, zdał sobie sprawę, że była atrakcyjna. Ale wtedy Słowaczkę przechwycił już jej nowo przybyły towarzysz, który wyglądał jak szpakowaty, lecz wykastrowany hollywoodzki bohater. Zastanawiając się, skąd wzięła się ta myśl, Paul Hjelm odwrócił się i stwierdził, że również jego towarzyszka przy stole niepostrzeżenie się zjawiała. Była atrakcyjną kobietą około pięćdziesiątki, o bardzo francuskiej urodzie. Uśmiechnęła się i powiedziała po angielsku, z bardzo słabym francuskim akcentem:

- Zastanawiałam się właśnie, kiedy zainteresujesz się swoją towarzyszką przy stole.
- Przepraszam – powiedział Paul Hjelm i wyciągnął rękę. – Paul Hjelm.
- Marianne Barrière. Zwykle od mężczyzny wymaga się, by wcześniej się dowiedział, kim jest jego towarzyszka przy stole, a następnie ją do niego zaprowadził i wysunął jej krzesło, gdy przyjdzie pora kolacji. Powinien ją zabawiać rozmową, a po kolacji zatańczyć z nią pierwszy taniec.
- Nie jestem pewny, czy zaplanowano tu tańce – odparł Hjelm i wysunął jej krzesło. – Ile

średniowiecznych tańców madame opanowała?

– Właściwie to mademoiselle – odparła Marianne Barrière i nie usiadła. Zamiast tego zaczęła się przedstawiać najbliższym siedzącym osobom, co oczywiście Hjelm też powinien był zrobić. Mimo to udało mu się nie poczuć jak daleki kuzyn z prowincji; te czasy w jakiś sposób miał już za sobą. Teraz był tego częścią, czy tego chciał, czy nie. Zobaczył, jak Kerstin Holm i Marianne Barrière ściskają sobie ręce i wymieniają kilka słów, których nie dosłyszał, po czym obie się roześmiały i Kerstin wskazała na Hjelma. Uśmiechnął się tylko do nich.

W końcu, jak na dany znak, wszyscy zasiedli przy stole i rozpoczęło się serwowanie dań. Hjelm wmawiał sobie bez poczucia zażenowania, że prędzej czy później rozgryzie, jak działają te „dane znaki”. Powinien do tego dojść, zanim umrze.

– Wiem co nieco o panu i o pani Holm – odezwała się Marianne Barrière. – I wygląda na to, że znacznie więcej, niż pan wie o mnie.

– Wiem tylko, że jest pani komisarzem EU – przyznał Hjelm. – Z Francji, jak przypuszczam? Ale dlaczego to wie pani co nieco o naszych skromnych osobach?

– Bo naprawdę wierzę w ideę, że powinniśmy próbować trzymać się razem i zachować pokój w Europie, i dlatego uważam, że do moich obowiązków jako komisarza należy orientowanie się w całej działalności Unii Europejskiej, a zwłaszcza, ujmijmy to tak, w jej *delikatnych* aspektach...

– Możemy tak to ująć, jeżeli będziemy rozmawiać cicho. Szczerze mówiąc, nie do końca wiem, czym się zajmuje komisarz EU...

– Przypuszczam, że mimo wszystko zna pan rolę Komisji Europejskiej w całej politycznej rozgrywce. O ile Parlament Europejski jest parlamentem UE, o tyle Komisja Europejska jest jej rządem. Po jednym komisarzu z każdego kraju, w sumie dwudziestu siedmiu, każdy ze swoim zakresem kompetencji. Do tego każdy z nas ma osobisty gabinet, odpowiedzialny za tak zwane doradztwo polityczne. I każdy ma też dyrekcję generalną odpowiadającą za przygotowywanie projektów aktów prawnych.

– Mniej więcej tyle wiedziałem – odparł Hjelm, zabierając się do przystawki, której potem nie mógł sobie przypomnieć. – Sam przecież prowadzę coś w rodzaju Komisji Europejskiej w miniaturze. Ale czym *pani* się zajmuje?

Marianne Barrière roześmiała się perliście i odparła:

– Jestem komisarzem UE do spraw środowiska. I cokolwiek się sądzi o trochę przestarzałej strukturze komisji, o tym, że większość komisarzy wydaje się tam zasiadać, by zgodnie z duchem czasu się wzbogacić, i o udziale różnych partii politycznych w komisji, mamy przynajmniej jedną poważną zaletę. Wciąż jesteśmy najważniejszą siłą w Europie, jeśli chodzi o europejską legislację. Komisja Europejska ma wyłączne prawo opracowywania wspólnych europejskich aktów prawnych. Praw, które są nadrzędne wobec wszystkich dwudziestu siedmiu kodeksów państw członkowskich. To najpotężniejsze prawa na świecie.

Paul Hjelm uniósł w jej stronę kieliszek z winem i powiedział:

– Wygląda na to, że szykujesz naprawdę ekscytujący projekt aktu prawnego.

– Nie myślałeś o tym, żeby zostać detektywem? – Marianne Barrière uśmiechnęła się do niego szeroko i również wzniosła kieliszek.

– A więc to tak – powiedział Hjelm, upijając białego wina, zapewne chablis, ale jego kubki smakowe były już trochę przeciążone.

Marianne Barrière opróżniła swój kieliszek, pochyliła się w jego stronę, utkwiała w nim spojrzenie swoich jasnozielonych oczu i szepnęła konspiratorsko:

– To tak jak z grupą Opcop. Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

Hjelm roześmiał się i opadł na oparcie krzesła. Gdy podawano kolejną przystawkę i kolejne białe wino, ogarnęło go bardzo przyjemne uczucie, którego nie potrafił dokładnie określić. Było ono związane z polityką. Z reguły od niej stronił, ale w swojej pracy spotykał wielu polityków. Zawsze czuł się trochę nieswojo, kiedy z nimi rozmawiał, jakby prowadził konwersację ze zorientowanym na ekonomię urzędnikiem, który wygłasza długi, wyćwiczony monolog. Marianne Barrière była inna. Wyglądało na to, że naprawdę pali się do polityki, bo to dawało jej możliwość uczynienia życia jak największej liczby ludzi trochę lepszym. Możliwe, że przesadzał – do tej pory rozmowa była zbyt krótka jak na taką ocenę – ale nagle poczuł, jak cofa się w czasie i wznosi ponad wszystkie narodowe i osobiste gierki, całą mniej czy bardziej wyraźną korupcję, lobbing, wszelkie machinacje mające na celu zdobycie prestiżu, oszustwa podatkowe i pułapy budżetowe, wszystkie cięcia, swobodę wyboru i outsourcing i powraca do samego sedna. Do tego, czym powinna być polityka. Do tworzenia tak sprawiedliwego i zrównoważonego społeczeństwa, jak to tylko możliwe. I nic więcej.

Uśmiechnął się do siebie i podchwycił spojrzenie Kerstin Holm, siedzącej po drugiej stronie stołu. W jakiś dziwny sposób wydawało mu się, że doświadcza tego samego. Miał wrażenie, że dostrzega to w jej niezwykle skupionej twarzy. Wzniesli do siebie kieliszki i jej rysy złagodniały. Lekko wskazała głową na lewo i Hjelm nie był w stanie powstrzymać śmiechu, gdy ujrzał komendanta głównego maltańskiej policji Huberta Carabotta, z zamkniętymi oczami i coraz mocniej odchylnym kieliszkiem. Gdy Hjelm się odwrócił i zamienił parę słów ze słowacką prokurator generalną, Kerstin skorzystała z okazji, by unieść się nad stołem, i kątem oka dostrzegł, że Marianne Barrière również pochyła się w jej stronę. Zamieniły kilka słów, których nie miał szansy dosłyszeć. I tak było dobrze.

Podano główne danie i kolacja toczyła się dalej w coraz głośniejszym gwarze. Z zamkowego dziedzińca na dole wciąż od czasu do czasu dobiegał jakiś przenikliwy średniowieczny ton i w miarę jak mijał letni wieczór, bielone kamienne ściany Muiderslot wydawały się coraz wilgotniejsze. Coraz wilgotniejsze od obecności ludzi.

Kerstin Holm ostatecznie opuściła swojego towarzysza przy stole i brała udział w dyskusji z równym zapalem co jej partner. Gdy ostatni łyk czerwonego wina połączył się z bez wątpienia wspaniałym daniem głównym – wyraźnie średniowieczna tematyka, trudne do rozpoznania, ale nienagannie kruche sztuki mięsa opiekane nad ogniem – Kerstin Holm pochyliła się do przodu, wskazała na Wapenzaal

i powiedziała:

– Jedna rzecz mnie uderzyła, gdy pracowaliśmy nad pewną dużą sprawą w zeszłym roku. Że cywilizacja walczy cały czas właśnie ze średniowieczem. Istnieją w społeczeństwie całe społeczności z wartościami z ciemnych wieków. To są światy, do których nigdy nie dotarły renesans ani oświecenie.

– To prawda – zgodziła się Marianne Barrière, której udało się nie napluć do kieliszka. – Bo równocześnie w tym świecie jest też coś niezwykle atrakcyjnego. Podstawowego. Pierwotnego. Elementarnego. Pozostaje tylko pytanie, jak mamy powrócić do korzeni i nie utknąć przy tym w barbarzyństwie? Świat gangsterów, gangów i fanatyków ma przecież w sobie coś z tego. Wszystko jest ważne. Posiada się absolutną prawdę. Wszystko jest kwestią życia i śmierci. Nie ma ironii, sarkazmu, humoru. To bardzo pierwotny świat. Ale metody są groteskowe. Masz całkowitą rację, to świat przed jakimkolwiek oświeceniem. Jeśli istnieje w nim humor, to zawsze jest brutalny. Średniowieczny humor prześladowcy.

– A nie jest mniej więcej tak? – odezwał się Paul Hjelm. – Hiperindywidualizm neoliberalizmu stworzył silną potrzebę wspólnoty, zwłaszcza że jego zwycięstwo opierało się na tym, że wszelkie ruchy społeczne, czyli głównego wroga, należało zniszczyć, a najlepiej pożreć od środka. Udało się pozbyć wszelkich socjaldemokratycznych wspólnot, zwyciężyła absolutna samotność chciwości i tym samym pozostawiono wolne pole dla fałszywych wspólnot, takich jak świat rasizmu, fanatyzmu czy gangsterów.

– To prawda – przyznała Barrière – ale posunęłabym się o krok dalej. Również neoliberalowie zaczęli szukać wspólnot i prócz organizacji dobroczynnych i stowarzyszeń dla podobnie myślących ludzi z wyższych sfer zauważono rosnącą potrzebę wspólnoty wśród uprawnionych do głosowania. Ale oczywiście nie może być mowy o społeczeństwie, ono zostało rozsadzone na tysiące kawałków i jego rany nieprędko się zagoją. W takim wypadku to muszą być najprostsze dostępne wspólnoty. Kibolska logika. My przeciwko nim. Wy tam, my tu. Istnieje ścisła historyczna logika we flircie europejskich partii prawicowych z prawicowym ekstremizmem.

– Ach! – zawołała Kerstin Holm. – Tak mi się wydawało, że poznaję pani nazwisko. Opozycja wobec Sarkozy'ego.

– Zareagowałam instynktownie. Czegoś takiego nie robi się bezkarnie.

– Przepraszam – wtrącił się Paul Hjem. – Teraz już zupełnie nie nadążam.

Kerstin odparła, żywo gestykulując:

– To przecież właśnie Marianne ostro sprzeciwiła się Sarkozy'emu w sprawie deportacji Romów z Francji ubiegłej jesieni.

– Siedziałam pewnie trochę za wysoko, żeby mnie uciszyć – odparła Barrière. – Rozkręciliśmy porządną debatę i doprowadziliśmy do tego, by wszystkie państwa członkowskie Unii Europejskiej stworzyły plany działań mające na celu integrację Romów. *Wiem*, że gdy fałszywe wspólnoty faszystów przyjmą się na dobre, to Romowie ucierpią na tym jako pierwsi. Oni i Żydzi. Antysemityzm i antycyganizm idą ramię w ramię. Sarkozy zadbał o to, by w zeszłym roku wydano z Francji ponad

dziesięć tysięcy Romów. To wchodziło w skład jego „wojny z przestępczością” i powiedział jednoznacznie, że romska mniejszość stanowi we Francji zagrożenie dla bezpieczeństwa. W ten sposób chciał przyciągnąć wyborców Le Pen. A na Węgrzech już się przygotowuje obozy koncentracyjne dla Romów...

– Czytałam niedawno, że dziewięciu na dziesięciu Romów w Europie żyje w ubóstwie – powiedziała Holm.

– W Europie jest więcej Romów niż Szwedów – odparła Marianne Barrière. – W krajach, gdzie jest ich najwięcej, we Francji, Włoszech, Bułgarii, Grecji i oczywiście w Rumunii, więcej niż co dziesiąte romskie dziecko podaje, że nie chodzi ani nie chodziło nawet do szkoły podstawowej. Skoro już o średniowieczu mowa.

– Być może całkowicie się mylę – wtrącił Hjelm – ale zauważyłaś może średniowiecznych muzykantów na zamkowym dziedzińcu?

Marianne Barrière uśmiechnęła się i przyjrzała Paulowi Hjelmowi.

– Zauważyłam ich. Tak – odparła. – I masz rację. To Romowie. Choć w średniowieczu wciąż znajdowali się w drodze z Indii do Europy. Przybyli przez Egipt, stąd określenie *gypsies*.

– Doskonali muzycy – stwierdził Hjelm. – Ale nie do końca podoba mi się to, że Europol wynajął ich na swój bankiet. Wiem, że to się często wiąże z...

– Z czym?

– Z handlem niewolnikami – odparł krótko Hjelm. – Żebracy albo muzycy. Właśnie próbujemy rozbić szajkę, która tym się zajmuje. Trudno uwierzyć, że istnieje taki świat. Średniowieczny świat handlu ludźmi.

– Nie sądzę, żeby Europol stał za rekrutacją muzyków na ten bankiet – odparła Barrière. – I oczywiście istnieje mnóstwo niezależnych romskich muzyków. Ale jeśli uda wam się schwytać tę szajkę, pierwsza złożę wam gratulacje. Wszystko to znak naszych czasów. W metrze łatwo nam przychodzi omijanie żebraków, bo możemy uspokoić sumienie, wmawiając sobie, że i tak kieruje nimi jakaś szajka, mafia. Lada moment pewnie ich zobaczymy w jakiejś luksusowej restauracji, z komórkami i kartami kredytowymi. Ale to są usprawiedliwienia. Próbuje zatuszować, że staliśmy się niewrażliwi na cierpienie innych.

– Kilka dni temu widziałam staruszka – powiedziała Kerstin Holm. – Co najmniej koło siedemdziesiątki, z długą, siwą brodą. Zawzięcie chodził po jezdni na najruchliwszym skrzyżowaniu w całej Szwecji, skrzyżowaniu Kungsgatan i Sveavägen w Sztokholmie. Pukał do okien samochodów, które czekały na czerwonym świetle. Przyszło mi do głowy, że ktoś mu powiedział, że to jedyne miejsce, gdzie Szwedzi wciąż mają drobne. W samochodzie. Na opłaty parkingowe.

– Szajka musiała mu to powiedzieć – stwierdziła Marianne Barrière, kiwając głową. – Szajka kierująca się średniowiecznymi wartościami. Handlarze niewolników. A my to kupujemy. Tak wygląda ekonomia, wszystko jest na sprzedaż, czemu nie Romowie, czemu nie ludzie. Ale jestem przekonana, że

posiadamy wrodzone poczucie sprawiedliwości. Natychmiast wyczuwamy, jeśli robimy coś, co jest moralnie złe. Istnieje jakiś wewnętrzny moralny kompas, w przeciwnym razie rodzaj ludzki za nic do dziś by nie dotrwał. I ten kompas wciąż istnieje, może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Instynktownie czujemy, kiedy popełniamy błędy. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat w społeczeństwie wydarzyło się coś innego. Coraz więcej ludzi nauczyło się żyć z tym poczuciem; coraz więcej ludzi wie, że działają niezgodnie z własnymi instynktami. Żeby poradzić sobie z coraz dziwniejszym sektorem prywatnym, jak oprocentowanie kredytów hipotecznych, wybór dostawcy prądu czy sposób gromadzenia oszczędności emerytalnych, redukujemy po prostu do zera nasze sumienie. Próbujemy w ten sposób znieść świadomość, że przyczyniamy się do niesprawiedliwości na świecie. Ale coś takiego nie dzieje się bezkarnie. Żyjemy wprawdzie w czasach, które produkują coraz więcej psychopatów, bo mimo wszystko to bezwzględność jest w tej chwili nagradzana przez społeczeństwo, ale większość ludzi wcale taka nie jest. I prędzej czy później dotkliwie poczują wyrzuty sumienia, jestem o tym przekonana.

– Wygląda na to, że szykujesz imponujące przemówienie – stwierdził Hjelm.

– Kiedyś musisz dać odpocząć swojemu umysłowi detektywa, Paulu Hjelmie – roześmiała się Marianne Barrière.

– Dałem mu odpocząć. Ale *teraz* go obudziłaś.

– Nikt już nie rozumie, o co chodzi w polityce, bo nie istnieje społeczeństwo. Znikło poczucie autentycznej, włączającej wspólnoty. Wyraźny brak czegokolwiek wspólnego doprowadził do powstania fałszywych, wykluczających wspólnot. A korupcja polityków w całej Europie nie zna granic, nawet w Unii Europejskiej. Lobbyści i wielkie korporacje kupują sobie polityków. Zaczyna to wyglądać tak jak w Stanach Zjednoczonych. Ktoś musi się postawić i zażądać politycznej *przyzwoitości*. Ale przepraszam, że tyle gadam, to wino przeze mnie przemawia.

– W takim razie wino może spokojnie wygłosić to przemówienie – odparła Kerstin Holm. – Ale jak w dzisiejszych czasach sprawić, żeby ludzie posłuchali? Żeby cokolwiek usłyszeli przez zagłuszający wszystko szum medialny?

Ku ich wielkiemu zdziwieniu podano kolejne danie główne, tym razem okonie z IJsselmeer smażone na głębokim tłuszczu i zastygłe w różnych potwornych pozycjach. Oraz – oczywiście – więcej wina.

Kosztując nowego białego wina, leciutko już wstawiona komisarz UE dodała:

– Możliwe, że znalazłam sposób, by do nich dotrzeć.

Przez chwilę milczeli, gdy okonie z jeziora nakładano na talerze w różnych bardzo średniowiecznych pozycjach.

– I przestań wyglądać jak zamyślony detektyw – dodała z uśmiechem Marianne Barrière.

– Przecież chcesz, żebym się zamyślał jak detektyw – odparł Hjelm.

– Od czasu do czasu komisarze wygłaszają tak zwane przemówienie przed letnią przerwą. W połowie lipca.

Paul Hjelm nie mógł się dłużej powstrzymać.



– I w tym roku jest twoja kolej. Bo szykujesz *naprawdę ekscytujący projekt aktu prawnego*. Który jest związany ze *środowiskiem*, bo jesteś komisarzem UE do spraw środowiska. I odbije się tak głośnym echem, że twoje przemówienie o *przyzwoitości* w polityce i o naszym *wrodzonym* poczuciu sprawiedliwości *naprawdę* zostanie usłyszane. Choć raz *naprawdę* zostanie usłyszane.

– Najwyraźniej powiedziała zbyt wiele.

– Myślę, że ja i Kerstin możemy ci obiecać absolutną dyskrecję, jeśli sobie tego życzysz.

– Niemal się tego domyślałam. Zanim przyjdzie właściwy moment, kilka rzeczy będzie musiało się zgrać, ale kiedy już się tak stanie, to nie będzie tylko projekt aktu prawnego.

– Tylko co?

– Tylko *zakotwiczony* projekt aktu prawnego. Gotowy do przepchnięcia.

– I nie chcesz nam powiedzieć nic o tym, czego to dotyczy?

Marianne Barrière pochyliła się w jego stronę i szepnęła:

– Jeśli w pracy natkniesz się kiedyś na określenie „plan G”, odezwij się do mnie.

– I co to ma niby być? – spytał Paul Hjelm.

– Teraz delektuj się okoniem – odparła Marianne Barrière, zabierając się do swojej ryby.

Okoń faktycznie okazał się wyjątkowo pyszny. Skonsumowali go przy znacznie swobodniejszej, spokojniejszej rozmowie. W pewnej chwili – gdy ryby, w już mniej wymyślnych pozycjach, uprzątnięto ze stołu i podano deser na bazie jakichś jagód, których Paul Hjelm z niczym nie potrafił skojarzyć – Barrière zawołała:

– Wy dwoje jesteście *naprawdę* cudowną parą!

Paul i Kerstin popatrzyli po sobie i przez krótką chwilę poczuli, że *naprawdę* tak jest.

Że są cudowną parą.

Po deserze i kawie Marianne Barrière nagle wstała i oświadczyła:

– Teraz chcę wam coś pokazać.

Wokół nich goście wciąż siedzieli na swoich miejscach. Kerstin Holm pożegnała się z komendantem głównym maltańskiej policji Hubertem Carabottem. Było wyraźnie widać, że zastanawiał się, kim była.

– To tylko kilka pomieszczeń dalej – wyjaśniła Barrière i wyprowadziła Hjelma i Holm na korytarze, gdzie od kelnerów roило się jak od much wokół ścierwa.

W końcu dotarli do pokoju, który położony był trochę bardziej na uboczu. Były tu białe, ozdobione portretami ściany oraz główny element wystroju, stare biurko.

– Po średniowieczu i rozkwicie sztuki w okresie renesansu Holandia wkroczyła w złoty wiek – powiedziała Marianne Barrière. – Na początku siedemnastego wieku w Muiderslot zamieszkał Pieter Corneliszoon Hooft, najważniejszy holenderski poeta tej epoki, holenderski Szekspir. Był humanistą i agnostykiem i nie chciał zajmować żadnego stanowiska w sprawie nieustannych walk między katolikami i protestantami. Mieszkał tutaj przez czterdzieści lat i zmienił Muiderslot ze średniowiecznej fortecy w twierdzę humanizmu. Nikt nie mógłby zarzucić P.C. Hooftowi, że był demokratą, bo w tamtych czasach

klasy społeczne były od siebie tak różne jak odrębne gatunki, ale ściągnął tu szerokie grono najważniejszych artystów i intelektualistów tamtych czasów. Nazwano ich *Muiderkring*, „krąg z Muider”. To oni stworzyli podwaliny nowoczesnej Holandii.

Hjelm i Holm się rozejrzeli. Pomieszczenie wydawało się anonimowe. A mimo to ze ścian biła jakaś kreatywność. Dokonały się tu ważne rzeczy, co do tego nie było wątpliwości.

Komisarz UE wyszła z pomieszczenia. W drodze powrotnej na korytarzu powiedziała:

– W ten sam sposób możemy wydobyć twierdzę Europa z trwającego obecnie średniowiecza. To możliwe. – Zamiast wrócić do Wapenzaal, skrzyła w dół, na schody. Przystanęła trochę niżej i utkwiała w parze spojrzenia swoich zielonych oczu. – Gdzie mieszkanie? – spytała.

– Hotel Ambassade – odparła Kerstin Holm.

– Przy Herengracht – dodał Paul Hjelm.

– Świetnie, to po drodze do mojego hotelu – oświadczyła Marianne Barrière. – Oczywiście jeśli nie wolicie zostać i dalej się bawić w towarzystwie komendanta głównego maltańskiej policji Huberta Carabotta.

– Do diabła, jak ci się udało zapamiętać jego nazwisko? – spytała Holm, pokonując pierwsze stopnie.

– Lubię być zorientowana – odparła po prostu Barrière.

Gdy wyszli na wewnętrzny dziedziniec zamku, było zupełnie ciemno, na czarnym niebie pulsowały gwiazdy. Poczuli w nozdrzach świeżość letniej, północnoeuropejskiej nocy i właśnie miała ich otoczyć nierozdzielnie z nią związana cisza, gdy od ciemnych krzewów oderwało się kilka cieni. Gadzi mózg Paula Hjelma przejął kontrolę. Wciąż stał w pozycji obronnej, gdy do jego narządu słuchu dotarły dźwięki fletów jednoręcznych i rogów naturalnych. Kiedy ryknęły dudy, nie potrafił powstrzymać głośnego śmiechu. Średniowieczni muzykanci biegali wokół nich jak skołowane kury i Marianne Barrière wyjęła z torebki pięćdziesiąt euro w banknocie. Podała go mężczyźnie z bębniem i rzuciła przez ramię:

– Istnieje ryzyko, że to jedyna zapłata, jaką dostaną.

Hjelm przystanął i się zastanowił. Potem wyjął portfel i podał mężczyźnie taki sam banknot. Bębniarz zgubił rytm ze szczęścia. Albo z tłumionej złości.

Kierowca limuzyny Barrière spał za kierownicą. Głowa opadła mu na piersi i wyglądało to tak, jakby z nudów wpuścił do samochodu spaliny i w ciszy odszedł z tego świata. W ciszy się natomiast nie obudził; natychmiast wyrzucił z siebie gorączkowy potok usprawiedliwień, który Marianne Barrière zbyła tylko machnięciem ręki, siadając na obszernym tylnym siedzeniu. Gestem zaprosiła Hjelma i Holm.

– Proponuję zajrzeć gdzieś na jakiegoś drinka, zanim wrócicie do swojego heteronormatywnego dwuosobowego gniazdka.

Paul i Kerstin szybko wymienili spojrzenia i Kerstin odparła:

– Bardzo chętnie. Co proponujesz?

– Powinniśmy raczej unikać coffee shopów – odparła Marianne Barrière. – Jutro rano mam spotkanie w Brukseli z lobbystami z sektora jądrowego, a wasza wspiana konferencja dla gliniarzy też się pewnie

wcześnie zaczyna.

– European Police Chiefs Convention – powiedział dziwnym tonem Hjelm.

– W głębi ducha wcale nie jesteś takim nabzdyczonym kmiotkiem, Paul – roześmiała się Marianne Barrière.

– O tak – zgodziła się Kerstin Holm. – Zapewniam cię.

W chwili gdy limuzyna dotarła do wiaduktu prowadzącego na stały ląd, napadli na nią średniowieczni biczownicy, chłoszcząc biczami samochód i samych siebie. Szofer sklął ich wściekle po niderlandzku, ale Barrière opuściła szybę i dała im kolejny gruby banknot. Paul Hjelm tym razem się powstrzymał, mimo jej wyzywającego spojrzenia.

Kerstin Holm położyła rękę na sercu.

– To naprawdę ma być rozrywka? – spytała.

– Bez względu na to, na czym polega ich zadanie, traktują je bardzo poważnie – stwierdził Paul Hjelm.

– Dobroczynność polega na tym, że bogaci dają, ile chcą, temu, komu chcą – powiedziała Marianne Barrière. – To zmienia każdego potrzebującego w żebraka. „Wybierz mnie, ja najbardziej cierpię”. Sprawiedliwość to coś zupełnie innego.

Gdy limuzyna wjechała na autostradę, ciągnęła:

– Gdy ostatnim razem byłam w Amsterdamie, odwiedziłam wyjątkowo miłą knajpę przy Prinsengracht. Ogromny betonowy bar i wielka sala. Północnoafrykańskie motywy. Naprawdę świetne drinki.

– Bo Cinq – pokiwał głową Paul i dostrzegł zdumione spojrzenie Kerstin.

– Właśnie ten – ucieszyła się Marianne Barrière. – Przecież mówiłam, że nie jesteś nabzdyczonym kmiotkiem.

W przestronnym pudle rezonansowym limuzyny rozległ się krótki sygnał komórki. SMS albo MMS. Cała trójka zaczęła grzebać w kieszeniach i torebkach. Ale to Marianne Barrière kliknęła coś w telefonie. Odchyliła lekko na bok telefon i Paul ledwie zdążył zarejestrować, że to zdjęcie, nic poza tym.

– Bo Cinq? – spytała Kerstin, unosząc brew.

– Byłem tam z Arto i z Jorgem, kiedy Jorge ostatni raz tu był.

– Tylko wy, trzech facetów, i nikt poza tym?

– Może był ktoś jeszcze...

Marianne Barrière wsunęła telefon do małej torebki i powiedziała:

– Obawiam się, że będziemy musieli odłożyć na później tego drinka.

Paul i Kerstin oboje dostrzegli nową zmarszczkę na jej czole. Zmieniło się jej spojrzenie. Nastrój w limuzynie drastycznie się zmienił.

– Nie ma problemu – zapewniła dziarsko Kerstin. – I tak jestem zmęczona.

– Wszystko w porządku? – spytał Paul.

Marianne Barrière pokręciła tylko głową i milczała aż do chwili, gdy limuzyna zajechała nad

Herengracht i zatrzymała się kilkanaście metrów od hotelu Ambassade. Gdy Kerstin i Paul wysiadali, pochyliła się w ich stronę i powiedziała:

- Przykro mi. Bardzo miło mi było was poznać.
- Dziękujemy. Nawzajem – odparła Kerstin. – Było mi bardzo miło.
- Mnie też – dodał Paul. – Powodzenia we wszystkim, Marianne.

Komisarz EU kiwnęła głową i dała znak szoferowi, ten zaś gwałtownie ruszył.

Paul i Kerstin popatrzyli po sobie.

- Ten MMS to najwyraźniej nie było nic dobrego – stwierdził Paul.

– Ale będziemy mieli więcej czasu dla siebie – odparła Kerstin. – W naszym małym, heteronormatywnym dwuosobowym gniazdku.

Paul spojrział na czarne, lśniące wody kanału Herengracht i odwrócił się do Kerstin. Roześmiali się i objęli.

- Masz całkowitą rację – zgodził się Paul.

A potem powolutku powędrowali w stronę hotelu.

Haga – Amsterdam, 30 czerwca

### *Godzina 13.22*

EUROPEAN POLICE Chiefs Convention wcale nie była taka nie do zniesienia, jak obawiał się tego Paul Hjelm. Poprzedniego dnia setki uczestników podzielono na dwie grupy, by przedyskutować dwa główne tematy kongresu: „Working Group on the Future of Organised Crime” oraz „Working Group on the Future of Terrorism”. Dyskusje niemal bez wyjątku okazały się bardzo interesujące.

Paul i Kerstin trafili do różnych grup i przez cały wczorajszy dzień prawie się nie widzieli. Dopiero pod wieczór spotkali się w jego tak zwanej kawalerce (którą wbrew jej podejrzeniom starannie posprzątał, ponieważ konsekwentnie odmawiał zatrudnienia pomocy domowej). Teraz siedzieli daleko od siebie podczas panelu dyskusyjnego na temat przyszłości przestępczości zorganizowanej, który odbywał się w wielkiej sali konferencyjnej w nowo zbudowanej widnej siedzibie Europolu.

Coś zaczęło wibrować w jego wewnętrznej kieszeni. Na wyświetlaczu zobaczył nowy SMS od Angelosa Sifakisa, siedzącego w nowiuieńkim lokalu grupy Opcop dwa piętra wyżej. Paul otworzył wiadomość. Brzmiała:

„Zielone światło?”.

Paul Hjelm zerknął w stronę panelu, gdzie prowadziło dyskusję kilku dygnitarzy. Nagle nie słyszał ani słowa z tego, co mówili. Zupełnie jakby zniknął dźwięk.

Odpisał:

„Zielone światło”.

### *Godzina 13.14*

Angelos Sifakis czekał. Siedział przy swoim biurku w otwartym pomieszczeniu biurowym w nowym lokalu grupy Opcop i w innej sytuacji pozwoliliby sobie na zdumienie tym, jak do złudzenia przypominał ich starą siedzibę. Na tę chwilę brakowało większej sali konferencyjnej w stylu Katedry, ale otwarte pomieszczenie biurowe było niemal identyczne, może odrobinę świeższe, a gabinet szefa został specjalnie zaprojektowany dla Paula Hjelma i miał okna wychodzące z jednej strony na Hagę, a z drugiej strony na grupę. Wszystko było tylko trochę bardziej dwudziestopierwszowieczne, cokolwiek to oznaczało.

Ale Sifakis nie myślał o żadnej z tych rzeczy. Ani o tym, że otaczała go grupa złożona z Marka Kowalewskiego, Corine Bouhaddi i Donatelli Bruno, którzy bez wyjątku wpatrywali się w niego z napięciem. Jego uwaga była skupiona na dwóch monitorach i telefonie komórkowym, który leżał i milczał. Irydująco milczał.

Na monitorach wyświetlały się dwa różne widoki z mieszkania po drugiej stronie Lauriergracht

w Amsterdamie, ponad sześćdziesiąt kilometrów na północ. Panowała całkowita cisza. Na sofie wylegiwało się dwóch ochroniarzy, przy biurku siedział nieco drobniejszy mężczyzna i czytał jakiś list. Nikt nawet nie drgnął. Wyglądało to jak zatrzymany kadr.

Czas mijał.

Wreszcie zadzwoniła komórka. Sifakis odebrał.

– Hershey i Balodis na miejscu – usłyszał głos Miriam Hershey.

– Dobra – odparł Sifakis. – Czekaście na mój sygnał.

W chwili gdy się rozłączył, siedzący przy biurku przywódca szajki zsunął okulary i odłożył je na blat. Było widać, że mówi coś do ochroniarzy na sofie. Sifakis znów zapatrzył się w komórkę, jakby próbował ją zahipnotyzować.

Zadzwon.

Minęło dwadzieścia sekund, potem zadzwoniła. To był Felipe Navarro.

– Wygląda na to, że się zbierają.

– „Wygląda na to” mi nie wystarczy – odparł Sifakis.

– Na razie się nie ruszyli – odparł Navarro. – Ale tłumaczenie symultaniczne Adriana brzmi: „No nie, moi panowie, teraz holenderska pogoda zrobiła się zdecydowanie za ładna na takie rzeczy”.

– Jutta i Arto gotowi?

– Twierdzą, że tak.

– Na mój znak, ani sekundy wcześniej. Zrozumiano?

– Przyjąłem, szefie – powiedział Felipe Navarro i Sifakisowi nie udało się wychwycić ani cienia ironii w jego głosie.

W mieszkaniu upłynęła nieznośna minuta, a potem w końcu mężczyzna wstał od biurka. Ziewnął, przeciągnął się. Wyciągnął ręce wysoko pod sufit, tak że jego prawa dłoń na jednym z monitorów Sifakisa urosła do gigantycznych rozmiarów. Na drugim monitorze dwóch wysokich panów wstało i poprawiło zbyt szerokie marynarki.

– Yes! – zawołał Kowalewski. – Naprawdę wychodzą wszyscy trzej?

– Na to wygląda – stwierdziła Bruno. – Ale to znaczy, że mamy trzech do śledzenia.

– A Laima i Miriam to tylko dwie – zauważyła Bouhaddi.

– Prawdopodobieństwo, żeby się rozdzielili i poszli w trzy różne strony, jest niewielkie – stwierdził Sifakis, sięgając po komórkę. – Te karczycha to ochroniarze, nie ma mowy, żeby obaj opuścili tego, którego mają chronić.

Wybrał na komórce numer przez szybkie wybieranie. Odebrała Hershey.

– Już?

– Za jakąś minutę. Wszyscy trzej. Nie zgubcie ich. Mikrofony kierunkowe zabezpieczone?

– Powiedziałabym raczej, że odbezpieczone – powiedziała Miriam Hershey i rozłączyła się.

Na monitorach jeden z ochroniarzy wyjrzał przez wizjer w drzwiach wejściowych i otworzył je. Drugi

stał na klatce schodowej i zerknął w górę i w dół. Kiwnął głową, a wtedy drobniejszy mężczyzna wyszedł na schody. Z jednym ochroniarzem z przodu, a drugim za plecami zniknął na schodach.

Po kilku sekundach zadzwoniła komórka.

– Potwierdzam przez teleskop – odezwał się Felipe Navarro. – Wszyscy trzej wyszli na Lauriergracht. Skręcają w stronę Café Tulp.

– Dzięki – rzucił Sifakis. Rozłączył się, wybrał numer Paula Hjelma i wysłał mu krótki SMS: „Zielone światło?”.

### *Godzina 12.24*

W pierwszych dniach obserwacji cała szajka dwukrotnie opuściła mieszkanie. Wtedy nie było czasu ani możliwości na nic innego prócz instalacji sprzętu do monitoringu. Ale minęło już sporo czasu, odkąd ostatnio wychodzili. Jedzenie i picie zamawiali do domu i jeśli ktoś wychodził, to tylko jeden z ochroniarzy. Czasem wracał z kopertą bąbelkową, a najczęściej z zakupami spożywczymi, zwykle gotowymi daniami. Do tej pory grupa Opcop nie miała jeszcze okazji ich śledzić.

Felipe Navarro był przekonany, że przyszła najwyższa pora, by szajka znów wyszła z mieszkania. Miał na tę okazję gotowy tajny plan. Siedział przy panelu kontrolnym w mieszkaniu obserwacyjnym po drugiej stronie kanału Lauriergracht i omiół wzrokiem stałych lokatorów. Adrian Marinescu leżał na łóżku polowym, które zaczęło już przyjmować jego muskularne kontury, i nagle przetłumaczył symultanicznie:

– „Obaj kompletnie zgnuśniejecie, pieprzone lenie. Najwyższa pora wyjść i pooddychać trochę świeżym powietrzem”.

Felipe Navarro zareagował natychmiast. Możliwe, że był trochę za bardzo napalony po dwumiesięcznej nieobecności, podczas której miał się przystosować do swojej nowej sytuacji życiowej, ale według niego właśnie nadarzała się wspiana okazja. A mianowicie miał pewien pomysł. Był właściwie bardzo prosty: najzwyczajniej w świecie kamery były źle ustawione. Teraz, gdy wyraźnie się wykrystalizowała standardowa sytuacja, można było obie kamery skierować dokładnie na kartkę papieru, którą szef szajki czytał zwykle przy biurku, zawsze w tym samym miejscu. Można by dodać zdalne sterowanie do kamer i uzyskać perspektywę z kolejnej kamery. Gdyby były odpowiednio skierowane, grupa Opcop mogłaby czytać każdą wiadomość, zanim ta zostanie spalona lub zniszczona w inny sposób. Zmieniłoby się ukierunkowanie całej operacji.

Kiedy Felipe Navarro wrócił po nieobecności, którą wolał nazywać urlopem tacierzyńskim – bo to jakże skandynawskie określenie przywoływało pewne poczucie normalności – zdał sobie sprawę, jak niewłaściwie Sifakis kazał skierować kamery. Pora na chwilę triumfu, pomyślał i sięgnął po komórkę.

– Sifakis – usłyszał.

– Ty, Felipe. Wychodzą, wszyscy trzej. To nasza szansa, żeby przekierować kamery na szyfry. Dodać zdalne sterowanie w już zamontowanej kamerze, tak jak to omawialiśmy, i zamontować jeszcze jedną zdalnie sterowaną.

- Poczekaj chwilę – powiedział Sifakis. – Strasznie się do tego rwiesz.
- Jak najbardziej – przyznał Navarro. – Trzeba to zrobić szybko. Mam plan.
- A mianowicie...?
- Arto i Jutta tam wejdą, przekierują jedną kamerę, dodadzą zdalne sterowanie i zainstalują nową.
- Hmm – mruknął Sifakis.
- No dalej, Angelos – przynaglił Navarro. – To nasza szansa, żeby przełamać impas.
- Jutta i Arto poradzą sobie z techniką? – spytał Sifakis.
- Rany! To przecież Jutta. Arto pomoże jej nosić.
- Ale natychmiast wysyłam Miriam i Laimę.
- Po co?! – wybuchnął Navarro.
- Żeby ich śledziły – odparł Sifakis. – Podaj jakiś sensowny punkt.
- Jakieś pięćdziesiąt metrów po lewej, patrząc od nas, przy Lauriergracht jest kawiarenka. Café Tulp.
- Wysyłam je tam. Jak je znam, będą tam za pół godziny. I uzyskam zgodę na akcję u Hjelma.

Navarro się rozłączył i przyglądał się swojemu nowemu koledze leżącemu na łóżku polowym. Przekrzywione na bok słuchawki zostawiły wyraźny ślad na jego łysej głowie. Teraz wyglądał, jakby spał.

Gdy Navarro powrócił ze swojego niedobrowolnego urlopu, Marinescu już po prostu należał do grupy. Navarro nie wiedział, czy kiedykolwiek uda mu się wyobrazić go sobie w innym pokoju niż ten. Chyba już zawsze będzie mu się kojarzył z Adrianem Marinescu.

Felipe Navarro kliknął coś na komputerze. Na dwóch monitorach pojawiły się plany mieszkania, na trzecim twarz Jutty Beyer. Wyglądała, jakby wpatrywała się w pustkę.

- Nudzicie się? – spytał Navarro.

Beyer się wzdrygnęła.

- Czasem mam wrażenie, że monitorujemy samych siebie – odparła, gdy już zapanowała nad twarzą.

– Teraz to się zmieni – oświadczył Navarro. – Wasi drodzy sąsiedzi w bardzo niedalekiej przyszłości opuszczą mieszkanie. To się może stać w każdej chwili. Wtedy musicie tam wejść, dostroić jedną kamerę i zamontować nową. Obie mają być skierowane na biurko, dokładnie w miejsce, gdzie przywódca naszej szajki zwykle przegląda swoje papiery. Obie mają być zdalnie sterowane, to znaczy, że musicie wymienić chip w starej kamerze i zainstalować nową z chipem zdalnego sterowania. Pora przechwycić więcej szyfrów.

– Długo nad tym dumałeś? – spytał męski głos, gdzieś obok Beyer. – Brzmi to jak od dawna opracowywany plan.

– Arto – powiedział Navarro i westchnął cicho. – Nadarzyła się okazja. Teraz z niej skorzystamy. O ile szanownemu panu to pasuje?

– Trzeba ich śledzić, żeby nagle nie wrócili – stwierdził Arto Söderstedt i wepchnął się do kadru obok Beyer.



– Boimy się o własną skórę? – spytał Navarro.

– Zawsze – odparł Söderstedt. – Jest wrażliwa.

– Naturalnie pomyśleliśmy już o tym – zapewnił Navarro, czując, że trochę się poci. – Miriam i Laima zaraz będą przy wejściu.

– Są dwie. Naszych sąsiadów jest trzech.

– Nie rozdzielą się. Teraz na ekranie pojawiają się plany. Powinno się udać w niecałą godzinę, jeśli wszystko będzie dla was jasne. Przyjrzyjcie się temu z bliska. Pierwszy plan przedstawia kamery na chwilę obecną, z dokładnymi ustawieniami, drugi pokazuje je tak, jak powinny być ustawione, równie dokładnie. Chip, który należy wymienić w istniejącej kamerze, jest wyraźnie oznaczony, jak sami się przekonacie. Dostrajanie przeprowadza się za pomocą mikrośrubokrętów, które znajdziecie u siebie. Dostaniecie też schematy kamer, im też się dokładnie przyjrzyjcie. A przede wszystkim temu, jak się je instaluje. Wchodźcie na mój znak, ani sekundy wcześniej. Zrozumiano?

– *Ja, Herr Oberst* – powiedział Söderstedt i strzelił obcasami.

Rozłączył się i odwrócił do Jutty Beyer. Miała trochę niezadowoloną minę.

– Przepraszam za „Herr Obersta”.

– To nie to – odparła Beyer. – I dobrze o tym wiesz.

– Uważasz, że cię wypchnąłem i ukradłem ci show?

– To nie żaden show. O to mi właśnie chodzi. Felipe ma rację. Wszystko się kręci wokół tych cholernych, odręcznie pisanych szyfrów, a my tu siedzimy z *top-notch high-tech* i nic nie możemy zrobić. Zwodzą nas, bo stosują prymitywne metody.

– Ale teraz możemy na to coś poradzić?

– I to się może stać w każdej chwili – podsumowała Beyer. – A teraz czytaj, żebyśmy nie musiała wszystkiego montować sama.

– Bo ty już to znasz na pamięć?

Jutta Beyer nie odpowiedziała, pogrążyła się tylko w studiowaniu schematów na monitorze. Arto Söderstedt przyjrzał się jej i ku swemu ogromnemu zadowoleniu stwierdził, że został prześcignięty. Jutta Beyer znała się lepiej niż on na większości rzeczy związanych z nowoczesną policyjną robotą; sam mógł tylko zdać się na swoją rutynę. Wprawdzie miał znaczne doświadczenie, ale mimo wszystko należało ono do przeszłości.

Szybko omiótł wzrokiem ścianę w ciasnym, jednopokojowym mieszkanku na parterze. Dokładnie nad ich głowami obaj ochroniarze – wszystkim lepiej znani jako „karczycha” – mogli w każdej chwili wstać i ruszyć za swoim szefem po schodach i dalej, wzdłuż Lauriergracht. Westchnął cicho i zabrał się do studiowania schematów.

Wciąż tak siedzieli, kiedy Miriam Hershey i Laila Balodis dotarły do Café Tulp przy kanale Lauriergracht. Po pobiciu swojego osobistego rekordu na trasie Haga – Amsterdam zauważyły wolny stolik przy oknie, skąd *prawie* można było obserwować wejście na klatkę schodową. Balodis poszła

zamówić kawę, a Hershey usiadła i użyła szybkiego wybierania na komórkę.

Gdy Balodis wróciła z dwiema parującymi filiżankami, Hershey zdążyła się już rozłączyć.

– Mamy czekać na sygnał od Sifakisa – powiedziała.

– Niesamowite – odparła Balodis, po czym usiadła i położyła na stole smartfon ze słuchawkami.

Wsunęły sobie do uszu każda po jednej słuchawce, a następnie Balodis skierowała telefon w stronę kąta niespodziewanie przestronnej kawiarni, gdzie prawie dwadzieścia metrów dalej jakaś para – on ciemnoskóry, ona blondynka – siedziała pogrążona w cichej rozmowie, z pozoru swobodnej i pełnej godności. W słuchawkach rozległ się kobiecy głos mówiący po angielsku ze skandynawskim akcentem:

– Chcę w sobie poczuć twojego wspaniałego, wielkiego kutasa.

Hershey i Balodis pospiesznie wymieniły spojrzenia oraz stosowne miny.

– To mi przypomina Marka – stwierdziła Balodis.

– Co? – zdumiała się Hershey. – Ze wszystkich facetów kręciłaś akurat z Kowalewskim?

– Oczywiście, że nie. To tylko było coś, co poczułam w pewnej szafce na kamizelki ratunkowe, na łodzi płynącej po Morzu Śródziemnym. Ale zapomnij, że to powiedziałam.

– Zapomnij? Mówisz poważnie?

Ze względu na dyskrecję Balodis obróciła komórkę odrobinę w prawo, gdzie za ladą stała kelnerka i rozmawiała przez telefon. Choć zasłoniła usta lewą dłonią, jej chichot zabrzmiał bardzo wyraźnie. Co prawda Hershey opanowała niderlandzki na bardzo miernym poziomie, ale udało jej się rozróżnić kilka słów, które zapewne oddawały sytuację: *neuken, kutje, snikkel*.

Balodis odłożyła telefon na stół, wyjęła z ucha słuchawkę i stwierdziła:

– Bardzo bystre posunięcie, żeby nadać mikrofonowi kierunkowemu kształt komórki. O ile nie pomieszają ci się telefony.

– A czym innym można by wymachiwać na mieście, nie zwracając niczyjej uwagi? – odparła Hershey.

– Ale jak widać, należy go używać z pewną ostrożnością.

– A tak à propos, no wiesz, czucia *tego* – podjęła neutralnie Balodis. – Jak ci idzie z Nicholasem?

– Czekamy na cele do śledzenia – odparła równie neutralnie Hershey. – Nie zamierzam teraz rozmawiać o czuciu *tego*.

Gdy wybuchnęły śmiechem, zadzwonił telefon Hershey.

Tymczasem Jutta Beyer podniosła wzrok znad schematów na monitorze i spojrzała w stronę Arto Söderstedta, który opierając się na składanej drabince, pakował torbę na ramię. Właśnie wrzucił do niej iPada, minikamerę z kablami, wiertarkę, miniodkurzacz, dwa zestawy mikrośrubokrętów oraz dodatkowy pistolet.

– „Od dawna opracowywany plan”? – spytała.

– Że co? – rzucił Söderstedt, nie odrywając wzroku od torby.

– Dlaczego tak powiedziałeś? – spytała Beyer. – Czyj plan?

– Navarra – odparł Söderstedt i w końcu spojrzał jej w oczy. – Odkąd wrócił, wydaje się trochę

rozkojarzony.

– Rozkojarzony?

– Diabli wiedzą, jak to wyrazić po angielsku. Może trochę za bardzo napalony. Jak piłkarz, który wchodzi na boisko i natychmiast dostaje czerwoną kartkę albo strzela samobója.

– Chcesz powiedzieć, że jest wytrącony z równowagi?

– To łagodniejszy sposób, żeby to wyrazić – odparł Söderstedt. – Ma za sobą trudne miesiące.

– Ale czy istnieje poważne ryzyko, że błędnie ocenił sytuację?

– Nie sędzę. Podsyła wszystko Angelosowi, a Angelos – Paulowi. Wypełnili ewentualne luki.

Jutta Beyer pokiwała głową, ale Söderstedt wyraźnie dostrzegł nową zmarszczkę na jej poza tym tak gładkiej twarzy.

Zadzwoiła komórka. Beyer przysunęła ją do ucha, a równocześnie Söderstedt nie bez ironii powiedział:

– „Na mój znak, ani sekundy wcześniej”.

– Zielone światło – powiedział do słuchawki Felipe Navarro i odchylił teleskop jak najdalej na lewo. Kilkanaście sekund po tym, jak trzech Rumunów minęło Café Tulp, z kawiarni wyszły dwie ubrane w dzinsy kobiety i ruszyły za nimi wzdłuż kanału. Wrócił do panelu kontrolnego i stwierdził, że jest godzina trzynasta dwadzieścia pięć. Kliknął coś na klawiaturze. Kamera na klatce schodowej uaktywniła się dokładnie w chwili, gdy Jutta Beyer wchodziła po schodach z pękiem kluczy w ręce. Arto Söderstedt szedł za nią ze składaną drabinką pod pachą i torbą przerzuconą przez ramię. Beyer szybko otworzyła drzwi, Navarro zmienił kamerę, przełączył słuchawki Marinescu z mikrofonów w mieszkaniu na mikrofony kierunkowe Hershey i Balodis i poczuł jakiś niezbyt przyjemny zapach. Zerknął przez ramię i powiedział:

– Może to odpowiednia pora, żeby wziąć prysznic, Adrian?

Adrian Marinescu zdążył już zdjąć słuchawki i teraz stał, pocierając łysą głowę.

– Niczego bardziej nie pragnę – odparł – ale czy zdążę? Mikrofony kierunkowe w każdej chwili mogą się uruchomić...

– Pewnie najpierw kawałek przejdą – odparł Navarro. – Od ponad tygodnia nie wychodzili z mieszkania, a Amsterdam w tej chwili jest naprawdę piękny. Zawołam cię, jeśli coś się będzie działo.

Marinescu z wdzięcznością pokiwał głową i podał swoje słuchawki Navarro, który wziął je ostrożnie między kciuk i palec wskazujący i szybko odłożył.

„Od ponad tygodnia nie wychodzili z mieszkania”, pomyślał Felipe Navarro i parsknął. Wielka mi rzecz. Sam nie wychodził od czterech tygodni. Naprawdę nie wychodził. Mózg mu się gotował. Mógł wybrać inaczej. Nie musiało to na niego spaść.

Ale to było wtedy. Teraz jest teraz. Nie wtedy.

Przywołał kliknięciem oba widoki z dużego pokoju w mieszkaniu przy Lauriergracht. Szybko minął przyprawiającą go o lekkie zażenowanie kamerę w toalecie, o wiele mniej żenującą w sypialni i tę, która

właściwie była nieużywana i obejmowała mniej więcej połowę kuchni. Tam było pusto. Ale w dużym salonie stosunkowo przestronnego dwupokojowego mieszkania – teraz wykorzystywanego jako centrum zorganizowanej branży żebrackiej w Europie, a możliwe, że i czegoś o wiele większego – nie było już pusto. Dla Felipego Navarro było jasne jak słońce, że treść odręcznie pisanych wiadomości, które szajka w różny sposób odbierała – głównie przez posłańców – mogła zdradzić, że tak właśnie jest. Miał nadzieję, że teraz Beyer i Söderstedt o to zadbają. Söderstedt spoglądał w dół na schemat na iPadzie i mocno trzymał drabinę, na której stała Beyer. Znajdowali się tak blisko okna, że Navarro mógł od siebie dojrzeć ich sylwetki, nie używając teleskopu. Nagle twarz Jutty Beyer bardzo się zbliżyła, tyle tylko że na jednym z monitorów. Na obrazie w bardzo szerokokątnym ujęciu Navarro zobaczył, jak Beyer, niezwykle skoncentrowana, wysuwa różowy czubek języka w kąciku ust. Jej dłonie zniknęły po obu stronach kamery, w prawej trzymała mikrośrubokręt. Kąt zaczął się powoli zmieniać, aż objął punkt na biurku, gdzie przywódca szajki zwykle czytał swoje papiery. To była ta łatwa część. Teraz przyszła pora na zainstalowanie nowej kamery. To była ta trudniejsza część.

Wtedy Felipe Navarro usłyszał jakieś szumy w odłożonych słuchawkach Marinescu. Słyszał wodę płynącą z prysznica w łazience, więc niechętnie założył słuchawki na głowę. Usłyszał jednak nie rumuński, lecz brytyjski akcent Miriam Hershey:

– Rozdzielają się.

Navarro szybko przywołał na jednym z monitorów plan Amsterdamu. Migwały na nim dwa punkty, czerwony i zielony. Hershey czerwona, Balodis zielona, i znajdowały się wciąż obok siebie, w miejscu, gdzie Reestraat przechodzi w Hartenstraat na moście nad Keizersgracht. Kiedy jednak znalazły się po drugiej stronie, czerwony punkt skręcił na lewo, wzdłuż Keizersgracht, a zielony poruszał się dalej prosto wzdłuż Hartenstraat.

– Opisz sytuację – polecił Navarro.

– Jeden z ochroniarzy skręcił i idzie wzdłuż kanału Keizersgracht – powiedziała Hershey trochę niewyraźnie przez swój kierunkowy mikrofon. – Idę za nim. Dwaj pozostali trzymają się razem i kierują w stronę centrum.

– Dobra – przyjął Navarro. – Widzę was. Ty też mnie słyszysz. Laimo?

– Tak – odparła równie niewyraźnie Balodis. – Siedzę na ogonie tym dwóm.

Navarro świadomie stłumił myśl, że Rumuni mogą się jeszcze raz rozdzielić, i zamiast tego zaczął się zastanawiać, dlaczego jeden z ochroniarzy skręcił. Dostał oddzielne zadanie? Ale w mieszkaniu nie wspomnieli o tym ani słowem. Może mimo wszystko podejrzewali, że są obserwowani? Albo raczej wchodziło to w skład ogólnej antyelektronicznej strategii, którą – *wydawało mu się* – poznawał? Jeśli tylko nie była to jakaś osobista sprawa typu „kupić właściwe papierosy w odpowiednim sklepie”, musiało chodzić o odbiór jakichś materiałów. A w takim przypadku istniała możliwość – prawdziwy bonus – że poznają punkt kontaktowy, gdzie te materiały zostawiano. I że będzie można obserwować ten punkt.

Patrzył, jak zielony i czerwony punkt oddalają się od siebie. Czerwony zbliżał się do szerokiej drogi przelotowej Raadhuisstraat, zielony zaś dalej podążał w stronę centrum wzdłuż kanału Herengracht. Navarro spojrzął na inny monitor i zobaczył Beyer i Söderstedta przysuwających drabinkę do biurka. Söderstedt wyjął z torby na ramię bezprzewodową wiertarkę i miniodkurzacz. Szarmanckim gestem podał wiertarkę Beyer, która pokręciła głową i wspięła się na drabinkę.

Zielony punkt przecinał teraz z dużą prędkością Dam, jeden z największych placów w Europie, między pomnikiem Pamięci Narodowej a zamkiem królewskim, i wydawał się zmierzać do dzielnicy De Wallen, lepiej znanej jako Red Light District.

Natomiast czerwony punkt po przejściu przez plac Westermarkt znalazł się na skwerze za kościołem Westerkerk, gdzie Homomonument wcina się trójkątem w kanał Keizersgracht, i tam zwolnił. Po drugiej stronie kościoła zwolnił jeszcze bardziej i skręcił w przecznicę odchodzącą w stronę Prinsengracht. I tam nagle się zatrzymał.

– Co się dzieje, Miriam? – spytał Navarro.

Nie uzyskał odpowiedzi.

Nie nalegał. Wiedział, że powody mogą być różne. Zachował spokój.

W końcu przyszedł SMS ze zwykłego telefonu Hershey:

„Stoję za karczychem w kolejce, na prawo od Prinsengracht. Nie mogę gadać. Kolejka dokąd?”.

Navarro musiał dwa razy przeczytać wiadomość, żeby ją zrozumieć. Powiększył obszar Amsterdamu wokół czerwonej nieruchomej kropki. Wtedy zrozumiał. Albo raczej nie rozumiał zupełnie nic. To była z całą pewnością kolejka do Domu Anny Frank.

Poinformował o tym Hershey SMS-em. Długo wpatrywała się w komórkę, stojąc kilka miejsc za ochroniarzem. Ten stał zupełnie nieruchomo w swojej za szerokiej marynarce.

Dom Anny Frank. Dawna oficyna, gdzie młoda Żydówka Anna Frank i jej liczna rodzina ukrywali się przez dwa lata w latach czterdziestych, zanim zostali zadenuncjowani i wysłani do obozów koncentracyjnych. Z ośmiu ukrywających się przeżyła tylko jedna osoba. Ojciec Anny, nie ona sama.

Ocalał jednak szczerzy pamiętnik nastoletniej Anny.

Przetrwało świadectwo.

To było niepojęte. Dlaczego karczycho stało w kolejce do Domu Anny Frank, obecnie jednego z najczęściej odwiedzanych muzeów w Amsterdamie? Hershey się wzdrygnęła. Obudziło się w niej całe żydowskie dziedzictwo. Ten handlarz niewolników bez wątplenia wybierał się do Domu Anny Frank. Było w tym coś głęboko odstręczającego. Ale wzięła się w garść, czekała, stała nieruchomo w upalnym słońcu i obficie się pociła.

Zielony punkt poruszał się natomiast szybko. Prosto w stronę klubów erotycznych w Red Light District. I faktycznie, w niektórych oknach stały mniej lub bardziej zmęczone roznegliżowane kobiety, a Laima Balodis starała się, jak mogła, zachowywać neutralnie. Szła za przywódcą szajki i karczychem numer dwa po Oudezijds Achterburgwal, między kanałem a Muzeum Haszyszu, minęła teatr erotyczny

Casa Rosso, potem pięciopoziomowe Muzeum Erotyki. A potem nagle – z powrotem po drugiej stronie mostu – pojawił się rozległy kościół Oude Kerk zbudowany w trzynastym wieku. Najstarszy budynek w Amsterdamie.

W innej sytuacji Balodis byłaby zdumiona kontrastami, ale w tej chwili chodziło wyłącznie o to, by mieć na oku obu Rumunów, którzy wydawali się dokądś spieszyć. I teraz po kościelnych schodach przedzierali się przez rzekę turystów. Balodis westchnęła ciężko. To będzie wyzwanie.

Weszła do kościoła, do którego regularnie chodził Rembrandt – był to jedyny budynek w mieście, który wyglądał tak samo jak w czasach, gdy widywał go mistrz – i na chwilę zdumiało ją drewniane sklepienie. Największe średniowieczne drewniane sklepienie w Europie, czytała gdzieś o tym. Ale nigdy go nie widziała. Nie na własne oczy.

Tyle tylko że teraz chodziło o to, by nie spuszczać z oczu rumuńskiego duetu; musiała to sobie powtarzać. Zobaczyła ich spory kawałek dalej, przy ołtarzu. Dzieliło ją od nich mnóstwo ludzi. Wydobyła komórkę z kieszeni. Tę fałszywą komórkę. Gdy tylko przywódca szajki zwrócił się do karczycha, skierowała ją w tamtą stronę. Dokładnie tam. Wychwyciła kilka sylab, z których zupełnie nic nie rozumiała. Natychmiast jednak rozległo się zdyszane tłumaczenie symultaniczne Marinescu.

– „Pięc przecinek osiem. Pospiesz się. Trzy minuty”.

Zestawienie krótkich słów, które sprawiły, że mózg Laimy Balodis zaczął pracować na najwyższych obrotach. Mimo to nic nie potrafiła z tego pojąć. Lepiej obserwować. Usiadła na kościelnej ławie w nagim, protestanckim wnętrzu Oude Kerk i zobaczyła, jak ochroniarz odchodzi i pochyła się nad jednym z nielicznych krzeseł w głębi kościoła. Obmacywał je od spodu. Jeśli się nie myliła, było to *piąte* krzesło w *ósmym* rzędzie. Ale *trzy minuty*?

Ochroniarz wrócił do szefa i podał mu kopertę bąbelkową. Ten odebrał ją i wyjął komórkę. Balodis pochyliła się do przodu, jakby pogrążona w modlitwie, wycelowwała swoim dziwnym telefonem w Rumunów i szepnęła:

– Komórka.

Felipe Navarro dziko stukał w klawiaturę.

– Komórka, do diabła! Zostawił własną w mieszkaniu, mamy ją namierzoną. Leży w szufladzie biurka.

Co to za komórka? Jakaś *inna*?

Adrian Marinescu siedział obok niego, w szlafroku i w słuchawkach na głowie. Rozłożył ręce dokładnie w chwili, gdy otworzył się link do Hagi. W kadrze pojawił się Sifakis i sylwetki Bouhaddi, Bruno oraz Kowalewskiego.

– Mamy jakąś szansę ją namierzyć? – warknął Navarro.

– Nie teraz – odparł Kowalewski. – Może później.

– Nasza najlepsza szansa to zamknąć się i nie przegapić ani słowa – stwierdził Sifakis.

Marinescu podniósł palec.

– Właśnie dzwoni – powiedział.

Tymczasem kolejka do Domu Anny Frank znacznie się przesunęła; najwyraźniej zwiedzających wpuszczano grupami. Miriam Hershey zapłaciła za bilet, nie spuszczać z oka ochroniarza; z drugiej strony łatwo go było zauważyć w tłumie w jego zbyt szerokiej marynarce i przy niemal dwóch metrach wzrostu. Minęli wystawę oraz kawiarnię od frontowej strony budynku, gdzie Otto Frank prowadził kiedyś firmę handlującą przyprawami, i w absurdalnym tłumie dotarli do bardzo wąskich schodów. Ochroniarz zaczął się po nich wspinać. Hershey przeciskała się za nim. To wszystko było bardzo dziwne.

W czasach dzieciństwa dla Miriam Hershey to był najważniejszy dom. Jakże wyraźnie pamiętała ten zapach, empatię i smutek, które czuła, gdy jako nastolatka żyła pamiętnikiem Anny Frank. *The Diary of a Young Girl*. Pamiętała, jak szczerze potrafiła pisać Anna w okresie między trzynastym a piętnastym rokiem życia, dzięki wymyśleniu sobie przyjaciółki korespondencyjnej Kitty, do której zwracała się w swoim dzienniku. Pamiętała, jak jej rodzina dochodzi do decyzji, by zacząć się ukrywać w oficynie. I jak tajne drzwi za regałem stają się jedynym przejściem do ciasnego mieszkania, którego nikt nie opuszczał przez dwa długie lata.

I oto tu był. Legendarny regał.

Odsunięto go prawie całkiem, najwyraźniej po to, by pokazać, jak to kiedyś wyglądało. Za regałem otwierało się przejście do dawnej oficyny, *Het Achterhuis*, i wysoki ochroniarz właśnie się schylił, by tamtędy przejść. Hershey przepchnęła się przez tłum i potknęła o nienormalnie wysoki próg owianego legendą aneksu. Wewnątrz panował półmrok, który wydawał się trwać od całych dziesięcioleci. Nagie żarówki oświetlały wąskie korytarze, ale nigdzie nie widziała karczycha.

Musiała się zdecydować: w górę, po stromych schodach, czy do sąsiedniego pokoju. Szybko podjęła decyzję i wspięła się po schodach do ogołoczonego i pozbawionego mebli, ale dość dużego pomieszczenia, które wyglądało jak dawna jadalnia. Chodziła po nim i rozglądała się – gorączkowo, ale wciąż udając turystkę; w ręce trzymała komórkę, która wcale nie była komórką.

Nie było go tutaj. Musiał minąć schody. Wtedy Hershey dostrzegła drabinę pnącą się stromo ku światłu i nagle przeniosła się we wspomnienia z dzieciństwa. Tam na górze był strych, strych, który zapewnił Annie Frank samotność, dzięki której przetrwała w tej ciasnej oficynie dwa ciężkie, długie lata. Widok na ogród, kościół, Drzewo Anny Frank, kasztanowiec, który stał się symbolem wolności.

Miriam Hershey stała o kilka sekund za długo. Oczywiście powinna była natychmiast się zorientować, że drabina jest owinięta grubą plastikową folią, która uniemożliwia wspięcie się na górę. Nie było wejścia na strych. Minęło dziesięć sekund. Dziesięć straconych sekund, które mogły oznaczać, że ochroniarz się ulotnił.

Pospiesznie zawróciła, najszybciej, jak mogła, zbiegła po schodach i skręciła w lewo, w głąb pierwszego piętra aneksu. Minęła sypialnię, w której tłoczyła się grupka turystów, i znalazła się w pokoju Anny.

Własny pokój Anny Frank. Taki mały. Taki surowy. Dwa metry szerokości. To tutaj to wszystko powstało, w tym samym pokoju, gdzie przebywał też dentysta, który tak ją drażnił i wydawał dziwne

dźwięki, kiedy spał. Całe to świadectwo dość normalnego dorastania młodej kobiety urodziło się w tym małym, nic niemówiącym pokoju.

Hershey straciła kolejne sekundy. Karczycha już tu nie było. Gdy podjęła błędną decyzję, by wejść na górę po schodach, on musiał zawrócić, w najgorszym wypadku po załatwieniu swojej sprawy, i wyjść przez zastawiane regałem drzwi. Hershey przeklinała swoją nieuwagę. Była profesjonalistką, do diabła, nie mogła pozwalać, by rozpraszały ją wspomnienia.

Miała właśnie opuścić pokój Anny Frank, gdy nagle go zobaczyła. Ochroniarz stał przy oknie nieco większej sypialni, która musiała należeć do państwa Franków – i nie był sam. Obok niego stał niższy, elegancko ubrany mężczyzna, który trzymał w ręce kopertę i grzebał w kieszeni spodni. Wyglądało to tak, jakby zaraz mieli zacząć rozmowę.

Stała w złym miejscu. Nie mogła ustawić się w drzwiach i skierować komórki w stronę mężczyzn, cały czas przechodzili tędy turyści, musiała znaleźć jakąś pozycję, w której nie rzucałaby się w oczy. I nie mogła niczego przegapić, choćby urywka rozmowy. Ale z drugiej strony musiała to zrobić. Tylko na chwilę.

Wsunęła się z powrotem do pokoju Anny. Wysłała szybkiego SMS-a – „ochroniarz spotkał mężczyznę zaraz rozmowa” – wsunęła jedną słuchawkę do lewego ucha, spróbowała ukryć kabelek, ułożyła mikrofon kierunkowy w prawej dłoni, kierując go do tyłu, zwykłą komórkę trzymała w lewej. Czekwała na właściwy moment.

Po jakichś siedmiu, ośmiu sekundach w drzwiach pojawiły się dwie kobiety. Podeszła do nich, celowo na nie wpadła – „przepraszam, to moja wina” – i znalazła odpowiednią pozycję, by zrobić zdjęcie okolic okna. Mężczyźni wciąż tam stali, było widać, że zaraz powinna się zacząć cicha rozmowa. Sfotografowała ich komórką z lewej ręki.

Weszła do pokoju rodziców Anny Frank. Na szczęście na ścianie było co oglądać, więc nikogo nie powinno zdziwić, że stała wpatrzona w tapetę. Ustawiała się plecami do mężczyzn i spróbowała skierować mikrofon bez odwracania się. W końcu ich usłyszała, dźwięk był słaby i niewiele potrafiła zrozumieć. Ale z takim nagraniem będą mogli coś zrobić.

Wtedy zdała sobie sprawę, co widzi na ścianie dwadzieścia centymetrów przed swoją twarzą. Notatki ołówkiem na tapecie. Kreski, miary.

Miary pokazujące, ile urosły dzieci państwa Franków.

Ponieważ nikt nie odbierał pod numerem wybranym przez przywódcę szajki, Laima Balodis mogła zagłębić się w modlitwie w starym kościele Oude Kerk. To znaczy pochylić się jeszcze bardziej do przodu i poprawić ustawienie mikrofonu. Turystów ciągle przybywało i między nią a Rumunami siedziało teraz sporo ludzi. W końcu znalazła idealny kąt i dała sobie chwilę, by spojrzeć w górę na imponujące drewniane sklepienie. Stwierdziła, że nie pozostał w niej nawet cień religijności. Po wyzwoleniu od Związku Radzieckiego katolicka Litwa, w odróżnieniu od swych protestanckich sąsiadów, Estonii i Łotwy, stała się jednym z najbardziej religijnych krajów w Europie, ale sama Laima pozegłowała



w przeciwną stronę. I została ateistką.

Przywódca szajki i drugi ochroniarz siedzieli w milczeniu, nieruchomo. Balodis słyszała ich oddechy; oddech ochroniarza był nieco cięższy. Ale żaden się nie odzywał. Dopóki szef ponownie nie podniósł komórki i nie wybrał numeru.

Felipe Navarro odwrócił głowę, gdy Adrian Marinescu wstał i jego szlafrok obscenicznie się rozchylił.

– Niech to szlag! *Dwie* rozmowy jednocześnie! – zawołał Marinescu.

– Wiem – odparł Navarro, próbując zachować spokój. – Dostałem SMS-a od Hershey, że zaraz będzie rozmowa. Wyłączam ją teraz. Przetłumaczysz ją później. Skup się.

Marinescu posłał mu ponure spojrzenie i przetłumaczył:

– „Dzwoniłem przed chwilą. Ale nikt nie odbierał?”. (pauza) „Nie, z tym nie było żadnych problemów. Zupełnie żadnych”. (pauza) „Chodziło tylko o to, że mieliśmy umówioną porę... Tak, nie, przykro mi”. (pauza) „Nowe wytyczne? Aha, rozumiem. Ale my...”. (pauza) „Nie, to nic takiego. Kiedy?”. (pauza) „Ciprian tam teraz jest, tak. A jak...?”.

Wtedy zadzwoniła komórka Navarro. Odebrał szybko.

– Tak, Miriam? – spytał.

– Karczycho i ten obcy wychodzą z Domu Anny Frank – powiedziała Hershey. – Rozchodzą się przy kanale Prinsengracht, ochroniarz idzie w prawo, oddala się od mieszkania. Dostał od tego obcego kopertę bąbelkową. Kogo mam śledzić?

– Miałyście rozkaz śledzić naszą trójkę.

– Pomyślałam tylko...

– *Ja* tu jestem od myślenia – odparł ku własnemu zdumieniu Navarro.

Hershey umilkła. Rozmowa telefoniczna w kościele trwała nadal:

– „Tak, a jak połączyć? Ach, listy. Tak, rozumiem”. (pauza) „Nie, nie. Jest bezpieczny. *Burner*”. (śmiech) „Zaraz potem wyrzucę kartę”. (pauza) „Ale czy możemy wysłać wiadomość?”. (pauza) „Że jeśli będziemy mieli wątpliwości co do...”. (pauza) „Dobra, dobra. Żadnej wiadomości. Zostawmy to”. (pauza) „Następna pora wciąż aktualna? Dobrze, dobrze”.

Mniej więcej w połowie rozmowy przez telefon Laima Balodis usłyszała, że oddech ochroniarza się zmienia. Podniosła głowę i stwierdziła, że wstał. Wykonał pytający gest, a jego szef kiwnął głową i podał mu kopertę bąbelkową. A potem karczycho zaczęło się oddalać.

– Do diabła – wyrwało się Balodis, choć udało jej się na tyle stłumić ten wybuch, że nikt w kościele nie zareagował. Szybko napisała SMS:

„Ochroniarz wychodzi z kościoła. Kogo śledzić?”.

Jeszcze zanim komórka zapiszczała, Felipe Navarro już wiedział, co będzie w SMS-ie od Balodis. Pomyślał: *worst case scenario*, i zrobił tak wymowną minę, że Marinescu spojrzał na niego pytająco, nie przerywając tłumaczenia symultanicznego.

Znów szybka decyzja. Niech to diabli. „Ja tu jestem od myślenia”. Ta ironia. Navarro odpisał: „Zostań z szefem”.

– To cholernie ważna rozmowa telefoniczna – powiedział na głos, nie zwracając się do nikogo szczególnego. – Nie możemy zostawić jej w połowie.

Laima Balodis patrzyła, jak karczycho wychodzi z Oude Kerk. Trzymała mikrofon tak prosto, jak tylko potrafiła, ale poczuła, jak zadrżał, i słowa na chwilę przycichły. Karczycho było już na zewnątrz. Niepilnowane. Do mieszkania było trochę ponad kilometr. Jeśli szybko się uwinie, może tam wrócić w dziesięć minut. Jeśli pobiegnie albo weźmie taksówkę – jeszcze szybciej.

Navarro przełączył się na niemy obraz z mieszkania. Na zbliżeniu Jutta Beyer majstrowała przy nowej kamerze. Söderstedt trzymał drabinkę i poza tym niewiele robił. Ale odebrał komórkę.

– Tak, Felipe?

– Jeden ochroniarz na swobodzie – powiedział Navarro, czując, że przyspiesza mu puls.

– Cholera – rzucił Söderstedt. – Przecież ci mówiłem. Jak daleko?

– Nie wiemy nawet, czy do was idzie.

– Musimy to tak potraktować, jakby do nas szedł. Jak daleko, do diabła?

– Maksymalnie dziesięć minut. Dacie radę?

– Dziesięć minut, Jutta? Jutta kiwa głową, ale przecież to widzisz.

I to na zbliżeniu, pomyślał ponuro Navarro. Niech to szlag!

– Rozmowa w kościele się skończyła – oświadczył Marinescu.

Navarro, trochę rozkojarzony, pokiwał głową.

– Mam się teraz zająć drugą rozmową? – spytał Marinescu.

– Drugą rozmową?

– Skup się – rzucił Marinescu. – Rozmowa w Domu Anny Frank.

– Tak, przepraszam. Jasne – odparł Navarro i po chwili klikania ją uruchomił.

Marinescu się wsłuchiwał, na chwilę jego twarz przybrała kompletnie nieobecny wyraz.

– Ale... – zaczął.

– Co? – spytał Navarro.

– To nie po rumuńsku – odparł Marinescu.

– *Nie po rumuńsku?*

– Nie – potwierdził Marinescu. – To musi być włoski.

Przez kilka sekund Navarro siedział bez ruchu. Świat wokół niego wirował.

– Niech to szlag! – zawołał i wybrał numer.

– Hershey – usłyszał.

– Nowe wytyczne – rzucił Navarro. – Idź za tym obcym. Powtarzam: zostaw ochroniarza, idź za tym obcym.

– Ale już na to za późno – odparła Hershey. – Przeszłam za ochroniarzem jakieś dwieście metrów. Ten

drugi dawno zniknął.

Navarro rzucił komórką o biurko i potarł ręką czoło.

W Oude Kerk szef wstał z krzesła i pokręcił głową. Idąc w stronę wyjścia, otworzył klapkę komórki. Laima Balodis ruszyła za nim. Wyszli na drogę nad kanałem i już po jakichś dwudziestu metrach cisnął coś niewielkiego do wody. Balodis podążyła spojrzeniem za tym przedmiotem. Gdy opadał na dno przez mętną wodę, zorientowała się, co to było. Przez pół sekundy zastanawiała się, czy po to nie skoczyć. Zamiast tego zadzwoniła:

– Potrzebujemy nurków – powiedziała.

– Potrzebujemy *czego*?! – wybuchnął Felipe Navarro.

– Znam dokładną pozycję karty SIM przywódcy szajki.

– W kanale?

– Tak, dokładnie przy czymś, co się nazywa Favorite Chicken and Ribs. Oudezijds Voorburgwal 64.

– W którą stronę idzie?

– Oddala się od mieszkania.

– Dobra. No to zrobimy tak – oświadczył Navarro. – Znamy dokładne położenie karty SIM. Wrócimy po nią. Idź za szefem.

Navarro się rozłączył i powiedział na głos:

– Zarówno szef, jak i ochroniarz z Domu Anny Frank oddalają się od mieszkania...

– Ale to nie znaczy, że ochroniarz z kościoła też się od niego oddala – stwierdził Marinescu. – Plan musi pozostać bez zmian. Zostały jeszcze trzy minuty. Oczywiście jeśli nie wskoczył do taksówki.

Felipe Navarro poczuł, że rzeczywistość wokół niego rozsypuje się na kawałki. Ale coś powstrzymało jej rozpad. Dokonał tego mały, malutki chłopczyk. Gdy tylko Felipe Navarro dowiedział się, że ten malutki chłopczyk urodził się niewidomy, nie odchodził od niego, nie opuszczał nawet na sekundę swojego nowo narodzonego syna przez dwa miesiące. Jedyne, o czym potrafił myśleć, to: *a ja prawie wybrałem coś innego zamiast ciebie.*

Siły powróciły. Przywołał obrazy z kamer w mieszkaniu, wyprostował się.

– Stań przy teleskopie, Adrian – polecił. – Gdy tylko karczycho się pokaże, chcę to usłyszeć. Głośno. I, do diabła, zakryj się porządnie tym szlafrokiem!

Potem spojrział na Juttę Beyer, która wciąż stała na drabince i dostrajała kamerę. Arto Söderstedt nie trzymał już drabinki, tylko chodził dookoła i odkurzał, równocześnie poprawiając i odstawiając na miejsce różne przedmioty. Obraz z kamery przesunął się w dół, twarz Beyer zniknęła, a pojawiło się biurko. Teraz dwie kamery były skierowane tam, a trzecia w głąb pokoju. Dzięki tej trzeciej Navarro ujrzał, jak Beyer i Söderstedt odstawiają na miejsce biurko i rozglądają się po pokoju. Beyer wsunęła miniśrubokręt do torby na ramię. Navarro zerknął na zegarek. Półtorej minuty. Odwrócił się do Marinescu, który pokręcił głową, nie odsuwając teleskopu od oka.

Söderstedt podał Jucie torbę, podszedł do drabinki i szybko ją poskładał. Beyer chodziła po pokoju

i rozglądała się wszędzie, ale przede wszystkim patrzyła w sufit.

– Nic nie widać? – spytała.

Söderstedt spojrział w górę i odparł:

– Nie, nic nie widać. Według mnie skończyliśmy.

Wziął pod pachę złożoną drabinkę i odebrał torbę od Beyer.

– Mogę ją przecież nieść – powiedziała Beyer.

– Wiem, co możesz, Jutto. Świetna robota. Teraz moja kolej, żeby trochę popracować.

Ruszył w stronę drzwi. Tam przystanął.

– Zadzwoń na wszelki wypadek – powiedział.

Beyer kiwnęła głową i zadzwoniła.

– Wychodzimy – poinformowała.

– Wszystko zabezpieczone? – upewnił się Navarro.

– Tak – potwierdziła Beyer.

I wtedy usłyszała nieartykułowany okrzyk gdzieś za Navarro.

– No dobra – odezwał się w końcu Felipe. – Natychmiast wychodźcie. Adrian wypatrzył ochroniarza przez teleskop. Pięćdziesiąt metrów, teraz już czterdzieści. Natychmiast wychodźcie!

– Wyszliśmy – odparła Jutta Beyer, czując, jak przyspiesza jej puls.

Rozłączyła się. Söderstedt otworzył drzwi, wytaszczył drabinkę i torbę na ramię. Słyszała, jak ciężkim krokiem schodził po schodach do małej kawalerki piętro niżej.

Felipe Navarro odebrał ostatnie słowa Jutty Beyer i westchnął z ulgą. „Wyszliśmy”. Odłożył komórkę i wyłączył obraz z wnętrza mieszkania na monitorze.

Jego pomysł wypalił. Było w porządku. Wszystko się jakoś ułożyło, a oni zyskali mnóstwo nowych tropów. Zastanawiał się nawet nad tym, czy już teraz nie wezwać nurków.

Jakie to było miłe uczucie. Chwila triumfu.

Kiedy dzwonił do Angelosa Sifakisa, Jutta Beyer przystanęła w drzwiach i po raz ostatni zajrzała w głąb mieszkania.

I wtedy to zobaczyła.

Gdy odstawiali na miejsce biurko, odsłoniли mniej więcej centymetr kwadratowy podłogi, pokryty białym kurzem z wiertarki. Zdawał się dosłownie świecić na tle ciemnej podłogi. Wyjrzała na klatkę i znów zerknęła do mieszkania. Rzuciła się do środka, dmuchnęła, zmiotła resztki kurzu pod biurko i zerwała się na nogi.

Wtedy zatrzasnęły się drzwi na klatce.

Jutta Beyer wyjrzała. Nie było się gdzie schować, żadnej kryjówki, żadnego zakamarka. Nie miała szans się wytłumaczyć, kiedy będzie mijać ochroniarza, który był już w połowie schodów. I za nic nie uda jej się zdążyć na piętro wyżej.

Czuła ogarniające ją mdłości, gdy najciszej, jak potrafiła, zamykała drzwi wejściowe.

Od środka.

Przebiegła przez mieszkanie, wpadła do sypialni, do toalety. I na koniec do kuchni.

Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe. Usłyszała, jak zdyszany rumuński ochroniarz wchodzi do środka.

Zostało tylko kilka sekund. Myśl, Jutta. Myśl!

Rumuni rzadko przesiadywali w kuchni. Codziennie dostarczano im jedzenie na wynos, gotowe potrawy wrzucali do mikrofal, nic poza tym. Kuchenny schowek był jedyną szansą. Gdy tworzyła drzwi, wydał jej się ciasny, ciemny i okropny. A jednak to była jedyna możliwość.

Beyer weszła tam, skuliła się. Usiadła na podłodze. Najciszej, jak mogła, zamknęła drzwi. I pochłonęła ją ciemność.

Sięgnęła po komórkę, stwierdziła, że na wyświetlaczu jest godzina czternasta trzynaście, i wyłączyła dźwięk.

Gdy Jutta Beyer przycisnęła do oczu kciuk i palec wskazujący, czując, że jej serce chce się wyrwać z piersi, nie była nawet pewna, czy naprawdę istnieje.

### *Godzina 14.13*

Panele dyskusyjne w ramach European Police Chiefs Convention w Hadze trochę się przeciągały, ale wciąż były na tyle interesujące, by Paul Hjelm nie zasnął, czekając na wiadomość od Sifakisa.

W końcu przyszła.

Treść była bardzo prosta. Brzmiała:

„Mission accomplished”.

Paul Hjelm westchnął i się uśmiechnął. A potem pomyślał:

Cholera, ale oni tam mają dobrze.

Sztokholm, 30 czerwca

W CHAOTYCZNYM i pełnym zagubienia siedemnastym wieku małe państewko, jakim jest Szwecja, ubzdurało sobie, iż jest międzynarodowym mocarstwem. Ponieważ ludności nie starczało na godną wielkiego mocarstwa armię, król Gustaw II Adolf był zmuszony zastosować skrajne środki. Takim właśnie środkiem było wprowadzenie myta w miastach. Nagle sprzedaż towarów na wsi została zakazana, a gdy wwożono je do miast – jedyne miejsce, gdzie wolno było handlować – trzeba było zapłacić myto, jedną trzydziestą drugą wartości towarów. Pieniądze z myta szły prosto na wojsko.

Sztokholm leży między jeziorem a morzem, a mianowicie między jeziorem Melar na zachodzie a Bałtykiem na wschodzie. Tam postawiono roгатki morskie. Od północy i południa można było stosunkowo łatwo dostać się do miasta lądem. Istniało ryzyko, że chłopci będą omijać roгатki, które umieszczono przy drogach. Tak więc należało zbudować wysokie płoty na północ i południe od miasta. Dzięki temu jedyna droga do miasta biegła przez roгатki. Myta obowiązywały jeszcze długo po tym, jak przygasł blask wielkiej potęgi, ale gdy wreszcie je zlikwidowano, roгатki zyskały nową rolę. Teraz stanowiły naturalną granicę między centrum a przedmieściami, między „miastem za roгатkami” a „miastem przed roгатkami”. Na północy stoją Norrtull i Roslagstull, na południu Danvikstull, Skanstull i Hornstull.

Właściwie żadna z rogatek nie cieszy się specjalnie dobrą sławą. Pozostały bardzo ruchliwymi miejscami, gdzie zmotoryzowani codziennie stoją w korkach, by wjechać do centrum lub z niego wyjechać. Wszystkie roгатki są dość obskurne, najobskurniejszą zaś z nich wszystkich jest Hornstull.

A w każdym razie długo tak było. To tutaj mieściła się ostatnia dzielnica przed roгатkami, ciesząca się złą opinią Nożowy Södermalm, siedlisko miejskich awanturników, bezdomnych i pijaków. Ale potem coś się wydarzyło. Rozrastająca się klasa średnia, a zwłaszcza rozrastająca się *średnia* klasa średnia, odkryła Hornstull, odkryła Nożowy Södermalm, bulwary Bergsunds Strand i Hornstulls Strand oraz bliskość do Reimersholme i Långholmen. Rozpoczął się proces gentryfikacji. Mieszkanie w Hornstull stało się drogie, awanturnicy, bezdomni i pijacy się wynieśli i nagle dostrzeżono, jak groteskowo szkaradna jest okolica przy zejściu do metra. Coś trzeba było z tym zrobić.

I teraz się do tego zabrano. W ciągu dwóch lat Hornstull miała się gruntownie zmienić. W miejscu obskurnych, śmierdzących moczem schodów oraz brudnych ławek, na których spali bezdomni, miał się wyłonić nowoczesny, świeży plac w całym swoim blasku. Dziewiątego maja bieżącego roku rozpoczęła się budowa nowej Hornstull.

Ponieważ akurat wtedy wyjechał – to był czas, gdy bardzo wiele się zaczęło – nigdy nie udało mu się w tym dobrze połapać. Remont trwał od niecałych dwóch miesięcy i codziennie istniało ryzyko, że na

ulicy Långholmsgatan coś się zmieni: nowe przejścia dla pieszych, nowe przeszkody, nowe przepychanie się przez tłum, nowe korki, nowi żebracy.

Nie żeby tak naprawdę się tym przejmował. Tyle tylko że potrzebował niezwykle dokładnego planu działania, jeśli wczorajszy incydent nie był jedynie wytworem jego wyobraźni. Nocnej rozmowy telefonicznej z pewnością sobie nie wyobraził – zaraz potem wyłączył komórkę – i jeśli te dwa wydarzenia się ze sobą wiązały, z łatwością przekona się o tym przy zejściu do metra.

Stał nieruchomo przy oknie w salonie, gdy ostatnie notatki spływały na jego komórkę. Zapatrzył się na Hornstulls Strand przez grubą warstwę porannego słońca. Pływający budynek łaźni Liljeholmsbadet kołysał się spokojnie na łagodnych falach zatoki. Od czasu do czasu jakiś jacht przepływał w stronę jeziora Melar lub Bałtyku. Spokój zatoki Liljeholmsviken, przywodzącej na myśl widokówkę, wydawał się drwiną.

Jak obraz z zupełnie innej epoki.

Na krótką chwilę powrócił do Ebeltoft z czasów swojego dzieciństwa. Piaszczyste wydmy, żaglówki, szeroki trawnik opadający od domku dziadka aż do morza. Szczęście na tym krótkim odcinku, wieczne wspomnienie biegu po trawie, gdy trawa zmienia się w piasek, piasek w morze...

Istniały trzy możliwości. Pierwsza: mógł się skontaktować z Brukselą – był to skrajny środek, który spaliłby wiele mostów. Druga: mógł zadzwonić po taksówkę. Trzecia: mógł unikać jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym. Ale wtedy nigdy się nie dowie. Wszystko będzie po prostu trwać dalej. Jeśli w ogóle istniało.

Doświadczał tego uczucia już tak długo, że niemal się z nim oswoił. Uczucia, że coś jest nie tak – bo to nie było nic ponad to. Do czasu, gdy zmieniło się w coś bardziej konkretnego. Ale nawet ten konkret nie był szczególnie konkretny. Jakby nie istniała absolutna granica między wyobraźnią a rzeczywistością. Jakby potrafiły przechodzić jedna w drugą, bez wyraźnych granic.

Ale to było złudzenie. Nie zgadzało się z empirią. Fakty po jednej stronie, wyobrażenia po drugiej, tak musiało być. A fakty nie wystarczały. Nie do końca.

Warto by się było upewnić.

Nie opowiadał o tym żadnemu ze współpracowników. I nikt ani słowem nie napomknął o podobnych doświadczeniach. Tkwił w tym sam. Rozmowa telefoniczna świadczyła o tym, że sobie tego nie wyobraził. Ale czy wiązała się z tym uczuciem? Czy to naprawdę *on* mignął mu wczoraj wśród chaotycznych zabudowań przy remontowanej Hornstull?

Teraz otwiera się most Liljeholmsbron. Jego spojrzenie jak zwykle tam powędrowało. Ruch po obu stronach się zatrzymał. Połowy mostu otworzyły się jak gigantyczne szczęki. *Jaws*. I gdy w końcu paszcza na dobre się rozwarła, przepłynął przez nią niezbyt imponujący jacht z o wiele za wysokim masztem. Paszcza się zamknęła. Jego spojrzenie powędrowało w stronę zatoki, za małą łódeczką z wysokim masztem.

Tak, pomyślał. Tak by właśnie było. Gdyby poszedł na policję. Tylko tyle by zobaczyli. Jedyne by się

upokorzył. Wyśmialiby go. Bo prawdziwego powodu mimo wszystko nie mógł zdradzić.

Powodu, dla którego jego mała łódeczka miała taki wysoki maszt.

Ale dość już metafor. Bardzo konkretnie: zdobyć nowy numer komórkowy, nowy telefon. Zabezpieczyć stary. Niech to szlag, że też nie było żadnej wolnej skrytki depozytowej w Swedbanku przy Hornsgatan. A więc metrem na główną stację T-Centralen. Jak się dzisiaj schodzi do metra? Pewnie zupełnie inaczej niż wczoraj. W najgorszym wypadku taksówka, żeby dojechać do Sergels torg 2. Tylko gdzie dziś, na tym etapie remontu, stały taksówki? Albo – znów – *zadzwoń i wezwaj taksówkę tutaj*. Tyle tylko że wtedy się nie dowie, czy to naprawdę *on* kręcił się w okolicy Hornstull. A *on* nie odważy się nic zrobić w zbłąkanym porannym tłumie w godzinach szczytu. Lepiej było się upewnić, niż dalej żyć w nieświadomości.

Spojrzał na swój smartfon. Właściwie był trochę zbyt nowy jak na to, że przechodził na emeryturę.

Na wczesną emeryturę.

Zdumienie, że zachował na tyle przytomności umysłu, by wtedy, w środku nocy, znaleźć odpowiedni przycisk, zupełnie jakby jego podświadomość zdążyła już opracować strategię. To, że znalazł przycisk nagrywania, oznaczało koniec dla telefonu jako telefonu.

Teraz będzie pełnił inne funkcje.

Będzie zabezpieczeniem.

*Podwójnym zabezpieczeniem.*

Z jednej strony rozmowa telefoniczna, z drugiej dokumentacja.

Całe szczęście, że wciąż miał nieoficjalny telefon w biurze. Musiał się tylko tam dostać.

Odwlekał to. Chciałby się po prostu teleportować do pracy; powinna do tego istnieć jakaś aplikacja. Procesy biegły obecnie własnym torem, pozostawało jedynie czekać na wyniki ostatnich testów, właściwie musiał je tylko podpisać. Właśnie *on*, właśnie w najbliższych dniach. Kiedy już przyjdą. Poza tym wszystko było gotowe. Zadanie wykonane. Wkrótce każdy ujawni swoją jedną trzecią formuły i nada światu nowy kierunek, kierunek zmierzający do nowego stanu.

To chorobliwe poczucie równowagi. Jeśli ktoś robi coś dobrego, musi się to odwrócić przeciwko niemu. Gdy tylko ktoś zwietrzy dobro, spod ziemi zostają wezwane siły zła.

To, jak wszystko, można splamić i zgnoić.

Odwrócił się od coraz bardziej nieznośnego piękna za oknem i wyszedł. Nie było odwrotu. Już nie było odwrotu.

Rozmowa telefoniczna w środku nocy.

I *on*, gdzieś tam.

Albo wcale nie. Prawdopodobnie wcale nie.

A w nocy dzwonił po prostu jakiś wariat.

Był przepiękny czwartek, na Södermalmie, który zwano kiedyś Nożowym. Świeciło słońce, niebo było błękitne, nawet najdrobniejszy podmuch wiatru nie poruszał wierzchołkami drzew tam w dole, przy



małym parku w kształcie trójkąta. Skręcił w Bergsunds Strand z nadzieją, że zejście do metra przy Ica wciąż jest czynne. Na wysokości stosunkowo niedawno otwartej siłowni sieci Sats odwrócił głowę i omiół spojrzeniem Bergsunds Strand.

*On* szedł drugą stroną ulicy, był prawie na wysokości restauracji Moldau. *On*. Czy widział, jak się odwraca?

Szybko przeniósł spojrzenie na ruchliwą Långholmsgatan i wciągnął głęboko powietrze. Gdy już ruszył z miejsca, uderzyła go myśl, że wciąż nie był pewien. Czy to był naprawdę *on*? Czy to naprawdę był ten nachalny dziennikarz naukowy z Chicago, który drugi dzień z rzędu śledził go na Bergsunds Strand?

Nagle nie miał już ochoty się tego dowiedzieć. I pożałował, że natychmiast nie przeszedł na drugą stronę ulicy. Wtedy mógłby niezauważenie skręcić za róg w lewo i dobiec do miejsca, gdzie *prawdopodobnie* w całym tym budowlanym chaosie stały taksówki. Oczywiście wciąż mógł to zrobić, ale wtedy *on* by się domyślił, że wcale nie kierował się do zejścia do metra. A wtedy *prawdopodobnie* natychmiast rzuciłby się biegiem. Znacznie szybciej niż korpulentny profesor w średnim wieku.

Po tej stronie Bergsunds Strand mógł w każdym razie *udać*, że kieruje się na schody prowadzące do przejścia pod Långholmsgatan i do stacji metra Hornstull. W najlepszym wypadku zwabi *go* do przejścia i złapie taksówkę, zanim *on* odkryje swój błąd.

Mnóstwo ludzi, poranne godziny szczytu, sezon urlopowy najwyraźniej jeszcze się na dobre nie zaczął. Schody były coraz bliżej. Nie miał odwagi obejrzeć się jeszcze raz za siebie. Teraz musiał się skupić.

Zrobił krok w dół schodów, ale zaraz się zgarbił i prześlizgnął pod poręczą, otoczony przez obojętny tłum. Na Långholmsgatan rzucił się biegiem w stronę przedłużenia Hornsgatan. Jeszcze nigdy nie biegł tak szybko. Nie oglądając się za siebie, dopadł do skrzyżowania i po jakichś dwudziestu metrach rzucił się za róg. Tam trochę zwolnił. W tym miejscu porannych godzin szczytu nie było widać. Na krótkim, zapomnianym odcinku Hornsgatan było bardzo niewielu ludzi. Ostrożnie zmierzał w stronę Hornstulls Strand. Obejrzał się za siebie. Nikt nie wyszedł zza rogu. Zaczął biec truchtem w stronę najbliższego skrzyżowania, które – co wydawało mu się absurdalne – stanowiło niemal punkt wyjścia, było tuż przy jego domu. Ogarnęło go wrażenie, że w domu bynajmniej nie jest bezpieczny. Gdy do rogu zostało mu jakieś dziesięć metrów, znów zerknął przez ramię. Po drugiej stronie ulicy z klatki schodowej wyszła jakaś samotna dziewczyna. Przy Långholmsgatan nic się nie zmieniło, przewijały się tam tłumy, ale nikt nie kierował się w tę stronę. Było upiornie pusto w porównaniu z tłokiem przy schodach. Czy naprawdę udało mu się zwabić *go* do zejścia do metra? Trochę doszedł do siebie, gdy skręcił za róg w Hornstulls Strand – jesteśmy w *domu*. Tak, to była niemal nadzieja. Niemal cień nadziei.

*On* stał między jego ulubionym barem śniadaniowym Copacabana a małym kinem, które niecały rok później miało się stać studium państwowej telewizji podczas mistrzostw Europy w piłce nożnej.

Ale o tym miał się nigdy nie dowiedzieć.

Spokój w *jego* spojrzeniu, determinacja. Kroki, przyspieszenie. Niemal unoszący się w uśmiechu

kącik ust dziennikarza naukowego. I ten doskonały krok biegacza.

Gdyby tylko dotarł do samej Hornstull. Gdyby udało mu się dobiec na ruchliwą Långholmsgatan. Wtedy *on* nie powinien się odważyć. I wtedy byłby bezpieczny. Powinien zdążyć wskoczyć do jakiejś taksówki – gdzie one, kurwa, teraz stoją! – odjechać stamtąd, dotrzeć jakoś do banku ze skrytką depozytową i zamknąć w niej komórkę. Miałby wtedy solidne zabezpieczenie przeciwko temu, co zaraz może się tutaj stać, właśnie tu, na zapomnianym przedłużeniu Hornsgatan. Żadnego oglądania się przez ramię, tylko bieg, dzikie, szalone, groteskowe kroki, które wydawały się sprawiać, że na jego piersi zaciskała się gigantyczna gumka, zmuszała go, by zwolnił, aż miał wrażenie, że stoi w miejscu, jakby kolejki do autobusu niebieskiej linii numer cztery były ulotnym mirażem na coraz bardziej wyschniętej pustyni jego duszy.

Brak dźwięku wydawał się bardziej przerażający, niż byłby odbijający się echem huk wystrzału. To oczywiste, że *on* był zawodowcem, że na swój pistolet płatnego mordercy założył tłumik. Nagle i bezgłośnie zacznie tryskać z niego krew. Jego spojrzenie powędrowało w dół, na pierś. Obrzydliwe uczucie, że to się może zdarzyć w każdej chwili. Jakby stał na zapadni, która w każdej chwili może się otworzyć, podczas gdy sekundy zmieniają się w minuty. I rekiny w wodzie poniżej.

Strzał nie padł. Klatka piersiowa się nie otworzyła. Dotarł do Långholmsgatan. Przedzierał się w tłoku przy przystanku autobusowym, gorączkowo rozglądając się za taksówką. Żadnej tu nie było. Zwykle stały przy zejściu do metra, ale teraz wszystko zasłaniało ogrodzenie placu budowy. Dawny postój taksówek zmienił się w głęboki dół. Gdzie teraz, kurwa, stały taksówki? Omiótł spojrzeniem ulicę, rozejrzał się w jedną i w drugą stronę. I wtedy je zobaczył.

Stały po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej, w stronę Västerbron. Dwie taksówki, jedna za drugą, z włączonym oznaczeniem świetlnym na dachu.

Wolne.

Zaczął torować sobie drogę w ich stronę, przedzierał się coraz rozpaczliwiej. Ruch był duży, mnóstwo ludzi czekało kawałek dalej przy przejściu dla pieszych. Wybiegł na jezdnię między powoli toczące się w korku samochody. Odgłosy klaksonów, krzyki, spojrzenie utkwione w taksówki. Oznaczenie świetlne na jednej z taksówek zgasło, pierwszy samochód zamrugał kierunkowskazem i włączył się do chaotycznego ruchu. Została jedna. Musiał ją złapać.

Dotarł na drugą stronę ulicy. Piesi poruszali się tutaj nie chodnikiem, lecz wąską ścieżką między ogrodzeniem placu budowy a ulicą. Slalom, dziki slalom w porannym tłumie na wąskiej ścieżce. Jakiś rowerzysta wjechał mu na piętę. Nie zauważył tego. Światło na taksówce wciąż było włączone, stała w miejscu, ale on poruszał się nieskończenie powoli.

To było jak zatrzymany kadr. Zostało mu już tylko kilka metrów, ale widział wszystko jak z bardzo daleka. Miejsce, gdzie wąskie przejście się rozszerzało i przechodziło w prawdziwy chodnik, wydawało mu się rozległe niczym plac. Na tym placu widział wiele różnych rzeczy. Szyłd sklepiku Mickes CD & Vinyl świecił na żółto, szylid Helens Sushi – na niebiesko, zakładu fryzjerskiego Stylissimo – na różowo,

piesi wymijali innych pieszych i ignorowanego żebraka, który siedział na chodniku pod sklepem Mického z miseczką w ręce, z przeciwnej strony zbliżała się jakaś dziwna para, jakby zupełnie niewzruszona tłokiem, unosząca się nad rzeką ludzi, i teraz zobaczył, że kierowali się do taksówki. Ona była wysoka, a on niski, i w tej krótkiej chwili, zanim ogarnęła go panika, dostrzegł, że ta, którą uznał za kobietę, jest mężczyzną, a ten, którego uznał za mężczyznę, jest kobietą, para transwestytów, którzy zamienili się rolami. Wysoka kobieta, która była mężczyzną, pochyliła się do drzwi taksówki od strony pasażera i dotarł do niego własny krzyk „Nie!”, ale nikt go nie słyszał. Był sam w zamkniętym wszechświecie.

Prawie dotarł już do celu, stopy zdawały się przyklejać do asfaltu. Gdy minął żebraka, dostrzegł, że niski mężczyzna będący kobietą lekko pociąga za rękę wysoką kobietę. Wysoka kobieta odsunęła się ze zdumieniem od otwartego okna taksówki, ujrzał poirytowany gest taksówkarza, lampa na dachu wciąż nie zgasła. Para transwestytów gestykulowała i gdy wysoka kobieta, która była mężczyzną, pochyliła się, by pocałować niskiego mężczyznę, który był kobietą, zza nich wynurzyła się inna postać. Dziennikarz naukowy, którego ostatnim razem spotkał w Chicago. Kącik ust *aniola* unosił się w lekkim uśmiechu.

W krzywym uśmiechu.

Odwrócił się; gorączkowo szukając komórki, pojął, że to już koniec, że wszystko skończy się tutaj.

Naprawdę skończy się tutaj.

Wciąż nie padł strzał, została jakaś sekunda na decyzję.

Strzał nie padł, stało się coś innego. Ramię na gardle. Poleciał do przodu, na fasadę budynku, dostrzegł odbicie porannego słońca w czymś błyszczącym, co przemknęło przed nim.

Nożowy Södermalm, pomyślał, gdy jego kolana uderzyły o asfalt, i czuł już cięcie w poprzek gardła, gdy dalej osuwając się do przodu, rzucił komórkę do wyciągniętej miseczki żebraka. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była para wytrzeszczonych, zupełnie białych, wywróconych oczu.

Ciuciubabka, pomyślał.

I utonął w morzu krwi.

# Niedowidzenie

Amsterdam, 30 czerwca

TO SIĘ MUSIAŁO WYDARZYĆ. Zawsze tak było.

Zupełnie tak, jakby przed wyjściem z domu spojrzeć za okno, dostrzec gromadzące się ciemne chmury, a potem stać w przedpokoju i wahać się z parasolem w ręce. Jeśli weźmiemy go ze sobą, będzie słońce. Jeśli zostawimy go w domu, będzie ulewa.

Parasol i pogoda pozostawały do siebie w tym samym stosunku, co dyżur i wizyta w toalecie. Innymi słowy, gdy odebrano zgłoszenie alarmowe, brygadier straży pożarnej Edwin van Tienen siedział w toalecie. Ten, który zawsze musiał zużywać wiele metrów papieru, westchnął ciężko, zdając sobie sprawę, że tak się nie stanie. Nie tym razem.

Po profesjonalnym i szybkim uporaniu się z dylematem doszedł do dwóch wniosków. Po pierwsze, że budynek pod wskazanym adresem jest wrażliwy – mnóstwo siedemnastowiecznego drewna, wiele kwartałów w strefie ryzyka. Po drugie, że „Jan van der Heyde III” znajduje się w okolicy. Wysłał tam słynną łódź strażacką i rzucił się, by zjechać po rurze. To ostatnie przynajmniej w wyobraźni.

W wozie strażackim usiadł obok swojego zastępcy Dirka-Jana i gdy wóz z wyciem syren wjechał nad Lauriergracht, ponownie dwie rzeczy stały się dla niego jasne. Po pierwsze, że „Jan van der Heyde III” zdążył przed nimi – płaskodenna czerwona łódź z wielkimi armatkami stała na kanale, jakby nigdy nie robiła nic innego – a po drugie, że z budynku pod wskazanym adresem faktycznie biją porządne kłęby dymu. „Jan van der Heyde III” zdążył już skierować armatki wodne w stronę budynku, a mimo to coś się tutaj nie zgadzało. Edwin van Tienen sięgnął po krótkofalówkę i powiedział:

– Żadnej wody, dopóki tego nie sprawdzimy.

Pomruki z łodzi strażackiej go nie powstrzymały. To Edwin van Tienen i nikt inny był brygadierem straży pożarnej.

Nie zgadzało się to, że płomień był nowy, świeży. Wóz strażacki z drabiną dotarł na miejsce w osiem minut i doświadczenie zawodowe van Tienena podpowiadało mu, że pożar wybuchł *po* zgłoszeniu. Najwyżej cztery minuty temu. Mogło to oznaczać wiele rzeczy, lecz przede wszystkim oznaczało, że mieli do czynienia z podpaleniem. I że sprawca najprawdopodobniej wciąż znajdował się w okolicy.

Ale po co dzwonić po straż pożarną? I dlaczego z czterominutowym wyprzedzeniem? Nie przychodziła mu do głowy żadna sensowna odpowiedź. Poza tym to nie była pora na rozmyślanie, tylko na działanie.

Wypadli z wozu. Podniósł do góry rękę, wszystkie pięć palców, i jego pięciu ludzi nałożyło maski gazowe i wbiegło na klatkę schodową w budynku. Przez chwilę przyglądał się tej scenie ze zmarszczonymi brwiami, a potem ruszył za nimi.

Dymu było mnóstwo już na parterze; prawdopodobnie źródło pożaru znajdowało się gdzieś na dole. Zadymienie było jednak tak potężne, że mogło ich być więcej. Musiał iść dalej, na górę. Gdy rzucił się schodami, zobaczył, że dwóch jego ludzi łomocze do obojga drzwi na parterze. Wyglądało na to, że nikogo nie ma w domu.

Na pierwszym piętrze kolejnych trzech jego ludzi wyprowadzało lokatorów z obu mieszkań. Z pierwszego wyszło dwóch strażaków podtrzymujących z obu stron chwiejącą się starszą panią, z drugich drzwi, oznaczonych „U.M.A.N. Imports”, wyszedł Dirk-Jan, prowadząc trzech mężczyzn, którzy przyciskali chustki do ust i nosów. Dwaj mężczyźni byli bardzo wysocy, trzeci trochę mniejszy i Edwin van Tienen kiwnął głową swojemu zastępcy, który zaczął sprowadzać tę trójkę po schodach. Zajrzał szybko do mieszkania i wzdrygnął się, gdy zobaczył wewnątrz kolejnych dwóch strażaków, jednego niskiego, a drugiego wysokiego. Jakkolwiek liczył, wychodziło siedmiu. Siedmiu strażaków.

Nie pięciu.

Ale wysoki strażak w głębi mieszkania wykonał uspokajający gest i Edwin van Tienen zdał sobie sprawę, że przyjechali też ludzie z innej remizy i nikt go o tym nie poinformował. Z lekkim poirytowaniem rzucił się schodami na kolejne piętro. Prawdopodobnie to tam znajdowało się drugie źródło pożaru.

Wysoki i niski strażak przemieszczali się dalej w głąb mieszkania. Dym był gęsty i nie mogli wiele widzieć. Mimo to poruszali się bardzo sprawnie, jakby znali plan lokalu. Dotarli do kuchni i znaleźli schowek. Otworzyli drzwi.

W środku ktoś był. Gwałtownie kaszłał i niższy strażak wyjął z torby maskę gazową, którą szybko nałożył temu komuś na twarz. Czekali, aż jego oddech się unormuje. Wtedy wyciągnęli z torby mundur strażacki i ten ktoś – kto bez wątplenia był kobietą – szybko włożył go na siebie i bardzo stanowczym ruchem zamknął za sobą drzwi schowka.

Gdy opuszczali mieszkanie, byli po prostu trzema strażakami.

Wyszli nad Lauriergracht i zobaczyli trzech właścicieli mieszkania po drugiej stronie kanału. Oddalali się w towarzystwie strażaka, wciąż zasłaniaли twarze chustkami. Ich spojrzenia nawet na chwilę nie padły na trzech strażaków. Ci ostatni skręcili za róg, przeszli jeszcze kilkanaście metrów i skręcili za kolejny róg. Tam przystanęli.

Niższy strażak ściągnął maskę gazową i okazał się kobietą. Ciemnowłosą kobietą o ostrych rysach.

– Możesz ją już zdjąć, Jutta – powiedziała.

I tak się stało. Jutta Beyer ściągnęła maskę. Była trupio blada i cała się trzęsła.

– Miriam – wyszczała. – Kurwa mać... Dzięki!

– To był najlepszy pomysł, jaki nam w tym pośpiechu przyszedł do głowy – odparła Miriam Hershey.

Wysoki strażak również ściągnął maskę. Miał bardzo jasne włosy.

– Bez żadnych podchodów – powiedział Arto Söderstedt. – Chodziło tylko o to, żeby cię wyciągnąć, Jutta. To wszystko moja wina.

– Nie zaczną teraz niczego podejrzewać? – wysyczała Beyer i zgięła się w pół w odruchu wymiotnym.

– Gdzie tam – powiedziała Hershey. – Straż pożarna nie będzie wyjaśniać szczegółów, a jeśli to zrobią, miejmy nadzieję, że to się nie przebije przez barierę językową.

– Dym nie pozostawi żadnych trwałych śladów – wyjaśnił Söderstedt. – Za dziesięć minut się rozwieje. Ty i ja będziemy mogli wrócić do swojej nory, a Rumuni do swojej.

Jutta Beyer wyprostowała się powoli. Oddychała spokojniej. Wyciągnęła ręce i objęła Arto Soderstedta. Szepnęła mu do ucha:

– Jak, u diabła, mogłeś przeoczyć kurz z wiertarki?

Söderstedt odwzajemnił uścisk i trochę przejęty odparł:

– Zaczynam się starzeć, Jutto.

Tymczasem brygadier straży pożarnej Edwin van Tienen zdążył już zejść po schodach. Gdy wyszedł na ulicę nad Lauriergracht, podał dwa zapieczętowane woreczki na pokład łodzi strażackiej „Jan van der Heyde III”. Obaj strażacy wodni przyglądali mu się sceptycznie, gdy otworzył jeden z nich i wyjął z niego jakiś nieokreślony, nadpalony przedmiot, który porządnie dymił.

– Granaty dymne – powiedział. – Jeden na parterze i kolejny na drugim piętrze. Strasznie zabawny studencki dowcip.

Strażacy wodni wymienili spojrzenia. W ich oczach malował się niesmak. Edwin van Tienen niewzruszenie ciągnął dalej:

– Całe szczęście, że nie zaczęliście lać wodą.

– Wcale nie zamierzaliśmy – oświadczył jeden ze strażaków.

– Jasne, że nie – skwitował brygadier Edwin van Tienen i dumnie odwrócił się na pięcie.

Gdy był w połowie drogi do wozu strażackiego, drugi strażak wodny zawołał za nim:

– Papier toaletowy ci wisi ze spodni!

Sztokholm, 30 czerwca

NIESTETY, NIE BYŁO DOBREGO MIEJSCA na czekanie, gdy stawiano barierki, by ukryć zwłoki. Kiedy zabrano ciało, ubrani na biało technicy się przerzedzili, barierki usunięto, chodnik wyszorowano, a niebiesko-białe plastikowe taśmy zmieniły się w niesforne ptasie gniazdo w najbliższym kontenerze. Na całej Hornstull panował monumentalny chaos i przygotowując się na długie czekanie, para małżeńska rozstawiła składane krzeselka po drugiej stronie Långholmsgatan, skąd jednym okiem zerkali na miejsce zbrodni, drugim zaś zaglądali na swoje iPady, na które – z biegiem czasu – spływały protokoły z przesłuchań.

– Cokolwiek by mówić o sztokholmskiej policji, naprawdę stali się skuteczniejsi – stwierdził Jorge Chavez.

– Dostałeś do tej pory osiem zeznań? – spytała Sara Svenhagen i przewinęła palcem ekran.

– Dziewięć – odparł Chavez. – Właśnie mi wskoczyły zeznania pary transwestytów.

– Nie podoba mi się, że twój aktualizuje się szybciej niż mój.

– Ja mam wersję dla szefa. Trochę lepszą, trochę szybszą.

– Mówią też na to „udogodnienia dla niepełnosprawnych”.

– Sądzę, że możemy się zbliżyć do samej zbrodni – oświadczył zapatrzony w ulicę Chavez – i przypuszczam, że możemy to zrobić, kontaktując się z Kim i Jamiem Lindgrenami, zamieszkałymi przy Högalidsgatan. Ale najpierw przejdźmy się tam.

Ostatni radiowóz odjechał właśnie z miejsca zbrodni po drugiej stronie Långholmsgatan, spod sklepu płytowego Mickes CD & Vinyl. Który nazywano zwykle Lilla Mickes, czyli małym sklepem u Mickego, ponieważ jego główny sklep – Mickes Serier, CD & Vinyl – znajdował się po drugiej stronie Långholmsgatan. Sytuacja się unormowała. Codziennosc zaciągnęła ochronną zasłonę nad Hornstull i ludzie w błogiej nieświadomości deptali po miejscu, gdzie jeszcze niedawno widniały plamy krwi na chodniku. Chociaż „plama” to nie było właściwe słowo. Bardziej pasowałoby „morze”. Jakby to nie z człowieka, lecz z nosorożca spuszczone całą krew. W jednym dziwnym, momentalnym krwotoku.

Kiedy zobaczyli pierwsze policyjne zdjęcie, które pokazało się jakiś kwadrans po popełnieniu zbrodni, zdali sobie sprawę, nie porozumiewając się ze sobą, że muszą tutaj przyjechać. Bo to było coś, co wykraczało poza zwyczajność.

Coś ewidentnie profesjonalnego.

– Ale jeszcze bardziej wymowne jest *upublicznienie* tego profesjonalizmu – stwierdziła w końcu Sara Svenhagen, gdy kilka godzin temu rozstawiała swoje składane krzeselko.

– Upublicznienie? – Chavez szarpał się ze swoim krzeselkiem.



– Tak profesjonalny morderca mógł równie dobrze upozorować zbrodnię, by wyglądała na wypadek.

To oczywiste.

– Zgadza się. I jakie wyciągasz z tego wnioski?

– Ostrzeżenie?

– Być może. Ale równie dobrze to mógł być jakiś wariat, który wie, jak zarzynać zwierzęta.

– Sam w to nie wierzysz – stwierdziła Sara Svenhagen.

Jorge Chavez westchnął, uporał się z krzeselkiem, padł na nie i odparł:

– A więc ten duński profesor Niels Sørensen z Królewskiego Instytutu Technologicznego w Sztokholmie został zabity przez zawodowego mordercę, żeby ostrzec... no właśnie, kogo?

– Dlaczego tu jesteśmy? – spytała pedagogicznie Svenhagen.

– Ci po drugiej stronie też się nad tym zastanawiają – pokazał palcem Chavez.

I rzeczywiście widać było, że ubraną po cywilnemu dwójkę policjantów po drugiej stronie ulicy dręczy ta sama myśl. Chavez rozpoznał komisarza sztokholmskiej policji, z którym nie miał jednoznacznie pozytywnych doświadczeń. Pomachał mu wesoło. Komisarz nie odpowiedział na machanie.

– Wydaje mi się, że usta Benna właśnie ułożyły się w słowo „obserwatorzy” – zauważyła Svenhagen i również pomachała.

– Według mnie bardziej to przypominało sformułowanie „zasrani gliniarze” – stwierdził Chavez. – Ale zapomniałem, że nazywa się Benno.

– Dzięki temu, że zostaliśmy sami w biurze, możemy bezczelnie *obserwować* – dodała Svenhagen.

– Oczywiście jeśli szef na to pozwoli – poprawił Chavez.

– No to dlaczego tu jesteśmy, *szefie*? Nic nie wskazuje na to, by profesor Sørensen zajmował się czymś, za co warto zginąć z rąk zawodowego mordercy.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Rekonstrukcja zarówno osobistego, jak i zawodowego życia Nielsa Sørenseny znajduje się na razie na bardzo podstawowym etapie. Niemniej odpowiedź na pytanie szanownej pani można chwilowo uprościć do: jesteśmy tu, ponieważ był czołowym duńskim badaczem z dziedziny technologii chemicznej i inżynierii procesowej, działającym w Szwecji w ramach wspólnego europejskiego projektu badawczego finansowanego przez Unię Europejską, a nam nie udało się nic na ten temat dowiedzieć. Jak dla mnie to wystarczy. Na początek.

– Chcesz powiedzieć, że to powinno zostać utajnione?

– W tej chwili nic nie chcę powiedzieć – odparł Chavez. – Jak sama zauważyłaś, jesteśmy obserwatorami.

– Albo zasranymi gliniarzami – dodała Svenhagen.

– To też. Ale właśnie jako obserwatorzy musimy działać w białych rękawiczkach. Wstępne przesłuchania musi przeprowadzić sztokholmska policja i dopiero później, w ramach ostrożnego, drugiego etapu, możemy uzupełnić ich śledztwo z *naszej, unikatowej perspektywy*.

– Chcesz powiedzieć, że pozwolimy im odwalić najcięższą robotę?

– Mniej więcej – przyznał Chavez. – Monitorujemy postępy śledztwa z europejskiej perspektywy.

– I uzupełnimy je w razie potrzeby?

– Właśnie, tylko że teraz potrzebujemy kubka wyśmienitej kawy z Café Frapino.

Wówczas Sara Svenhagen po raz pierwszy tego dnia przespacerowała się Långholmsgatan. Kilka godzin później, gdy Jorge Chavez się podźwignął i stwierdził, że składane krzeselka nie zawsze są w stu procentach ergonomiczne, naliczył sześć papierowych kubków i cztery papierowe torebki.

– To naprawdę wielki postęp, że we współczesnej pracy w policji możemy używać tabletów – stwierdziła Sara Svenhagen, wstając ze znacznie mniejszym wysiłkiem. – Niemniej przypuszczam, że istnieje inny powód, dla którego rozbiliśmy tutaj obóz. I on niczym się nie różni od motywów kierujących naszym mordercą.

– Teraz nie rozumiem, co masz na myśli – stwierdził Chavez.

– *Upublicznienie* – odparła Svenhagen. – Upublicznienie woli obserwacji Europolu.

– To dobrze, że nasi koledzy dowiedzą się o tej woli – przyznał Chavez ze spojrzeniem utkwionym w iPadzie. Zostawił składane krzeselka i papierowe kubki na pastwę losu i ruszył Långholmsgatan. Za następnym rogiem wskazał w stronę Bergsunds Strand i nawet fakt, że prawie przewróciły go jakieś dwie zgarbione i obszarpane postacie, które wyszły z klatki schodowej, nie powstrzymał go od dalszego oglądania czegoś na tablecie. Powiedział:

– Profesor Niels Sørensen mieszkał przy Hornstulls Strand i pierwsze zeznania są mniej więcej z tego miejsca, gdzie właśnie teraz stoję. Profesor „przeciskał się” tym fragmentem chodnika z Bergsunds Strand do przejścia dla pieszych przy Folkskolegatan, czyli mniej więcej tam, gdzie „rozbiliśmy obóz”, jak to szanowna pani trafnie ujęła. Potem mamy kolejne zeznania, według których był „strasznie blady, a mimo to zdyszany”, koniec cytatu. Nie wiem, co sądzić o tym „a mimo to zdyszany”.

– Tak zdyszany, że powinien być raczej *czzerwony* na twarzy? – podsunęła Sara Svenhagen.

Jej mąż, chwilowo pełniący obowiązki jej szefa, zastanawiał się przez chwilę, jakby dopiero teraz ją dostrzegł, i odparł:

– Bystre. Prawdopodobnie masz rację. Kolejnym świadkiem był kierowca, który, cytuję, „prawie przejechał tego wariata”. Najwyraźniej Sørensen wybiegł na jezdnię w godzinach szczytu właśnie tutaj, „jakby próbował na coś zdążyć”, koniec cytatu z tego samego kierowcy. A po drugiej stronie ulicy był ten rowerzysta, który jechał trochę za blisko pieszych i najechał profesorowi na piętę. Cytuję: „To nie była moja wina, rzucił się przecież nagle na jezdnię, żeby złapać tę taksówkę, kawałek dalej, przy żebraku”. A więc jeśli mamy wierzyć obu świadkom, wygląda na to, że nasz profesor w lekkiej panice próbował złapać taksówkę, i w tym punkcie dochodzimy do Kim i Jamiego Lindgrenów, zamieszkałych przy Högalidsgatan.

Gdy czerwone światło zmieniło się na zielone, Svenhagen spytała:

– Jak przypuszczam, to ta osławiona para transwestytów?

– Kobieta jest znacznie wyższa od mężczyzny – odparł Chavez. – Jamie mówi: „Kim się uparła,

żebyśmy wzięli taksówkę i pojechali nad zatokę Vinterviken, ale ja uważałem, że Långholmen jest równie ładnie. Poza tym nie stać nas było na taksówkę”. Kim mówi: „Kiedy staliśmy i nie mogliśmy się dogadać, pochyliłam się, żeby pocałować tego przeciętniaka, a wtedy on nas wyminął”. Jamie uzupełnia: „Rzucił się na tego biedaka i podtrzymał go podczas upadku. I jestem gotów się założyć, że kiedy upadł na chodnik, nie została w nim już ani kropla krwi”. I na koniec puenta Kim: „Wszystko działo się strasznie szybko. Ten nagły, chaotyczny ruch, kiedy wszystko wyglądało jak ucieczka. A potem został tylko mężczyzna leżący w kałuży krwi”. Dokładnie mówiąc, *tutaj*.

W ścianie budynku, poniżej witryny Lilla Mickes, na poziomie gruntu, tkwiła kwadratowa, mniej więcej półmetrowa kłapa. Na murze oraz chodniku obok kłapy wciąż jeszcze widniały ledwie widoczne kontury plamy krwi.

– I to jest twoje ostatnie słowo? – spytała Sara Svenhagen, przyglądając się kłapie.

– Tak – odparł Jorge Chavez. – Sørensen był spanikowany już jakieś pięćdziesiąt metrów stąd. Zobaczył, że zaraz ucieknie mu taksówka, gdy Kim i Jamie do niej podeszli. Rzucił się biegiem. Za Kim i Jamiem pojawił się morderca, który najwyraźniej jakoś ich wyminął i dopadł Sørensen. Rzucił się na profesora, wprawnie poderżnął mu gardło, błyskawicznie go obszukał i zniknął, zanim ktokolwiek zdążył zwrócić uwagę na jego ubranie czy budowę ciała.

– Zgadza się – odparła Svenhagen, kucając. Zaczęła przesuwając dłonią wzdłuż coraz słabiej widocznych konturów kałuży krwi na chodniku. Przy ścianie budynku stawały się mniej wyraźne. Po obu stronach kłapy w murze widać było tylko pojedyncze ślady krwi. – „Ten nagły, chaotyczny ruch, kiedy wszystko wyglądało jak ucieczka” – ciągnęła Svenhagen. – Czy można tak powiedzieć o jednym, działającym błyskawicznie zawodowym mordercy? Chaotyczny ruch? Wszystko wyglądało jak ucieczka?

– Teraz za tobą nie nadążam – przyznał Chavez.

– Tu są ślady krwi – pokazała Svenhagen. – Po obu stronach tej kłapy.

– Widzę – odparł Chavez. Zaczynał się budzić.

– Ale na samej kłapie nie ma nic. Nawet jednej kropli.

– Hmm – mruknął Chavez jak Sherlock Holmes.

– Nie brakuje nam przypadkiem najważniejszego świadka? – spytała Sara Svenhagen.

– Hmm. Tego, który siedział przy ścianie? Prawdopodobnie oparty o kłapę? I to dlatego nie ochlapała jej krew?

– Czy „ten nagły, chaotyczny ruch, kiedy wszystko wyglądało jak ucieczka”, oznacza, że nie tylko morderca uciekał? Lecz również najważniejszy świadek?

Chavez zerknął na swojego iPada i przewinął coś na ekranie. Potem przeczytał:

– „To nie była moja wina, rzucił się przecież nagle na jezdnię, żeby złapać tę taksówkę, kawałek dalej, przy żebraku”.

– Zeznania rowerzysty – pokiwała głową Svenhagen.

– „Przy żebraku” – pokiwał głową Chavez i podsumował: – Moja żona jest geniuszem.

- Oczywiście sztokholmska policja też do tego dojdzie – stwierdziła Svenhagen, wstając. – Pozostaje pytanie, dlaczego żebrak uciekał równie szybko jak morderca, choć trochę bardziej „chaotycznie”?
- Jest tu nielegalnie – podsunął Chavez. – To ktoś, kto nie chce mieć do czynienia z władzami. Ale był cały zachlapany krwią. Ktoś go musiał widzieć w drodze do metra.
- Albo kiedy się po prostu oddalał – dodała Svenhagen. – W jakąkolwiek stronę.
- Tak czy inaczej, mamy powód, by jak najszybciej porozmawiać z Kim i Jamiem Lindgrenami.
- Benno na pewno się tym zajmie – zauważyła Sara Svenhagen.
- Jak najbardziej – przyznał Jorge Chavez. – Może nawet wyśle na Högalidsgatan swoich zaufanych ludzi. Żeby uzupełnić zeznania. Będą to mężczyzna i kobieta.
- Całkiem niewykluczone – stwierdziła Sara, zerkając na uparcie świecące słońce.

Sztokholm, 30 czerwca

PORUCZNIK LOUISE AHL odwróciła wzrok od chaotycznego placu budowy za oknem i spojrzała w głąb stołówki. Nie potrafiła na dłużej oderwać oczu od tego dziwnego nieznanego, któremu zgodnie ze swoim zadaniem oraz przekonaniem pomagała dziś rano. Gdy zaraz po otwarciu drzwi ośrodka chwiejnym krokiem wszedł na salę – prawie nagi i zupełnie bezradny – pojawił się niczym znak niebios. I nagle większość rzeczy w jej życiu znów się zgadzała.

Wcześniej, gdy porucznik Ahl jechała kolejką podmiejską na stację Södra i widziała tę samą grupkę wandalów niszczących wagon, czuła, że traci wiarę – oczywiście nie w Pana, ale w stworzonych na jego obraz i podobieństwo, w młodzież, w ludzkość, w całą tę dobroczynną działalność, którą żołnierze rozpoczęli osiem lat temu na bardzo wówczas przygnębiającej Hornstull. A gdy ci młodzi ludzie podeszli do niej i zaczęli ją szarpać za naramienniki z przypiętym oznaczeniem stopnia, z którego była taka dumna – guziki odpadły i potoczyły się po podłodze wagonu – poczuła się dokładnie tak jak w ośrodku. Ciągły brak jakiegokolwiek wdzięczności i pokory. To nie tak William Booth wyobrażał sobie ich działalność. Z drugiej strony nie mógł wiedzieć, jak świat będzie wyglądał za sto pięćdziesiąt lat. A gdyby to potrafił, uszłaby z niego wszelka energia i padłby trupem.

Rozczarowana porucznik Ahl dotarła do ośrodka społecznego Armii Zbawienia przy Långholmsgatan. Przeszywając nowe guziki, spodziewała się, że wszystko będzie tak jak zwykle. Pół godziny krzątania się przy przygotowywaniu śniadania, doprowadzaniu do porządku zapasów odzieży, sprzątaniu pryszniców i poprawianiu nakryć na stołach. Te czynności zawsze były jak cisza przed burzą. A potem głęboki wdech i otwarcie drzwi. Czasem dosłownie wpadali do środka – prosto z ulicy, ze schronisk dla bezdomnych, z piwnicznych schodów i zadłużonych mieszkań. Czasem bywało też trochę spokojniej. Ale zawsze mieli broń. Najczęściej domowej roboty. Jakby zawsze chodziło o walkę na śmierć i życie w jakimś równoległym wszechświecie, we współczesnym średniowieczu, które niczym pochód biczowników kryło się tuż pod powierzchnią cywilizacji. I gdy mężczyźni z Armii Zbawienia konfiskowali czwartą danego dnia broń kłującą lub obuchową, porucznik Louise Ahl niekiedy pragnęła, by byli prawdziwymi żołnierzami. I naprawdę byli uzbrojeni.

Byli jednak żołnierzami z Armii Zbawienia i dopóki porucznik Ahl choć raz w tygodniu miała okazję sobie przypomnieć, o co w tym wszystkim chodzi, była w stanie ciągnąć to dalej. I właśnie to się wydarzyło, gdy ten dziwny nieznanomy chwiejnie wszedł na salę, półnagi, w oplakany stan, i utkwiał w niej spojrzenie swoich jeszcze dziwniejszych oczu.

„Nie możesz głosić miłości Bożej komuś, kto jest zmarznięty i głodny”.

Kiedyś te słowa Williama Bootha wryły się na zawsze w jej pamięci. Tak dobrze się zgadzały ze

słowa Bertolta Brechta, które nie dawały jej spokoju w latach, gdy pracowała w różnych garderobach teatralnych w Sztokholmie. Dopiero co przestała trenować karate i pragnęła tylko być blisko teatru, ale ciągle wpadała w głębokie depresje. Jednak w słowach Brechta: „najważniejsze jest żarcie, potem moralność”, brakowało jednego elementu. I była nim miłość Boża. Więc gdy w końcu odważyła się otworzyć na bezgraniczną miłość Pana, teatr wydał jej się grą cieni, którą był w istocie. Nagle na ulicach Sztokholmu objawiły się rzeczywiste tłumy biednych i odnalazła swoje miejsce w życiu. Pomagać ubogim i tym samym pomagać Bogu, zgodnie z dewizą Armii Zbawienia: „Zupa, mydło i zbawienie”. Jak trzystopniowa rakietka, na długo zanim wynaleziono takie rzeczy.

Możliwe, że ten dziwny nieznajomy nie otworzył się jeszcze na zbawienie, ale dostał zupę i mydło. Najpierw prysznic. I choć porucznik Ahl nie wolno było wchodzić do pomieszczenia z prysznicami dla mężczyzn, mimo wszystko tam zajrzała i dostrzegła, że woda spływająca do odpływu w podłodze miała całkiem różowy kolor. Przez chwilę zastanawiała się, czy krwawił z jakiejś rany.

Ale to ona go przyjęła. To ona wyszła mu na spotkanie, gdy chwiejnym krokiem wszedł na salę, zaraz po otwarciu drzwi o dziewiątej. Jako pierwsza napotkała to przedziwne spojrzenie i później zastanawiała się, dlaczego natychmiast nie uświadomiła sobie, że był niewidomy. Poruszał się, jakby widział. Na chwilę pozwoliła, by zahipnotyzowały ją te przerażające, białe oczy.

Powinna raczej być tym zdenerwowana. W ostatnim czasie coraz bardziej było to widoczne. Że ludzie pokroju tego dziwnego nieznajomego coraz częściej dominują w schroniskach i przepędzają dotychczasowych bywalców. Porucznik Ahl nie była do końca przekonana, czy rzeczywiście są tacy potrzebujący. Często miała wrażenie, że *Cyganie* – bo tak myślała o nich w chwilach słabości – nie cierpią jakiejś strasznej nędzy. Jakby istniały inne siły, które się nimi zajmowały. A może raczej ich *posiadały*.

Ale ten dziwny nieznajomy w ogóle nie sprawiał wrażenia kogoś, kto jest czyjąś własnością. I nawet jeśli jego białe oczy były trochę przerażające, to sam wywierał diametralnie odmienne wrażenie. Spokojny i nieśmiały mężczyzna, który znał trochę angielski. Można było się z nim porozumieć. Powiedział, że jest zmęczony i głodny, wziął prysznic, potem zjadł śniadanie, a teraz siedział w jadalni i rozmawiał z Jannem.

Porucznik Louise Ahl nie była tym zachwycona. Janne był zapewne nieszkodliwy, ale nie stanowił najodpowiedniejszego towarzystwa. Chętnie opowiadał bujdy o tym, że kiedyś próbował być pisarzem, ale nigdy nie udało mu się dotrzeć do szerszego grona czytelników i w końcu wydawnictwo podcięło mu skrzydła. Porucznik Ahl była pewna, że kłamał. I nie chciała pozwolić, by ten dziwny nieznajomy został „skażony” wymysłami Jannego.

Gdy Janne przysiadł się do nieznajomego, podeszła do nich, żeby się przekonać, czy wszystko jest pod kontrolą. Nieznajomy kiwał głową z lekkim uśmiechem na twarzy. A angielszczyzna Jannego była naprawdę całkiem niezła. Gdy przechodziła obok kilka minut później, usłyszała słowa Jannego:

– *Let's try the recording device, then.*

Dziwny nieznajomy pokiwał tylko głową.

Siedzieli tam już prawie od godziny, pogrążeni w rozmowie. Porucznik Ahl zastanawiała się po cichu, o czym dyskutują.

Znów spojrzała na chaotyczny plac budowy za oknem. Z miejsca, w którym siedziała, miała widok prawie na całą okolicę i wiedziała, co się teraz odbywa. Przepędzanie bezdomnych. Przepędzanie ich z centrum, z tej części miasta, która leżała między rogatkami. Spoglądała na przymusowy marsz przez most Liljeholmsbron i trochę za bardzo przypominał jej on marsze śmierci z końcowej fazy drugiej wojny światowej. Naziści wiedzieli, że wojska aliantów zbliżają się do obozów koncentracyjnych. Nie mogli dopuścić, by alianci zobaczyli te obozy, które stanowiły dobrze strzeżoną tajemnicę. A więc zimą i wiosną czterdziestego piątego roku SS ewakuowało wszystkie obozy koncentracyjne. Już i tak skrajnie maltretowanych więźniów zmuszono do marszów śmierci, w stronę umierającej Rzeszy. Bardzo niewielu przeżyło ten marsz.

Porucznik Louise Ahl rozumiała naturalnie, że takie porównanie jest bardzo niesprawiedliwe. Trzeba było doprowadzić Hornstull do porządku – sama jako pierwsza była gotowa to przyznać – a mimo to nie potrafiła pozbyć się z głowy tego obrazu. Gdy bezdomni przechodzili mostem Liljeholmsbron, przypominało to końcowy taniec śmierci z *Siódmej pieczęci* Ingmara Bergmana.

Gdy znów się odwróciła, był tuż obok. Zaledwie o kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Kredowobiałe gałki oczne wpatrywały się w nią uporczywie.

– Ma pani chwilę? – spytał dystyngowanym angielskim.

– Oczywiście – odparła porucznik Louise Ahl, nie do końca poznając własny głos.

\* \* \*

W odróżnieniu od domów opieki społecznej w ośrodku Armii Zbawienia nie prowadzono rejestru zgłaszających się osób. Innymi słowy, nigdy się nie dowiedziała, jak się nazywał ten dziwny nieznajomy. Ale został jeszcze długo po porze zamknięcia i uczestniczył w modlitwie, która odbywała się w ośrodku trzy razy w tygodniu. Ku jej niezadowoleniu Janne przez cały czas mu towarzyszył. Porucznik Louise Ahl wcale nie była przekonana o jego pragnieniu wiary i zbawienia.

Sama też brała udział w modlitwie. Prowadził major Bengtsson. Od czasu do czasu zerknęła w stronę tego dziwnego nieznajomego. Wydawał się głęboko pogrążony w modlitwie i dopiero pod koniec dostrzegła małą słuchawkę, która wystawała mu z ucha.

Gdy modlitwa dobiegła końca, jeszcze przez jakiś czas siedział z Jannem. Rozmawiali cicho, prawie szeptem. A gdy skierowali się do wyjścia, dziwny nieznajomy pospiesznie uniósł rękę w jej stronę w geście pożegnania. Skąd mógł wiedzieć, gdzie siedziała? Długo nie opuszczała uniesionej ręki. Nie była pewna, czy potrafił to w jakiś sposób wyczuć.

Widziała ich przez okno, gdy wypadli na Långholmsgatan, dwie skulone, obszarpane postacie, które niemal zderzyły się z jakimś mężczyzną o latynoskim wyglądem, trzymającym w ręce tablet, a potem

ruszyły w stronę Bergsunds Strand.

Wtedy uderzyła ją myśl, że w innych czasach z pewnością nie nazwano by jej porucznikiem. I widok tych dwóch smutnych postaci na chodniku sprawił, że poczuła, iż to pasowałoby o wiele lepiej.

W dziewiętnastym wieku nazywano by ją samarytanką.

Gdy zebrała swoje rzeczy, by wrócić kolejną do domu, czuła prawdziwe uniesienie. Jak prawdziwa samarytanka.

Samarytanka Louise Ahl po spełnieniu dobrego uczynku.

Jej kroki od dawna nie były tak lekkie.



Haga, 1 lipca

GDY POMRUK NASILIŁ SIĘ i przeszedł w gwar, Paul Hjelm spojrzął na swoich ludzi. Wszyscy, z wyjątkiem czterech, siedzieli w tylnej części głównej sali w nowej siedzibie głównej Europolu. Ci, których brakowało, jednoznacznie wyrazili życzenie, by nie uczestniczyć w inauguracji nowiuiteńskiej siedziby.

Zdania były podzielone, na przykład co do życzenia Arto Söderstedta, by być obecnym w głównej sali, ale Jutta Beyer chciała tu być – choć po wczorajszej traumie z pewnością miała prawo do kilku dni wolnego – a Arto najwyraźniej sądził, że ma wobec niej pewien dług. Hjelm uśmiechnął się do z pozoru niewzruszonej Beyer, po czym odwrócił się do Kerstin Holm, która siedziała obok niego na krześle, niespecjalnie odstawiona i niespecjalnie zainteresowana. Z lekkim błyskiem ironii w oczach, który być może wydawał się mocniejszy, ponieważ ogłuszający gwar zaczynał cichnąć.

Za nią siedziało interesujące trio. Przystojny Felipe Navarro prezentował się dobrze przy wszystkich oficjalnych okazjach, Angelos Sifakis, zastępca szefa grupy Opcop, szczupły i surowy, niewiele mu ustępował, Włoszka Donatella Bruno zaś, ich kobiecy odpowiednik, posiadała niezawodną zdolność dopasowywania się do wszystkiego. Iście po śródziemnomorsku. Czy to naprawdę przyzwyczajenie do formalnych imprez, nabyte w ciągu wielu tysięcy lat, dawało o sobie znać w dzisiejszym pokoleniu? W każdym razie całej trójce udawało się wyglądać na autentycznie pełnych nadziei.

Ale ten pełen nadziei nastrój nie dosięgnął ich szefa. Gdy tylko gwar gwałtownie ucichł i królowa Holandii Beatrix wkroczyła do głównej sali, Hjelm znikł kilka pięter wyżej. Poczuł co prawda, jak Kerstin Holm łapie go za rękę, ścisnął szybko jej dłoń, ale sam nie miał zamiaru być jednym z siedmiuset dygnitarzy zebranych na sali.

Myślami był gdzie indziej.

Wcześniej rano w lokalu Opcop, w nowym budynku Europolu. Musieli odbyć spotkanie wcześniej, ponieważ rozpoczynał się trzeci i ostatni dzień European Police Chiefs Convention. Na początek obie grupy robocze miały wygłosić końcowe uwagi i podsumowanie. Jörg Ziercke z niemieckiej federalnej policji kryminalnej miał podsumować dyskusję o przyszłości walki z przestępczością zorganizowaną, francuski kryminolog Xavier Raufer zaś miał podsumować dyskusję o przyszłości walki z terroryzmem. Następnie przewidziany był *High-level discussion panel* z najróżniejszymi dygnitarzami. I na koniec sama inauguracja.

Przypomniał sobie, jak oczy Kerstin się rozszerzyły, gdy po raz pierwszy weszła do lokalu grupy Opcop, i kiedy rozejrzał się po dziwnie widnym otwartym pomieszczeniu biurowym, czuł się tak, jakby widział je po raz pierwszy. Jej oczami.

Tak właśnie powinno wyglądać życie.

Byli pierwsi na miejscu – z wyjątkiem rzemieślników, którzy zajmowali się czymś bliżej nieokreślonym za plastikową zasłoną w najdalszej części otwartego pomieszczenia biurowego. Chciał wykorzystać tę szansę, by ją oprowadzić, dopóki są tutaj tylko we dwoje. I naprawdę po raz pierwszy zwrócił uwagę na to światło. Delikatne i subtelne. Jak nadzieja. Autentyczne oczekiwanie. To było prawie tak, jakby Europa miała mimo wszystko jakąś przyszłość.

Stali tak przez chwilę, dwoje bliskich sobie ludzi, i pozwolili sobie bez słów przez chwilę w to uwierzyć.

Uwierzyć w to światło.

Potem powróciła codzienność i zaczęli schodzić się kolejno członkowie grupy Opcop, z wyjątkiem trojga – podczas odprawy Kowalewskiego przydzielono do kawalerki poniżej U.M.A.N. Imports, Bouhaddi zaś towarzyszyła Marinescu. Pozostali zgromadzili się w kącie otwartego pomieszczenia biurowego, gdzie na elektronicznej tablicy widniało podsumowanie aktualnego stanu rzeczy. Zostało im jeszcze trochę ponad godzinę do rozpoczęcia konferencji. Bardzo zmęczony Adrian Marinescu powiedział z ekranu:

– Nie.

– Nie? – powtórzył Paul Hjelm.

– Nie. Nic w ich rozmowach nie wskazuje na to, by podejrzewali, że z pożarem było coś nie tak.

Zdają się uważać, że takie rzeczy zdarzają się w wielkich miastach. No i są z Bukaresztu...

– Okej, dobra – powiedział Hjelm. – Dzięki Adrian, odpocznij sobie teraz trochę.

Hjelm zwrócił się do swoich słuchaczy i ciągnął:

– Z drugiej strony dowiedzieliśmy się, że nasi trzej przyjaciele porozumiewają się w inny sposób niż poprzez rozmowy. To chyba najważniejsza rzecz, jakiej nauczyliśmy się z wczorajszej akcji, nie sądzicie? Dwa razy się rozdzielili, choć wcześniej ani słowem o tym nie napomknęli. Udali się w dwa miejsca spotkań, o których nic nie wspominali, i oba w oczywisty sposób były umówione z góry, na konkretną porę, a szef miał ze sobą komórkę, o której dotąd nie wiedzieliśmy. Już samo to jest bardzo pouczające. Obserwujemy ich dwadzieścia cztery godziny na dobę, słyszymy każde słowo, jakie zamieniają w tym cholernym mieszkaniu. Dlaczego nic o tym nie wiedzieliśmy?

– Wiemy przecież, że mają główną siedzibę w tym lokalu od czterech miesięcy – odezwał się Angelos Sifakis znad komputera. – Obserwujemy ich dopiero od dwóch tygodni. Istnieje możliwość, że realizują plan, o którym nie zdążyliśmy się dowiedzieć.

– Inna możliwość jest taka, że dostają instrukcje w listach – wtrącił Felipe Navarro. – Teraz będziemy mogli je monitorować. W przyszłości wszystko pójdzie łatwiej.

Paul Hjelm zamyślił się i zmarszczył brwi.

– To było ryzykowne przedsięwzięcie – oświadczył. – Byłoby dobrze, gdybyś wcześniej uprzedził o swoim planie przełożonych, Felipe. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak byliśmy bliscy stracenia Jutty.

– Rozumiem to – odparł Navarro. – I przepraszam. Ale z drugiej strony wiązało się z tym kilka pechowych zbiegów okoliczności.

– Można to było zrobić w bezpieczniejszy sposób, gdyby plan został dokładniej omówiony – nie ustępował Hjelm.

– Tylko że *nie było* żadnego planu! – wybuchnął Navarro. – Było tylko parę niejasnych pomysłów, które nagle *stały się* planem. I które zostały omówione i zaakceptowane.

– Zgadza się z nim – odezwała się Jutta Beyer.

Wszystkie spojrzenia powędrowały w jej stronę. W jakiś sposób te nieznośne godziny, które spędziła w kuchennym schowku, zupełnie utonęły wśród różnych tropów i akcji ratunkowej. To było tak, jakby dopiero teraz ją zauważyli.

– Zgadzasz się? – powtórzył Hjelm.

– Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie przepracowałam tych klaustrofobicznych godzin – odparła szczerze Beyer – i całkiem możliwe, że w najbliższym czasie będą mnie prześladować w snach. Ale plan Felipego był dobry. Te drobne błędy, do których doszło, były niczym wobec nieprzewidzianych zbiegów okoliczności.

– Z wyjątkiem pyłu z wiertarki – wtrącił Arto Söderstedt.

– I z wyjątkiem tego, że przydzieliłem dwie osoby do śledzenia trzech – dodał Angelos Sifakis.

– I tego, że konsekwentnie dbałem o to, by śledzili niewłaściwe osoby – powiedział Felipe Navarro.

– I tego, że dałem zielone światło operacji, która nie została gruntownie oceniona pod kątem ryzyka – stwierdził Paul Hjelm.

– Ale musieliśmy działać szybko – upierała się Jutta Beyer. – I warto było zaryzykować. Pomyślcie tylko o wszystkim, co udało nam się osiągnąć.

– No tak – powiedział Hjelm. – Co właściwie osiągnęliśmy?

– O jednej rzeczy już wspominaliśmy – odparł Navarro. – To ich porozumiewanie się bez słów. Wszyscy trzej dokładnie wiedzieli, co mają robić i kiedy. I nie wspomnieli o tym nawet jednym słowem.

– W takim razie musimy powrócić do zasadniczego pytania – odezwał się Hjelm. – Czy zrobili to wszystko bez słów, bo podejrzewają, że są obserwowani? A może istnieje jakiś inny plan działania, prawdopodobnie ustalony w listach, którego przestrzegają co do joty?

– To mnie właśnie wczoraj uderzyło – powiedział Navarro. – Wydawało mi się, że rozpoznaję taką ogólnie antyelektroniczną strategię.

– Skąd? – spytał Hjelm.

– Nie wiem. Nie udało mi się do tego dojść. Ale teraz, gdy spojrzeć wstecz, po upokarzającej rozmowie telefonicznej w Oude Kerk i spotkaniu w Domu Anny Frank, rysuje się chyba prawdopodobny scenariusz.

– Widziałam w kościele, jak ktoś strasznie rozstawiał po kątach ich szefa – oświadczyła Laima Balodis.

– A ten, którego widziałam w Domu Anny Frank, był z całą pewnością Włochem – dodała Miriam Hershey i kliknęła coś na komputerze.

Na elektronicznej tablicy pojawiło się kwadratowe zdjęcie, którego jakość pozostawiła co nieco do życzenia. Obie widniejące na nim postaci były jednak całkiem wyraźnie widoczne.

– A więc z tego, co wiemy z rozmowy telefonicznej szefa przeprowadzonej w kościele, karczycho ma na imię Ciprian – ciągnęła Hershey. – Rumuńska policja nic na niego nie ma, jak zwykle. I nie ma też nic na tego niższego mężczyznę, który podaje Ciprianowi kopertę bąbelkową. Chociaż jego szukaliśmy przez włoską policję.

Wszyscy obecni wpatrywali się w zdjęcie dobrze ubranego mężczyzny, którego twarz była niestety trochę zamazana. Miriam Hershey jako jedyna dokładnie wiedziała, jak wyglądał.

– We Włoszech nic nie mieli – odezwała się Donatella Bruno. – Ale to jasne, że jest Włochem. Niestety niewiele mówią, ale z tego, co słyszę, to raczej włoski z południa niż z północy. Ciprian głównie mruczy pod nosem.

– Załaduję czystopis – powiedział Sifakis i po chwili na elektronicznej tablicy pojawił się skrypt z krótkiej i zwięzłej rozmowy C z W, czyli Cipriana z Włochem.

W: Żadnych problemów?

C: Nie.

W: Dwie ważne sprawy. Zapamiętasz, co ci powiem?

C: Nie jestem idiotą.

W: Wiem. Inaczej byśmy cię nie wybrali. Pytałem, jak z twoją pamięcią. Nie wybieraliśmy cię ze względu na nią.

C: Słucham.

W: Dwie sprawy. W porządku?

C: W porządku.

W: O pierwszej Vlad jest w tej chwili informowany. To ważne. Druga jest taka, że zakres waszej działalności się poszerzy.

C: Poszerzy?

W: Szczegóły są tutaj. Ale musisz pamiętać, że to dwie wspomniane sprawy są najważniejsze.

C: Wiadomość dla Vlada i poszerzenie działalności?

W: Bystry chłopak. Dzisiaj jest u nas prawie tak ciepło jak na południu. Ciao!

– Ciao!

Sifakis zostawił tekst na elektronicznej tablicy i powiedział:

– Miriam nie udało się nagrać samego początku, ale mamy powody sądzić, że Włoch na próżno próbował kulturalnie zagadnąć nieco ograniczonego Cipriana. A więc prawdopodobnie mamy tu

wszystko, co najistotniejsze.

– Między innymi, że szef nosi piękne, stare imię Vlad – stwierdził Arto Söderstedt.

– Wydawało mi się, że wokół niego unosi się smród krwi – powiedziała Miriam Hershey.

– Przecież miałaś maskę gazową – zauważył Söderstedt.

– Mówię o silnym smrodzie. Takim, który przez nią przenika – odparła Hershey.

– Po kolei – rzucił Hjelm. – Czego się dowiadujemy?

– Że ochroniarz Ciprian został wybrany przez jakichś „nas” – powiedziała Jutta Beyer.

– I oczywiście, że pojawiły się dwie nowe sprawy – dodał Felipe Navarro. – Jedna wiąże się z tym, że zakres działalności grupy się poszerzy. A o drugiej równocześnie jest informowany Vlad.

– Co nas prowadzi do rozmowy telefonicznej w kościele, po rumuńsku – stwierdził Sifakis i kliknął coś na komputerze. Na elektronicznej tablicy pojawił się kolejny skrypt:

– Dzwoniłem przed chwilą. Ale nikt nie odbierał? (...) Nie, z tym nie było żadnych problemów. Zupełnie żadnych. (...) Chodziło tylko o to, że mieliśmy umówioną porę... Tak, nie, przykro mi. (...) Nowe wytyczne? Aha, rozumiem. Ale my... (...) Nie, to nic takiego. Kiedy? (...) Ciprian tam teraz jest, tak. A jak...? (...) Tak, a jak połączyć? Ach, listy. Tak, rozumiem. (...) Nie, nie. Jest bezpieczny. *Burner*. Zaraz potem wyrzucę kartę. (...) Ale czy możemy wysłać wiadomość? (...) Że jeśli będziemy mieli wątpliwości co do... (...) Dobra, dobra. Żadnej wiadomości. Zostawmy to. (...) Następna pora wciąż aktualna? Dobrze, dobrze.

– Mamy tutaj do czynienia z komunikacją w jedną stronę, po rumuńsku – stwierdził Sifakis. – Do tej pory nie udało nam się ustalić, co mówił drugi rozmówca ani gdzie się znajdował. Technicy wciąż pracują i twierdzą, że istnieje jeszcze niewielka szansa. Coś w rodzaju zaawansowanego wyszukiwania satelitarnego.

– Ale na razie musimy się oprzeć na tym, co tutaj mamy – powiedział Hjelm. – A więc co tutaj mamy?

– Przede wszystkim dowiedzieliśmy się, że nad nim jest ktoś jeszcze, również jakiś Rumun – powiedział Söderstedt. – Vlad jest najwyżej jakimś podrzędnym szefem albo tylko administratorem działalności zebraczej mafii w Europie.

– Ale ta działalność wkrótce zostanie poszerzona – dodał lekko podekscytowany Navarro. – To o tym dowiadują się i on, i Ciprian. „Nowe wytyczne”, „zakres waszej działalności się poszerzy”. I dla Vlada to jest niespodzianka. Niezbyt przyjemna niespodzianka.

– Mają „wątpliwości” co do tej zmiany – stwierdziła Beyer. – Chcą nawet wysłać „wiadomość” na ten temat. Dokąd?

– To świadczy o tym, że Vlad jest co najmniej dwa szczeble od prawdziwej władzy – wtrąciła Donatella Bruno. – Istnieje jakiś rumuński szef i jeszcze jeden, być może włoski.

– Wrócimy jeszcze do tego – powiedział Hjelm. – Chcę wam pokazać film, którego wcześniej nie

widzieliście.

Cisza, która zapadła w nowym, skąpanym w świetle pomieszczeniu biurowym, nie trwała długo, ale była bardzo wymowna.

– Hmm – mruknął Sifakis, spoglądając trochę krzywo na szefa. – Wracając do tej rozmowy telefonicznej. A więc to nie może być ta z dwóch spraw Cipriana, która brzmiała: wiadomość dla Włada. Bo chodzi o inną sprawę, nowe wytyczne, poszerzenie działalności. Co jest w takim razie wiadomością dla Włada?

– Że listy należy *połączyć* – powiedziała Jutta Beyer.

– I co to znaczy?

– Podczas wycieczki po Amsterdamie odbierają przecież dwie z kopert bąbelkowych – wyjaśniła Beyer. – Jedną spod piątego krzesła w ósmym rzędzie w Oude Kerk i drugą, którą Włoch dostarcza osobiście w Domu Anny Frank. Wiemy, że koperty zawierają „listy”, i przypuszczam, że to właśnie te „listy” należy połączyć.

– Sądzę, że masz rację – powiedział Sifakis. – A poza tym przypuszczam, że to nam może pomóc w złamaniu szyfru. Ale myślę, że do tego wrócimy, kiedy już szef pokaże nam film.

– Jeszcze nie dotarliśmy do tego etapu – powiedział Hjelm. – Pominęliśmy jeden trop. Felipe, wydawało ci się, że rozpoznajesz „ogólnie antyelektroniczną strategię”? I że te dwie rozmowy sprawiły, że scenariusz stał się jaśniejszy? Rozwiń to, proszę.

Felipe Navarro zmarszczył brwi i poprawił krawat. Tyle tylko że go nie miał; krawat odpadł mu podczas urlopu ojcowskiego, by już nigdy nie powrócić. Gest wypadł bardzo dziwnie.

– Tak – powiedział i westchnął ciężko. – Wygląda na to, że Wład używa komputera tylko do grania. Zidentyfikowaliśmy nawet tę grę, to Snood, taka głupawa gierka, w której się strzela do okrągłych ludzików. Mają przecież bezprzewodowe, szerokopasmowe połączenie z internetem, ale nigdy go nie używają. Otóż *istnieją* organizacje, którym udało się utrzymać i wzmocnić swoją władzę w naszych elektronicznych czasach właśnie dlatego, że w znacznym stopniu trzymają się tradycyjnych metod. Nie pozostawiają po sobie elektronicznych śladów. Właśnie to wydało mi się znajome.

– Włoskie organizacje? – dopytywał Hjelm.

– Może – odparł Navarro. – Handel żywym towarem w Europie się centralizuje. To jasne, że branża żebraczej, która w tym kontekście jest przecież na marginesie, nie można oddzielić od na przykład robotników pracujących na czarno albo od handlu kobietami. A to przecież o wiele grubsze sprawy.

– Ale do tej pory były chyba zdominowane przez *Rosjan*?

– Myślałem, że to Rosjanie się z nimi skontaktują – przyznał Navarro. – I oczywiście wciąż może się tak okazać. Pojedynczy Włoch to jeszcze nie 'ndrangheta, camorra czy cosa nostra.

– Ale gdyby był Rosjaninem, nie mówiłby po włosku – wtrąciła Donatella Bruno. – Okazywał w ten sposób, że ma władzę. Przypuszczam, że ten mężczyzna, z którym Ciprian spotkał się w Domu Anny Frank, to dość wysoko postawiony gracz. Wiele o tym świadczy.

– To może być przecież Włoch, który pracuje dla Rosjan – podsunęła Beyer.

– Owszem – zgodziła się z nią Bruno. – Chociaż byłoby to bardzo niezwykle.

– A ja mu pozwoliłem odejść – mruknął ponuro Navarro. – Powiedziałem takiej specjalistce w śledzeniu jak Miriam Hershey, żeby ruszyła za ochroniarzem Ciprianem, który poszedł do trafiki, żeby kupić kubańskie cygara. Zamiast kazać jej śledzić Włocha, grubą rybę z mafii, do jego tajnej siedziby.

– Wasze domysły – wtrącił Hjelm – są zgodne z przyczyną, dla której w ogóle zaczęliśmy ich obserwować. Nigdy jej przecież nie poznaliście. I dopiero teraz turecka policja przekazała nam film. Domyślam się dlaczego. Pewnie trzeba go było porządnie wyczyścić, żeby pasował do kontekstu Unii Europejskiej.

– Turecka?! – wybuchnął Angelos Sifakis.

– Turcja ma największą na świecie populację Romów – odparł Hjelm. – Bardzo niewiele o tym wie, bo od tysiąca lat żyli nienękani przejawami rasizmu. Za czasów imperium osmańskiego Romowie odgrywali ważną rolę, na przykład jako handlarze koni i wikliniarze. Ale w dwudziestym wieku zaczął się ucisk i sytuacja coraz bardziej przypominała tę, która przez cały czas trwała w Europie. W czasach współczesnych Romowie trafili poza nawias, a w azjatyckiej części Stambułu całą ich tradycyjną dzielnicę Sulukule zmieniono w gigantyczne romskie getto. I są plany, żeby zrównać je z ziemią. Chodzi o prawie milion Romów w jednym z największych miast świata, a na Zachodzie nie słyszymy o tym ani słowa.

– Przy tym deportacje z Francji wydają się całkiem łagodne – zauważył Arto Soderstedt.

– Sulukule stawało się stopniowo jednym z najważniejszych rejonów pozyskiwania romskich żebraków. Równie ważnym jak Rumunia – powiedział Hjelm. – I to stamtąd pochodzi ten film. Policyjne przesłuchanie Buraka Korkmaza, najwyżej postawionego członka tureckiej filii szajki, jakiego dotąd udało się schwytać.

Obraz na elektronicznej tablicy się zmienił. Zamiast tekstu pojawiło się nieruchome ujęcie ukazujące mężczyznę przy stole. I nikogo poza nim, choć można się było domyślić obecności jeszcze co najmniej jednego mężczyzny. Półmrok. Mocno zaciśnięte na nadgarstkach paski przymocowane do metalowego stolika. Pot spływający po twarzy, strużki rozdzielające się jak delta rzeki i rozmazujące brud, który spływał do kącików ust. Rozmowa prowadzona była po turecku, a poniżej widniały angielskie napisy. Tekst pierwszej sekwencji, w której Burak Korkmaz był jeszcze opanowany i odpowiadał krótko, brzmiał:

– Kto jest twoim zleceniodawcą?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Komu odsprzedajesz niewolników?

– Niewolników? Ja?

– Przyłapaliśmy cię na gorącym uczynku.

– A dokładniej na czym?

– Na wykupywaniu niepełnosprawnych z ruder w getcie.

– Nikogo nie kupiłem. Wyłożyłem własne pieniądze, żeby ci biedacy mieli lepsze życie. Zrobiłem coś humanitarnego.

– Jak to, żeby mieli lepsze życie?

– Na przykład lepsze wykształcenie, lepszą opiekę.

– Gdzie mają dostać lepsze wykształcenie i lepszą opiekę?

– Mam kontakty. Muszą się wydostać ze swojego szkodliwego otoczenia.

– I dlatego złapaliśmy cię z dwunastką niepełnosprawnych Cyganów, z których połowa była jeszcze dziećmi, a ty właśnie zamierzałeś kupić trzynastego?

– Tak.

– Jesteś pewien, że chcesz, żeby to się odbywało w ten sposób?

Cięcie. Gdy Burak Korkmaz znów się pojawił, miał już inne spojrzenie. Jego twarz była co prawda umyta, ale z kącików ust, tam gdzie wcześniej spływał pot, teraz sączyła się krew. I twarz zdawała się znacznie bardziej opuchnięta. Natomiast głos dobiegający spoza kadru się nie zmienił.

– No to co, spróbujemy jeszcze raz? – powiedział. – Kto jest twoim zleceniodawcą?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Naprawdę uważasz, że już na to pora? Nie sądzisz, że przydałaby ci się jakaś przerwa?

– Zleceniodawcą...?

– Już lepiej.

– Myślicie, że co robię?

– Nie myślimy. *Wiemy*, co robisz. Ale nie wiemy *dla kogo*. Chcemy się tego dowiedzieć.

– Robię to dla siebie.

– A więc dbasz o to, żeby ci niepełnosprawni Cyganie trafili jako żebracy do różnych europejskich miast, i robisz to zupełnie sam?

– Tak.

– Och, nie mam nawet ochoty myśleć o tym, jaka będzie następna runda. Chyba zaczynam się robić zbyt miękki do tej roboty.

– Mam ludzi, którzy się tym dla mnie zajmują.

– No, teraz to zaczyna mieć ręce i nogi. Czyli jesteś szefem? Masz pod sobą co najmniej trzynaście jednostek w różnych wielkich miastach w Europie, z których każda zajmuje się dużą liczbą niewolników? Czyli jesteś *grubą rybą*, tak? Powinno się ciebie zamknąć w Diyarbakirze na dożywocie?

– Kto powiedział, że mają trafić do trzynastu miast?

– No to do ilu mają trafić?

– ...

– No? Do ilu miast? Miałeś trzynastu niewolników, kiedy ci przerwaliśmy. Ilu miałeś kupić tego dnia?

– Piętnastu...



- Czyli miałeś zamówienie na piętnastu?
- Pięciu.
- Pięciu? To dlaczego trzynastu?
- Do pięciu miast.
- Zamówienie na piętnastu niewolników, po trzech do każdego miasta? Jak mieli zostać dostarczeni?
- ...
- Jak, kurwa, miałeś ich dostarczyć? Komu?
- To znaczy...
- Żadnych *to znaczy*, absolutnie żadnych. Po prostu to powiedz.
- Dostarczam ich do pewnego domu w Sulukule, to wszystko.
- *Komu?*
- Nie wiem, to pusty dom.
- A jak dostajesz zapłatę?
- Kiedy ich dostarczam, w domu leży koperta z pieniędzmi. I nowe zamówienie.
- Czyli jeśli wybierzemy się teraz do tego domu, znajdziemy tam kopertę z pieniędzmi i nowym zamówieniem?

- Tak. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi.
- Nigdy nie spotkałeś nikogo, kto za to odpowiada?
- Nie.
- Teraz przynajmniej kupiłeś sobie trochę czasu.

Przejście do następnego klipu było szybkie i brutalne. Wydawało się, że oczy Buraka Korkmaza zniknęły, jakby ktoś wcisnął je głęboko w napuchniętą głowę, która kołysała się w przód i w tył. Głos spoza kadru powiedział spokojnie:

- A więc okłamałeś nas. Mogłeś inteligentniej wybrać adres. Pod tym, który nam podałeś, jest meczet.
- Nie mogę o nich mówić. Nie wolno mi.
- Czyli uważasz, że są niebezpieczniejsi niż my?
- Ja to *wiem*. Widziałem różne rzeczy...
- Zapewniam cię, że jeszcze do tego wrócimy. Kim są ci oni?
- Nie wiem, spotkałem ich tylko raz. Zwykle kontaktuję się z pośrednikiem.
- Ale możesz ich opisać?
- To Rumuni.
- Rumuni?
- Trzech. Dwóch wysokich, jeden niższy. Nie znam nazwisk.
- Ale słyszałeś, jak rozmawiali?
- Tak, po rumuńsku.
- A ty nie znasz rumuńskiego? Teraz dobrze się zastanów nad odpowiedzią.

– Nie.

Znów cięcie i kolejny klip. Burak Korkmaz opierał teraz głowę o stół; wydawało się, że jego mięsisty policzek niemal rozlewa się na blacie. Wśród członków grupy Opcop dał się słyszeć szmer, a byli przecież ludźmi, którzy sporo w życiu widzieli. Neutralny głos powiedział:

– No to udało się nam ustalić, że wychowałeś się jako przybrane dziecko w rodzinie rumuńskich uchodźców w zachodnim Stambule, prawda?

– ...

– Prawda?

– Tak.

– Czy tych trzech Rumunów wiedziało, że rozumiesz, co mówią?

– Nie wydaje mi się.

– Myśleli, że jesteś pospolitym tureckim przestępcą, który nie zna języków obcych?

– Tak myślę.

– No i co mówili?

– Nie mogę...

– Już uznałeś, że pora na przerwę?

– Nie! Nie, nie. Ja...

– Ty...?

– Zamordują mnie w więzieniu. Nie mogę.

– Dlaczego ci się wydaje, że zajdziesz aż tak daleko?

– Nie mogę...

– No to zrobimy sobie przerwę. Wyłącz kamerę, Emre.

– Nie! Nie, słyszałem...

– Co słyszałeś?

– Rozmowę przez telefon.

– No i?

– Słyszałem trzy rzeczy.

– No dobra. Trzy rzeczy.

– Słyszałem, że mają nową bazę. W Amsterdamie.

– W Amsterdamie? Świetnie.

– A druga rzecz?

– Nie wiem, co to znaczy, ale powiedzieli „U.M.A.N. Imports”.

– Uman?

– Tak.

– Doskonale, Burak. A ta trzecia rzecz?

– Nie zrozumiałem tego. To była jakaś straszna zbitka spółgłosek. Nie ma takiego słowa po rumuńsku.

- Spróbuj.
- Brzmiało to mniej więcej jak „drageta”.
- Drageta?
- Tak.
- Hmm. A może bardziej tak: ’ndrangheta?
- Tak. Może.

I na tym film się kończył.

Członkowie grupy Opcop wydali z siebie głośne westchnienie. Paul Hjelm wyjaśnił:

– Miesiąc temu, gdy planowano obserwację, nie mieliśmy tego filmu. Mieliśmy jednak cynk od tureckiej policji o Amsterdamie, U.M.A.N Imports i ewentualnej ’ndranghecie. Postanowiliśmy działać na tej podstawie.

– A gdybyście wiedzieli, że te informacje wyszły na jaw po zastosowaniu tortur? – spytała Jutta Beyer.

– I tak byśmy działali na tej podstawie – odparł jednoznacznie Hjelm.

– Dlaczego nawet prawa ręka i najbliższy współpracownik szefa się o tym nie dowiedział? – spytał Angelos Sifakis, spoglądając krzywo na Hjelma.

– Chciałem, żebyśmy sami znaleźli powiązanie z Włochami – odparł spokojnie Hjelm. – Jak z pewnością rozumiecie, może to oznaczać drogę prosto do serca mafii. Jeśli właściwie rozegramy swoje karty.

– I wykorzystamy zeznania ofiary tortur – dodała Beyer.

– Czy możemy uznać, że składanie protestów już się skończyło? – spytał Hjelm, wcale nie pytając. – I przejść dalej? Zostało nam tylko pół godziny do rozpoczęcia ostatniego dnia naszej wspaniałej policyjnej konferencji.

– Na czym stanęliśmy? – spytała prosto z mostu Laima Balodis.

– Na połączeniu listów – wyjaśniła precyzyjnie Jutta Beyer.

– To znaczy... – zaczął Hjelm i spojrzał na Beyer. – Czy mamy teraz wystarczająco dobry obraz z nowo ustawionych kamer? Jeśli dobrze pamiętam, wczoraj było to niejasne.

Felipe Navarro odchrząknął. Wydawał się bardzo dumny z siebie.

– Pozwól, że wyjaśnię – powiedział. – Wiemy, że szef, czyli Wład, po wrzuceniu karty SIM do kanału wybrał się na dłuższy spacer. Gdy obaj ochroniarze opuścili go i wrócili do domu – czy nie powinniśmy teraz wymyślić jakiegoś imienia także dla karczycha numer dwa? – Laima śledziła go aż do pewnego przybytku w Red Light District, a ponieważ szedł tam bardzo okreśną drogą, w jego sposobie postępowania daje się zauważyć pewną ostrożność, która bynajmniej nie wynikała z poczucia wstydu, lecz może wskazywać na jakiegoś rodzaju związek z szajką. Handel ludźmi dwojakiego rodzaju.

– Mam wrażenie, że ty też wybrałaś się na długą i krętą wędrówkę – zauważył Hjelm, zerkając na zegar.

– Zmierzam do domu – odparł niewzruszenie Navarro. – Vlad wrócił do domu stosunkowo późno, po dwugodzinnej wizycie w eleganckim przybytku Red Red Love, i zastał na miejscu dwie koperty bąbelkowe leżące na biurku, które możemy sobie obejrzyć z *tej perspektywy*.

Gdy klikał, żeby przywołać na elektroniczną tablicę dwa zdjęcia, Laima Balodis oświadczyła:

– Chciałabym zauważyć, że nie wiem, co robił w Red Red Love. Przez półtorej godziny stałam na zewnątrz i zaliczyłam w tym czasie szesnaście nieprzyzwoitych propozycji.

– Za to ja wiem, co wtedy robiłam – mruknęła Jutta Beyer. – Nie dostałam ani jednej nieprzyzwoitej propozycji, zapewniam was.

– O, proszę – powiedział Navarro, wskazując na dwa równoległe ułożone zdjęcia kopert bąbelkowych leżących na biurku. – Jak widzicie, kamery ustawione pod nowym kątem doskonale się sprawdzają. Wygląda to jak dwa nieruchome kadry, ale tak nie jest. Zaraz się zacznie.

I faktycznie się zaczęło. Na jednym z obrazów – tym z nowej kamery, zamontowanej trochę dalej i bardziej ukośnie – pojawiły się jakieś fragmenty bossa Vlada, który sięgnął po jedną z kopert. Na obrazie z drugiej kamery, znajdującej się bliżej, ale teraz właściwie ustawionej, panował jakiś niewyraźny chaos. W końcu stało się jasne, że Vlad wsunął kopertę bąbelkową do jakiegoś urządzenia przypominającego skaner. Po kopercie przesunęła się smuga światła, Vlad wpatrywał się w jeden z monitorów komputera. Navarro zatrzymał obraz i powiedział:

– Najwyraźniej na kopertach jest jakieś oznaczenie, które potwierdza ich autentyczność. To właśnie sprawdza Vlad.

– Chciałbym się temu przyjrzeć trochę dokładniej – powiedział Arto Söderstedt. – Szkoda, że nie mamy żadnej kamery wycelowanej prosto w monitor.

– Postanowiliśmy przecież z tego zrezygnować – odparł Navarro. – Doszliśmy do wniosku, że Vlad używa komputera wyłącznie do grania w Snood. Z drugiej strony teraz, po wymianie chipów, możemy dostrajać kąt kamery. Choć istnieje ryzyko, że coś usłyszą.

Znów uruchomił film. Vlad wysunął kopertę z urządzenia i ją otworzył. Wyjął kartkę papieru, na której było bardzo niewiele tekstu, i dokładnie w chwili gdy znaki – litery, cyfry – stały się wyraźne, znów się zamazały. Można było odnieść wrażenie, że kamery uległy jakiejś awarii technicznej, ale wtedy Navarro zmienił obraz. Teraz inna kamera pokazywała cały salon. Ten obraz też był zamazany. Ochroniarz o imieniu Ciprian wstał i zawołał coś po rumuńsku; równocześnie rozległ się głos Adriana Marinescu, który przetłumaczył: „Kurwa, już od jakiegoś czasu czuję ten dym”. Karczycho numer dwa odpowiedziało: „W Amsterdamie przecież zawsze czuć dymem”. Na to odezwał się Vlad: „To inny rodzaj dymu, moi panowie. Moglibyście wyjrzeć na klatkę schodową”. Ciprian podszedł do drzwi i je otworzył. W tej samej chwili do mieszkania wpadł przejęty strażak. Dymu gwałtownie przybyło, jakby wcześniej drzwi dawały świetną izolację; i zapewne tak było. Podekscytowany strażak gestykulował intensywnie, wskazując na drzwi, i wyrzucał z siebie po flamandzku jakieś słowa, których nie dało się zrozumieć. Vlad szybko wsunął obie koperty bąbelkowe do szuflady biurka i zamknął ją na klucz. Potem

cała trójka ruszyła za strażakiem, zasłaniając twarze chustkami. Tuż przy drzwiach natrafili na dwóch innych strażaków. Gdy ci minęli biurko, wyższy z nich uniósł kciuk w stronę kamery. Felipe Navarro znów zatrzymał obraz i powiedział:

– To było chyba niezbyt profesjonalne.

– Przecież w tych maskach gazowych nie widać, kto jest kim – zauważył Arto Söderstedt. – To był znak. Wyłącznie dla ciebie, Felipe.

– Choć dokładnie mówiąc – wtrąciła Hershey – był przeznaczony dla brygadiera straży pożarnej na klatce schodowej. Tego, który miał papier toaletowy w spodniach.

– W porządku – powiedział Navarro, ignorując tę precyzję. – Przesuwamy się w czasie. Trzy godziny później. Po dymie nie zostało ani śladu. Panowie wracają. Trochę mruczą. Ani słowem nie wspominają, by ten pożar wzbudził w nich jakieś podejrzenia, jak już wcześniej mówił Adrian. Mimo to idą prosto do biurka. Vlad otwiera szufladę, wyjmuje koperty bąbelkowe. Znów skanowanie czy jak to nazwać. Teraz patrzcie.

Druga koperta została rozerwana i po kilku sekundach obie kartki wylądowały obok siebie na biurku. Navarro znów zatrzymał obraz.

– Tutaj mamy obie zaszyfrowane wiadomości – powiedział, klikając coś na komputerze. – I jeśli spojrzeć na nie z *tej perspektywy*, zobaczymy coś takiego.

Oba listy pojawiły się teraz w dwóch rogach elektronicznej tablicy. Powoli zbliżyły się do siebie i nałożyły, a wówczas stało się jasne, że do siebie pasują. Tam, gdzie na jednej kartce były puste miejsca, na drugiej widniały znaki i po nałożeniu jednej na drugą puste miejsca się wypełniły.

– Tak, razem tworzą jedną zaszyfrowaną wiadomość – powiedział Navarro. – Znajduje się teraz u naszych kryptologów, kilka budynków dalej, wraz z poprzednim listem, który Kowalskiemu udało się odebrać posłańcowi rowerowemu. Teraz przynajmniej mają z czym pracować. Gdy ostatnio z nimi rozmawiałem, byli pełni optymizmu.

– Dobrze, Felipe – powiedział Paul Hjelm i znów pospiesznie zerknął na zegar. – Możemy chyba założyć, że ten dziwny podział na dwa listy sugeruje, że ta wiadomość jest specjalna, wyjątkowa?

– Zwłaszcza że prawdopodobnie wiąże się z „nowymi wytycznymi” i „poszerzeniem zakresu działalności” – dodał Sifakis.

– Naprawdę może tak być, że pomysł Felipego wreszcie doprowadził do przełomu w śledztwie – powiedział Hjelm i wstał. – I teraz wkroczymy w nową fazę. Chyba pozostała już tylko jedna sprawa, zanim będziemy musieli lecieć. Jeśli chodzi o ten telefon komórkowy, o którym nie wiedzieliśmy, możemy założyć, że sposób postępowania jest następujący. Vlad ma ciągle wyłączoną komórkę, której nie udało nam się namierzyć. Ma też zestaw kart SIM, *burners*. Wyrzuca je po każdym użyciu. I do tego robi to porządnie, prawda, Laimo?

– Po mojej bardzo stymulującej wizycie pod Red Red Love poszłam do nurków – odparła Laima Balodis. – Wskazałam im dokładne miejsce na Oudezijds Achterburgwal, skąd wrzucił kartę SIM do

kanalu. Ale nie znaleźli jej. Szukali aż do zmroku.

– Niestety, niewiele na to możemy poradzić – stwierdził Hjelm, po czym wziął za rękę Kerstin Holm. – Teraz musimy zejść na konferencję. Spotkamy się po południu. Ten, kto się nie pojawi na inauguracji, będzie przez tydzień siedział w Amsterdamie z Marinescu. – Wychodząc z nowego, superbezpiecznego lokalu grupy Opcop, powiedział do Kerstin: – Ale byłaś milcząca.

– Zabawnie było obserwować cię przy pracy – odparła jego partnerka z lekkim uśmiechem. – Przyleciałam przecież do Hagi na konferencję.

Ale to było wcześniej. Teraz było popołudnie. I świadomość Paula Hjelma powróciła do swojego właściciela w wielkiej sali konferencyjnej w nowej siedzibie Europolu, gdzie królowa Holandii Beatrix stała teraz na scenie i odsłaniała tablicę pamiątkową. Głośne brawa przywołały go do rzeczywistości.

Imponująca nowa siedziba Europolu została oficjalnie otwarta.

Spojrzał na swoich ludzi. Nowy budynek, nowa era, nowe zadania. I jak stwierdzili uczestnicy konferencji w swoich podsumowaniach wygłoszonych wcześniej tego dnia: nowy krajobraz przestępczości. Tak jak ujęto to we wniosku:

*The borderless dimension of modern crime and terrorism calls for a more ambitious role for Europol. The necessity of two Member States being affected by a criminal act before Europol may legally become involved is redundant in the case of a borderless crime. Europol should be able to engage itself more easily. In that field, executive powers for Europol may become necessary in some respects. Obligatory reporting to Europol of all terrorist events in Member States is essential.*

Dokładnie w chwili gdy królowa Beatrix przy coraz głośniejszym aplauzie schodziła ze sceny, by dać się oprowadzić po nowej siedzibie głównej Europolu, Paul Hjelm poczuł wibrowanie w kieszeni. Wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość brzmiała:

„Wydział Szyfrów Europolu. Wszystko wskazuje na to, że złamaliśmy wasz szyfr. Cheers, Tom”.

Paul Hjelm nie miał pojęcia, kim był Paul, ale pomyślał o nim ciepło.

– O do diabła – mruknął pod nosem i zaczął z niespotykaną siłą bić brawo królowej.

Członkowie grupy Opcop odwrócili się i zerknęli na niego.

Sceptycznie.

Bruksela, 1 lipca

GDY PO RAZ PIERWSZY usłyszała określenie „spin doktor”, pomyślała, że chodzi o leczenie jakichś problemów z równowagą. Lekarz, który pomaga pozbyć się zawrotów głowy, wrażenia, że wszystko wiruje. Gdy już się dowiedziała, co to właściwie znaczy, zrozumiała, że wcale nie jest to aż tak dalekie od prawdy. Tyle tylko że w bardzo przenośnym znaczeniu.

Spin doktor był osobą, która miała przywrócić utraconą równowagę. Nie miało to jednak nic wspólnego ze sztuką leczenia, wręcz przeciwnie. Chodziło o ograniczenie politycznych szkód.

Jej naturalna niechęć wobec osób, których lojalność się kupuje – od adwokatów po lobbystów – sprawiła, że późno zatrudniła własnego spin doktora. Dopiero gdy pojęła reguły gry w polityce na samym szczycie, uświadomiła sobie, że w nowym, medialnym społeczeństwie ten nowy rodzaj politycznego doradcy jest koniecznością.

Teraz spin doktor stał przy oknie i z budynku Berlaymont uparcie wpatrywał się w stolicę Unii Europejskiej. Połączył opuszki wszystkich palców, powoli przysunął dłonie do ust i lekko dotknął warg palcami wskazującymi. Potem pokręcił głową, znów sięgnął po komórkę i przyjrzał się zdjęciu.

Z początku nie wiedziała, co o tym sądzić. To mógł być jakiś nieudany dowcip, gafa popełniona nocą, po pijanemu, albo czyjeś chwilowe zaćmienie. Co prawda sam fakt, że zdjęcie się wydostało – że było dostępne, wyrwane z kontekstu, umieszczone gdzieś w „chmurze” – budził niepokój, ale mimo wszystko to była abstrakcja. Abstrakcyjna groźba.

Spadło to na nią strasznie nieoczekiwanie. To dziwnie dobre samopoczucie. Satysfakcja ze spotkania nowych ludzi, których mimo całego pośpiechu zaczęła cenić. A potem po prostu: bach!

Ponad doba przeżyta w takim stanie. Niechęć, by z czymkolwiek to kojarzyć. Lepiej poczekać i się przekonać. Uczucie, że mimo wszystko to może być zbieg okoliczności. Takie stare zdjęcie...

Życie toczyło się dalej. Poranne spotkanie z lobbystami przemysłu jądrowego przebiegło według starego, utartego wzorca. „Czy naprawdę mamy jak jacyś samobójcy pozbyć się najbardziej przyjaznego dla środowiska źródła energii, jakie kiedykolwiek widziała ludzkość?”. „A więc państwa definicja przyjazności dla środowiska to pozostawianie naszym dzieciom, wnukom i prawnukom tysięcy ton najbardziej śmiertelnych odpadów, jakie kiedykolwiek widziała ludzkość?”. „Ostateczne rozwiązanie kwestii składowania jest już bliskie”. „Ostateczne rozwiązanie? Mówi pan poważnie?”. „Nie czepiaj się słów, Marianne. To poniżej twojej godności”.

A jednak przez cały czas czuła się dziwnie nieobecna, jakby nie prowadziła własnego życia, jakby pozostawiła swoje ciało jakiejś aktorce, a sama siedziała na widowni i wyjątkowo krytycznie oceniała interpretację roli. Pożyczony czas, czuła się tak, jakby to był pożyczony czas, jakby lont zaczął się już

palić.

Zdjęcie przysłano we wtorek wieczorem. Długa, ciężka podróż na tylnym siedzeniu, z Amsterdamu do Brukseli. W środę, po porannym spotkaniu z lobbystami sektora jądrowego – to był dzień z naprawdę napiętym harmonogramem – niepokój mimo wszystko zaczął narastać. Wydawało jej się coraz bardziej prawdopodobne, że to miało coś wspólnego z *projektem*.

W końcu nie potrafiła dłużej się powstrzymać, musiała nawiązać kontakt z zespołem badawczym. Nie dodzwoniła się na nieoficjalną komórkę profesora – najwyraźniej zostawił ją w biurze. Może powinna zadzwonić na oficjalną, mimo zakazu? Nie odważyła się. Kontakty były zabronione. Przeprowadziła krótką rozmowę z jego zastępczynią Virpi i jeszcze krótszą z szefem laboratorium Jovanem. Do obojga zadzwoniła na nieoficjalne numery. Żadnych oznak zagrożenia. Nie wydarzyło się nic niezwykłego. Z wyjątkiem tego, że skończyli. Wszystko było gotowe. Czekano tylko na ostatnie wyniki testów, przeprowadzone przez niezależną instytucję, a gdy Niels odbierze i podpisze te wyniki – ostatni czynnik niepewności – wszystko będzie gotowe. Będzie mogła wygłosić swoje przemówienie. Przepchnąć swój projekt aktu prawnego.

Ale czy w głosie Virpi nie słyszała czegoś dziwnego?

Bezsenna noc ze środy na czwartek. To wariackie przecucie, że coś jest bardzo nie tak. Przemozna chęć, by co kwadrans dzwonić na oficjalny telefon Nielsa. Ten, na który nie wolno im było dzwonić. W końcu to zrobiła, z bezpiecznego numeru. Telefon Nielsa był wyłączony. Od razu połączyła się ze skrzynką głosową. Na której oczywiście *nie nagrała* wiadomości.

I kolejny ranek. Zmęczona zjadła śniadanie z kilkoma innymi komisarzami Unii Europejskiej. Luźne rozmowy o ciągłych przepychankach ze Strasburgiem; usiłowała być swobodna, zrelaksowana. A potem SMS.

Z nieoficjalnej komórki Jovana. Krótki i zwięzły:

„Profesor Sørensen nie żyje. Zamordowano go dziś o ósmej rano. Nie wiem nic więcej. Jovan”.

O tym wszystkim wiedział również spin doktor. Teraz odwrócił się do niej; siedziała na wielkiej, wygodnej sofie, doskonałej niegdyś szwedzkiej, a obecnie chińskiej marki Endymion. Zmarszczył brwi i spytał po francusku:

– Marianne Barrière, co my mamy z tobą zrobić?

– W tym wszystkim w bardzo niewielkim stopniu chodzi o mnie – powiedziała komisarz Unii Europejskiej do spraw środowiska.

– Zdaję sobie sprawę lepiej niż ktokolwiek inny, o co w tym wszystkim chodzi – odparł spin doktor. – Trzeba wiedzieć, dokąd się zmierza, ale nie polega to tylko na tym, by trzymać właściwy kurs, trzeba też wiedzieć, skąd wieje wiatr, żeby dopłynąć do celu. Tyle że podczas huraganu diabelnie trudno jest się zorientować, skąd tak właściwie ten wiatr wieje.

– To był cytat – odparła Marianne Barrière. – Proszę, przestań mnie zasypywać banałami.

– Kiedy zacząłem się tobą zajmować, nie miałem pojęcia, jaką mękę z tobą przejdę. Chociaż po tym



politycznym rejsie, o którym w przyszłości będą pisać traktaty, myślałem, że mamy to już za sobą. A okazało się, że to dopiero początek.

– Wiem, że jesteś świetny w tym, co robisz, Laurent...

Spin doktor pokręcił głową i znów spojrzał na komórkę.

– To już nie ma znaczenia, czy jestem świetny – odparł. – Teraz potrzebujemy cudu. Jak myślisz, jak wszyscy cisi zwolennicy, których wyłowiliśmy z tego arktycznego oceanu chrześcijańskich demokratów, zareagują *na to*?

Podsunał jej komórkę, na której zobaczyła siebie, znacznie młodszą i zajęta rzeczami, o których nie mówi się głośno. Ciągnął dalej:

– A tak w ogóle, to jak, u diabła, udało ci się ta sztuka?

– Dość tego – powiedziała Marianne Barrière ze spokojem, który ją samą zaskoczył. – Oddaj mi telefon.

Spin doktor, trochę zbity z tropu, oddał jej komórkę i powiedział:

– Zakładam, że mówimy tu o pojedynczych błędach młodości?

– Byłam młoda, zgadza się.

– Moje pytanie brzmi: czy może istnieć więcej takich zdjęć?

– O istnieniu tego nie wiedziałam.

– To nie jest żadna odpowiedź.

– Nie wiem – powiedziała szczerze Marianne Barrière.

Spin doktor rozłożył ręce w geście rezygnacji i wybuchnął:

– Co ty, kurwa, wyprawiałaś w młodych latach?!

– To samo, co robi bardzo wielu młodych *mężczyzn*. Na widok zdjęcia młodzieńca w podobnej sytuacji nikt by nawet nie zmarszczył brwi. Nie podoba mi się, że tak jest.

– Twoja praca to ideał. Zmienianie stanu rzeczy. Moja polega na tym, żeby radzić sobie z rzeczami takimi, jakie są. Moja robota opiera się na realiach.

– No to powiem ci, Laurent, jak w tym przypadku wyglądają realia. Realia są takie, że profesor Niels Sørensen został brutalnie zamordowany na ulicy w Sztokholmie, w biały dzień. To są realia, a nie jakieś durne zdjęcia z mojej młodości.

– Nie jesteś aż tak naiwna, Marianne.

– Naiwna? To ty jesteś naiwny, jeśli nie rozumiesz, co to oznacza. Trwa wojna na dwa fronty, Laurent. Staram się przepchnąć ten projekt aktu prawnego, z twoją pomocą, przyznaję, i najwyraźniej ktoś za wszelką cenę chce to powstrzymać.

– Nie widzę stuprocentowego związku między tym morderstwem a zdjęciem – skrzywił się spin doktor.

– Czytałeś protokół z sekcji?

– Zwykle nie czytuję takich rzeczy, Marianne.

– Uważam, że w tym przypadku okazałeś się niedbały, Laurent. To morderstwo dokonane na ulicy, brutalne morderstwo w porannych godzinach szczytu, takie, o którym krzyczą nagłówki gazet. To prawda, że zamordowanie Nielsa chwilowo wstrzymuje końcowy efekt badań, bo rozstrzygające wyniki muszą zostać zatwierdzone przez kierownika projektu, ale po nim będzie przecież nowy kierownik projektu. Gdy tylko zostanie mianowany, a zapewne będzie to Virpi, wszystko potoczy się dalej. A więc nie to jest głównym celem.

– Błędnie rozumujesz, Marianne. W tym wszystkim chodzi o to, by ograniczyć szkody i *spróbować* utrzymać piłkę w grze do czasu przemówienia i głosowania. Dlatego nie możemy dopuścić, żeby to zdjęcie, a może *zdjęcia*, trafiły do mediów. Nie wiadomo, od kogo to przyszło?

– Celem tego morderstwa było zastraszenie Virpi, Jovana i pozostałych i zmuszenie ich do milczenia – ciągnęła nieubłaganie Marianne Barrière. – A jeśli nie odważą się doprowadzić badań do końca, nie będzie żadnego głosowania. Nigdy nie wygłoszę swojego przemówienia, a wielkie reformy nie będą przeprowadzone. To ty jesteś naiwny, Laurent, jeśli nie rozumiesz, z jak potężnymi siłami mamy do czynienia. Jakim siłom rzuciliśmy wyzwanie.

– Ostrzegałem cię...

– I mówiłeś, że sobie z tym poradzisz.

– Może nie do końca przewidziałem skalę...

– Twoja praca polega na tym, żeby przewidzieć *wszystko*, Laurent. Zostały tylko dwa tygodnie do mojego przemówienia. Wtedy trzeba o wszystkim powiedzieć, potem nie będzie już odwrotu. Przewodniczący komisji omówi to we wrześniu w swoim *Orędziu o stanie Unii Europejskiej* przed Parlamentem Europejskim. Można różnie myśleć o tym, że naśladujemy amerykańskie *Orędzie o stanie państwa*, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to wtedy wszystko się rozstrzygnie. Potem nikt nie odważy się wycofać swojego głosu.

– Tak, do tego przecież zmierzamy.

– W takim razie musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

Spin doktor, którego pełne nazwisko brzmiało Laurent Gatien, znów odwrócił się do okna. Po chwili powiedział:

– Wiedzieliśmy przecież, komu rzucamy wyzwanie. Nie udało nam się tylko zachować tego w tajemnicy.

– Kiedy masz przekonać setkę europosłów, trudno wymagać od każdego obietnicy milczenia. To twoje słowa, Laurent, twoje słowa.

– Wiem – odparł Laurent Gatien. – Ktoś się wygadał.

– A teraz, zamiast się dąsać, znajdź jakieś rozwiązanie.

Gatien westchnął ciężko.

– Spróbuję wyizolować to zdjęcie. Ale to ty, Marianne, musisz skłonić zespół badawczy do kontynuowania prac. Na to, niestety, niewiele mogę poradzić.

Marianne Barrière poczuła się nieskończenie zmęczona. To było tak, jakby czas ją dogonił. Skrajnie podkreślone tempo, w jakim żyła przez ostatnie dziesięć lat, nagle się na niej zemściło. Czowała się tak, jakby wstrzymała proces starzenia się na całą dekadę i jakby właśnie teraz te dziesięć lat nagle ją przytłoczyło. Zamknęła oczy.

Zmieniać. Naprawdę próbować coś zmienić i ulepszyć, zamiast tylko administrować. O ileż to było trudniejsze. O ileż było trudniej, gdy miało się wizję, niż kiedy jej brakowało. Gdy pojawiała się pokusa, by osiąść w roli wysokiego urzędnika – święty spokój, długie lunchy, żadnego trawiącego patosu, urlopy, wolny czas, domek w Prowansji, może trochę częstsze wyjazdy do Berlina – na szczęście wciąż wystarczyło, by zobaczyć na mieście jakiegoś żebraka. Wówczas nie tylko zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest uprzywilejowana, lecz także jaką ma władzę. Jeśli *ona* nic z tym nie zrobi, to kto?

A w Brukseli, stolicy dobrze opłacanych polityków, było naprawdę mnóstwo żebraków. Mnóstwo przypomnień.

– Marianne? – odezwał się ostrożnie Laurent Gatien.

Otworzyła oczy.

– Skontaktuję się z Virpi – powiedziała. – Ale jak, u diabła, będziesz w stanie wyizolować to zdjęcie?

– Przede wszystkim dostaniesz to – powiedział Gatien, podając jej identyczną komórkę. – To klon twojej, z wyjątkiem tej fotografii. Potrzebuję twojego telefonu i wszystkich informacji, jakie jesteś mi w stanie podać.

Barrière oddała mu swój telefon i odparła:

– Żaden nadawca się nie wyświetlił. Żadnego komentarza, nic. Tylko to zdjęcie.

– Czyli wyjątkowo skuteczna groźba – stwierdził Gatien. – Kto zrobił to zdjęcie i kto może je mieć?

– Nie wiem.

– Już sama ta odpowiedź zawiera sporo informacji.

– Na przykład?

Spin doktor westchnął głęboko i usiadł obok niej na sofie.

– Jak wiesz, mój zespół pracuje na zasadzie ograniczonego dostępu. Tylko sporadycznie będą dostawać jakieś informacje, choć im wszystkim w stu procentach ufam. Ale *ja* muszę się dowiedzieć wszystkiego, Marianne. O wszystkim będziemy wiedzieć tylko ty i ja.

– To było w czasach mojej dzikiej młodości. Późno odkryłam seks, wzorowa, politycznie zaangażowana studentka, choć właściwie być może to się stało w odpowiednim wieku. Zostawiłam za sobą kiepskie doświadczenia nastolatki i przekonałam się po prostu, że to uwielbiam. Dla kobiety to było bardzo niebezpieczne, zwłaszcza na początku lat osiemdziesiątych, ale w odpowiednim towarzystwie było naprawdę cudownie.

Laurent Gatien ujął jej dłoń i spytał:

– Przez „towarzystwo” masz na myśli jakiegoś rodzaju... klub?

– Nazywaj to, jak chcesz – odparła Barrière, uwalniając się od jego ręki.

– Musisz sporządzić listę wszystkich z tego klubu, których sobie przypominasz. Naprawdę nie masz pojęcia, gdzie zrobiono to zdjęcie?

Marianne Barrière sięgnęła po swój oryginalny telefon i mruknęła:

– Berlusconi, Putin i wszystkie te cholerne świnie mogą wyprawiać, co zechcą, z nastoletnimi prostytutkami, i wszyscy tylko podnoszą kciuki. Jakby chcieli powiedzieć: dobra robota. Ten świat jest chory.

Wpatrzyła się w zdjęcie, któremu do tej pory nie miała ochoty zbyt dokładnie się przyglądać.

– To chyba Berlin – powiedziała i oddała komórkę Gatienowi.

– Berlin? – spytał, obracając ją niepewnie w palcach.

– Tak.

– Zachodni czy Wschodni? To było chyba przed upadkiem muru?

– Zgadza się. Zachodni.

– No to w każdym razie unikniemy ewentualnych politycznych komplikacji – westchnął spin doktor. –

Dużo podróżowałaś?

– Tylko do Berlina i Paryża – odparła Marianne Barrière.

– Mam rozumieć, że w tym „klubie” byli tylko Francuzi i Niemcy?

– Głównie.

– Widzę na tym zdjęciu czarnego... hmm... no cóż, mężczyznę.

– Amerykanie też byli.

– Kurwa mać! – wybuchnął Gatien i zerwał się z miejsca. – Co to było, jakiś pieprzony kongres dymania?!

Marianne Barrière spoglądała chłodno na swojego spin doktora. Rozłożył tylko ręce i znów podszedł do okna.

– Wybacz – powiedział. – To się zaczyna robić za bardzo zagmatwane.

– Nikt nie wiedział, kto jest kim. Wydaje mi się, że moją tożsamość znały maksymalnie trzy osoby. Byłam młodą, biedną studentką. Nie było żadnego powodu, żeby mnie jakoś szczególnie zapamiętać.

– Dobra, dzięki – powiedział Gatien, zapatrzonej na Brukselę. – Bezwzględnie muszę mieć te „maksymalnie trzy osoby”. Istnieje też oczywiście możliwość, że ktoś z pozostałych, wliczając w to tego bez wątpienia imponującego czarnego mężczyznę, mógł cię po prostu rozpoznać, kiedy stałaś się osobą publiczną.

– Aż taką cholernie publiczną osobą to nie jestem – odparła Barrière. – Jak na władzę, którą posiadamy, my, komisarze Unii Europejskiej, jesteśmy bardzo anonimowi. I przyjrzyj się dokładnie temu zdjęciu, naprawdę trzeba sporo wyobraźni, by się domyślić, że ta dziewczyna stała się tą siwiejącą damą.

– Już się natrzyłem – mruknął Gatien. – I masz rację, faktycznie trzeba sporo wyobraźni, żeby do tego dojść. A to znaczy, że ci, którzy znali twoją tożsamość, stają się jeszcze ważniejsi. Już wiesz, kto to był?

– Pamplémousse, Minou i Natz.

– Do jasnej cholery!

– Wiem. Pozwól mi się zastanowić. Minou nazywał się... Cochetteux. Michel Cochetteux. Też był studentem. Studiowaliśmy razem politologię na Sorbonie. Pamplémousse był moim kochankiem, który wprowadził mnie do tego kręgu, i za cholere nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywał. Zupełnie jakby nazywał się po prostu Pamplémousse. Natz w rzeczywistości miał na imię Ignatius. To chyba stare niemieckie imię. Nazywał się...

– Nie miałaś żadnych kontaktów z kobietami?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przestań. Nie miałaś?

– Nie. Właśnie mi się przypomniało, jak się nazywał Pamplémousse. Pierre-Hugues Prévost.

– A Ignatius?

– Nie pamiętam.

– W porządku. Na początek spróbuję namierzyć Michela Cochetteux i Pierre'a-Hugues'a Prévosta.

Miałaś z nimi od tamtej pory jakieś kontakty?

– Nie, niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Przez jakiś czas miałam kontakt z Pamplémousse'em. Ale niedługo.

– I nie pamiętasz niczego więcej, co mogłoby mi pomóc? Naprawdę muszę poznać tożsamość tego Ignatiusa...

– Wątpię, żeby był w to zamieszany...

– Dlaczego?

– To tylko przeczucie...

Laurent Gatien pokręcił głową i westchnął ciężko. Gdy szedł do drzwi, Marianne Barrière powiedziała:

– Zastanawiałam się nad jedną rzeczą. Skąd właściwie wzięła się nazwa spin doktor?

Gatien przystanął i znów pokręcił głową.

– Nie możemy się skupić na tym, co ważne? – spytał.

– Po prostu mi odpowiedz.

– To z baseballu – odparł Gatien. – Miotacz podkręca piłkę, żeby wyglądało tak, że polecą innym torem, i dzięki temu pałkarzowi trudniej w nią trafić. Ale żeby ta piłka zaczęła wirować wokół własnej osi, żeby złapała „spin”, będziemy potrzebować boskiej pomocy, Marianne. Albo przynajmniej pomocy z nieoczekiwanej strony.

– Skąd? – spytała Barrière. – Z policji?

Spin doktor zaśmiał się głośno i odparł:

– Niech to diabli. Niech będzie nawet i policja.

Haga, 2 lipca

PANUJE ABSOLUTNA CIEMNOŚĆ. Nigdzie nawet najdrobniejszej szczeliny światła. Ciemność jest jak materia, ciężka, dusząca i po jakimś czasie wydaje się elastyczna, ciastowata, i to całkowicie ciemne ciasto wdziera się wszędzie, w każdy otwór ciała, w uszy, oczy, nos, i usta są nie tylko pełne tej ciastowatej pełności, ciemność na nie napiera, coraz mocniej rozchyła szczęki, i dokładnie w chwili gdy płuca wypełniają się ciemnością, słyszy trzask łamanej szczęki.

Zrywa się. Siada na łóżku, wyprostowana jak struna. Gdy tylko do jej pogrążonej w ciemności duszy powraca trochę świadomości, zdaje sobie sprawę, jakie to absurdalne budzić się z koszmarów jak na jakimś filmie. Oddycha głęboko i czeka, aż jej serce się trochę uspokoi. Nie wybudza się do końca.

Znów zapada się w ciemność. Wszystko zaczyna się od początku. Ale tym razem leży w macicy. Przez cały czas słyszy bicie serca, serca swojej matki. Słyszy, jak matce burczy w żołądku. Jest równie ciemno – a może płuc jeszcze nie widzi. Może nie ma jeszcze oczu. Przepływa przez nią płyn. Jej usta są otwarte, oddycha ciecżą. Do jej świadomości wdziera się inny dźwięk, brzmi to jak cięcie, jakby ktoś powoli rozcinał tkaninę. Nagle coś się otwiera, światło, oślepiające białe światło, które jest pierwszą rzeczą, jaką widzi płód. Ktoś rozciął brzuch jej matki. Słyszy potężny huk i ktoś wyciąga ją z otwartej rany.

Znów się zrywa. Tym razem też ma wyprostowane plecy. Kręci głową. To było groteskowe. Gdy znów choć w niewielkim stopniu jest zdolna do racjonalnego myślenia, uświadamia sobie, że jej matka faktycznie urodziła ją przez cesarskie cięcie w szpitalu w Stralsund. Matka nie opowiadała więcej, ale pamięta, jak ojciec pobladł na to wspomnienie.

Nie wolno mi znowu zasnąć, myśli i zasypia.

Znów ciemność, małe pęcherzyki w mroku. Morze. Całkowita ciemność. Nie jest w stanie oddychać. Obraca się, nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Uczucie paniki, gdy czuje nacisk na błony bębenkowe. Pęcherzyki, myśli ktoś w niej, pęcherzyki zawsze unoszą się do góry. Zawsze myśl racjonalnie, podpowiada ktoś w niej. Gdy udaje jej się zapanować nad obracającym się ciałem, bąbelki znikają. Nie pozostaje ani jeden, za którym by mogła podążyć. Czuje narastającą panikę. Trochę powietrza wyrывa jej się z ust, niemy krzyk pod postacią pęcherza, i bąbel powietrza przesuwa się po policzku w stronę karku. Wtedy zdaje sobie sprawę, że jest zwrócona twarzą w dół. Ku głębinie. Odwraca się, znów wypuszcza trochę powietrza, tym razem to nie jest krzyk. Wróciło racjonalne myślenie. Dziękuję. Gdy bąbel chwiejnie unosi się do góry, dostrzega, że tam faktycznie jest trochę jaśniej. Przywołuje resztki sił i płynie. Gdy przebija się przez powierzchnię, niewyraźnie widzi na pomoście Dietera. To ten zły Dieter z czwartej klasy, i gdy wciska ją z powrotem pod wodę, słyszy potężny huk.

To ją budzi. Znów siedzi wyprostowana na łóżku. Dopiero po chwili jest w stanie oddychać. Jeszcze

zanim budzi się na dobre, wstaje z łóżka, nie chce znów wracać do tej ciemności. Ale w pokoju też jest ciemno, choć za oknem trwa pełnia lata. Podciąga rolety i zostaje całkowicie oślepią. Zupełnie nieprzygotowana na światło, rusza chwiejnym krokiem do łazienki.

Zamiast swojego odbicia w lustrze widzi tańczące plamki. W końcu przez ten taniec udaje jej się zobaczyć siebie. Nie do końca się poznaje. Musi powiedzieć na głos, jak się nazywa.

– Jutta Beyer.

Czuje w bardzo fizyczny sposób, jak się napełnia. Rozsądek skapuje do niej jak do kolby stożkowej w laboratorium chemicznym. Pochyliła głowę i przypomina sobie swoje wczorajsze słowa:

„Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nie przepracowałam tych klaustrofobicznych godzin, i całkiem możliwe, że w najbliższym czasie będą mnie prześladować w snach”.

Nie spodziewała się jednak, że naprawdę będzie aż tak źle. Że koszmary będą tak natarczywe. Gdy kolba stożkowa jak zwykle maksymalnie się napełni, powinna być w stanie się uwolnić, tak jak każdy po jakimś czasie uwalnia się od nocnych koszmarów. Nie stało się tak do końca, jednak tym, co pozostało, właściwie nie był strach. To było coś innego. Jutta Beyer wzięła prysznic, ubrała się, zjadła śniadanie, przeczytała gazetę, nakarmiła kotkę, która nie miała jeszcze imienia, i wyszła na ulicę. Przez cały czas miała wrażenie, że coś z tych snów do niej przywarło.

To nie był Dieter, choć bardzo ją zdumiało, że po ćwierćwieczu znowu ujrzała swojego prześladowcę z czasów dzieciństwa. Nie chodziło też o cesarskie cięcie matki, choć ta perspektywa była równie groteskowa, co absurdalna. Nie chodziło o natarczywą, ciastowatą ciemność, która wciąż wydawała się nie dawać spokoju otworom jej ciała. Nie, to było coś innego i nawet niezawodna przejażdżka rowerowa na Kalkhoffie, która zawsze pomagała jej rozpracować wszystkie wątpliwości, nie przyniosła jej odpowiedzi na to pytanie, które nie zostało nawet sformułowane.

Ono nie istniało, dlatego ją dręczyło.

Wybrała tę samą trasę co zwykle i gdy zajechała rowerem przed budynek Europolu, stał tam już Marek Kowalewski. Również tak jak zwykle; mogliby według siebie nastawiać zegarki. Kiedy Beyer skrzyła w jego stronę, szczęknął łańcuchem.

– Nie – powiedziała Beyer. – Nie zepniemy razem rowerów, Marek.

– Zgadza się – odparł Kowalewski i jeszcze raz szczęknął łańcuchem, ale poranek był zbyt słoneczny, by zabrzmiało to choć trochę upiornie.

– Ach tak? – zdziwiła się Beyer. Zsiadła z roweru i go przypięła.

– A wiesz, dlaczego nie zepniemy razem rowerów, Jutto?

– Bo nigdy nie kończymy równocześnie i kiedy spinamy je razem, zawsze mamy problem?

– Dobry argument – zgodził się Kowalewski. – Ale ja mam jeszcze lepszy.

– No to wyduś go z siebie – powiedziała Beyer, kończąc przypinać rower.

– Bo jesteśmy w *niewłaściwym miejscu*.

Beyer spojrzała na niego. Potem popatrzyła na budynek Europolu pokryty zielonymi pnączami i na

czerwone markizy prześwitujące przez liście. Wtedy ją to uderzyło.

– O cholera – powiedziała.

– Przecież nigdy nie klniesz, Jutto.

Wybuchnęli śmiechem. Śmiali się coraz głośniej i coraz bardziej dziko. To było tak, jakby coś w niej się uwolniło. Ciemność się ulotniła i kiedy Jutta z *głośnym trzaskiem* odpięła rower, poczuła się tak, jakby wszystko wskoczyło na właściwe miejsce. Niesformułowane pytanie samo się sformułowało. Nagle przestała się śmiać.

Kowalewski dalej chichotał, ale spojrzał na nią zdziwiony.

– Przepraszam – powiedziała. – Coś mi przyszło do głowy. W związku ze snami.

– Tak? – spytał Kowalewski.

– Śniło mi się mnóstwo koszmarów o tym, że jestem zamknięta w ciemności. To było tak, jakby te sny czegoś ode mnie chciały.

– Jakby sny czegoś od ciebie chciały?

– Tak. Wszystkie się kończyły głośnym trzaskiem.

– No i...?

– *Słyszałam* coś w tym schowku. Tylko raz ktoś wszedł do kuchni. Usłyszałam zbliżające się kroki, pomyślałam, że się o mnie dowiedzieli. To było... no cóż, straszne. Ale ten ktoś nie podszedł do schowka. Przystanął gdzieś w połowie kuchni. Pośrodku podłogi. A potem był ten huk.

– Jaki huk? Taki jak wystrzał z pistoletu? Petarda?

– Nie, bardziej jak uderzenie... Bardzo mocne. Pamiętam, że się wzdrygnęłam i wystraszyłam się, że mnie usłyszeli. Ale potem kroki się oddaliły.

– Uderzenie? Jak coś, co się *zatrzaskuje*?

– Może. Jakby coś opuszczał. Zamykał.

– Pośrodku podłogi?

– Tak mi się wydaje.

– I nic nie widziałaś? Nie było żadnej szczeliny w drzwiach?

– Nie, było zupełnie ciemno. Nie chciałam zostawiać żadnej szczeliny.

– Z tego, co pamiętam, siedziałaś tam dwie godziny i dwanaście minut.

– A potem poczułam dym i pomyślałam, że to już koniec. Szykowałam się, żeby wyskoczyć. Żeby mnie zastrzelili. Nie chciałam się tam spalić.

– Kiedy to się stało? Na filmach nie było nic godnego uwagi. Przecież Felipe cały czas obserwował mieszkanie z drugiej strony kanału, Arto i Miriam czekali w pogotowiu, żeby wybiec z mieszkania na parterze, jeśli coś się będzie działo, a ja i Corine pojechaliśmy tam z granatami dymnymi i ze sprzętem strażackim. To był oczywiście pomysł Arto.

– To było raczej bliżej początku – odparła Jutta Beyer. – Po jakichś trzech kwadransach.

– Musimy dotrzeć do właściwego budynku Europolu – stwierdził Marek Kowalewski.



Szybko przejechali przez niewielki park Scheveningse Bosjes i po chwili ujrzeli cztery nieregularne budynki, w których mieściła się nowo otwarta siedziba Europolu. Wstukali swoje kody i dotarli do komputera Kowalewskiego na obrzeżach otwartego pomieszczenia biurowego. Nie zwracając uwagi na otoczenie, znaleźli w komputerze to, czego szukali.

– Tak – powiedziała Beyer. – To musiało być to.

– O cholera – zaklął Kowalewski. – Dokładnie w miejscu, którego nie obejmuje kamera.

– Nie przeszkadzajcie sobie – powiedział Paul Hjelm.

Beyer i Kowalewski podnieśli głowy i zobaczyli grupę Opcop zebraną kilkanaście metrów dalej przy elektronicznej tablicy. Spojrzeli po sobie i oboje się skrzywili.

– Przepraszamy za spóźnienie – powiedziała Beyer, ruszając w stronę zebranych. – Pojechaliliśmy do niewłaściwego budynku.

Odpowiedział im śmiech pozostałych.

– Ale przez ten czas pracowaliśmy – zapewnił Kowalewski, biorąc laptopa pod pachę. Podłączył go na najbliższym biurku i wyświetlił na elektronicznej tablicy nieruchomy kadr. Przedstawiał bezimiennego ochroniarza – znanego nieoficjalnie jako „karczycho numer dwa” – który jak zwykle siedział na sofie. Różnica polegała na tym, że tym razem był sam. Palił i leniwie przeglądał jakąś gazetkę porno. Obok niego na sofie leżała koperta bąbelkowa z Oude Kerk.

Gdy Kowalewski uruchomił film, wyglądało to tak, jakby karczycho numer dwa nagle zauważyło kopertę. Zgasił papierosa, odłożył gazetkę, sięgnął po kopertę i wstał. Zaniósł ją na biurko i odłożył na miejsce. Kiedy wrócił, zauważył kartkę wystającą spomiędzy poduszek na sofie i przyjrzał jej się. Potem powlókł się do kuchni i zniknął z kadru.

– Pamiętam to – stwierdził Felipe Navarro. – Przeraziłem się, że pójdzie prosto do Jutty. Wybrałem numer Arto i właśnie miałem zadzwonić, kiedy wrócił.

– Co *tutaj* widzimy? – spytał Kowalewski. – Ile go nie było? Pięć sekund, dziesięć?

– Bardziej sto – odparł Navarro.

– A ty się nie przełączyłeś na kamerę z kuchni? – spytał Kowalewski.

– Nie zdążyłem – wyjaśnił Navarro. – Stałem parę metrów od panelu kontrolnego, kiedy zobaczyłem, że się ruszył. Właśnie miałem to zrobić, kiedy wrócił.

– Bez kartki – stwierdziła Jutta Beyer.

Gdy członkowie grupy Opcop przyjrzeni się dokładniej, przekonali się, że to prawda. Kartka, która wcześniej leżała na sofie, teraz zniknęła.

Kowalewski przełączył się na kamerę z kuchni. Obraz obejmował jakąś połowę pomieszczenia, łącznie ze schowkiem, którego drzwi faktycznie były dokładnie zamknięte. Na tym ujęciu nic nie było widać. A mikrofonów tam nie było.

Kowalewski jeszcze raz puścił sekwencję z salonu na maksymalnej głośności. I rzeczywiście, dało się dosłyszeć głuchy huk, tuż przed tym, nim karczycho numer dwa wróciło i ciężko zważyło się na sofę.

– Jutta i ja uważamy, że ta kartka to była jedna z tych zaszyfrowanych wiadomości, na której ktoś przypadkiem usiadł. A nie wiemy przecież dokładnie, co robią ze starymi wiadomościami. Przypuszczaliśmy, że po prostu się ich pozbywają, palą je. Ale może wcale tak nie jest.

– Usłyszałam ten huk, kiedy siedziałam skulona w schowku – powiedziała Beyer – tyle tylko że był znacznie głośniejszy. Jakby coś się mocno zatrzasnęło. Myślę, że w podłodze w kuchni, w miejscu nieobjętym przez kamerę, jest schowek. Prawdopodobnie odkładają tam stare wiadomości.

– Powinien tam być cały zbiór zaszyfrowanych listów – Kowalewski zwrócił się do całej grupy. – Dyskutowaliście chyba o złamaniu szyfru.

– Zgadza się – przyznał Paul Hjelm – i taki zbiór wiadomości byłby naprawdę świetny. Zwłaszcza że właśnie zaczęliśmy dochodzić do ładu z połączonymi listami, dzięki kluczowi z działu szyfrów. Wygląda na to, że to naprawdę działa.

– Gdybym była trochę przytomniejsza w tym schowku – powiedziała z namysłem Beyer – moglibyśmy zabrać ze sobą wszystkie stare listy, kiedy przedzieraliśmy się przez dym. Wtedy byśmy je mieli.

– Nie – powiedział Hjelm.

– Nie? – powtórzyła jak echo Beyer.

– Oczywiście, że nie – odparł Hjelm. – Gdybyście zgarnęli listy, Vlad by przecież odkrył, że ich nie ma, zorientowaliby się, że są obserwowani, i cały nasz wysiłek poszedłby na marne. Ale za to mamy *to*. Tak zwane zestawione listy zawierały wiadomość, która najwyraźniej zaczyna się od słów: „Poszerzenie działalności niesie ze sobą pewne zmiany organizacyjne. Każda z jednostek będzie miała nowy zakres odpowiedzialności”. Potem jeszcze trochę takiej administracyjnej gadki, brzmi to tak, jak we wszystkich organizacjach, a później zaczynają się konkrety. Tutaj jednak interpretacja staje się trudniejsza, prawda, Angelos?

– Poniekąd tak – przyznał Sifakis. – „Każda z jednostek” potwierdza, że nasza trójka jest tylko niewielką częścią czegoś większego, dokładnie tak, jak zakładaliśmy. Żebrackie szajki stanowią część handlu ludźmi na większą skalę, a to z kolei odbywa się w ramach jakiejś większej organizacji. Tyle wiemy. Teraz musimy znaleźć dojścia. Felipe?

– Tak – mruknął Felipe Navarro. – To, co dalej następuje, składa się z trzech części. Dwie pierwsze poznajemy z wcześniejszego listu, który udało się skopiować Markowi. Pierwsza część to coś w rodzaju raportu z postępów działalności szajek żebrackich; Vlad zwykle wtedy parska i mówi rzecz w stylu: „Jak ja mam, kurwa, dość Skandynawii. Skąpe skurwysyny. A w Grecji przecież nawet ci niby najbardziej nadziani nie mają już kasiory”.

– Zwracasz się teraz bezpośrednio do obu swoich szefów – zauważył spokojnie Sifakis.

– To był tylko przykład – zapewnił pospiesznie Navarro. – Jest tu informacja o potężnej ekspansji w wielu wcześniej zaniedbanych miastach, Dreźnie, Bochum, Montpellier, Tuluzie i tak dalej, a potem trochę o lokalnych problemach, typu „policja w Klagenfurcie staje się czujniejsza o zmierzchu”, „nagle ryzyko dla miejscowych bandytów w Bolonii”, „kiepskie nastroje w jednostce czwartej, Tilburg,

buntownicze tendencje” albo „wyraźny brak drobnych w Heraklionie w ciągu ostatniego tygodnia”. Wygląda na to, że problemy rozwiązywane są lokalnie, ale najwyraźniej są zgłaszane komuś stojącemu wyżej niż nasza trójka; Vlad i jego ludzie otrzymują informacje dopiero po przetworzeniu ich gdzieś wyżej. To była pierwsza część.

– Druga nadal wygląda jak jakaś wypunktowana lista – zauważył Kowalewski.

– I wszystko wskazuje, że tak właśnie jest – odparł Navarro – tyle że punkty wyglądają inaczej, bo są przecież odszyfrowane. Ten fragment trudno zinterpretować. Chodzi o jakiś szyfr, zestawione wpisy typu S45E czy TM08G. Sądzę, że są to przyszłe zadania naszej trójki, to znaczy ich zwyczajne zadania, niezależne od nowych wytycznych. Prawdopodobnie chodzi o dokonywanie zakupów. Moja hipoteza jest taka, że każdy wpis to zakup niewolników, a jak wiecie, każdy zakup może obejmować co najmniej piętnastu takich niepełnosprawnych niewolników. Nie musi tu chodzić o wyjazdy naszej trójki, ale w każdym razie oni to koordynują.

– Jak, u diabła, mogą to koordynować, jeśli się nie komunikują? – mruknęła Corine Bouhaddi. – To przecież kompletnie chore. Vlad siedzi tam jak pajak w sieci, kontroluje wielką część handlu żebrakami w Europie, ale ani razu nie skontaktował się ze swoimi podwładnymi. Jak to się odbywa?

– Miejscowe jednostki są prawdopodobnie autonomiczne – powiedział Arto Söderstedt. – Kolejny sposób na ograniczenie do minimum komunikacji elektronicznej. Vlad, Ciprian i karczycho numer dwa zajmują się przede wszystkim zakupami. Słyszeliście przecież od naszego nieszczęsnego przyjaciela, Turka Buraka Korkmaza, że czasami wyjeżdżają. Chociaż wydaje mi się, że najczęściej zakupów dokonują właśnie takie typy jak Korkmaz, lokalne talenty z niespełnionymi aspiracjami do roli bossa. Ale myślę, że mimo wszystko komunikują się ze swoimi podwładnymi. Muszą otrzymywać inne informacje niż tylko ogólne, w stylu „wyraźny brak drobnych w Heraklionie w ciągu ostatniego tygodnia”. To nie wystarcza, komunikacja musi zachodzić w obie strony. Vlad musi w jakiś sposób zatwierdzać zakup niewolników: pomagierzy muszą mu przysyłać zdjęcia zakupionych ludzi, a Vlad musi odpowiadać, czy dany człowiek się nadaje, czy nie. Potem, kiedy niewolnicy trafiają już do miejsca przeznaczenia, na przykład do Duisburga czy Rennes, zapewne kontrolują ich lokalne szajki. I one muszą składać Vladowi raporty o dochodach. Przede wszystkim muszą składać raporty o dochodach. Przecież w tym wszystkim chodzi o zyski. A Vlad musi z kolei przekazywać te informacje jakiejś wyższej instancji. Oni się komunikują, ale my tego nie widzimy.

– Widzieliśmy zawartość trzech kopert bąbelkowych – powiedziała Bouhaddi. – Poza tym dwie z nich stanowiły jedną całość, więc właściwie tylko dwóch. Nikt przecież nie powiedział, że wszystkie te koperty przychodzą od jakiejś wyższej instancji. Równie dobrze mogą przecież pochodzić od, no cóż... miejscowych szajek w takim Duisburgu czy Rennes. Po prostu jeszcze ich nie widzieliśmy. Długo skupialiśmy się na tym, że będą się komunikować elektronicznie. Dopiero teraz mamy dobrze ustawione kamery.

– Ta odpowiedź mnie nie zadowala – powiedział Söderstedt. – Weźmy na przykład sformułowanie

„kiepskie nastroje w jednostce czwartej, Tilburg, buntownicze tendencje”. Tilburg to dwustutysięczne miasto w południowej Holandii. Dość małe miasto. Ile jest w Unii Europejskiej miast, które mają dwieście tysięcy albo więcej mieszkańców? W samych Niemczech będzie ich na pewno ze czterdzieści. Choć z pewnością mają też żebraków w takim Linköping, które ma sto tysięcy mieszkańców. Powiedzmy, że takich miast jest w Unii Europejskiej około dwustu. Załóżmy też, że w każdym takim mieście są co najmniej cztery „jednostki”, w większych miastach pewnie więcej. Wszystkie te jednostki powinny składać raporty Vladowi. To by było jakieś osiemset raportów, może tysiąc. Nawet jeśli nie składają ich co tydzień, raporty powinny dosłownie płynąć jak rzeka do Amsterdamu.

– Sam przecież powiedziałaś, że miejscowe jednostki są prawdopodobnie autonomiczne – zauważył Hjelm. – Może nie muszą składać raportów częściej niż raz do roku. To by się znacznie lepiej zgadzało z liczbą dostarczanych kopert bąbelkowych, które widzieliśmy w ostatnich tygodniach.

– Coś jeszcze mi tu nie gra – powiedział Söderstedt. – Tylko nie mogę dojść do tego, co to jest.

– No to po co o tym mówisz? – rzucił cierpko Hjelm.

– Przed wszystkim musimy zobaczyć te stare listy – powiedziała Jutta Beyer.

– Pozwólcie mi kontynuować – zniecierpliwiał się Felipe Navarro. – Mamy serię zestawionych wpisów w stylu „S45E” czy „TM08G”. Ponieważ na początku może być jedna albo dwie litery, cyfry są zawsze dwie, a litera na końcu zawsze tylko jedna, powiedziałbym, że początek to miejsca, miejsca z liczną populacją Romów, takie jak Sulukule w Turcji – S, albo Târgu Mureș w Rumunii – TM. Dwucyfrowa liczba, która potem się pojawia, określa zapewne jedno z około stu potencjalnych miejsc spotkań w każdym z tych miast, od zero zero do dziewięćdziesiąt dziewięć; może są to domy opieki dla niepełnosprawnych, może po prostu bezpieczne domy, gdzie pomagierzy pokroju Buraka Korkmaza, naszego zmalretowanego Turka, zostawiają grupkę niepełnosprawnych niewolników. Ale jest jeszcze pojedyncza litera na końcu każdego wpisu, od A do Z, i na razie nie mogę jej rozgryźć.

– Są daty? – spytał Paul Hjelm.

– Niestety nie – odparł Navarro. – Trzeci poziom szyfru, od A do Z, może oczywiście być zakodowaną datą. Tylko że trudno byłoby zakodować datę w jednej literze.

– Czyli nie wiemy, kiedy następnym razem gdzieś się wybiorą?

– Nie – odparł Sufakis. – I nie wiemy też, w jaki sposób są przewożeni niewolnicy. To może być zawarte w tej ostatniej literze od A do Z. Sposób transportu.

– W każdym razie to interesujące, że takie szczegółowe instrukcje przychodzą z góry – zauważył Söderstedt. – Uważam, że coś takiego powinno się odbywać w przeciwną stronę, od Vlady do miejscowych przedstawicieli typu Burak Korkmaz. Potem powinny wychodzić kolejne informacje do tych, którzy zajmują się transportem: dokąd mają trafić niewolnicy. Nie ma żadnego powodu, żeby jakiś Korkmaz miał cokolwiek o tym wiedzieć. Zbiera grupkę niewolników, czeka, aż zostaną zaakceptowani, przekazuje ich do transportu, dostaje pieniądze i znika. Zasada ograniczonego dostępu to klucz do sukcesu. Ale nawet on musi mieć w tym czasie bezpośredni kontakt z Vladem. *Brakuje nam komunikacji.*

– Ciągłe o tym marudzisz – powiedział Hjelm. – Ale może przyznajmy, że posunęliśmy się spory kawałek naprzód.

– Jak najbardziej – zgodził się Sifakis. – Ale zasadniczo Arto ma rację. Jeśli szczegółowe instrukcje przychodzą od kogoś, kto stoi wyżej, to jaka jest w tym wszystkim rola Włada? Czy to nie on jest głównym organizatorem branży żebrackiej w Europie? Po co trzymać w drogim mieszkaniu w Amsterdamie trzech facetów, którzy właściwie nic nie robią? Takich, którzy przez większość czasu siedzą na sofie i nawet nie kiwną palcem?

– Może wyszukują tajne komunikaty w gazetkach porno – podsunął Kowalewski.

– Może przecież być tak, że to są *sprawdzone* listy – zauważyła Beyer. – Wład je sporządził, a teraz dostaje je z powrotem, po zatwierdzeniu. I wtedy może przejść do czynu.

– Ale w takim razie jak je wysłał? – spytał Söderstedt.

– Jeszcze do tego wrócimy – postanowił Hjelm. – Bo w „zestawionych listach” była jeszcze jedna sprawa, prawda? Zadania związane z nowym porządkiem.

– Właśnie – odparł Sifakis. – Teraz już wiemy, o co chodzi. Jedno polega na tym, żeby, cytuję, „rozdzielić cipy między C08 a F14”, a drugie...

– Rozdzielić cooo?! – wybuchnęła Corine Bouhaddi.

– Przykro mi – powiedział Sifakis z lekko zażenowaną miną. – Nie da się tego inaczej przetłumaczyć: *distribute cunts...*

– Czyli teraz mamy do czynienia z handlem kobietami? – spytała Beyer. – Wcześniej te sprawy były przecież ostro rozdzielane. I nagle, bez żadnych wstępów, przekroczyliśmy granicę między żebrakami i prostytutkami?

– Jeśli tak, o czym to świadczy? – spytał Hjelm.

– O panice – odparł Kowalewski. – Desperacji.

– Ale dlaczego? Przecież ekspandują.

– W każdym razie jak dotąd nie potrafimy rozgryźć C08 i F14 – stwierdził Sifakis. – Może to dzielnice? Kluby w Amsterdamie? Coś jak Red Red Love. Kolejne zadanie to pomóc „naszym złotym przyjaciółom z następną dostawą” i „nawiązać kontakt z chłopcami z obozu pod Utrechtem”.

Nagle w świeżuteńko otwartym pomieszczeniu biurowym odezwał się głos, który bardzo rzadko dał się słyszeć:

– Tam jest napisane „z chłopcami”?

Członkowie grupy Opcop odwrócili się, próbując zlokalizować posiadaczkę nieznanego głosu. Okazało się, że siedzi na krześle tuż za Paulem Hjelmem. Była to Kerstin Holm, partnerka ich szefa. Oraz szefowa krajowego biura grupy Opcop w Sztokholmie. Która przyjechała z wizytą.

– Tak. A co? – spytał Angelos Sifakis.

– Chłopcy, czyli dzieci? Czy po prostu chłopaki, koledzy?

– Odruchowo uznałem, że chodzi o dzieci – odparł Sifakis – ale teraz uderzyło mnie, że może chodzić

o jedno lub drugie. Po prostu: *the boys*.

– Dzięki – odparła Kerstin Holm i umilkła.

Cisza, która zapadła, była równie krótka, co wymowna. Sifakis wrócił do monitora i ciągnął:

– W każdym razie jakiś „obóz”, który jest związany z „naszymi żółtymi przyjaciółmi”. Chińczycy?

– Tak czy inaczej, to prawdziwa ekspansja – powiedział Kowalewski. – Otwarcie się na handel ludźmi i na Chińczyków.

– A w skrajnym przypadku – wtrąciła Jutta Beyer – bardzo niepokojące związki między 'ndrangheta a chińskimi triadami.

– Poprzez rumuńską szajkę zebracką – dodał Hjelm. – Naturalnie, trzeba to dokładniej zbadać. Ale są jeszcze kolejne punkty na liście, prawda?

– Tak – potwierdził Sifakis, odwracając się w stronę monitora. – Felipe nad tym pracował...

– Zgadza się – potwierdził Navarro – ale nie udało mi się z tego za wiele wycisnąć. To kilka określeń, których nie potrafię rozgryźć. Vlad ma być „w gotowości” na następujące „projekty”: „Czerwona nić”, „plan G” i „projekt URKA”.

Felipe Navarro podniósł wzrok znad monitora i stwierdził, że Paul Hjelm siedzi w milczeniu na prowizorycznym podium. Wszyscy to widzieli. Kowalewski się zlitował i powiedział:

– URKA to chyba ta dziwna grupa przestępcza z Naddniestrza, regionu między Mołdawią a Ukrainą?

– Tak – potwierdził Navarro. – Wyjątkowo hermetyczna grupa zesłanych Sybiraków. Do tej pory miała bardzo niewiele kontaktów z zewnętrznym światem.

Gdy znów spojrzał na Hjelma, ten doszedł już trochę do siebie i powrócił do rzeczywistości. Powiedział:

– Teraz będzie trochę trudno rozdzielić zadania, bo musimy się podzielić w Amsterdamie...

– Znów mi się wydaje, że szef powinien trochę bardziej uważać z tym „my” – zwróciła mu uwagę Corine Bouhaddi.

– Przepraszam – odparł Hjelm neutralnym tonem. – Chciałem powiedzieć „wy”. Ale to nie zmienia faktu, że musimy wszcząć śledztwa we wszystkich tych sprawach. W tej chwili Miriam, Laima i Donatella są z Adrianem w Amsterdamie. Wrócę jeszcze do tego, kiedy dokładnie się przyjrzę harmonogramowi. Na razie chciałbym, żebyście spróbowali się zabrać do tego, co mamy.

Wstał, jakby chciał dać do zrozumienia, że poranne spotkanie dobiegło końca, ale aż tak łatwo mu nie poszło.

– Zasadniczo powinniśmy chyba być w stanie skierować jedną kamerę na monitor? – spytał Arto Söderstedt.

Hjelm westchnął cicho i usiadł.

– Co masz na myśli?

– Amsterdam – wyjaśnił Söderstedt. – Komputer Vlada.

– Przecież doszliśmy do wniosku, że używa go tylko do grania – westchnął Hjelm.

– Chcę popatrzeć, jak gra w Snood – odparł po prostu Söderstedt.

Hjelm zwrócił się do Navarro:

– Potrzebujemy obu kamer do listów?

– Tak, jeśli chcemy mieć pewność – odparł Navarro. – Poza tym istnieje ryzyko, że gdy je zdalnie obrócimy, usłyszą to albo zobaczą. Bo teraz możemy to zrobić, dzięki akcji w mieszkaniu.

– Miały być przecież bezgłośne – zauważył Söderstedt. – I są ukryte głęboko w suficie. Możesz mi wierzyć, wiem to. Jedną sam montowałem.

– Spróbuj to zrobić, kiedy nie będą tacy czujni – powiedział Hjelm.

– Ale jak? – spytał Navarro. – Teraz?

– Jak najszybciej – odparł Hjelm, kończąc spotkanie.

Söderstedt, Bouhaddi, Kowalewski, Beyer, Navarro i Sifakis wrócili do swoich biur. Zostali tylko Paul Hjelm i Kerstin Holm.

Ich spojrzenia się spotkały i Hjelm wskazał głową w stronę swojego gabinetu.

Ruszyli tam ramię w ramię i oboje widzieli, że temu drugiemu coś nie daje spokoju. Coś, czym powinni się ze sobą podzielić. Tylko oni dwoje. Jako para. Jako jedność przeciwko reszcie świata.

Gabinet Hjelm był dziwnie podobny do poprzedniego. Powiedział wprawdzie głównemu architektowi, gdy ten ponad rok temu odwiedził dawny budynek Europolu, że chciałby mieć „taki sam gabinet”, ale Kerstin Holm wydało się to niemal absurdalne. To była *kopia* jego dawnego gabinetu. Okna na Hagę z jednej strony, a na otwarte pomieszczenia biurowe z drugiej. Wierna kopia, tylko trochę świeższa.

Paul Hjelm ścisnął szybko jej dłoń, a potem usiadł przy swoim biurku.

– Myślimy o tym samym, Kerstin? – spytał.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę – odparła Kerstin Holm, siadając w fotelu dla gości.

Hjelm zmarszczył brwi i kiwnął głową. Myślał o szepcie, pospiesznym szepcie. Ale Holm powiedziała:

– Zwykle nazywamy to *long shot*.

– Czasem nawet strzał z daleka trafia do tarczy. Co masz na myśli?

– Szwecja, jesień dwa tysiące piątego. Nagła fala chińskich dzieci. Wszystkie opowiadały tę samą zmyśloną historię o zmarłych rodzicach, zjawily się z takimi samymi walizkami, w identycznych ubraniach, z identycznymi zabawkami i komórkami. Ale gdy policja połączyła te sprawy, nie było już kogo przesłuchiwać. Dzieci zniknęły bez śladu. Między innymi bliźniacy pewnej Chinki, która nazywała się Wang Yunli. Przybyli do Szwecji dwunastego października dwa tysiące piątego roku. Cheng i Shuang spędzili dwa dni w obozie dla uchodźców w Åkersberdze. Potem znów zaginęli bez śladu.

– Ach – powiedział Hjelm. – Wang Yunli, sprzątaczką zatrudniona na czarno. Ale to było dawno temu. Nasza pierwsza duża sprawa...

– Vlad ma pomóc „naszym złotym przyjacielom z następną dostawą” i „nawiązać kontakt z chłopcami

z obozu pod Utrechtem”.

Hjelm spojrział za okno i oślepiło go letnie słońce. Przymknął oczy.

– Powiedzieć, że to *long shot*, to za mało... – stwierdził.

– Angelos odniósł takie samo wrażenie jak ja. Że *chłopcy* znaczyło *dzieci*.

– Wrażenie, no tak...

– Pozwól mi przynajmniej przyjrzeć się temu „obozowi pod Utrechtem”.

– Dobrze – zgodził się Hjelm. – Tylko nie wolno ci działać samej. Ale przecież to wiesz.

– Prawdopodobnie nie wyniknie z tego żadna akcja – odparła Holm. – To zbyt niejasne. Ale muszę się chwycić każdej szansy. Czuję, że jestem to winna Wang Yunli.

– Rozumiem – powiedział Hjelm. – Tylko bądź ostrożna.

– A więc nie o tym myślałaś?

Hjelm znów zapatrzył się za okno, zmrużył oczy w ostrym słońcu.

– Nie.

– To o czym myślisz?

Szybko podjął decyzję i odparł:

– O Arto.

– O Arto?

– O tym, co mu się wydaje, że odkrył.

Kerstin Holm wstała. Jego Kerstin. Zobaczył zmarszczkę na jej czole, gdy prostowała plecy. Widział, że wyczuła jego kłamstwo.

A wszyscy w otwartym pomieszczeniu biurowym za szybą spoglądali na nich. Nie mógł wziąć jej w ramiona. Nie mógł cofnąć kłamstwa.

Kiwnęła tylko głową i wyszła. Śledził ją wzrokiem, gdy szła do swojego tymczasowego biurka na skraju dużej sali. Na miejsce przeznaczone dla nieco zmarginalizowanych krajowych przedstawicieli. Usiadła. A właściwie miał wrażenie, że ciężko opadła na krzesło.

Poruszył myszką, budząc komputer, i znalazł pewien utwór muzyczny. Miał teraz o wiele za mało czasu na muzykę. Jednoosobowy szwedzki zespół Loney Dear, śliczny kawałek zatytułowany *Calm Down*. Paul Hjelm pozwolił, by otoczyły go uzdrawiające dźwięki. I myślał o pewnej rozmowie w średniowiecznym zamku. Dyskusji o pewnym projekcie aktu prawnego, który miał zmienić Europę. Pochylona głowa i szept.

– Jeśli w pracy natkniesz się kiedyś na określenie „plan G”, odezwij się do mnie.

Gdy rozległy się dziwne dźwięki wibrafonu, myślał o Marianne Barrière.



Gnesta, 2 lipca

GDY OTACZA GO WODA, czuje, jak staje się czysty. Czuje oczyszczenie w dosłownym sensie. A przecież niedawno brał prysznic. Mył się przedwczoraj. Ma jednak wrażenie, że od tego czasu na jego ciele zebrała się dodatkowa warstwa brudu. Pozbywa się go pod powierzchnią wody. To tak jakby jego gorsza połowa zsuwała się z niego niczym rycerska zbroja, pozornie dokładna kopia jego samego powoli opada na dno.

Tam właśnie teraz jest, na dnie, i przesuwając palcami po obrośniętych glonami kamieniach. Sunie przez chłodną wodę. Używa mydła, które znalazł w opuszczonym domu. Szoruje się i uderza go wytrzymałość własnego ciała. Jakby było ponad wszystkim, jakby mógł w nieskończoność wstrzymać oddech. Jakby jego ciało zupełnie niczego nie potrzebowało.

Już prawie kończy, gdy upuszcza mydło. Wydaje mu się, że widzi, jak zsuwa się z jego dłoni, toczy się gdzieś, jakby było żywe. Ale właściwie nie wie nawet, jak wygląda mydło.

Przyszedł do gospodarstwa dwa dni temu, po południu. Dopiero teraz się upewnił, że naprawdę jest opuszczone, tak jak zapewniał go Janne. Dopiero teraz odważył się wykąpać.

– W kolejce nikt nie zwróci na ciebie uwagi – powiedział Janne. – Ale kiedy już dojedziesz na stację w Gneście, musisz być ostrożny, zwłaszcza przez tę pieprzoną gitarę. Są strasznie czujni, jeśli chodzi o obcych. A ty będziesz wyglądał jak cygański grajek.

– *Jestem cygańskim grajkiem* – odparł Mander Petulengro.

Był ostrożny. Niewidomy człowiek w nowym miejscu – nie pierwszy raz. Podróżował przez znacznie gorsze miejsca niż Gnesta i udawało mu się nie zwracać na siebie uwagi. Wystarczyło tylko dobrze słuchać. I czuć. A Mander Petulengro potrafił obie te rzeczy. Znał opis drogi i podążał za wskazówkami. Były zrozumiałe. Jakby Janne naprawdę rozumiał, jak to jest być niewidomym.

Niewidomym od urodzenia.

Wkrótce Mander poczuł, że zamyka się wokół niego las, leśne zapachy wniknęły do jego wrażliwego narządu węchu, otoczyła go głucha, matowa cisza. Szedł. Zwracał uwagę na znaki podane przez Jannego – „jakieś dziesięć minut później powinieneś usłyszeć cholerne mnóstwo krów”, „po jakichś dwudziestu, dwudziestu pięciu minutach usłyszysz szmer strumyka”, „kiedy usłyszysz szczekanie tego pieprzonego psa, powinieneś wysunąć na bok lewą rękę” – i w końcu wyczuł rząd skrzynek na listy, policzył je, zgadzało się. Zrobił jeszcze dwadzieścia kroków i odnalazł ścieżkę przy znaku drogowym. Była kręta i prowadziła do małego jeziora – wyczuwał, że zapach wody staje się silniejszy – a potem znalazł się u celu.

– Nikt tam nie zaglądał od śmierci mojej matki – powiedział Janne. – Powiniennem to gównem sprzedać,

ale, kurwa, zapomniałem, jak to się robi.

Klucz na gwoździu pod deskami fasady, poszukiwanie źródła smrodu. Użył znalezionego mydła, by posprzątać po martwych nietoperzach w zlewie. Wszędzie posprzątał. W końcu zapachy dało się zaakceptować. Mander znalazł łóżko i runął na nie jak martwy.

Kiedy się obudził, po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedział, która jest godzina. Żołądek domagał się jedzenia. Echo słów Jannego.

– Przetwory, przetwory, przetwory, w tym moja matka była niezła. Ale musisz wyjść do ziemianki. I całkiem niedaleko jest studnia, taka stara, zielona, metalowa pompa. No, mniejsza z tym, że zielona, ale pompa. Woda jest w porządku, po jakimś czasie.

Mander musiał długo pompować, by pozbyć się posmaku szlamu, ale potem napił się prosto z kurka pompy. Znalazł wiadro, wymył je i napełnił. Mieszkały w nim ślimaki, wypłukał je i znów użył mydła. Wtedy chłód i komary podpowiedziały mu, że pewnie jest środek nocy.

Ta pora, kiedy widział lepiej niż wszyscy.

Przyniósł przetwory z ziemianki, ale trudno mu było rozróżnić, co jest czym. Wszystko smakowało podobnie. Z wyjątkiem kawy. Naprawdę znalazł kawę. Udało mu się trochę zaparzyć, na próbę. Poszło nadspodziewanie dobrze. A może tak bardzo potrzebował kofeiny, że miał mniejsze wymagania?

Znów trochę snu, potem dzień zwiadu. Słuch i dotyk pracujące na najwyższych obrotach, nawet węch, ale mimo to nic. W pobliżu nie było żadnych ludzi, był tego całkowicie pewien. Niemniej odczekał jeszcze jeden dzień, zanim odważył się wykąpać.

A teraz gubi mydło, które opada gdzieś pod powierzchnią jak opuszczony statek widmo. A on nie ma odwagi go szukać. Wychodzi z wody. Czysty, ale zawiedziony. Znajduje ręcznik. Właściwie tkanina jest trochę za szorstka, by była ręcznikiem, to raczej jakieś płótno żaglowe, ale dla Mandera Petulengro to ręcznik. Zamienia je w ręcznik. Zawsze kształtuje wokół siebie własny wszechświat.

W chałupie wyciera się dokładnie i zaparza trochę kawy. Gdy jest gotowa, a menu na obiad oczywiste – przetwory, przetwory, przetwory – podchodzi do futerału z gitarą. Wyjmuje instrument, odkłada go na bok i wyciąga coś znacznie mniejszego, ukrytego za obiciem.

Komórkę.

Smartfon. Wcale nie taki *smart*, jeśli jest się niewidomym, żadnych wypukłych przycisków, dotyk nagle staje się bezużyteczny. Ale teraz wiedział, jak sobie z nim radzić. Również gdy był wyłączony, tak jak teraz. Janne nauczył go, jak włączyć ten metaliczny głos.

Mander nie ma ochoty włączać telefonu. Ma wrażenie, że smartfon promieniuje, wysyła różne sygnały. Tryb samolotowy, powiedział mu Janne, wtedy nie powinien „promieniować”, cokolwiek by to miało, kurwa, oznaczać.

Gdy podchodzi do stołu w kuchni, komórka mówi do niego metalicznym, kobiecym głosem.

Siada, lekko obmacuje blat, by się upewnić, czy nie pospadały kolejne martwe nietoperze. Gdy cofa dłoń i odkłada komórkę, jego wrażliwe nozdrza wychwytyją słabą woń mydła. Wymył nim ten stół.

Brakuje mu mydła.

Klika po prawej stronie na gładkiej powierzchni smartfonu. Metaliczny kobiecy głos mówi najpierw *Voice memo*, potem: *Two twenty-four a.m. June thirtieth*, a następnie rozlega się bardziej ludzki, męski głos, który mówi trochę łamanym angielskim.

– Bądźmy rozsądni. Co dokładnie chcesz powiedzieć?

Zupełnie inny, głuchy głos odpowiada:

– Że musisz zrezygnować z tego, o czym wcześniej rozmawialiśmy, profesorze. Gdy tylko przyjdą wyniki testów, musisz...

Mander Petulengro wyłącza plik dźwiękowy. Zna go już na pamięć. Przesuwa w bok palec wskazujący. Teraz metaliczny kobiecy głos oznajmia: *Nine forty-seven a.m. June thirtieth*. A potem słyszy lekko ochrypły głos Jannego i jego niespodziewanie czystą angielszczyznę. Pomyśleć tylko, myśli Mander, że Janne faktycznie *był* kiedyś pisarzem.

– O do diabła – mówi Janne. – Odbyłeś naprawdę daleką podróż.

– Chyba tak – odpowiada głos Mandera Petulengro.

Nie do końca poznaje ten głos.

– Czyli przewędrowałeś całą pieprzoną Jugosławię podczas wojny? – pyta Janne. – I Słowenię? To chyba tam się zaczęło? W czerwcu dziewięćdziesiątego pierwszego...?

– Nie – odpowiada Mander. – Moja podróż zaczęła się w sierpniu dziewięćdziesiątego drugiego. Przeszedłem górami do Serbii przez Timișoară. Przeżyłem dzięki graniu na gitarze i śpiewaniu o historii mojego ludu.

– Niewidomy bard – mówi Janne. – Słyszałeś o Demodoku?

Siedząc przy kuchennym stole w podupadłej chałupie pod Gneštą, Mander przypomina sobie, że gdy Janne o to zapytał, pokręcił głową. Żadnej z tych rzeczy nie słyszy z komórki.

– Ale opowiadaj dalej – mówi Janne. – Czyli Serbia była pierwsza?

– Nowy Sad, potem powędrowałem do Chorwacji, przez Vukovar.

– Zima dziewięćdziesiątego drugiego? Wojna w Chorwacji chyba trwała w najlepsze?

– Było zimno, a nastroje w Serbii były nie za dobre. Ale gdy dotarłem do Chorwacji, tam okazały się jeszcze gorsze. Tyle dobrego, że nienawidzili siebie nawzajem tak bardzo, że zapomnieli o nienawiści do Romów.

– Ale przecież wtedy toczyła się wojna?

– Wszędzie w lasach natrafiałem na oddziały walczących. Ale niemal zawsze podobało im się moje śpiewanie. Pozwalali mi żyć. Czasem nawet dawali mi jedzenie. Potem ruszyłem do Bośni. Nie miałem żadnej mapy, po prostu wędrowałem. Trafiłem do Banja Luki, tam było niewesoło, paskudna, pełna nienawiści atmosfera. Więc ruszyłem dalej, do Sarajewa. A tam trwała wojna. Żołnierze leżeli na wzgórzach wokół miasta, snajperzy strzelali do mieszkańców.

– *Shit!* Byłeś w Sarajewie? Było przecież oblężone przez jakieś pięć lat?

– To był najlepszy rok w moim życiu.

Mander Petulengro przypomina sobie, że wypowiadając te słowa, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– O cholera! – śmieje się Janne, zaskoczony. – Przyznaj się, chodziło o dziewczynę.

– Luminitsa – mówi rozmarzonym głosem Mander.

– Wspaniale.

– Nie. Została tam. Ja powędrowałem dalej.

– Została?

– Ona też była niewidoma. Poruszaliśmy się nocą, to wtedy widzieliśmy najlepiej, a snajperzy najgorzej. Ale pewnego dnia popełniła błąd. Nie chcę o tym opowiadać.

– W porządku. Cholera, ale przechłapanie.

– Opuściłem Sarajewo nocą, to było piątego lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Wędrowałem jeszcze przez dziesięć lat, ale już nigdzie nie poczułem się jak w domu. Śpiewałem i grałem, aż pewnego dnia miałem dość i wróciłem do domu, do Transylwanii. W Casin nie pozostał przy życiu nikt z mojej rodziny, ale przynajmniej krajobraz się nie zmienił. Zapachy, wiatr. Nie powinienem był tam jednak wracać.

– Do Casin?

– To moja rodzinna wioska, w okręgu Harghita. Niedaleko Miercurei-Ciuc. Ale nic tam nie zostało. Nic prócz nienawiści. Poszedłem więc do Târgu Mureș. Trafiłem do zapchlonego domu opieki. Zrezygnowałem. Chciałem tam umrzeć, doczekać końca. Ale tak się nie stało.

– W twojej rodzinnej wiosce nie zostało nic *prócz nienawiści*?

– Nienawidzili nas już piętnaście lat wcześniej. Mieszkali tam Rumuni, Węgrzy i Romowie i nigdy się nie spotykali. Byłem wtedy młody, miałem najwyżej osiemnaście lat. Poszedłem z grupką krewnych do wioskowej knajpy. Nie chcieli ustąpić, kiedy „węgierska większość” zażądała, żeby obsłużyli ich przed nami. Zawsze tak było, że musieliśmy ustępować. Ale nie tym razem. Tym razem moi kuzyni nie chcieli. Właściciel knajpy nas wyrzucił. Powłókłem się do domu, ale moi starsi krewni wtargnęli na działki Węgrów, które dano im za darmo po wyzwoleniu, państwowe ziemie, które rozdano wszystkim, z wyjątkiem Romów. Ukradli stamtąd trochę rzeczy, zboże, nasiona. Pozostali mieszkańcy zebrali się w kościele i dostali od księdza błogosławieństwo, żeby spalić wszystkie romskie domy w Casin. Stu sześćdziesięciu Romów zostało bez dachu nad głową, wielu odniosło poważne obrażenia. Wziąłem gitarę i odszedłem stamtąd. Nie mogłem zostać. Zacząłem o tym pisać pieśni.

– Czyli przeżyłeś pogrom?

– Nie wiem, co to znaczy. A kim był Demodok?

– Ach, zapomnij o tym, Mander. To tylko literatura. Trzcina na wietrze. Najbardziej ulotna rzecz w życiu.

– Nie uważam tak. Chcę wiedzieć.

– Słyszałeś o Homerze? O *Iliadzie* i *Odysei*?

– Dawne opowieści wierszem?

– Tak. O wojnie. O wojnie i o powrocie wojowników do domu. W *Odysei* pojawia się niewidomy pieśniarz imieniem Demodok. Wzruszony jego śpiewem wojownik Odyseusz, który wraca do domu, zaczyna płakać. Niewiele już z tego pamiętam, ale kiedy cię zobaczyłem, Mander, przypomniałem sobie słowa, którymi przedstawiono Demodoka: „Muzy kochanek, dobrem i złem obdarzony/ Bo mu wzrok wzięwszy, dała dar śpiewu pieszczony” <sup>1</sup>.

– A o czym śpiewa?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, to były trzy pieśni, w tym dwie naprawdę bardzo smutne. Ale co najważniejsze, wielu uważa, że Demodok to autoportret Homera. Według legendy Homer sam był niewidomym bardem. Po licznych podróżach po krajach na wschodnich krańcach Morza Śródziemnego powrócił do ojczyzny i tam osiadł. Na greckiej wyspie Chios na Morzu Egejskim, niedaleko wybrzeży Turcji. W kolebce wszystkich opowieści.

Mander wyczuwał, że Janne się uśmiecha, wypowiadając te ostatnie słowa. Jakby w tamtej chwili ten sponiewierany człowiek na moment stał się kimś innym. Kimś młodszym, prawdziwym. Miał wtedy ochotę dotknąć jego twarzy.

Kiedy Janne znów stał się sobą – zmęczonym, zgorzkniałym i wyniszczonym nałogami – spytał:

– Gdzie masz gitarę?

– Schowałem ją na śmietniku.

– No to pieprzyć Armie Zbawienia. Chodźmy tam i zaplanujmy, co dalej. A przede wszystkim co masz zrobić z tą komórką...

– Ona czegoś ode mnie chce – mówi Mander. – Przyszła do mnie w rzece krwi. Chce ode mnie czegoś ważnego.

– No to musisz powędrować dalej.

– Mam szefów, panów. Nie pozwolą mi odejść. Zabiorą mi telefon.

– Jest taka rudera...

– Rudera?

– Stara, zapuszczona chałupa nad jeziorkiem pod Gnestą. Nikt tam nie zaglądał od śmierci mojej matki. Powinienem to gównem sprzedać, ale, kurwa, zapomniałem, jak to się robi.

Mander Petulengro zatrzymuje plik dźwiękowy numer dwa i uruchamia plik numer jeden.

Gdy dwaj nieznani mężczyźni prowadzą nocną rozmowę przez telefon, w jego myślach pojawia się spalona piwnica, zmieniona w całkiem przytulny zakątek. Widzi ją tak, jak zawsze widzi rzeczy, resztą ciała. Zupełnie jakby znów tam był. U siebie. Tam gdzie mieszkała miłość. Za dnia huk na zewnątrz. Eksplozje, wystrzały, granaty. Wtedy nie wychodzili. Siedzieli w swoim zakątku świata. Kiedy salwy cichły i robiło się chłodniej, wychodzili. Znajdowali jedzenie, wodę, żyli całkiem znośnie. Trwało to tak długo, że wydawało mu się, jakby trwało wieczność. Byli w sobie. Zamieszkiwali się nawzajem. Ich życie było jednym. Znał wszystkie najdrobniejsze zakamarki jej ciała, wyczuwał każde drgnięcie na

powierzchni jej skóry. Byli Manderem i Luminitsą, Luminitsą i Manderem, i nie istniało nic prócz nich. A już na pewno nie Sarajewo.

Leniwy poranek. Późno jak zwykle, nie było ich przecież przez całą noc. Wtedy widzieli lepiej niż wszyscy. Mander czuł, że dochodzi południe. Wyciągnął rękę do Luminitsy. Była tam, usłyszał, jak się przeciąga, przygarnął ją do siebie, przyjęła go. Ich pieścizoty były tak delikatne, tak precyzyjne. Kochali się. Jeszcze nigdy nie było im tak dobrze. Potem się odwrócił, zwykle lubiła przytulać się do jego pleców. Zazwyczaj po jakiejś minucie czuł jej dłonie przesuwające się po jego ciele. Zapadł w najśłodsza drzemkę, drzemkę po miłości.

Ale powinien teraz poczuć dotyk jej dłoni, dotyk jej miękkiego ciała. Odwrócił się. A jej nie było. Poczł, że wymknęła się na górę, na ulicę, cień wyslizgujący się przez wybite piwniczne okno. Wydawało mu się nawet, że wyczuwa jej błogi uśmiech; przez to pomyślał, że wciąż była z nim w łóżku. Ale tak nie było. To przez tę błogość Luminitsa uznała, że jest noc.

Był jednak dzień. Piąty lutego tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, dziesięć po dwunastej, w południe. Mander właśnie zdążył się podnieść, gdy doszło do eksplozji. Była potworna. Cisnęło nim mocno o ścianę piwnicy.

Później się okazało, że to studwudziesiętomilimetrowy pocisk z haubicy, wystrzelony z serbskich umocnień, spadł na tłum na placu Markale. Nazwano to pierwszą masakrą na placu Markale, potem miało dojść do kolejnej. Sto czterdzieści pięć osób odniosło obrażenia, sześćdziesiąt osiem zginęło. Jedna z nich miała na imię Luminitsa. Nigdy nie poznał jej nazwiska. Jego jedynym pocieszeniem było, że zginęła z błogim uśmiechem na ustach.

Znalazł jej okaleczone ciało. Rozpoznał ją po zapachu. Przebijał się przez całą woń śmierci i cierpienia. Był o wiele silniejszy.

Zostawił ją tam i odszedł.

Rozmowa odtwarzana z komórki leżącej na stole w kuchni dobiega końca. Głuchy, przesycony groźbą głos mówi:

– Jeśli to zrobisz, profesorze, na pewno umrzesz.

A ten drugi, mówiący trochę łamanym angielskim, odpowiada:

– Jeśli tego nie zrobię, umrze coś o wiele ważniejszego.

A potem zapada cisza.

Mander Petulengro przez chwilę chłonał tę ciszę. Potem sięgnął po gitarę i zagrał akord.

Demodok, pomyślał.

Homer, pomyślał.

Niewidomy pieśniarz.

Brakowało mu mydła.

Sztokholm, 4 czerwca

TERAZ WSZYSTKO SIĘ ZGADZA. Wszystko jest zaplanowane. Piłka jest w powietrzu. Przed nami pierwszy wielki test ostatecznego składu chemicznego. To zadecyduje o czasie ładowania.

Niedługo przyjdą wyniki. Czekamy, siedząc przy komputerach. W miejscu, które trochę ironicznie nazywamy wielką salą, panuje dziwny nastrój. Sala mieści się tuż za biurem Virpi i to tam dokonaliśmy wszystkich przełomów w badaniach. Jovan gra na komputerze, Virpi surfuje i wyszukuje dietetyczne przepisy. A ja? Ja piszę pamiętnik.

Duński pamiętnik.

Nikt o tym nie wie. Nikt by w to nie uwierzył. Nie jestem typem, który prowadziłby pamiętnik. Mam napisaną do połowy notatkę służbową, którą mogę wyświetlić na ekranie, gdyby ktoś się zbliżył.

Minął prawie miesiąc od ostatniego razu. Moje obawy jak dotąd okazały się nieuzasadnione. Wręcz przeciwnie, wszystko zmierzało w tak jednoznacznie pozytywnym kierunku, że był to dla mnie wystarczający powód, by znów otworzyć ten dokument.

Może się okazać, że będzie to historyczny dokument.

W ciągu tego miesiąca dokonano trochę innych odkryć, ale żadne nie mogą się równać z naszymi. Między innymi ten naprawdę sprytny pomysł, by wykorzystać karoserię samochodu jako baterię.

Ale to odległa przyszłość, a nasz płyn akumulatorowy to rozwiązanie dostępne tu i teraz, jestem o tym coraz bardziej przekonany. I niedługo zniknie problem magazynowania. Na dobre. Również kwestia kosztów zaczyna się rozwiązywać.

Przełom, o którym Jovan doniósł mi w Chicago, z naukowego punktu widzenia jest jednoznaczny. Pozostaje nam praktyczne zastosowanie, to zupełnie inna sprawa. Naturalnie nie mogę za dużo napisać w takim dokumencie jak ten – żaden komputer nie jest bezpieczny, nawet my, badacze starej daty, już się tego nauczyliśmy – ale coś mogę zasugerować.

Będzie to wymagało serii trzech dużych, niezależnych testów i dziś czekamy na wyniki pierwszego z nich. Gdy przejdziemy przez ucho igielne trzeciego testu, będziemy mogli przystąpić do ciągłej produkcji.

A Unia Europejska czeka w gotowości.

Gdy odbyła się ta rozmowa, byliśmy tylko zwyczajnym zespołem badawczym z małej Szwecji, zmagającym się z perspektywą poważnych cięć budżetowych. Mieliśmy pomysł – przyznam, że był mój – ale to była odległa przyszłość. Mówiąc w skrócie, chodziło o to, by przetestować różne płyny akumulatorowe i ustalić właściwe wartości. Długi i pracochłonny proces.

Nie ufałem jej, szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałem, kim jest komisarz Unii Europejskiej. Nie

byłem pewien. Wiedziałem tylko, że to ktoś z europejskich władz.

I właśnie tak było.

Miała niespodziewanie wielką władzę.

Nagle pojawiła się perspektywa zdecydowanego zwiększenia środków, dokładnie to, czego potrzebowaliśmy, żeby móc przeprowadzić całą serię testów. Choć właściwie nie była to już seria – zamiast przeprowadzać jeden test po drugim, mogliśmy to robić równocześnie i zbadać równolegle wszystkie ewentualne warianty. To pozwalało dość szybko uzyskać optymalne rozwiązanie. Albo przynajmniej się przekonać, jaki jest optymalny kierunek.

Objawienie, powiedziała. Nagłe objawienie w Nowy Rok. Wśród dymu. Po drugiej stronie płomieni. Biały punkt wynurzający się pośrodku czerni.

Szczerze mówiąc, to „objawienie” brzmiało dość bełkotliwie. Zacząłem się zastanawiać, co paliła.

Ale w propozycji i środkach nie było już nic bełkotliwego. Były bardzo konkretne. Staliśmy się unijnym projektem. Dość bełkotliwie zdefiniowanym. Jakby ten bełkot miał stanowić zasłonę dymną. Dostaliśmy pół roku, nie więcej. Czy to wykonalne?

Tak, odparłem. Wykonalne. Przy wspomnianych środkach? Tak.

Dobrze, powiedziała. Ale nie może być mowy o opóźnieniach w badaniach, jak to często bywa. Nic takiego nie może się wydarzyć. Zadba pan o to, panie profesorze? Czy pański zespół jest dość dobry?

To najlepszy zespół, jaki istnieje. To była zawsze wyłącznie kwestia środków. Jak wiadomo, większość zespołów badawczych jest ściśle związana z interesami komercyjnymi. Prywatne przedsiębiorstwa zawsze są silniejsze niż instytucje publiczne, to już reguła w życiu badaczy. Niezależne obiektywne badania nie mają szans przy tych przeprowadzanych na zamówienie, kupionych, inwazyjnych, opartych na interesach i subiektywnie selektywnych.

Czyżby pan profesor był lekko oburzony?

Nie zachwyca mnie wspomniana sytuacja, nie.

Nawet gdyby panu profesorowi zaproponowano posadę w jednym ze wspomnianych prywatnych przedsiębiorstw? Z pięciokrotnie wyższą pensją? Czy nawet niewzruszone jak skała przekonania nie zmieniają się w takich okolicznościach?

Nie moje.

Dlaczego nie?

Bo moje przeświadczenie o konieczności niezależnych badań jest niezachwiane. To wybór, którego dokonałem na całe życie.

I dotyczy to również pańskich współpracowników?

Tak. Oczywiście.

Jesteście bardzo kompetentni, ale nie ambitni?

Ambitni, ale nie pazerni. To różnica. Niczego bardziej nie pragniemy, niż rozwiązać tę cholerną zagadkę. Rozwiązanie tak długo wymykało się badaczom i całej branży. To przeszkadzało w prawdziwym



przełomie w kwestiach ochrony środowiska. Najwyższa pora to zmienić.

Uśmiech, który można było niemal usłyszeć przez świeżo kupioną komórkę na kartę.

Pan profesor jest chyba równie elokwentny jak ja.

Tyle tylko że ja nie miałem żadnego objawienia, pani europoseł. Od bardzo dawna.

No to teraz przysłała na to pora. Objawienie to nie droga na skróty, bardzo rzadko zsyła je nadprzyrodzona siła, stanowi raczej efekt ciężkiej pracy i udoskonalania. Ma pan pół roku, panie profesorze. Zapewnię pańskiemu zespołowi wszystko, czego będziecie potrzebowali, proszę tylko wypracować objawienie.

Dlaczego właśnie ja?

Polecono mi pana profesora.

Kto taki?

Niezależna grupa ekspertów.

A więc to wcale nie takie poufne, jak pani europoseł dawała do zrozumienia, prawda? Nie powinniśmy mieć tak zwanych nieoficjalnych telefonów?

Niech pan profesor przestanie nazywać mnie panią europoseł. Jestem komisarzem Unii Europejskiej.

Oczywiście. Przepraszam za pomyłkę. To ogromna różnica.

Zgadza się. A w odpowiedzi na pańskie pytanie. Owszem, to jest nawet bardziej poufne. Absolutnie nie możemy utrzymywać dalszych kontaktów, chyba że nieoficjalnie. Pod żadnym pozorem. Pan profesor musi to zrozumieć.

Przywykłem do dyskrecji.

A do potęgowania?

Oczywiście. A co to ma...?

To niech pan profesor podniesie dyskrecję do dziesiątej potęgi. Zwyczajna poufność podczas badań podniesiona do dziesiątej potęgi. Czy to jest dla pana jasne, panie profesorze?

Jasne.

To wszystko.

Tak wyglądał pierwszy dziwny kontakt z Marianne Barrière.

A teraz właśnie nadchodzi odpowiedź. Zawsze nadchodzi w tak banalny sposób. Poślaniec rowerowy, pospieszne kroki w beżowym korytarzu, potem kroki w biurze Virpi, zbliżają się do drzwi, brązowa koperta, elektroniczny podpis. Po posłańcu pozostaje tylko woń potu, gdy trzy pary oczu wpatrują się w kopertę.

Trzyma ją Jovan. Ja dalej piszę swój pamiętnik. To niemal perwersyjne pisać dalej w takiej chwili. Jak coś w rodzaju transmisji na żywo. Jovan i Virpi wpatrują się we mnie. Czekają na zielone światło. Piszę, nie patrząc na klawiaturę, czytelnik musi mi wybaczyć ewentualne literówki.

Czytelnik? Cha, cha.

Tak, macie zielone światło. Otwórzcie tę kopertę, do diabła.

Jovan ją rozrywa. Widzę, jak spojrzenia jego i Virpi się spotykają. Ale jestem nie dość wrażliwy, nie potrafię nic wyczytać z ich spojrzeń, wyczuć sytuacji.

Powiedzcie coś, do diabła. Coś rozsądnego.

Widzę, jak Jovan podnosi kciuk.

A potem wszystko ginie w radosnym tumultcie.

Przed nami świetlana przyszłość.

# Słaby wzrok

Sztokholm – Bruksela – Paryż – Sztokholm, 3 lipca

WYSOKA KOBIETA stojąca obok niskiego mężczyzny spojrzała na niskiego mężczyznę i wysoką kobietę i powiedziała miłym dla ucha barytonem:

– Bardzo nam miło. Wejdźcie.

Gdy Jorge Chavez i Sara Svenhagen rozgościli się już na sofie w dwupokojowym mieszkanku Kim i Jamiego Lindgrenów przy Högalidsgatan, Svenhagen powiedziała:

– Interesuje nas chwila tuż po tym, jak sprzeczałyście się o taksówkę na Långholmsgatan.

– Rozumiem – odparła wysoka kobieta o męskim głosie.

– I odpowiedzieliśmy już na wszystkie pytania – zapewnił niski mężczyzna o kobiecym głosie.

– Musimy tylko uzupełnić kilka szczegółów – wyjaśniła Sara Svenhagen, przywołując swój najpiękniejszy uśmiech.

To sprawiło, że oboje zmiękli. Kim, kobieta, która była mężczyzną, odparła:

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnego, choć w latach siedemdziesiątych pracowałam przez jakiś czas jako pomocnik w rzeźni.

– Tempo utraty krwi świadczy o tym, że jego serce biło bardzo szybko – dodał Jamie, mężczyzna, który był kobietą. – Musiał mieć bardzo wysokie ciśnienie. Poza tym miejsce cięcia zostało idealnie wybrane.

– Bardzo profesjonalna ocena – stwierdził zaskoczony Chavez.

– Pracuję jako pielęgniarz na izbie przyjęć w szpitalu Södersjukhuset – powiedział Jamie Lindgren i przyglądał prawdopodobnie sztuczne wąsy.

– Dobrze się składa – stwierdziła Svenhagen. – Co jeszcze widzieliście? Mordercę?

– Właściwie to nie – odparła Kim Lindgren. – W każdym razie nie ja. To się stało tak szybko. Wciąż się trochę sprzeczałyśmy o tę taksówkę. Tylko nam mignął. A potem cała ta krew.

– Ja też nie – dodał Jamie Lindgren. – Nie wiem nawet, dokąd potem poszedł.

Chavez powiedział:

– Kim zeznała, co następuje: „Wszystko działo się strasznie szybko. Ten nagły, chaotyczny ruch, kiedy wszystko wyglądało jak ucieczka. A potem został tylko mężczyzna leżący w kałuży krwi”.

– Trochę poetycko to zabrzmiało – stwierdził Jamie. – Ale to prawda. Straszne, ale prawdziwe.

– Co to znaczy „kiedy wszystko wyglądało jak ucieczka”? – spytała Svenhagen.

Kim i Jamie Lindgrenowie popatrzyli po sobie. Wyglądali, jakby się naprawdę zastanawiali.

– Zrobiło się tam straszne zamieszanie – powiedziała w końcu Kim. – Właściwie to widziałam tylko... no cóż, tak jak mówiłam, mężczyznę w kałuży krwi.

– A ty, Jamie? – spytała Svenhagen.

– Naprawdę zrobiło się straszne zamieszanie – odparł z ociąganiem Jamie. – Właściwie w ogóle nie widziałem sprawcy, tylko to, że przytrzymał upadającego, ale teraz przypominam sobie mężczyznę, który uciekał, cały splamiony krwią.

– Co? – zdziwiła się Kim. – I kto tu jest trochę poetycki?

– Splamiony krwią? – powtórzył Chavez.

– Naprawdę. – Jamie Lindgren pokiwał głową. – Ktoś się zerwał, cholernie szybko, i rzucił się do zejścia do metra.

– Zerwał się? To znaczy, że wcześniej siedział?

– Nie widziałem go, dopóki się nie zerwał. Szybko biegł.

– Czyli to był on? Mężczyzna?

– Nie pamiętam nic prócz wrażenia, że to był mężczyzna, tak. Trzymał coś w ręce. Jaką miseczkę.

– Jaką miseczkę?

– Nie wiem. To musiał być żebrak. Tak przypuszczam.

– W okolicy Hornstull jest ich teraz mnóstwo – dodała Kim.

– I tego żebraka ochlapała krew?

– To bardzo krótkie wspomnienie – powiedział Jamie Lindgren. – Ale tak to zapamiętałem. Zakrwawiony, ucieka, szybko biegnie, miseczka w ręce.

– I nic więcej? Nawet tego, dokąd się kierował?

– Nie, przykro mi. Potem gorączkowo próbowałem ratować tego mężczyznę, to przecież moja praca, ale nie miałem szans. Kilka minut później przyjechała policja, strasznie szybko, i przesłuchiwał nas taki dość obcesowy funkcjonariusz.

– Rozumiem – powiedział Jorge Chavez. – Damy wam numery swoich komórek. Jeśli sobie coś jeszcze przypomnicie, dzwońcie najpierw do nas. Numery, które dostaliście wcześniej, nie są takie ważne.

Sara Svenhagen posłała mu szybkie spojrzenie, a potem wstała. Uścisnęli dłonie dziwnej pary i ruszyli do drzwi. Tam Chavez na chwilę przystanął. Zmarszczył czoło, wskazał niejasno na Lindgrenów i spytał:

– Co właściwie z tego macie?

Kim i Jamie Lindgrenowie popatrzyli po sobie i zrobili takie miny, jakby nie mieli pojęcia, o co chodzi.

– Nie rozumiemy, co pan ma na myśli.

Jorge i Sara wyszli na Högalidsgatan. Gdy zbliżali się do Långholmsgatan, Jorge powiedział:

– To dla nich gra, wcielają się w role.

– To wcale nie musi mieć seksualnego podtekstu – odparła Sara. – Może po prostu tak się składa, że oboje lubią ubrania przeciwnej płci.

– I naszyjniki, i kolczyki, i sztuczne wąsy. Nawet nie próbuj mi tego wmawiać. To zboczone, słowo

dają.

– Może by ci się spodobało? – uśmiechnęła się Sara Svenhagen.

– Nie sędzę – parsknął Jorge Chavez i skręcił za róg. – Ale wyjaśniło się przynajmniej, że morderca zdążył szybko obszukać ofiarę. „Przytrzymał go” w chwili upadku.

– I w każdym razie wiemy, że był tam jakiś żebrak – dodała Svenhagen. – Że trysnęła na niego krew i szybko stamtąd uciekł.

– Odkąd trzy dni temu wpadliśmy na ten pomysł z żebrakiem, szukamy ich przecież. Żadnego nie znaleźliśmy. Zniknęli, jakby się zapadli pod ziemię.

Minęli sklep z płytami Lilla Mickes na Långholmsgatan, zerkając pospiesznie na klapę pod witryną. Była bardzo niepozorna.

– Sprawdzimy jeszcze raz – stwierdziła Svenhagen.

– Co sprawdzimy? – spytał Chavez, próbując za nią nadażyć, bo nagle przyspieszyła.

– Czy są tu jacyś żebracy. Minęły trzy dni. Mogli zacząć znów się pojawiać.

Ale okazało się, że nie. Obejście całej okolicy zajęło im pół godziny, ale było zupełnie pusto, wszyscy żebracy zniknęli. Wypyтали kilku mieszkańców Hornstull, ale nikt nie pamiętał konkretnych ludzi, tylko że „kręciło się tu mnóstwo cholernych żebraków”. To było przykre. Mieszkańcy wiedzieli o istnieniu żebraków, ale nie mieli pojęcia, jak wyglądają. Nie potrafili nawet określić płci ani wieku.

– Nic – stwierdziła Sara Svenhagen, gdy spotkali się pod kioskiem z prasą w przejściu do metra. – Opuuszczamy sobie.

– Paul pewnie ma rację – powiedział Jorge Chavez. – I trochę mi to działa na nerwy.

– Tak – przyznała Svenhagen. – Ci nieliczni świadkowie, którzy potrafili cokolwiek powiedzieć o żebrakach, wspominali o „Cyganach”.

– To żebracza szajka – pokiwał głową Chavez. – Teraz pochowali swoich niewolników, dopóki policja kręci się w okolicy. Kiedy znikniemy, znów się pojawią, tak jak zauważyłaś. Tylko że to już będą inne osoby.

– Mimo wszystko nasz żebrak to tylko jeden potencjalny świadek spośród wielu – stwierdziła Svenhagen, wchodząc po schodach. – A poza tym może chodzić o osoby upośledzone umysłowo lub uzależnione, a tacy ludzie rzadko bywają dobrymi świadkami.

– A może niewidome?! – wybuchnął Chavez, rozkładając ręce.

Dotarli do samochodu, który stał brzydko zaparkowany przed biblioteką przy Hornsbruksgatan. Chavez wsiadł za kierownicę i z pomrukiem silnika opuścił Hornstull. Na Hornsgatan Sara Svenhagen zauważyła:

– Mimo wszystko powinieneś chyba złożyć raport Hadze.

– Hm – mruknął Chavez i zadzwonił, korzystając z systemu głośnomówiącego.

Lśniący sztokholmski wóz Europolu wypełnił głos Paula Hjelma.

– Tylko szybko, Jorge. Właśnie wchodzę do budynku Berlaymont. Obawiam się, że będę musiał

zostawić telefon w recepcji.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powiedział Chavez.

– Budynek Berlaymont, Bruksela, Belgia. Wspaniała siedziba Komisji Europejskiej.

– No to fajnie ci. Nie będę ci przeszkadzać.

– Dopiero teraz zaczynasz przeszkadzać.

– Zrobiliśmy minimalny postęp. Świadkiem naszego morderstwa był jakiś żebrak i trysnęła na niego krew. Tyle tylko że żebracy zniknęli bez śladu z całej Hornstull. Co do jednego. Zero żebraków, tak jak Szwedzi lubią najbardziej.

– Wasz żebrak prawdopodobnie należy do szajki. Takiej, która sądzi, że my w Skandynawii jesteśmy skąpi. Nie dociera do nich, że powinni wyposażyć swoich niewolników w czytniki kart płatniczych. Muszę już kończyć.

– Ja też – burknął Chavez, kliknął wyświetlacz i dodał, choć bez przekonania: – Ty nadęty palancie.

W Sztokholmie trwał kolejny piękny dzień lata. Wszystkie prognozy zapowiadały, że lato będzie kiepskie, ale gdy samochód zajechał pod monumentalną siedzibę Królewskiego Instytutu Technologicznego, na niebie nie było ani jednej chmurki.

W każdym razie na fizycznym niebie.

Na policyjnym piętrzeżyły się cumulonimbusy, zapowiadając potężną burzę.

– Dlaczego mam złe przeczucia? – spytała Sara Svenhagen.

– Może dlatego, że ja też?

– Jest za cicho. Benno to pajac. Nie dostrzega znaków.

– A ty?

– Ja je wyczuwam.

– Wiesz co? O takich rzeczach możemy chyba mówić tylko prywatnie.

– O uczuciach?

– A co powiesz na to, żeby w powrotnej drodze z Królewskiego Instytutu Technologicznego zajrzeć na chwilę do domu i porozmawiać trochę więcej o uczuciach?

– Stary zboczeniec.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Zgadzam się z tobą. Jest za cicho. Nasz szacowny Benno Lidberg, który prowadzi to śledztwo, jest głuchy, ślepy i mówi o Europolu rzeczy, za które przeciętny obywatel oberwałby policyjną pałką. Ale to nic nie znaczy. Natomiast *to tutaj* już tak. Dlaczego nie możemy niczego się dowiedzieć o projekcie badawczym Unii Europejskiej prowadzonym przez zmarłego profesora Nielsa Sørenseną?

– Są tu przynajmniej ludzie, z którymi możemy porozmawiać – stwierdziła Sara Svenhagen, otwierając drzwi samochodu przed budynkiem, który wyglądał, jakby stał w Warszawie w latach siedemdziesiątych.

Przeszli ponurymi bocznymi korytarzami Królewskiego Instytutu Technologicznego i dotarli do

zamkniętych drzwi z tabliczką „Profesor Virpi Pasanen”. Zapukali.

I weszli.

Profesor Virpi Pasanen okazała się jasnowłosą damą około czterdziestki, o dość bujnych kształtach. Spojrzała na nich znad monitora w ciasnym, ascetycznym biurze, gdzie oprócz biurka było tylko kilka tablic z jakimiś strukturami molekularnymi, sofa i drzwi na tyłach. Zerwała się o wiele zbyt gwałtownie. Chavez szybko pokazał jej swoją legitymację i powiedział:

– Przepraszam, pani profesor, ale byliśmy przecież umówieni. Jorge Chavez z policji.

Virpi Pasanen zapanowała nad twarzą, usiadła i powiedziała z fińskim akcentem:

– To ja przepraszam, jestem trochę roztrzęsiona po śmierci Nielsa.

– Rozumiem, przykro mi. To moja koleżanka, Sara Svenhagen.

– Rozmawialiśmy już z policją – odparła Pasanen i wskazała na dwa stojące przy biurku krzesła.

– My? To znaczy?

– No cóż, grupa badawcza...

– Którą w tej chwili kieruje pani i niejaki docent Jovan Biševac?

– Tak przypuszczam. Ale niewielu nas zostało. Niels był zbyt ważny dla tego projektu.

– Który był projektem unijnym? – spytał Chavez.

– Tylko jeden wydział, wydział technologii chemicznej i inżynierii procesowej, dostaje środki z Unii.

Jesteśmy zmuszeni szukać finansowania, gdzie się da.

– A czym zajmuje się ten wydział?

Virpi Pasanen wzruszyła ramionami.

– Badaniami z zakresu technologii chemicznej i inżynierii procesowej. Głównie optymalizacją elektrolitów, ale również innymi pokrewnymi dziedzinami.

– Mogłaby to pani trochę bardziej szczegółowo opisać? – spytała Svenhagen.

– Elektrolit to substancja zawierająca swobodne, ruchome jony, które czynią z niej przewodnik elektryczny. Z reguły substancja w stanie płynnym.

– A jak wygląda praktyczne zastosowanie?

– Jeśli mnie pamięć nie myli, odpowiadałam już na te pytania innemu policjantowi. Nazywał się chyba Benny...

– To nasz szef, komisarz Benno Lidberg – zapewnił Chavez. – Chciałbym, żeby to pani rozwinęła, bo jesteśmy przekonani, że Niels Sørensen został zamordowany w związku ze swoją pracą.

Profesor Virpi Pasanen przyglądała mu się z zatroskaną miną.

– A jak doszliście do tego wniosku?

Chavez popatrzył na nią, a potem na jej biurko. Było prawie puste. Tylko komputer i iPhone. Czy wokół badaczy nie leży zwykle mnóstwo kartek papieru?

– To przy tym biurku pani profesor prowadzi badania?

– Pracuję z modelami teoretycznymi – odparła Pasanen. – Wyłącznie na komputerze.



– Mam wyjaśnić, jak doszliśmy do tego wniosku?

– Bardzo proszę.

– Na podstawie tego. – Chavez wskazał na biurko.

– Obawiam się, że nie rozumiem...

– Biurko Nielsa Sørenseny było równie puste.

– A nawet bardziej – dodała Svenhagen.

– Jeszcze wrócimy do tego szczegółu – powiedział Chavez. – W każdym razie w jego komputerze też było raczej pusto. Jedyne, co zawierał, to według naszych ekspertów już publikowane badania, jego własne i innych. A w jego prywatnym laptopie, który znaleźliśmy u niego w domu, też było bardzo niewiele. Zupełnie jakby nie miał żadnego życia prywatnego.

– Niels był samotny i praca była dla niego wszystkim – odparła Pasanen. – Nie miał za dużo przestrzeni na... hobby.

– Najwyraźniej na własne badania również – wtrąciła Svenhagen.

– Możliwe, że Niels przechowywał swoje aktualne badania gdzieś indziej – stwierdziła Pasanen. –

Nie współpracowaliśmy ze sobą tak ściśle, żebym to wiedziała.

– Ale był przecież „ważny dla projektu”?

– Tak, jako koordynator, również finansowy. Ale nie wiem dokładnie, na czym polegały jego badania.

– A teraz zastępuje go pani w roli szefa?

– Jeszcze długa droga do tego. Dochodzi jeszcze nominacja...

– Poza tym nie znaleźliśmy jego komórki – przerwał jej Chavez i wskazał na jej iPhone'a. –

I uważamy, że to dziwne.

Pasanen zrobiła taką minę, jakby nic z tego nie rozumiała.

– Przechowywał swoje badania na komórce? – spytała Svenhagen.

– Trudno mi w to uwierzyć – odparła Pasanen.

– Taką mamy hipotezę – oświadczył Chavez. – Że przechowywał wyniki badań na komórce, którą skradziono, kiedy został zamordowany. Że telefon ukradł morderca.

– Czyli że najprawdopodobniej został zamordowany z powodu swojej pracy – uzupełniła Svenhagen.

– I teraz morderca ma wyniki waszych badań – powiedział Chavez. – Wasze *tajne* wyniki badań.

O których nic pani nie wspomina.

Profesor Virpi Pasanen uratował dzwonek. Całkowicie dosłownie. W sterylnym biurze rozległ się wyraźny dźwięk dzwonka, który dość szybko udało się skojarzyć z komórką. Ale w tym dźwięku było coś podejrzanego. Bynajmniej nie był to sygnał iPhone'a, lecz o wiele starszy dzwonek. Poza tym rozległ się też inny dźwięk, choć tylko raz – i Sara Svenhagen spojrzała na swoją komórkę. Profesor Virpi Pasanen wysunęła szufladę biurka i wyjęła ewidentnie bardziej prymitywny telefon.

– Tak – powiedziała. – Chwileczkę. – Zasłoniła dłonią mikrofon i szepnęła: – Muszę odebrać tę rozmowę, to ważne.

– I tak musimy już iść – powiedziała Sara Svenhagen i spojrzała na swoją komórkę.

– Musimy? – zdziwił się Chavez.

Svenhagen kiwnęła głową. Wstali i ruszyli w stronę drzwi. Otwierając, Chavez wskazał na nie i powiedział:

– Musicie zamontować bezpieczniejszy system zamków, pani profesor. *Adios!*

Zamykając drzwi, dostrzegł jeszcze, że Virpi Pasanen posyła mu długie spojrzenie i powraca do swojej ważnej rozmowy.

– No proszę, dodatkowa komórka – mruknął.

– Może ma służbową i prywatną – stwierdziła Svenhagen. – Niekoniecznie jest w tym coś dziwnego. Ale to możliwe. Pamiętasz, jak wysłałam zapytanie do banków w mieście? Dostałam odpowiedź od SEB przy Sergels Torg. Niels Sørensen trzydziestego czerwca wcześniej rano telefonicznie wynajął skrytkę w banku. Najwyraźniej można aż tak wcześnie dzwonić.

– Interesujące – stwierdził Chavez.

– Co prawda nie zdążył nic tam zdeponować, bo jakieś pół godziny później zamordowano go w pobliżu jego domu, ale i tak musimy tam pojechać.

– Czy to znaczy, że nie zajrzemy do domu i nie porozmawiamy o uczuciach?

– Możemy to zrobić później.

Chavez gapił się bezwstydnie na Svenhagen. Uśmiechnęła się i poszła przodem.

Za drzwiami Virpi Pasanen powiedziała po angielsku:

– Policja tu była.

– Wiesz, co masz robić, Virpi – powiedział kobiecie głos po drugiej stronie.

– Wiem. Spokojnie, Marianne. Przejęłam przecież nieoficjalną komórkę Nielsa. Ale ubzdurali sobie, że Niels trzymał wyniki badań na swojej zwyczajnej komórce. A ona najwyraźniej zaginęła.

– Chyba tak nie było?

– Oczywiście, że nie. Ale po co w ogóle morderca miałby kraść telefon?

– Pewnie żeby go przejrzeć. Znajdą na nim połączenia ode mnie. Nocną rozmowę. Ale z mojej nieoficjalnej komórki. Ona jest nie do namierzenia.

– Sytuacja zrobiła się strasznie trudna – stwierdziła Virpi Pasanen.

– Rozumiem to – odparła kobieta. – Ale chyba jesteś gotowa, żeby to przejąć, Virpi? Pozostało nam tylko oczekiwanie na wyniki ostatnich testów.

– Jak najbardziej jestem gotowa. Ale policja ma rację, potrzebujemy bezpieczniejszego systemu zamków. I...

– Zadbam o maksymalne bezpieczeństwo, nie martw się. Co jeszcze chciałaś powiedzieć?

– Niestety to przejęcie nie będzie takie proste.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Wprowadziliśmy dodatkowe wewnętrzne zabezpieczenia.

– Wciąż nie rozumiem, co masz na myśli, Virpi.

– To dość skomplikowany wzór chemiczny – wyjaśniła Pasanen. – Ponieważ w miarę łatwo daje się podzielić, każde z nas, Niels, ja i Jovan, zajęło się jedną trzecią. Na wszelki wypadek.

– Każdy zajął się swoją jedną trzecią? I nie wiecie, co zawierają pozostałe?

– Ogólnie wiemy. Ale dokładnie nie. A w naszej pracy to szczegóły mają decydujące znaczenie.

Bardzo drobne szczegóły.

– Jak, u diabła, mogliście zrobić coś tak bezdennie głupiego!

Chwila milczenia. Virpi Pasanen spojrzała w sufit, zamknęła oczy.

– Nie chcieliśmy, żeby którekolwiek z nas było wszechmocne. Gdyby komuś z nas grożono albo gdyby uległ pokusie, nie zdradzilibyśmy całej formuły. Uważaliśmy, że to dobre zabezpieczenie. Nie liczyliśmy się przecież z tym, że któreś z nas zginie.

– To właśnie to jest na komórce Nielsa, Virpi?

– Nie sądzę. Musiał to lepiej ukryć.

– Tak cholernie dobrze, że nigdy tego nie znajdziemy. I teraz w dodatku poluje na to zawodowy morderca.

– Nie wiedzą, że każde miało swoją jedną trzecią.

– Może i nie. Ty i Jovan musicie teraz pomyśleć. Naprawdę pomyśleć. Ponoć jesteście w tym świetni.

Gdzie Niels ukrył swoją jedną trzecią wzoru? Teraz musicie się skupić wyłącznie na tym.

Marianne Barrière się rozłączyła i rzuciła swoją nieoficjalną komórką o ścianę. Opadła na krzesło przy biurku w swoim gabinecie w budynku Berlaymont w Brukseli. Wszystko na próżno. Cały jej projekt dla nowej, lepszej Europy walił się jak domek z kart. Wszędzie przeciwności. Teraz nawet w samym zespole.

Zmianie systemu, który ze względów bezpieczeństwa skonstruowano tak, by reagował opornie, stanowiło trudne zadanie. Może naprawdę przyszła pora na domek w Prowansji. Wycofać projekt ustawy, udać się na wewnętrzną emigrację i pozwolić, by ten kontynent pożarł sam siebie, tak jak zawsze to robił. Przyglądać się z ironią całemu temu gównu ze skąpanej w słońcu werandy.

Otworzyła w komputerze swój grafik i spojrzała na zegar. Czterdzieści minut do spotkania przy lunchu z lobbystami z przemysłu opakowaniowego. Nacisnęła przycisk i do gabinetu weszła młodsza, tryskająca energią kobieta.

Sam widok jej rzeczniczki, Amandine, zwykle dawał Marianne Barrière energetycznego kopa. Ale dziś to pewnie był wyjątek potwierdzający regułę. Gdy zobaczyła tę iskrzącą się istotę wchodzącą do gabinetu, poczuła się tylko stara i siwa.

– Wybieram się na krótki spacer, Amandine.

– Lunch za trzydzieści osiem minut – odparła krótko rzeczniczka. – Mam pani towarzyszyć?

– Chcę przez chwilę побыć sama.

Marianne Barrière wyszła z tworzącego dziwnie asymetryczny krzyż budynku Berlaymont

i powędrowała w stronę Parc du Cinquanteaire, po flamandzku Jubelpark, po czym ruszyła niespiesznie dalej, w stronę majestatycznego łuku triumfalnego z belgijskiego granitu, którego widok zawsze napełniał ją osobliwym spokojem.

Mniej więcej w połowie drogi przez park usłyszała za plecami męski głos. Powiedział:

– Plan G.

Szybko się odwróciła i minęło zbyt wiele czasu, nim rozpoznała mężczyznę.

– Paul Hjelm – stwierdziła w końcu. – Europol.

– Chodźmy dalej – powiedział. – Dzięki za ostatni raz, było bardzo miło.

– Wzajemnie – odparła Marianne Barrière i ruszyła dalej.

– Wydajesz się trochę przytłoczona – zauważył Hjelm. – Czy to ma coś wspólnego ze zdjęciem, które odebrałaś w limuzynie?

Zaśmiała się i odparła:

– Gdyby tylko o to chodziło...

– Życie to walka – stwierdził Hjelm. – Co to jest plan G?

– Nie wiem – powiedziała Barrière. – Natknąłeś się na to?

– Tak. W związku z żebracką szajką w Amsterdamie. Padła tylko nazwa, nic więcej. Nie wiesz? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dla mnie to też tylko nazwa. Pojawiła się, gdy udało mi się namówić pewnego zatwardziałego chadeka z europarlamentu, żeby głosował za moim projektem ustawy. Gdy podpisywał nasze niecne przymierze, powiedział: „Tylko uważaj na plan G”. To wszystko. To był człowiek, który nie żartuje.

– Kiedyś miałem bardzo sceptyczne podejście do teorii spiskowych – odparł Paul Hjelm. – Teraz diabli wiedzą. Kim on jest?

– To wszystko jest bardzo poufne – powiedziała Marianne Barrière. – Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Bo *chcesz*, żebym się zamyślał jak detektyw.

Barrière wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Co ci chodzi po głowie, Paul? – spytała.

– Że ktoś próbuje cię przycisnąć.

– Rozwiń to.

– Odkąd usłyszałem określenie „plan G”, trochę się nad tym zastanawiałem. Wiem, że dostałaś tego MMS-a w limuzynie w Amsterdamie. Próbowałem sobie przypomnieć tę sytuację. Odchyliłaś komórkę. Ale przez bardzo krótką chwilę widziałem odbicie w szybie samochodu. To było zdjęcie. *Wydaje mi się*, że pornograficzne.

– Stare, czarno-białe, prawda, Paul?

– Tak. Z daleka śmierdzi szantażem. A potem pojawia się ten plan G. To była jedyna rzecz, jaką chciałaś mi zdradzić podczas kolacji w zamku Muiderslot. Bez względu na to, czego dotyczy twój projekt ustawy, jest teraz zagrożony, prawda? Z kilku stron.

- Nie myślałeś o tym, żeby zostać detektywem, Paul?
- Nieładnie tak ciągle zwracać się do ludzi po imieniu.

Marianne Barrière przystanęła, pokiwała głową, jakby do siebie. Wskazała na ławkę w parku.

Usiedli.

- Zakładam, że jesteś tu nieoficjalnie.
- Tak – potwierdził.
- W takim razie nie możesz za wiele.
- Zakładałem, że chcesz, by to było nieoficjalne. I możliwe, że mogę więcej, niż ci się wydaje.
- Mój specjalista od PR się tym zajmuje.
- Jak to dobrze. W takim razie nie potrzebujesz policji.

Marianne Barrière znów zaśmiała się cicho.

– Prawdopodobnie istnieje trochę zdjęć z odległej przeszłości – powiedziała. – Wiedziałam o kamerach. Ale nigdy nie sądziłam, że ktoś mnie skojarzy. Trzeba by chyba z góry znać moją tożsamość, żeby mnie z tym powiązać.

– A w tej odległej przeszłości niewielu znało twoją tożsamość?

– Bardzo niewielu. Trzy osoby. Podałam dwa nazwiska mojemu specjalście od PR. Trzeciego nazwiska nie pamiętam.

– Życie oznacza popełnianie mnóstwa błędów. Czy powinniśmy ufać ludziom, którzy nigdy ich nie popełnili? Jak mieliby się czegokolwiek nauczyć? A chyba chcemy, żeby naprawdę wiedzieli różne rzeczy.

– Wszyscy jesteśmy istotami seksualnymi. Pewien mit głosi, że wszystkie komórki w naszym ciele wymieniają się co siedem lat. Jeśli tak, to zdążyłam je już wiele razy wymienić. Jestem inną osobą. Mam ponosić karę za swoje pożądanie z czasów, gdy byłam dwudziestodwuletnią dziewczyną?

– Wszystkie, z wyjątkiem komórek mózgu – odparł Paul Hjelm.

– To też nie do końca prawda. Ostatnio się okazało, że w mózgu dorosłych ludzi wytwarzają się nowe komórki nerwowe. Ale mój mózg niczego nie żałuje. Uwielbiałam to. Niestety sfotografowano niektóre elementy mojego wkraczania w ten świat.

– Pamiętasz fotografa?

– Im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem przekonana, że to musiał być Pamplemousse.

– Pamplemousse? Grejpfрут?

– Ciągle te figlarne ksywki. Był moim kochankiem i fotografem amatorem.

– Chcesz, żebym się temu dokładniej przyjrzał?

– Mój specjalista od PR jest już w Paryżu.

– To nie jest odpowiedź.

– Tak, Paul. Chciałabym, żebyś się temu dokładniej przyjrzał. Ale myślę, że plan G rozgrywa się na

dwóch różnych frontach. O tym drugim nie mogę ci w tej chwili nic powiedzieć. Ale powstrzymaj ten. Proszę, powstrzymaj go.

Paul Hjelm spoglądał na Mariannę Barrière. To nie było do końca to, czego chciał. Albo tak, być może, gdyby był ze sobą brutalnie szczery. Prośba, błaganie. Tego pragnął? Choć raz być rycerzem na białym koniu?

Zaczął kwestionować własną motywację. Ale spytał:

– Bo wtedy musiałabyś zdradzić, na czym polega twój projekt ustawy?

– Tak. Zostały dwa tygodnie. Nie mogę ci tego wyjawić. Jeszcze nie teraz.

– Potrzebuję pięciu nazwisk – oświadczył Hjelm.

– Pięciu?

– Pięciu. Europoseł, który wspomniał o planie G, Pamplemousse, dwóch pozostałych, którzy znali twoją tożsamość w latach osiemdziesiątych, i twój specjalista od PR. Zakładam, że jest twoim spin doktorem.

– Teraz udajesz twardziela.

– Przecież ci się to podoba.

– Mój spin doktor nazywa się Laurent Gatien. Pamplemousse to Pierre-Hugues Prévost. Minou to Michel Cocheteux. Natz naprawdę miał na imię Ignatius, nazwiska nie pamiętam, to Niemiec. Europoseł to Włoch, Mauro Morandi. Naprawdę to wszystko zapamiętasz?

– Tak – odparł krótko Hjelm. – I Gatien jest teraz w Paryżu?

– Pamplemousse i Minou wciąż tam mieszkają. Obaj wysoko zaszli w świecie biznesu. Nic więcej nie wiem.

– Ale wydaje ci się, że to Pamplemousse robił zdjęcia?

– Tak. W Paryżu i w Berlinie Zachodnim. Nigdzie indziej. To konkretne zdjęcie zrobiono w Berlinie. Prawdopodobnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym.

– Dziękuję – powiedział Hjelm. – Skontaktuję się z tobą.

Marianne Barrière spojrzała na zegarek i powiedziała:

– Spóźnię się na lunch z lobbystami.

– Trudna do zniesienia strata – odparł Hjelm.

Wstali. Pożegnali się. Śledził wzrokiem jej drobną postać, gdy szła przez Parc du Cinquenaire i w końcu znikła w Avenue de la Joyeuse Entrée. Następnie wyjął z kieszeni komórkę i zatrzymał program o nazwie Voice Memo. Odsłuchał plik dźwiękowy. Nagranie było kiepskie, ale odróżnił nazwiska i zapisał je na bardzo fizycznej karteczce: Laurent Gatien, Pierre-Hugues Prévost, Michel Cocheteux, Ignatius X, Mauro Morandi. Porządnie skasował plik dźwiękowy i wybrał połączenie.

– Halo? Masz czas? Mam dla ciebie zadanie: natychmiast jedź na lotnisko w Brukseli, powiedz, że masz wizytę u lekarza albo coś w tym stylu. To sto siedemdziesiąt kilometrów, powinnaś dojechać w godzinę. Zadanie jest tajne, nikomu o tym nie wspominaj. Spotkamy się tam.

Wstał i pomyślał o życiu. Pomyślał o Kerstin, o podróżach, o spokojnym domku na uboczu, na sztokholmskich szkiecach, domku, który jeszcze nie istniał. Pomyślał o spokoju. Pamiętał go coraz bardziej mgliście. Potem powoli powędrował ścieżką na drugą stronę Jubelpark i wskoczył do taksówki.

Pokonanie stu siedemdziesięciu kilometrów z Hagi do Brukseli naturalnie nie trwało godziny. Natomiast Paul Hjelm miał niemal godzinę dla siebie. Siedział na lotnisku i zbierał materiały. Zdobył już większość tego, czego potrzebował, zanim zjawiała się w umówionym miejscu, przy głównym wejściu na brukselskie lotnisko. Drobna, elegancka, gotowa.

– Dobrze – powiedział. – Za dwadzieścia minut mamy lot do Paryża.

– Ale o co chodzi? – spytała Laima Balodis.

– Potrzebuję twojej bezwzględności – odparł Paul Hjelm.

Podczas lotu milczał. Ona również.

Gdy siedzieli w wypożyczonym samochodzie pod okazałym budynkiem przy Rue Vieille-du-Temple w dzielnicy Le Marais, a Paul Hjelm skierował kupioną na lotnisku lornetkę w stronę trzeciego piętra, Laima Balodis nie potrafiła dłużej się powstrzymać.

– Niech to diabli – powiedziała.

– Co? – spytał Hjelm, nie odsuwając lornetki od oczu.

– Co się dzieje? Co tutaj robimy?

– Ma tam gościa – stwierdził Hjelm, odsunął lornetkę od oczu, przerzucił kilka zdjęć na komórkę i dodał: – Miej na oku ludzi, którzy wychodzą z bramy.

– Cały czas to robię – odparła Balodis. – Ale czy oboje nie skorzystalibyśmy na tym, gdybym rozumiała, co się tutaj dzieje?

– Nie – odparł Hjelm, zatrzymując się na jednym ze zdjęć. – Niekoniecznie.

– Aha – powiedziała niezbyt mądrze Balodis.

– Mimo to podam ci trochę informacji. W mieszkaniu, które obserwujemy, mieszka niejaki Pierre-Hugues Prévost, w czasach młodości zwany Pamplemousse'em, obecnie współnik kancelarii adwokackiej Gille, Narcisse & Prévost mającej związek z konserwatywną UMP, Unią na rzecz Ruchu Ludowego. Przywódcą tej partii jest Nicolas Sarkozy, prezydent Francji, który być może wkrótce zostanie zdetronizowany. Mężczyzna zaś, który przyszedł do Prévosta z wizytą, prawdopodobnie nazywa się Laurent Gatien i jest spin doktorem. Do tej pory zapewne weszli w klincz.

– A co my mamy z tym wspólnego?

– Przerwiemy ten klincz. Post factum. Ja jestem dobrym policjantem. Ale z początku ma to wyglądać tak, jakby było na odwrót.

– Rozumiem – powiedziała Balodis. – Jak bardzo mam być zła?

– Zła – powiedział Hjelm, spoglądając na jej piękną twarz. I powtórzył: – Zła.

– Co chcemy wiedzieć?

– Gdzie się podziało parę zdjęć zrobionych trzydzieści lat temu.

– I jeśli o mnie chodzi, obowiązuje zasada ograniczonego dostępu?

– Później dowiesz się wszystkiego. Uważaj na wszystko, co będzie mówione.

– Teraz wychodzi jakiś mężczyzna.

Balodis pokazała, a Hjelm spojrzał na wybrane zdjęcie w komórce. Wszystko się zgadzało. To był Laurent Gatien, spin doktor, i nie sprawiał wrażenia zadowolonego.

– No dobrze – westchnął cicho Hjelm. – Wchodzimy, zanim Pamplémousse dojdzie do siebie.

Weszli do okazałej kamienicy i szybko wspięli się po schodach na trzecie piętro. Tabliczka na drzwiach z nazwiskiem Prévost wydawała się raczej ozdobna niż surowa. Hjelm nacisnął dzwonek, zanim zdążyli uspokoić oddech. Mieli jednak jeszcze chwilę, zanim Pierre-Hugues Prévost dotarł do drzwi przez najwyraźniej bardzo duże mieszkanie. Otworzył im sztywny, dobrze ubrany, elegancki pięćdziesięciolatek, w typie żyłastego francuskiego biznesmena.

– Policja – powiedział po angielsku Paul Hjelm, machając swoją legitymacją. – Możemy wejść?

– Najwyraźniej nie francuska policja – odparł Pierre-Hugues Prévost bardzo poprawną angielszczyzną, próbując skupić wzrok na poruszającej się legitymacji.

– To międzynarodowe postępowanie – powiedział Hjelm i nagle jego ręka znieruchomiła. Prévost przeczytał i kiwnął głową.

– W porządku – powiedział. – Wysoko postawiony szwedzki policjant w ramach jakiejś międzynarodowej współpracy. A pani?

– Litewska policja – wyjaśniła Balodis, podsuwając mu swoją również niezbyt autentyczną legitymację. – Współpracujemy.

– Abromaite? I Karlsson? Czego sobie państwo życzą?

– Możemy wejść? – spytał Hjelm.

Prévost pokręcił głową i ironicznym gestem zaprosił ich od środka. Hjelm wszedł pierwszy, za nim Balodis.

Przeszli do eleganckiego salonu w stylu rokoko i usiedli na sofie, która wyglądała tak, jakby kiedyś, po pijanemu, wylegiwał się na niej Diderot. Prévost usiadł naprzeciwko i rozłożył ręce.

Hjelm próbował szybko go rozgryźć. Jak mu poszło ze spin doktorem? Kto wygrał? Czy to możliwe, że widział lekki, arogancki uśmieszek w kącikach ust prawnika specjalizującego się w prawie handlowym? Zapewne wyszedł zwycięsko z klinczu i był teraz zadowolony z siebie. Czuły punkt.

– Jest pan sam w domu? – spytał Hjelm.

– Mieszkam sam od czasu bardzo kosztownego rozwodu – odparł Prévost. – Wygląda na to, że życiowym celem kobiet jest obedrzeć ze skóry swoich mężczyzn.

– Czyżby żona znalazła fotografie? – spytał spokojnie Hjelm.

Prévost niczym się nie zdradził. Spoglądał na niego.

– Dopiero co odwiedził mnie pewien uparty człowiek, żeby porozmawiać o tych wyimaginowanych zdjęciach – odparł. – Prawdopodobnie z nim współpracujecie. Ale powiem wam to samo, co i jemu: nie



wiem, o jakie zdjęcia wam chodzi.

– Domyślałem się tego – odparł Hjelm. – Ale musi pan przyznać, że to w wyjątkowo złym stylu udostępniać bardzo prywatne zdjęcia po trzydziestu latach.

– Mogę się z tym zgodzić. Tyle tylko że to nie ma ze mną nic wspólnego.

– Ależ ma – odparł Hjelm. – Była twoją kochanką, twoją bliską przyjaciółką. To było prawie trzydzieści lat temu, dwadzieścia siedem, jak sędzę. Od czasu do czasu jeździliście razem do Berlina Zachodniego i fotografowałeś ją w bardzo intymnych sytuacjach.

Kątem oka Hjelm dostrzegł, że Balodis marszczy brwi. Wyobrażał sobie, co myślała. Czyżby chodziło o prywatne przygody szefa? Teraz, gdy żonka przyjechała do Hagi i w ogóle?

Prévost odrzucił lekko głowę. Oczywiście, słyszał to wszystko już wcześniej. Od spin doktora. Pozostawało tylko pytanie, kiedy wrzucić drugi bieg. Hjelm się wstrzymywał.

– Marianne była moją młodzieńczą miłością – odparł Prévost. – Nasze drogi się rozeszły. Nie mam żadnych zdjęć. Szukacie kogoś innego.

– Niemniej fakt, że fotografowałeś wasze spotkania, jest dobrze udokumentowany.

– Nie wiesz nic o tym, co nazywasz naszymi spotkaniami, prawda?

– Wiem, że wtedy zajmowałeś się fotografią. I wiem, że przez wszystkie te lata zachowałeś zdjęcia. I że co najmniej jedno z nich teraz wypłynęło. I że to twoja wina.

Prévost zmarszczył czoło.

– Jesteście w ogóle z policji?

– Oczywiście – odparła Balodis. – Mój kolega potrafi być trochę obcesowy. Przepraszam za niego. Ale czy nie jest przypadkiem tak, że brakuje przynajmniej jednej z pańskich starych, papierowych odbitek?

Hjelm przyglądał jej się z pewnym zadowoleniem.

– Nie ma żadnych starych, papierowych odbitek – oświadczył obrażonym tonem Prévost.

– Wiem, że musi pan tak mówić – odparła Balodis. – Jest pan honorowym człowiekiem, prawnikiem i współnikiem w bardzo dobrej kancelarii adwokackiej. To dlatego pan wie, że to, co pan zrobił, jest przestępstwem. Ale wie pan również, że to, co ktoś inny zrobił z tym zdjęciem, jest o wiele cięższym przestępstwem. Musi pan się trzymać swojej wersji, rozumiem to. Ale gwarantujemy, że nikt się nie dowie o tym, co nam pan powie.

Hjelm pochylił się nad stołem i powiedział mrocznym głosem:

– Niech zgadnę, jak to się odbyło... Dobra kolacja z twoimi przyjaciółmi z partii konserwatywnej. Oczywiście sami mężczyźni, może jakaś striptizerka, kilka dziewczek. Dużo czerwonego wina, dużo calvadosu. Wcześniej nie wspominałeś o swoim dawnym związku z Marianne, bądź co bądź to była sprawa honoru, ale wino i calvados rozwiązują ci trochę język i wymyka ci się, że kiedyś, dawno temu, miałeś relacje seksualne z przyszłą wysoko postawioną przeciwniczką polityczną. Ponieważ temat okazuje się bardzo popularny wśród niemal równie wysoko postawionych konserwatywnych polityków,

opowiadasz im nieco szczegółów z waszego życia intymnego. Nastroje są coraz lepsze, a ty zgarniasz dodatkowe punkty, bo wciąż masz zdjęcia. Któryś z panów wydaje się autentycznie zainteresowany i nalega, żebyś je pokazał...

Pierre-Hugues Prévost odchylił się do tyłu i zwrócił się do Balodis:

– Powinniście już wyjść. I mam nadzieję, że pani Abromaite uda się okiełznać kolegę.

Hjelm pochylił się jeszcze bardziej, zbliżył twarz do twarzy Prévosta.

– Ależ ty nic nie rozumiesz – stwierdził. – To ja cię chronięm.

Odchylił się z powrotem na swoje miejsce, a Balodis wymierzyła potężny, precyzyjny cios w splot słoneczny Prévosta. Wytrzeszczył oczy, z jego ust wyrwał się stłumiony jęk, a potem osunął się na szklany stolik.

Hjelm wstał i powędrował do kuchni. Otworzył lodówkę i obejrzał sobie jej zawartość. Potem ruszył do toalety i zajrzał do łazienki, w której stało tak skomplikowane jacuzzi, że bez wątplenia wymagało osobnego pracownika do konserwacji. Pewnie Polaka. Znalazł pokój, który zapewne należałoby nazwać biblioteką, i zaczął przeglądać książki. Była tu na przykład kompletna kolekcja fantastycznych książek z serii „Bibliothèque de la Pléiade” – oprawionych w skórę tomów liczących po dwa tysiące stron cieniutkich jak w Biblii – które nigdy się nie rozpadały i zawsze otwierały dokładnie w tym miejscu, w którym przerwało się lekturę. Rolls-royce’y świata książek. I były tu naprawdę wszystkie.

To, co się teraz odbywało, było wbrew wszelkim zasadom Paula Hjelm, ale wiedział, że nie istnieje inny sposób. To nie była nawet sprawa policji, chodziło o prawdziwą polityk, którą zaczęły pogrążyć paskudne typy z otoczką wspaniałych tomów Pléiade. Nucił cicho, żeby odgłosy nie wdzierały mu się do głowy.

Wyszedł z biblioteki i wrócił do salonu. Panowały tu spokój i cisza. Laima Balodis siedziała na swoim miejscu na osiemnastowiecznej sofie, a Pierre-Hugues Prévost po swojej stronie szklanego stolika. Najpierw Hjelm zobaczył tylko jego plecy i kiwnął głową Balodis, która wydawała się niewzruszona, choć miała trochę rozwianą fryzurę. Podszedł i spojrzał Prévostowi w twarz, teraz pod zmierzwionymi włosami. Była szara, a spojrzenie puste. Z linii włosów powoli, powolutku spływała strużka krwi.

– Przykro mi – powiedział Paul Hjelm, siadając. – Naprawdę musimy się dowiedzieć. Odbyło się to tak, jak sugerowałem?

Pierre-Hugues Prévost powoli podniósł wzrok. W jego oczach było coś dziwnie czystego.

– Prawie – powiedział bezdźwięcznie. – Były striptizerki.

– Nie musisz nam opowiadać o wszystkim. – Hjelm położył rękę na jego ramieniu. – Wystarczy nazwisko.

– Nie spotkałem go wcześniej – mówił Prévost tym samym tonem. – Należał do tych kręgów, wiedziałem o tym, i przyszedł na jeden z moich koktajli. Organizowałem wiele takich imprez po rozwodzie. Wtedy opowiedziałem o moim dawnym związku z Marianne. Szczerze mówiąc, to było dość

perwersyjne. Wydawał się bardzo zainteresowany. Wrócił następnego dnia i dostał kilka zdjęć. Bądź co bądź Marianne jest teraz naszym politycznym przeciwnikiem.

– Kilka zdjęć?

– Trzy, jak mi się wydaje. Te... najbardziej jednoznaczne...

– Wydaje ci się?

– Jestem pewien.

– A kim był ten mężczyzna?

– Nie wiem, czy mogę...

– Nikt się nie dowie o tym, co powiesz, Pierre-Hugues, mogę ci to obiecać. Nie mogę natomiast obiecać, że nie będę musiał jeszcze raz zrobić spacerku po twoim mieszkaniu. Wciąż są pokoje, których nie widziałem. Ale to przecież oczywiste, że nic nie pobije twojej kompletnej serii Pléiade.

Prévost na moment się rozpromienił.

– Są wspaniałe, prawda? – powiedział.

– Czytałeś którąś z nich?

Pokręcił głową.

– W mojej branży ma się niewiele wolnego czasu – odparł.

– Kim był ten mężczyzna?

Pierre-Hugues Prévost przez chwilę milczał. Potem odparł:

– Nazywa się Fazekas. Fabien Fazekas. Wydaje mi się, że był łącznikiem między UMP a FN. Działo się to przecież w tych gorączkowych dniach, kiedy Marianne napadła na Sarkozy'ego za wydalenie Cyganów. To był cios poniżej pasa. Francuska komisarz Unii Europejskiej przechodzi do frontalnego ataku na własnego prezydenta. Wielkie nagłówki, zamieszanie.

– A więc to było niecały rok temu?

– Jakoś tak. W sierpniu zeszłego roku.

– Opowiedz o Fabienie Fazekasie. Bo gdy mówisz, że był łącznikiem między UMP a FN, zakładam, że chodzi ci o partię konserwatywną i Front Narodowy, tę rasistowską partię? Nazwisko brzmi raczej, no nie wiem, z węgierska?

– Tak – potwierdził Prévost. – Pół Węgier, pół Francuz, tak jak nasz prezydent. Jest kimś w rodzaju wolnego strzelca skrajnej prawicy, spin doktorem faszyzmu. Sądzę, że UMP go wynajęła, by rozpracować kwestie rasowe i ukraść głosy Le Pen. Ale ostatnio słyszałem, że Fazekas był w Atenach.

– W Atenach?

– Ma pomóc tchnąć życie w pewną rozwijającą się partię w objętej kryzysem Grecji. Nazywa się Złoty Świt.

– Złoty Świt? Ta nazistowska grecka partia?

– Tak słyszałem. Za niecały rok będą wybory. Jeśli nienawiść wobec Europy i ksenofobiczne lęki będą wystarczająco silne, dostaną się do parlamentu. Fazekas o to zadba. Jest bardzo przekonujący.

Hjelm pokiwał głową i wstał.

– Gdzie masz resztę zdjęć? I negatywy?

– Biurko w gabinecie – odpowiedział Prévost. – Lewa szuflada, żółty kartonik.

Hjelm kiwnął głową Balodis. Wstała z miejsca. Siedzieli w milczeniu, gdy sprawdzała w gabinecie.

W końcu wróciła z żółtym kartonikiem w ręce.

– Negatywy? – spytał Hjelm.

– Są tutaj – odparła.

– Chyba muszę jechać do szpitala – rzucił Prévost, ostrożnie się obmacując.

Hjelm spojrzał na Balodis, która szybko, ledwie zauważalnie pokręciła głową.

– Przyniosę ci twój telefon – powiedział Hjelm. – W razie potrzeby od razu dzwoń po karetkę. My już idziemy.

Poszli. Przy drzwiach Hjelm się odwrócił i powiedział:

– Cokolwiek zrobisz, Prévost, nie wolno ci o tym rozmawiać z twoimi kontaktami. Od razu cię wyeliminują. A jeśli oni tego nie zrobią, na pewno zrobimy to my. Zrozumiano?

Dostrzegł nieoczekiwane wyraźne skinienie głową siedzącego na sofie mężczyzny. Zamknął drzwi.

Na klatce schodowej nie patrzyli na siebie. Hjelm wyjął komórkę i sprawdził, czy wszystko dobrze się nagrało. Było jak trzeba.

Dotarli do samochodu. Hjelm otworzył go pilotem. Balodis wsiadła od strony pasażera i tak siedziała, z żółtym kartonikiem na kolanach. Hjelm wsunął się na miejsce kierowcy i dopiero gdy miał uruchomić silnik, zdał sobie sprawę, jak bardzo trzęsie mu się ręka.

Patrzył na nią. Balodis też na nią patrzyła. Pokręciła głową.

– Naprawdę mam nadzieję, że to nie była jakaś prywatna sprawa – powiedziała.

Hjelm się skrzywił.

– Nie była – odparł. – To było bardzo ważne. Dla demokracji.

Przez chwilę milczeli. Potem odezwała się Laima Balodis:

– Nie życzę sobie, żebyś jeszcze kiedykolwiek wykorzystywał mnie jako swojego *hitmana*.

Hjelm odwrócił się i spojrzał na nią. To było tak, jakby naprawdę po raz pierwszy ją zobaczył. Tę drobną, niby niepozorną istotę, która właściwie samodzielnie pogrążyła całą szajkę przemytników żywego towaru w Kłajpedzie. Prawie przez pół roku udawała prostytutkę. Wiedział, że wciąż się zмага ze swoją przeszłością.

Czuł się tak, jakby ją zgwałcił.

– Wybacz – powiedział, czując, że to groteskowo niewystarczające.

– Po prostu mi powiedz, o co chodzi – rzuciła.

– Powiem ci, obiecuję. Ale obowiązuje cię absolutna dyskrecja.

– Wydaje ci się, że musisz to mówić? Co zrobisz z tym całym Fabienem Fazekasem?

Hjelm pokręcił głową.

– Tym też muszę się zająć nieoficjalnie. Możliwe, że mam pewien nieoficjalny kanał w Grecji.

– O którym nic nie możesz powiedzieć?

– Nie – przyznał Hjelm. – A teraz muszę do kogoś zadzwonić. Zbyłem dziś mojego współpracownika.

Znasz go, pracowaliście razem w Rydze i w Kanalbanku w Berlinie. Muszę zacząć trochę lepiej traktować swoich współpracowników.

– Chavez – uśmiechnęła się Laima Balodis. – Ten wariat. Przełącz na głośnomówiący.

Hjelm też się uśmiechnął i zadzwonił.

Najpierw nic nie było słychać, prócz jakichś dziwnych dźwięków, a potem odebrał zdyszany Chavez.

– Tak?

– Cześć, tu Paul – powiedział Hjelm po angielsku. – Mówię po angielsku, bo Laima Balodis też bierze

udział w rozmowie. Ostatnim razem musieliśmy dość gwałtownie przerwać. Jakies postęp?

– *English, yes. Okay.* Ach, to ty? Tak, no...

– Jesteś zajęty?

– Nie, nie. Gdzie tam. Cześć, Laimo.

– Cześć – odparła z lekką rezerwą Balodis.

– Nasza sprawa, tak – powiedział zdeorientowany Chavez. – Niech no się zastanowię... Z tym zespołem badawczym jest coś podejrzanego. Sądzymy, że prowadzą jakieś tajne badania. I jeszcze się okazało, że Niels Sørensen zarezerwował skrytkę w banku na pół godziny przed śmiercią.

– O do diabła – zaklął Hjelm.

– Byliśmy w banku, skrytka jest nietknięta. Ale to potwierdza naszą teorię. Że jego komórka była strasznie ważna. Bo ten telefon zaginał. Najwyraźniej szedł go zdeponować w skrytce w banku. Ale morderca przechwyił komórkę. Tak wygląda nasza hipoteza.

– Dzięki za wiadomość – powiedział neutralnym tonem Hjelm. – Pozdrów Sarę.

– Ona... no cóż, też cię pozdrawia.

Hjelm się rozłączył. Odwrócił się do Laimy Balodis, która wybuchnęła wstrzymywanym śmiechem. Hjelm też się roześmiał. Przez chwilę ich śmiech odbijał się echem w samochodzie. W końcu Balodis spytała:

– To w Sztokholmie nie pracują?

– Myszy harcują, gdy kota w domu nie czują – odparł Hjelm.

Pomyślał o Kerstin Holm, włączył *Loney Blues Loney Dear* i ruszył.

Jorge Chavez wpatrywał się w komórkę. Spod niego dało się słyszeć:

– Co cię, do diabła, napadło, żeby odebrać?

– Instynkt – odparł Chavez. – Pieprzony, policyjny instynkt. Wyjątkowo niezdrowy.

Spojrzał w dół na Sarę Svenhagen. Leżała pod nim. Była naga. Byli u siebie w domu, w swoim małżeńskim łóżu, w środku dnia pracy. Poczuł się tak, jakby się obudził.

– Jeszcze nie pora na głos rozsądku – powiedziała Sara. – Wstrzymaj się z tym trochę.

Podczas rozmowy wysunął się z niej i trochę się skurczył. Ale widok jej wspaniałego ciała natychmiast na niego podziałał. Mocno ścisnęła jego członek i go naprowadziła.

– Paul cię pozdrawia – powiedział Chavez i wszedł w nią powoli i głęboko.

– Mam to gdzieś – jęknęła Sara Svenhagen i przycisnęła sztuczne wąsy, które zaczęły się odklejać.

Jorge Chavez odrzucił komórkę.

I się zatracił.

Chios, Grecja, 4 lipca

ZAWSZE BYŁO coś przedziwnie boskiego w patrzeniu, jak ten wielki mężczyzna wychodzi z wody. Nie mogła się napatrzeć. Woda spływała z nagiego, opalonego na brąz ciała olbrzyma i choć nie był już młodzieńcem, czuła się tak, jakby z głębin Posejdonu rodził się grecki półbóg.

Szkopuł polegał na tym, że wspomniany półbóg od czternastu pokoleń był Szwedem, a jego przodek jadł surowe węgorze razem z Erykiem Sepleniącym i Chromym.

Leżeli w swoim ulubionym miejscu na ukrytej piaszczystej plaży między wystającymi skałami na północno-wschodnim wybrzeżu Chios. Nawet miejscowi nie wiedzieli o jej istnieniu, a ich relacja ze słońcem polegała głównie na tym, żeby się przed nim chować. Pewnie dlatego tak długo żyli.

Nazywała się Ludmila Nyberg i spoglądała na swojego potężnego męża, który człapał w jej stronę; już zdążył trochę wyschnąć. Słońce świeciło bez żadnych zahamowań i pewnie niedługo już tu wytrzymają. Chociaż właściwie nie *człapał*, to przestało być odpowiednie słowo. W jego krokach pojawiła się sprężystość, która nie pasowała do tego określenia. Odkąd odłożył na bok ogromną, zapisaną odręcznie stertę papierów i oświadczył lakonicznie: „No to gotowe”, wydarzyły się różne rzeczy. Po pierwsze, Ludmila Lundkvist i Gunnar Nyberg się pobrali. Po drugie, nigdzie nie mógł sobie znaleźć miejsca i zabrał się do treningu, dawnej trucizny, która nigdy do końca nie ulotniła się z jego ciała. Zbudował na działce szopę i urządził tam prawdziwą siłownię, wcześniej rano wychodził pobiegać, wybierał się na długie wędrówki i częściej się kochali. To było o niebo lepsze, niż mieć w domu mrukliwego pisarza. Zwłaszcza teraz, kiedy przystanął tuż przed nią i przyglądał jej się z łagodnym uśmiechem.

Tutaj mogli się kąpać nago. To był ich raj. Nic ich nie wypędzi z tego raj.

Nic.

Pozostawała oczywiście kwestia pieniędzy. Jej podręczniki do rosyjskiego, z których tak długo żyli, sprzedawały się coraz gorzej. Wyglądało na to, że ludzie się już w ten sposób nie uczą, rządził internet, prostsze, mniej wyrafinowane kursy. Żadnej durnej gramatyki. A odkąd się tutaj sprowadzili, Gunnar nie dokładał się do ich utrzymania. Do tego pozbył się reszty swoich oszczędności na szopę i wyposażenie siłowni. Wysłał co prawda rękopis do kilkunastu szwedzkich wydawnictw i czekał na odpowiedź, ale ewentualne dochody pozostawały kwestią odległej przyszłości. Po prostu znaleźli się w niewielkim kryzysie.

Ale nie tutaj. Nie w raj. Tutaj byli tylko oni. Ich spojrzenia się spotkały i mimowolnie jej wzrok powędrował w dół po jego ciele, po zwężającym się torsie i jeszcze niżej.

Wtedy zadzwonił telefon. Jeszcze nigdy nie dzwonił tu na dole, w ich raj. Nigdy. Ludmila nie wiedziała nawet, że jest tu zasięg. Sygnał wtargnął do raj jak wąż.

Popatrzyli po sobie. Zamrugał zdziwiony i spojrzął w dół na cudowne ciało swojej niedawno poślubionej żony. Pochylił się do torby i wygrzebał komórkę. Wrzaskliwie domagała się uwagi. Ludmile się wydawało, że szarpie się i wije jak wąż.

– Nie odbieraj – poprosiła.

– No nie wiem – powiedział Gunnar. – Numer zastrzeżony. To może być Tommy albo Tanja.

– Przecież twoje dzieci nie mają zastrzeżonych numerów.

– Odbieram.

I zrobił to.

– Gunnar Nyberg – powiedział.

– Cześć, Gunnar. Tu Paul.

– Cześć, Paul. Słuchaj, jestem trochę...

– Zajęty? Tak zajęty, że nie masz nawet czasu wysłuchać gratulacji?

– Co ty gadasz?

– Właśnie przeczytałem na unijnej stronie informacyjnej, że przyznano ci stypendium kulturalne na rozwój projektu powieści *Nostos*. Uważam, że powinieneś zmienić tytuł, ale to już inna sprawa.

– Żartujesz sobie?

– Uznali, że opis projektu brzmi interesująco.

– Nie wysyłałem żadnego opisu.

– Zrobiłem to za ciebie.

– Ale przecież nie czytałeś mojej książki.

– To Unia Europejska. Bierz pieniądze i się uśmiechaj.

– Och, okej. Dzięki. Ile tego?

– Pięć tysięcy euro.

– W dzisiejszych czasach w Grecji to przecież majątek. Jasna cholera! Dziękuję.

– Do diabła, tylko bez wdzięczności, Gunnar. Ale może tego być trochę więcej... Chętnie bym ci coś zlecił.

Gunnar Nyberg odchrząknął. Nagle wcale nie był taki pewien, dokąd to wszystko zmierza. Zawstydzony pomyślał, że będzie musiał kontynuować rozmowę z Paulem Hjelmem tak, by nie słyszała jej Ludmila.

Bo niech to diabli, brakowało mu policyjnej roboty.

A to tutaj pachniało policyjną robotą. I to trochę podejrzana.

Ale czy wciąż się do tego nadawał? Od dawna nie był taki wytrenowany, ale też się postarzał, zardzewiał, zupełnie odwykł od niebezpieczeństwa. Przez pięć lat żył w raju. Pół dekady. Wszystkie policyjne instynkty przygasły, w świecie, który jak wszystko na to wskazywało, stał się znacznie bardziej bezwzględny. To by było tak, jakby wrzucić kociaka do jaskini lwa.

Gunnar Nyberg był przecież na emeryturze.



Był emerytem.

Oczywiście wszystko zależało od tego, co miał mu do zaoferowania Paul Hjelm, jego dawny kolega.

Jeśli coś mu było potrzebne, to właśnie pieniądze.

– Co się dzieje? – spytała Ludmila leżąca na kąpielowym ręczniku. – Za co dziękujesz?

– Dostałem... stypendium...

– Na co?

– Na książkę, moją powieść. Uznali, że jest interesująca.

– Kto uznał?

– Unia – odparł Gunnar Nyberg i gdy uświadomił sobie, jak groteskowo to zabrzmiało, poczuł się zmuszony dodać: – Pięć tysięcy euro.

Oczy Ludmily się rozszerzyły i stłumiła odruchową chęć, by zaprotestować. Pięć tysięcy to mimo wszystko pięć tysięcy.

– Muszę omówić kilka szczegółów. – Nyberg wskazał na telefon. – Trzeba wypełnić jakiś zagmatwany unijny formularz.

Ludmila pokiwała głową i Gunnar ruszył spacerem po piasku na skraj plaży. Gdy doszedł do wniosku, że jest już poza zasięgiem jej słuchu, usiadł na wilgotnym piachu i zamoczył stopy w morzu. Turcja była tak blisko; wydawało mu się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by jej dotknąć.

Wciąż był nagi.

Wciąż był w raju.

– Jesteś tam jeszcze? – spytał przez wiekową komórkę.

– Domyśliłem się, że potrzebujesz kilku głębszych wdechów – odparł Hjelm. – Nieźle to wymyśliłeś z tym unijnym formularzem.

– Wyeliminowaliśmy małżeńskie kłamstwa ze swojego życia – powiedział Nyberg, ruszając palcami nóg. – Teraz z tym koniec?

– Sam o tym zdecyduj. Ja tylko przedstawiam ci ofertę.

– Czyli jeśli ja jestem Faustem, to ty jesteś Mefistofelem?

– Tylko jeśli Faust to świat, w którym nic się nie dzieje, a Mefistofeles to świat, w którym dzieje się wszystko. Świetnie rozumiem świat, w którym nic się nie dzieje, nawet coraz częściej za nim tęsknię. Dla mnie to sztokholmskie szkiery, ich najbardziej odludna, północna część. *Heaven is a place where nothing ever happens.*

– Szekspir?

– Talking Heads.

– Czego chcesz?

– Skłamałem – powiedział Paul Hjelm. – To nie propozycja. To prośba. Błaganie. Stąpam po cienkim lodzie.

– Do diabła, jesteś wysoko postawionym unijnym biurokratą. Oni chyba zawsze stoją na pewnym

gruncie? Twoja pensja musi przyprawić o zawrót głowy.

– Jeśli to mierzyć miarką pisarza, to tak. Ale lód jest tutaj co najmniej równie cienki. Ufasz mi?

– Ufam *dawnemu tobie*, Paul. Przez te dziesięć lat wspólnej służby zmieniłeś się w najlepszego policjanta, z jakim kiedykolwiek pracowałem. Ale czy *teraz* jesteś tą samą osobą?

– Tą samą osobą nie. Ale tym samym policjantem. Ufasz temu policjantowi?

Gunnar Nyberg milczał. Ale głównie po to, by sprawić wrażenie, że się zastanawia. Nie zastanawiał się. W końcu odparł:

– Tak.

– Chcę ci opowiedzieć bardzo długą historię. Dzieli się na trzy części. Masz czas i siłę posłuchać?

– Jeśli tylko zapłacisz za rozmowę.

– Załatwione. Te trzy części to: moja właściwa robota w Europolu, duża aktualna sprawa i moja nieoficjalna sprawa. Jesteś gotów?

– Tak – westchnął Gunnar Nyberg, położył się na plecach i wyciągnął na piasku.

Gdy Ludmila zobaczyła, jak się kładzie i spogląda w ostre śródziemnomorskie słońce, zaczęła się zastanawiać nad tymi unijnymi formularzami. Potem stało się coś dziwnego. Najpierw poczuła narastający niepokój, który sięgnął szczytu, po czym się rozwiął i stał się spokojem. Zrozumieniem, które na razie nie wymagało słów. Patrzyła, jak słońce porusza się bezwzględnie powoli po błękitnym niebie, i w końcu zasnęła. Jakby ukołysała ją do snu aura zaufania. Taka długa rozmowa po prostu nie mogła oznaczać złych wiadomości.

Gdy Gunnar Nyberg powoli usiadł, poczuł ogromną wdzięczność do Ludmily za to, że uparła się, by posmarować go kremem z filtrem przeciwsłonecznym pięćdziesiąt; tak potężną ochronę przed słońcem stosował jego dawny kolega Arto Söderstedt, człowiek zupełnie pozbawiony pigmentu.

– A więc tak wygląda sytuacja – powiedział trochę ochryple Paul Hjelm. – Myślisz, że się w tym połapiesz?

– To sporo do przetrwania – odparł Gunnar Nyberg. – Tajna jednostka Europolu, no proszę. Mam nadzieję, że masz w komórce zagłuszacze i takie tam.

– Gdybyś tylko wiedział – odparł Hjelm. – Co powiesz na to, żeby trochę się pobawić w wolnego strzelca?

– Można zakładać, że Złoty Świt, czyli *Chrisi Awgi*, jak go nazywamy tu na południu, to dobrze strzeżone stowarzyszenie. Nie mogę tam po prostu wejść i zapytać o tego całego Fabiena Fazekasa. Nie mówiąc już o tym, żeby skłonić go do mówienia i wyciągnąć mu z gardła te zdjęcia i wszystkie istniejące kopie.

– Zupełnie pogrzebałeś w sobie tego niedźwiedzia grizzly, Gunnar?

Nagle Nyberg cofnął się o piętnaście lat. To było ich pierwsze prawdziwe zadanie jako partnerów. Hjelm i Nyberg objeżdżali wszelkiego rodzaju podejrzane typy z podziemnego światka w Sztokholmie, żeby dogrzebać się do jakichś tropów i dowiedzieć się, kto likwiduje szwedzką elitę finansową. To

wtedy Hjelm powiedział, że Nyberg przypomina niedźwiedzia grizzly, że w jednej chwili potrafi się zmienić z dobrodusznego misia w rozwścieczonego grizzly i z powrotem. A wtedy Gunnar Nyberg opuścił gardę i po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu opowiedział o swojej przeszłości. Że był kulturystą, nafaszerowanym sterydami Mr Sweden, brutalnym gliniarzem z posterunku, facetem, który bił swoją żonę. A Hjelm go nie oceniał, wierzył w drugą szansę.

Czy właśnie to teraz robił? Dawał Gunnarowi Nybergowi drugą szansę?

– *Teraz jesteś Mefistofelem* – powiedział.

Hjelm się roześmiał.

– Nie masz być silniejszy od całego Złotego Świtu – odparł. – Masz być sprytniejszy od Fabiena Fazekasa. To wszystko.

– Potrzebuję więcej informacji – mruknął głucho Nyberg.

– Uważasz, że warunki finansowe są do przyjęcia?

– Zdecydowanie do przyjęcia.

– A jak wygląda twoje połączenie z siecią w tej chacie na odludziu?

– Trochę kapryśne, ale ogólnie zaskakująco dobre.

– Wyślę ci mail zabezpieczonym kanałem – powiedział Hjelm. – Odrób lekcje. Załączam umowę freelancerską. Podpisz, zeskanuj, odeślij mailem. Za jakąś godzinę będziesz jednym z wolnych strzelców wykonujących zlecenia dla Europolu.

– Ze sfałszowanym opisem zadania i tak dalej.

– Nie sfałszowanym – odparł Hjelm. – Tylko niejasnym.

Na tym długa rozmowa dobiegła końca. Gunnar Nyberg wstał. Dopiero teraz pomyślał o tym, że jest nagi. Odwrócił się i przeciągnął. Wyżej na plaży spała Ludmila. We śnie jej ciało przyjęło interesującą pozę. Kolana się rozsunęły i mógł zajrzeć znacznie, znacznie głębiej.

Idąc w jej stronę, strzepywał piasek z pleców i myślał o dwóch rzeczach.

Po pierwsze:

Co ja zrobiłem?

Po drugie:

Teraz ta trudniejsza część.

Mimo to zawładnęły nim zupełnie inne uczucia. Stał nad Ludmilą, dopóki za sprawą jakiegoś szóstego zmysłu się nie obudziła. Rozejrzała się zaspana i w końcu go zobaczyła.

– Gunnar – powiedziała ochryple. – Jak to miło, że cieszysz się na mój widok.

Utrecht – Amsterdam, 4 lipca

OCZYWIŚCIE NIE ISTNIAŁ żaden „obóz pod Utrechtem”. Istniało natomiast kilka obozów dla uchodźców. Kerstin Holm czuła, że musi tam pojechać, być na miejscu, porozmawiać z lokalną policją. Ale wtedy wkroczyłaby w działalność operacyjną, a jako „przedstawicielka krajowa” nie powinna tego robić. Wymagało to specjalnej zgody szefa.

A szef był jej partnerem.

I uważał, że ściga cienie.

Nie powiedział tego wprost – a poza tym ją okłamał, jeszcze bardziej wprost – i pozostało to niedopowiedziane. Wkurzało ją to. Naprawdę sądził, że przyjechała do Hagi tylko po to, żeby kilka razy pójść z nim do łóżka? Należała do najbardziej wykwalifikowanych szwedzkich oficerów policji i niech ją diabli, jeśli zamierzała siedzieć tu beczynnie.

A raczej *tam*. Bo teraz była *tu*. W Utrechcie.

Ciekawe miasto. Albo właściwie nie. Albo raczej: Kerstin Holm go nie widziała. Włączyło jej się widzenie tunelowe, choć szczerze mówiąc, nie było ku temu żadnych powodów prócz przecucia. W Szwecji zbliżyła się znacznie bardziej do synków Wang Yunli, Chenga i Shuanga.

Ale zniknęli stamtąd. Gdzieś w Europie. Za sprawą jakiejś przestępczości zorganizowanej. Być może była to ta organizacja, która miała pomóc „naszym żółtym przyjaciółom z następną dostawą” i „nawiązać kontakt z chłopcami z obozu pod Utrechtem”.

Ale oczywiście pozostało absurdalnie wiele znaków zapytania.

Jeden z nich malował się właśnie na twarzy komisarza Van der Heijdena. Wyglądał jak jeden wielki znak zapytania.

– Proszę mi wybaczyć, pani Holm, ale nie jestem pewny, do czego pani zmierza. W Holandii jest wiele obozów dla uchodźców. Także tutaj, pod Utrechtem, ale w ostatnim czasie imigracja została przecież znacznie ograniczona. Obecnie przyjmujemy pięciuset uchodźców rocznie, nie więcej.

– Ale wciąż istnieje kilka obozów dla uchodźców pod Utrechtem, prawda?

– Prawda – przyznał Van der Heijden – ale nie są zbyt duże. Postanowiono przyhamować imigrację.

– Powiedziano mi, że pan najlepiej zna te obozy. Czy któryś z nich jest powiązany z jakąś formą przestępczości?

– Trochę tego było. Sami uchodźcy odpowiadają najczęściej za drobne przestępstwa, takie jak bójki czy kradzieże w sklepach, ale gdy PVV zdobyła realne wpływy, na jakiś czas wzrosła liczba przestępstw na tle nienawiści.

– PVV, czyli partia Geerta Wildersa?

– Partia Wolności – odparł Van der Heijden. – *Partij voor de Vrijheid*.

– Neoliberalizm i ksenofobia w jednym pakiecie?

– Jestem policjantem, proszę pani, nie politykiem.

– Ja też, i nie jestem żadną panią. Zauważyliście ostatnio jakąś różnicę, jeśli chodzi o chińskich uchodźców?

– Nie uznajemy chińskich uchodźców.

– Ale to samo w sobie nie oznacza, że nie istnieją.

– Zgadza się. I jeśli zjawiają się dzieci bez rodziców, musimy oczywiście delikatnie podchodzić do takiej sprawy.

– Dzieci?

– Na przykład.

– Ale dlaczego wspomniałeś właśnie o „dzieciach”, kiedy zaczęłam mówić o Chińczykach?

– Było kilka takich przypadków.

– Kiedy? Ostatnio?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie kilku zaginięć...

– Możesz mi opisać sytuację?

– Było kilka spraw, w kilkutygodniowych odstępach. Chyba jako jedyny dostrzegłem wzorzec. Ale nikogo to nie obchodzi. W każdym razie po prostu znikają.

– Znikają?

– Kilka razy tak się stało. Zawsze dzieje się to trójkami. Znikają pojedynczo, w kilkudniowych odstępach, ale właśnie trójkami. Złożyłem o tym raport władzom. Ale nikt się tym nie przejmuje. Kiedy znikają, przestają być naszym problemem.

– Nie wydaje mi się, żebyś się zgadzał z takim podejściem...

– Jestem policjantem...

– ...a nie politykiem, wiem o tym. Ale w demokratycznym państwie każdy może mieć własne zdanie.

Nie musisz nic więcej mówić, dotarło do mnie, co o tym sądzisz.

– Policjantem zostaje się po to, żeby pomagać ludziom. Niech to diabli, zwierzętom też. Roślinom, *whatever*. Żeby pomagać. Tu nie powinno być granic.

– Ale panuje klimat...?

– Dość już powiedziałem.

– Trójkami?

– Danych jest zbyt mało, by można to było uznać za statystyczny fakt, a tylko to skłoniłoby władze do reakcji. Ale dotychczas tak właśnie było. Trójkami. Nazywamy je „triadami”. Taki żart.

– Wisielczy humor. Potrzebny, żeby jakoś przeżyć. Wiem. Czyli jak u Asimova?

– Wszystko zawsze pojawia się trójkami.

Przez chwilę się śmiali. Kerstin Holm poczuła, że zbliżyła się o kilka kroków do Van der Heijdena.

Może o trzy. O trzy kroki.

– Mieliśmy coś podobnego w Szwecji w dwa tysiące piątym – powiedziała. – Co prawda nie trójki, tylko całą grupę chińskich chłopców, identycznie wyposażonych, z komórkami włącznie. Po kilku dniach wszyscy zniknęli. Najbardziej interesuje mnie para bliźniaków, Wang Cheng i Wang Shuang, którzy opuścili Sztokholm w połowie października dwa tysiące piątego.

– Hmm – mruknął Van der Heijden. – Nie odważę się nawet zgadywać, o co może chodzić.

– Ale w waszym przypadku chodzi o jeden i ten sam obóz dla uchodźców?

– Tak.

– Jest tam w tej chwili jakiś chłopiec?

Komisarz Van der Heijden przyglądał jej się przez chwilę. Uniósł brew i odparł:

– Chwileczkę, sprawdzę.

– Bardzo proszę – powiedziała Kerstin Holm.

Dobry komisarz zniknął w nieskończonym wszechświecie monitora. Kiedy znów się pojawił, wyglądał, jakby podróżował z prędkością światła i odmłodził o dziesięć lat.

– Faktycznie, jest – powiedział głosem młodego człowieka. – Nazywa się Liang Zunrong i ma dwanaście lat. – Jeśli wszystko potoczy się według wzorca, powinien zniknąć za jakieś trzy godziny. Wyjdzie za furtkę i się rozpułynie. Puff!

Kerstin Holm wstała, trochę gwałtowniej, niż zamierzała.

Za jej plecami krzesło ciężko uderzyło o podłogę.

\* \* \*

Zadzwoiła z samochodu.

– Widzisz moje współrzędne GPS? – spytała.

– Uch – stęknął Paul Hjelm. – Tak, teraz je widzę. I widzę, że to przedmieścia Utrechtu. A ponieważ na pewno pamiętasz moje słowa, że nie wolno ci działać samodzielnie, zakładam, że jesteś tam z czysto prywatnych powodów.

– Przestań. Siedzę w samochodzie przed obozem uchodźców. Za dwie i pół godziny pewien dwunastoletni Chińczyk powinien opuścić obóz i zginąć bez śladu.

– O do diabła.

– Chcę go oznakować.

– Oznakować? Masz na myśli namierzanie komórki? Chip w ubraniu?

– Przypuszczam, że pozbędzie się ubrań i komórki – odparła Kerstin Holm. – Zacierają wszystkie ślady. To musi być coś bardziej radykalnego.

– Mikrochip w organizmie?

– Damy radę?

– Pytasz, czy damy radę moralnie, technicznie, prawnie, czy czasowo?

– Wszystko naraz. Poradzimy sobie z tym?

– Technicznie tak. Czasowo najprawdopodobniej. Prawnie mocno wątpię. Moralnie? Co sama o tym sądzisz?

– O tak! Moralnie jak najbardziej. To szansa, by wyjaśnić, co się dzieje z tymi wszystkimi chińskimi dziećmi, które zaginęły. Poza tym może to być krok naprzód w śledztwie w sprawie tej żebrackiej szajki, a to już mocny argument.

– Hm – mruknął Paul Hjelm. – Jak to sobie wyobrażasz z czysto praktycznego punktu widzenia?

– Oczywiście opowie im o wszystkim, co się z nim działo. Zastryk, nawet pod pozorem szczepienia albo podania witamin, za bardzo zwracałby uwagę. Można mu wszczepić chip w jakiś inny sposób?

– To mi wygląda na dziedzinę Sifakisa. Pogadaj z nim, a ja się w tym czasie zastanowię, czy to ma sens.

Paul Hjelm przełączył rozmowę do Angelosa Sifakisa, ale jako połączenie wielostronne. Zastanawiając się, słyszał w słuchawce, co się dzieje.

Wstrzyknięcie mikrochipa dwunastoletniemu chłopcu? Do tego doszło w policyjnej robocie? To na tym ma polegać nowoczesna, międzynarodowa kultura bezpieczeństwa? Ale z drugiej strony: czy to, co ewentualnie mogli zyskać, nie było ważniejsze niż możliwe cierpienie? Ryzyko naruszenia integralności było w przypadku tego chłopca niewielkie – prawdopodobnie był kimś w rodzaju niewolnika – a chip można było natychmiast wyłączyć, kiedy się okaże, że z młodym Chińczykiem wszystko jest w porządku. Wówczas – bo właśnie taki chip proponował Sifakis – urządzenie zostanie wydalone z ciała.

– Haczyki?! – wybuchnęła Kerstin Holm.

– Mikrohaczyki – wyjaśnił Angelos Sifakis. – Wczepiają się w żołądek po spożyciu w odpowiednio wybranym płynie. Po wyłączeniu chipa haczyki chowają się do środka, a on sam zostaje wydalony z odchodami.

– Czyli ten chip się *wypija*?

– Tak.

Hjelm wtrącił się do rozmowy:

– A więc musicie znaleźć jakiś sposób, żeby chłopiec wypił go tak, by nie budziło to podejrzeń.

– My? – spytała Kerstin Holm.

\* \* \*

Niecałą godzinę później nie bez pewnego zdziwienia spojrzała w oczy Jutcie Beyer.

– Myślałam, że nie umiesz prowadzić samochodu – powiedziała szczerze.

– A to dlaczego? – spytała Beyer. – Jestem przecież policjantką.

– Przepraszam, w sumie to nie wiem. Może dlatego, że zawsze jeździsz na rowerze?

– Tu jest chip.

Jutta Beyer podała jej małą próbkę z okna swojego samochodu. Kerstin wzięła ją do swojego.

Uniosła próbkę do światła w kabinie. W przezroczystej cieczy pływało coś bardzo małego.

– A więc to tak teraz wygląda elektronika? – spytała.

– *Ekstremalna* elektronika – odparła Beyer. – Sifakis prosił, żebym ci przekazała, że to kosztuje trzydzieści tysięcy euro. I „żebyś tego nie wylała”.

– Miło z jego strony.

– Byłaś już w środku? – spytała Beyer.

– Nie – odparła Holm. – Ale komisarz Van der Heijden przygotował urzędników na to, że się zjawię.

– To jak, idziemy?

– Musimy lepiej zaparkować – powiedziała Kerstin Holm.

\* \* \*

Gdy Holm i Beyer dotarły do pokoju Lianga Zunronga, pozostała jeszcze godzina do czasu, gdy młody Chińczyk – jak z góry zaprogramowany – miał zniknąć. Drzwi jego pokoju były zamknięte.

– Jeśli ma butelkę coli albo coś podobnego, wywab go na korytarz i odciągnij spory kawałek od drzwi – powiedziała Holm.

– A jeśli niczego takiego nie ma?

– Wtedy będziemy musiały improwizować.

Jutta Beyer skrzywiła się z dezaprobatą, a Kerstin Holm zapukała do podniszczonych, ale solidnych drzwi.

Minęła chwila, nim się otworzyły, i obie kobiety mocno się zdumiały.

Był taki drobny. Jeszcze dziecko. Brązowe, mrugające oczy. Bezbronne spojrzenie. Cokolwiek do tej pory przeszedł, to go nie zniszczyło. Jeszcze nie.

Wciąż można go było uratować.

Kerstin Holm ścisnęła się żołądek. Dopiero gdy zobaczyła, że Jutta Beyer, z uśmiechem, jakiego wcześniej u niej nie widziała, prowadzi Lianga Zunronga na korytarz, zdobyła się na to, by zajrzeć do pokoju. Był bardzo surowo urządzone. Łóżko, obok stolik i krzesło. I parująca filiżanka herbaty na stoliku.

Weszła do pokoju. Wysunęła z kieszeni próbkę, szybko wlała płyn do herbaty, wyszła. Pięć sekund, nie więcej. Zaczęła się oddalać. Beyer to zobaczyła. Puściła Lianga Zunronga. Wrócił do swojego pokoju. Zamknął drzwi. Beyer dogoniła Holm.

– Nie mamy pewności, czy to wypije – powiedziała Beyer. – Dopóki nie zacznie się poruszać.

Poszły do samochodów i wsiadły do wozu Holm. Beyer otworzyła laptop, kliknęła jakiś program i powiedziała:

– Blip.

Wskazała na ekran. Pośrodku mapy Utrechtu i okolic mrugał niebieski punkt. Beyer zbliżyła obraz i Holm zaczęła rozpoznawać nazwy ulic. W końcu poznała nawet duży barak, który z jakiegoś powodu



nazywano obozem dla uchodźców.

Punkcik był na jego terenie i mrugał.

– No to pozostaje nam tylko czekać – stwierdziła Jutta Beyer, kiedy już maksymalnie zbliżyła obraz.

I tak było. Godzina mijała bardzo powoli. Obie widziały po swoich twarzach, że usiłują znaleźć jakiś temat do rozmowy. Czasem wydawało im się, że do jakiegoś się zbliżają, ale wtedy zmieniały zdanie. Nigdzie nie mogły znaleźć wspólnego punktu odniesienia. A jeśli taki istniał, to był nietykalny. Więc ta godzina musiała jakoś upłynąć.

Potem z pulsującym punktem coś się stało. Nie tyle się poruszył, ile pojawiły się jakieś dziwne cienie. I w końcu wykonał minimalny przeskok, krok.

Mały krok dla człowieka.

Drzwi obozu dla uchodźców się otworzyły. Wyszła z nich mała postać. Ruszyła przez ogród w stronę furtki. Nie można było powiedzieć, że porusza się zdecydowanym krokiem, ale było widać, że zmierza do jakiegoś celu.

Beyer śledziła „blip” na ekranie. Zgodność z mapą była całkowita. Nie było najmniejszych wątpliwości, że dwunastoletni Liang Zunrong połączył mikrochip z nadajnikiem.

Wyszedł na ulicę. Skręcił ostro w prawo. Patrzyły za nim, póki nie zniknął im z zasięgu wzroku.

Kerstin Holm przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Musimy się chociaż dowiedzieć, kto go odbierze – powiedziała.

Jutta Beyer pokiwała głową.

– To na pewno będzie ktoś, kogo co najmniej pięć kroków dzieli od gangsterskiego świata – powiedziała. – Ale jedź. Ostrożnie.

Holm ruszyła. Ostrożnie. Chłopak mignął im na chwilę, zanim skręcił za kolejny róg. Nie miał skłonności do posługiwania się komórką, raczej realizował wpojony mu schemat. Holm powoli podjechała do skrzyżowania. Za rogiem budynku, kilkanaście metrów dalej, stała taksówka.

Światło na dachu zgasło i taksówka odjechała. Pulsujący punkt na ekranie Beyer zaczął się poruszać znacznie szybciej. Holm bez słowa podjechała z powrotem pod obóz dla uchodźców. Wysadziła Beyer przy jej wozie i powiedziała:

– Będziemy w kontakcie telefonicznym. Tylko trzymaj się na dystans.

– Tak – powiedziała Beyer i spojrzała na przyjaciółkę swojego szefa. A potem, nie wiadomo dlaczego, spytała: – Kto pierwszy?

– Kto pierwszy? – powtórzyła sceptycznie Kerstin Holm.

– Dwie perspektywy są lepsze niż jedna.

– Ale ja nie mam „plipa”.

– Blipa – poprawiła Beyer. – I owszem, masz go. Masz przecież laptop. Zaraz wyślę ci link.

Kerstin Holm wybuchnęła nagle głośnym śmiechem. Otworzyła laptop i powiedziała:

– Tylko bez falstartów, Jutta.

Jutta Beyer też się roześmiała. A potem czekała.

Ale przekornie lekko nacisnęła pedał gazu.

\* \* \*

Jutta Beyer wygrała. Była przekonana, że dotarła na miejsce pierwsza. W wyobraźni widziała wstęgę mety, gdy wysiadła z samochodu na pobocze i ruszyła w stronę pozornie opuszczonego rejonu przemysłowego w Buiksloterham.

Zbliżał się wieczór. Krajobraz na trasie z Utrechtu do Amsterdamu był płaski, a ruch dość intensywny. Małe miasteczka, wioski i przedmieścia leżały tuż obok siebie na skąpanej w słońcu równinie, a pulsujący punkt mijał kolejne miejscowości. Najprawdopodobniej wielokrotnie zmieniały się pojazdy i kierowcy. Pozostawało pytanie, kiedy poczują się na tyle pewnie, żeby się zatrzymać. Kiedy dwunastoletni drobny Chińczyk Liang Zunrong dostanie zgodę na to, by się zatrzymać, i tym samym wskaże ważne miejscowe biuro coraz bardziej rozrastającej się europejskiej szajki handlarzy żywym towarem.

Później, kiedy Beyer przyglądała się trasie pokonanej przez „blip”, przypominała jej ona kłębek nici, do którego kilka dni temu dobrała się jej nowa kotka – w myślach zaczęła ją nazywać Paolą. Kiedy jechała ostrożnie przez śliczne małe miejscowości, takie jak Nes aan de Amstel, Loenersloot i Ouderkerk aan de Amstel, oraz przez szkaradne przedmieścia, takie jak Diemen, Duivendrecht i Bijlmer, miała czas na myślenie. Jej myśli stały się mroczne. Co się stanie z Liangiem Zunrongiem? Jak miały się potoczyć losy chłopca? Co ta szajka – kimkolwiek oni byli – robi z chińskimi dziećmi? Od jak dawna to trwa?

I czy prawdą była plotka, że jeszcze w Sztokholmie Kerstin Holm bardzo osobiście odebrała tę sprawę, gdy spotkała matkę bliźniaków, których dotknął podobny los?

Cały ten pomysł z „kto pierwszy” zaczął jej się wydawać cyniczny.

Mimo to brnęła dalej. Trzymała się w idealnie wyważonej odległości od pulsującego punktu. I chciała wygrać.

Tyle tylko że dla Lianga Zunronga.

Letnie słońce wiernie wędrowało po niebie, cienie się wydłużały. W Duivendrechcie Jutta Beyer miała wrażenie, że na skrzyżowaniu mignął jej samochód Kerstin Holm, w maleńkiej miejscowości Nes aan de Amstel z całą pewnością widziała go przez kilka sekund we wstecznym lusterku, przeżyła straszną chwilę, gdy utknęła na autostradzie w korku z powodu robót drogowych, ale najwyraźniej Liang Zunrong utknął w tym samym korku, bo pulsujący punkt znieruchomiał kilkaset metrów przed nią. I nie było tam żadnych budynków.

Ale na pewno zmiierzali do jakiegoś budynku. Budynku przez duże B. I istniała szansa, że tam rozwiąże się bardzo wiele spraw.

Nie można było tego nazwać zmiierzchem – na to wciąż za mocno świeciło słońce – ale z czysto teoretycznego punktu widzenia był wieczór, gdy „blip” zaczął się zbliżać do opuszczonych terenów

przemysłowych w Buiksloterham nad rzeką IJ na północnych obrzeżach Amsterdamu. Był to rejon, który kiedyś świetnie prosperował. Kwitł tutaj przemysł stoczniowy, zanim Azjaci zaczęli budować tańsze jednostki. Co prawda było widać, że trwają tu różne remonty – wszędzie nieukończone, nowe budynki, parki maszynowe, opuszczone place budowy – ale ogólnie mówiąc, ten rejon był dość upiorny.

Na ekranie laptopa na sąsiednim siedzeniu punkt wciąż się poruszał. Teraz już wolniej. Była jakieś pięćset metrów za nim. Nie rzucała się w oczy. Ostrożnie brała zakręty.

A potem punkt się zatrzymał. Jutta Beyer zjechała na zaniehbany chodnik przy poboczu. Stała w miejscu. Przed sobą miała zakręt w lewo, a dalej jakąś opuszczoną halę przemysłową. Później prosta linia, aż do punktu. Chyba nie było jej widać? W każdym razie było już za późno, żeby się wycofać. Lepiej się nie ruszać. Zgasić światła. Zachować maksymalną ostrożność. Użyć taktyki Arto Söderstedta i zapaść w letarg.

W Buiksloterham było dość pustostanów i opuszczonych budynków, by pomieścić różne formy działalności przestępczej, tyle było jasne. Prawdopodobnie teraz była blisko. Blisko samego jądra.

Pulsujący punkt znieruchomiał.

Żadnego ruchu.

Beyer pochyliła się nad sąsiednim siedzeniem i maksymalnie zbliżyła mapę Europolu. Było widać, że punkt znieruchomiał kawałek od drogi. Wewnątrz czegoś, co przypominało duży, niski kompleks budynków. Nie sposób było dokładnie powiedzieć, co to za konstrukcja. Jakiś duży budynek. To wszystko. I gdzieś tam był Liang Zunrong. Nieruchomy.

Jutcie Beyer nie udało się zapanować nad wymykającą się spod kontroli wyobraźnią. Ujrzała ogromną salę, w której spali chińscy chłopcy. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, było coś w rodzaju obozu szkoleniowego, surowy sierżant, zjawisko fali, sukcesywna eliminacja najsłabszych. Ale oczywiście nie było tak jak w filmie *Oficer i dżentelmen*. Sala przekształciła się w coś w rodzaju poczekalni. Za ścianą czekał nabywca. On – bo z całą pewnością to był *on* – był gotów wybulić mnóstwo pieniędzy, żeby zaspokoić swoje perwersyjne pragnienia. Był mężczyzną, którego dominujący w Europie klimat społeczny nagroził i uczynił bogatym; był przedsiębiorcą, człowiekiem, który rozwiązuje problemy i który – choć wychował się w demokratycznym społeczeństwie – nigdy nawet się nie zbliżył do żadnych demokratycznych wartości. Człowiekiem, który szedł po trupach, który zbudował całą swoją działalność na tym, co dawało mu kopa, na natychmiastowym zaspokojeniu pragnień, nieustannej adrenalinie. Tylko że teraz już nic nie dawało mu kopa, próbował wszystkiego, robił wszystko, na wszystko go było stać, ale w granicach prawa nie istniało już nic, co mogłoby mu dać satysfakcję. Kiedy wszystko stało się dostępne, musiał dostać to, co nieosiągalne. To, co nie mieściło się w granicach prawa.

Potrzebował skrajności.

Punkt się nie poruszał. Nie było już żadnych wątpliwości. Liang Zunrong się zatrzymał. Przetransportowano go z jednego miejsca w drugie i dotarł do celu. Znajdował się gdzieś w tym bliżej nieokreślonym kompleksie na prawo od drogi. Kompleksie, którego Beyer jeszcze nie widziała.

Odczekała jeszcze chwilę, potem wyjechała na większą drogę i skręciła w lewo.

Właściwie to nie był żaden kompleks, jak sugerowała mapa, a raczej skupisko wolnostojących budynków w różnych stadiach zniszczenia, usytuowane około stu metrów od drogi. Trudno by było je uznać za perłę stopniowo odnawianego Buiksloterham. Nie potrafiła określić, w którym budynku znajduje się Liang Zunrong. Musiała zostawić samochód na poboczu i zapuścić się na to pustkowie. Przesłała mapę na swoją komórkę i zatrzasnęła drzwi wozu. To wtedy ogarnęło ją poczucie, że wygrała, przekonanie, że dotarła tu pierwsza, że przecięła wyimaginowaną wstęgę na mecie na długo przed Kerstin Holm.

Pokonała jakieś sto metrów porośniętych chwastami nieużytków. Wejście na teren kompleksu nie stanowiło problemu; nie pozostało już nic, co by go odgradzało. Resztki dawnej bramy, kiedyś z pewnością imponującej i odstraszałającej, wisiały na zawiasach po obu stronach zniszczonego, ale wciąż w niektórych miejscach wyposażonego w drut kolczasty ogrodzenia. Minęła je i spojrzała na komórkę. Była coraz bliżej.

Rozejrzała się. Na dawnych terenach przemysłowych stało co najmniej dziesięć ruin domów; mogło chodzić o którykolwiek z nich. Ziemia była błotnista, jakby bardzo punktowo padał tutaj deszcz, albo raczej jakby błoto było stałą częścią tego krajobrazu, choć tak niedaleko świeciło słońce.

Jutta Beyer próbowała znaleźć sposób, by zbliżyć się do mrugającego punktu. Nie mogła się połapać w kierunkach. Stała tuż za zniszczoną bramą, usiłując nie rzucać się w oczy, obracała się wokół własnej osi i odwracała komórkę, usiłowała się zorientować. W końcu miała niejasne pojęcie, w którą stronę pójść.

Trzymała się blisko ruder, jak najbardziej w cieniu, od czasu do czasu dotykała pistoletu w kaburze, pistoletu, którego tak jej brakowało w godzinach spędzonych w schowku.

Ale z drugiej strony, gdyby go wtedy miała, pewnie zrobiłaby coś bardzo niewłaściwego.

Teraz nie zamierzała do tego dopuścić. Zbliżała się do największej i najlepiej zachowanej rudery na tym terenie. Budynek wyglądał na dobrą kryjówkę dla kogoś, kto chciał prowadzić podejrzaną działalność. Skulona podbiegła do schodów prowadzących do wejścia.

Ale to się nie zgadzało. Przystanęła dokładnie przy pierwszym stopniu i znów przyjrzała się pulsującemu punktowi na wyświetlaczu komórki. To było raczej bardziej na prawo, za schodami, za ścianą szczytową, za rogiem i jeszcze kawałek dalej.

Skręciła w prawo, przeszła wzdłuż budynku, wyjrzała za róg, ale nic nie zobaczyła. Pustkowie. Teren porośnięty chwastami i opadająca w dół skarpa. Beyer zbliżyła się do niej. Gdy znalazła się na skraju, spojrzała w dół na jakiś dziwnie podmokły grunt, mały szary potoczek, błotnisty, porośnięty chwastami brzeg. Śmierdziało brudnym szlamem.

Zobaczyła Kerstin Holm.

Co, u diabła? – pomyślała Jutta Beyer.

A potem przyznała, że się zgubiła.

Właśnie miała powiedzieć coś ciętego, kiedy dostrzegła minę Kerstin. Gdy ich spojrzenia się spotkały, Beyer ujrzała w oczach Holm nieskończoność.

Nieskończony smutek.

Holm odwróciła głowę i popatrzyła na błotnisty brzeg. Dopiero wtedy Beyer dostrzegła drobną postać.

Leżał do połowy zagrzebany w błocie, wpatrując się w bezgranicznie obojętne niebo.

W martwych, brązowych oczach Lianga Zunronga wciąż widać było daremną nadzieję.

Amsterdam – Haga, 4–5 lipca

NOC. BYŁA NOC. Nocą chyba nic się nie dzieje? Czym właściwie jest noc? Bezsensowną przerwą między dwoma dniami? Przestrzenią, żeby odetchnąć?

Czy właśnie porą, kiedy dzieje się najwięcej?

\* \* \*

Można było regulować według nich zegarki. Ale Adrian Marinescu zrobił coś więcej. Uregulował według nich własne życie.

Z reguły tuż przed dziesiątą wieczorem Vlad po raz pierwszy ziewał. Dla Cipriana był to znak, by wstać i przejść do sypialni. Ścielił podwójne łóżko i nawet poprawiał poduszkę. Potem wracał do salonu; Vlad wychodził do łazienki, a w tym czasie karczycho numer dwa wyciągało spod składanej sofy dodatkowe posłanie i przesuwało je po drewnianej podłodze w stronę biurka. Potem czekali, aż Vlad wyjdzie z łazienki, bez słowa uda się do sypialni i zamknie za sobą drzwi. Układał się na łóżku – na szczęście w gaciach – i czytał kilka stron jakiejś książki; książka i pistolet zamieniały się miejscami na nocnym stoliku. Kiedy już Vlad zamknął drzwi, obaj ochroniarze też zaczynali się szykować do snu. Zdarzało się, że – w całkowitym milczeniu – popijali wódkę, zapadając się homofobicznie daleko od siebie każdy we własną połowę rozkładanej sofy.

W tych trzech Rumunach, rodakach Marinescu, było coś cholernie dziwnego. Trzech najwyraźniej doświadczonych i wysoko postawionych mafiosów, którzy nie figurowali w żadnych kartotekach, a ich odciski palców nie dały zupełnie żadnych trafień. Nie pojmował, jak to możliwe.

Gdy tylko Vlad pierwszy raz ziewnął, chwilowi partnerzy Marinescu siedzący z nim w mieszkaniu wdowy Bezuidenhout dochodzili do wniosku, że pora się zwijać. Wytworzyła się pewna rutyna. Potem Adrian Marinescu zostawał sam.

Sam ze swoimi myślami. Myślami o Rumunii, o rasizmie, o zapiekłej nienawiści do Romów, o nienawiści i niesprawiedliwości w ogóle, o Unii Europejskiej, pragnieniu, by przynależeć do czegoś większego i ważniejszego niż własny kraj. Ale chyba w jeszcze większym stopniu niż myśli towarzyszyło mu uczucie wstydu.

Kiedy zapadał się w swoje łóżko polowe, wciąż ze słuchawkami na ogolonej głowie, myślał właśnie o tym wstydzie. O tym, jaka to ogromna ulga, że chwilowo nie potrzebuje własnego mieszkania. Dobra umiarkowana pensja – dobra przynajmniej jak na rumuńskie standardy, a poza tym z różnymi dodatkami za nadgodziny – mogła teraz w całości trafić do jego żony i dzieci w Bukareszcie. Będą mogli dalej mieszkać w dość dużym mieszkaniu. I bez względu na to, jakie miał plany Europol co do jego przyszłej

kwatery, zamierzał mieszkać oszczędnie i tanio i wysyłać do domu, ile tylko zdoła. Żeby jego rodzina wkrótce zaczęła przypominać Europejczyków.

Adrian Marinescu był dobry w obserwacji. Rzadko cokolwiek mu umykało, a teraz nie mógł mu umknąć nawet najdrobniejszy szczegół. Mimo krajowej i międzynarodowej korupcji wyłącznie dzięki własnym zasługom dostał szansę, która nigdy więcej się nie powtórzy, i ze względu na całą krew przelaną w Transylwanii nie wolno mu było tej szansy zmarnować. Zwłaszcza teraz, gdy trzech handlarze żywym towarem wreszcie na krótką chwilę wyszli z salonu, a on i Donatella Bruno skorzystali z okazji i przestawili jedną z kamer tak, by była skierowana prosto na biurko. Od tego czasu Vlad jeszcze nie użył komputera, ale teraz przynajmniej otworzyły się przed nimi nowe możliwości.

Gdy Marinescu powoli zasypiał – z maksymalnie podkreślonym dźwiękiem w słuchawkach, żeby obudziło go każde głośniejsze chrapnięcie w sypialni Vlada – jego myśli popłynęły do rodziny w Bukareszcie, do najstarszej córki, która dopiero co zaczęła szkołę, do żony harującej w fabryce, która już dawno powinna zostać zamknięta. Adrian Marinescu chciał się stać Europejczykiem i coraz bardziej nim był, ale upłynie bardzo dużo czasu, zanim przestanie się czuć jak zaproszony z konieczności ubogi krewny z prowincji.

Gdy Marinescu, zasypiając, jeszcze raz poprawił dźwięk w słuchawkach, Donatella Bruno dotarła do domu do swojej nowej kawalerki w najstarszej dzielnicy Hagi. Przystanąła w przedpokoju i czekała, aż z absolutnej ciemności wyłonią się niewyraźne jaśniejsze kontury, niczym narastające promieniowanie ła. Nie chciała zapalać żadnej lampy. Tylko wejść i usiąść na swoim jedynym meblu, rozkładanej sofie, i przez chwilę posiedzieć w ciemności. Jak zwykle, gdy usiadła, przed jej oczami pojawił się obraz jej poprzednika, Fabia Tebaldiego. Wydawał się bardzo prawdziwy. Jakby naprawdę tutaj był, opryskliwy, ale w głębi ducha sympatyczny, poczciwa góra mięśni. Donatella Bruno była ostatnią osobą, która widziała go żywego. Tebaldiego i jego partnerkę, Lavinie Potorac, przewodniczkę Marinescu. Wyraźnie pamiętała swój sceptycyzm, gdy zawiozła ich do garażu w lesie pod Rzymem, gdzie zmienili samochód. Jak wtedy pomyślała, że po raz ostatni widzi tego ciągle zagrożonego egzekucją pogromcą mafii, oddalającego się w stronę jądra ciemności. Zabrał ze sobą na śmierć Rumunkę, matkę małego dziecka.

A teraz siedziała tu sama. W północnej Europie. Podczas gdy południowa Europa drżała. Gdy kipiała korupcja. Gdy krajom południowej Europy odmówiono dalszych kredytów. Gdy wydawało się, że kontynent przecina szczelina, pęknięcie biegnące od Atlantyku aż do Rosji. Gdy Berlusconi miał odejść.

Choć bardzo kochała swój kraj, miło było teraz być z dala od Włoch. To powinien być najlepszy kraj świata, ale tak nie było. Era Berlusconiego wprawdzie się kończyła, ale spustoszyła Włochy o wiele bardziej niż kiedyś Goci. Nawet mafii nie udało się tak zniszczyć Włoch jak Berlusconiemu. Skomplikowanej mafii. Strukturom znacznie starszym niż włoskie państwo. Koniecznym dla amerykańskiej inwazji w czasach faszyzmu, posiadającym wyraźny kodeks honorowy. Ale mafia była też plagą tego kraju. Aparat państwowy przeżarty korupcją. Pojedynczy bohaterscy sędziowie i policjanci i w teorii dobrze funkcjonujący system prawny, ale wszystko pochłonięte przez system odurzonej władzą

sieci. I na domiar tego wszystkiego apostoł powierzchowności, mesjasz niegodziwości władzy, kat życia publicznego Silvio Berlusconi. Sztuka polegająca na tym, by z własnych brudów zrobić program polityczny. Sztuka polegająca na tym, by zmienić cały aparat państwowy, każdą demokratyczną instytucję w filię przedsiębiorstwa.

Nie. Dość już tego oburzenia. Była teraz na północy. Sama. Na południu, w świecie macho, czuła, że musi żyć samotnie, wymagało tego od niej poczucie własnej wartości. Ale tutaj nie była już tego taka pewna. Niedawno miała kochanka, wykładowcę uniwersyteckiego z Londynu, z dziwną skłonnością do zaskakujących prezentów. Ale ogólnie to był inny świat i czuła się samotna. Trochę zimny, sztywny świat. Pracowity. Surowy, nudny. Ludzie, którzy wcześniej się kładą. I inny rodzaj korupcji. Luterski nepotyzm. Jakiś ciężko pracujący człowiek powiedział, że ktoś inny, najlepiej członek rodziny, jest ciężko pracującym człowiekiem. A więc dostał pracę. Nieoficjalnie. Kultura oficjalnych tajemnic. Wszyscy wiedzą o ich istnieniu, wszyscy udają, że ich nie dostrzegają.

Donatella Bruno wyjęła wielokrotnie przekartkowane nieoficjalne materiały ze śledztwa, ale poczuła, że nie ma na to sił. Nie dziś w nocy. To było zbyt przygnębiające.

Zbliżała się północ. Pora spać. Oczywiście istniał tu wspaniale wypracowany system dodatków za nadgodziny i możliwość wyspania się po długiej zmianie. Czy Europa *stawiała się* Europą Północną? Czy naprawdę tylko wiele godzin słońca i krótka zima sprawiały, że północni Europejczycy tak fanatycznie przybywali na południe? Czy nie chodziło też o styl życia? Właśnie ten styl, który teraz tak energicznie kwestionowano? Styl polegający na tym, by nie myśleć cały czas tylko o tym, jak zmaksymalizować zyski i świadomie zapracować na wrzody żołądka?

Właśnie, pomyślała Donatella Bruno i wreszcie wstała z sofy. Pora spać.

Właściwie o tym samym pomyślała Corine Bouhaddi, siedząc samotnie w ciasnej i dość wilgotnej kawalerce pod mieszkaniem, w którym spało trzech Rumunów. Gdy już wytworzyła się pewna rutyna, postanowili, że wystarczy tu *jeden* policjant. To sprawiało, że wszystko wydawało się jeszcze bardziej samotne.

Właściwie Bouhaddi się tym nie przejmowała. Sama była istotą samotności. Co za różnica, czy siedziała tutaj, czy sama w swoim mieszkaniu? Na jedno wychodziło. I to był jej wybór. Jej całkowicie własny wybór.

Pochodzić z muzułmańskiej rodziny i – choć bez ostentacji – wyrzec się silnego, dominującego kolektywu, tak, patriarchy, oznaczało ucieczkę przed wszelkimi formami kolektywu, wszelkimi formami wspólnoty. Może to nie musiało tego oznaczać, ale do tej pory nie udało jej się znaleźć żadnej sensownej alternatywy. Musiała być wolna i musiała być sama.

Ale teraz, gdy siedziała w pustym mieszkaniu nad Lauriergracht, w dość okropnym wilgotnym półmroku, może nie pomyślała o tym po raz pierwszy, ale po raz pierwszy naprawdę *poczuła*, że to nie wystarczy. Nagle to już nie wystarczało.

A jednak nie było innego wyjścia. Nie zamierzała nagle zmieniać swojego życia. Jak to ujął pewien



mądry człowiek: nikt nie może się zmienić. Corine Bouhaddi wybrała swoją drogę w życiu i tak to wyglądało. Samotna muzułmanka, profesjonalna europejska policjantka. Tak właśnie było. Od czasu do czasu jakiś joint z braku alkoholu.

Czy to w ogóle było życie?

Bouhaddi siedziała jak przyklejona do biurka i wpatrywała się w monitory, na których panował absolutny bezruch. Bała się nawet na chwilę położyć na sofie, wtedy natychmiast by zasnęła. Właściwie to było okropne. Musiała wpatrywać się nocą w puste monitory i stawiać czoło swoim demonom. I na dodatek zgłosiła się do tego na ochotnika.

Demon, który w dzieciństwie trzymał ją w szachu. Aisza Kandisza, najokropniejszy z upiorów. Zawsze najpierw piękno, biała suknia, długie włosy, zmysłowe ruchy. Z początku to było fantastyczne. Aż do chwili gdy następował szok, przemiana. Z biegiem lat również to piękno stało się przerażające, bo wiedziała, co ją za chwilę czeka. A jednak świadomość nie łagodziła szoku. Raczej go nasilała i przemiana łagodnych rysów hrabiny pozostała najgorszym z koszmarów jej dzieciństwa. Wtedy zawsze podchodziła tak blisko, tak potwornie blisko. Zbliżała się, jakby sunąc w powietrzu, jej biała suknia drżała jak pustynny miraż. I uśmiech. Uśmiech, który... Uśmiech, który coraz bardziej się wykrzywił, w miarę jak twarz gniła, spod krwawych strzępów ciała wyzierały kości, a przebite oczy spływały po policzkach. I teraz Aisza Kandisza tu była, jej twarz się rozpadała. Wciąż podchodziła bliżej. To było tak, jakby opierała całą swą gnijącą cielesność na oczach Corine.

A potem zniknęła. Tak jak w dzieciństwie. Pozostawiła po sobie straszliwą pustkę. Corine Bouhaddi wypuściła wstrzymywane powietrze. Nie widziała nic. Wszystko było tylko pustką.

I kilka zupełnie pustych monitorów. Nigdzie żadnego życia. Nad nią spali Rumuni, a Marinescu pewnie również spał po drugiej stronie Lauriergracht.

Jedyną, która na całym szerokim świecie nie spała, była Corine Bouhaddi.

Tak się czuła. Ale w małym domku w wiosce Loosduinen, która później miała się stać przedmieściem Hagi, nie spał Angelos Sifakis. Miał kreteńskie korzenie, cała jego rodzina wywodziła się z kreteńskiej wsi, choć od wielu lat tam nie był. Mimo iż sam wychował się w Atenach, coś w nim nieustannie powracało do wakacji, które w dzieciństwie spędzał na Krecie. Nosił kreteńskie nazwisko, niewolne od pewnych historycznych problemów. Nie wiedział, czy to prawda, ale według legendy, kiedy Turcy okupowali Kretę, nazywali wszystkich Kreteńczyków „małymi”, dodając uwłaczającą i poniżającą końcówkę „-aki”. Kreteńczycy byli buntowniczymi sukinsynami i Turcy musieli im pokazać, gdzie ich miejsce. Ale tak łatwo im nie poszło. Kreteńczycy uszlachetnili tę zniewagę i zmienili końcówkę w bardziej męskie „-akis”. „Sifaki” zmieniło się w „Sifakis”. Tak jak w nazwisku Angelosa.

Mówi się, że byli buntownikami. Mówi się, że byli jedną z najbardziej zawziętych rodzin na tej wielkiej wyspie. Ale żadnej z tych rzeczy nie dało się potwierdzić. Niczego nie dało się zweryfikować ani udowodnić. Właściwie dopiero gdy został policjantem i stał się częścią organizacji, o której stopniu skorumpowania nie miał jeszcze pojęcia, naprawdę poczuł swoje korzenie. To niezłomny upór

zakodowany w genach popychał go naprzód, gdy zwietrzył polityczną korupcję, nad którą miał czuwać. Właściwie było to czysto rutynowe zadanie. Każdy żółtodziób musiał przez to przejść. Szukać korupcji i niczego nie znaleźć. Taka była rutyna. Ale młody Angelos Sifakis – z końcówką „-akis” – coś znalazł. Znalazł to i nie potrafił tego zostawić. Zamknął ich w uścisku, z którego bardzo niewielu udało się wymknąć. Ścisnął coraz mocniej i mocniej. Młody Ateńczyk o kreteńskich korzeniach stał się naprawdę niewygodny. Zagroził dużej części policji i zaczął się dobierać do polityków. Rozgryzł niektóre powiązania, o których nigdy nie powinien się dowiedzieć. Czuł, że nienawiść wobec niego narasta, i skontaktował się z prasą. To mu uratowało życie. Nie można go już było wyeliminować, uprzętać z drogi. Ale można się go było pozbyć w inny sposób. Mógł dostać kopa w górę. Można go było wysłać do Europolu, dokładnie w chwili gdy Grecja wkroczyła w najgorszy kryzys od czasu trzeciej wojny macedońskiej.

I tak się stało. Młody potomek Kreteńczyków bez większych oporów pozwolił się zmienić w północnego Europejczyka.

A równocześnie widział z daleka, co się dzieje z jego krajem. Ubóstwo. Widział nazistów mierzących w serce demokracji, gdy zagraniczne banki podnosiły oprocentowanie, uniemożliwiając krajowi zaciągnięcie dalszych kredytów. Gdy zaczęła się szerzyć ta polityczna niepewność, prawicowi ekstremiści przejęli rolę policji i ludzie często woleli dzwonić do Złotego Świtu niż do stróżów prawa, kiedy chcieli, by zapanował porządek. Szerzyła się nienawiść wobec imigrantów. Unijne władze wydawały się złem. Potężny świat globalnej bankowości, który nie chciał udzielać dalszych kredytów, jawił się jako wcielenie zła. Jesteśmy Grekami, kolebką cywilizacji, nikt nam tego nie odbierze. Żadni cudzoziemcy nie będą niszczyć naszej kultury.

Gdzieś w Sifakisie kryło się również to. Ślady takiego myślenia. Ale to było złudzenie, wiedział o tym. Starożytni Grecy wymarli dawno temu. Jeśli nawet istniało coś takiego jak serce cywilizacji, to dawno temu opuściło Grecję. Przed dwoma tysiącami lat. Potem się przemieszczało, czasem na granicy śmierci głodowej, między różnymi kulturami. Trudno powiedzieć, gdzie było teraz, ale Angelos Sifakis był przekonany, że nie w Atenach.

Leżał w swoim łóżku w małym domku w Loosduinen i oglądał telewizję. W Atenach coś się szykowało, był tego pewien. Czy Złoty Świt naprawdę dostanie się do parlamentu? Czy zamieszki staną się częścią greckiej rzeczywistości? Czy Grecja zmienia się w trudne dziecko Europy?

Kiedy zobaczył, że zegar na CNN wskazuje drugą, poczuł, że musi się przespać. Mimo wszystko. Ale niepokój o losy kraju go nie opuścił. Nawet we śnie.

Jeśli chodzi o Marka Kowalewskiego, o śnie nie było mowy. Miał za sobą dziwny wieczór. Życie na Zachodzie radykalnie się różniło od czasów jego dorostania w ciągnących się bez końca blokowiskach na przedmieściach Warszawy. Mimo to uważał, że całkiem dobrze się dostosował. Wciąż wprawdzie można było wyczuć jego chłopskie korzenie, jak nikły zapach ziemi, i od czasu do czasu dzieciństwo w bloku wschodnim dawało mu się we znaki. Ale coraz rzadziej.

To było tak, jakby Kowalewski w jakiś dziwny sposób dojrzał w tym krótkim czasie, który spędził w Nowym Jorku. Pojechał tam i wrócił jako inny człowiek. Ze znacznie pogorszoną wydolnością płuc.

Ale jego życie się zmieniło. Jakimś dziwnym trafem stał się atrakcyjniejszy dla płci przeciwnej. Nie do końca wiedział, z czego to wynikało, ale w każdym razie było to oczywiste. On, rumiany Polak, nagle stał się magnesem na laski. Mimo pogorszonej wydajności płuc.

Kowalewski spojrzął na drugą stronę łóżka. Kobieta, która tam leżała, cicho pochrapując, miała na imię Lieke. Kształty tej drobnej Holenderki rysowały się przedziwnie doskonale pod cienkim prześcieradłem. Podziwiał ten widok w świetle ulicznych latarni, łagodnym przez polskie koronkowe firanki. Było w nim coś boskiego.

Poczuł, że jego członek znów się unosi. A równocześnie wydawało mu się to niewłaściwe, niemal bluźniercze. Jakby łamał jakieś święte przymierze. Lieke.

Z niezmiernym zdumieniem dotknął ręką konturów rysujących się przez prześcieradło. Ten cichutki jęk. Jakby pod prześcieradłem wieczór rozgrywał się na nowo. Pamięć ciała. Pragnienie, by to powtórzyć, tylko że lepiej. To, jak wszystko jest dążeniem do udoskonalania. Pragnienie, by orgazm posunął się jeszcze o krok dalej. Marzenie o spełnieniu.

Marek Kowalewski powoli podniósł prześcieradło i wciągnął w nozdrza woń jej skóry. Skóra kobiety. Bardzo powoli ułożył się obok Lieke, dotykając członkiem jej pośladków. Potem głaskał ją delikatnie po plecach i czekał.

Nie minęło dużo czasu, nim zadziałał pierwotny instynkt. Wciąż pogrążona w półśnie przyłgnęła do niego, leżał zupełnie bez ruchu, gdy powoli naparła na niego pośladkami, wsuwając się na niego. Nie był pewny, czy nie spała.

I nie przestawało go zdumiewać własne życie.

Na zegarze była trzecia, gdy Miriam Hershey obróciła się w łóżku i spojrzała na Nicholasa. Był jej wielką tajemnicą.

Powiedziała o nim tylko Laimie Balodis i nie wiedziała do końca dlaczego. Nie stanowił przecież zagrożenia. Był raczej anomalią, odstępstwem w jej poza tym homogenicznym życiu. Nie wywierał negatywnego wpływu na jej pracę w policji. Właściwie to wręcz przeciwnie, byłaby gotowa stwierdzić, że dzięki niemu była lepszą policjantką.

Ale Nicholas nie był typem, który zazwyczaj staje się miłosnym partnerem policjantki. Był po prostu przestępcą.

Albo raczej byłym przestępcą. Człowiekiem, który w przeszłości był związany z najgorszymi gangami na przedmieściach Paryża. Człowiekiem, który obecnie pracował wśród kryminalistów, ale z ambicją, by pomóc im się wyrwać, tak jak jemu się to udało. Ze swojego trzydziestopięcioletniego życia dwadzieścia lat spędził w więzieniu. Ponad połowę. I choć niewiele możemy wiedzieć o innych ludziach, również tych, którzy są nam najbliżsi, jedno było jasne: Nicolas nie zamierzał tam wracać.

Ale nie mógł uciec przed własnym ciałem. Miriam Hershey leżała i przyglądała mu się. Był jak

podręcznik zmarnowanego życia, mapa bezsensownego przestępczego krajobrazu. Blizny na rozciętych w dzieciństwie wargach i rozbitych łukach brwiowych, po skaleczeniach nożem w okresie dojrzewania i po rozbitych butelkach, po samookaleczeniach, gdy był nastolatkiem, ślady po ranach postrzałowych i po zastrzykach heroiny, po których nabawił się zakażeń, blizny po torturach w dorosłym życiu i przeżarta kokainą kość nosa. I do tego jeszcze wszystkie te nieudane tatuaże z mamra.

I nosił je człowiek o złotym sercu i sumieniu z drutu kolczastego.

Które nieustannie raniło jego duszę. Od środka.

Hershey starannie czytała z jego ciała. Nigdy nie było całkowicie nieruchome. Ciągłe przebiegało po nim jakieś drżenie, jak mikroskopijne trzęsienia ziemi. Miała nadzieję, że za życia zdąży odnaleźć spokój. A w najgłębszym zakamarku swego serca, ukrytym również przed nią, miała nadzieję, że będzie wtedy u jego boku. Że przeżyją razem spokojną i pogodną starość.

Ostrożnie dotknęła swojej lewej skroni. Pod gęstymi czarnymi włosami rysował się wyraźny relief, nierówność wielkości około centymetra kwadratowego, która pewnie wyglądałaby groteskowo, gdyby Hershey zachorowała kiedyś na raka i straciła włosy. Zupełnie jakby wygląd miał wtedy jakiegokolwiek znaczenie.

Wszystkie drobne odłamki kości były na miejscu. Laima Balodis starannie je pozbierała w andaluzyjskich górach, w kałużach krwi, i włożyła do małego woreczka, który wysłała śmigłowcem pogotowia.

Hershey zwykle unikała wspomnień z myśliwskiej chatki w okolicach Estepony. Krwawa jatka. Ale nocą ją to nawiedzało. Leżała postrzelona na podłodze w chacie. Odstrzelono jej fragmenty czaszki. Z odsłoniętym mózgiem, w gorącym, południowohiszpańskim powietrzu czuła, jak dłoń, w której trzymała pistolet, przydeptuje wielki bucior. Spojrzała w górę na mężczyznę o szerokiej szczęce, a on nonszalancko zwrócił się do niej per „pani”. To wtedy, przez bardzo czerwoną mgiełkę, spojrzała w stronę Laimy Balodis, przekonana, że koleżanka nie żyje. Leżała nieruchomo, cała we krwi. Hershey była zupełnie pewna, że obie zginą w tej przeklętej starej chacie.

Dotknęła dłonią ściany i pomyślała o dystansie.

Laima Balodis poderwała się na łóżku i spojrzała na budzik w dawnym studenckim mieszkaniu na południowo-wschodnich obrzeżach Hagi. Wskazywał czwartą. Ale właściwie to nie budzik przyciągał jej wzrok, lecz ściana, która była za nim. Ściana, za którą spała Miriam Hershey. Pewnie dręczyły ją koszmary o Hiszpanii.

Kiedyś znalazły sobie razem tanie tymczasowe mieszkanie w Hadze. Musiały się szybko wprowadzić, by móc zacząć służbę w nowej tajnej jednostce Europolu, której nazwy jeszcze nie znały. Ale dobrze się poczuły w dawnych korytarzach akademika. Właściwie nie było powodu, by się wyprowadzać.

Aż do teraz. Do czasu gdy Miriam, ku ogromnemu zdumieniu Laimy, zaczęła się spotykać z tym kryminalistą. Zastanawiała się, co takiego dla niej zrobił. Sprawił, że znów „stała się całością”?

Laima Balodis nie potrzebowała, by ktoś sprawił, że znów „stanie się całością” I nie śniły jej się

koszmary o Hiszpanii. Natomiast – i mimo wszystko ją to zdziwiło – przyśnił jej się krótki i niezbyt przyjemny koszmar z Paulem Hjelmem. Był niepokojący. Siedzieli i rozmawiali. W jakimś nieznanym miejscu. Była sobą, jak na jawie. Ale nagle dostrzegła coś w jego ustach. Podczas rozmowy nie słyszała, co mówił, całą uwagę skupiła na tym, by zobaczyć, co takiego miał w ustach. I w końcu to dostrzegła.

Wampirzy ząb. Ukryty za zwykłymi zębami.

Niech to szlag, nie zamierzała stać się jego hitmanem.

Tak, stała się o wiele twardsza podczas tych koszmarnych sześciu miesięcy spędzonych pod przykrywką prostytutki w portowej dzielnicy Kłajpedy. Była po prostu złotodziobem, jedyną w całej litewskiej policji kryminalnej, która nadawała się do tej roli. Kilka tygodni, łagodnie mówiąc, intensywnego szkolenia. A potem w teren. Udawaj dziwkę. Chyba ostrzej już być nie może. Na tym świecie. Trudno sobie w ogóle wyobrazić cokolwiek gorszego. Może tortury, ale w tym nie ma przynajmniej podwójnej gry, ryzyka wykrycia przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w połączeniu z życiem, które samo w sobie stanowi śmiertelne ryzyko. Po dwóch miesiącach potrzebowała narkotyków. Absolutnie musiała się znieczulić. Opierała się temu. Wymyślała różne strategie. Wiedziała, że to się skończy. Coraz bardziej zbliżała się do szajki przemytników żywym towarem. Była coraz bliżej końca. I jaka niebezpieczna się wtedy stała. Cały czas gotowa zabijać. Śmiertelne zagrożenie stało się normą. To, jak potem z tego wychodziła. Egzystencja, która nie była życiem. Ten nieznośny spokój. W blasku chwały, uznana za bohaterkę, pojechała do Hagi i zaczęła pracować dla Europolu. I po raz pierwszy uderzyła ją myśl – może to była oznaka powrotu do normy – że odegrała ważną rolę w obu grubych sprawach, którymi zajmowała się grupa Opcop.

To musiało wystarczyć. A jednak wiedziała, że nadeszła pora koszmarów. Przez okno bez firanek sączyły się pierwsze promienie porannego słońca, a mimo to zdała sobie sprawę, że nadeszła pora ciemności. Gdy tylko pomyślała o Kłajpedzie, nadeszła pora. Nic na to nie mogła poradzić.

Laima Balodis odwróciła się i dotknęła dłonią ściany. Zawsze czuła się trochę bezpieczniejsza, wiedząc, że Miriam tam jest. Zaledwie kilka centymetrów od niej.

To było takie dziwne, że poranne światło sączące się do sypialni budzi jego synka. I było tak przez cały czas. Zimą synek budził się później, a im bliżej było lata – coraz wcześniej. Teraz trwała pełnia lata i gdy słońce zajrzało przez szczelinę w drewnianych żaluzjach, obudził się. Można było regulować według niego zegarek.

Ale Felipe Navarro zrobił coś więcej. Dostosował swoje życie do syna.

Na pierwszy rzut oka nie było nic dziwnego w tym, że poranne światło budziło chłopca. Małe dzieci często były bardzo wrażliwe na zmiany. Ale istniała pewna różnica. Synek Felipego Navarro urodził się niewidomy.

Gdy Navarro zauważył, że chłopiec reaguje na słońce, przestał być naiwnym racjonalistą. Istniały rzeczy, których po prostu nie dało się zrozumieć. Miesiące przebywania z synem nauczyły go więcej niż całe dotychczasowe życie. Otworzyły drzwi, o których istnieniu nie miał pojęcia.

Ileż to razy próbował zrozumieć, co to oznacza nie widzieć od urodzenia. Przejść przez całe życie, nie widząc. Umrzeć, nie odebrawszy ani jednego bodźca wzrokowego. Nie dało się tego pojąć. Nie było szans.

Wstał z podwójnego łóżka, które dzielił z żoną Felipą – pogrążoną teraz w głębokim śnie – i podszedł do dzieciennego łóżeczka. Chłopiec nie płakał. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Leżał na brzuchu, zaciskając rączki na drążkach łóżeczka, i uparcie próbował się podnieść. Powinien płakać z rozczarowania. Jak to zwykle dzieci.

Tak jak to wszyscy robimy.

Felipe Navarro doskonale wiedział, że chłopiec *potrafi* krzyczeć. Pod tym względem niczego mu nie brakowało. Najwyraźniej po prostu postanowił, że nie będzie się skarżyć, próbując wstać. Naprawdę wyglądało to na świadomą decyzję.

I w tamtej chwili Felipe Navarro zdecydował, że nie zdradzi swojej obecności. Wiedział, że to będzie trudne – chłopiec wszystko słyszał – ale starał się z całych sił. Poza tym jego synek wydawał się zbyt skupiony na swoim zadaniu, by płakać czy nasłuchiwać. Walczył jak furia. Felipe przykucnął i obserwował jego zmagania. Były biblijne, mityczne. To była walka ludzkości, by przewyciężyć swoją zwierzęcość. Całe tysiąclecia dążeń w jednym drobnym geście. I teraz chłopiec był tak bliski powodzenia. Felipe Navarro czuł we własnym ciele zwielokrotnione w nieskończoność napięcie drobnych mięśni. To naprawdę bolało. Jak przed ostatnim zrywem w maratonie. Albo przed urodzeniem dziecka.

Nic nigdy nie mogło być ważniejsze.

Wtedy chłopiec wstał. Stał przez dwie sekundy, po czym przewrócił się do tyłu i uderzył główką o drążki. Ale teraz też nie płakał. Dopełził na swoje miejsce na zmiętej pościeli i Felipemu naprawdę się wydawało, że w jego spojrzeniu – *spojrzeniu* – wyczuwa jakąś osobliwą dumę.

Chyba właśnie dlatego, że w tym spojrzeniu było wszystko, co ludzkie – wszystko, prócz widzenia – tak trudno było to pojąć. Jak jakiś inny, równoległy typ człowieczeństwa.

Być może jego intensywniejsza forma.

Zbliżył się na palcach i zobaczył, że chłopiec odwraca lekko główkę, jakby dostrajał własny rodzaj wzroku. Słuch i coś jeszcze. Coś niepojętego.

– Félix – szepnął. – Tata tu jest.

I jeśli tylko sobie wyobraził uśmiech na ustach synka, było to kłamstwo, z którym potrafił żyć. Gdy usiadł na skraju łóżka z Félixem na kolanach, a promienie słońca coraz intensywniej wdzierały się przez żaluzje, Felipe Navarro był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ni mniej, ni więcej.

Dokładnie w tej samej chwili na drugim końcu Hagi bezimienna kotka wskoczyła na łóżko. To była już rutyna. Powoli położyła łapkę na uchu tej dziwnej istoty, z którą dzieliła mieszkanie, i czekała. Jeśli nie było żadnej reakcji, bardzo powolutku wysuwała pazury. Prędzej czy później istota się wzdrygała i unosiła rękę do ucha, jakby chciała odpędzić komara – albo czasem osę, gdy naprawdę głęboko spała –

ale wtedy bezimienna kotka była już na podłodze i spoglądała na nią niewinnie. Mówiąc w ten sposób, co prawda bardzo nie wprost: jeść.

Bezimienna kotka czuje się trochę zagubiona, bo głowa istoty nie znajduje się w tym miejscu co zwykle. A poza tym istota, która siedzi na brzegu łóżka z pochyloną głową, wydaje się w ogóle nie przejmować błagalnym spojrzeniem kotki. Po prostu go nie dostrzega.

Jutta Beyer była zajęta innymi myślami. Myślała o dwunastoletnim Chińczyku, który nazywał się Liang Zunrong. Nigdy dotąd nie czuła się aż tak nieswojo, patrząc na martwe ciało. I dręczyło ją poczucie winy. Przeklinała Hjelma i Holm, którzy najpierw wysłali ją do tego groteskowego schowka w kuchni, otoczonego przez niebezpiecznych gangsterów, a potem w pościg, który bez ich interwencji z całą pewnością *nie zakończyłby się* zamordowaniem dziecka.

Nie czuła się dobrze. Ale gdy spojrzała w dół i dostrzegła błagalne spojrzenie kotki, poczuła ciepło rozlewające się w piersi. Wzięła kotkę na kolana i szepnęła jej do ucha:

– Zunrong.

Ponieważ bezimienna kotka wydawała się wcale nie protestować na to chińskie, męskie imię i tylko wtuliła się w nią mięciutko, Jutta Beyer podjęła decyzję. Właśnie nadała imię swojej kotce.

Wstała, odchrząknęła, by pozbyć się resztek nocnego niepokoju, i powiedziała na głos:

– Teraz dostaniesz jeść, Zunrong.

Wtedy była już siódma i w tak zwanej kawalerce Paula Hjelma w międzynarodowej dzielnicy Hagi po raz czwarty zadzwonił budzik. On naprawdę ma budzik, pomyślała Kerstin Holm, i pół sekundy później go wyłączyła. Nie spała przez całą noc. Nawet nie zmrużyła oka. Ona i Paul rozmawiali godzinami, a potem najzwyczajniej w świecie on zasnął w połowie zdania. I potrafiła go zrozumieć. Zamęczyła go swoim gadaniem.

Ale z drugiej strony zabiła dziecko.

Paul mówił, że to on to zrobił, że to on wydał zgodę, on wysłał Beyer do Utrechtu z tym śmierniczośnym chipem. Bo chyba to było przyczyną?

Kerstin Holm uśmiechnęła się lekko przez łzy, gdy zdała sobie sprawę, w jak elegancki sposób próbował pokierować rozmową, oddalając się od poczucia winy i próbując się skupić na kwestiach profesjonalnych. Ale nie mogła. Nie wtedy. Nie, gdy krótka noc była najmroczniejsza. Wtedy najbardziej potrzebowała pocieszenia.

Teraz było inaczej. Światło nie *sączyło się* przez okno, *wdzierało się* przez nie. Sypialnia była skąpana w słońcu. Paul Hjelm leżał na brzuchu; we śnie zrzucił z siebie prześcieradło. Wszystko wskazywało na to, że mocno śpi. W innej sytuacji rzuciłaby się na niego, jak to się często zdarzało w ostatnich dniach. Dziś tylko delikatnie się w niego wtuliła i światło pozwoliło jej powiedzieć:

– Chyba musieli znaleźć ten chip?

Wcale nie spał. Głos, który jej odpowiedział, nie był ani trochę zaspany.

– Albo was zobaczyli.

Ogarnęło ją bardzo nieprzyjemne uczucie i odparła:

– Mamy przecież całą trasę zapisaną w systemie nawigacyjnym. Ani Jutta, ani ja choćby raz nie byliśmy dość blisko. Nie mogli nas odkryć.

– Chyba że był drugi samochód. – Paul Hjelm się odwrócił. Przez chwilę leżeli, spleceni ze sobą. Całkowicie nadzy.

– Nie było – odparła w końcu Kerstin. – Niech to szlag.

– Też w to nie wierzę – powiedział Paul. – Mógł się też wygadać. O tym, że byliście w obozie. Może być wiele potencjalnych źródeł. I najwyraźniej są wyjątkowo ostrożni.

– Ale w jaki sposób mogli odkryć chip?

Paul pokręcił głową.

– Elektronika zawsze jest wykrywalna. Jeśli ma się odpowiedni sprzęt.

– A te skurwysyny mają wszelki możliwy sprzęt.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Nie popełniłaś żadnego błędu, Kerstin. Nie dało się tego przewidzieć. Musieliśmy interweniować. Ja za to odpowiadam.

– Dlaczego mnie okłamałaś?

– Okłamałem?

– U ciebie w gabinecie. Kiedy powiedziałaś, że myślisz o Arto. O tym, co mu się wydaje, że odkrył. Ale wcale o tym nie myślałaś.

– Hm – mruknął Paul Hjelm i pokiwał głową. – Nie. Nie chciałem cię w to mieszać. To była pośpieszna decyzja.

– Dlaczego akurat mnie nie chciałaś w to mieszać?

– Bo prawdopodobnie jako pracownik Europolu miałabyś obowiązek zgłosić naruszenie przepisów służbowych. Nie chciałem cię na to narażać.

– Czyli zamierzałaś naruszyć przepisy służbowe?

– Tak. Prowadzę równoległe tajne śledztwo. Z elementami, których nie da się usankcjonować.

– I nawet teraz nie zamierzasz mi powiedzieć? Kiedy leżymy razem w łóżku?

– Może właśnie dlatego. Ale oczywiście jeśli chcesz, powiem ci.

– Chcę.

– Pamiętasz Marianne Barrière?

– Pewnie, że tak.

– Tego wieczoru na imprezie w Muiderslot poprosiła mnie o coś. Żebym miał oczy otwarte na pewną sprawę.

– Na co?

– Plan G.

– Ach! Vlad ma być „w gotowości” na następujące „projekty”: „Czerwona Nić”, „plan G” i „projekt



URKA”.

– Masz dobrą pamięć, jak zwykle.

– Tyle tylko że nie słyszałam, by Marianne Barrière wspominała o planie G.

– Nie. Powiedziała to szeptem. A potem dostała tego MMS-a, po którym zrezygnowała ze wspólnego zakończenia wieczoru. Co prawda, jeśli mnie pamięć nie myli, sami go wspaniale zakończyliśmy, ale strasznie szybko zniknęła...

– *Jeśli cię pamięć nie myli?*

– Och... tak...

– Czyli nie pamiętasz.

– Powoli zaczynam sobie przypominać.

– Niedługo musimy się zbierać. Musisz sobie przypominać trochę szybciej.

– O tak, już pamiętam. Heteronormatywne, dwuosobowe gniazdko.

– Pamiętasz kąpiel?

– Tak. Szampan na skraju wanny.

– Można i tak to nazwać.

– Chyba nie jesteś skupiona, Kerstin.

– A jak *to* nazwiesz?

– Rozkoszą?

– Opowiadaj dalej.

– Teraz to chyba trochę trudniejsze. Ale zdaję sobie sprawę, że to szantaż. To znaczy wtedy zdałem sobie sprawę, że komisarz Unii Europejskiej, najwyżej postawiony europejski polityk, padła ofiarą jakiegoś szantażu. Skontaktowałem się z Marianne i zrozumiałem... ach...

– Zrozumiałeś...?

– ...że... ach...

– Skup się. Że?

– Że padła ofiarą spisku. Ale nie mogłem o tym z nią rozmawiać. Sprawa jest w bardzo delikatnej fazie. Projekt ustawy, jeśli pamiętasz.

– Co? Tak, pamiętam.

– Musiałem to dokładniej zbadać. Znalazłem trop. Musiałem kogoś trochę przycisnąć.

– Przycisnąć?

– Nie przestawaj. Tak, przycisnąć. Trop prowadził do Grecji. Potrzebowałem nieoficjalnej pomocy.

– Jak to, kurwa?!

– Nie przestawaj...

– Mówisz poważnie?

– On tego chciał. To nie powinno być trudne. Ma się tylko dobrać do jednego faceta i trzech zdjęć. Au!

– Gunnar Nyberg od lat nie pracował jako policjant, a ten jeden jedyny raz, gdy działał poza granicami

Szwecji, był fatalny w skutkach. Do jakiego piekła go wysłałeś?

– Nie tak mocno...! To nie żadne piekło. A poza tym to Gunnar. Do diabła, Kerstin. Wiesz, jaki jest.

– Wiem, jaki *był*. Jest już stary. Wysyłasz emeryta do piekielnych czeluści. Co cię napadło?

– Chyba lepiej, żebym nie wspominał o Liangu Zunrongu...

– Tak, lepiej o tym nie wspominaj.

– Au! Potrzebowałem na miejscu wykwalifikowanego śledczego, bez związków z żadną organizacją policyjną ani firmą ochroniarską. To chyba nie takie dziwne?

– Zakładam, że zaproponowałeś mu unijne pieniądze?

– Może trochę.

– Hm.

– Świat staje się coraz bardziej skomplikowany. Coraz trudniej ocenić, co będzie najlepsze. Albo raczej co jest najmniejszym złem. Często się okazuje, że to coś, co z początku wygląda podle. Czarno-biała moralność niestety działa tylko w teorii. I to dotyczy również chińskich dzieci, Kerstin. Przykro mi, ale tak jest.

– Wiem. Jak myślisz, dlaczego to ciągnę?

– Wstał nowy dzień. Gdzieś tam czekają nowe niesprawiedliwości. Życie toczy się dalej.

– Nie dla Lianga Zunronga – powiedziała Kerstin Holm i zacisnęła zęby.

Arto Söderstedt z niespodziewanym impetem zerwał się ze snu. Łóżko było puste. Nikt obok niego nie leżał. Nie patrząc na zegar, wpadł do przedpokoju, zajrzał do łazienki, nie mając szans dostrzec, czy na sedesie nie siedzi sam diabeł, ruszył dalej do kuchni, usiadł przy stole i stwierdził, że jest sam. Sam w rozszerzającym się w nieskończoność wszechświecie.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że zegar wskazywał ósmą, jego córka Lina o ósmej zaczynała zajęcia, a Anja we wtorki zwykle odprowadzała ją do szkoły w drodze na jogę, wakacje zaś w międzynarodowej szkole jeszcze się nie zaczęły. Ale mimo wszystko.

Ósma?

*Perkele!*

Na śniadanie wypił tylko łyk jogurtu, którym i tak oblał chodnik w przedpokoju, i wcale nie był pewny, czy ma na sobie spodnie, gdy wsiadał do swojej starej, wspaniałej toyoty picnic, którą miał od tego niezapomnianego lata na przełomie tysiącleci. Gdy wyjeżdżał z domu, był przekonany, że nie wziął kluczyków od samochodu – ogólnie rzecz biorąc, jedynej rzeczy, która była na miejscu – ale szkieł kontaktowych zdecydowanie nie założył i gdy szperał w pospiesznie spakowanej torbie w poszukiwaniu okularów, nagle musiał się zatrzymać.

Korek. Co za pociecha.

Założył stare okulary, które korygowały mu wzrok, gdy miał dwadzieścia cztery lata, i pozwolił sobie na chwilę zastanowienia. Spodnie były tam gdzie trzeba, choć były to spodnie jego żony Anji, dość ciasne i o wiele za krótkie, kluczyk zaś tkwił w stacyjce. Trzeba się skupić. Miał na to okazję.

Komunikacja. Naczynia połączone. Wszystkie elementy całości łączą się ze sobą.

Nie. Nie, to niemożliwe, żeby te ptaszki z mieszkania w Amsterdamie się *nie komunikowały*.

Przenieśli to tylko na poziom wykraczający poza komunikację elektroniczną. Wiedzieli, że *jeśli* są obserwowani – a nie dowiedzą się o tym, nim nie będzie za późno – odbywa się to elektronicznie. Przez internet, komórki. Zrezygnowali z tego wszystkiego. Ale na pewno istniał jakiś inny sposób komunikacji elektronicznej. Starszy. Coś elektronicznego, ale bez przesyłania siecią. Kiedy mieli się komunikować bezpośrednio, szli do kościoła. Do wielkiego kościoła. Pewnie w tym geście było coś wymownego, ale Arto Söderstedt miał to gdzieś. Bo prawdziwa komunikacja odbywała się w tym mieszkaniu, był o tym całkowicie przekonany. A tym samym istniała tylko jedna możliwość.

Ruch przerzedził się równie gwałtownie, jak się wcześniej zageścił; nigdy nie połąpie się w tym, jak czysto fizycznie działają strumienie ruchu drogowego, zwłaszcza tu, na kontynencie, z tymi ciągłymi i kompletnie nieprzewidywalnymi korkami. Ale znów był w drodze.

Dotarł do nieskończone świeżej głównej siedziby Europolu, zjechał do garażu, znalazł miejsce w labiryncie i zaparkował. Potem rzucił się do windy i ze zdumiewającą prędkością pojechał nią do góry. Winda wypluła go przy akompaniamencie elektronicznego głosu, który silił się, jak mógł, by udawać uwodzicielską kobietę. Arto wprowadził swój kod i niezbadanymi ścieżkami dotarł do pomieszczeń grupy Opcop.

Oczywiście siedzieli zebrani przy elektronicznej tablicy. Na tyle zebrani, na ile było to możliwe teraz, gdy Navarro, Marinescu, Bouhaddi i Balodis byli w Amsterdamie. Podszedł do grupy, spróbował zrobić stanowczą minę i ryknął:

– Obraz!

Wszyscy spojrzeli na niego. Neutralnie. Dopiero wtedy zauważył, że jedno krzesło jest puste. Miejsce szefa.

Wtedy trzasnęły drzwi, które Arto Söderstedt sam przed chwilą zamknął, i zobaczył dwoje nieco zgębnionych bohaterów. Kerstin Holm wydawała się smutna, gdy szła w stronę miejsc krajowych przedstawicieli. A Paul Hjelm dziwnie się garbił.

– Obraz? – spytał Hjelm, kiedy już opadł na krzesło.

– Obraz z mieszkania – powiedział Söderstedt. – Teraz.

– Dlaczego teraz?

– Vlad gra na komputerze zaraz po śniadaniu. To się odbywa teraz.

– Co się odbywa?

– Komunikacja – odparł Arto Söderstedt.

Angelos Sifakis wyświetlił obraz na elektronicznej tablicy. To było to samo, co zwykle. Karczycha siedziały na sofie i czyściły sobie paznokcie – obaj, karczycho numer dwa robiło to rogiem strony z gazetki porno – a Vlad siedział przy biurku i od niechcienia grał w Snooda.

– Zmień obraz – polecił Söderstedt.

Sifakis ślepo go posłuchał.

Na tablicy pojawił się obraz z przekierowanej kamery. Tej wycelowanej prosto w monitor. Durne ludziki ze Snooda wybuchają, działko na dole ekranu wystrzeliwało kolejne ludziki. Było to nieznośnie nudne.

– Przecież już to widzieliśmy – zaprotestowała Donatella Bruno. – Można umrzeć z nudów.

– Z racji wieku domagam się więcej cierpliwości – oświadczył Söderstedt. – Ale też więcej czujności ze strony młodszego pokolenia.

Czas mijał. Sporo czasu. Söderstedt wcale nie był taki pewien, czy młodsze pokolenie jest czujne. Bo sam zdecydowanie nie był czujny. I wtedy Miriam Hershey zawołała:

– Co to było?

– Co? – spytał Paul Hjelm, który wyglądał, jakby zastanawiał się nad zupełnie innymi sprawami. – Miałaś skurcz?

– Coś się stało w ułamku sekundy – powiedziała Hershey.

– Jesteś pewna? – spytał Söderstedt.

– Całkowicie pewna – potwierdziła Hershey. – Ale diabli wiedzą, co to było.

– Mamy nagranie – powiedział Sifakis. – Znajdziemy to.

– Ale co widziałaś? – spytała Donatella Bruno.

– Teraz bądźcie czujni – rzucił Söderstedt.

Znów mijał czas. Sporo czasu. Ale czujność była inna. Naprawdę wyostrzona.

Ekran mrugnął. Tym razem na jakieś pół sekundy. Pojawiły się liczby. Duże liczby.

– Co się tutaj dzieje?! – wybuchnął Marek Kowalewski.

– Mogę zaproponować hipotezę? – spytał Söderstedt.

– Tylko jeśli właśnie tym pozostanie – odparł Hjelm.

– To ze względu na ciebie tak to nazywam. Żebyś był zadowolony, szefie.

– Przestań marudzić – powiedział neutralnie Hjelm.

– Cała najistotniejsza komunikacja odbywa się przez koperty bąbelkowe – powiedział Söderstedt. –

Vlad je skanuje. Nie robi tego tylko po to, by potwierdzić autentyczność, jak wcześniej sądziliśmy, by znaleźć coś, co stanowi dowód, że ten zaszyfrowany list w kopercie jest prawdziwy. Nie, to właśnie wtedy odbywa się komunikacja. Podczas skanowania. To właśnie te informacje przetwarza teraz Vlad, pod Snoodem. Następnym razem przy skanowaniu koperty informacja zostanie przeniesiona na kopertę, a równocześnie zostanie wskanowany kolejny raport.

– Czyli to wczorajsza koperta bąbelkowa? – spytała Hershey.

– Właśnie – potwierdził Söderstedt. – Na kopercie jest elektroniczny pasek, coś takiego jak na karcie kredytowej, tyle tylko że o wiele bardziej zaawansowany. Prawdopodobnie w jakiś sposób potwierdzają autentyczność, ale to jest drugorzędna sprawa. Najważniejsze jest to, że w tym procesie, jak zgaduję, dwukierunkowym, przeniesiona zostaje księgowość. To podczas procesu skanowania dochodzi do

prawdziwej wymiany informacji. Odbierają sprawozdania z Europy i wysyłają dalej sprawozdania do szefów. Poprzez jakiś elektroniczny pasek odbierają i wysyłają liczby. A to właśnie liczb nam brakowało.

– Aha – mruknęła Jutta Beyer. – Czyli jednak *high-tech*.

– *High-tech* bez internetu – potwierdził Söderstedt. – To zapewne pieśń przyszłości, jeśli chce się zachować niektóre rzeczy w tajemnicy. Sieć zawsze wszystko zdradza. Prędzej czy później.

Ekran znów mrugnął. W miejsce Snooda na pół sekundy pojawił się jeszcze bardziej napakowany cyframi dokument.

– Vlad zna ten proces na pamięć – wyjaśnił Söderstedt. – Teraz pod grą wprowadza liczby. Ale czasem musi tam szybko zajrzeć, żeby wprowadzać je we właściwe miejsca.

– Ach – powiedział Angelos Sifakis. – Księgowość. Bystre.

– Dzięki – odparł Söderstedt. Choć nikt na serio nie przypuszczał, żeby Sifakis miał na myśli jego pomysł.

– Nie – zaprotestowała kategorycznie Bruno. – Musicie mi to dokładniej wyjaśnić.

– No to wyjaśnij *hipotezę* – powiedział Hjelm.

– Przychodzi sprawozdanie o dochodach – podjął Söderstedt. – Nie sędzę, żeby przychodziło z każdej jednostki, ani nawet z każdego miasta. Może chodzi o raporty krajowe: na przykład ile nazbierali żebracy w Belgii w ciągu ostatniego miesiąca. Vlad wprowadza to do księgowości. To właśnie teraz wpisuje, po przeczytaniu sprawozdania. Finanse są prowadzone przez ten elektroniczny pasek, reszta spraw organizacyjnych przez listy w kopercie. Inteligentny system.

– I inteligentny gliniarz – pochwaliła Bruno. – Zastanawia mnie tylko jedna rzecz.

– Tak? – spytał łagodnie Arto Söderstedt.

– Gdzie, u diabła, są pieniądze?

– To wciąż pozostaje niejasne – przyznał Söderstedt.

– Jeśli twoja hipoteza jest słuszna, to jak odbywa się składanie sprawozdań wyższej instancji? – spytał Hjelm. – Co się dzieje z tymi elektronicznymi paskami? Czy widzieliśmy, żeby je wyrwali z kopert bąbelkowych? Co się w ogóle dzieje z tymi kopertami?

– Wydaje mi się, że widziałem je w śmieciach, które wynosili... – zauważył Kowalewski.

– W śmieciach z kuchni? – spytała Jutta Beyer.

– Tak, worki ze śmieciami zawsze wynoszą z kuchni.

– Czyli albo elektroniczne paski pozostają na kopertach, gdy te są wyrzucane – stwierdził Arto Söderstedt – i jakiś pomocnik wyjmuje je ze śmieci, albo wyrrywają paski z kopert.

Hjelm odchrząknął i powiedział głośno:

– Czy ktoś widział, żeby któryś z tej trójki wyrwał paski z kopert?

Spojrzenie, którym omiółł biuro, dawno nie było tak entuzjastyczne. I nie doczekał się odpowiedzi. Najwyraźniej nikt tego nie widział.

– No dobra – stwierdziła Jutta Beyer. – Coś już wiemy.

– Wiemy? – spytała Donatella Bruno. – Co takiego?

– Że z paskami elektronicznymi robią to samo, co z listami, które przychodzą w kopertach. W miejscu, którego nie obejmuje kamera.

– Chodzi ci o tę domniemaną skrytkę w podłodze w kuchni? – spytał Kowalewski.

– Tak – potwierdziła Jutta Beyer. – Musimy się do niej dostać. Do tej skrytki w podłodze.

– To by było optymalne rozwiązanie – powiedział Hjelm. – Natychmiast zaangażuję zespół techników, żeby wymyślili, jak odczytać te paski, na wypadek gdybyśmy je zdobyli i musieli je odczytać na miejscu, w kuchni. Z drugiej strony wygląda na to, że to tylko tymczasowe miejsce przechowywania tych pasków. O ile, jak wspominaliśmy, nie są wyrzucane razem z kopertami do śmieci; wtedy będziemy musieli popracować nad amsterdamskimi śmieciarzami. Te paski zawierają przecież raporty finansowe, które są przekazywane gdzieś wyżej. Nie mogą za długo leżeć pod podłogą. Gdy tylko któryś z tej trójki opuszcza mieszkanie, prawdopodobnie zabiera ze sobą paski. Nie zajmują przecież miejsca, można je schować do kieszeni. Zastanawiam się, czy właśnie na tym nie powinniśmy się skupić. Na chwili, kiedy księgowość jest przekazywana gdzieś wyżej.

– Ach – westchnęła Hershey. – „Gdzieś wyżej” widzieliśmy tylko jeden raz.

Zaczęła coś klikać na komputerze i po chwili obraz grającego w Snooda Włada zastąpił mówiący po włosku Ciprian. Był to trochę zamazany, nieruchomy kadr z Domu Anny Frank. Ochroniarz Ciprian i elegancko ubrany Włoch stali przy oknie. Włoch właśnie przed chwilą podał kopertę bąbelkową Ciprianowi. Jego prawa ręka tkwiła w kieszeni.

– O tutaj – powiedziała Hershey i zbliżyła obraz. – Już wcześniej szperał w kieszeni. Pamiętam to. To tutaj dostaje sprawozdanie finansowe z żebrackiej działalności w Europie. W postaci elektronicznych pasków.

– Całkiem możliwe – stwierdził Arto Söderstedt.

– Ale gdzie są pieniądze? – nie dawała za wygraną Donatella Bruno.

Bruksela, 5 lipca

W WIEKU DWUDZIESTU SZEŚCIU LAT Amandine Mercier była jednym z najmłodszych pracowników wysokiego szczebla w budynku Berlaymont i bynajmniej nie zdecydował o tym przypadek. Żyła dla swojej pracy, inwestowała całą swoją ogromną energię w Unię Europejską. I naprawdę w to wierzyła. Gdy tylko porządnie zrozumie zasady wielkiej polityki, które wciąż były dla niej w pewnym stopniu niejasne, będzie się piąć wyżej. Bycie rzeczniczką Marianne Barrière stanowiło jedynie krok na drodze do absolutnych elit.

I może to właśnie sprawiło, że nie wcisnęła przycisku.

Zdarzyło się to już kilka razy wcześniej – taką perfekcjonistkę jak Amandine Mercier bardzo irytowało, że Marianne Barrière nie potrafi w odpowiednim momencie wyłączyć interkomu. Innymi słowy, gdy zdarzało się to wcześniej, natychmiast go wyłączała. Ale tym razem coś ją powstrzymało, i być może wynikało to z faktu, że zaczynała przynajmniej w ogólnych zarysach pojmować reguły gry w wielkiej polityce.

A może powodem był głos Marianne. Brzmiał zupełnie inaczej, gdy przez interkom powiedziała:

– Pamplemousse?

Wypielęgnowany i szczupły jak u pianistki palec wskazujący Amandine Mercier zawisł nad przyciskiem. Grejpfрут? Cóż to za dziwny początek rozmowy ze spin doktorem?

Laurent Gatien znów był u Marianne. Ciągłe ten spin doktor. Amandine bynajmniej nie odczuwała zazdrości o tego cieszącego się uznaniem profesjonalistę, który w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zastąpił ją jako najbliższy zaufany człowiek Marianne. Nie, to nie była zazdrość; raczej niesmak.

Gdzieś z głębi interkomu rozległ się głos Gatiena:

– Tak, spotkałem się z Pamplemousse'em i z Minou. Obaj wydają się czyści. Czyli pozostaje Natz.

– Odepść sobie Natza – odezwał się głos Marianne Barrière. – To nie on. I „wydają się czyści” nie wystarczy. Prosiłabym cię o więcej staranności.

– Minou, to znaczy doktor Michel Cocheteux, dyrektor naczelny dużej firmy Entier SA, zaprzeczył, jakoby cokolwiek wiedział o twoich młodzieńczych orgiach seksualnych...

Amandine Mercier wzdrygnęła się przy biurku w małym przedpokoju, który był centrum jej życia. Nastawiła uszu.

– Naprawdę miło słyszeć, jak rozpuszczasz plotki, Laurent – powiedziała Marianne Barrière. – Mów lepiej dalej.

– Krótko mówiąc, wydawał się co najmniej równie zaniepokojony jak ty, że błędy z jego przeszłości mogą wyjść na jaw.

– Coś jeszcze?

– Pamiętał jak przez mgłę, że ktoś fotografował niektóre z waszych sesji. Kiedy się porządnie zastanowił, doszedł do wniosku, że tym fotografem musiał być Pamplémousse, Pierre-Hugues Prévost, do którego się następnie udałem. Ale on nic z tego nie rozumiał. Zapewniam cię, jeśli kiedykolwiek widziałem twarz człowieka, który nie wie, o co chodzi, była to właśnie jego twarz.

W ciszy, jaka zapadła, Amandine Mercier zaczęło się wydawać, że widzi jakieś istoty. Dookoła skakały małe diabełki, tworząc złowróżbne wzory. Miała kilka lat, by poznać Marianne Barrière.

– Rozumiem – powiedziała w końcu Marianne.

– Chcesz się sama z nim skontaktować? Mam tutaj numer. Zapiszesz sobie na komórce?

Potem wyrzucił z siebie serię cyfr, które Amandine szybko zapisała na karteczce.

– Muszę cię o coś zapytać – ciągnął Laurent Gatien. – Naprawdę zrobiłaś to, o czym wspominałaś?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– O skontaktowaniu się... no wiesz... z policją.

Znowu cisza. Jak taniec. *Danse macabre*.

– Laurent, pytasz mnie, czy skontaktowałam się z policją?

– Tak. Uważam, że to byłby błąd.

– I myślisz, że co powinniśmy zrobić?

– Mam to rozumieć jako „nie”?

– W każdym razie nie mogę pozwolić, żebyś dalej biegał jak jakiś policjant klasy B. „Zapewniam cię, jeśli kiedykolwiek widziałem twarz człowieka, który nie wie, o co chodzi, była to właśnie jego twarz”. Naprawdę kiepska policyjna robota, Laurent.

– Czyli wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

– To Pamplémousse puścił w obieg te zdjęcia. Przekazał je jednemu z tobie podobnych, który teraz ponoć pomaga Złotemu Świtowi w Atenach.

– Co takiego? Niech to szlag! Jednemu z *mnie podobnych*?

– Innymi słowy, zostaw to. Ja się tym zajmę. A teraz odpowiedz, co według ciebie powinniśmy zrobić?

Znów zapadła cisza. Taniec małych diabełków. W końcu spin doktor odzyskał mowę, jego głos był spokojny. Spróbował znów przejąć inicjatywę:

– Jeśli nie chcesz się kontaktować z Natzem, to naprawdę nie wiem, co teraz zrobimy.

– Nie masz w zanadru żadnych alternatywnych rozwiązań? To ponoć twoja specjalność?

– Dopóki nie dowiesz się czegoś nowego, musimy to traktować jako dobry znak. Może zrobił to po prostu po pijanemu. Zastanawiam się, czy możemy zrobić cokolwiek prócz przygotowania dużej kampanii obronnej. Na wypadek gdyby to eksplodowało.

– Zajmujesz się tym?

– Trwają przygotowania.



– Dobrze. Jak wygląda plan?

– Całkowicie się tego wyprzemy. Pracujemy nad tym zdjęciem, by móc *udowodnić*, że zostało zmanipulowane w Photoshopie. Szykujemy całą strategię, żeby wykazać fałszerstwo. I wyraźnie dać do zrozumienia, że takie drobnostki nieustannie spotykają ludzi na wysokich stanowiskach. Wyprzemy się wszystkiego i wszystko zbagatelizujemy.

– W porządku. Mogę żyć z taką strategią.

Amandine Mercier wyraźnie usłyszała, że Laurent Gatien wstaje.

– I proszę cię – powiedział. – Daj już sobie spokój z policją. Albo z prywatnymi detektywami. Czy przed kim tam się obnażyłaś.

Drzwi się otworzyły i Gatien wyszedł, nie poświęcając Amandine Mercier ani jednego spojrzenia. Gdy zniknął, sięgnęła do interkomu i wcisnęła guzik.

Przez chwilę siedziała w swoim małym, ciemnym przedpokoju, tuż przy wielkim gabinecie komisarza. Potem sięgnęła po długopis i podwójną grubą linią podkreśliła cyfry.

Ateny, 5 lipca

PRZYDAŁOBY MU SIĘ siedem godzin podróży promem, żeby porządnie się wczytać w materiały ze sprawy, ale nie było na to czasu. Zamiast tego udał się na Omiros, bo tak nazywało się lotnisko na Chios. Omiros, chluba wyspy, bardziej znany jako Homer, niewidomy bard, za sprawą którego narodziła się literatura europejska.

Lot do Aten zajął trzy kwadranse. Z wczytywania się nic nie wyszło, za to porządnie przyjrzał się twarzy, a dokładniej twarzy Fabiena Fazekasa.

W sieci było kilkanaście zdjęć tego francuskiego spin doktora kojarzonego z prawicą. Wywodził się z kręgów skupionych wokół prezydenta Sarkozy'ego i francuskiej partii konserwatywnej UMP, wynajęto go, żeby „rozpracować kwestie rasowe i ukraść głosy Le Pen”, czyli rasistowskiej francuskiej partii Front Narodowy. Następnie poszerzył działalność na resztę Europy. Teraz ponoć pracował nad tym, by wprowadzić faszystowski Złoty Świt, *Chrisi Awgi*, do greckiego parlamentu.

W czasie gdy Sarkozy'ego ostro krytykowano za to, jak potraktował francuskich Romów – gdy UMP nielegalnie wydalila z kraju tysiące obywateli Unii Europejskiej – Fabien Fazekas najwyraźniej otrzymał zadanie, by znaleźć słabe punkty najgłośniejszej z krytyków prezydenta, komisarz Unii Europejskiej ds. środowiska Marianne Barrière. Fazekas znalazł te słabe punkty przez jej kochanka z czasów młodości, Pierre'a-Huguesa Prévosta alias Pamplémousse'a, ale krytyka Sarkozy'ego nigdy nie stała się groźna, bo właściwie nikt się nie przejmował europejskimi Romami. Kluczowe zdjęcia zachowano do późniejszego użytku.

I teraz przyszła na to pora.

Jeśli teoria Paula Hjelmą się zgadzała, Fazekas wysłał do Barrière z Aten MMS-a z jednym ze zdjęć. Trzeba ją było uciszyć, bo przygotowywała projekt ustawy, która w ten czy inny sposób zagrażała kręgom Fazekasa. Hjelm nie chciał zdradzić nic więcej, Nyberg zaś nie potrzebował tych informacji.

Paul Hjelm i Gunnar Nyberg razem znaleźli trochę dokumentów potwierdzających, że Fabien Fazekas faktycznie przebywa w Atenach. Do adresu oczywiście nie dało się dogrzebać, ale wszystko wskazywało na to, że prawie codziennie pracował w głównej siedzibie Złotego Świtu – wartkim strumieniem płynęły stamtąd komunikaty dla prasy noszące jego podpis. Coś podpowiadało Gunnarowi Nybergowi, że to będzie polegało na cierpliwości, że będzie to ni mniej, ni więcej, tylko klasyczna obserwacja. Prawdopodobnie po to, żeby przyłapać Fazekasa samego w domu.

To, że zdjęcie istniało w postaci MMS-a, oznaczało najprawdopodobniej, że w formie elektronicznej istniało również w innych miejscach prócz komórki Marianne Barrière. Ale jeśli szantaż miał być skuteczny, zdjęcie do tej pory nie mogło zostać ujawnione. Natomiast pozostawało niejasne, ile kopii

posiadał sam Fabien Fazekas i ile przekopiowano dalej w kręgu jego najbliższych współpracowników. A były trzy zdjęcia.

To była pierwsza poważna konfrontacja Gunnara Nyberga z nieprzeniknionym cyfrowym światem.

Dopóki jednak zdjęcia nie było w internecie, dało się opanować sytuację. Z drugiej strony zdał sobie sprawę, jak bliskie przedostania się do sieci jest zawsze cyfrowe zdjęcie. Zaledwie o jedno kliknięcie od czegoś nieodwracalnego.

Skupił się na innych zdjęciach przedstawiających Fabiena Fazekasa. Przystojny mężczyzna. Szczupły w typowy dla Francuzów sposób, nienagannie ubrany, często nosił golfy, w jego ogólnej prezencji było coś szlachetnego. Przypominał trochę dawnych nazistów, którzy po wojnie chętnie utrzymywali dystyngowany styl. Spacerzy z psem na wsi, polowania, golfy, sport i zdrowy tryb życia. Żeby ukryć oceany krwi, setki zbrodni. Również przed samym sobą.

Może to było niesprawiedliwe.

Nie, nie było. Całą tę zabawę w spin doktora Złotego Świtu ewentualnie można było zrzucić na karb trochę wykrzywionej kariery zawodowej – Gunnar Nyberg od dawna nie był w Atenach, nie wiedział dokładnie, jak wygląda sytuacja – ale szantażowanie wysoko postawionej kobiety za głupie błędy popełnione w młodości było już zbyt niskie.

No dobra, może był trochę staromodny.

Samolot wylądował. Wsiadł. Upał był przytłaczający. Ubrał się najlżej, jak mógł, nic nie szkodzi, że wyglądał jak turysta, byle tylko się za bardzo nie wyróżniać. Miał luźne ubranie, by jego odbudowana masa mięśniowa nie przykuwała uwagi. Na lotnisku wypożyczył samochód i miał nadzieję, że kryzys zniechęcił trochę Ateńczyków do używania pojazdów. Zdarzyło mu się już prowadzić w Atenach i wiedział, że to nie przelewki.

Pierwszą rzeczą, jaka go uderzyła w dobrze klimatyzowanym i wyposażonym w GPS samochodzie – to były przecież unijne pieniądze – był brak ludzi. W Grecji zawsze były tłumy. To się jakby nie zgadzało. Wyraźnie dało się zauważyć, że nie ma tylu ludzi na ulicach i na miejscu przeznaczonym dla wszystkich, klasycznej greckiej agorze. Im bardziej zbliżał się do centrum Aten, tym wyraźniej widział, że kolebka Europy nie jest taka jak dotąd. Co drugi lokal sklepowy stał pusty i wyglądał na opróżniony w wielkim pośpiechu, a gdy Gunnar Nyberg dotarł do centrum, zaczął zauważać ciężko uzbrojonych policjantów na zdumiewająco zaśmieconych ulicach.

Prastara świątynia Partenon spoglądała na miasto ze wzgórza Akropolu i Nybergowi zdawało się, że w tym spojrzeniu jest jakiś smutek.

Po drodze do Plaki, starówki, zobaczył grupę młodych mężczyzn w czarnych T-shirtach. Przeszli przed jego samochodem na czerwonym świetle, wrzeszczeli, wymachiwali kijami baseballowymi. Odczytał tekst na plecach ich koszulek, czcionka miała naśladować głos klasycznej Grecji: Χρυσή Αυγή. Po raz pierwszy zobaczył z bliska motłoch ze Złotego Świtu. I na pewno nie po raz ostatni.

Słyszał o nich. Gdy tylko popełniono jakieś przestępstwo i choć cień podejrzeń padał na

„cudzoziemców”, poszkodowany rdzenny Grek wolał dzwonić do Złotego Świtu niż na policję. Nie żeby była między nimi jakaś istotna różnica – niedawno wyszły na jaw bliskie związki policji z nazistami – ale było jasne, że samozwańcza straż obywatelska w czarnych koszulkach i z kijami baseballowymi pod ręką stała się czymś w rodzaju równoległych sił porządkowych.

Gdy jeden z mężczyzn rzucił się na maskę i wykonał kilka uniwersalnych gestów, Nybergowi mignęła koszulka od przodu. Widniał na niej wyraźnie przypominający swastykę symbol Złotego Świtu. A potem motłoch potoczył się dalej w stronę Plaki. Młody mężczyzna zsunął się z wypożyczonego samochodu i niespokojnie pobiegł za swoimi; bez nich był nikim. Nyberg postanowił pojechać za nimi. Miał ponad godzinę do lunchu, kiedy to Fabien Fazekas *być może* opuści główną siedzibę (*jeśli* tam się znajdował). Zaparkował trochę niedbale i dogonił grupę w miejscu, gdzie wąska uliczka rozszerzała się, tworząc niewielki plac.

Słońce prażyło bezlitośnie; musiało być jakieś trzydzieści pięć stopni w cieniu. Mimo to grupa mężczyzn w czarnych T-shirtach stała pod parasolem przy czymś, co wyglądało jak garkuchnia. W pierwszej chwili poczuł się trochę zagubiony, potem zrozumiał. To była jedna z usług Złotego Świtu dla społeczeństwa; zdobywali głosy, udając, że zajmują się Grekami podczas kryzysu. Garkuchnia dla rodowitych Greków, pośrednictwo pracy poprzez zastraszanie pracodawców, którzy zatrudniali cudzoziemców, siły porządkowe szykanujące i bijące obcych.

To było jak przerażające spojrzenie na przyszłość Europy.

Wszędzie te antydemokratyczne siły, które wykorzystywały demokrację, żeby móc ją znieść.

Gunnar Nyberg wrócił do samochodu i pojechał dalej, w stronę dworca głównego; ruch rzeczywiście był znacznie mniejszy niż zwykle. Namierzył siedzibę Złotego Świtu i zerknął na zegarek. Już niedługo klasyczna grecka pora lunchu. Oczywiście to nie było nic pewnego. Nikt nie powiedział, że Fabien Kazekas wyjdzie na lunch. Równie dobrze mógł zjeść, siedząc przy komputerze, albo jak to bywa z pracoholikami, zupełnie zrezygnować z lunchu. I gdy Gunnar Nyberg pogrążył się w tych wątpliwościach, Fazekas wyszedł na ulicę.

Niestety, nie sam.

Oddalał się od dworca głównego w stronę centrum w towarzystwie potężnie zbudowanego młodszego mężczyzny w eleganckim garniturze. Uliczki stały się węższe i bardziej strome, w obrazie miasta coraz bardziej dominowały dzielnice mieszkalne. Nyberg jechał powoli, od czasu do czasu wjeżdżając na wolne miejsce parkingowe – wcześniej w Atenach to była sprzeczność sama w sobie – i wszystko wskazywało na to, że udało mu się pozostać niezauważonym; Fazekas i kulturysta w garniturze widzieli tylko siebie nawzajem. W miarę jak cienkie bawełniane ubranie Nyberga coraz bardziej nasiąkało potem, rosła w nim nadzieja. Może ta para naprawdę szła do domu. Tylko czyjego?

W końcu weszli na klatkę schodową. Przez powoli zamykające się drzwi Nyberg dostrzegł, że wchodzi po schodach. Wskoczył z samochodu, udało mu się złapać drzwi, nim zdążyły się domknąć. Nasłuchiwał. Przez chwilę słyszał kroki, doliczył się trzeciego piętra. Jakies drzwi na górze otworzyły

się, a potem zamknęły. Nyberg rzucił okiem na podniszczoną listę nazwisk na klatce schodowej – same greckie nazwiska, absolutnie żadnych francusko-węgierskich. Wydawało się bardziej prawdopodobne, że to mieszkanie kulturysty, a nie Fazekasa. Pięć nazwisk na trzecim piętrze. Trochę za dużo. Trzeba było to zawęzić.

Gdyby Fazekas był sam, ta chwila byłaby podarunkiem bogów. Spotkanie oko w oko. Ale teraz się nie dało.

Najciszej, jak potrafił, Nyberg wspiął się na górę dziwnie ciasną klatką schodową. Zatrzymał się na trzecim piętrze. Stał bez ruchu. Nasłuchiwał. Nic. Nie sposób było dojść do tego, za którymi z pięciorga drzwi znajduje się ta para. To było irytujące.

Na chwilę zawiodły go policyjne instynkty. To, żeby rosły Szwed stał sobie w Atenach na klatce schodowej, nie było dobrym pomysłem. Ale inaczej nigdy się nie dowie, które z tych pięciu mieszkań ewentualnie jest tymczasowym gniazdkiem Fabiena Fazekasa. Kiedyś rozwiązałby ten dylemat w mgnieniu oka. A teraz bezradnie czekał.

Ale tylko przez chwilę. Potem miał szczęście. Za jednymi z drzwi, tymi z tabliczką „Karagounis”, rozległ się jakiś hałas, jakby garnek spadł na podłogę w kuchni. Albo coś w tym stylu. To niekoniecznie musiało oznaczać, że znajdował się tam Fazekas. Ale prawdopodobieństwo wzrosło. Wzrosło wystarczająco.

Piętro wyżej otworzyły się jakieś drzwi. Nyberg się ulotnił, nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś go zobaczył. Wsiadł do samochodu. Wóz był rozgrzany. Uruchomił na chwilę silnik, pozwolił, by klimatyzacja wymieniła powietrze, zgasił go. Czekał. Nie miał odwagi kolejny raz włączyć silnika. To by niepotrzebnie zwracało uwagę. Szybko robiło się coraz goręcej, po jego ciele spływał pot. Powinien był zabrać ze sobą butelkę wody. Albo kilka. Gdy starszy i młodszy mężczyzna wyszli z klatki schodowej, poczuł nawet lekkie zawroty głowy. Szli obok siebie ulicą i na chwilę ich dłonie lekko się zetknęły.

Tylko tyle. Krótki, zakazany gest, którego nikt nie mógł widzieć, gdyby skrupulatnie nie przyglądał im się niezależny, działający na własną rękę obserwator, który miał do tego dość przytomności umysłu, by sfilmować to kamerą w swojej komórce.

Odczekał, aż znikną za rogiem, a potem ruszył. Trzy piętra pod górę. Chęć, żeby rozwalić drzwi z tabliczką „Karagounis”. Ale to było dawno temu. Zamiast tego powściągliwość. Wyjął pęk niemal zardzewiałych wytrychów. Trwało to trochę za długo. W ciągu tych trzech minut majstrowania przy zamku mogli się zjawić sąsiedzi. Ale tak się nie stało.

Był w środku. Schludnie posprzątane mieszkanie. Z wyjątkiem sypialni. To nie garnek spadł w kuchni, tylko wazon w sypialni. Był rozbity. Łóżko w totalnym nieładzie, porozrywane prześcieradła. Paski z prześcieradeł przywiązane do szczytu łóżka, ślady krwi, inne ślady. Wyjąć komórkę. Trochę pofilmować. Nyberg uniósł ostrożnie kołdrę, która do połowy zsunęła się na podłogę. Róg był mokry od wody z wazonu. Pod nią coś leżało. Upłynęła chwila, nim dotarło do niego, co to takiego. Wielkie czarne dildo. Sfilmował je.

Wyszedł z sypialni. Miejsce katastrofy. Lekkie uczucie wstrętu. Minęło zbyt dużo czasu, odkąd ostatnio coś takiego robił. Zbierał ślady. Grzebał się w brudzie. *Digging in the dirt.*

Żadnego komputera. Żadnych papierów. Wciąż nie wiadomo, czyje to mieszkanie. Stał pośrodku salonu w małym, dwuosobowym mieszkanku, szukając wzrokiem potencjalnej kryjówki na trzy fotografie. Był ich tu legion.

Niechętnie wrócił do sypialni.

Stała tam szafa. Mnóstwo zakamarków. Nyberg zajrzał do niej i znów poczuł przypływ nadziei, bo wiszące tam garnitury były raczej rozmiaru Fazekasa niż kulturysty. Obmacywał szpary, znalazł szczeliny w drewnianym panelu, wydawało mu się, że coś widzi, głęboko w długiej na pół metra, stosunkowo szerokiej szparze.

Wtedy otworzyły się drzwi wejściowe.

Gunnar Nyberg nawet się nie zastanawiał, policyjne instynkty wzięły górę. Rzucił się pod łóżko. Dość głośno walnął kolanem o walizkę. Przez chwilę był pewien, że się zdradził. Kilka mrozących krew w żyłach sekund. Potem usłyszał rozmowę w przedpokoju. Była intensywna. Na tyle intensywna i afektowana, by stłumić odgłosy wielkiego mężczyzny, który wczołguje się pod łóżko.

Była to rozmowa prowadzona łamanym angielskim.

– Ale jak to? *Teraz?*

– Tak, właśnie teraz.

– Ale jesteśmy w samym środku przygotowań... Strategie medialne... i w ogóle.

– Nic się nie zmienia. Zajmę się tym na odległość. To nie problem.

– Czyli Jobbik. Rozumiem.

– Nie rozumiesz. Ale w porządku. Możesz zadzwonić po taksówkę?

Cisza. I nagle ręka intensywnie obmacująca podłogę pod łóżkiem. Nyberg leżał i ją obserwował. Szukała w niewłaściwym miejscu. Miał ochotę podsunąć tam walizkę, która była jakieś pół metra dalej. Ale się powstrzymał. Podkulił nogi. Czekał. W końcu ręka znalazła to, czego szukała. Pociągnęła za walizkę. Potem dźwięki pospiesznie pakowanych na łóżku rzeczy.

– Ale wiesz, o co mi chodzi... Co z nami?

– Z nami? No tak. Tutaj też nic się nie zmienia.

– Ale jak możesz...

– To chwilowe. Zajmą się mną, ochronią przed jakimś zagrożeniem. Nie wiem jakim. Niedługo wrócę. Zadzwoniłeś po taksówkę? Ile czasu zajmie dojazd na lotnisko?

Cisza. Ruch. Rozmowa po grecku, pospieszna, podekscytowany głos. Potem ten młodszy powiedział:

– Będzie za dziesięć minut. Dojazd na lotnisko zajmie jakieś czterdzieści pięć minut. Masz bilet?

– Dostanę go mailem.

Gunnar Nyberg leżał pod łóżkiem i myślał. Intensywnie myślał. Może to była ostatnia szansa? Może teraz Fabien Fazekas na dobre zapadnie się pod ziemię, najwyraźniej na Węgrzech. Jobbik. Może właśnie

teraz powinien wytoczyć się spod łóżka, jednym celnym ciosem powalić kulturystę i dobrać się do Fazekasa. Może za pomocą dilda?

Ale istniało oczywiste ryzyko niepowodzenia. Kulturysta był młody i wytrenowany. Nyberg potrafił rozpoznać mięśnie hodowane na sterydach z odległości stu metrów, a te tutaj były znacznie bliżej. Gdyby tylko miał broń...

Nie, mimo tego, co podpowiadał mu instynkt, musiał czekać. Może na lotnisku nadarzy się jakaś okazja. Inaczej będzie musiał polecieć z nim do Budapesztu. Agresywna, rasistowska partia Jobbik miała ochronić Fazekasa przed „jakimś zagrożeniem, nie wie jakim”. Nyberg zrozumiał trzy rzeczy: że Jobbik pomoże Fazekasowi zapaść się pod ziemię w Budapeszcie. Że wspomnianym zagrożeniem był po prostu on sam. I że gdzieś był przeciek.

Paul Hjelm zapewniał go, że tylko i wyłącznie on, Laima Balodis i Marianne Barrière wiedzą, jaką rolę Fazekas odgrywa w tym szantażu oraz że przebywa teraz w Grecji. Któreś z nich było źródłem przecieku i na pewno nie był to Paul Hjelm. Ani nie Balodis, która najwyraźniej zaliczała się do jego zaufanych ludzi.

Usłyszał, że Fazekas grzebie w szafie, wrzuca ostatnie rzeczy do walizki i wychodzi. Kulturysta poczłapał za nim. Drzwi się zamknęły.

Nyberg odczekał minutę. To była niesłychanie długa minuta. Potem wypełznął spod łóżka. Wiedział, jak trafić na lotnisko imienia Elefteriosa Wenizelosa, ale do diabła, o wiele łatwiej byłoby mieć przez całą drogę kontakt wzrokowy. Śledzić taksówkę. *Wtedy* to było za dziesięć minut. Za ile *teraz*? Pięć?

W każdym razie pozwolił sobie na to, by zajrzeć do szafy. Prześledził szczelinę w ścianie do samego dołu. Była pusta.

Cokolwiek było tam wcześniej, zniknęło.

Wszystko wskazywało na to, że były to zdjęcia.

Gunnar Nyberg je przegapił. Wypuścił z rąk Fazekasa i przegapił zdjęcia. Jedno i drugie było w zasięgu ręki. A on z tego nie skorzystał.

Chyba dawny instynkt go zawodził. Pozostało tylko próbować dalej. Zrobić co trzeba. Dojść do siebie.

Przez małą szybkę w drzwiach klatki schodowej zobaczył, że Fazekas stoi sam na ulicy. Kulturysta zniknął bez śladu. Nyberg czekał. Samochód stał po drugiej stronie ulicy, będzie mógł szybko do niego podbiec. Niech tylko przyjedzie ta taksówka.

Poczucie porażki na klatce schodowej. Miał wszystko przed nosem, wystarczyło tylko wyciągnąć rękę i to zgarnąć. Oczywiście, że mógł przyłożyć temu kulturystę. Oczywiście, że mógł nastraszyć Fazekasa i zabrać zdjęcia. I oczywiście, że *teraz też* mógł to zrobić. Kto w Atenach by dziś zareagował, gdyby wciągnął go na klatkę schodową, a potem do mieszkania, z walizką i w ogóle? Niewielu.

Chwycił klamkę dokładnie w chwili, gdy nadjechała taksówka. Fazekas wszedł do niej, zanim nadarzyła się okazja. Samochód odjechał.

Zawsze za późno. Zawsze trochę za późno.

Biegając do samochodu po drugiej stronie ulicy, stwierdził, że wyszedł z wprawy. Odzwyczaił się od policyjnego życia.

Gunnar Nyberg stał się pisarzem. Zbyt powolnym. Bez wyczucia czasu. Nabrał ogłady, z niczym się nie spieszył, stał się trochę rozlazły.

Wszystkie taksówki w Atenach wyglądały tak samo. Żółte. Takie same lampy na dachu. Wydawało mu się, że ją dogonił, gdy zbliżali się do centrum, ale nie był do końca pewny, czy to ten żółty samochód. Poza tym w najbliższej okolicy zaczęło się robić trochę niespokojnie. Po chodnikach biegli ludzie. Z zewnątrz dobiegały jakieś dźwięki, nie wiadomo do końca jakie, coś w rodzaju odległego pomruku. Coraz więcej pojedynczych krzyków. Coraz większy ruch wokół samochodu, ludzie wybiegający na ulicę, odgłos rozdieranej koszulki, flagi, chorągwie. Po chwili różne ciężkie przedmioty – przede wszystkim wszelkich rozmiarów kamienie – a na placu Sindagma przed parlamentem nie tylko kamienie, lecz także roztrzaskane marmurowe schody luksusowego hotelu, na który stać było wyłącznie cudzoziemców.

Na placu Sindagma toczyła się regularna wojna. Pod budynkiem parlamentu – gdzie nie maszerowali już jak ptaki po plaży symbolicznie ubrani strażnicy – stał cały szwadron ciężko uzbrojonych policjantów z oddziałów prewencji, z maskami gazowymi. Po drugiej stronie gęstej mgły gazu łzawiącego stała Grecja. Wrażenie było niemal takie, jakby na ulicy Stadiou na zachodnim końcu placu ustawiła się celowo zebrana reprezentatywna grupa ludności. Byli tu klasyczni lewicowi chuligani z nagimi torsami, którzy rzucali w stronę policjantów potłuczonymi kawałkami marmuru, ale były też groźące laskami staruszki i grupka intelektualistów z aktówkami w rękach. To był gniew ludu na nieustannie pogarszające się warunki życia, na korupcję, na Unię Europejską, na całe lata ekonomicznych kłamstw wymyślanych przez reżim z pomocą banków inwestycyjnych, takich jak Goldman Sachs na Wall Street w Stanach Zjednoczonych. Kreatywna księgowość w końcu stała się trochę *zbyt* kreatywna i eksplodowałaby reżimowi prosto w twarz, gdyby ten nie przekierował wybuchu w stronę zwykłych ludzi.

Na obrzeżach, pomiędzy walczącymi, Gunnar Nyberg zobaczył dwie grupy mężczyzn w czarnych T-shirtach. Hołota ze Złotego Świtu czekała na swoją kolej. Mogli wiele zyskać na takich starciach.

Czekali na właściwą chwilę.

Taksówce – to chyba była ta? – udało się gwałtownie zawrócić, zanim pochłonął ją chaos, i szybko odjechała w przeciwną stronę. Nyberg poczuł, jak tłum przysysa się do jego samochodu i zaczyna nim kołysać. Ludzie w niepokojącym tempie zbierali się wokół wozu i gdy w lusterku wstecznym dostrzegł chwilową lukę, skorzystał z okazji. Przynajmniej raz. Wycofał się z tłumu, szybko skręcił w następną przecnicę i z piskiem opon zawrócił.

Dogonił taksówkę, gdy wjeżdżała na wysokie wzgórze Likavitos, które jak krewny z prowincji rzucało zazdrosne spojrzenia w stronę Akropolu. Potem było już stosunkowo łatwo jechać za taksówką krętą drogą prowadzącą na lotnisko. Jadąc, zadzwonił do Hjelma i opisał przebieg wydarzeń, nie podkreślając



własnych niedociągnięć, oraz zadał nieco lakoniczne pytanie:

– Następny lot z Aten do Budapesztu?

Usłyszał, że Hjelm klika w tle, przerykając ewentualną krytykę. Odpowiedział:

– Za piętnaście trzecia masz bezpośrednie połączenie. Aegean Air, cokolwiek to jest.

– Możesz mi zarezerwować bilet?

– Jasne – odparł Hjelm. – Zakładam, że odbierasz maile na tej twojej greckiej komórce?

– Robię dużo rzeczy moją grecką komórką. Jeszcze do tego wrócę.

– Załatwię bilet, ale mógłbyś spróbować go zgarnąć na lotnisku. Myślisz, że zgłosi bagaż do odprawy?

– Nie sądzę. To mała walizka. Weźmie ją do kabiny. Mam godzinę do odlotu. Może wizyta w toalecie, która wryje mu się w pamięć do końca życia?

– Spróbuj – powiedział Hjelm. – Ale nie ryzykuj. Jeśli się do niego dobierzesz, będziesz miał tylko jedną szansę. Musisz mieć pewność. Jak nastroje w Atenach?

– Źle – odparł Nyberg. – To był kiedyś szczęśliwy naród.

– I znów taki będzie. Zobaczmy, co będzie z Węgrami. Bądź ostrożny, Gunnar.

– Jeszcze tylko jedno – powiedział Nyberg. – Był przeciek.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Fazekas ucieka. Zwiewa od Złotego Świtu do partii Jobbik i robi to dlatego, że ktoś go ostrzegł. Bardzo niedawno. Ktoś wie, że ktoś taki jak ja na niego poluje. Dostał ostrzeżenie jakieś czterdzieści pięć minut temu, mailem. I od razu się zmył.

W słuchawce zapadła dziwna cisza. Gunnar Nyberg już zaczął myśleć, że połączenie zostało przerwane, ale wtedy Paul Hjelm powiedział:

– Sprawdzę to.

Potem połączenie naprawdę zostało przerwane. Gdy Nyberg wjechał na teren lotniska, zastanawiał się, ile czasu minęło, odkąd tu ostatnio był. Dochodziła druga, wylądował mniej więcej o wpół do dziesiątej. Tym razem pobyt w Atenach był krótki. A mimo to wydawało mu się, że absurdalnie dużo widział.

Fabien Fazekas wysiadł z taksówki przy wejściu. Gunnar Nyberg zaparkował niechlujnie na parkingu krótkoterminowym i pobiegł za nim. Przystanął w sali odlotów. Fazekas zniknął bez śladu.

Aż do chwili gdy Nyberg znalazł właściwy punkt odprawy. Kawalek dalej w kolejce dostrzegł Fazekasa. Nyberg zdążył się ustawić na samym końcu kolejki, ale potem dotarło do niego, że Fazekas z kimś rozmawia. Przez chwilę myślał, że przez telefon, ale zaraz zdał sobie sprawę, że ten dzentelmen francusko-węgierskiego pochodzenia rozmawia z obecną tu osobą. Po węgiersku.

Dokładnie wtedy Fazekas dotarł do punktu odprawy i położył swoją walizkę na taśmie bagażowej. Gdy wtaczała się do środka, Gunnar Nyberg z całych sił próbował nie rzucić się w oczy. Było to dość trudne. Ale akurat w tej chwili konieczne, bo gdy Fazekas wyszedł z kolejki, było wyraźnie widać, że

jego rozmówca jest kimś mu znanym; był to łysy, starszy mężczyzna. Śmiali się i rozmawiali gardłowym, zupełnie niezrozumiałym językiem, odchodząc powoli w stronę kontroli bezpieczeństwa. Nyberg czekał i oceniał sytuację. Nie było dobrze. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zdjęcia przeszły przez odprawę z bagażem Fazekasa, i szansa na to, że Nyberg dobierze się do fotografii, które pewnie były już w samolocie, wydawała się minimalna.

Wszystko było minimalne.

Z barków Gunnara Nyberga spadł ciężar. W każdym razie na kilka godzin. Potrzebował tego wytchnienia.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ciężar będzie się wydawał dwukrotnie cięższy, kiedy znów go podniesie, ale chwilowo zniknął.

Przede wszystkim musi się zająć źle zaparkowanym samochodem z wypożyczalni. A potem, niech to diabli, napije się piwa.

*Budapest, here I come.*

Sztokholm, 5 lipca

KOMISARZ POLICJI KRYMINALNEJ Benno Lidberg spoglądał na swoich gości z *bezgranicznym* poczuciem wyższości. Siedzieli w jego pokoju na komisariacie na Kungsholmen w Sztokholmie, a on miał w ręku wszystkie atuty. Nie było nic do stracenia.

– Do diabła, macie całkowity wgląd w śledztwo – powiedział. – Właściwie możecie je śledzić na żywo. Nie macie żadnych powodów do narzekania.

– Nie narzekamy.

– A jednak tu jesteście?

– Interesuje nas to, czego nie można znaleźć w materiałach ze śledztwa. Przeczucie. Instynkt.

– Niewiele kobiet jest w to zamieszanych.

Wiedział, że para siedząca po drugiej stronie biurka to tak zwana *para małżeńska*, choć nazwiska tego nie zdradzały. Dlatego świetnie się bawił, mówiąc takie rzeczy. Łamiąc normy poprawności politycznej.

– Nie tylko kobiety mają przeczucia i instynkt – powiedział mężczyzna.

– Ale my opieramy się na faktach – odparł Benno Lidberg. – Całą resztą zajmują się astrologi.

– Astrologi ze sztokholmskiej policji? – spytała kobieta.

Benno Lidberg miał niemal wrażenie, że ta para zamieniła się rolami.

– Wciąż nie wiem, czego chcecie – powiedział.

– Rozumiem – odparł mężczyzna. – Czyli dowiedzieliście się, co się stało z komórką profesora Nielsa Sørensen?

– I co właściwie bada ten sponsorowany przez Unię zespół badawczy z Królewskiego Instytutu Technologicznego?

Komisarz policji kryminalnej Benno Lidberg poruszył się na swoim miejscu i odparł:

– Unia Europejska to wasza działka.

– A komórka?

– Nie ma żadnych śladów.

– Namierzaliście ją?

– Tak, kilka razy. Nic.

– Ale nie dlatego tu jesteśmy – powiedziała kobieta.

– Sara Svenhagen. – Benno Lidberg miał nadzieję, że jego głos brzmi naprawdę ostro. – Co u ciebie słychać? Twój ojciec nadal pracuje w laboratorium kryminologicznym?

– Przeszedł na emeryturę. Nie jest już szefem Państwowego Laboratorium Kryminologicznego. A skoro już o tym mówimy, przysły chyba wyniki obdukcji?

– A wy je czytaliście – odparł Lidberg, przeglądając coś na komputerze. – Żadnych niespodzianek. „Całościowy obraz wskazuje, że Niels Sørensen zmarł wskutek przecięcia tętnicy szyjnej. Broń była wprawdzie ostra, ale w odróżnieniu od skalpela czy żyletki długa, prawdopodobnie co najmniej piętnaście centymetrów długości, zapewne bardzo ostry nóż typu *combat knife*. Z punktu widzenia medycyny sądowej przyczynę zgonu uznaje się niniejszym za nienaturalną, choć wszystko wskazuje na to, iż gwałtowny skok ciśnienia krwi w chwili zadania rany przyspieszył zgon”. Był więc przerażony, kiedy sprawca go dogonił.

– I jakie wysnuwasz z tego wnioski?

– Że był ścigany i o tym wiedział.

– Przez kogo?

– Przecież właśnie to próbujemy ustalić.

– Ale opracowaliście chyba jakiś profil sprawcy?

– Osoba, która umie się posługiwać bardzo ostrym nożem i która być może uczyła się tego w rzeźni.

– Dyskutowaliśmy już o tym pomyśle z rzeźnią. Chcesz wiedzieć, dlaczego tu jesteśmy?

– Nie, nie bardzo.

– Chodzi o świadków z Hornstull.

– Ach, i Czadek. Notoryczna elita Drużyny A.

– Możesz mnie nazywać Czadek, jeśli odpowiesz na pytanie.

– Które brzmiało?

– Które *brzmi*: jak to możliwe, że najważniejszy świadek zapadł się pod ziemię?

– A raczej – dodała szybko Sara Svenhagen – czy sprawdziliście wszystkie możliwe miejsca, w których *ewentualnie* mógł zniknąć świadek?

– W materiałach ze śledztwa nie ma nic na ten temat – powiedział Jorge Chavez.

– Wiecie równie dobrze jak ja, że w materiałach są protokoły z przesłuchań co najmniej trzydziestu świadków.

– Ale przecież one niczego nie wnoszą.

– Rzetelna policyjna robota – odparł Lidberg. – A Czadek twierdzi, że to nic nie wnosi.

– Chavez. Nazywam się Chavez. I stoję o tyle wyżej nad tobą, że nawet tego nie ogarniasz. *Żadna* z tych rzeczy nic nie wnosi.

– No tak, nikt nic nie widział. A to jest godne uwagi, ale nienaruszalne z policyjnego punktu widzenia.

– To z kolei oznacza, że z czystego lenistwa nikt się za bardzo nie wysilił.

– Mówiąc prościej – dodała Sara Svenhagen – gdzie się kryje możliwość, żeby pchnąć to śledztwo naprzód? Coś, czego nie widać w protokole? Zawsze istnieje coś, co szefowi nie daje spokoju. „Czy na pewno zrobiono to w najlepszy możliwy sposób?”. Wiesz, co mam na myśli. Przeczucia i instynkt. Masz teraz szansę na to, by ktoś wykonał za ciebie trochę roboty, która nie będzie obciążać twojego budżetu. Podsuń nam tylko jakiś trop, a my zrobimy gratis to, co chcesz mieć zrobione, tak żeby nikt tego nie

zauważył.

– Strzelacie w ciemno.

– Jak najbardziej – przyznał Chavez. – No to co masz?

Komisarz policji kryminalnej Benno Lidberg pokręcił głową i po co najmniej dziesięciu różnych grymasach odparł:

– Schronisko.

– Schronisko?

– Jest tam takie miejsce, ośrodek Armii Zbawienia.

– Pamiętam to z materiałów – wtrąciła Sara Svenhagen. – Ale tak szybko to zarzucono, że nie zwróciliśmy na to uwagi.

– Na waszym miejscu, gdybym naprawdę miał nóż na gardle, poszukałbym tam.

– Żółtodziób?

– Możliwe, że śledczy nie sprawdził wszystkich tropów.

– Możesz to trochę rozwinąć?

– Do diabła, bierzcie, co dostaliście. Mam inne rzeczy na głowie.

Chavez i Svenhagen wyszli. W drodze do lśniącego samochodu Europolu powiedzieli tylko jedno. Ten zaszczyt przypadł Chavezowi:

– Lepiej, niż się spodziewaliśmy, co?

Plac budowy na Hornstull znów się zmienił. Långholmsgatan była węższa. Nie było szans, by zaparkować przed ośrodkiem Armii Zbawienia. Z drugiej strony pobliska Bergsunds Strand wydawała się całkowicie do przyjęcia, jeśli tylko parkowało się niezgodnie z przepisami.

I tak się właśnie stało, zanim para skręciła za róg i dotarła do drzwi ośrodka. Teraz po południu był właściwie zamknięty, ale dzięki wytrwałemu dobijaniu się w końcu zjawił się wysoki mężczyzna w średnim wieku, z lamпасami na mundurze. Miał zatroskane, ale surowe spojrzenie. Otworzył i powiedział:

– Jest zamknięte.

– Jesteśmy z policji.

– Już rozmawiałem z policją.

– Wiemy. Kim pan jest?

– Jeśli nie wiecie, kim jestem, to nie wiecie też, że rozmawiałem z policją.

– Ma pan trochę racji – przyznał Jorge Chavez. – Po prostu założyliśmy bezczelnie, że ten, kto otwiera drzwi, jest kierownikiem, to znaczy majorem Bengtssonem, który o godzinie dziewiątej dwanaście pierwszego lipca przeprowadził krótką, ale jakże wymowną rozmowę z aspirantem policji Jakobssonem. Rozmowa brzmiała: „Czy wczoraj rano przyszedł tu ktoś podejrzany?”. Bengtsson: „Podejrzany? Co to znaczy?”. Aspirant policji Jakobsson: „Na przykład ktoś z bronią?”. Bengtsson: „Konfiskujemy wszystkim broń. Wczoraj nie przyszedł nikt z bronią”. Jakobsson: „I nie zjawił się żaden inny

podejrzany?”. Bengtsson: „Wciąż nie wiem, co znaczy podejrzany”. Jakobsson: „Czyli nie było żadnego podejrzanego?”. I na koniec Bengtsson westchnął: „W porządku. Nie było”. A potem niestety ta pobudzająca intelektualnie rozmowa dobiegła końca.

– I niestety potraktowano to jako wyczerpujące przesłuchanie – powiedziała Sara Svenhagen. – Którym bynajmniej nie było.

– Wejście – powiedział major Bengtsson i otworzył drzwi. Prowadząc ich w głąb ośrodka, spytał: – Co to za tytuł „aspirant policji”?

– Nie macie takiego w Armii Zbawienia? – spytał Chavez.

– Całą tę wojskową otoczkę trzeba traktować z przymrużeniem oka. Mam zakładać, że chodzi o nieopierzonego policjanta?

– Niekoniecznie – odparł Chavez. – Ale w tym przypadku tak. Zabrakło mu polotu.

– To stopień, jaki nadaje się w okresie próbnym – wyjaśniła Sara Svenhagen.

– Rozumiem – odparł major Bengtsson i wprowadził ich do urządzonego po spartańsku biura. – Trzeba uzupełnić szczegóły.

Major Bengtsson wskazał cywilom miejsca na dwóch drewnianych krzesłach, które wyglądały na twarde i podniszczone. Sam usiadł lekko jak piórko za swoim biurkiem. Jego krzesło też nie sprawiało wrażenia szczególnie wygodnego. Widzieli jednak wyraźnie, że major Bengtsson nie jest typem człowieka, z którym można sobie pogrywać. Wyglądał jak ucieleśnienie pojęcia „surowy, ale sprawiedliwy”. Miał w sobie coś z samego Boga Ojca.

– No to cofniemy się do czwartku, trzydziestego i ostatniego dnia czerwca? – spytał Chavez. – Czy pan major był wtedy na miejscu?

– Zawsze jestem na miejscu – odparł major Bengtsson. – I proszę, nie nazywajcie mnie majorem. Mam na imię Lars-Åke.

– Jorge Chavez i Sara Svenhagen – przedstawił ich Chavez. – Jednostka Europolu, Rikskrim. Jak ci wiadomo, o godzinie siódmej czterdzieści trzy w okolicy doszło do morderstwa. O której tu dotarłeś?

– Około wpół do ósmej. Otwieramy o dziewiątej i mamy otwarte do dwunastej. Potem można zostać i wziąć udział w nabożeństwie, które odbywa się w niektóre dni po południu. Z reguły to ja je prowadzę.

– W ten czwartek też tak było?

– Tak.

– Czy na nabożeństwie było dużo ludzi?

– Przed południem na śniadanie przychodzi około setki. Mogą też wziąć prysznic. Poza tym dostają ubrania, jeśli mamy jakieś do rozdania. Z reguły bardzo niewielu z nich zostaje na nabożeństwie.

– I naprawdę nic nie rzucało się w oczy w ten czwartek? Nie zjawił się żaden szczególny gość?

– Był duży ruch, jak zwykle – odparł Lars-Åke Bengtsson. – Nie przypominam sobie niczego szczególnego. Tak jak powiedziałem waszemu aspirantowi policji: nikogo podejrzanego. A zresztą o co miałyby być podejrzewany? O morderstwo?

– Chodzi nie tyle o podejrzanego, ile o świadka – odparła Sara Svenhagen. – Być może żebraka. Być może ten ktoś był zakrwawiony.

– Ten ktoś?

– Łatwiej powiedzieć „ten ktoś” niż on lub ona. To nie musi być mężczyzna. Za to najprawdopodobniej jest żebrakiem.

– Ostatnio mieliśmy stały napływ Rumunów. Niestety muszę przyznać, że często bywają żebrakami. Ale zakrwawiony? Nie. Zauważyłbym to. I pewnie wszcząłbym alarm.

– W takim razie może jakaś lekko ubrana osoba?

– Lekko ubrana?

– Ktoś, kto być może pozbył się zakrwawionych ubrań?

Po raz pierwszy dostrzegli drobną zmianę na wyjątkowo niewzruszonej twarzy majora Bentssona. Oboje to zauważyli, wyczytali to ze swoich spojrzeń w tej krótkiej chwili, gdy na siebie popatrzyli. Czekali wbrew wszystkiemu, co podpowiadał im instynkt. Mijał czas. W końcu Lars-Åke Bengtsson wydał usta i powiedział:

– Tak, teraz, kiedy o tym wspominacie...

Wciąż milczeli. Nie pozwolili sobie na najdrobniejszy ruch. Musieli mu dać tyle czasu, ile potrzebował.

– To znaczy nie ja się tym zajmowałem – odezwał się w końcu Bengtsson. – Ale był chyba jeden Rumun, który przyszedł z nagim torsem... Nie jestem pewny, czy to akurat był czwartek...

– Mówiąc „Rumun”, ma pan na myśli...? – podsunął Chavez.

– Nie. Nie powiem „Cygan” ani nawet „Rom”, bez względu na to, jak będziecie się upierać.

– Jak *my* będziemy się upierać?

– Tak, policja. W tej chwili dużo się mówi o „Cyganach”. A już się wydawało, że to określenie znikło.

– I ten Rumun miał...

– Nagi tors, tak. Potem oczywiście dostał ubranie. Wziął też prysznic. A później, jeśli mnie pamięć nie myli, brał udział w nabożeństwie. Ale nie potrafię powiedzieć nic więcej.

– Jeśli nie ty „się tym zajmowałeś” – spytała Sara Svenhagen – to kto?

– Chyba porucznik Ahl...

– Porucznik Ahl?

– Teraz jest na chorobowym. Kilka dni temu przeżyła przykry incydent w kolejce. Grupa młodych ludzi...

– Porucznik Ahl? Imię?

– Louise. Louise Ahl. Mieszka w Tullinge.

Wyszli.

– Nie mamy dokładnego czasu – powiedziała Sara Svenhagen w samochodzie, gdy jechali przez

Västerbron. – Nie mamy nic, co by wskazywało, że ten nagi od pasa w górę mężczyzna był naszym świadkiem. W ogóle nie mamy żadnych informacji.

– Teraz gadasz jak Benno – odparł Chavez, skręcając na krótki odcinek wiaduktu nad skąpanym w lipcowym słońcu Rålambshovsparken. – „Rzetelna policyjna robota” nie musi oznaczać, że wszystkie informacje interpretuje się negatywnie. Potwierdziliśmy nasze podejrzenia. Jakiś „Rumun” z nagim torsem pojawił się w ośrodku Armii Zbawienia najprawdopodobniej w czwartek rano, godzinę po morderstwie. Plan działania: najpierw Królewski Instytut Technologiczny, potem Tullinge. Bo niech mnie diabli, to pewnie był on. Chyba znaleźliśmy naszego świadka.

Sara Svenhagen spojrzała na męża i zmarszczyła nos.

– Porucznik Ahl – powiedziała tylko.

Potem milczeli przez całą drogę do Królewskiego Instytutu Technologicznego.

Znów te groteskowe budowle, niczym z bloku wschodniego, to samo wrażenie kulis zimnej wojny. Z pewnością nie można było powiedzieć, że mniej lub bardziej tajny zespół badawczy Unii Europejskiej pracował w najnowocześniejszym laboratorium na kontynencie. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ich działalność miała być tajna, a być może nie potrzebowali też wielu urządzeń laboratoryjnych. Wyglądało na to, że bardzo duża część pracy odbywała się przy komputerach – i zapewne w bardzo bystrych mózgach. Z których jeden, być może najważniejszy, niestety nie był już zaopatrywany w krew. Cała ta krew, którą zdążono już uprzątnąć z chodnika przy Långholmsgatan, zajęła miejsce w nowych konstelacjach w wiecznym obiegu komórek, którym jest życie na Ziemi.

Podczas gdy niczym komórki w tym wiecznym krwiobiegu wędrowali beżowymi, przygnębiającymi korytarzami, Sara Svenhagen dziwiła się trochę swoim górnolotnym myślom. Ale w jakiś sposób pasowało to do miejsca. Dokonywano tu rzeczy, które nie pozostawiały przestrzeni na banały codzienności. Tu wszystko było na serio.

Także drzwi z tabliczką „Profesor Virpi Pasanen”. Prezentowały się o wiele bardziej serio niż ostatnio. W miejsce starych pojawiły się zaawansowane drzwi przeciwwłamaniowe. Svenhagen przyjrzała im się uważnie. Zamek magnetyczny, zamek szyfrowy, zdalna blokada, zamek na odciski palców.

– *Shit* – mruknął Chavez. – Ostatnim razem nam się nie wydawało. Była przerażona.

– I dysponuje środkami, żeby natychmiast kazać zamontować takie zaawansowane przeciwwłamaniowe drzwi – zauważyła Svenhagen.

– Jak tutaj zadzwonić? – zastanawiał się Chavez. Wyciągnął rękę w stronę czegoś, co być może było przyciskiem dzwonka.

Złapała jego dłoń. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Nie wiem – powiedziała. – Sprawdźmy najpierw, czy nie są otwarte?

– Nie wyglądają mi za bardzo na otwarte – stwierdził Chavez, ale coś w jego oczach świadczyło o tym, że zrozumiał, co miała na myśli.



– Jeśli chcesz, nazywaj to przecuciem albo instynktem – powiedziała Svenhagen, rozpinając kurtkę. Chavez zrobił krok do przodu i wyjął pistolet. Kiwnął jej głową. Nacisnęła kłamkę.

Masywne drzwi przeciwwłamaniowe się otworzyły. Chavez wpadł do biura z bronią gotową do strzału. Prawie natychmiast stwierdził, że małe pomieszczenie jest puste. Od czasu ich ostatniej wizyty zmieniły się dwie rzeczy. Po pierwsze, również drzwi w głębi pomieszczenia, prowadzące w jakieś nieznane miejsce, zastąpiono podobnymi drzwiami przeciwwłamaniowymi. Po drugie, na sofie leżała pognieciona pościel.

Czuć było zaduch. Jakby ktoś mieszkał tutaj trochę dłużej niż powinien. Chavez wskazał pistoletem. Svenhagen kiwnęła głową i podeszła do biurka. Zdawało się równie puste jak wcześniej, tylko komputer i smartfon, nic poza tym. Podniosła telefon, dotknęła ekranu, ale aparat był zabezpieczony hasłem. Podniosła klawiaturę komputera. Coś pod nią wsunięto. Jakieś małe urządzenie. Pilot. Do zdalnej blokady drzwi przeciwwłamaniowych.

Gdy Chavez grzebał w pościeli na sofie, Svenhagen stała bez ruchu. Myślała. Tak zaawansowane drzwi przeciwwłamaniowe z reguły nigdy nie są otwarte. Zwłaszcza jeśli ktoś zamontował je niedawno, w pośpiechu i był przerażony. Ewentualni intruzi też nie mieliby żadnego interesu w zostawieniu otwartych drzwi, wręcz przeciwnie. Jediną osobą, która mogła mieć w tym jakiś interes, była sama Virpi Pasanen. Jeśli została zaatakowana. Tylko tak mogłaby wzywać pomocy: otworzyć drzwi i mieć nadzieję – tylko *nadzieję* – że ktoś wejdzie. Potem szybko wsunąć pilota pod klawiaturę. To była jej jedyna możliwość obrony.

Svenhagen przyjrzała się pilotowi. Było na nim dużo drobnych przycisków, ale tylko jeden duży i czerwony. Prawdopodobnie był to przycisk alarmowy. A jeśli tak...

Wskazała na drugie drzwi i wyciągnęła broń. Chavez zmarszczył brwi i kiwnął głową. Svenhagen podeszła do drzwi. Jej serce biło absurdalnie mocno. Gdy położyła rękę na kłamce, miała nadzieję, że nie czyni tego po raz ostatni.

Nie dało się tego zrobić niepostrzeżenie. Drzwi otwierały się do środka i nie wiadomo było, co się za nimi kryje. Jeśli spróbowałyby je pchnąć i okazałyby się zamknięte, zdradziłyby swoją obecność i być może skazali na śmierć ewentualnego zakładnika za drzwiami. Przez jakąś sekundę kalkulowała. Potem nacisnęła kłamkę.

I pchnęła drzwi.

Chavez wpadł do środka z bronią gotową do strzału. Svenhagen zobaczyła ostrą błyskawicę przecinającą pokój – większy niż biuro – zobaczyła, jak błyskawica trafia jej męża w pierś i jak Jorge osuwa się bezwładnie na podłogę. Potem zobaczyła pomieszczenie. Gdy unosiła pistolet, postać w czarnej kominiarce zniknęła za jedynym oknem. Pod oknem leżała Virpi Pasanen owinięta taśmą izolacyjną, a jej jasnoniebieskie oczy lśniły ze strachu. Sara Svenhagen podbiegła do okna i spojrzała w dół. Dostrzegła tylko drabinę opartą o fasadę cztery metry niżej i szybko oddalającą się sylwetkę, która znikła za najbliższym rogami. Nikogo już tam nie było. Odwróciła się szybko i podbiegła do Chaveza.

Wyglądał, jakby nie żył, ale kiedy się nad nim pochyliła, usłyszała, że oddycha. Dwa cienkie druciki biegły od jego piersi w stronę okna.

Wiedziała, co to było. Paralizator, taser. Policja takie miała. Niektóre jednostki policji. Specjalne jednostki. Wszystko wskazywało na to, że jej mąż wkrótce się ocknie. A więc należało zająć się resztą.

Pomieszczenie było salą laboratoryjną, w głębi można było przeprowadzać eksperymenty chemiczne, ale przede wszystkim stały tu komputery. Trzy wyraźnie odgraniczone stanowiska, co najmniej dziesięć komputerów, jakich jeszcze nigdy nie widziała. Na podłodze przy stole laboratoryjnym leżał jakiś mężczyzna. Ciemne oczy miał otwarte, usta zaklejone taśmą izolacyjną. Najprawdopodobniej był to docent Jovan Biševac. Ale wyglądało na to, że Virpi Pasanen była w gorszym stanie. Svenhagen podeszła do okna, pochyliła się i ostrożnie zerwała taśmę z jej ust.

– Weszli od środka – powiedziała ochryple Pasanen. – Siedziałam w moim biurze, a oni weszli od środka. Stąd.

– Nic ci nie jest? – spytała Svenhagen.

– Nie, ale co z Jovanem? Był tutaj. Nie żyje?

– Żyje – odparła Svenhagen, podeszła do mężczyzny i jemu również zerwała z ust taśmę.

– Weszli przez okno – powiedział Biševac po szwedzku, z lekkim akcentem. – Niech to szlag, ono też miało być zabezpieczone.

Przykładni świadkowie, zdążyła swobodnie pomyśleć Svenhagen, a potem jej myśli pobiegły ku temu, co istotne. Zrobiła krok nad obezwładnionym mężem, przyniosła pilota i podsunęła go Pasanen.

– Uratowałam wam życie, otwierając drzwi – powiedziała. – Teraz się uratujemy, zamykając je. To ten czerwony przycisk?

– Tak – potwierdziła Pasanen. – Przycisk *override*. Wszystko zamyka i wszystko otwiera. Ale najpierw zamknij okno.

Nie możecie być aż tacy opanowani, pomyślała Svenhagen, odciągnęła z przejścia obezwładnionego męża, porządnie zamknęła jedne i drugie drzwi oraz okno i wcisnęła czerwony przycisk. Szczęknęło wiele zamków. Zabrzmiało to jak stukanie szalonego dziecięcia.

Spojrzenie Svenhagen powędrowało do dwóch cienkich drucików sterczących z piersi Chaveza. Zostały wyrwane z paralizatora, ale pod oknem i częściowo na ciele Pasanen leżało sporo przypominających konfetti płatków. Przypomniała sobie jak przez mgłę demonstrację paralizatora, którą widziała, gdy należała do Drużyny A. Gdy pocisk zostaje wystrzelony, rozsypuje się około trzydziestu takich przypominających konfetti płatków z numerem seryjnym naboju. Może coś z tego będzie. Dla techników. Dla techników pieprzonego Benna Lidberga.

Westchnęła ciężko i pogodziła się z tą przykrą koniecznością.

Gdy miała już z głowy bolesną rozmowę z Bennem Lidbergiem, usłyszała ochryply głos od strony drzwi:

– Mogłabyś ich wreszcie uwolnić!

Sara Svenhagen odwróciła się i zobaczyła, że Jorge Chavez siedzi na podłodze i wyciąga sobie z piersi druciki. Jej serce wciąż biło absurdalnie mocno, ale uśmiechnęła się w duchu i powiedziała:

– Wszystko muszę robić sama?

Sztokholm, 29 czerwca

ZATOKA LILJEHOLMSVIKEN o zmierzchu. Czy świat może być piękniejszy? Światła jachtów, czerwone płyną w stronę jeziora Melar, zielone oddalają się w stronę morza. Osobliwe odbicie mostu Liljeholmsbron i pomarańczowa barwa rozlewająca się jak łagodna pożoga po spokojnych, leciutko zmarszczonych wiatrem wodach.

Sztokholm. Nigdy bym się tego nie domyślił, dorastając w Aarhus. Szwecja była czymś niejasnym i nieistotnym na wschodzie, niedaleko Związku Radzieckiego. Etos pracy, żadnej radości życia, mnóstwo samobójstw. Inżynieria społeczna, huty stali, samochody. Kontynent wydawał się o wiele bliższy. Niemcy, Europa. Szwecja była jak blok wschodni, ci drudzy. Tchórzliwa neutralność. Sztokholm leżał bliżej Moskwy niż Paryża.

Wydawało mi się nieprawdopodobne, że kiedyś trafię do Europy przez Sztokholm. Sztokholm. Najpiękniejsza stolica świata?

Ech, nie wiem. Ale teraz, w tej chwili, to piękno jest oszałamiające.

Nigdy w życiu nie interesowałem się poezją. Słowami, które usiłują być piękne. To nie była moja bajka. Słowa istnieją po to, by opisywać rzeczywistość. Rzeczywistość to materia. Materię można opisać – i jak najbardziej można ją zmieniać. Ale nic prócz materii nie istnieje.

To endorfiny tworzą wrażenie piękna. To nagłe doświadczenie równowagi w życiu to tylko współgrające ze sobą substancje chemiczne w mózgu, nic poza tym. Czasem spotykamy się z wyuczonym bodźcem wzrokowym, który mózg interpretuje jako piękno. Chemia mózgu chwilowo zostaje uporządkowana. I ta chemia mówi również: to się skończy, to tylko chwilowy porządek. Przypuszczam, że to właśnie dlatego poeci tak często dostrzegają pokrewieństwo piękna i śmierci. Mózg wie, że piękno jest przemijające. Doznanie piękna nierozzerwalnie łączy się ze zrozumieniem, że ono zniknie. Umrze.

To, co poeci opisują w swój prymitywny, prastary sposób, to nic innego jak chemiczne przemiany w mózgu.

Codziennie patrzę na ten widok z okna w kuchni. Oczywiście jest piękny, ale nigdy tak głęboko na mnie nie działał. Najwyraźniej moja równowaga chemiczna została zaburzona. „Albowiem piękno jest tylko przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy z takim podziwem, gdyż beznamiętnie pogardza naszym unicestwieniem. Straszliwy jest każdy anioł” <sup>2</sup>.

Słowa Rilkego nie dają mi spokoju. Piękno jest tylko przerażenia początkiem. Czy to teraz zaczyna się przerażenie? Bo dziś widziałem anioła? Tego, który beznamiętnie gardził moim unicestwieniem. Ale jego spojrzenie nie było beznamiętne. Ostatnio widziałem go w Chicago, teraz był po drugiej stronie Bergsunds Strand.

Przyglądam się swojej prawej dłoni. Wciąż mam bliznę po tym skaleczeniu w Chicago, jakby wtedy została przecięta moja linia życia.

Wydaje mi się, że widzę go teraz na moście Liljeholmsbron. Stoi dostojnie na barierce. Rozpościera swoje czarne skrzydła i mnie obserwuje. Przygląda się temu, jak się zachowuję w obliczu śmierci. I to prawda, że wszystko jest piękne. To prawda, że on spowija mój świat głęboko przerażającym pięknem.

Czekamy na odpowiedź. Odpowiedź na to, czy wreszcie rozwiązany został problem gęstości energetycznej, zasięgu, czasu ładowania i wpływu na środowisko. Jestem całkowicie przekonany, że tak się stało. Dotarliśmy do celu.

I dlatego przybył anioł. Anioł śmierci.

Zgrywam teraz wszystko co najważniejsze na komórkę. To jedyne, co ma jakiegokolwiek znaczenie. Nie mogę przecież wrzucić tego do sieci, a pendrive'a jak zwykle nie mam w domu. A więc to komórka będzie moim zabezpieczeniem.

Chociaż właściwie nie moim.

Raczej naszym.

Projektu.

Przyszłości.

To stosunkowo prosta procedura. Zajmę się tym jutro rano. Teraz się przygotowuję, ustawiam sobie alarm z przypomnieniem. Ale najpierw muszę dokończyć ten tekst.

Gdy podnoszę głowę i znów spoglądam za okno, anioła już nie ma. Zapadł zmierzch, zaczęła się krótka, czerwcową noc. Wciąż widzę zatokę Liljeholmsviken, światła jachtów.

Ale piękno zniknęło.

Równowaga chemiczna w moim mózgu została zaburzona.

Amsterdam, 5 lipca

WSZYSTKO POTO CZYŁO SIĘ zwykłym trybem. Za trzy dziesiąta wieczorem Vlad ziewnął. Ciprian wstał i poszedł do sypialni, Vlad ruszył do łazienki. Karczycho numer dwa wyciągnęło dodatkowe posłanie i dosunęło je do biurka.

Choć Felipe Navarro niczego bardziej nie pragnął, niż wrócić do domu, do Félix i Felipy, poczuł się bardzo zawiedziony. Kolejny zmarnowany dzień. Gdy zobaczył, jak Vlad idzie do sypialni po starannym umyciu zębów, westchnął ciężko i ruszył do przestronnej, ale niezbyt nowoczesnej łazienki wdowy Bezuidenhout. Ponieważ nie chciał tracić choćby jednej sekundy z sesji obserwacyjnej, teraz musiał długo opróżniać pęcherz. Uporczywy, ciągnący się chyba w nieskończoność szum wody w toalecie sprawił, że Navarro usłyszał tylko sam koniec tyrady Adriana Marinescu dobiegającej z salonu i nie zrozumiał z tego ani jednego słowa.

Navarro nie zdążył porządnie zakończyć wizyty w łazience. Czuł, że ma nieprzyjemnie wilgotne slipy, gdy wypadł z łazienki i dobiegł do Marinescu.

– Co się stało? – wyrzucił z siebie. – Co mówiłeś?

Marinescu podniósł rękę i wskazał na monitor. Obaj ochroniarze leżeli na swoich starannie oddzielonych posłaniach i rozmawiali ściszymi głosami. Marinescu przetłumaczył simultanicznie:

– W samą porę, do diabła. Przedwczoraj skończyły mi się petit coronas.

– Dakk też się skończyła. Ty czy ja?

– Zobaczymy, co wyniknie. Dobranoc, Silviu.

– Dobranoc.

Felipemu Navarro jakimś cudem udało się odczekać jeszcze prawie dwie minuty po tym, jak karczycha zgasiły lampkę. Czuł, jak kilka kropli moczu irytująco powoli spływa po lewym udzie pod spodniami od garnituru. W końcu spytał:

– Vlad powiedział to, co myślę?

– Że jutro wychodzą – odparł Marinescu i poprawił słuchawki, które wyglądały tak, jakby w ciągu tego dnia jeszcze bardziej wgniotły mu się w głowę.

– Co dokładnie powiedział? – spytał Navarro.

– Dokładnie powiedział: „Jutro moje kanareczki na chwilę wyfruną z klatki”.

– I nic więcej?

– Wstał z łóżka, wsunął głowę do pokoju ochroniarzy i powiedział dokładnie to. Nic więcej.

– „Jutro moje kanareczki na chwilę wyfruną z klatki”?

– Tak.

– Jak to rozumiesz? Wyjdą wszyscy trzej?

– Rzadko miewam czas, żeby interpretować to, co tłumaczę – odparł oschle Marinescu.

– Skup się – powiedział Navarro. – To *twój* ojczysty język, to *ty* znasz jego tajemnice, wszystkie niuanse, a poza tym to *ty* najlepiej znasz tych trzech. Czy Vlad wyśle swoje „kanareczki” z jakimś zadaniem? Czy pójdą gdzieś razem z nim?

– To ty jesteś analitykiem i strategiem – powiedział Marinescu. – Ale...

– Ale?

– Ale karczycha tylko raz opuściły Vlada i to było w kościele, wtedy gdy poszedł dalej do Red Light District, żeby się zaspokoić. Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, żeby wysłał gdzieś obu i został sam w domu. A przynajmniej czegoś takiego nie widzieliśmy.

– Czyli myślisz, że jutro, w środę, wyjdą wszyscy trzej?

– Myślę, że wszystko na to wskazuje. Albo wyśle ochroniarzy osobno, każdego z innym zadaniem. Tak już się zdarzyło. Cipriana przed południem, a Silviu po południu.

– Silviu?

– Ciprian przed chwilą to powiedział. Wiemy, jak ma na imię karczyczo numer dwa. I nie tylko to.

– Zastanawiam się nad tym petit coronas i dakk – wyznał Navarro. – Czy to mogą być jakieś słowa klucze?

– Nie sądzę – powiedział Marinescu. – Dakk to najlepsza rumuńska wódka, Dakk Premium Vodka, a to drugie to chyba kubańskie cygara marki Rafael González Petit Coronas, ulubione cygara Cipriana. Strasznie drogie.

Felipe Navarro uspokoił się trochę i zebrał myśli. Po chwili oświadczył:

– Musimy mieć sporą pewność, jeśli mamy poświęcić sen na opracowanie strategii.

– Nie wiem, czy będę w stanie zrezygnować ze snu – mruknął Marinescu.

– Nie, nie – zapewnił go Navarro, sięgając po komórkę. – Zostaw to nam, analitykom i strategom. Spróbuję tu sprowadzić Sifakisa, a może nawet Hjelma, usiądziemy w kuchni i wszystko zaplanujemy.

– Będziecie gadać przez całą noc?

– Obiecuję, że będziemy cicho – uspokoił go Navarro i wybrał numer Paula Hjelma. Czekał, aż szef odbierze, nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: – Chyba właśnie mamy przełom.

# Klarowne spojrzenie



Haga, 6 lipca

POPZEDNIEGO WIECZORU Paul Hjelm zasiedział się do późna w swoim nowym gabinecie. Widział, jak członkowie grupy jeden po drugim opuszczają budynek Europolu, niektórzy pospiesznie machając ręką w stronę gabinetu szefa. W końcu prócz niego została tylko jedna osoba. Nie chciał, żeby Angelos Sifakis do niego wszedł. Nie chciał po raz drugi czegoś ukrywać przed swoim zastępcą. Kimś, kto miał być jego zaufanym człowiekiem. Jednak to, czym się zajmował od kilku godzin, nie mogło wyjść na jaw.

Wreszcie przyszły plany. Widok z satelity był pod kontrolą, obraz termowizyjny w końcu działał. Również na odległość, a teraz Paul Hjelm siedział i dokładnie oglądał plany pewnej willi na północnych obrzeżach niewielkiego miasta w środkowej Europie. Gdy tylko wysłał plany mailem, drzwi otworzyły się szeroko. Ledwie zdążył przywołać na monitor morderczo nudną notatkę służbową, podniósł głowę i spojrział na Angelosa Sifakisa. Oczy jego zastępcy płonęły.

– Do wszystkich diabłów! – zawołał tak spokojny zazwyczaj potomek Kreteńczyków. – Właśnie dzwonił Navarro; mamy przełom w Amsterdamie.

Hjelm długo się wahał. Czy powinien przesiedzieć całą noc na spotkaniu w mieszkaniu wdowy Bezuidenhout w Amsterdamie, czy może lepiej nie? Szefowi, którego wciąż ciągnęło w teren i który wciąż wolał działalność operacyjną niż administracyjną, perspektywa spędzenia całej nocy z Navarro i Sifakisem, jednymi z najbystrzejszych umysłów południowej Europy, wydawała się czymś niesłychanie kuszącym. Ale w końcu posłuchał głosu rozsądku. Jutro musiał być w stanie jasno myśleć, zwłaszcza że Navarro i Sifakis pewnie będą przemęczeni.

A więc zamiast tego wybrał późną kolację w tak zwanej kawalerce, która wcale nie była żadną kawalerką, tylko raczej pełnym tęsknoty mieszkaniem ojca rodziny na wygnaniu. Nie był pewien, czy Kerstin wciąż jest na niego zła – albo na siebie – ale w każdym razie zjedli przygotowaną w domu kolację, na którą składały się: caprese, puttanesca i barolo. Czyli, krótko mówiąc, sałatka, makaron i czerwone wino.

Tyle tylko że były to dania południowej Europy i dlatego wydawały się o wiele smaczniejsze.

Siedzieli na balkonie, na który tak rzadko wychodził. Jedli. Rozmawiali? Nie, niewiele. Coś wyrosło pomiędzy nimi, nie było to nic poważnego ani rozstrzygającego, raczej cienka błona dystansu.

– Co sądzisz o widoku? – spytał w końcu Paul Hjelm.

– Ładny – odparła Kerstin Holm.

– Tam, w dole, jest stare miasto – powiedział Hjelm.

I to było wszystko, co do siebie powiedzieli, gdy wieczór przechodził w noc.

Szczerze mówiąc, nie pamiętał, kiedy ostatnio zasnął przed północą. Chyba jeszcze zanim przyjechał

do Hagi. Prawdopodobnie na Heleneborgsgatan w Sztokholmie. Dawno tam nie byłem, pomyślał, powoli zapadając w sen. Ostatnim, co zobaczył przed zaśnięciem – i faktycznie się dotknęli, choć bardzo lekko – była Hornstull. Hornstull, która się zmieniała. Gdy tam wróci, nie wiadomo kiedy, wszystko będzie inaczej. Interesująca myśl. Świat się zmienia pod twoją nieobecność. Radykalnie.

Jakby chciał zaznaczyć upływ czasu.

W ciągu nocy cztery razy budziły go telefony z Amsterdamu. Za często, pomyślał, ale potem, o godzinie trzeciej czterdzieści osiem, zdał sobie sprawę, ile aspektów trzeba uwzględnić, żeby Jutta Beyer znów nie musiała siedzieć w tym kuchennym schowku. Albo coś w tym stylu. Gdy obudził go dziwnie intensywny dzwonek, który z niczym mu się nie kojarzył, Paul Hjelm zastanawiał się przez krótką chwilę, ile to właściwie efektywnego snu, jeśli przespało się trzy razy po półtorej godziny. Bo było dopiero wpół do szóstej, kiedy rozległ się ten dziwny sygnał.

Cholera, chyba nie ustawił komórki na wpół do szóstej? A może? I zmienił sobie ustawienia dzwonka? Nie, wykluczone.

Potem jakimiś niezbadanymi ścieżkami doszedł do tego, że jeszcze nigdy, naprawdę *nigdy* nie słyszał, jak ktoś dzwoni do drzwi. Mieszkał tutaj prawie od trzech lat i jeszcze *nikt* nie użył dzwonka.

Aż do teraz.

Odwrócił się do Kerstin, ale spała głęboko. Rano nie dało się jej obudzić, budził ją tylko specjalny sygnał, który w jakiś niewyjaśniony sposób docierał do jej podświadomości. Paul Hjelm musiał więc sam wstać, w przelocie złapać szlafrok wiszący na uchylonych drzwiach łazienki, zarzucić go na siebie i chwiejnym krokiem ruszyć w stronę, gdzie prawdopodobnie znajdowały się drzwi.

Był w nich wizjer, ale zupełnie nie potrafił go znaleźć, a tym bardziej przez niego wyjrzeć i zobaczyć, kto stoi po drugiej stronie. Musiał po prostu zaryzykować.

Otworzył drzwi. Zobaczył młodą kobietę i przez krótką chwilę zdawało mu się, że ją poznaje. Potem wstające słońce zaświeciło mu w oczy i zgubił wątek. Czuł, że wpatruje się w nią pytająco oczami, które bardziej przypominają szparki.

– Rozumiem, że prawdopodobnie naruszyłam przepisy – powiedziała młoda kobieta.

– Pewnie niejeden – powiedział Paul Hjelm i w tej samej chwili dotarło do niego, kim jest. Ale nie było mowy o tym, żeby przypomniał sobie, jak się nazywa.

– Nazywam się Amandine Mercier – pomogła mu młoda kobieta. – Widzieliśmy się przez chwilę kilka dni temu, w budynku Berlaymont w Brukseli. Jestem rzeczniką Marianne Barrière.

Hjelm kiwnął głową. Przypomniało mu się, jak Amandine Mercier trochę ostrym tonem poinformowała go, że Marianne Barrière jest zajęta. Strasznie się naczekał. Naprawdę jej pokazał swoją legitymację? Niemożliwe...

– Ale wtedy na pańskiej legitymacji było inne nazwisko – powiedziała Amandine Mercier i Paul Hjelm zaczął odczuwać jakieś złe wibracje. Wpół do szóstej rano, sto osiemdziesiąt kilometrów od domu. Czego chce od niego ta kobieta?

– Czego pani chce? – spytał prosto z mostu.

– To chyba pan potajemnie prowadzi śledztwo w sprawie tego szantażu?

– Jestem jednym z szefów Europolu. Co pani sobie ubzdurała?

Amandine Mercier westchnęła ciężko.

– Mogę wejść? – spytała.

– Absolutnie nie – odparł Paul Hjelm. – Nie może pani nawet znajdować się na tej klatce schodowej.

To cud, że jeszcze nikt pani nie aresztował.

Dziesięć minut później spotkali się w całodobowym barze. Paul Hjelm był trochę lepiej ubrany i zobaczył Amandine Mercier w nowym świetle. Jeśli wziąć pod uwagę wczesną porę, prezentowała się wyjątkowo elegancko.

– Od wczoraj nie zdążyłam się przebrać – powiedziała.

– Bo z jakiegoś powodu próbowała pani zdobyć mój tajny adres.

– Myślę, że to ważne – powiedziała.

Paul Hjelm się zastanawiał, popijając niezbyt apetyczne cappuccino. Myślał o rozmowie telefonicznej z Gunnarem Nybergiem, który siedział w samochodzie i jechał na lotnisko w Atenach. Myślał o następujących słowach: „Fazekas ucieka. Zwiewa od Złotego Świtu do partii Jobbik i robi to dlatego, że ktoś go ostrzegł”.

– Zamieniam się w słuch – powiedział.

– Wczoraj przez przypadek... podkreślam: *przez przypadek*, usłyszałam poufną rozmowę Marianne z jej spin doktorem. Mówili o jakimś mężczyźnie, którego nazywali Pamplemousse. Czy to brzmi znajomo?

– Proszę mówić dalej – polecił Paul Hjelm.

– Ten spin doktor, Laurent Gatien, zakładam, że pan o nim słyszał, był bardzo wzburzony tym, że Marianne *być może* zwróciła się na policję albo do prywatnego detektywa. Chciał to rozwiązać bez pomocy z zewnątrz, ale trudno powiedzieć, ile wie. Na przykład nie wie o panu.

– Mógłby się dowiedzieć tylko od pani, Amandine – powiedział Hjelm, czując się jak skończony drań. Ale musiał się wyrażać bardzo jasno, był tego świadom.

– Chodzi o to, jak pana znalazłam?

– Nie chodziło o to. Ale teraz już tak. Wrócimy jeszcze do tego. Pytam jeszcze raz: dlaczego pani tu jest?

Amandine Mercier zebrała się w sobie. Wyraźnie to widział.

– Czy przed wizytą u Pamplemousse’a sprawdził pan jego rozmowy telefoniczne? – spytała.

– Proszę mówić dalej.

– Bo gdyby pan to zrobił, zwróciłby pan uwagę, że w ciągu doby przed pana przyjściem ktoś z pewnego numeru dzwonił do niego sześć razy. To był zastrzeżony numer, którego nie da się namierzyć. Po pewnych problemach udało mi się ustalić nazwisko właściciela tego numeru. To był Laurent Gatien.

Spin doktor Marianne.

– Przypuszczam, że zadaniem pana Gatiena było odwiedzić Pamplémousse'a i z nim porozmawiać.

A więc to nic dziwnego, że zadzwonił i go uprzedził.

– Według mnie tych rozmów było za dużo – odparła Amandine Mercier bez chwili wahania. – Aż sześć rozmów wydaje mi się dziwne. W sumie za wiele minut. Musiałam to zbadać. Moim zadaniem jest chronić Marianne za wszelką cenę, mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Czekam na ciąg dalszy – rzucił Hjelm.

– Sprawdziłam wszystkie rozmowy z komórki spin doktora.

– No i?

– Proszę – powiedziała Amandine Mercier i położyła na stoliku listę. – To kompletna lista połączeń.

Wydaje mi się, że ostatnie pozycje mogą być interesujące.

Paul Hjelm przejrzał listę. Pod koniec dotarł do kilku numerów, które zaczynały się od międzynarodowego prefiksu 0030.

– Najpierw pięć różnych numerów i każda rozmowa trwająca najwyżej dwie minuty – powiedziała Amandine Mercier. – A potem dłuższa, sześciominutowa rozmowa.

– Tak jakby...

– Dokładnie – rozpromieniła się Mercier. – Jakby czegoś szukał. W końcu znalazł. Ten numer był zastrzeżony i nie udało mi się do niego dotrzeć. Ale jeden z numerów, na który dzwonił wcześniej, to publiczny telefon.

– 0030 to...?

– Grecja – wyjaśniła Mercier. – A jeden z tych numerów to numer do centrali partii politycznej o nazwie Złoty Świt. Słyszał pan o niej?

Paul Hjelm pochylił głowę i nagle poczuł, że jest nieskończenie zmęczony. Nie tylko dlatego, że tej nocy co półtorej godziny go budzono i prowadził wymagające skupienia dyskusje i podejmował decyzje. Był zmęczony całym tym gównem. Europą, polityką, przestępcami, zdradą, kupowaną lojalnością. Zachłannością.

Niemożliwością, by słowa traktować poważnie.

Siedział z zamkniętymi oczami na tyle długo, że Amandine Mercier to zauważyła.

– Żeby nie było żadnych wątpliwości – powiedział w końcu. – W skrócie: najbliższy doradca polityczny Marianne Barrière, spin doktor Laurent Gatien, po pięciu połączeniach z różnymi numerami w Grecji, z których jeden to telefon centrali partii Złoty Świt, zdobył numer na komórkę do kogoś, z kim rozmawiał przez sześć minut. I stało się to wczoraj, piątego lipca, o godzinie dwunastej czterdzieści dwie.

– Właśnie – powiedziała Mercier.

– Od dawna pracuje pani dla Barrière? – spytał Paul Hjelm.

– Niedługo miną trzy lata.

– A potem pojawił się ten spin doktor i zajął pani miejsce: najbliższej zaufanej osoby Marianne?

– Przez jakiś czas tak myślałam, ale właściwie przecież tak nie było. Jego zadanie to jakiś specyficzny projekt, o którym się nigdy nie dowiedziałam. Dalej pracowałam tak jak zwykle, zakres moich obowiązków się nie zmniejszył i moja pozycja najbliższej zaufanej osoby Marianne nigdy nie była zagrożona. Takie myślenie było błędem.

– Skąd pani to wie?

– To do mnie zawsze się zwraca, kiedy chodzi o coś szczególnego. O coś osobistego. Coś ważnego.

– Może pani podać jakiś przykład?

– Sytuacji, w której się do mnie zwraca?

– Tak.

– No cóż, czasem to drobne szczegóły dotyczące ubioru... Albo wyznania...

– Wyznania?

– Tak, albo raczej... Cóż, Marianne nie należy do osób, które się zwierniają, ale bywa, że chodzi o różne akcje ratunkowe.

– Które wymagają zaufanej osoby?

– Tak, dokładnie. Wymagają ode mnie interwencji. Tak jak ta suknia na wiosnę, niewłaściwy kolor na daną okazję albo te brwi zimą, albo wtedy, gdy zeszłej jesieni zapomniała paszportu. W takich sytuacjach to ja jestem pod ręką i jej pomagam. To do mnie się zwraca z takimi sprawami.

– Brwi?

– W połowie urlopu świątecznego musiałam przerwać wyjazd na narty do Courchevel, żeby zabrać ją do swojego wizażysty. Był drugi stycznia, Marianne straciła brwi. Zadbaliśmy o to, żeby je odtworzono. To tylko taki przykład.

– Wydaje mi się, że jest pani ze mną *selektywnie* szczerą, Amandine.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Jeśli przysłuchiwała się pani całej rozmowie Barrière z Gatiemem, musiała pani słyszeć więcej. Proszę powiedzieć, o co chodzi. Proszę powiedzieć wszystko, co pani wie.

Nagle Amandine Mercier wydawała się potulna. Zupełnie jakby z czegoś zdała sobie sprawę. W miejscu zaślepienia pojawiła się refleksja i Paul Hjelm dobrze znał tę chwilę. Zdążył do tego przywyknąć.

– Nigdy nie zrobiłabym niczego, co zaszkodziłoby Marianne – powiedziała w końcu, i nagle wydawała się młodsza, nie wyglądała już na swoje dwadzieścia sześć lat.

– Świadomie nie – powiedział Hjelm. – Ale znalazła się pani teraz w bezwzględny świecie, w świecie, w którym człowiek pozostawia po sobie ślady. Mam wrażenie, że zostawiła pani całe mnóstwo śladów. Gdyby tym ludziom, którzy chcą zniszczyć Marianne, przyszło do głowy pani poszukać, od razu by panią znaleźli. Zaczniemy od tego: gdzie i jak zbierała pani swoje materiały? Z własnego komputera? Z własnej komórki? Przez własne połączenie z internetem?

Amandine Mercier zbladła. Nagle dotarło do niej, jak bardzo była daleka od pojęcia reguł gry rządzących wielką polityką.

– Myśli pan, że coś mi grozi? – spytała ochryple.

– Tak – odparł wprost Paul Hjelm.

– Tak? O Jezu...

– Za niecały tydzień Marianne Barrière ma wygłosić swoje wielkie przemówienie, prawda? Do tego czasu wszyscy z jej bliskiego otoczenia znajdują się w niebezpieczeństwie. Zwłaszcza że ktoś z tego bliskiego otoczenia cały czas ją zdradza.

– Ja jej nie zdradzam.

– Przekonajmy się, czy już pani tego nie zrobiła. Pytam jeszcze raz: własny komputer, własna komórka, własne połączenie z internetem?

Mercier energicznie pokręciła głową.

– Poszłam do całodobowej kafejki internetowej w Brukseli, kupiłam nowy telefon i nową kartę.

Hjelm pokiwał głową.

– Dobrze – powiedział. – Na razie w porządku. Kto panią tam widział?

– Tam? Przypuszczam, że właściciel. Paru smutnych biedaków, którzy surfowali po stronach porno. To by było na tyle.

– Właściciel nie potrafiłby pani zidentyfikować?

– Nie podałam żadnego nazwiska, jeśli o to panu chodzi.

– Nie tylko. Czy jeśli ktoś podsunąłby właścicielowi kafejki pod nos zdjęcie tryskającej energią Amandine Mercier, mógłby pokiwać głową na potwierdzenie?

– Nie wiem...

– Mówiła pani, że od wczoraj nie zdążyła się przebrać, a więc w kafejce internetowej była pani w tym samym stroju. O żadnym kamuflażu nie może być mowy. Zaparkowała pani w pobliżu?

– O mój Boże!

– Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie. Praca w policji jest trochę bardziej skomplikowana, niż się ludziom wydaje, zapewniam panią.

– Nie pojechałam tam samochodem. Potem poszłam pieszo do domu, wsiadłam w samochód i przyjechałam tutaj, do Hagi.

– A jak mnie pani znalazła?

– Przedstawił się pan jako szwedzki policjant o nazwisku Karlsson. Ponieważ Marianne wspomniała, że właśnie skontaktowała się z policją, założyłam...

– Mówiła pani przed chwilą – przerwał jej Hjelm – że Gatien się domyślał, że *być może* zwróciła się na policję albo do prywatnego detektywa.

Amandine Mercier milczała przez chwilę. Nagle wydawało się, że ma poczucie winy.

– No dobra – powiedział Hjelm. – Niech to pani z siebie wydusi.

– Śledziłam was – powiedziała.

– Śledziła nas pani?

– Park w Brukseli – powiedziała Mercier. – Jubelpark, tam się spotkaliście. Niewiele słyszałam z tej rozmowy, ale dowiedziałam się, że jest pan policjantem z Europolu i nazywa się pan Hjelm, nie Karlsson. Znalazłam to nazwisko w Europolu i zorientowałam się, że jest pan jakimś szefem. Ale, oczywiście, nie było adresu domowego. Musiałam to załatwić w inny sposób.

– Jak? W środku nocy?

– Znam kogoś z PostNL...

– Zna pani osobę pracującą w holenderskiej poczcie, która w środku nocy potrafiła się dogrzebać do ściśle tajnego adresu domowego komendanta policji, i tak po prostu go pani podała?

– To mój były. Przykro mi, nie znalazłam innego sposobu.

– Wysoko postawiony pracownik na kierowniczym stanowisku w PostNL, który dla pani w środku nocy złamał wszystkie przepisy...

– Naprawdę nie chciałabym podawać jego nazwiska.

– Dobrze. Ale nasze adresy są tajne nie bez powodu. Zakładam, że zdaje sobie pani z tego sprawę?

– Tak. Mój adres też jest tajny. Wiem, co to oznacza. Ale przypuszczałam, że nie chciałby pan, żebym odwiedziła pana w pracy.

– Mogła pani zadzwonić...

– Pewnie mogłam...

– Ale wróćmy do tego, co najważniejsze. Proszę mi powiedzieć, co pani wie. Najdokładniej, jak się da.

– Wymieniali nazwiska. Ksywki takie jak Pamplermousse, ale też Minou i Natz. Prawdziwe nazwisko Pamplermousse'a to Pierre-Hugues Prévost, jest adwokatem. Minou to doktor Michel Cocheteux, dyrektor naczelny spółki naftowej Entier SA.

– W jakim kontekście wymieniali te nazwiska?

– Chodziło o zdjęcia...

– Jakie zdjęcia?

Amandine Mercier poruszyła się niespokojnie na niewygodnym krześle i odparła w końcu:

– Gatien wspominał coś o „młodzieńczych orgiach seksualnych” Marianne...

– W takim razie rozumie pani kontekst. I to, jak ważna jest absolutna dyskrecja. Coś jeszcze?

– Mówili o strategii, która ma polegać na tym, że „wszystkiego się wyprą i wszystko zbagatelizują”.

– I ostatnie pytanie: dlaczego tak pani zareagowała na Grecję? Co pani wie o Grecji?

– Zapamiętałam słowo w słowo, jak wyraziła się Marianne: „To Pamplermousse puścił w obieg te zdjęcia. Przekazał je jednemu z tobie podobnych, który teraz ponoć pomaga Złotemu Świtowi w Atenach”.

Paul Hjelm pokiwał głową. Ta młoda dama zupełnie samodzielnie wykonała kawał świetnej

policyjnej roboty. Ryzykowała, ale nie było to śmiertelne ryzyko.

Spin doktor Laurent Gatien prowadził podwójną grę. Kontekst nie był do końca jasny – przyczyna i skutek pozostawały niewyraźne – ale poza tym nie było najmniejszych wątpliwości. To Laurent Gatien zadzwonił do Aten i ostrzegł Fabiena Fazekasa.

– Kiedy dokładnie odbyła się ta rozmowa Marianne ze spin doktorem? – spytał.

– Wczoraj, gdzieś między dziesięć po dwunastej a za pięć wpół do pierwszej.

Hjelm przyjrzał się leżącej przed nim na stoliku liście i powiedział:

– Gatien pierwszy raz zadzwonił do Grecji o dwunastej dwadzieścia osiem, potem jeszcze cztery razy, w tym raz na centralę Złotego Świtu, zanim o godzinie dwunastej czterdzieści dwie odbył ostatnią, najdłuższą rozmowę. Musiał to zrobić jeszcze w budynku Berlaymont.

– Chyba musiało tak być? – spytała entuzjastycznie Amandine Mercier.

– A jak zdobyła pani tę listę? Tylko proszę nie mówić, że jeden z pani byłych pracuje na kierowniczym stanowisku u operatora sieci komórkowych Mobistar.

– To już był kobiecy podstęp.

Amandine Mercier po raz pierwszy się uśmiechnęła i Paul Hjelm mimowolnie zrobił to samo. Nie musiał jej więcej naciskać. Nie widział żadnych luźnych tropów. Wstał.

Ona również wstała. Dopiero teraz zwrócił uwagę, jaka wydaje się zmęczona, mimo całej tryskającej z niej energii.

– Chce pani teraz wracać samochodem do Brukseli? Da pani radę przejechać sto osiemdziesiąt kilometrów po nieprzespanej nocy?

– Muszę. Marianne ma o dziewiątej pierwsze spotkanie. Muszę je przygotować.

– Nie może się pani godzinę przespać u swojego naczelnika poczty?

– Bez szans – roześmiała się Mercier. – Jest żonaty.

Rozstali się. Paul Hjelm obserwował ją, gdy wsiadała do swojego malutkiego samochodziku. Miała tyle energii, że pewnie poradzi sobie z tym dniem. Ruszyła i pomachała mu ręką. On też jej pomachał.

Wracając powoli do domu, przyglądał się swojej komórce. Dochodziło wpół do siódmej. Na całe szczęście na razie żadnych wieści z Amsterdamu. Z Węgier też nie. Zastanawiał się nad tym, jak ograniczyć szkody. Ile szkód zdąży w ciągu dnia wyrządzić spin doktor? Dziś Hjelm powinien poświęcić całą uwagę Amsterdamowi. Planowi Sifakisa i Navarro. Postanowił się wstrzymać z Laurentem Gatienem.

Obrzydliwy zdrajca.

Przy nim Brutus wydawał się porządnym gościem.

A potem uderzyła go pewna myśl. Wyjął z kieszeni listę połączeń od Amandine Mercier i przyjrzał się ostatniej pozycji. Najprawdopodobniej był to numer komórkowy Fabiena Fazekasa. Być może przyda się pewnej osobie, której los na razie pozostawał niejasny.

Wysłał Gunnarowi Nybergowi SMS-a z numerem Fazekasa i poszedł do domu.



Wątpił, czy jeszcze uda mu się zasnąć.

Gyöngyöspata, Węgry, 6 lipca

SYGNAŁ SMS-a powinien go obudzić. Ale Gunnar Nyberg już nie spał. Trzymał w ręce zapaloną zapalniczkę. Wokół niego pachniało benzyną.

Poprzedniego popołudnia, gdy wylądował samolot z Aten, padał deszcz. Tak jak się spodziewał, pierwsze minuty na Węgrzech okazały się ciężką próbą. Przerastało go zadanie równoczesnego obserwowania Fabiena Fazekasa i wypożyczenia samochodu. Skorzystał więc z wypróbowanej, starej metody. Przygotował się w samolocie, zagiął pod odpowiednimi kątami stalowe druty, naostrzył metalowe okucie, które oderwał od jakiejś walizki, i na parkingu lotniska Budapest-Ferihegy, gdzie poszedł za Fazekasem i jego towarzyszem, wybrał model takiego rocznika, z jakim potrafił sobie poradzić. Miał siedmio- czy ośmioletnią przerwę i musiał ją jakoś przeskoczyć. Kiedy już znalazł w ulewnym deszczu prastare, granatowe bmw – wciąż nie spuszczać z oczu Fabiena Fazekasa i jego łysego przyjaciela, przez cały czas rozmawiających jak starzy koledzy z klasy, którzy nie widzieli się od trzydziestu lat – mógł jedynie stwierdzić, że dawna zdolność niesłychanie szybkiego włamywania się do samochodu i uruchamiania silnika przez spięcie kabli go nie opuściła. Problemem w najbliższym czasie miało się natomiast okazać, że wóz nie był zbyt odporny na chłody. Zwłaszcza na niskie nocne temperatury w Europie Środkowej, mimo lata.

Ale o tym nie miał jeszcze pojęcia. Wiedział natomiast, że coś poszło nie tak, już gdy wyjeżdżali z lotniska. Czerwony volkswagen passat Fazekasa skręcił w lewo zamiast w prawo, na główną drogę. Znak drogowy wyraźnie informował, że centrum Budapesztu leżało na prawo i dojeżdżało się do niego drogą krajową numer cztery. Ale oni skręcili w lewo. W kierunku czegoś o niemalże tolkienowskiej nazwie Monor. Ale nigdy nie przybyli do Monoru. Zaledwie pół mili dalej czerwony volkswagen skręcił na północ, na autostradę E71, którą jechali przez kilkadziesiąt kilometrów, a później volkswagen znów skręcił w lewo, na północ. W tym czasie Gunnarowi Nybergowi przyszło do głowy wiele myśli.

Fantastyczny tytuł dla książki: *Nigdy nie przybyli do Monoru*.

Ale były też i ważne myśli. Nigdy wcześniej nie był na Węgrzech. Dla niego Węgry były wielkim, bohaterskim krajem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. To tutaj po raz pierwszy otwarto granice na Zachód. Już w maju osiemdziesiątego dziewiątego Węgrzy zburzyli ogrodzenie na granicy z Austrią i otworzyli przejścia, co doprowadziło do dziwnego, pokręconego upadku bloku wschodniego. Do upadku Związku Radzieckiego. I zawsze mu się zdawało, że Węgry są najbardziej zachodnim ze wszystkich krajów bloku wschodniego, tym, który za sprawą położenia w Europie Środkowej znajdował się najbliżej serca kontynentu. Austro-Węgry, Habsburgowie, Dunaj. Europa Środkowa.

I tak się też zaczęło. Węgry stały się przykładem integracji z Zachodem. Potem jednak nadeszły kolejne kryzysy. Bohaterowie rozmów przy okrągłym stole z nowo założonymi partiami opozycyjnymi latem osiemdziesiątego dziewiątego przeszli najróżniejsze przemiany. Konserwatywna partia Fidesz – Fiatal Demokraták Szövetsége, Związek Młodych Demokratów, założona między innymi przez dwudziestosześcioletniego wówczas Victora Orbána – zaczęła wyczuwać zmiany w węgierskim duchu narodowym i chciała za wszelką cenę je striangulować, zanim pojęcie triangulacji stało się obiegowym terminem politycznym. Zdali sobie sprawę, że tym, co porusza lud w nowym milenium, jest Jobbik, neofaszyści. Jeśli zamierzali się utrzymać przy władzy, trzeba było wyjść naprzeciw rasistom.

Jeszcze zaledwie tydzień temu Węgry sprawowały prezydencję Unii Europejskiej. W styczniu ponownie piastujący urząd premier Victor Orbán przemawiał w Parlamencie Europejskim w Strasburgu i spotkał się z aktywnymi protestami Grupy Zielonych. Zakleili sobie usta i trzymali puste afisze kilku węgierskich gazet z ukośnym czerwonym stemplem *Censured*. Był to protest przeciw nowej węgierskiej ustawie medialnej, niegodnej kraju o demokratycznych ambicjach. Media miały być teraz trzymane w szachu i wolno im było publikować jedynie budujące narodowego ducha informacje; w jeszcze większym stopniu dotyczyło to kultury. Kraj, który przez pół roku sprawował prezydencję w Unii Europejskiej, był na dobrej drodze do wprowadzenia cenzury z prawdziwego zdarzenia.

Przede wszystkim jednak pojawiało się coraz więcej milicji, samozwańczych stróżów prawa, chętnie noszących mundury przywodzące na myśl strzałokrzyżowców z czasów drugiej wojny światowej, oddziały wspomagające nazistów, które chętnie zaganiały węgierskich Żydów i wysyłały ich do obozów koncentracyjnych. Dotyczyło to Magyar Garda, Gwardii Węgierskiej, ale również noszących czarne stroje członków z grupy Szebb Jövöért Polgárör Egyesület, Gwardii Obywatelskiej na rzecz Lepszej Przyszłości, która rok temu w miejscowości Gyöngyöspata na północ od Budapesztu rozpoczęła regularną i długotrwałą wojnę z mieszkańcami, głównie Romami. Eskalacja nastąpiła w ostatnią Wielkanoc i doprowadziła do masowej ewakuacji Romów.

Nyberg nie musiał nawet patrzeć na znaki drogowe, by zrozumieć, że to właśnie tam zmierza czerwony volkswagen. Do Gyöngyöspaty.

Czuł się, jakby zmierzał do jądra ciemności.

Wciąż padało, ale już nie tak intensywnie. Niebo było monotennie stalowoszare, krajobraz surowy, drzewa w lesie chude, jakby zmęczone, a imponujące zarysy gór Mátra zbliżały się z każdą chwilą. W końcu wjechali do małego miasteczka, które nie liczyło więcej niż trzy tysiące mieszkańców.

Gunnar Nyberg zdecydowanie wolałby Budapeszt. Nieskończenie łatwiej byłoby się ukryć w dużym mieście. Gyöngyöspata była miastem nie tylko miniaturowym, lecz także czujnym. I im głębiej w to miasto wjeżdżali, tym bardziej stawało się jasne, że to nie wszystko. Było to miasto *okupowane*.

Na skutek czystek, które odbyły się w ostatnich miesiącach, Gyöngyöspata pojawiła się na międzynarodowej mapie. Miejscowość zamieszkiwało czterystu pięćdziesięciu Romów, z których dwustu siedemdziesięciu musiało opuścić swoje domy przed marszem prawicowych ekstremistów z grupy

Vederö; najwyraźniej tych skrajnie prawicowych grup było jak na pięćki. Ale to obecność innej podobnej organizacji wyraźnie zdominowała miasteczko. Były to ubrane na czarno karczycha z Gwardii Obywatelskiej na rzecz Lepszej Przyszłości, Szebb Jövöért Polgárör Egyesület, milicji blisko związanej z faszystowską partią Jobbik. Tymi, którzy mieli „zająć się” Fabienem Fazekasem, „ochronić go przed jakimś zagrożeniem”.

Zagrożenie, to znaczy Gunnar Nyberg, trzymało się na dystans. Na drogach miasteczka było niewiele samochodów, ale dość, by niepozorne granatowe bmw nie rzucało się w oczy tym, którzy jechali czerwonym volkswagenem – choć tyle zapamiętał z policyjnej roboty. Volkswagen skręcił w stronę północnych obrzeży miasteczka, mężczyźni w czarnych kurtkach coraz bardziej rzucali się w oczy – w grupach, zawsze w grupach, nigdy pojedynczo. W końcu czerwony volkswagen dotarł do wolnostojącej willi z wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, minął bramę strzeżoną przez ubranych na czarno mężczyzn i podjechał wysypaną żwirem ścieżką pod piętrowy budynek. Zaparkował tuż przy okazałej werandzie.

Nyberg przejechał swoim bmw przed bramą; strażnicy nawet na niego nie spojrzeli. Na szczęście z willą sąsiadowały tylko zapuszczone rudery i dało się nawet wjechać na zaniedbaną działkę obok, za w połowie rozwalony mur, który ukrył samochód przed ochroniarzami i mieszkańcami willi. Problem polegał na tym, że sam Nyberg też nic nie widział.

Wysiadł z samochodu i zbadał strasznie zaśmieconą działkę. Wyjrzał za mur i zorientował się, jak wygląda ogród przy willi. Obejrzał ziemię przed maską samochodu i doszedł do wniosku, że uda mu się podjechać jeszcze kilka metrów, jeśli odsunie parę wielkich kamieni, a wtedy będzie miał widok na willę z wozu. Tyle tylko że wtedy z willi będzie widać przód samochodu, jeśli komuś przyjdzie do głowy spojrzeć w tę stronę. Następne godziny – w deszczu, który przeszedł w strasznie wilgotną mgłę, jakby krople zatrzymały się w powietrzu i zawisły – poświęcił na zakamuflowanie miejsca, gdzie zamierzał postawić samochód. W końcu tam podjechał. To powinna być całkiem niezła kryjówka. A przez przednią szybę miał widok prosto na willę.

Może nie idealny, bo otaczał ją dwumetrowej wysokości płot z drutu kolczastego, z wyjątkiem tyłów, gdzie zaczynał się las wspinający się stopniowo po coraz bardziej stromych stokach gór Mátra. Nyberg nie widział co prawda najprawdopodobniej uzbrojonych ochroniarzy przy bramie, ale najważniejsza była willa. Najważniejszy był Fabien Fazekas. A on wciąż tam siedział. To było jego schronienie.

Gunnar Nyberg obserwował i myślał. Zamierzał siedzieć w samochodzie, póki nie dostanie jakichś wskazówek co do sytuacji wewnątrz budynku. Przede wszystkim liczby uzbrojonych ochroniarzy. A w najlepszym przypadku tego, gdzie w budynku może się znajdować Fazekas. Potem wybierze się na rekonesans. Ale szczerze mówiąc, nie wyglądało to zbyt różowo.

Zapiszczała jego komórka. To był SMS. Jego treść brzmiała:

„Raport o postępach?”.

Nyberg uniósł ironicznie lewą brew i odpisał:

„F w willi w Gyöngyöspacie, strzeżony przez ciężko uzbrojoną gwardię obywatelską. Obserwuję w kradzionym wozie. Postępy: takie sobie”.

„Potrzebujesz pomocy?”.

Gunnar Nyberg roześmiał się głośno i jego śmiech przez chwilę odbijał się echem w żalonym, granatowym bmw.

„Zdalna pomoc?” – wykombinował elegancką odpowiedź. Miło było przez jakiś czas pracować nad słowami.

„Co powiesz na zaawansowaną technologicznie zdalną pomoc?”.

Po wielkim cielsku Nyberga rozlało się coś zaskakująco ciepłego. Nie pozostawiono go samemu sobie. Mógł przeklinać Paula Hjelma za to, że do tej pory kazał mu się tak męczyć, ale przynajmniej nie zamierzał go opuścić. Czekał tylko na właściwą chwilę. Z drugiej strony mógł go chociaż uprzedzić.

„Bardzo chętnie” – pozwolił sobie odpisać.

„Adres?” – napisał Hjelm.

„Niestety nie mam. Stary kradziony wóz bez GPS-u”.

„OK. Trianguluję twoją komórkę. Czekaj”.

Gunnar Nyberg czekał. W tym czasie wyciągnął z plecaka swój laptop. Domyślał się, że mu się przyda. Ale nie chciał go jeszcze włączać. Wolał oszczędzać baterie. Spojrzał na komórkę, której właśnie używano, by go zlokalizować, i zastanawiał się, ile baterii mu zostało. Nie chciał stracić komórki. Zaczął się zastanawiać, czy w okolicach rudery jest jakieś działające gniazdko, ale doszedł do wniosku, że to bardzo mało prawdopodobne. Przypuszczał, że wiele będzie zależało od tego, czy będzie miał naładowany telefon.

Upłynął jakiś kwadrans. Potem przyszedł nowy SMS.

„Piszę SMS-y, bo to zużywa mniej baterii”.

Potrafisz też zdalnie czytać mi w myślach? – pomyślał Nyberg. Zdalne czytanie w myślach przez komórkę. Przydatna apka. Potem wziął się w garść, zobaczył, że komórce zostało jeszcze na szczęście trzydzieści osiem procent baterii, i odczytał resztę wiadomości.

„Mapa pokazuje rudere, przy której jesteś. Duża willa na wprost. Ogródzona z trzech stron. To ta?”.

O zaawansowana technologio! – pomyślał Gunnar Nyberg i odpisał:

„Ta”.

„Masz internet?”.

„Jeśli pozwolisz mi się połączyć przez niewęgierskie 3G”.

„Daj mi parę minut, załatwię bezpieczne połączenie” – odpisał Hjelm. „Obraz satelitarny pod tym linkiem”.

Nyberg włączył laptop, połączył się z siecią i otworzył link. Na ekranie pojawił się obraz z góry. I rzeczywiście, to była ta willa, oglądana prosto z góry. Dostrzegł nawet zniszczone mury rudery i wyraźnie widział granatowe bmw. Miał nadzieję, że Szebb Jövöért Polgárör Egyesület nie ma dostępu

do tak zaawansowanej technologii.

„Widzę” – odpisał Nyberg, zamiast wszystkiego tego, co pomyślał.

„Dobra – odpowiedział Hjelm. – Sprawdzę jeszcze jedną możliwość, powinna działać”.

„Co?”.

„Nie chcę ci robić nadziei. Poczekaj”.

I tak się stało. Gunnar Nyberg odłożył laptop na miejsce pasażera i rozejrzał się po coraz ciemniejszym, wciąż spowitym mżawką świecie. Na balkon Willi od strony bramy wyszedł jakiś mężczyzna. Ubrany na czarno, z pistoletem maszynowym przewieszonym przez ramię. Zapalił papierosa. Nyberg spojrzął na laptop. Na obrazie widzianym z góry ten sam facet wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Najwyraźniej elektronika miała opóźnienie. Jakieś cztery sekundy.

„Ciężko uzbrojona gwardia obywatelska” wydawało się niestety właściwym opisem.

I nie było szans, żeby się dowiedzieć, ilu ich jest.

Upłynęła prawie godzina. Zaczął się obawiać, że stracił kontakt z Hagą. Obraz satelitarny umożliwił ogląd sytuacji, ale niewiele więcej. Szczerze mówiąc, jak na razie ta zaawansowana technologicznie pomoc nie za wiele pomagała.

A potem nagle obraz się zmienił. Te same kontury, ten sam dom, ale obraz wyglądał inaczej. Mury stały się ciemnofioletowe, a wewnątrz budynku nagle zaczęły się poruszać czerwone i żółte plamy. Poza tym jedna żółta była na balkonie. Największa i najintensywniejsza czerwona plama znajdowała się w bmw za rozwalonym murem.

„Jesteś najcieplejszy” – brzmiała treść SMS-a. I nie do wiary: smiley na końcu.

Gunnar Nyberg wybuchnął głośnym śmiechem. Było wyraźnie widać, że jest najcieplejszy. I poczuł, że robi mu się jeszcze cieplej.

„Nie pytaj – napisał Hjelm. – Nazywa się to ponoć Advanced Spaceborne Thermal Emission and Reflection Radiometer. Jest ich sześciu?”.

Nyberg policzył plamy. Sześć, łącznie z facetem na balkonie. Pięciu plus Fazekas. Czterech plus Fazekas i jego łysy kolega. Cztery karczucha i dwóch na dole, przy bramie. Ci, którzy poruszali się po domu, byli prawdopodobnie ochroniarzami. Dwie nieruchome plamy znajdowały się obok siebie. Pewnie Fazekas i jego kumpel.

„Dwukondygnacyjny dom – napisał Hjelm. – Nie da się określić, na którym piętrze się znajdują. Szukam planów. Może to trochę potrwać”.

„Jak ci się udaje robić to wszystko po kryjomu?” – musiał zapytać Nyberg.

„To dlatego to trochę trwa” – odpisał Hjelm i zniknął.

Zapadła ciemność, nastąpiła noc. Deszcz się nasilił, chłód jeszcze bardziej. Nyberg wypakował swój lunch kupiony na lotnisku w Atenach. Żałosna strawa dla kogoś, kto od niedawna znów zaczął zwracać uwagę na to, co je. Lekko trzęsąc się z zimna, przeżuwał kanapki, orzechy i chipsy i popijał wodą mineralną. Spojrzął krzywo na pięć butelek napojów energetyzujących. Albo je wypije i przez całą noc

będzie czuwał, albo spróbuje się trochę przespać mimo niskiej temperatury w najwyraźniej zupełnie pozbawionym izolacji samochodzie. Jeśli tylko w willi nic się nie wydarzy. Nie mógł przecież tam wejść, gdy było tam tylu ciężko uzbrojonych ludzi. Może nocą. Może gdyby wszyscy spali. Ale w głębi serca musiał mieć nadzieję – *nadzieję* – na jakąś zmianę. I oczywiście czekać na plany.

Przyszły mailem o godzinie dwudziestej drugiej trzynastcie. Nie towarzyszył im SMS. A to zapewne oznaczało, że Paul Hjelm nie jest już sam i nie może swobodnie działać.

Gdy Gunnar Nyberg przeglądał plany willi, ruch w budynku zaczął się uspokajać. Kładli się spać. Mimo to było wyraźnie widać, że dwóch ochroniarzy robi obchody, choć już bardziej leniwie. Chodzili w tę i z powrotem, prawdopodobnie też do góry i na dół po schodach. Nie udałoby mu się tam dostać i nie zostać przy tym postrzelonym.

Było jeszcze wejście od kuchni. Jego rozmiar wskazywał na to, że nie są to mocne drzwi przeciwwłamaniowe. Znajdowały się od tyłu, od strony lasu, i prawdopodobnie dałoby się stosunkowo szybko otworzyć je wytrychem.

Zbliżył obraz domu na laptopie i poszukał kamer monitoringu. Jedną zainstalowano od frontu, nad głównym wejściem, kolejną niżej, przy bramie, i na ile potrafił ocenić, to by było na tyle. Gwardia Obywatelska na rzecz Lepszej Przyszłości okupowała to miasteczko od roku, ale w swojej głównej siedzibie – bo zakładał, że jest nią ta willa – najwyraźniej wciąż polegali głównie na tradycyjnej broni. Pistolety maszynowe, najprawdopodobniej klasyczne MP5 firmy Heckler & Koch, i pewnie stosunkowo dobrzy strzelcy.

Chociaż z drugiej strony to była milicja, gwardia obywatelska, odpady z rynsztoka napędzane frustracją nieudanym życiem. Czy mogli być profesjonalistami? Nie należało co prawda lekceważyć frustracji jako motoru zadawania innym cierpienia, oznaczała ona jednak z reguły przeciwieństwo chłodnego profesjonalizmu.

Gdzieś podczas tych rozważań jego mózg się zgubił i zapętlił. Zasnął. Obudził się kilka godzin później, nerwowo się wzdrygając. Było potwornie zimno. Zdrętwiał z zimna i bezruchu. Przez mrok przebijała smuga wstającego światła i widział zarysy willi, choć była to tylko sylwetka. W duchu dziękował Ludmile, że się uparła, by włączyć funkcję automatycznego wyłączania laptopa, bo gdy go teraz uruchomił, wciąż zostało w nim sześćdziesiąt procent życia.

Oznaki życia pojawiły się też w willi, choć o sześćdziesięciu procentach nie było mowy. Dzięki czerwono-żółtym plamom dało się odróżnić, gdzie byli ludzie i prawdopodobnie również którzy. Połączenie planów i termowizji wskazywało, że Fazekas i jego towarzysz śpią w jednym z pięciu pokoi na piętrze, tym najdalej od schodów. Pozostałe dwie nieruchome plamy znajdowały się w dużym przedpokoju, zapewne na dwóch łóżkach polowych albo czymś podobnym, tuż przy dużych drzwiach wejściowych. Spali, ale prawdopodobnie lekko i w ubraniach, z MP5 tuż pod ręką. Dwaj pozostali robili obchód dużej willi, pewnie głównie po to, żeby nie zasnąć. W nierównych odstępach czasu wracali do czegoś w rodzaju bazy w przedpokoju, gdzie spali ci drudzy. Chyba stał tam stół. Jak na razie nie widać

było żadnego sposobu, by tam wejść.

Zrozumienie przyszło we śnie, nie można tego było inaczej wyjaśnić. Bo wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego oczywistego faktu, że to *on* musiał doprowadzić do koniecznej zmiany.

Nikt inny, tylko Gunnar Nyberg.

W jego głowie powoli kształtował się plan. Cajsja Warg. „To się bierze, co się ma”. Co miał? Właściwie to nic. Może tylko samochód. Miał samochód z paliwem. Poza tym naprawdę *musiał* z niego wysiąść. Chciało mu się sikać i strasznie zeszywniał – jak długo właściwie siedział w tej pieprzonej lodówce?

Wypił trzy z pięciu napojów energetycznych i wysiadł. Wciąż padało, choć tak słabo, że można było odnieść wrażenie, że powietrze jest rozrzedzoną wodą. Powietrze jak rozcieńczona woda, pomyślał, prostując nogi. Opróżnił pęcherz, a potem obszedł działkę z rudera, gdzie walało się pełno śmieci. Działki przy ruinach zawsze były zaśmiecone – czy ludzie na całym świecie wrzucają różne rzeczy na opuszczone działki? Czy można powiedzieć, że to uniwersalna ludzka skłonność?

Z drugiej strony... może dałoby się to wykorzystać...? Ten metr węża, to wiadro, to stare frisbee, trzecią z kolei wyrzuconą zapalniczkę, która dla odmiany działała. W plecaku miał taśmę izolacyjną, a w samochodzie znalazł stare prześcieradło. Przymierzył frisbee do wiadra, tak, nada się jako wieczko, jeśli porządnie je przyklei taśmą izolacyjną. Odchylił klapkę wlewu paliwa, wsunął wąż do baku i pomyślał: to połączenie zaawansowanej i prymitywnej technologii jest nie do pobicia. Pora na prymitywną technologię. Zassał wężyk. Smakowało obrzydliwie. Po chwili benzyna zaczęła się sączyć do wiadra. Gdy było pełne prawie do połowy, przerwał i odrzucił wężyk. Umieścił odwrócone frisbee na wiadrze, położył na nim zapalniczkę, rolkę taśmy i stare prześcieradło, a na tym wszystkim postawił laptop. Podniósł na próbę. Tak, będzie w porządku, nawet przez las. Bo tam się teraz wybierał. Odstawił wszystko na ziemię przy samochodzie, pomacał kieszeń koszuli i kieszeń spodni. Komórka i wytrychy były na miejscu. Pora ruszać.

Szedł w pewnej odległości od ogrodzenia, zapuścił się kilka metrów w las i taszczył swój bagaż wśród wywróconych pni i głazów. Między drzewami ledwie widział tylną ścianę willi. Przystanął na wysokości kuchennych drzwi. Rzeczywiście były dość słabe. Tuż obok znajdowało się okno – zajrzał do kuchni, w której światło było zgaszone – ale w samych drzwiach nie było żadnej szybki. Skradał się dalej. Benzyna niepokojąco chlupała w wiadrze, ale nie wylewała się dzięki frisbee. Wreszcie zauważył koniec ogrodzenia z drutem kolczastym po drugiej stronie willi i zaczął iść wzdłuż niego w bezpiecznej odległości. Dotarł do drogi. Rozejrzał się. Żadnych oznak życia, ani z jednej, ani z drugiej strony. Kawalek dalej widać było bramę. Ani śladu ochroniarzy.

Postawił wiadro na poboczu drogi, jakieś pięć metrów od płotu. Zanurzył prześcieradło w benzynie i z całej siły wyjął. Dłonie cholernie bolały, ale się tym nie przejął. Przyszła pora, do diabła, wóz albo przewóz. Wsunął koniec prześcieradła do wiadra i przycisnął frisbee. Wwiercił się dłońmi w ziemię, natarł nią ręce i udało mu się jako tako pozbyć z nich benzyny. Potem przykleił frisbee taśmą izolacyjną,



najdokładniej przy szczelinie, gdzie prześcieradło wystawało z wiadra, i pociągnął resztę materiału do siebie, odsuwając się od drogi. Wciągnął brzuch i wsunął rolkę taśmy za pasek spodni na plecach. Potem porządnie wstrząsnął wiadrem z benzyną, nzbierał tyle drobnych gałązek, ile zdołał, i ułożył je dookoła naczynia.

To powinno wystarczyć. Starannie wybrał mały patyczek, mniej więcej wielkości wykałaczkii, tylko nieco dłuższy, i pomacał go. Trochę wilgotny od nocnego deszczu, idealny. Powinien go tylko odrobinę osuszyć, pomyślał, i obracał go przez chwilę w swoich wielkich paluchach. Położył patyczek na końcu nasączonego benzyną prześcieradła i powąchał ręce. Pachniały bardziej ziemią niż benzyną. Sprawdził, z której strony wieje wiatr. Wcale nie wiało, było bezwietrznie. Zerknął na laptop. Z czterech ochroniarzy dwóch wciąż leżało na domniemanych łózkach polowych tuż przy drzwiach, pozostali dwaj z dwóch stron zbliżali się do tego samego pomieszczenia, dużego przedpokoju, tam gdzie zapewne stał stół, przy którym mogli na przykład grać w karty, czekając na następny obchód.

Nyberg rozgrzebał ziemię i usypał kupkę luźnej gleby, w którą będzie mógł wsunąć dłonie, gdyby się zapaliły. Sprawdził zapalniczkę. Działała bez zarzutu. A dłonie się nie zapaliły. Znów spojrzał na laptop. Dwie ruchome plamy zatrzymały się w przedpokoju, obok siebie. Pewnie ochroniarze usiedli przy stole.

Bynajmniej nie był to właściwy moment, ale żaden właściwszy się nie pojawi. Wokół niego śmierdziało benzyną.

Znów zapalił zapalniczkę. Wtedy usłyszał sygnał SMS-a. Szybko go sprawdził. Od Hjelma. Numer na komórkę Fabiena Fazekasa. Na co mu to, do diabła?

Schował komórkę, zapalił mały patyczek, zobaczył, że chwyta płomień, rzucił się biegiem w stronę lasu, z laptopem w objęciach, i potężna, gorąca fala uderzeniowa cisnęła nim do przodu, tuż po cudownie głośnej eksplozji. Leżał na ziemi z otartymi łokciami, ale z uratowanym laptopem, i patrzył na ekran. Plamy przy bramie już były w ruchu. Tych dwóch przy stole wstało i znajdowali się przy ścianie domu, zapewne przy oknie, dwaj śpiący też wstali. Jeden z nich był na zewnątrz, na werandzie. Pobiegł za ochroniarzami spod bramy w stronę całkiem potężnego już pożaru.

Cholera, pomyślał zadowolony z siebie Gunnar Nyberg, biegnąc w las. Pamiętałem, jak zrobić bombę benzynową.

Gdy trzech z czterech ochroniarzy opuściło willę, zbliżył się do kuchennych drzwi. W budynku został jeden ochroniarz. Nyberg widział, jak dociera do punktu, w którym, jak przypuszczał, zaczynały się schody. Plama wchodziła po schodach. Nie, wbiegała. Poruszała się znacznie szybciej niż zwykle. Plamy na piętrze też się poruszały, Fazekas i jego towarzysz. Najwyraźniej kazano im zostać na górze. Ochroniarz wrócił na dół schodami. Ale wtedy Gunnar Nyberg był już przy samych kuchennych drzwiach i prawie otworzył je wytrychem. Wstrzymał się, gdy zobaczył czerwoną plamę wchodzącą do kuchni. Schylił się, by nie było go widać z okna. Plama była teraz właśnie tam, przy oknie. Przez chwilę się nie poruszała, jakby ochroniarz wyglądał na zewnątrz. Tuż nad głową Nyberga. Potem plama powoli, ale stanowczo zaczęła się zbliżać do drzwi. Nyberg czekał. Ruch był bardzo powolny. Wiedział, że gdy

ochroniarz dojdzie do drzwi, otworzy je. Ale jeszcze nie dotarł do celu. Zbliżał się. Będzie tam za cztery sekundy.

Niech to szlag, pomyślał Gunnar Nyberg i wstał. Opóźnienie, zdążył jeszcze pomyśleć. Elektronika była opóźniona o cztery sekundy.

A potem już więcej nie myślał. Odrzucił laptop i rozwalił kopniakiem drzwi. Ochroniarz poleciał razem z nimi, rąbnął mocno tyłem głowy o framugę. Nyberg podszedł do niego, zadbał o to, by omdlenie potrwało długo, i podniósł jego MP5. Chyba jeszcze pamiętał, jak się z tym obchodzić?

Ale niech go diabli, jeśli zamierzał do kogoś strzelać.

Teraz pozostawało pytanie, gdzie są Fazekas i jego towarzysz. Nyberg szybko minął kuchenne drzwi, tylko po to, by przekonać się, że laptop jest uszkodzony. Nie dawał żadnych oznak życia. Rzucił go w krzaki i wbiegł do środka z pistoletem maszynowym gotowym do strzału. Nasłuchiwał. Żadnych oznak życia prócz krzyków na ulicy. Pewnie o tym, żeby wymordować „całą tę cygańską hołotę”. Wszystko wskazywało na to, że Fazekas i jego kolega wciąż są na piętrze. Ale należało się pospieszyć. Mogli wyjść na balkon i zacząć machać do ochroniarzy. Wbiegł po schodach. Musieli słyszeć, jak rozwalił drzwi, na pewno byli przygotowani. Po drodze do pokoju, który leżał najdalej od schodów, wyjrzał na balkon. Pusto. Dopadł do drzwi i je również rozwalił kopniakiem.

Łysy siedział blady jak trup na łóżku trzy metry dalej i celował w niego z pistoletu. Broń drżała. Nyberg wymierzył w niego MP5 i ryknął po angielsku:

– Rzuć to albo giń!

Łysy rzucił pistolet, Nyberg podszedł do niego i rąbnął go swoim MP5. Kolega Fazekasa upadł jak powalona sosna.

Ale gdzie, kurwa, był Fazekas?

Szybko przeszukał pokój i wyszedł z powrotem na korytarz. Pozostało jeszcze pięcioro zamkniętych drzwi. Znów zbliżył się do balkonu, właściwie to było jedyne zagrożenie. Fazekasa tam nie było. Gdzie on się ukrył, do diabła?

Po jego twarzy przemknął szybki uśmiech, gdy wyciągnął z kieszeni komórkę i wcisnął szereg cyfr z ostatniego odebranego SMS-a. Zza jednych z drzwi rozległ się dzwonek. Nyberg domyślił się, że to toaleta, bo miała inny zamek. Czerwony wskaźnik mówił, że jest zajęta.

Fabien Fazekas zamknął się w toalecie.

Gunnar Nyberg westchnął cicho i rozwalił kopniakiem drzwi. Podszedł stanowczym krokiem do bladego jak ściana Fazekasa, który schował się w wannie za zasłoną prysznicza. Nyberg przewiesił pistolet maszynowy przez ramię.

– Dawaj zdjęcia – powiedział.

Fazekas tylko się na niego gapił. Nyberg zaciągnął go do pokoju. Teraz Fazekas gapił się na niedającego oznak życia łysego towarzysza, który leżał na podłodze.

– Zdjęcia – powtórzył Nyberg.

Fazekas sięgnął do otwartej walizki i wyjął kopertę. Nyberg szybko ją otworzył i naliczył trzy papierowe odbitki. Potem sięgnął za plecy do paska spodni. Fazekas się wzdrygnął, spodziewając się egzekucji. Ale Nyberg wyjął okazałą rolkę taśmy i obkleił nią Fabiena Fazekasa. Zarzucił go sobie na ramię, zniósł po schodach, wyszedł przez kuchenne drzwi, schylił się po niedziałający laptop i zataszczył cały ten kram przez las do samochodu po drugiej stronie rozwalającego się muru. Wszyscy ochroniarze wciąż zajmowali się pożarem. Wrzucił srebrzystą mumię na miejsce pasażera, a uszkodzony laptop na tylne siedzenie, spiął kable bmw i wyjechał z Gyöngyöspaty od drugiej strony.

Znów zaczęło padać.

Amsterdam, 6 lipca

TYM RAZEM nie zabraknie im ludzi. Paul Hjelm ściągnął do Amsterdamu cały podstawowy skład grupy Opcop, a krajowi przedstawiciele dostali własny lokal w siedzibie Europolu. Nie potrafił powiedzieć, czy to dlatego, że Kerstin Holm wstała z łóżka właściwą nogą, czy dlatego, że przez jeden dzień miała być szefową, ale wydawała się o wiele weselsza i była bardziej towarzyska podczas śniadania. Dopiero co podwiózł ją pod główną siedzibę Europolu i wyruszył do Amsterdamu, gdy zadzwonił telefon. Odebrał na zestawie głośnomówiącym.

– Hjelm.

– Nyberg – zabrzmiało lakonicznie w kabinie.

– Czy to, że rozmawiamy, zamiast SMS-ować, mam rozumieć jako dobry znak?

– Tak sądzę. Siedzę sobie w samochodzie i spoglądam na przepiękny, bardzo stromy wąwóz w regionie Węgry Środkowe. Fabian Fazekas siedzi obok mnie. Też uważa, że widok robi wrażenie. Przystało padać. Wygląda słońce.

– Cieszę się. Wszedłeś tam?

– Tak. Musiałem znaleźć jakieś rozwiązanie. Rozwiązanie Cajsy Warg. Mój laptop padł w akcji.

– Miałeś chyba kopię swojej powieści?

– Napisałem ją odręcznie. Ale mam nadzieję, że pokryjecie koszty naprawy.

– Z całą pewnością. Zdjęcia?

– Mam je. Były bardzo jednoznaczne. Mam też przekonujące zapewnienie Fazekasa, że jedyne kopie elektroniczne, z *wyjątkiem jednej*, były na jego komórce. Dokładnie ją wyczyściłem i wrzuciłem do wąwozu.

– Dlaczego przekonujące?

– W Atenach zrobiłem parę filmików. Fazekas bardzo wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie chce, żebym je wysyłał do głównej siedziby Złotego Świtu i partii Jobbik. Można to chyba nazwać okiem za oko. Zaszantażowałem szantażystę.

– Dobra. Ale została jeszcze jedna cyfrowa kopia?

– To naturalnie element niepewności, ale na pewno jest tylko ta jedna. Wysłał ją jakiemuś facetowi w Berlinie, którego uparł się nazywać Natz. Przy odrobinie perswazji udało mi się wydobyć prawdziwe nazwisko tego człowieka. Nazywa się Ignatius Dünnes i mieszka w dzielnicy Friedrichshain. Chcesz, żebym tam pojechał?

– Nie – odparł Holm. – Zajmę się tym.

– To miło – powiedział Nyberg. – Chcę już wracać do domu na Chios, do Ludmily. To już nie jest mój

świat. Na szczęście.

– Obawiam się, że to świat nas wszystkich – powiedział Paul Hjelm. – Czy tego chcemy, czy nie. Ale możesz dostąpić zaszczytu spalenia tych zdjęć.

– Z wielką przyjemnością. Mam dobrze działającą zapalniczkę. Co mam zrobić z Fazekasem?

– Jak wiesz, twoje zadanie jest nieoficjalne. Nie możemy go aresztować. Ale właściwie wszystko zależy od jego zleceniodawcy. Kto mu zlecił przeprowadzenie tego szantażu? Przypuszczam, że go wypytałeś?

– To było moje główne pytanie. Wisząc za nogi głową w dół nad trzystumetrowym wąwozem, zaklinał się na życie swojej matki, że zrobił to z własnej inicjatywy. Właściwie to zamierzano wykorzystać te zdjęcia podczas francusko-romskiego konfliktu rok temu. Fazekas pracował wtedy dla francuskiej partii konserwatywnej. Potem sam przeprowadził ten szantaż. Ale to oczywiście nie musi znaczyć, że mówi prawdę. Tylko że *jeśli* kłamie, to czegoś boi się bardziej niż tego, że mógł spaść i się zabić albo zostać zdemaskowanym jako gej wśród nazistów. Więc jeśli tak, to naprawdę strasznie się boi. To co mam z nim zrobić?

– Możesz go chyba zostawić przy tym wąwozie bez komórki? Jeśli ma pieniądze, portfel i paszport, to przecież możesz nakarmić nimi wąwóz. Sam zdecyduj, czy zostawisz mu ciuchy.

– Wąwóz okazał się bardzo pomocny. Zasłużył sobie na trochę smakołyków.

– Honorarium zostanie wypłacone jeszcze dzisiaj, z małą premią za ryzyko.

– Jestem ci bardzo zobowiązany – odparł Gunnar Nyberg i się rozłączył.

Paul Hjelm poczuł, że kąciki jego ust unoszą się w bardzo szerokim uśmiechu. Gunnar nie tylko załatwił to wbrew wszelkim przeciwnościom, ale do tego udało mu się przeżyć. I nie wydawał się nawet szczególnie przejęty.

Można by znów skorzystać z jego usług...

Nie. Dosyć takich myśli. Pozwól facetowi przejść na emeryturę. Pozwól mu spokojnie wkroczyć w następną fazę w życiu.

Naprawdę miał nadzieję, że powieść Gunnara była dobra.

Ale pisana odręcznie...?

Ignatius Dünnes, Friedrichshain, Berlin. Brakujący Natz. Czy stanowił rzeczywiste zagrożenie? Marianne podkreślała, że nie. Dlaczego? Gdy tylko czas mu pozwoli, dowie się, kim jest ten Ignatius Dünnes.

Ale zamiast tego zadzwonił Adrian Marinescu.

– Szefie?

– Tak? Jestem w połowie drogi z Hagi. Co się dzieje?

– Jeszcze nikt się nie zjawił – powiedział Marinescu. – Navarro i Sifakis śpią na podwójnym łóżku pani Bezuidenhout. Chrapią w duecie. Chciałem tylko zaznaczyć, że Vlad, Ciprian i Silviu się obudzili. Niedługo jakiś dostawca przyniesie im śniadanie. Po prostu nie wiem, co mam robić, jeśli nagle wyjdą.

– Wkalkulowaliśmy takie ryzyko – powiedział Hjelm. – Żaden z nich jeszcze nigdy nie opuścił mieszkania przed dziesiątą. Teraz jest czternaście po ósmej. Zbieramy się u ciebie o dziewiątej. Ale jasne, obudź obu panów. Zanieś im śniadanie do łóżka.

– Ale ja...

– Żartowałem. Ale zadzwoń do tego baru co zwykle i złóż potrójne zamówienie. Mówię poważnie. Będą tego potrzebować.

– Dobra – powiedział Marinescu i się rozłączył.

– A w ogóle, to co za Silviu? – spytał Paul Hjelm, ale połączenie zostało już przerwane.

Jechał dalej. Autostradą jechało się niespodziewanie dobrze. Czy nie powinien był zaproponować podwózki któremuś ze swoich ludzi? Doszedł do wniosku, że nie, bo wtedy nie mógłby przeprowadzić tak szczerzej rozmowy jak dzisiejszego ranka. I może się zdarzyć, że w ciągu dnia będą potrzebować w Amsterdamie kilku samochodów.

W nocy, kiedy ostatni raz rozmawiał z Sifakisem i Navarro, przedstawili mu ostateczny plan. Brzmiało to doskonale. Miał nadzieję, że niczego nie zmienili. Trzech drani do śledzenia. Po dwa ogony na jednego drania, sześć osób w terenie: Kowalewski, Hershey, Balodis, Bouhaddi, Bruno i Sifakis, przy czym ten ostatni miał nimi wszystkimi dowodzić. Jutta i Arto w mieszkaniu, z uniwersalnym czytnikiem pasków magnetycznych od techników, który *powinien* zadziałać. Sam Paul Hjelm jako podejmujący decyzje w mieszkaniu wdowy po armatorze, razem z koordynatorem Navarro i tłumaczem Marinescu. A Kerstin Holm jako szefowa na miejscu w Hadze. To powinno zadziałać.

Gdy dotarł do mieszkania nad Lauriergracht, ku jego zdziwieniu byli już na miejscu. Wszyscy. W salonie wdowy było ciasno. Jedli śniadanie. Słyszeć było ochocze mlaskanie.

– Przeprowadziliśmy już odprawę – powiedział Navarro, z połową croissanta w ustach. – Znasz przecież plan na pamięć, szefie.

– Żadnych zmian?

– Nie – odparł Sifakis. – Wszyscy idą do Café Tulp, choć istnieje ryzyko, że nasza trójka rozdzieli się zaraz pod drzwiami. Jeśli tak będzie, to śledząca para będzie musiała ich dogonić.

– Mamy przecież teraz sześć mikrofonów kierunkowych, które wyglądają jak komórki – powiedział Navarro. – Będziemy mieli sześć ścieżek dźwiękowych, więc wszystko będzie nagrywane, ale w czasie rzeczywistym będzie bałagan, choćby dlatego, że mamy tylko jednego tłumacza. Dlatego musimy ograniczyć używanie mikrofonów. Jeśli chcecie mieć pierwszeństwo, wyraźnie zaznaczajcie, że to ważne. Powiedzcie po prostu: „Ważne”. Zaczynicie od słowa „ważne” i dostaniecie priorytet, wtedy będziemy w czasie rzeczywistym odsłuchiwać i ewentualnie tłumaczyć. W wyjątkowych przypadkach jakoś sobie poradzimy z dwiema ścieżkami dźwiękowymi. Jeśli chodzi o pozostałe rozmowy, mamy pięć numerów komórkowych do tych pięciu telefonów, które będziemy tutaj obsługiwać. Zawsze można się z nami połączyć tu w centrali.

– Namierzamy też wszystkie pary – powiedział Sifakis. – Kolor zielony i czerwony. Jedna osoba

z pary to zielony, pulsujący punkt, druga to czerwony. Kiedy będziecie siedzieć w Café Tulp, zrobi się z was jedna, czerwono-zielona plama. Potem będzie już wyraźniej widać.

– Balodis i Kowalewski biorą Vlada – powiedział Navarro – Hershey i Sifakis Cipriana, a Bouhaddi i Bruno biorą Silviu. Jakies pytania?

– Ja mam pytanie – powiedział Paul Hjelm.

– Tak? – spytał Navarro.

– Kto to, u diabła, jest Silviu?

Ruszyli. Zmienili się w czerwono-zieloną plamę w Café Tulp, ale zaraz wyraźnie się posortowali w czerwono-zielone pary, zapewne przy różnych stolikach. Jednej z par, nie wiadomo której, udało się zająć stolik przy oknie.

Hjelm usiadł na krześle między Navarro i Marinescu. Sięgnął po kanapkę i cappuccino w papierowym kubku i podregulował obraz na monitorze. Kliknął na obraz i powiedział:

– Halo?

– Szef się do nas pofatygował we własnej osobie?

– U mnie wszystko w porządku, co u was?

– Doskonale – powiedział Arto Söderstedt. – Jesteśmy naładowani. To znaczy Jutta jest naładowana. Ja jestem taki jak zwykle.

– Niczego innego nie oczekuję – odparł Paul Hjelm. – Połapaliście się w tych czytnikach pasków magnetycznych?

– Oddaję głos Jucie – oznajmił Söderstedt, po czym na ekranie pojawiła się Beyer.

I wyjaśniła:

– Paski magnetyczne to właściwie bardzo stara technologia, relikw z czasów magnetofonów szpulowych i kaset. Według naszych techników ta technologia jest dość jednolita, choć zaintrygował ich ten skaner. Na pasku magnetycznym nie ma żadnych substancji światłoczułych. Prawdopodobnie jest to podwójne rozwiązanie technologiczne, pasek magnetyczny nasączono czymś w rodzaju światłoczułego lakieru, co również jest bardzo starą techniką, i można go aktywować jako jedynekę albo zero. Skaner pewnie po prostu sprawdza, czy jest tam jedynekę, i zapewne musi zostać aktywowany przez każdego pojedynczego dostawcę. Prawdopodobnie przez każdego krajowego szefa szajki żebrackiej.

– Czyli summa summarum powinniście być w stanie odczytać te paski?

– Tak. Nasze czytniki powinny być uniwersalne. Uwzględniono wszystkie znane warianty technologiczne.

– Dobra – odparł Hjelm i odchylił się na oparcie krzesła.

Siedział tak przez ponad godzinę. Powinno to być irytujące, ale nie było. Miał do przemyślenia dość spraw, by zapewnić mózgowi zajęcie. Fazekas, Gatien, Barrière – o co właściwie chodziło w tym szantażu? Czy za Fazekasem kryło się coś znacznie grubszego, nie francuska partia konserwatywna, tylko coś innego, o wiele groźniejszego? Coś, co przerażało go bardziej niż naziści, dla których pracował,

bardziej niż sama śmierć? A może naprawdę pracował na własną rękę? Ale co z Gatiennem? Spin doktor jakimś cudownym sposobem zdołał zdobyć poparcie dla projektu ustawy Barrière. Dlaczego miałby rujnować własną, imponującą robotę? Czy naprawdę ktoś go podkupił? A może raczej mu grożono? Jeśli tak, to czy również chodziło o coś grubszego? Czy jego zadanie polegało nie tylko na tym, by doprowadzić Marianne Barrière do upadku, lecz również ten upadek miał być tak wielki, żeby już nigdy nie była w stanie się podźwignąć? Jeśli tak, to dlaczego? Wszystko wydawało się sprowadzać do projektu ustawy. Czego mógł dotyczyć? Najwyraźniej środowiska – co dawałoby jej możliwość wygłoszenia wielkiego przemówienia o przyzwoitości w polityce. Ale co to miało być? Jakiś zakaz? Jeśli tak, to zakaz czego? Czegoś dużego, naprawdę dużego. Co było na świecie naprawdę ważne? Jakie były największe firmy na świecie? Jego myśli pomknęły – sam nie wiedział dlaczego – do Sztokholmu. Do raportu o tym, że jego najlepszy przyjaciel został obezwładniony paralizatorem – choć Jorge wydawał się rzeński, niemal ożywiony, jakby od porażenia prądem rozjaśniło mu się w głowie. Mówił szybciej niż kiedykolwiek dotąd. Ale najbardziej interesujące było to, co się stało w Królewskim Instytucie Technologicznym. Ten profesjonalizm. Coś takiego spotkało zespół badawczy finansowany przez Unię? Badacze nie zdążyli jeszcze o niczym opowiedzieć, wydawali się przerażeni, siedzieli pozamykani jak w areszcie. Jakaś technologia chemiczna. Czy to tylko jego niewyspany mózg widział coś, co nie istniało? Nowe, zaawansowane drzwi przeciwwłamaniowe, błyskawiczny montaż. Do diabła, to przecież miało sens! Co takiego mówili Sara i Jorge? „Optymalizacja elektrolitów”? Co to było, do cholery? Ze słowem „elektrolit” kojarzyły mu się tylko akumulatory. Ciecz, dzięki której akumulatory samochodowe mogą wytwarzać prąd. A więc być może optymalizacja elektrolitów prowadziła do stworzenia najlepszych możliwych akumulatorów. Najlepszych akumulatorów samochodowych. A w świecie badawczym toczyła się przecież dyskusja o wyprodukowaniu tak dobrych akumulatorów, by mogły napędzać samochody bez udziału paliwa. Ten zamordowany w Sztokholmie duński profesor. Zamordowany przez profesjonalistę. Bo był bliski rozwiązania? Wynalezienia sposobu wyeliminowania benzyny? Bo pracował na zlecenie Unii, na zlecenie Marianne Barrière? Marianne Barrière zamierzała przedstawić projekt ustawy o samochodach z napędem elektrycznym. Projekt ustawy, który w ten czy inny sposób dotyczył używania w Europie samochodów na benzynę i z silnikami Diesla. Projekt, który – niech to diabli! – zagrażał największym firmom na świecie.

Koncernom paliwowym.

– Ruszyli.

– Co? – spytał Hjelm.

– Nie chciałem ci przeszkadzać, szefie, ale nasza trójka jest w ruchu.

Hjelm popatrzył na Navarro, jakby widział go pierwszy raz w życiu. Spróbował się przełączyć do innego świata, do innej rzeczywistości. Zobaczył Włada, Cipriana i Silviu, jak wychodzą na ulicę – była to perspektywa z kamery przy oknie, trzy metry przed nim. Dopiero wtedy w końcu osiadł w tej rzeczywistości. Założył słuchawki i zobaczył ruch na ekranie Navarro, czerwone i zielone pulsujące



punkty.

– *Stand by* – powiedział Navarro przez mikrofon. – Cała trójka wyszła.

Liczyli na to, że wszyscy trzej skręcą teraz w prawo i miną Café Tulp, kierując się do centrum.

I z początku tak się też stało. Marinescu stał przy teleskopie i śledził ich poza zasięgiem kamery.

– Silviu podnosi rękę – powiedział Marinescu.

– Rękę – zdumiał się Navarro.

– Przywołuje taksówkę.

– Niech to szlag! – zaklął Navarro i włączył mikrofon. – Corine i Donatella, Silviu bierze taksówkę.

Czyj samochód stoi najbliżej?

– Mój – odezwał się Kowalewski z Café Tulp. – Stoi tuż przy wejściu. Mam go przejąć?

– Nie zmieniamy planu. Daj kluczyki Corine. Ale Corine, nie możecie ruszyć, dopóki Vlad i Ciprian was nie miną.

– I równocześnie mamy śledzić taksówkę, która teraz niknie w oddali? – rzuciła sceptycznie Corine Bouhaddi.

– Dajcie z siebie wszystko. Jutta i Arto, wchodźcie.

– Jesteśmy w drodze – powiedziała Jutta Beyer.

Zobaczyli Beyer i Söderstedta włamujących się do mieszkania, a równocześnie pulsujące punkty – czerwony i zielony – wypadły z Café Tulp i zaczęły się szybko przemieszczać na północ wzdłuż Prinsengracht. Mieli nadzieję, że Bouhaddi i Bruno dogonią taksówkę Silviu.

Zaraz potem pozostałe cztery pulsujące punkty wyszły nad Lauriergracht i zaczęły się przesuwać w różnych odległościach od siebie do końca ulicy, tam gdzie zaczynało się Prinsengracht. Skręciły na północ.

– Wzorzec jest taki sam – powiedział do mikrofonu Navarro. – Jeśli się okaże, że skręcą na most w kierunku Reestraat, to proponuję, żeby Angelos ruszył dalej wzdłuż Prinsengracht i ustawił się w kolejce do Domu Anny Frank.

– Całkowicie zgodnie z planem – stwierdził chłodno Sifakis.

Pierwszy pulsujący punkt, ten czerwony, skręcił na most. Kolejny czerwony i zielony ruszyły za nim. Zielony punkt, który pozostał, poruszał się dalej prosto. Trzy pozostałe dotarły do kolejnego mostu, tam, gdzie Reestraat przechodziła w Hartenstraat. We wszystkich słuchawkach rozległ się głos Balodis:

– Ważne. Jest dokładnie tak jak poprzednio. Ciprian skręcił i idzie wzdłuż Keizersgracht, Vlad – dalej prosto Hartenstraat.

Jeden z czerwonych punktów skręcił nad Keizersgracht; to Hershey oddzieliła się od Balodis i Kowalewskiego. Drugi zielony punkt ich wyprzedzał, Sifakis był już prawie przy Domu Anny Frank. Ciprian poruszał się według tego samego wzorca co ostatnim razem, zmierzał do placu Westermarkt, przechodził przez ruchliwą ulicę. Po drugiej stronie Hershey widziała trójkątny Homomonument na wodzie. Pod mostem właśnie przepływała jedna z płaskodennych łodzi turystycznych, kwartał dalej

zielony pulsujący punkt Sifakisa się zatrzymał. Stał w kolejce do Domu Anny Frank. Wycieczkowa barka sunęła w stronę nabrzeża, Ciprian szedł dalej, przystanął, czekał, żeby przejść przez Westermarkt. Monumentalna wieża Westerkerk pięła się ku błękitnemu niebu. Miriam Hershey zmniejszyła dystans. Widziała bardzo wyraźnie, że zmierzają do Domu Anny Frank. Pora na kolejną profanację. Prawie dogoniła Cipriana, gdy nagle obejrzał się przez ramię. Zobaczył ją, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Pytanie brzmiało, czy skojarzy ją z ostatnią wizytą w Domu Anny Frank. Wykluczone. Wtedy jej nie widział. Nie tak naprawdę. Musiała iść dalej w stronę Westermarkt, nie patrząc na niego. W ruchu ulicznym pojawiła się luka, ale nie przeszedł na drugą stronę, stał dalej. Hershey ogarnęły złe przecucia. Nie mogła jednak nic zrobić, musiała dalej iść w jego stronę. Gdy stali obok siebie przy przejściu dla pieszych, zrozumiała, że jest spalona. Wysoki mężczyzna w zbyt szerokiej marynarce nawet się do niej uśmiechnął. Odpowiedziała mu uśmiechem i gdy światło zmieniało się na zielone, przeszła przez ulicę. Ciprian stał dalej. Zerknął w prawo. A potem ruszył. Nie był to bieg, raczej powolny jogging. Hershey zobaczyła, jak wskakuje na wycieczkową barcę. Łódź odbiła od brzegu w tej samej chwili, gdy znalazł się na pokładzie.

– Ważne – powiedziała do mikrofonu.

– Słucham? – odezwał się Navarro.

– Ciprian jest bez nadzoru, wskoczył przy Westermarkt na barcę płynącą na południe. Jestem spalona jako ogon.

– Angelos! – zawołał Navarro. – Anna Frank odwołana. Dasz radę dobiec do następnego przystanku barki? Gdzie to w ogóle jest?

– Niech to diabli – rzucił Sifakis.

– Cała naprzód, na południe – ponaglił go neutralnym tonem Navarro. – Ktoś wie? Następnym przystanek barki?

Hjelm szukał na komputerze, ale było to praktycznie niewykonalne. Nie sposób było ogarnąć wszystkich tych barek i firm.

– Wszystko zależy od tego, jaka to była linia – dobiegł do nich z eteru głos Jutty Beyer. – Stawiałabym na przystań na Leidsegracht.

– Kilometr – powiedział Hjelm i poczuł, że jest szybki. – W dół wzdłuż Prinsengracht, piąty most na lewo.

– Całe szczęście, że wzięłem buty do biegania – powiedział Sifakis.

– Miriam, skoro jesteś spalona, wracaj do bazy – powiedział Navarro.

– Cholera – warknęła Hershey. – Nie przewidziałam tego. Mogłam po prostu usiąść na ławce. Zakładałam, że idzie do Domu Anny Frank.

– Nikt nie mógł tego przewidzieć – powiedział Hjelm. – Wracaj tu.

– Jutta, skrytka w kuchni? – spytał Navarro.

– Szukamy.

– Szukacie? – zdziwił się Navarro i przywołał kliknięciem obraz z mieszkania po drugiej stronie kanału. Widać było część kuchni i stojącego nieruchomo Arto Söderstedta.

– Arto nie wygląda, jakby szukał – stwierdził Paul Hjelm.

– Nawet jeśli jest jakaś skrytka w tej podłodze – odezwał się Söderstedt – to nie da się jej otworzyć bez narzędzi. Muszą mieć jakieś specjalne narzędzie.

– Pracujcie dalej. Laima i Marek, jak to wygląda?

– Identycznie – odpowiedziała Laima Balodis w słuchawkach. – Vlad właśnie mija wielki plac Dam.

Wybiera się do Red Light District albo do Oude Kerk. Albo do obu. Marek liczy na to pierwsze.

– Ważne – powiedział Marek Kowalewski. – To nieprawda. Jestem Polakiem.

– Nie nadużywać słowa „ważne” – pouczył go tonem księdza Navarro.

– Znalazłam uchwyt – zameldowała Jutta Beyer. – W szufladzie w kuchni. Arto go teraz testuje.

Sądzymy, że znaleźliśmy małe otwory w podłodze, gdzie będzie pasował.

– Właśnie sprawdzam – powiedział Arto Söderstedt.

Navarro próbował zobaczyć ich na ekranie, ale to miejsce naprawdę było poza zasięgiem obiektywu.

– Dobra – odezwał się Söderstedt. – Skrytka otwarta. Fotografuję listy. Jutta wyciąga paski magnetyczne.

– Dużo tam tego? – spytał Navarro.

– Sporo – odpowiedział Söderstedt. – Wystarczająco. Ale na pewno część dziś ze sobą zabrali. Kiedy wychodzą, doręczają jakieś rzeczy, to oczywiste.

– Na przykład Ciprian – powiedział Navarro. – Jaka sytuacja, Angelos?

– Biegnę najszybciej, jak mogę, nie zwracając na siebie uwagi – odezwał się zdyszany Sifakis. –

Powinniśmy się przebierać za ludzi uprawiających jogging.

– Może to niezły pomysł na przyszłość – stwierdził Navarro i dodał złośliwie: – Pospiesz się.

– Ważne – rozległo się w słuchawkach. To był głos Donatelli Bruno.

– Tak, Donatello? – powiedział Navarro.

– Silviu wysiadł z taksówki przy Vlothaven. To rejon portowy. Strasznie stoczniowa okolica. Wciąż siedzimy w wozie. Idzie wzdłuż nabrzeża. Widzicie nas?

– Tak – odparł Navarro, wpatrując się w czerwony i zielony punkt ponad pięć kilometrów na północ od centrum.

– Odbywa się tu załadunek wielkich statków – powiedziała Bruno. – Gigantyczne żółte dźwigi. Dość obskurny rejon portowy. Silviu idzie wzdłuż wielkiego magazynu tuż przy nabrzeżu.

– Jest tam dość ludzi, żebyście się nie rzucały w oczy?

– Głównie robotnicy portowi, ale chyba i tak powinniśmy wysiąść. Może się nam wymknąć w każdej chwili. Ruszamy, obie.

Wokół unosiła się charakterystyczna woń portu, połączenie zapachu benzyny, smoły i wodorostów. Silviu zdecydowanym krokiem szedł wzdłuż nabrzeża. I nagle zniknął, jakby pochłonęła go ziemia. Albo

morze. Bouhaddi dała znak Bruno i weszła do magazynu po lewej stronie. Donatella Bruno szła dalej nabrzeżem i próbowała dokładnie ustalić, gdzie zniknął Silviu. W długim budynku pojawiła się duża, czarna dziura. Zajrzała tam. Nic nie zobaczyła. Wsunęła się w ciemność.

Gdy jej wzrok przyzwyczał się już do ciemności, wrażenie opuszczonego pomieszczenia przemysłowego tylko się nasiliło. Kontenery, liny okrętowe, wielkie łańcuchy, ogromne podziurawione boje, ale również tory kolejowe, które pozornie bez sensu prowadziły prosto nad samą wodę. Wyraźny zapach fabryki, metalu, paliw, oleju smarowego. I cisza. Donatella Bruno nasłuchiwała. Żadnego dźwięku. Dziwna atmosfera opuszczenia. Czy w rejonie portowym nie powinna trwać gorączkowa aktywność? A potem nagle jakby jakiś dźwięk, sącząca się strużka fal akustycznych. Ruszyła w stronę tego dźwięku, nasilił się, to były głosy, rozmowa w języku, którego nie rozumiała. Przykucnęła za metalową konstrukcją, której za nic nie byłaby w stanie opisać, i wyjrzała.

Zobaczyła Corine Bouhaddi kilkanaście metrów dalej, skuloną za podobną metalową konstrukcją, i wtedy zdała sobie sprawę, że ten dźwięk, te głosy nie dobiegały z zewnątrz, tylko ze słuchawki w jej uchu, z atrapy komórki, którą Bouhaddi wyciągała w stronę dwóch mężczyzn stojących przy ścianie i prowadzących cichą rozmowę. Najdziwniejsze było to, że nie był to rumuński, ani nawet flamandzki, i Marinescu milczał. Ale w uchu Donatelli Bruno odezwał się głos Paula Hjelma:

– O cholera, gadają po duńsku.

– Dobra – stwierdził Navarro. – Możesz przetłumaczyć, szefie?

– „Ogarnijcie się, kurwa, w tej Kopenhadze. To największe miasto na północy, nie możemy mieć takich kiepskich wyników. W Aarhus, Aalborg i Randers jest w porządku, w Odense i w Esbjerg przyzwoicie, ale pieprzona Kopenhaga jest większa niż one wszystkie razem wzięte”. „Wiem, nie umiem tego wyjaśnić. Cynizm wielkiego miasta? Musimy dorzucić trochę ludzi, nasilić działania. Możemy ich dostać ze Szwecji albo z Norwegii?”. „Niech to szlag. Kilka dni temu mieliśmy uciekiniera w Sztokholmie. Trzeba to ukrócić. Musicie zmienić priorytety. Następnym razem dziesięć procent przyrostu. Masz”.

– Masz? – spytał Navarro.

– Podaje mały plastikowy woreczek, w którym coś jest – szepnęła Bouhaddi. – Myślę, że to paski magnetyczne.

– Na to wygląda – szepnęła Bruno.

– Pierwszy raz słyszeliśmy coś takiego – stwierdził Navarro.

– Rozchodzą się – powiedziała Bouhaddi. – Daję nura.

– Chyba zdołam dotrzeć do samochodu, zanim wyjdą – szepnęła Bruno.

– Żadnego ryzyka – powiedział Navarro i zwrócił się do Hjelma: – Czyli Silviu umie mówić po duńsku?

– Nie słyszałem wyraźnego akcentu – odparł Hjelma. – Pewnie długo mieszkał w Danii.

– I na pewno był na bakier z prawem – odparł Navarro. – Widziałem *Dealera*. Dania to brutalny kraj.

- No tak – mruknął Hjelm.
- Silviu ma teraz kopertę bąbelkową – syknęła Bouhaddi.
- Widzę barkę – rozległo się w słuchawkach.

Hjelm poczuł się zupełnie zdezorientowany, ale Navarro natychmiast odnalazł się w sytuacji.

- Angelos, wszystko w porządku? – spytał.
- Zdążyłem przed nią – wysapał Sifakis. – Zbliża się.
- Dużo tam ludzi? – spytał Hjelm.

– Sporo – poinformował Sifakis. – Szukam kogoś, kto by przypominał naszego Włocha. Na razie nikogo takiego nie widzę.

– Mamy tylko jeden samochód – powiedziała Donatella Bruno. – Mamy śledzić Silviu czy Duńczyka?

– Przecież właśnie tego staraliśmy się uniknąć – powiedział Hjelm. – Musimy śledzić Silviu, Arto i Jutta wciąż są w mieszkaniu. Duńczyk jest mniej ważny. Któraś z was zrobiła mu zdjęcie?

– Tak – odpowiedziała Bouhaddi i Bruno posłała jej w samochodzie wymowne spojrzenie. Kilkanaście metrów od nich przeszedł właśnie Silviu. Wszystko wskazywało na to, że w tej okolicy będzie mu trudno znaleźć taksówkę.

– Podeślij – polecił Hjelm.

– Łódź właśnie przybija – informował Sifakis, który zdążył już uspokoić oddech. – Wsiadam. Widzę Cipriana na rufie.

– Jest sam? – spytał Navarro.

– Na to wygląda – potwierdził Sifakis.

Wtedy za plecami Hjelma i Navarro szcęknęły drzwi. Miriam Hershey weszła i pokręciła głową. Wskazali jej czwarte i ostatnie miejsce przy szerokim biurku. Opadła na nie ciężko.

– Nie wybiera się do Oude Kerk – rozległo się w słuchawkach.

– Nie? – dopytywał Navarro.

– Nie – potwierdziła Laima Balodis. – Vlad właśnie mija katedrę. Teraz jest dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej wrzucił do kanału kartę SIM.

– Dobra – powiedział Navarro. – Siedźcie mu na ogonie.

– Wstaje jakiś mężczyzna – zakomunikował Sifakis. – To może być on.

– Pogadaj z sąsiadem na ławce – rzucił Hjelm.

– Co? – zdziwił się Sifakis.

– Nie bądź samotnym mężczyzną na łodzi wycieczkowej. Za dziwnie to wygląda. Porozmawiaj z kimś. I wyślij zdjęcie, jeśli ci się uda. Udawaj, że coś robisz.

Sifakis umilkł. Po kilkunastu sekundach przyszedł MMS. Zdjęcie uśmiechniętego Angelosa Sifakisa z rufą barki w tle. Sam wyszedł bardzo ciemno, wyostrzył za to rufę. Na końcu barki wyraźnie było widać Cipriana. Jego spojrzenie utkwione było w mężczyźnie, który się do niego zbliżał. Ale jeśli chodzi o mężczyznę, widać było tylko plecy.

Hjelm szybko załadował zdjęcie na ekran i wskazał na nie.

– To on? – spytał Hershey.

– Trudno powiedzieć – odparła. – Może. Ma tę samą budowę. Podobny, elegancki, szyty na miarę garnitur.

Znów zapiszczała komórka. Kolejne zdjęcie. Mężczyzna za plecami głupio uśmiechniętego Sifakisa zdążył się odwrócić. On i Ciprian byli zwrócenii twarzami do siebie.

– Odwracają się – szepnął Sifakis. – Spróbuję się zbliżyć. Ważne. Próbuję wychwycić rozmowę. Słuchajcie.

Na monitorze pojawiło się drugie zdjęcie.

– Do diabła, jasne, że to on – powiedziała Hershey.

– Znasz włoski, prawda? – spytał Hjelm.

– Niewystarczająco dobrze.

– To tak jak Ciprian. Teraz słuchaj.

– Ciprian mówi: „Jakieś nowe rozkazy?” – powiedziała Hershey. – „Nie, wszystko działa. Nic o pozostałych?”. „Kontakt z projektem URKA”. „To wszystko?”. „Tak”. „Nowy priorytet to plan G”. „Będziemy czujni”. „Dobrze. Tu są osobiste instrukcje”.

– Barka właśnie opuściła Leidsegracht – szepnął Sifakis. – Skończyli rozmowę. Wykonali taki ruch, jakby podawali sobie obie ręce. Miałem wrażenie, że w obu rękach mieli jakieś przedmioty, drobne przedmioty, i je wymienili. Pewnie paski magnetyczne. Na następnym przystanku się rozdziela. Spróbuję sprawdzić, gdzie to będzie. Ktoś może tam być?

– Cholera – zakląła Hershey. – Jestem przecież spalona.

– Jesteś spalona dla Cipriana, nie dla Włocha – zauważył Hjelm. – Weź mój wóz, jedź wzdłuż Keizersgracht, miń Leidsegracht. Prędzej czy później ta pieprzona barka się zatrzyma. Tu masz kluczyki, samochód stoi tuż przy tylnych drzwiach, pewnie z mandatem za parkowanie. Leć już.

Miriam Hershey ruszyła z energią człowieka, który dostał w życiu drugą szansę. Hjelm usłyszał, jak dodaje gazu nad Lauriergracht. Był lipiec, godzina jedenasta, ruch w Amsterdamie nie był duży, powinna zdążyć.

A potem pomyślał: „Nowy priorytet to plan G”.

W tej chwili tempo było absurdalne, nie było miejsca na zastanawianie się. Ale jakiś wysoko postawiony włoski mafioso właśnie powiedział, że jego współpracownicy mają dać priorytet temu planowi, planowi G. Paul Hjelm miał wrażenie, że dostrzega jego główne zarysy w Sztokholmie, w Brukseli, w Atenach, w pieprzonej Gyöngyöspacie. Plan G, którego jedynym celem było doprowadzić do upadku Marianne Barrière i jej projektu ustawy.

Zakręciło mu się w głowie. Musiał to od siebie odsunąć. Skupić się na teraźniejszości. Cała reszta później. W tej chwili musiał być tu i teraz. I w tej teraźniejszości Sifakis powiedział:

– Następnym przystanek to Vijzelgracht, tak twierdzi kapitan.

– Słyszałaś Angelosa, Miriam? – spytał Navarro. – Powtarzam: Vijzelgracht. Gdzie to jest? Ktoś ma?

– Szukam – odparł Hjelm, stukając w klawiaturę.

– Prosto na południe z centrum, niezbyt daleko od dużego kanału Amstel. Drugi most od strony Leidsegracht, jeśli jedziesz wzdłuż Keizergracht. Trzeci, jeśli jedziesz wzdłuż Prinsengracht. Miriam?

– Jadę wzdłuż Prinsengracht – parsknęła Hershey. – Dojeżdżam do Leidsegracht. Trzeci?

– Trzeci – potwierdził Hjelm.

– Jestem pewna, że to dokładnie ta sama droga – odezwał się jakiś głos i minęła chwila, nim Hjelm go zidentyfikował, ale wtedy Navarro zdążył już odpowiedzieć:

– W porządku, Laimo. A więc Vlad kieruje się do burdelu Red Red Love, dobrze to zrozumiałem?

– Na to wygląda.

– Do diabła, on tego nie robi dla zaspokojenia żadnej żądz! – wybuchnął Navarro. – Nie dlatego chodzi do burdelu w Red Light District. Jest tam *umówiony*. To jest biznes. Spotyka się tam z kimś.

Poprzednim razem też się tam z kimś spotkał.

– Już niedaleko – powiedziała Balodis. – Chcecie, żebym weszła?

– Absolutnie nie – odparł Navarro. – Ale Marek tak. Chcemy jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

– Czyli znów mam czekać na zewnątrz? – spytała Balodis. – I dostać kolejnych szesnaście propozycji?

– Będziesz wsparciem dla Marka. Jeśli coś się stanie tam w środku. Mam nadzieję, że masz przy sobie broń. I że przechowasz broń Markowi.

– Mówisz to tylko po to, żeby mnie udobruchać.

– Tu Hjelm – powiedział szef. – Felipe ma rację. W amsterdamskim burdelu może być sporo broni.

A Marek absolutnie nie może zabrać tam swojej.

– Ależ wypada tylko zgodzić się z twym jakże roztroprnym osądem – powiedziała Laima.

Hjelm usłyszał, że Navarro i Marinescu oraz kilku jego podwładnych w terenie wciągnęło głośniejsze powietrze. Uśmiechnął się. Choć był to trochę krzywy uśmiech.

– Ważne. Dotarłam – rozległ się głos Miriam Hershey. – I wydaje mi się, że widzę zbliżającą się barkę. Mam nadzieję, że się tu zatrzyma.

– Zatrzyma się – zapewnił Sifakis z barki. – Czyli teraz idę za Ciprianem. Miriam, pamiętaj, że od teraz twój obiekt jest najważniejszy, prawdopodobnie najważniejszy w całej tej sprawie.

– Mówisz to tylko po to, żeby mnie udobruchać – burknęła Hershey.

– Surykatki – powiedziała Jutta Beyer z mieszkania.

– Jak idzie, Jutto? – spytał pojednawczo Hjelm.

– Niestety, to długotrwały proces – odparła Beyer. – Paski magnetyczne leżą po prostu w skrytce w podłodze. Muszę wprowadzać je do czytnika, nie naruszając ich. Załatwiłam już jakąś jedną trzecią. Za Arto skończył robić zdjęcia. Pomaga mi teraz rozprostowywać i oczyszczać paski. Ale potrzebujemy jeszcze jakieś pół godziny.

– Corine i Donatella? – spytał Navarro. – Co u was?

– Silviu złapał taksówkę – powiedziała Bruno. – Ale to trochę niejasne, dokąd się wybiera. Możecie zobaczyć, gdzie jesteśmy. Nie ten kierunek. Jedźcie raczej na zachód niż na południe.

To się zgadzało. Bliźniacze pulsujące punkty – czerwony i zielony – znajdujące się w lewym górnym rogu mapy zmierzały gdzieś poza ekran. Nie wracały do mieszkania. Na szczęście.

– Ciprian chce kupić cygara – powiedział Angelos Sifakis. – Prawdopodobnie zmarnuję dzień, śledząc go do specjalistycznej trafiki, gdzie kupi petit coronas marki Rafael González, a Miriam w tym czasie się dowie, gdzie się wybiera nasz kontakt z włoskiej mafii.

– Pewnie masz sporo racji w tej twojej jeremiadzie – zauważył Paul Hjelm.

– I w tym, że Silviu zapewne zmierza do jedyne go specjalistycznego sklepu w Amsterdamie, gdzie można kupić rumuńską wódkę marki Dakk Premium.

– Hmm, dobra. Łódź się zbliża?

– Tak, będzie za piętnaście sekund. Miriam?

– Jestem na miejscu – powiedziała Miriam Hershey. – Ciprian wysiada? Muszę trzymać się od niego z daleka.

– Nie wygląda na to – odparł Sifakis. – Rozdzielili się. Włoch kieruje się w stronę trapu, Ciprian wciąż stoi na rufie.

– Dobra – powiedziała Hershey. – Przejmuję Włocha. Widzę go. Dziś Miriam Hershey nie popełni już żadnej gafy. Niech skonam, jeśli będzie inaczej.

– No i świetnie – powiedział Paul Hjelm. – Teraz Miriam wykona swoją robotę. A ty widzisz, co się dzieje, Angelos?

– Włoch idzie w stronę samochodu... samochodu, który przejeżdża ulicą, tak mi się wydaje... tak, wskakuje do jakiegoś srebrzystego wozu... Czy to przypadkiem nie pontiac? Tak mi się wydaje. Nie widzę numerów. Masz go, Miriam?

– Siedzą w wozie – odpowiedziała Hershey. – Mam pontiaca. Teraz widzę numery: SZ-BV-72. Macie je?

– Zaczynam wyszukiwanie – powiedział Hjelm. – Świetnie.

– Tylko kierowca, mężczyzna – powiedziała Hershey. – Nikogo więcej.

– Cokolwiek się stanie, nie zgub go – rzucił Navarro.

– Dzięki za radę – odparła ponuro Hershey.

– Dotarliśmy do Red Red Love – powiedziała Balodis. – Vlad wchodzi do środka. W ogóle się nie waha, idzie prosto tam. Waha się natomiast pewien polski turysta, który wygląda trochę na rolnika. I ma tajną broń.

– Czyli swoją olśniewającą inteligencję – dodał wymuszonym tonem Kowalewski. – Vlad jest w środku. Odczekam kilka sekund. Liczę teraz na twoje wsparcie, Laimo. Masz mój pistolet.

– Dzięki – odparła Laima Balodis. – Teraz mam dwa. Nie zawiodę cię, wiesz o tym.

Marek Kowalewski o tym wiedział. Wszedł do Red Red Love. Dwaj umięśnieni bramkarze dokładnie



mu się przyjrzeni. I jeszcze dokładniej go obszukali. Pozwolili mu zatrzymać komórkę. Za obrotowymi drzwiami było znacznie ciemniej. Słumione czerwone światło przypominało Kowalewskiemu dzieciństwo w Polsce, grzejniki kwarcowe, od których połowa pracującej fizycznie ludności chorowała na raka. Na spotkanie wyszła mu kobieta około trzydziestki, topless, otwierając ku niemu ramiona.

– Witaj, wielkoludzie – powiedziała. – Zostaw kartę kredytową w kasie.

Kowalewski się uśmiechnął, pomyślał o zasobach Europolu i zostawił kartę. Gdy tylko opuści burdel, zablokuje ją, ale wtedy będzie już pewnie za późno.

Podeszły do niego dwie młodsze kobiety, również w stroju topless i w pasach do pończoch; prócz tego niewiele już miały na sobie. Wzięły go za ręce i zachichotały sztucznie.

– Chodź, wielkoludzie – powiedziała ta z prawej.

– Idziemy na górę – dodała ta z lewej.

Kowalewski spojrzał na schody i dostrzegł, że właśnie zamykają się jakieś drzwi na piętrze. Zapewne za Vladem. Uśmiechnął się do młodych kobiet, które ewidentnie były Słowiankami, prawdopodobnie Ukrainkami, i ruszył z nimi na górę. Ich chód na bardzo wysokich obcasach pozostawiał sporo do życzenia.

Weszli na piętro. Światło wciąż wydawało się podczerwone. Obie kobiety lśniły upiornie i głupawo chichotały.

– Tutaj – rzucił Kowalewski i pociągnął jedną z nich do pokoju obok drzwi, które przed chwilą się zamknęły. Powstrzymał gestem drugą.

– Jedna mi wystarczy – powiedział i zamknął drzwi.

Kobieta przedstawiła się jako Sonja i spytała, czego sobie życzy. Rozejrzał się ostrożnie po pokoju, przede wszystkim sprawdził sufit i stwierdził, że czarna plamka tuż nad drzwiami to kamera monitoringu. To będzie skomplikowane.

– Chciałbym, żebyś nic nie mówiła, Sonju – poprosił. – Chciałbym zasłonić ci usta i udawać, że nie pozwalam ci mówić. Nie mocno, tylko dla zabawy. W porządku?

Sonja spojrzała na niego zdziwiona.

– To ty płacisz – powiedziała w końcu.

– Absolutnie nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Ale teraz przez chwilę nie wolno ci się odzywać. W porządku? To *ważne*.

Kiwnęła głową. Zasłonił jej dłonią twarz, właściwie to nie tyle usta, ile oczy, wyjął atrapę komórki i przycisnął ją do ściany. Zasłonił komórkę ciałem przed okiem kamery nad drzwiami.

– Ktoś coś słyszy?! – zawołał Felipe Navarro.

– Kiedy wrzeszczysz, to nic – odparł Paul Hjelm. – Czekał. Coś chyba było?

W słuchawkach szumiało i trzaskało. Od czasu do czasu przez zakłócenia przebijały się urywki zdań w łamanej angielszczyźnie. W końcu dało się rozróżnić pojedyncze słowa, czasem frazy:

– ...trafisz...?

- ...oczywi... jak zwyk...?
- ...nawet trochę więk... dobry ty...
- ...dny adr... lucz...?
- ...masz... czterysta p...
- ...kiedy... przel...?
- ...szły tydzień wysta...

Podczas gdy po drugiej stronie ściany zachodziła ta wyraźna wymiana zdań, Marek Kowalewski wpadł w kłopoty. Przyciskał dłoń z ukrytą atrapą komórki do ściany, jakby za chwilę miał zemdleć, a drugą zasłaniał usta Sonji. W końcu zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna dobrze się czuje, i odsunął lewą rękę od jej twarzy. Uśmiechnęła się, uniosła palec do ust i zaczęła się zsuwać wzdłuż jego ciała. Nie chciał puścić komórki ani powstrzymać jej siłą. A przede wszystkim nie chciał mówić. Nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa, ani jednej sylaby. I bez tego musiało być trudno usłyszeć, co się dzieje po drugiej stronie ściany.

Później nie był gotów przysiąc, że w tych okolicznościach zrobił wszystko, co w jego mocy, by ją powstrzymać, ale udało mu się zachować milczenie, udało mu się dalej przyciskać mikrofon kierunkowy do ściany, wychwycić prawie całą rozmowę między Vladem a osobą, która była w drugim pokoju. Pozwolił też jednak na to, by Sonja rozpięła mu spodnie. Pozwolił jej posunąć się tak daleko, że zdążyła z siebie wyrzucić:

– Ojej!

I nie zdążył jej uciszyć. Miał nadzieję, że w sąsiednim pokoju nikt jej nie usłyszał – a jeśli tak, to pewnie nie było to nic niezwykłego w takim miejscu jak to – ale jej okrzyk zdecydowanie dotarł do mieszkania wdowy po armatorze Bezuidenhout.

– Jezu – mruknął Navarro. – Co się stało?

– Trudno powiedzieć – stwierdził Paul Hjelm. – Rozmowa za ścianą trwa dalej?

– Czekaj – odparł Navarro. – Może. Nie. Nie. Skończyli. Wydaje mi się, że słyszę, jak otwierają się drzwi.

– Słyszysz mnie, Marek? – spytał Hjelm. – Jeśli tak, to powiedz: przestań.

– Przestań – powiedział Kowalewski.

– Dobra. Teraz stamtąd wyjdź. Może zobaczysz przed sobą Vlada i jeszcze jednego mężczyznę. Trzymaj się kawałek za nimi, wybul tyle, ile od ciebie zażądają, a potem idź za Vladem. W porządku? Jeśli zrozumiałeś, jeszcze raz powiedz „przestań”.

– Przestań – powiedział Kowalewski.

– Ale przecież już skończyłam – odparła Sonja. – To właśnie jest najgorsze...

– W innym świecie zabrałbym cię stąd, Sonju, tam, gdzie żyje się naprawdę. Ale to nie jest ten świat. Muszę iść.

Wyrwał się i wyszedł na korytarz. Wyjrzał zza rogu na schody. I rzeczywiście, niżej stał Vlad i jakiś

dobrze ubrany mężczyzna w średnim wieku. Po chwili ruszyli dalej. Wtedy Kowalewski zbiegł po schodach do kasy. Bez dyskusji zapłacił sumę, na którą ledwie miał pokrycie na karcie, i wyszedł. Vlad i ten mężczyzna stali na ulicy i rozmawiali. Po krótkim pożegnaniu każdy poszedł w swoją stronę. Kowalewski uniósł twarz do nieba i oddychał głęboko. Świat, pomyślał.

Całe to gówno.

I ruszył za Vladem.

Laima Balodis wysunęła się z cieni pod Red Red Love i przez chwilę patrzyła za oddalającym się Kowalewskim. Zdezorientowany stwierdził, że Balodis uśmiecha się krzywo i bezgłośnie układa usta w słowo:

– Ojej!

Potem ruszyła za oddalającym się prężnym krokiem mężczyzną i usłyszała w uchu głos Navarro:

– Ten facet prawdopodobnie ma samochód, Laimo. Nie mamy żadnego w pobliżu, spróbuj złapać taksówkę. *Pod żadnym pozorem* nie wolno ci go zgubić. Zrozumiałaś?

– Zrozumiałam. Właśnie widzę taksówkę. Tylko że nie wiem, jak długo on zamierza iść.

– Pewnie spory kawałek – odezwał się Paul Hjelm. – Przepuść tę taksówkę. Pewnie zachowuje pozory, że jest szanowanym obywatelem, i jeśli przyjechał własnym wozem, nie chce, żeby go kojarzono z Red Light District. A już tym bardziej z odbywającym się w Europie handlem żebrakami. Daj nam znać, jak ci idzie.

Wyciszył swój mikrofon i zwrócił się do Navarro:

– Mamy tylko urywki z tej rozmowy, ale chyba dobrze to zinterpretowaliśmy?

Navarro pochylił się nad notatkami i odparł:

– Najpierw Vlad pyta, czy X trafi, co X uważa za oczywiste. Potem X pyta Vladą, czy dostawa wygląda jak zwykle. Vlad odpowiada, że jest nawet trochę większa, że to był dobry tydzień. X prosi wtedy o dokładny adres i klucz. Vlad mu je przekazuje i podaje numer: „czterysta p”, co niestety może oznaczać dość sporo numerów, czterysta pięć, czterysta piętnaście i czterysta pięćdziesiąt, aż do czterysta pięćdziesiąt dziewięć. Potem X pyta, kiedy oczekują przelewu. Vlad odpowiada, że przyszły tydzień wystarczy. Jak to rozumiemy?

– Niech mnie diabli, dawno nie miałem takiego spokojnego dnia – odezwał się siedzący obok nich Adrian Marinescu. – Ani jednego słowa po rumuńsku. Pozwolicie, że się wtrączę?

– Jasne – odparł Paul Hjelm.

– Przyszła dostawa. X dostał od Vladą adres i klucz. Adres to coś na „czterysta p”, czyli pewnie jakiś skład, garaż, lokal magazynowy. To, co się tam znajduje, trzeba *wyprać*. To pieniądze. Gotówka zebrana przez żebracze szajki w całej Europie. X jest wtyczką w banku i może wyprać te pieniądze. W jakiś sposób wprowadza gotówkę do swojego banku i dba o to, by w określonym czasie wysłać przelew. Za to dostaje pewnie spory procent z tej kwoty.

– Zanim zostanie przelana dalej do Włoch? – spytał Navarro.

– Tak przypuszczam – potwierdził Marinescu. – W każdym razie nie do Rumunii.

– Brzmi sensownie – stwierdził Hjelm. – Każdy krajowy albo miejscowy przedstawiciel musi zadbać, żeby wymienić monety na banknoty. Banknoty są potem fizycznie przysyłane do Amsterdamu, do Vlada, który wykorzystuje swoją wtyczkę w banku, żeby je wyprać i przesłać dalej do centrum handlu żywym towarem we Włoszech. Można tak zarabiać kasę. Obrzydliwie grubą kasę.

– Halo – powiedział Navarro do mikrofonu. – Raport o postępach, po kolei. Angelos?

– Ciprian kupuje cygara – oświadczył Sifakis. – Czuję, że na coś takiego mam zdecydowanie zbyt wysokie kwalifikacje.

– Corine i Donatella?

– Od dłuższej chwili siedzimy pod rumuńskim sklepem na zachodnich przedmieściach Amsterdamu. Widzimy Silviu przez okno. Rozmawia z każdym, kogo spotka, i to długo. Widzimy, że trzyma w ręce reklamówkę z butelkami wódki. Nic ważnego się u nas nie dzieje.

– Dzięki – powiedział Navarro. – Miriam?

– Wciąż jesteśmy w ruchu – odpowiedziała Hershey. – Wygląda na to, że ten srebrzysty pontiac lawiruje po Amsterdamie. Ale spokojnie, mam na oku naszego Włocha.

– Świetnie. Jutta?

– Zaraz kończymy – zgłosiła się Jutta Beyer. – Mamy sześć zdjęć zaszyfrowanych listów i zaraz skończę szczytywać ósmy z dziesięciu pasków magnetycznych.

– Doskonale – powiedział Navarro.

– Marek?

– Idę pieszo za Vladem – odpowiedział Kowalewski. – Wygląda na to, że wraca do domu.

– Tak to wygląda na ekranie. Myślę, że Vlad będzie w domu za jakiś kwadrans. Jutta?

– Wyjdziemy za dziesięć minut – odparła Jutta Beyer.

– Dobrze.

– Laima? Co u ciebie?

– Wasz X dotarł do swojego samochodu. Faktycznie stał nieprawidłowo zaparkowany spory kawałek od Red Light District. Złapałam taksówkę, teraz siedzę i czekam. Stoimy tak, że nas nie widać. Jesteśmy gotowi.

Samochód był zgrabnym czarnym lexusem i zaczął fascynująco lawirować przez Amsterdam. Nawet z tylnego siedzenia Laima Balodis słyszała sapanie i parskanie taksówkarza, ale mimo wszystko udało mu się jak dotąd nie zgubić czarnego samochodu. W taksówce nie było klimatyzacji i Balodis natychmiast zaczęła się pocić.

– To się nie sprawdza, Laimo – powiedział w jej ucho Paul Hjelm.

– Na razie się sprawdza – odparła.

– Ten mężczyzna świadomie próbuje się pozbyć ewentualnego ogona. Taksówka tego za nas nie załatwi. Podjadę po ciebie wozem Felipe, niebieskim seatem. Odezwę się, kiedy będziecie stać, pewnie

na jakimś czerwonym świetle. Zapłać mu wtedy ile trzeba, wyskocz z taksówki i biegnij do mnie. Oczywiście tak, żeby cię nie zauważył.

– Oczywiście – odparła Laima Balodis i usłyszała, jak pozostali członkowie grupy składają raporty. Beyer i Söderstedt opuścili mieszkanie trójki Rumunów z laptopem pełnym tajemnic, które nie były już tajemnicami, śledzony przez Sifakisa Ciprian wrócił do domu z cygarami w ręku i nowymi paskami magnetycznymi w kieszeni, Silviu wracał do domu taksówką z zapasem wódki i teraz już *dwie* kopertami bąbelkowymi w ręce, śledzony przez Bouhaddi i Bruno, a na koniec pojawił się też Vlad i idący za nim Kowalewski. Trzech Rumunów znów siedziało w mieszkaniu po drugiej stronie Lauriergracht.

– Udany dzień? – spytał Vlad ustami Marinescu.

– O tak – odparł Ciprian. – Wszystko zapięte na ostatni guzik.

Tyle tylko że to nie do końca była prawda. Dwa niedopięte guziki poruszały się przez Amsterdam taką trasą, jakby przemieszczali się wzdłuż nitki z kłębka pozostawionego pod opieką kociaka. Hjelm na czerwonym świetle dogonił taksówkę Balodis w drodze na południe od centrum.

– Wygląda na to, że przestał kluczyć – stwierdziła Balodis, wskakując na miejsce pasażera.

– Południowy zachód – mruknął Hjelm. – Co jest na południowy zachód?

– Uniwersytet, Vondelpark, Stadion Olimpijski, Nieuwe Meer, biurowce, tereny przemysłowe – powiedziała mu do ucha Jutta Beyer.

Kruczoczarny lexus wjechał na ruchliwą ulicę Hobbemakade i po chwili skręcił na wschód, by zaraz znów skręcić na południe.

Wtedy Miriam Hershey powiedziała:

– My też oddalamy się teraz od centrum. Mój srebrnoszary pontiac zmierza prawie w tym samym kierunku. Głównie na południowy zachód, ale bardziej na zachód. Zachód południowy zachód.

– Nie jesteście jakoś strasznie daleko od siebie – stwierdził Navarro ze wzrokiem utkwionym w mapie na ekranie. – Możliwe, że tego Włocha i faceta z burdelu coś ze sobą łączy.

Zerknął w stronę Marinescu, który skrzywił się lekko. Nagle w mieszkaniu zaroilo się od ludzi. Właśnie wszedł Kowalewski, Bouhaddi i Bruno były już na miejscu, Beyer przyszła przekazać pendrive Sifakisowi.

– Masz tu wszystkie pliki z pasków magnetycznych – powiedziała. – I sfotografowane listy.

– Sprawdzająś? – spytał.

– Wygląda na to, że paski magnetyczne zawierają jakieś sprawozdania finansowe – odparła Beyer. – Ale bardzo niewiele jest tam powiedziane wprost.

– Doskonale – odparł Sifakis. – Pozwól, że ja to zinterpretuję.

W ogóle wszyscy strasznie dużo gadali.

Felipe Navarro ugryzł się w język i spróbował się skupić. Czerwony pulsujący punkt Hershey i zielony Balodis rzeczywiście poruszały się mniej więcej w tym samym kierunku, w odległości kilku

kilometrów od siebie; Balodis i Hjelm trochę z przodu w seacie Navarro; Hershey trochę z tyłu w toyocie Hjelma.

Ale wtedy coś się stało. Hershey skręciła wyraźniej na zachód, do niedawno utworzonej dzielnicy Amsterdamu Oud-Zuid, co paradoksalnie oznaczało „stare południe”. Hjelm i Balodis dalej zmierzali raczej na południe, ku Ringweg Zuid, stanowiącej część trasy europejskiej E19. Pulsujący punkt Hershey zbliżał się powoli do dość eleganckiej dzielnicy willowej w północnym Oud-Zuid.

– Chyba dojeżdżamy do celu – powiedziała.

Wjechała za srebrzystoszarym pontiakiem w osiedle o nieco rustykalnym klimacie. Gdy skręciła w prawo, w mały zaułek, nie była do końca pewna, czy budynki, które ją otaczają, to domy wielorodzinne, czy wille. Uliczka nazywała się Dijsselhofplantsoen i leżała tuż nad kanałem. Jeśli to były wille, to naprawdę ogromne. Nagle pontiac zwolnił. Zatrzymała się trzydzieści metrów za nim, wjechała na miejsce parkingowe, ukryła się. Srebrzystoszary samochód skręcił ostro w prawo, w stronę bramy w murze. Kierowca wyciągnął rękę do czytnika, przeciągnął kartę, wstukał kod. Brama się odsunęła, samochód ruszył.

Hershey odczekała chwilę. Potem wyjechała z miejsca parkingowego i powoli przejechała wzdłuż muru do bramy. Szybko zajrzała na teren posiadłości. Pontiac stał zaparkowany przy domu, dwóch mężczyzn wchodziło po schodach do budynku, który mimo wszystko był chyba willą. Wielką willą. Niemal włoskich rozmiarów. A obaj panowie prezentowali się naprawdę bardzo po włosku. Na słupku bramy widniał dyskretny szyld, informujący, że mieści się tutaj Notus Imports. Znów skręciła na miejsce parkingowe i powiedziała:

– Widzicie, gdzie teraz jestem?

– Tak – potwierdził Navarro.

– Jest tu zarejestrowane jakieś Notus Imports?

– Sprawdzisz, Adrian?

– Wcześniej sprawdzałem przecież numery rejestracyjne – odezwał się Paul Hjelm z drugiego samochodu. – Ten srebrzystoszary pontiac jest zarejestrowany na Notus Imports z siedzibą w Amsterdamie. Ale podana była tylko skrytka pocztowa.

– Naprawdę mieści się pod tym adresem – zauważył Marinescu, ze wzrokiem utkwionym w monitorze.

– A co z numerem rejestracyjnym? – spytał Hjelm. – Czarny lexus, 4-PDK-91?

– Sprawdzam – powiedział Marinescu.

Miriam Hershey wciąż siedziała w wozie na miejscu parkingowym. Westchnęła i pochyliła się do przodu. Oparła czoło o kierownicę, zacisnęła pięść i wydała z siebie okrzyk:

– *Yes!*

– Co się dzieje, Miriam? – spytał Navarro.

Hershey przekłęta w duchu ciągle nasłuch i odparła:

– To tylko okrzyk radości. Wszystko wskazuje na to, że Notus Imports to przykrywka dla

amsterdamskiej filii 'ndranghety. To naprawdę wielki dom. I mamy bezpośredni związek z szajką żebracką.

– Jedno pytanie, Miriam – odezwał się Angelos Sifakis.

– Tak?

– Co jest naprzeciwko Notus Imports? Po drugiej stronie ulicy?

Hershey wybuchnęła śmiechem. Pora na kolejną obserwację.

Nic się nigdy nie kończy.

Czarny lexus bardzo szybko wjechał na Ringweg Zuid. Paul Hjelm musiał się sporo natrudzić, żeby go nie zgubić. Na drodze panował spory ruch i to było i dobre, i złe. Dobre, bo *ich* nie było widać, złe, bo *jego* nie było widać. Ale teraz znów się pokazał. Zjechał na prawy pas przy moście i przy znakach drogowych informujących o zjeździe na coś, czego nie dało się odczytać.

Marinescu odezwał się w słuchawkach:

– Czarny lexus jest zarejestrowany na niejakiego doktora Jaapa Van Hoensbroecka, urodzonego w sześćdziesiątym pierwszym, specjalisty prawa handlowego, zamieszkałego w centrum Amsterdamu. Mam jego adres.

– No proszę, doktor – mruknął Hjelm, zjeżdżając za czarnym lexusem przy Knooppunt De Nieuwe Meer. Znaleźli się w jakimś rejonie przemysłowym i gdy lexus, klucząc jeszcze trochę, wjechał na miejsce parkingowe, Laima Balodis zacisnęła pięść i wydała z siebie okrzyk:

– *Yes!*

– Surykatki – rozległ się w ich uszach głos Jutty Beyer. Nikt się nią nie przejął.

– Co za *yes*? – spytał Hjelm.

– Nie widzisz, gdzie jesteśmy?

– Pod jakimś wielkim, brzydkim budynkiem przemysłowym?

– Wcale nie – odparła Balodis i wskazała na szyld, na którym jasno i wyraźnie widniało po angielsku „Self-Storage”.

– Ach – mruknął Hjelm. – Przestrzeń magazynowe.

– Doktor wchodzi, co robimy?

– Idźcie za nim – powiedział w słuchawkach Sifakis. – Udawajcie, że chcecie wynająć przestrzeń magazynową. Spróbujcie śledzić doktora. Nie możemy wejść do wszystkich pomieszczeń, które zaczynają się na „czterysta p”. Jest ich aż dwanaście.

– Naprawdę to policzyłeś? – spytała Balodis, otwierając drzwi wozu.

– To nie było takie trudne. Trudniej będzie wam wejść, nie budząc przy tym podejrzeń. I do tego jeszcze otworzyć zamek, z którym pewnie niełatwo będzie sobie poradzić wytrychem. Na terenie są prawdopodobnie pracownicy i kamery.

– Jestem niezła w otwieraniu zamków – powiedziała Balodis. – Jeśli tylko się tam dostanę i znajdę właściwe drzwi, poradzę sobie z tym.

Hjelm ruszył za nią. Myślał gorączkowo. Doktor wchodził po schodach, nie odwrócił się. Gdy znalazł się na górze, na czymś w rodzaju kładki, stanowczym krokiem minął drzwi oznaczone jako „Recepcja”. Kilkanaście metrów dalej były inne drzwi, nieoznaczone. Prawdopodobnie wchodziło się tamtędy prosto do pomieszczeń magazynowych. Jeśli miało się klucz. A doktor go miał. Wyjął go i przekręcił w zamku. Otworzył drzwi i wszedł na teren nieruchomości. Drzwi powoli zaczęły się za nim zamykać.

Balodis rzuciła się naprzód. Jednym skokiem pokonała schody, jak gazela dobiegła do drzwi i chwyciła je dokładnie w chwili, kiedy miały się zatrzasnąć. Hjelm pobiegł za nią truchtem, przejęta machała do niego ręką. Faktycznie istniało ryzyko, że drzwi były wyposażone w alarm, który zacznie wyć, jeśli zbyt długo pozostaną otwarte. Biegł najszybciej i najciszej, jak potrafił.

Weszli, szybko i cicho zamknęli za sobą drzwi. Ich oczom ukazały się szeregi wściekle żółtych blaszanych drzwi najróżniejszej wielkości. Najwyraźniej były tutaj pomieszczenia magazynowe wszelkich możliwych rozmiarów. I mnóstwo korytarzy. Któryś z nich pochłonął doktora.

Nigdzie nie było go widać.

Rozdzielili się, sprawdzali korytarz po korytarzu, żadnego znaku życia. Hjelm szukał gorączkowo trzycyfrowych numerów zaczynających się na cztery. Wbiegł w korytarz, który zapowiadał się obiecująco. Trzycyfrowe numery zaczynające się na trzy. Drzwi były tutaj duże, dotychczas największe, zapewne kryły się za nimi pomieszczenia wielkości garażu. Skręcił za następny róg. I rzeczywiście, tutaj wszystkie trzycyfrowe numery zaczynały się na cztery. Trafił we właściwe miejsce. Teraz trzeba było spróbować ustalić, gdzie znajduje się doktor. I w najlepszym wypadku nie zostać zauważonym. Minął drzwi numer czterysta pięć. Spróbował nasłuchiwać, nie wydobywały się stamtąd żadne dźwięki. Ale to oczywiście nie oznaczało, że doktora tam nie ma. Może po prostu zachowywał się cicho.

Hjelm ruszył dalej, po chwili minął czterysta piętnaście. Nagle na drugim końcu korytarza pojawiła się jakaś postać. Niedobrze. Zanim rozpoznał kto to, instynkt kazał mu wyjąć klucz i udawać, że właśnie zamierza otworzyć drzwi swojego magazynu. Był gotów uśmiechnąć się obojętnie do doktora. Ale to nie był on, lecz Laima Balodis. Pokręciła głową.

– Znalazłaś czterysta pięćdziesiąt do pięćdziesiąt dziewięć? – spytał szeptem Hjelm.

– Nie ma tu takich – odszepnęła. – Ten korytarz kończy się na czterysta trzydzieści pięć. Nie ma wyższych numerów na czterysta.

Odwrócili się oboje w stronę drzwi, które Hjelm minął. Czterysta pięć były jakieś piętnaście metrów dalej, czterysta piętnaście trochę bliżej. Dziesięć metrów dalej w bok odchodził jakiś korytarz, to z niego wcześniej tak nagle wynurzyła się Balodis. Ruszyła w stronę drzwi numer czterysta piętnaście, ale Hjelm chwycił ją za ramię i szepnął:

– Korytarz. Musimy poczekać. On jest w środku.

Ukryli się w korytarzu. Balodis wyglądała za róg. Hjelm czekał. Czekał pięć minut, dziesięć, piętnaście. Balodis stała nieruchomo, obserwowała korytarz. Od czasu do czasu w ich uszach odzywali się Sifakis albo Navarro, ale nie zwracali na nich uwagi. Wszystko było czekaniem. Wszystko było



koncentracją.

A potem, dwadzieścia pięć metrów od nich, otworzyły się drzwi. Balodis stała jeszcze przez kilka sekund, nim się cofnęła. Spojrzała na Hjelma. Hjelm spojrzał na nią. Kiwnęła głową. Pokazała bezgłośnie ruchem ust:

Trzynaście.

Nie próbował nawet zrozumieć, bo w tej samej chwili usłyszeli, że doktor Jaap Van Hoensbroeck – jeśli to w ogóle był on, może ktoś mu ukradł samochód – starannie zamyka drzwi i kilka razy na próbę naciska klamkę. Na korytarzu rozległ się jakiś brzęk, a potem również kroki. Przebrzmiały i ucichły. Gdzieś w oddali zamknęły się jakieś drzwi.

Balodis wyjrzała zza rogu. Cofnęła głowę i szepnęła:

– Nikogo nie ma.

– Dobra – rzucił Hjelm. – Idziemy.

Gdy ruszyli, Balodis liczyła drzwi w ścianie po lewej: osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście... A potem się zatrzymała.

– To te – powiedziała. – Trzynaste.

– Dobra – stwierdził Hjelm. – To numer czterysta pięć. Poradzisz sobie z tym zamkiem?

– A czy papież ma śmieszoną czapkę?

Paul Hjelm tak długo zastanawiał się nad odpowiedzią, że nagle stwierdził, iż wpatruje się w zupełnie ciemne pomieszczenie za otwartymi drzwiami. Balodis zrobiła krok do przodu. Obmacywała ściany. W końcu znalazła włącznik. Pomieszczenie wypełnił jaskrawy blask żarówki.

Było tu pełno walizek. Leżały jedne na drugich. Hjelm podszedł do nich. Pomajstrował przy najbliższej, po czym nacisnął dwa zamki. Wieko się uniosło. Odskoczyło w górę, jak szarpnięte podmuchem wiatru, i odsłoniło zawartość walizki.

– Banknoty euro. Głównie setki.

Hjelm i Balodis przez chwilę obojętnie spoglądali po sobie. Potem na jej opanowanej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Wpadli w zachwyty. Rzucili się na walizki. Otwierali kolejne. W końcu wszystkie walizki były otwarte.

Wszystkie pełne banknotów. Głównie euro, ale też brytyjskich funtów, szwedzkich, duńskich i norweskich koron, polskich złotych, rosyjskich rubli, węgierskich forintów, a nawet amerykańskich dolarów.

Spojrzeni po sobie i pokiwali głowami.

Hjelm wyjął komórkę i zrobił zdjęcie.

– Jakiś czas temu padło pytanie – stwierdził.

– Pytanie? – spytał Felipe Navarro.

– „Gdzie są pieniądze?” – powiedział Paul Hjelm i wysłał zdjęcie.

Sztokholm, 6 lipca

PO JEDNEJ STRONIE STOŁU w pokoju przesłuchań siedzieli śniady mężczyzna i kobieta o jasnej cerze. Po drugiej stronie też siedzieli śniady mężczyzna i kobieta o jasnej cerze. Ale na tym podobieństwa się kończyły.

– Słuchajcie – powiedział Jorge Chavez – nie możecie nic zyskać na milczeniu. Pytam po raz ostatni, czym się zajmujecie.

– Głównym założeniem naszego projektu jest absolutna poufność – odpowiedziała profesor Virpi Pasanen. – Obowiązuje nas także teraz, nawet w jeszcze większym stopniu. Odpowiadamy tylko i wyłącznie przed zleceniodawcą projektu.

– Jesteśmy z policji, jesteśmy przedstawicielami prawa – powiedział Chavez. – Nie możecie stawiać się ponad prawem.

– Ciągniemy to już dość długo – odezwał się docent Jovan Biševac. – Prawdopodobnie uratowaliśmy nam życie, dzięki wam nie poderżnęli nam gardeł i nie porzucili gdzieś na ulicy, tak jak Nielsa. Jesteśmy wam za to wdzięczni, *bardzo wdzięczni*, ale to nie ma nic wspólnego z naszym obowiązkiem zachowania tajemnicy.

– A ten obowiązek jest absolutny – dodała Virpi Pasanen. – Przykro mi.

– Nie jesteśmy ze szwedzkiej policji – powiedziała Sara Svenhagen. – Jesteśmy z Europolu. Reprezentujemy prawo międzynarodowe. Musicie z kimś porozmawiać, padliście ofiarą poważnego przestępstwa. Jeśli wolicie porozmawiać z Bennem Lidbergiem, to doskonale. On na pewno wykaże się wielkim zrozumieniem dla waszego obowiązku dochowania tajemnicy.

– Mam ochotę wypuścić was prosto na ulicę – burknął opryskliwie Chavez.

– Musicie nam zapewnić ochronę – zaprotestowała Pasanen. – Nasze życie jest zagrożone.

– Opowiedzcie chociaż o tym pomieszczeniu za biurkiem Virpi. O tym pomieszczeniu badawczym. Wspominaliście już, że nazywaliście je „wielką salą”, pewnie ironicznie, tak jak my naszą „centralę dowodzenia”. A więc to tam profesor Sørensen prowadził badania. Pracowaliście tam tylko we troje?

– Tam tak – odparł Biševac. – Ale oczywiście w ramach projektu mieliśmy wielu tymczasowych współpracowników.

– Którzy nie mieli pojęcia o prawdziwym charakterze projektu?

– Mniej więcej – potwierdził Biševac, wzruszając ramionami.

– Dlaczego Niels Sørensen został zamordowany?

– Bo ktoś chce udaremnić nasz projekt, przecież już mówiliśmy.

– Projekt, o którym nic nie możemy powiedzieć – dodała Virpi Pasanen.

– Nie! Mam już tego dość – oświadczył Chavez, wstał i wyszedł z pokoju.

Sara Svenhagen również wstała. Powiedziała:

– Jesteście inteligentnymi ludźmi. Wiecie, że nie możemy was wiecznie trzymać na posterunku.

Domyślcie się, że to się skończy. My możemy wam pomóc. My dwoje, nie ci inni policjanci, których teraz do was wpuszczę. Musicie porozmawiać z nami, ze mną. To my mamy możliwości, nie oni.

To, że Virpi Pasanen i Jovan Biševac wymienili pospieszne spojrzenia, nic nie oznaczało, dopóki nie zaczną mówić. Svenhagen stała przez chwilę i przyglądała się im. Nic się nie wydarzyło. Wyszła.

Chavez stał pod drzwiami. Powiedział tylko jedno słowo:

– Tullinge.

W samochodzie Sara Svenhagen podniosła wzrok znad swojego tabletu i stwierdziła:

– Na konfetti nie było numerów seryjnych.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparł Chavez i wyprzedził ciężarówkę.

– Technicy są zaintrygowani – dodała Svenhagen. – Konfetti, które rozsypuje się po użyciu paralizatora, *zawsze* ma oznaczenie seryjne. Ale nie w tym przypadku.

– O cholera – mruknął Chavez. – Paralizatory na zamówienie?

– To zaczyna pachnieć czymś grubym – stwierdziła Svenhagen.

Porucznik Louise Ahl mieszkała kilkaset metrów od stacji kolejki podmiejskiej w Tullinge, między Flemingsbergiem a Tumbą, w niepozornej kamienicy, którą pewnie zbudowano w ramach Programu Milion, ale już tak nie wyglądała. Poza tym miała naprawdę przytulne, choć trochę staroświeckie mieszkanie.

– Przepraszam, jeśli przeszkadzamy – powiedziała Sara Svenhagen, gdy przestali się już dziwić opatrunkowi na jej nosie, który sprawiał, że nie sposób było określić jej wieku, i usiedli na twardej i kanciastej sofie.

– Lubię, kiedy ktoś mnie odwiedza – odparła porucznik Ahl ubrana w klasyczny mundur Armii Zbawienia. – Napijcie się kawy?

– Jeśli porucznik sama też zamierzała się napić – powiedziała Svenhagen i posłała szybkie spojrzenie mężowi. Chciała dać mu jakiś znak, powstrzymać go przed powiedzeniem tego, co miał na końcu języka. Ale to było niemożliwe.

– Co się pani stało w nos? – spytał Jorge Chavez.

Porucznik Ahl przystanąła w drodze do kuchni, odwróciła się.

– Czasem tracę wiarę w ludzkość – odparła. – To moja słabość. Naszą siłą jest wiara, zawsze i mimo wszystko. Zdarza się, że wiara mnie opuszcza.

– Zgłaszała to pani na policję? – spytał Chavez.

– Pojechałam prosto do szpitala Huddinge – wyjaśniła Louise Ahl. – To przecież następny przystanek. Chuligani. Poprzednio oderwali mi naramienniki. Tym razem im się postawiłam.

– Postawiła im się pani?

– To było nie po chrześcijańsku, ale nagle odezwały się we mnie nawyki z młodości.

W osiemdziesiątym ósmym startowałam w olimpiadzie w Seulu.

– Olimpiadzie?

– Nie chcę o tym mówić. I szczerze mówiąc, nie jestem na chorobowym, to tylko drobne skaleczenie.

– Nie jest pani na chorobowym, tylko zawieszona? – spytał Chavez.

– *Ja* tego nie zgłosiłam na policję, ale *oni* tak.

– Ci chuligani?

– Niestety, dowody przemawiają na ich korzyść. Od miesiący terroryzowali tę kolejkę, codziennie o tej samej porze.

– Jakie dowody?

– Najwyraźniej istnieje coś, co się nazywa „jotub”... – odparła porucznik Ahl i zaczęła grzebać w stercie papierów na komodzie. W końcu podała im list z charakterystycznym logo policji na górze. Chavez wziął go do ręki, przeczytał, pokiwał głową, zmarszczył brwi, podał papier Svenhagen i powiedział:

– To się nazywa YouTube.

Porucznik Louise Ahl spojrzała na niego i spytała:

– Przyszliście mnie zabrać? Czy najpierw nie powinien odbyć się proces?

Sara Svenhagen zdążyła już wstukać link z policyjnego zgłoszenia na swój tablet. Wstała i podeszła do porucznik. Chavez dołączył do nich i razem obejrzeni film na YouTube.

Nakręcono go w wagonie kolejki. Przy drzwiach stało czterech na oko siedemnastoletnich chłopaków. Głos dziewczyny, pewnie tej, która kręciła film, powiedział: „O nie, znowu te same sukinsyny”. Chłopacy podeszli do jakiejś dziewczyny, wszyscy czterej zaczęli ją klepać po głowie, mazać czymś po twarzy. Wyglądała na przerażoną. Gdzieś dalej rozległ się cichy, kobiecy głos: „Natychmiast przestańcie”. Dwóch chłopaków puściło dziewczynę i podeszło do siedzenia po drugiej stronie przejścia. „Babcia w mundurku znów marudzi?”. W wagonie, w którym najwyraźniej panował upał, jedna głowa odróżniała się od reszty z powodu dziwnego nakrycia. I nagle po prostu padł cios, uderzenie pięścią w czapkę, zwróconą tyłem do kamery. Czapka potoczyła się do tyłu, głowa odskoczyła za oparcie. Potem osoba, której strącono czapkę, wstała, wciąż plecami do kamery i ukazał się cały mundur. Wymierzyła precyzyjny cios karate wyraźnie zdumionemu młodzieńcowi, który całkowicie bezwładnie osunął się na podłogę. Obraz podskoczył, głos dziewczyny powiedział: „Wow! Co to, do diabła?!”. Trzej pozostali młodzieńcy wpatrywali się w osobę w mundurze, znacznie niższą od nich. Potem przeszli do ataku. Jeden dostał kopniaka w brzuch i zwymiotował. Drugi oberwał w kark i poleciał głową do przodu w stronę miejsc stojących. Został jeden młody mężczyzna. Osoba w mundurze po raz pierwszy odwróciła się w stronę kamery. Choć twarz porucznik Louise Ahl była zakrwawiona, a nos zdeformowany, postąpiła o krok w stronę ostatniego z młodzieńców. On z kolei się cofnął, nastąpił na plecy leżącego na podłodze kumpla i potknął się. Wtedy go kopnęła. Poleciał w stronę kamery, jego zakrwawiona twarz na chwilę

przywarła do szyby nad najbliższym siedzeniem. Zsunął się po szkle, zostawiając krwawy ślad. Filmik skończył się nagle ujęciem zakrwawionej twarzy porucznik, na której wyraźnie malowały się wyrzuty sumienia, i dźwiękiem rozpoczynających się braw.

– Powinam była dać spokój temu ostatniemu – stwierdziła Louise Ahl. – Powinam była pozwolić mu uciec.

– Na olimpiadzie? – powtórzył Chavez.

– Karate – pokiwała głową porucznik Ahl. – Technicznie byłam świetna, ale psychicznie się nie nadawałam. Miałam depresję, chciałam tylko do teatru.

– I te typki zgłosiły panią na policję?

– Zakładam, że przyszlście mnie aresztować?

– Chyba raczej dać pani medal za odwagę – mruknął Chavez, ale zagłuszyły go słowa Svenhagen:

– Nie dlatego tu jesteśmy. Chcemy porozmawiać o tym, co się stało trzydziestego czerwca rano.

Porucznik Ahl spojrzała na Sarę Svenhagen i po raz pierwszy w jej oczach pojawiły się skupienie i głębia.

– Chcicie porozmawiać o tym dziwnym nieznajomym – stwierdziła Louise Ahl. – Rozumiem.

– O dziwnym nieznajomym?

– Miał białe oczy – powiedziała Ahl. – Był prawie nagi. Wziął prysznic. Zastanawiałam się, czy krwawił z jakiejś rany.

Chavez i Svenhagen pospiesznie wymienili spojrzenia.

– Czy krwawił? – spytała Svenhagen.

– Nie dostrzegłam żadnych ran, ale kiedy brał prysznic, woda spływająca do otworu w podłodze miała całkiem różowy kolor.

– Zacznijmy od początku – poprosił Chavez. – Jesteśmy w ośrodku Armii Zbawienia na Hornstull, prawda?

– A gdzie by indziej – odparła porucznik Ahl.

– Kiedy ten dziwny nieznajomy zjawił się w ośrodku?

– Zaraz po otwarciu, kilka minut po dziewiątej.

– Co to znaczy „prawie nagi”?

– Trudno to dokładnie opisać. Miał nagi tors, krótkie spodenki, a może to były gacie. Nie widziałam krwi, dopóki nie wszedł pod prysznic.

– A co to znaczy, że miał białe oczy?

– Widziałam wielu niewidomych, ale rzadko się zdarza, by ktoś nie miał ani tęczówek, ani źrenic.

W każdym razie tak to wyglądało.

– A poza tym jak wyglądał?

– Był Romem. Przyszło mi do głowy kilka wstydlivych myśli o Cyganach. Wieczorem prosiłam Boga o wybaczenie.

– Miał coś ze sobą? Może żebraczą miseczkę?

– Komórkę – odparła porucznik Louise Ahl.

Chavez popatrzył na żonę i poczuł z lekką niechęcią, że teraz jej kolej. Była zdecydowanie lepsza w przesłuchaniach. I teraz go to naprawdę zabolalo.

– Przyszedł w gaciach, rano, w środku lata i miał w ręce tylko komórkę? – spytała Sara Svenhagen i pomyślała, że brzmi to dziwnie znajomo. Czysto literacko.

– Komórkę ze słuchawkami – potwierdziła Ahl.

– A potem wziął prysznic, zjadł śniadanie, dostał ubranie?

– Tak. A później zajął się nim Janne. Muszę przyznać, że nie byłam tym zachwycona. On tak beczelnie kłamie.

– Janne to któryś z klientów?

– Klientów? Raczej gości. To nasz stały gość.

– Co to znaczy, że się „nim zajął”?

– No cóż, długo razem siedzieli. Rozmawiali po angielsku. I słuchali czegoś w słuchawkach.

– Razem czegoś słuchali na telefonie?

– Zostali nawet do popołudniowego nabożeństwa prowadzonego przez majora Bengtssona. Ale wtedy też mieli słuchawki w uszach, widziałam to. Tylko że to było potem.

Svenhagen umilkła i próbowała przetrwać te informacje. Szukała kluczowego sformułowania, najważniejszego słowa. Znalazła je.

– Potem?

– Kiedy już mi dał tę dziwną rzecz.

– Ma pani tutaj tę dziwną rzecz?

– Tak. Mówił, że to ważne, żebym ją przechowała.

– Może ją pani przynieść?

– Nie ma takiej potrzeby – odparła porucznik Louise Ahl. – Mam ją tutaj.

Wysunęła z dekoltu łańcuszek. Obok dużego krzyżyka wisiało coś, co wyglądało zupełnie jak pendrive.

– Pytał, czy może skorzystać z komputera – powiedziała Ahl. – Nie znam się na komputerach, ale Janne mu pomógł.

Sara Svenhagen z lekkim rozbawieniem obserwowała, jak w jej mężu budzi się potężna żądza. Musiał mocno trzymać się w ryzach, by nie sięgnąć po pendrive. A to prawdopodobnie skończyłoby się czymś znacznie gorszym niż sto tysięcy woltów porażających ciało.

– Sądzę, że ten tajemniczy nieznajomy zrobił to ze względu na nas – powiedziała, wskazując na łańcuszek.

– Też mi się tak wydaje – przyznała Louise Ahl i zaczęła niespiesznie odpinać łańcuszek.

Svenhagen miała wrażenie, że widzi kropelki śliny w kącikach ust Chaveza.

Gdy już stamtąd odjechali, spytał:

– Szaleństwo czy szaleństwo?

Sara Svenhagen siedziała na miejscu pasażera i podłączała pendrive do tabletu. Potrzebowała trochę różnych przedłużaczy, ale schowek w wozie Europolu był dobrze wyposażony. Odparła, lekko wysuwając język:

– Właśnie poszerza się twoje pojęcie normalności, Jorge. Tylko twój język jeszcze za tym nie nadąza.

– Ale poważnie... – powiedział Chavez. – Czy właśnie widzieliśmy filmik, na którym jakaś ciotka z Armii Zbawienia spuściła lanie czterem chuliganom?

– To również jest test dla twojego pojmowania normalności – odparła Svenhagen, podpinając ostatni kabelek.

– Sto tysięcy wyświetleń na YouTube, dobrze widziałem? – spytał Chavez.

– Sto dwadzieścia trzy tysiące osiemset cztery – uściśliła Svenhagen. – A teraz pewnie znacznie więcej. Porucznik Ahl niedługo będzie bohaterką ludową.

– Wiem, że bawi cię patrzenie, jak się męczę, ale dosyć już tego – oświadczył Chavez. – Co jest na tym pendrivie?

– Dokumentacja Armii Zbawienia – odparła Svenhagen, przerzucając strony na tablecie. – Strasznie dużo dokumentów. Pewnie zwędzili ten pendrive z biura.

– To musi gdzieś tam być.

– Czekaj. Tutaj. Plik dźwiękowy.

– Plik dźwiękowy z komórki, która najprawdopodobniej należała do zamordowanego profesora Nielsa Sørensen. Niech to szlag, nie mogę prowadzić, kiedy będziemy tego słuchać.

Zjechał na pobocze ze środkowego pasa Huddingevägen i włączył światła ostrzegawcze. W kabinie było słychać ich tykanie, gdy uruchomił się plik.

– Tak, tu Sørensen?

– *Do you speak English, professor?*

– *Of course I do.* Kto mówi?

– To nieważne. Wiesz, czego chcę.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Musisz odrzucić następne wyniki, profesorze.

– Naprawdę nie rozumiem...

– Już blisko, prawda, profesorze? Niedługo kwestia elektrolitów będzie rozwiązana. Wszystko, co dotyczy gęstości energetycznej, zasięgu, czasu ładowania, wpływu na środowisko. Doskonale wiesz, o czym mówię.

– Bądźmy rozsądni. Co dokładnie chcesz powiedzieć?

– Że musisz zrezygnować z tego, o czym wcześniej rozmawialiśmy, profesorze. Gdy tylko przyjdą wyniki testów, musisz je odrzucić, wybrać inną, mniej produktywną drogę. Zrozumiano?

– Nigdy w swojej karierze naukowej nie zszedłem z drogi prowadzącej do prawdy i w przyszłości też nie zamierzam tego robić.

– Nie jestem do końca pewny, czy mówimy tym samym językiem, profesorze. Chyba lepiej powiedzieć to prosto z mostu, tak żeby dla każdego było to zrozumiałe. Co zrobisz, kiedy dostaniesz kolejne pozytywne wyniki testów?

– Będę świętować. Pchnę to dalej. Osiągnę cel. Oczywiście.

– Jeśli to zrobisz, profesorze, na pewno umrzesz.

– Jeśli tego nie zrobię, umrze coś o wiele ważniejszego.

Nagle zupełnie nic dla nich nie znaczyło, że samochody na Huddingevägen intensywnie trąbią. Sara Svenhagen i Jorge Chavez patrzyli na siebie. Wszystko się zgadzało. Każde pieprzone podejrzenie okazało się słuszne. Oddychali ciężko.

– Nagrane trzydziestego czerwca o godzinie trzeciej dwadzieścia – stwierdziła Sara Svenhagen. –

Kilka godzin później Sørensen dzwoni do banku, żeby zarezerwować skrytkę, w której chce zabezpieczyć komórkę. Zabezpieczyć tę rozmowę z pogroźkami. W tym wszystkim chodzi o badania, o wyniki testów. Musimy natychmiast wracać do Pasanen i Biševaca.

Mina Chaveza pozostała jednak sceptyczna.

– No nie wiem – powiedział.

– Ale czego, do diabła, nie wiesz?! – wybuchnęła Sara Svenhagen, nieoczekiwanie tracąc nad sobą panowanie.

– W całej tej sytuacji jest coś podejrzanego. Tak, to ważne. To ważna rozmowa. Pięć godzin później profesor został zamordowany. Ale to nie wszystko.

– Co masz na myśli?

– To nie wystarczy. Niels Sørensen był wyjątkowo racjonalnym, bardzo uczciwym i do tego odważnym człowiekiem, słyszymy to nawet w tych paru zdaniach. Rezygnowanie z komórki i zamykanie jej w skrytce bankowej tylko z powodu rozmowy z jakimś draniem, którego prawdopodobnie nikt nie będzie mógł zidentyfikować, *nie jest szczególnie racjonalnym działaniem.*

– Ale to znaczy, że chcesz powiedzieć...

– Że na tej komórce jest *coś więcej*, tak. Nasze dwa cienie, „dziwny nieznajomy” i „Janne”, naturalnie o tym wiedzieli. Dali nam motywację, żeby szukać dalej. Ukrywają się gdzieś z tą komórką. A na niej jest to, co *najważniejsze.*

– Nie przesadzasz przypadkiem? Janne jest włóczęgą z Hornstull, a ten nieznajomy to niewidomy romski żebrak. Aż tak cholernie błyskotliwi chyba nie są.

– Teraz uważam, że to ty, Saro Svenhagen, powinnaś trochę wykroczyć poza swoje pojęcie normalności.

– Jesteś wredny.

– Virpi i Jovan czy Janne?



– To i tak po drodze.

Policyjna para przyczała się przy drzwiach piwnicy na Hornstull, niedaleko Högalidsparken. Dokładnie tak jak mówiła im porucznik Louise Ahl, były to pozornie zapomniane piwniczne drzwi w najbardziej zacienionym zakamarku pustego wewnętrznego podwórza. Chavez zapukał. Począł, zapukał jeszcze raz. W końcu drzwi się otworzyły. Wyrzała z nich jakaś piwniczna istota. Jej broda i włosy zrosły się ze sobą, tworząc wielką piłkę – przez to głowa wydawała się nie tylko gigantyczna, lecz także okrągła, jak balon, który w każdej chwili może oderwać tego mężczyznę od ziemi. Bo to chyba był mężczyzna. Ukryty gdzieś w środku.

– Janne? – spytał Chavez.

– *Fuck off* – odparł mężczyzna.

Przez chwilę Chavez żałował, że nie startował na igrzyskach olimpijskich w Seulu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym. Ale miał wtedy dopiero trzynaście lat.

Sięgnął więc po najpaskudniejszy cios poniżej pasa.

– Jesteśmy ze spółdzielni mieszkaniowej. Jutro ta piwnica zostanie wyburzona.

Mężczyzna z okrągłą głową wpatrywał się w niego. Zarechotał i powiedział ochryplym głosem:

– Wchodźcie, pieprzone gliny.

Weszli do bardzo małego pomieszczenia, stanowiącego dziwną mieszankę biura i legowiska bezdomnego. Stał tam włączony prastary komputer, leżały komórki podłączone do różnych kabli. Żadna z nich nie była smartfonem.

– Za trudno je zdobyć – powiedział Janne.

– Co? – zdziwił się Chavez.

– Przecież widzę, że szukałeś iPhone’a. Kurwa, ale wam to zajęło.

– Nie powinniście od razu zgłosić się na policję? – spytał Chavez.

– Tylko by to spieprzyli – odparł Janne. – Lepiej było sprowadzić gliniarzy właściwego rodzaju. Na pewno jesteście właściwymi gliniarzami? Ona tak, ale ty?

Wtedy Chavez wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Zabrzmiało to naprawdę głośno w małym pomieszczeniu.

– Masz rację, ona jest gliniarzem właściwego rodzaju. Mnie dostajesz gratis.

– No to zadawajcie właściwe pytania.

– Nie proponujesz, żebyśmy usiedli?

– Zajebiecie zabawne.

– Dlaczego nawiązałeś z nim kontakt?

– Głównie z powodu oczu. Było oczywiste, że jest niewidomy, ale w ogóle się tak nie zachowywał.

– Pozwolę sobie powiedzieć, że ty też nie zachowujesz się jak bezdomny.

– A który bezdomny to robi? Kurwa, jesteśmy tylko zbieraniną ludzi, którzy nie połapali się w coraz ostrzejszych regułach gry. Jak można oczekiwać od ludzi, że każdy będzie się obchodził z pieniędzmi jak

jakiś pieprzony bankier?

– Piszesz? – spytał Chavez, wskazując na komputer.

– Codziennie – odparł Janne. – Kiedyś odnosiłem sukcesy. Albo przynajmniej byłem tego bliski.

– To twoje? – spytała Sara Svenhagen, wskazując na kilka książek przy ścianie. – Poznaję nazwisko.

Janne przyglądał jej się przez dłuższą chwilę. Pokiwał głową.

– Powiedziałaś to tylko po to, żeby się podlizać.

– Podlizywanie się to mój słaby punkt – powiedziała Svenhagen. – Ale nie czytałam nic twojego.

– Bardzo niewielu czytało – odparł Janne. – Chcesz jedną?

– No pewnie! – odparła Sara Svenhagen, przyjmując z jego rąk trochę poplamioną książkę. – Mówisz poważnie?

– Tak.

– Jak miło.

– I co poszło nie tak? – spytał Chavez, przeglądając tytuły. Było ich pięć.

– Nic – odparł Janne. – Nic nie poszło nie tak. Rozwijałem się tak jak każdy pisarz. Powoli. Ale świat szybko się zmieniał. W połowie lat dziewięćdziesiątych branża wydawnicza stała się zupełnie inna. Nie było już miejsca na to, by poszło ci tak sobie z kilkoma tytułami, zanim się przebijesz. Wydawnictwa zaczęły skreślać pisarza po dwóch książkach, choć dawniej wciąż by na takiego stawiały. Kilka wydałem sam, splukałem się. Potem dostałem jeszcze jedną szansę. W dziewięćdziesiątym siódmym. A potem nastąpił koniec.

– Od tego czasu pisałeś pod ziemią?

– Pisałem, chlałem, ćpałem... Miałem doła. Nie udało mi się życie. Mam gdzieś dzieci, nie wiem gdzie. Unieszczęśliwiłem co najmniej trzy kobiety.

– Co jest jeszcze na tej komórce, prócz tej rozmowy?

– Właściwe pytanie – uśmiechnął się Janne. Wciąż miał co najmniej pięć zębów.

– Teraz chcę usłyszeć właściwą odpowiedź – odparł Chavez.

– Pamiętnik po duńsku – wyjaśnił Janne.

Chavez umilkł. Zamurowało go.

– Czytałeś ten pamiętnik? – spytała Sara Svenhagen.

– Niestety, już nic nie pamiętam – odparł Janne. – Czytałem, ale nie pamiętam, o co tam chodziło. Pamiętam tylko dawne sprawy. Dawne krzywdy.

– Ale długo siedzieliście i rozmawialiście w tym ośrodku Armii Zbawienia?

– Sprawdzaliśmy nagranie. Jakoś tak zeszło na losy Mandera. Mander Petulengro. Ja pierdołę, co za historia. Naprawdę mnie zainspirowała, niewiele rzeczy mnie ostatnio inspiruje. Romski pieśniarz i muzyk, który urodził się niewidomy. Przeżył pogrom i został wypędzony ze swojej wioski w Transylwanii. Podczas wojny wędrował po Bałkanach. Przeżył wszystko. Kochał i jego ukochana zginęła. Wrócił do ruin swojego domu. Chciał czekać na śmierć w zasranym tak zwanym domu opieki.

Zamiast tego kupiły go jakieś chytre noeliberaty. Zrobili z niego niewolnika. A potem był świadkiem pieprzonej jatki. I to ze wszystkich tych porąbanych miejsc akurat tutaj, na Hornstull. Oczywiście, że musiałem spróbować mu pomóc. To było tak, jakbym pomagał samemu Homerowi.

– Pomogłeś mu?

– Jasne – odparł Janne. – Mander Petulengro kąpie się teraz w jeziorku z mojego dzieciństwa.

– Kąpie się w jeziorku z twojego dzieciństwa? – parsknął Chavez.

– Skąd on miał na to wszystko siły? – spytał Janne.

– A gdzie jest to jeziorko? – spytała spokojnie Svenhagen.

– Pod Gnestą – wyjaśnił Janne. – Podałem mu audiowizualne wskazówki, jak dotrzeć do rudery, jeśli kapujecie państwo, co mam na myśli.

– Dostałeś potwierdzenie, że tam dotarł?

– Tak. Kiedy dotarł na miejsce. Potem mu powiedziałem, że powinien wyłączyć komórkę. Albo przynajmniej włączyć profil samolotowy.

– Dlaczego tak powiedziałeś?

– Z tych komórek promieniuje przecież pełno dziadostwa – odparł Janne.

– Możesz dokładnie opisać, gdzie jest ta rudera?

– Nie tylko – odparł z dumą Janne i poklepał swój prastary komputer. – Możecie dostać dokładne współrzędne GPS. Jeśli raczycie państwo poczekać na trochę odporne, dzikie połączenie z siecią.

Kiedy czekali, Sara Svenhagen spytała:

– A co takiego teraz piszesz?

– W tej chwili kryminał – roześmiał się głośno Janne. – Nie ma lepszego sposobu, by zasłużyć na głęboką pogardę elity kulturalnej.

Na E4, w drodze na południe, do Gnesty, Chavez spytał:

– I co, dobra?

Svenhagen podniosła wzrok znad trochę poplamionej książki i odparła:

– Nie dotarłam jeszcze tak daleko.

– Jaki ma tytuł?

– *Cztery wariacje* – odparła Sara Svenhagen. – Cztery, pechowa liczba dla Japończyków.

\* \* \*

Mander Petulengro się nudził. A poza tym miał serdecznie dość przetworów. Nawet sekundy wydawały się wlec. Nie włączał komórki. Chciał oszczędzać baterię. Ale już dłużej nie mógł. Musiał usłyszeć ludzki głos, choćby własny.

Włączył ją. Odsłuchiwał wszystko, co było do odsłuchania. Rozmowę z pogrózkami. Swoją rozmowę z Janne. Słuchał nawet metalicznego kobiecego głosu, który czytał pamiętnik w obcym, dziwnie gardłowym języku.

Kiedy miał wyłączyć komórkę, uderzyła go pewna myśl. Udało mu się znaleźć ustawienia.

Metaliczny kobiecy głos powiedział:

– Profil samolotowy wyłączony.

To oznaczało, że profil samolotowy był też wyłączony przez ostatnie pół godziny.

Gdy Mander Petulengro wyłączył komórkę, zdawał sobie sprawę, że jest już za późno.

Haga – Bruksela – Berlin, 6 lipca

ZDJĘCIE WALIZEK, z których wysypywały się pieniądze, widniało na elektronicznej tablicy, gdy z Amsterdamu jeden po drugim wracali bohaterowie. Wciąż było wcześnie, nie minęła połowa dnia.

Ale choć zdjęcie krzyczało ze ściany o triumfie, fotograf i jego asystentka jeszcze nie wrócili.

– A poza tym zwędzili mój samochód – stwierdził Navarro.

Wspomniany samochód jechał autostradą z Amsterdamu do Brukseli, gdy Laima Balodis odezwała się z siedzenia pasażera:

– Powinnam była wyczuć, że coś jest nie tak.

– Co masz na myśli? – spytał Paul Hjelm.

– To, jak szarmancko przybyłeś mi na ratunek. Miałeś plan. Zły plan.

– Jeszcze raz potrzebuję twojej pomocy. Tym razem mamy wyraźne dowody, nie musi dojść do rękoczynów.

– Ale wzięłeś mnie ze sobą, *just in case*?

Hjelm zmarszczył brwi, posmutniał.

– To się powinno niedługo skończyć – odparł. – Wynagrodzę ci to.

Laima Balodis odchyliła się na siedzeniu i powiedziała:

– Czyli Bruksela?

– Tak, na początek.

– Na początek, no proszę. A co, jeśli mam jakieś plany na wieczór?

– Najpierw Bruksela, potem Berlin. Przed wieczorem będziemy w domu, w Hadze.

– Ostatnio kiedy byłam w Berlinie, było tam sporo akcji.

– Tym razem tak nie będzie. Obiecuję.

– Obiecujesz? – powiedziała Balodis i temperatura w samochodzie spadła o kilkanaście stopni.

Kiedy w letnim słońcu wjechali do Brukseli, atmosfera topniała jak kawałek lodu na patelni.

Biuro PR Arc-en-Ciel miało swoją brukselską siedzibę w architektonicznie interesującej części miasta, kilka kroków od budynku Berlaymont i głównej siedziby NATO. Jakby chcieli zawsze być pod ręką.

Spin doktor Laurent Gatien znajdował się w swoim gabinecie, Paul Hjelm sprawdził to telefonicznie, kiedy był kilka skrzyżowań dalej. Ruszył przez surowe, proste korytarze, a gdy dotarł do drzwi i gwałtownie je otworzył, miał na ogonie co najmniej pięcioro praktykantów zatrudnionych na okres próbny. To dało Laimie Balodis możliwość, by wejść prosto do gabinetu spin doktora, dosłownie posadzić go na sofie i szepnąć mu do ucha:

– Fabien Fazekas pozdrawia z Wegier.

Gatien pospiesznym gestem odesłał praktykantów i wpatrywał się w Paula Hjelma, który wszedł i zamknął za sobą drzwi. Hjelm zbliżył się do sofy.

– Zakładam, że domyślasz się, kim jestem – powiedział.

– Domyślam się – potwierdził Gatien. – Ale przypuszczam, że się nie przedstawisz. Ani swojej uroczej przyjaciółki.

– Jak mogłeś? – powiedział Hjelm. – I nie próbuj zaprzeczać, mam wykaz połączeń, w którym widać każdą rozmowę z Grecją. I z Paryżem, i z Węgrami. Po prostu odpowiedz na pytanie. Jak, do diabła, mogłeś zniszczyć wszystko, co razem zbudowaliście w największej tajemnicy? Wykonałeś przecież bajeczną robotę.

Laurent Gatien siedział na sofie i wpatrywał się przed siebie pustym wzrokiem.

– Nie tylko bajeczną – odparł. – Legendarną. To byłaby klasyczna kampania. Nie tylko klasyczna ze strategicznego punktu widzenia, lecz także klasyczny wkład w coś dobrego. Wbrew wszelkim przeciwnościom. I *naprawdę* sędzę, że to coś dobrego. Autentycznie dobrego.

– To jak mogłeś?

– Mam wiele zalet, panie policjancie albo prywatny detektywie, albo najemniku, czy kim tam jesteś, ale nie jestem szczególnie odważny. Z pewnymi groźbami po prostu sobie nie radzę. I nie mam na myśli tego rodzaju pogroźek, do jakich jesteście zdolni ty albo twoja zdradziecko szczupła asystentka. Mam na myśli prawdziwe groźby.

– Bat – stwierdził Hjelm. – Ale na pewno też trochę marchewki.

– Żadnej marchewki – odparł Gatien, patrząc w oczy Hjelmowi. – Gwarantuję ci to. Ale za to bat był poważny.

– Plan G?

– Wciąż nie wiem, co to jest. – Spin doktor wzruszył ramionami. – Ale z pewnością dotyczy ludzi, którzy nie chcą zakazu pojazdów na benzynę w wielkich miastach Europy.

– To o to chodzi w tym projekcie ustawy?

– Nie ufała ci na tyle, żeby ci powiedzieć? No tak, potrafię ją zrozumieć. Skoro nie mogła ufać nawet mnie.

– Jeśli to ma pójść gładko, to pewnie nie powinna *nikomu* ufać.

– Ale teraz już nie może pójść gładko. Jest na to za późno. Wszystko zostało zniszczone. Ja to zniszczyłem. Zróbcie ze mną, kurwa, co chcecie.

– Wszystko wciąż jeszcze może się udać. Ale musisz nam opowiedzieć o planie G. Wszystko, co wiesz.

– Nie mam o tym pojęcia – odparł Gatien. – Nie jestem częścią planu. Kiedy Marianne poinformowała mnie o zdjęciu, dopiero co się ze mną skontaktowano. Moim pierwszym zadaniem było odszukanie Pamplémousse’a i zadbanie o to, żeby trzymał gębę na kłódkę. Najwyraźniej tego nie zrobił.

– Kto się z tobą skontaktował? Spotkałeś go?

– Nie, rozmawiałem z nim tylko przez telefon. Zastrzeżony numer, żadnych szans, żeby się dowiedzieć, kto za tym stał. Ale był Amerykaninem.

– Amerykaninem?

– Powiedział, że mam dwa zadania. Zadbać o to, żeby wciąż można było wykorzystać ten szantaż, czyli mówiąc wprost, ostrzec Fazekasa, jeśli zajdzie taka potrzeba, i udawać, że przygotowuję dobrą obronę na wypadek upublicznienia zdjęć. Zamiast tego miałem jednak wdrożyć inną strategię.

– Miałeś się wyprzeć Marianne Barrière i przygotować różne wypowiedzi o jej upadku moralnym?

– Coś w tym stylu – pokiwał głową Gatien.

– I dlaczego się na to zgodziłeś?

– Podczas rozmowy telefonicznej przyszedł mail. Zawierał trzy filmy, z Oksfordu, Yale i Barcelony. Tam studiują albo pracują moje córki. To były pozornie nieszkodliwe filmy. Moje dziewczyny w codziennych sytuacjach w każdym z tych miejsc. Ale nie miałem żadnych wątpliwości: śledzili moje wspaniałe córki, wszystkie trzy. Naprawdę paskudna mieszanka środków i bezwzględności w ich stosowaniu.

– I dlaczego mi o tym opowiadasz, skoro twoje córki wciąż są zagrożone?

– Jak wspominałem, nie jestem szczególnie odważny i przypuszczam, że nie zabrałeś ze sobą tej pięknej damy z powodów estetycznych. Poza tym właściwie wiesz już wszystko. Nie jesteś żadnym prywatnym detektywem, tylko sądząc z naszej rozmowy, wysoko postawionym policjantem. To chyba jedyna szansa, żeby dorwać tych typów. Z całego serca życzę ci powodzenia. Choć muszę cię błagać na kolanach, żeby niczego nie dało się ze mną powiązać. *Nie wygadałem się.* Mogę cię o to prosić? Inaczej skażesz na śmierć trzy niewinne, cieszące się życiem dziewczyny.

– Jeśli tylko nie przyjdzie ci do głowy skontaktować się z tym Amerykaninem i powiedzieć mu o naszym spotkaniu.

– Nawet nie wiem, z kim miałbym się skontaktować. Nie mam żadnych namiarów.

– A druga noga?

– Druga noga?

– Jedną nogą projektu jest ta ustawa, przepchnięcie jej i sprawienie, by Parlament Europejski ją przegłosował. Drugą nogą projektu jest zespół badawczy, który ma opracować optymalny akumulator do samochodów z napędem elektrycznym. Mylę się?

– Sporo wiesz...

– A jednak o wiele za mało.

– Nie mam nic wspólnego z tą drugą „nogą”. Marianne sama się tym zajmowała. Nie mam do nich namiarów. Wiem tylko, że nazywali się Niels, Virpi i Jovan, nic poza tym.

Paul Hjelm się zastanowił. To się zgadzało. Trzymało się kupy. Były dwie nogi. Marianne powiedziała mu tylko o jednej. Była mądrą kobietą.

– Teraz twoim jedynym zadaniem – zaczął Hjelm – jest dalej zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Ale stań na głowie dla Marianne i nic więcej im nie dawaj. Absolutnie nic. Jeśli będziesz musiał, wciskaj im kit. Jesteś specjalistą od komunikacji. Zrozumiałeś?

– Tak – potwierdził Gatien, patrząc na swoje dłonie.

– W przeciwnym razie mam o tobie gotowy komunikat prasowy. Wystarczy mi kilka minut, żeby go opublikować. To cię pograży i skaze na śmierć twoje córki. Wszystkie trzy. Rozumiesz, co mówię?

– Nigdy byś...

– Chcesz się przekonać?

– Nie! Nie, zrozumiałem. Czy to oznacza, że sprawa zdjęć jest załatwiona? Mogę o tym zapomnieć?

– Mam nadzieję, że już niebawem – odparł Hjelm. – Skontaktuję się z tobą.

Wyszli od spin doktora i wkrótce opuścili Brukselę. W samolocie Laima Balodis spytała:

– Komunikat prasowy?

– Jako moja asystentka możesz go napisać – odparł Hjelm.

– *Fuck off.*

– Kiedyś zwracałaś się do swojego szefa z większym szacunkiem.

– *Fuck off, mówiłam.*

Jakąś godzinę później taksówka minęła Brandenburger Tor i wjechała na Unter den Linden. Lipy srebrzyste kwitły trochę później niż zwykle, taksówkę wypełniła niespodziewanie piękna woń, a potężne drzewa tworzące pozornie nieskończenie długi szpaler wzdłuż alei lśniły bielą. Po drugiej stronie Uniwersytetu Humboldta, Bebelplatz, Muzeum Historycznego i opery roztaczał się widok na jedną z najdziwniejszych wysp świata, Wyspę Muzeów. Kiedyś stał tam berliński zamek królewski, ale w czasach NRD, a dokładniej trzydziestego grudnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, wysadzono w powietrze wspinały renesansowy zamek, by zrobić miejsce, w którym przewodniczący rady państwa Ulbricht chciał zobaczyć organizowane przez władze demonstracje. Trzysta lat historii zniszczone w jednym, bardzo symbolicznym wybuchu.

Jedynym, co pozostało, był nieco zbłąkany park zamkowy, Lustgarten, po drugiej stronie Unter den Linden, naprzeciwko muzeów, oraz to, co pod koniec dziewiętnastego wieku miało stanowić duchowy kontrapunkt zamku, a mianowicie katedra.

Taksówka skręciła między ludzi, którzy leżeli powyciągani na trawniku Lustgarten jak rozjechane mewy. Kiedy Paul Hjelm i Laima Balodis wspinali się po schodach do bram katedry, ta ostatnia pomyślała, że zaczyna już mieć serdecznie dość kościołów.

To nastawienie miało się jednak zaraz zmienić. Zrobili dopiero kilka kroków w głąb budynku, gdy w majestatycznym protestanckim kościele rozległy się trzy szybkie tony. Po nich nastąpiła kaskada sześciu kolejnych i znów początkowe trzy. A następnie cztery, trochę wolniej. To było absolutnie magiczne. Oboje zatrzymali się w pół kroku. I wtedy zaczęła się dudniąca, głęboka wspinaczka tonów obwieszczająca wieczność nie tyle Boga, ile jego najbliższego zastępcy. W ogromnym pudle



rezonansowym berlińskiej katedry rozbrzmiewało jedno z najwybitniejszych dzieł organowych Jana Sebastiana Bacha, *Toccata i fuga d-moll*. Dopiero gdy ucichły ostatnie tony, całkowicie wstrząśnięci dotarli do organisty.

– Fantastyczne – powiedział po prostu Paul Hjelm.

– Dziękuję – odparł lekko zaskoczony chudy organista w średnim wieku i uniósł okulary na czoło. –

Tylko ćwiczę.

– Zawsze uważałem, że Bach jest bluźnierczy – powiedział Hjelm.

– Bo przyćmiewa samego Boga? – Organista się uśmiechnął. – W głębi ducha ten pobożny baranek na pewno o tym wiedział. Tyle tylko że czasem się podejrzewa, że *Toccata i fuga* BWV 565 powstały trochę później. Jeśli chodzi o mnie, to nie wierzę, by mógł to napisać ktokolwiek inny.

– Wspaniałe brzmienie organów.

– Klasyczny Sauer z tysiąc dziewięćset piątego, największe pneumatyczne organy w Niemczech, z okresu neoromantyzmu. Solidna konstrukcja.

Organista czule przesunął palcami po tastaturze. Paul Hjelm spytał:

– Co się stało ze zdjęciem?

– Ze zdjęciem?

– Marianne Barrière w Berlinie Zachodnim, w osiemdziesiątym piątym.

Organista cofnął dłoń i powoli pokiwał głową. Na jego czole pojawiła się nowa zmarszczka.

– Jeśli macie mnie zabić, to chciałbym przedtem zagrać jeszcze jedną fugę – powiedział w końcu.

– A którą? – spytał z zainteresowaniem Hjelm.

– Chyba *Fugę a-moll* – odparł organista i położył palce na klawiszach.

– Jesteśmy z policji – oświadczył Paul Hjelm i podsunął mu swoją fałszywą legitymację. Laima Balodis uczyniła to samo.

– Karlsson i Abromaite, szwedzki policjant i litewska policjantka, prowadzący śledztwo w sprawie szantażu francuskiej komisarz Unii Europejskiej? No tak, to przecież bardzo logiczne...

– Po prostu odpowiedz na pytanie.

– Przykro mi – zaparł się organista. – Nie wiem, dla kogo pracujecie.

– Jesteś przecież Ignatius Dünnes, prawda?

– To ma być odpowiedź?

– Zaangażowała mnie mademoiselle Barrière – powiedział Hjelm. – Zadzwoń do niej i sam się przekonaj.

Ignatius Dünnes długo wpatrywał się w Paula Hjelma. W końcu kiwnął głową i wstał.

– Możemy to załatwić gdzieś indziej, nie w domu Bożym?

– Na schodach domu Bożego?

Ignatius Dünnes roześmiał się i odparł:

– Czemu nie?

Hjelm i Balodis usiedli po obu stronach Dünnesa na najniższym stopniu schodów.

– To nawet logiczne, że pracujesz dla Marianne – powiedział. – Jesteś w jej typie.

– Ty też, z tego, co rozumiem – odparł Hjelm.

– No cóż, chyba można tak powiedzieć. Wizualnie było to oczywiste.

– A więc ty też jesteś na tym zdjęciu?

– Przyszło z zawołaną groźbą, że już nigdy nie będę grał na kościelnych organach. A tak by się stało, gdybym został wykluczony ze zboru.

– Nie było nadawcy?

– Nie.

– Wiesz, że Marianne też takie dostała?

– Wiem.

– Czyli wciąż utrzymujesz z nią kontakt?

– Przyjaźnimy się na odległość i utrzymujemy stały kontakt mailowy.

– Twierdziła, że nie pamięta nazwiska Natza...

– Zawsze próbowała mnie chronić – roześmiał się Dünnes. – Uważa mnie za delikatną, artystyczną duszę. Nie mam lepszej przyjaciółki niż ona. Łączy nas... wspólne spojrzenie...

– Co zrobiłeś ze zdjęciem?

– Oczywiście natychmiast je skasowałem.

– Masz coś przeciwko temu, żebym przejrzał twoją komórkę?

Ignatius Dünnes bez słowa podał mu telefon i zapatrzył się w bezchmurne wieczorne niebo nad Berlinem.

– Bóg? No nie wiem... – powiedział z ociąganiem. – Bardziej wierzę w Bacha, jeśli można tak to ująć. Ale może musi istnieć zło, żebyśmy naprawdę mogli rozpoznać dobro. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego jest go tak dużo...

– Masz iPhone'a 4S sześćdziesiąt cztery gigabajty – stwierdził Hjelm – ale ani jednego zdjęcia.

– Nie jestem wizualnym typem – uśmiechnął się Dünnes. – Porównaj to z moją biblioteką muzyczną.

Hjelm oddał mu komórkę, zapatrzył się w to samo niebo.

– Jest tego trochę za dużo. To znaczy zła.

– Zwłaszcza kiedy muszą je czynić dobrzy ludzie – powiedziała Balodis.

Dünnes posłał jej zaskoczone spojrzenie, a Hjelm krzywe. Ten ostatni podjął:

– Czy to wasze „wspólne spojrzenie” na różne sprawy oznaczało, że się sobie zwierzaście?

Ignatius Dünnes uśmiechnął się szeroko i utkwiał spojrzenie w Hjelmie.

– Nie powiedziała ci, co? Nie o wszystkim.

– Nie – przyznał Hjelm. – Ale się domyśliłem.

– Marianne przedstawi wkrótce projekt ustawy, która zakazuje używania samochodów napędzanych produktami ropopochodnymi we wszystkich miastach Europy liczących ponad dziesięć tysięcy

mieszkańców. Ma to nastąpić najpóźniej do roku dwa tysiące szesnastego. Pod warunkiem że uda jej się przedstawić wystarczająco dobrą i realną alternatywę. I musi to zrobić, zanim wygłosi swoje wielkie przemówienie dla prasy, za niecały tydzień.

– O czym my w takim razie mówimy? O samochodach elektrycznych?

– O samochodach elektrycznych dla każdego. Tanich i funkcjonalnych, takich, które wszyscy będą w stanie kupić do dwa tysiące szesnastego roku. Ma być na to dofinansowanie z Unii. Marianne chce wykorzystać swoją władzę, by zrobić coś konkretnego przeciw globalnemu ociepleniu. I równocześnie tchnąć polityczną odwagę w Europę, której polityka coraz bardziej zaczyna przypominać lobbing albo politykę siły. Obecny stan Marianne nazywa „postdemokracją”. Coraz bardziej skomercjalizowanym stanem, który pojawił się po demokracji.

– Niemale ambicje – stwierdziła Laima Balodis.

– I niemali przeciwnicy – dodał Ignatius Dünnes. – Sądziła, że wszystko zabezpieczyła. Najwyraźniej nie do końca.

Siedzieli tak przez jakiś czas na schodach katedry i kontemplowali sytuację. Całą sytuację, wszystko razem.

– Nie daje mi spokoju jedno pytanie – powiedział w końcu Hjelm. – Dlaczego Fabien Fazekas wysłał ci to zdjęcie? Nie masz przecież żadnej władzy.

– Nie wiem – odparł Dünnes. – Chyba musieli się dowiedzieć, że jesteśmy sobie bliscy. Może myśleli, że wywrę na nią wpływ. Nieoficjalny wpływ. Że zacznę lamentować. „Proszę, Marianne, ratuj moją posadę kantora, zrezygnuj ze swojej wizji!”.

– Pomylili się?

– Nie mają pojęcia, jak bardzo – odparł Ignatius Dünnes.

– Cieszy mnie to – stwierdził Paul Hjelm.

– Mnie też – dodała Laima Balodis. – A poza tym zacznę się zwracać do szefa z trochę większym szacunkiem.

– To również mnie cieszy – stwierdził neutralnie Hjelm.

– Ale mam jeszcze jedno ważne pytanie – oświadczyła Balodis, patrząc na Dünnesa.

– Tak? – spytał.

– Nie mógłbyś zagrać czegoś jeszcze, chociaż teraz nie umrzesz?

– Właściwie to miałem zadać dokładnie to samo pytanie – powiedział Hjelm.

Dünnes się roześmiał.

– Zastanawiam się, czy najpiękniejszym ze wszystkich dzieł organowych Bacha nie jest *Fuga a-moll*. BWV 543, zresztą sami wiecie.

Gdy pierwsze dźwięki wzniosły się ku wysokiej kopule berlińskiej katedry, Paul Hjelm i Laima Balodis spojrzeli po sobie. To, co dostrzegli w swoich oczach, można było opisać tylko jednym słowem. „Nadzieja”.

Gnesta, 6 lipca

PONIEWAŻ MINĘŁO DOPIERO kilka tygodni od letniego przesilenia, trudno było mówić o zmierzchu, ale mimo wszystko zdążyło się zrobić trochę ciemniej, gdy samochód skręcił w las po drugiej stronie małego centrum Gnesty. Niuanse się zatarły, monotony mieszany las rozmywał kontury. Leśna dróżka stawała się coraz mniejsza, coraz węższa. Można było odnieść wrażenie, że las nieustannie się zbliża, jakby zaraz miał wtargnąć do samochodu.

Do lśniącego wozu Europolu.

Według GPS-u zostały jeszcze trzy kilometry, ale Sarze Svenhagen trudno było sobie wyobrazić, że za trzy kilometry ta droga wciąż będzie istnieć. A jednak biegła dalej, pozornie w nieskończoność. Trudno było pojąć, że wciąż istnieją takie pustkowia tak niedaleko Sztokholmu. Mimo wszystko Szwecja była mało zaludnionym krajem.

Minęli strumyk i w końcu dotarli do rzędu skrzynek na listy pośrodku pustkowia; prawdopodobnie w lesie porozrzucane były gospodarstwa. Chavez dojechał do znaku drogowego, który ku zdumieniu Svenhagen ostrzegał, że droga się zwęża. Dokładnie z tego miejsca odchodziła kręta ścieżka w głąb lasu. Spojrzeli na ekran GPS-u. Według jego wskazań ich cel był położony trzysta metrów na lewo, w głębi lasu. Nie było szans, by jechać dalej. Ale zostawienie tutaj samochodu nie było dobrym pomysłem, od razu byłoby jasne, że tu są. Chavez odjechał trochę dalej, Svenhagen się nie odzywała. Myśleli podobnie. Kilkaset metrów dalej wypatrzyli małą leśną dróżkę odchodzącą w prawo. Chavez wjechał w nią na tyle daleko, by samochód nie był widoczny z głównej drogi, która sama w sobie też przecież nie była bardzo uczęszczana.

Bez słowa wysiedli z wozu. Ruszyli leśną dróżką, wyszli na główną drogę, dotarli do ścieżki przy znaku drogowym. Była ledwie widoczna i po jakimś czasie zupełnie zginęła w zapadającym zmierzchu. Powietrze za to stało się inne, świeższe, bardziej rześkie. Pachniało wodą. Jeziorem.

Za osikowym zagajnikiem pojawiło się małe jezioro, które nie figurowało na mapie GPS-u. Przy nim stała zrujnowana chata. W trochę innych okolicznościach byłby to wspaniały widok. Teraz przyprawiał raczej o dreszcze.

Wszystko wydawało się kompletnie opustoszałe.

Chavez i Svenhagen skręcili w stronę rudery. Schodki, wyglądające na dość słabe, prowadziły na budzący jeszcze mniejsze zaufanie taras. Chavez zakradł się po nich ostrożnie. Nie skrzypnęły. Svenhagen ruszyła dalej.

Pod drzwiami leżała wycieraczka, która czterdzieści lat temu obwieszczała: „Mój dom jest moją twierdzą”. Chavez wyjął pistolet i ostrożnie otworzył drzwi. Zrobił krok i pogрузił się w absolutnej

ciemności. Coś nadleciało w jego kierunku. Dostrzegł to za późno, żeby się uchylić, ale udało mu się przynajmniej trochę obrócić. Tuż przed tym, nim przedmiot rąbnął go w ramię i przewrócił, zobaczył, że to duży słoik napełniony cieczą. Wydawało mu się, że w płynie unosi się płód.

Ciężki słoik cisnął nim do tyłu. Upadając, zobaczył, że ktoś wyszarpuje wycieraczkę spod nóg Sary Svenhagen, która przewraca się do tyłu na schodki prowadzące na taras.

Chavez uderzył ciężko o podłogę i wrzasnął:

– *Fucking hell, Mander! We are the police!*

\* \* \*

Siedzieli przy kuchennym stole w małej chatce. Mander Petulengro opatrzył głowę Sarze Svenhagen. Jego dłonie poruszały się w ten charakterystyczny dla niewidomych od urodzenia sposób, jakby znajdowały się w zupełnie innej, równoległej rzeczywistości. Na policzku Sary zakrzepły strużki krwi. Jorge Chavez poruszał ramieniem i za każdym razem czuł ból przeszywający ciało.

– Powinniście byli powiedzieć, że jesteście z policji – stwierdził Mander Petulengro.

– Nie wiedzieliśmy, czy nie ma tu żadnych drani – odparł Chavez.

– Nie za bardzo mam się czym bronić – powiedział Petulengro.

– To się bierze, co się ma – oświadczył Chavez, spoglądając na wielki słój stojący na stole. Nie było w nim żadnego płodu. Tylko kiszony ogórek. Sznurek do suszenia prania zwisający z sufitu wciąż był obwiązany wokół słoika.

– Przetwory, przetwory, przetwory – powiedział Petulengro. – Cholera, mam serdecznie dość przetworów.

– Urządzimy ci prawdziwą ucztę, jeśli dasz nam komórkę.

Mander Petulengro pokiwał głową i bez słowa podał smartfon Chavezowi.

– Na pół godziny przypadkiem wyłączyłem profil samolotowy – powiedział Petulengro. – Myślałem, że jesteście bandziorami, którzy przyszli za promieniowaniem.

– O do diabła – zaklął Chavez i wstał. – Musimy się stąd zmywać. Natychmiast.

Ruszyli. Sara Svenhagen wciąż była zamroczona i trzeba ją było sprowadzić po schodkach z tarasu. Zapadł zmierzch. Na zewnątrz było prawie ciemno. Jeszcze trudniej było dojrzeć niewyraźną leśną ścieżkę.

Chavez właśnie wyciągnął miniaturową latarkę, którą miał przy pęku kluczy, kiedy usłyszał silnik samochodu. Warknął raz jeszcze, a potem umilkł.

Chavez spojrział na Petulengro. On też to słyszał, pewnie o wiele wyraźniej od niego. Petulengro złapał go za ramię i poprowadził ich z powrotem w ciemność. Tym razem nie do chaty. Minęli starą metalową pompę i dotarli do prawie niewidocznych drzwi prowadzących do porośniętej trawą ziemianki. Poczuli wyraźną woń ziemi. Pograżyli się w całkowitym mroku.

Chavez poczuł, że Mander Petulengro pochyła się w jego stronę i szepcze:

– To moja pora. Teraz widzę lepiej niż wszyscy.

– Masz więcej pułapek? – szepnął Chavez.

Ale Petulengro już zniknął.

Chavez włączył miniaturową latarkę i poświecił na drzwi. Były porządnie zamknięte. Następnie oświetlił wnętrze ciasnej ziemianki – regały z przetworami, słoiki z kawą rozpuszczalną o bliżej nieokreślonej dacie ważności, płatanina kabli niedbale zebrana opaską zaciskową – a w końcu skierował stożek światła na swoją żonę.

Sara Svenhagen wydawała się wyczerpana i to wrażenie nie brało się tylko z kiepskiego opatrunku wykonanego z tkaniny przypominającej brezent, lecz przede wszystkim z koloru jej twarzy. Ciemne smugi biegnące po jej skroni i policzku podkreślały bladość. Nie było wątpliwości, że miała wstrząśnienie mózgu.

Chavez pogłaskał ją po policzku i szepnął:

– Dasz radę?

– Oczywiście, że tak – odszepnęła Svenhagen. – Ale czy naprawdę możemy puścić Manderę samego, bez broni, żeby zmierzył się z jakimś elitarnym oddziałem? Widziałam ich w Królewskim Instytucie Technologicznym. To byli zawodowcy w każdym calu.

– Ma rację, że nasza największa szansa to zostać tutaj – odparł Chavez. – Mamy komórkę, mamy broń, jest tylko jedno wejście.

– O ile po prostu nie wrzucą nam tutaj granatu – pocieszyła go Svenhagen.

Oboje usiedli, zwrócenii twarzami w stronę drzwi. Oparli się plecami o regał z przetworami. Trzymali broń w pogotowiu.

Czas mijał. Z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

Chavez nie był do końca przekonany do tego, co powiedział. Siedział jak na szpilkach. Chciał wyjść. Czuł, że musi pomóc Manderowi. Przecież to on był uzbrojony, do diabła. Powinni byli dać Manderowi broń. Powinni byli pójść z nim, spojrzeć niebezpieczeństwu prosto w oczy.

Prosto w oczy.

Mander Petulengro naprawdę miał przedziwne białe oczy. Był niewidomy od urodzenia, nigdy nic nie widział. Jak właściwie wyglądał jego świat? Pieśni, muzyka, dźwięki, mowa, dotyk. Skrajnie wyostrzona wrażliwość, która według Jannego utrzymała go przy życiu na Bałkanach, podczas wojny. „Przeżył wszystko”.

Owszem, przeżył wszystko, ale, do diabła, nigdy nie musiał się mierzyć z zachodnimi najemnikami, wyposażonymi w paralizatory i zaawansowany sprzęt. Całkiem możliwe, że widzieli w ciemności równie dobrze jak on, dzięki lornetkom na podczerwień, noktowizorom i całemu temu kramowi.

Z drugiej strony sądzili, że był tutaj sam.

Może nie będą więcej szukać. Ale na pewno będą szukać komórki. I z całą pewnością znajdą ziemiankę.

Prędej czy później tutaj przyjdą. A wtedy na pewno ktoś zginie.

– Czytaj – szepnęła Sara Svenhagen. – Musimy pomyśleć o czymś innym.

– Czytać?

– Przeczytaj mi pamiętnik. Spróbuj przetłumaczyć z duńskiego. Miałeś przecież kiedyś strasznie podejrzaną duńską dziewczynę.

Chavez niechętnie przyznał, że to najlepsza rzecz, jaką mogą zrobić. Zająć czymś myśli, w oczekiwaniu na śmierć.

Ale paralizatory? Czy ci najemnicy chcieli ich zabić? Wszystko było dla nich prostsze, kiedy nikt nie ginął. Albo przynajmniej kiedy nikt nie znajdował zwłok.

– Czytaj już.

I Jorge Chavez zaczął czytać. W pamiętniku były tylko cztery wpisy, niespecjalnie długie. Przeczytał o konferencji w Chicago, o podejrzanym dziennikarzu naukowym, o postępach w badaniach, o nagłym zagrożeniu, o czekaniu na wyniki testów, o wielkiej sali za biurem Virpi Pasanen, gdzie odbyły się bardzo ważne rzeczy, o kontakcie z Brukselą i komisarz Unii Europejskiej o nazwisku Marianne Barrière, o czarnoskrzydłym aniele śmierci na moście Liljeholmsbron oraz o tym, jak profesor Niels Sørensen zgrywa wszystko, co ważne, na swój telefon.

Przeczytał już trzy z czterech wpisów w pamiętniku, gdy Sara Svenhagen szepnęła:

– Przeczytaj jeszcze raz ten cytat z Rilkego.

– Po co?

– W sumie to nie wiem. Bo jest taki piękny...?

Jorge Chavez mimowolnie się uśmiechnął. I przeczytał:

– „Albowiem piękno jest tylko przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy z takim podziwem, gdyż beznamiętnie pogardza naszym unicestwieniem. Straszliwy jest każdy anioł”.

Właśnie wtedy coś zaszurało o drzwi ziemianki. „Straszliwy jest każdy anioł”, pomyślał Chavez, wsunął komórkę do kieszeni spodni i wycelował pistolet w drzwi. Svenhagen też w nie mierzyła.

W coraz słabszym świetle miniaturowej latarki było wyraźnie widać, że obie lufy mocno drżą.

Potem już nic nie usłyszeli. Najdrobniejszego dźwięku. Na zewnątrz mogło się dzieć właściwie wszystko. Mogły trwać przygotowania.

Minęła straszliwa minuta. Latarka zamigotała, zgasła. Przez ziemiankę przeszedł anioł.

Anioł o kruczoczarnych skrzydłach.

Potem drzwi się otworzyły.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyli, były białe oczy, które wydawały się świecić same z siebie.

– Moją najlepszą bronią jest to, że ludzie mnie nie doceniają – powiedział Mander Petulengro.

Leżeli tuż za drzwiami. Dwaj wysocy, ubrani na czarno mężczyźni w kominiarkach. Obok nich leżały dwa potłuczone słoiki, które kiedyś zawierały kiszony ogórek.

– Przetwory, przetwory, przetwory – powiedział Mander Petulengro.

Chavez podźwignął się na nogi i pomógł Sarze wstać. Ostatnim mrugnięciem latarki oświetlił płataninę kabli pod sufitem ziemianki. Ostatnie racjonalne wspomnienie: nieużyte opaski zaciskowe. Było ich tam sporo. Ktoś wsunął je nad płataninę kabli. Chavez wyciągnął je i wyniósł na zewnątrz. Po drodze zgasała mu latarka. Jeden z nieprzytomnych mężczyzn miał za to porządną latarkę, której Chavez nie omieszkał mu zwędzić. Razem z Sarą skrępowali ich opaskami. Ręce, stopy, ramiona, nogi. Nie będą mieli żadnych szans się uwolnić.

Odwrócił się, żeby podziękować Manderowi Petulengro.

Ale go nie było.

Nigdzie.

Zniknął. Jak anioł.

Sara i Jorge przez chwilę go szukali, ale uświadomili sobie, że to daremne. Mander wykonał swoje zadanie i zapadł się pod ziemię.

Nocą widział lepiej niż wszyscy.

Sara i Jorge usiedli na kamieniu i spojrzeli na obezwładnionych najemników. To wszystko było bardzo dziwne.

– Teraz twoja kolej, żeby zadzwonić do Benna – powiedziała Sara Svenhagen.

Chavez się roześmiał i przełknął gorzką pigułkę.

Siedzieli tak przez chwilę, patrząc, jak słońce pogrąża się w magicznych wodach jeziora. Było to nieopisanie piękne.

Objęli się i siedzieli tak, póki nie zapadły absolutne ciemności. Czuli, że w jakiś dziwny sposób to właśnie jest *ich miejsce*.

– Przeczytaj mi ten ostatni wpis w pamiętniku – poprosiła Sara Svenhagen.



Sztokholm, 30 czerwca

ŚWIT NAD ZATOKĄ Liljeholmsviken. Świt dnia, który nie będzie taki jak inne dni. To szczególny dzień, i już to czuję.

Wciąż słyszę echo nocnej rozmowy. Potem wyłączyłem komórkę, ale udało mi się ją nagrać. Dokładnie ją pamiętam:

„Co zrobisz, kiedy dostaniesz kolejne pozytywne wyniki testów?”. „Będę świętować. Pchnę to dalej. Osiągnę cel. Oczywiście”. „Jeśli to zrobisz, profesorze, na pewno umrzesz”. „Jeśli tego nie zrobię, umrze coś o wiele ważniejszego”.

Pomyśleć tylko, że to powiedziałem: „Jeśli tego nie zrobię, umrze coś o wiele ważniejszego”.

Zwykle nie mam takiego refleksu. Jestem człowiekiem, który musi się zastanowić, zanim coś powie. Ale chociaż raz mi się udało.

„Nigdy w swojej karierze naukowej nie zszedłem z drogi prowadzącej do prawdy i w przyszłości też nie zamierzam tego robić”.

Zdaję sobie sprawę, że potrzebuję niezwykle dokładnego planu działania. To bardzo trudne, kiedy przy stacji metra trwają roboty budowlane. Poza tym nie wiem, jak poważnie powinienem to traktować. Czy naprawdę wczoraj na Bergsunds Strand widziałem tego podejrzanego dziennikarza naukowego z Chicago? Czy tylko mi się przyśniło? Czy to był tylko dziwny sen o złym aniele, straszliwym aniele? Światło powróciło, a wraz z nim rozsądek. Całkowicie oczywiste światło rozsądku. Dziś w moim mózgu panuje trochę większa chemiczna równowaga. Muszę wynająć skrytkę w banku. Czy można w takiej sprawie zadzwonić tak wcześnie rano?

Jeśli to dzień mojej śmierci, wszystko, co ważne, musi trafić na komórkę. I muszę ją zamknąć w skrytce bankowej. A najważniejszy ze wszystkiego jest wzór.

Moja jedna trzecia formuły.

Ebeltoft z czasów mojego dzieciństwa. Najpiękniejsze duńskie miasto. Piaszczyste wyspy, żaglówki, szeroki trawnik opadający od domku dziadka aż do morza. Szczęście na tym krótkim odcinku, wieczne wspomnienie biegu po trawie, gdy trawa zmienia się w piasek, piasek w morze.

Zmienili się właściciele. Smutno było zobaczyć, że mój dawny pokój służy teraz do grania w gry komputerowe. Ale robiłem zadowoloną minę. Obejrzałem dom, pozwoliłem się oprowadzić, jakbym i tak nie znał każdego centymetra kwadratowego lepiej, niż oni kiedykolwiek poznają. Pozwoliłem się zaprowadzić do komórki przy kuchni, do warsztatu stolarskiego, na patio. Kiwałem głową i mam nadzieję, że wyglądałem jak ktoś, kogo ogarnęła nostalgia.

W warsztacie wciąż jeszcze leżał stary, piękny silnik do łodzi. Jedyna rzecz, którą zachowali. Silnik

do łodzi dziadka zmieniony w skrytkę.

Ostatnie wyniki testów powinny nadejść lada dzień. Do ciebie też przyjdą, Virpi, dostaniesz je SMS-em na nieoficjalną komórkę; choć raz się wydawało, że nie wiąże się to z ryzykiem.

Przypuszczam, że jeśli ma dojść do *worst case scenario*, te kilka słów pożegnania będą na miejscu.

Ja, Niels Sørensen, nie żyłem intensywnie. Wcześniej zdałem sobie sprawę, że nauka znalazła się na takim poziomie, że aby mieć szansę pchnąć ją dalej, człowiek musi poświęcić jej życie. Wprawdzie więcej współpracujemy, czasy samotnych myślicieli dobiegły końca, ale mimo wszystko to myślenie jest rozstrzygające. A by naprawdę móc się poświęcić myśleniu, potrzeba wyrzeczeń. Ja poświęciłem przyjaciół, tak, nawet rodzinę, żeby stać się najlepszym w tym, co robię. Żeby dotrzeć tam, gdzie przede mną nie dotarł jeszcze nikt. W zachodnim świecie pozostało nas niewieleu myślących w ten sposób. Pragniemy mieć pełne, wieloaspektowe życie i przede wszystkim chcemy móc się nim pochwalić. Chcemy się afiszować swoim życiem i zyskiwać akceptację, a w najlepszym wypadku podziw. Nie pragniemy osiągnąć w świecie duchowym, w świecie intelektu, choć to nas kiedyś doprowadziło na szczyt cywilizacji. Obecnie wolimy być z tyłu niż w awangardzie, dążymy do uniwersalnego życiowego doświadczenia zamiast do najwyższych kompetencji. Przyjemność zamiast doskonalenia.

Kilku nas zostało, ale niewieleu.

Jesteśmy gatunkiem zagrożonym wymarciem.

Nieco inaczej rzecz ma się z zagranicznymi studentami, przede wszystkim Azjatami. Wprawdzie Japończycy ulegli wpływom Zachodu, wcześniej poświęcali wszystko, by dotrzeć na szczyt, teraz nie są już tacy skłonni studiować dwadzieścia godzin na dobę. Za to znów dźwiga się największy kraj świata i ukradkiem staje się najlepszy w kolejnych dziedzinach, w kolejnych obszarach nauki. Kiedy Zachód upadnie, jak niegdyś Rzym – z czystego lenistwa – Chińczycy będą gotowi, by zająć jego miejsce. Przetrwali piekło. I podźwignęli się z tego piekła. Są gotowi, by znów przejąć rolę, którą uważają za oczywistą: rolę panów świata. Oczywiście, że tak się stanie. To Chińczycy są gotowi poświęcić wygodę, żeby dotrzeć na szczyt. I to Chińczycy tam dotrą. Mam tylko nadzieję, że zanim to nastąpi, zdążą od nas przejąć trochę więcej demokratycznego myślenia. W przeciwnym razie świat stanie się piekłem.

To, na czym Zachód kiedyś budował swoje sukcesy, teraz przejęli inni. Gdy weźmie w nas górę lenistwo, powierzchowność i potrzeba społecznego potwierdzenia, upadniemy jak Rzym. Ale nie z powodu Chińczyków, nie z powodu Arabów ani Hindusów, lecz za sprawą własnej niechęci, by zrobić kolejny krok.

Wszechświat przez cały czas się zmienia. Nic, w co wierzyliśmy i na czym opieraliśmy swoje postrzeganie wszechświata od tych trzynastu koma siedem miliarda lat, jakie upłynęły od Wielkiego Wybuchu, nie pozostaje niezmiennie. Kosmiczne status quo, w które wierzyliśmy od czasów Einsteina, już nie obowiązuje. Wszechświat nie wygląda tak, jak sądziliśmy. Teraz potrzebujemy silnych badaczy, którzy dadzą radę postawić na głowie przyjęte prawdy. Tylko gdzie oni są?

Mówi się, że jesteśmy we wstępnej fazie życia wszechświata. Wszechświat, w którym istniejemy,

odpowiada stanowi noworodka, który właśnie opuszcza macicę i – nic nie widząc ani nie rozumiejąc – wydaje z siebie pierwszy krzyk. Z kosmologicznej perspektywy jesteśmy dzieckiem. Kiedyś będziemy spoglądać wstecz na tę żalną chwilę w historii wszechświata i myśleć: co to były za prymitywne istoty? Jak to w ogóle możliwe, że potrafiły myśleć? W świecie, który opierał się na tym, że jedne istoty pożerają drugie? Będziemy postrzegani mniej więcej tak, jak sami postrzegamy najprostsze, jednokomórkowe organizmy w oceanach. Zachodzą wśród nich jakieś procesy biologiczne, rozmnażanie, odżywianie, lecz niewiele więcej. Ale rozwinęło się z nich coś większego i ważniejszego.

To jest mój testament. Jeśli kiedyś ktoś – wbrew wszystkiemu – przeczyta te słowa, być może pomyśli, że brzmią negatywnie, wręcz przygnębiająco, ale ja wcale tego tak nie odbieram. Wszystkie istoty, jakie kiedykolwiek zasiedlą ten wszechświat, będą musiały zmagać się ze swoimi ograniczeniami i każde stworzenie, któremu uda się wkroczyć na nowe tereny, odnaleźć nową drogę przez własne, pozornie naturalne ograniczenia, zasługuje na wielki podziw.

Podobnie jak na podziw zasługuje mój zespół, ponieważ odkryliśmy technologię, która opóźnia zniszczenie Ziemi o co najmniej kilkaset lat. Może jakaś pojedyncza cząsteczka albo przynajmniej atom mojego ciała będzie częścią tego czystszej świata, który udało nam się stworzyć.

Wynaleźliśmy samochód z napędem elektrycznym. Prawdziwym napędem elektrycznym.

Niech na tym wszystko się zakończy.

Dziękuję, że mogłem brać w tym udział.

Haga, 7 lipca

W GŁĘBI OTWARTEGO POMIESZCZENIA biurowego grupy Opcop od ponad tygodnia trwały prace budowlane, ale właściwie nikt się tym nie przejmował. Naprawdę mieli inne rzeczy na głowie, niż irytować się obecnością robotników. Dlatego też było dla nich niemal szokiem, gdy robotnicy zniknęli, usunięto plastikowe zasłony, a praca nagle okazała się skończona.

Angelos Sifakis zgodnie ze swoimi przyzwyczajeniami zjawił się na miejscu jako pierwszy. Natychmiast dostrzegł, że coś jest inaczej, ale nie potrafił powiedzieć, co to takiego. Przechadzał się przez chwilę w delikatnym świetle świtu i dostrzegł schody dopiero wtedy, gdy znalazł się tuż przy nich. Miały ten sam biały kolor co reszta pomieszczeń, jakby były zakamuflowane. I wiły się spiralą prowadzącą piętro wyżej. Do dość dużej, wciąż zamkniętej części nowo otwartej głównej siedziby Europolu.

Z pewnym wahaniem wszedł na pierwszy stopień. Stopnie również były białe, białe jak śnieg, dziewiczo białe, i nie był pewny, czy wolno mu po nich stąpać. Nie czuł się tego godny.

Ale ruszył, przeskakiwał po dwa stopnie naraz i tym samym pozwolił schodom zachować choć połowę swojej niewinności. Prowadziły do tylko jednych drzwi. Monumentalnych drzwi. Pchnął je ostrożnie. Otworzyły się z hydrauliczną lekkością i znalazł się w Nowej Katedrze.

Było to przedziwne doświadczenie. Architekt potraktował swoje zadanie poważnie, a jednak nie do końca. Najwyraźniej miał wykonać dokładną kopię sali konferencyjnej grupy Opcop w dawnym budynku Europolu, tej, którą nazywali Katedrą, i tak też się stało. Niemniej nastrój był inny. Podczas gdy dawna Katedra miała w sobie coś administracyjnego, coś biurowego, w nowej panował namacalny sakralny nastrój i Sifakis nie potrafił wyjaśnić, z czego to wynikało. Wszystko było identyczne, aż po dwadzieścia siedem ekranów tak naturalnie wpasowanych w pokryte wzorem kwadratów drewniane ściany, że tylko ktoś, kto spodziewał się je zobaczyć, mógł je dostrzec w poszczególnych kwadratach, mniej więcej na wysokości wzroku. A jednak coś było inaczej.

Coś, co umykało Angelosowi Sifakisowi. Ale równocześnie wyraźnie to odczuwał.

Choć prawie przez godzinę siedział w Nowej Katedrze, zanim zjawili się pozostali, nie wpadł na to, o co chodziło. I pozostało to dla niego zagadką również wtedy, gdy wszyscy byli już na miejscu.

To znaczy Paul Hjelm, Laima Balodis, Miriam Hershey i on sam, Angelos Sifakis.

– Niech to diabli – powiedział Hjelm. – Wielka sala, mało ludzi. Zupełnie jak w kościele.

– Navarro i Marinescu zostali w Amsterdamie – powiedział Sifakis. – Bouhaddi i Bruno również, w mieszkaniu naprzeciwko. Beyer i Söderstedt mieszkają w nowym lokalu obserwacyjnym należącym do firmy z bardzo oryginalną nazwą New Media NV, w dzielnicy Oud-Zuid. Według raportów siedziba

Notus Imports jest silnie strzeżona. Włoch i jego prawdopodobnie również włoski szofer nie opuścili lokalu. W tej chwili część sprzętu obserwacyjnego znad Lauriergracht jest przewożona do Oud-Zuid. W ogóle zmieniamy priorytety, jeśli chodzi o obserwację.

– Dziękuję – powiedział Paul Hjelm. – Arto Söderstedt prosi, żeby przekazać, co następuje: Notus był jednym z tak zwanych Anemoi, czyli bogów wiatru w greckiej mitologii. Notus to wiatr południowy, niosący ciepłe powietrze z południa. Arto jest przekonany, że ta nazwa jest lekko ironiczna. Jego zdaniem dowodzi ona, że 'ndrangheta ma poczucie humoru.

– Notus Imports jest zarejestrowaną niderlandzką spółką akcyjną, N.V., naamloze vennootschap, zajmującą się „importem owoców południowych” – powiedział Sifakis. – Żadnych dalszych uwag ze strony holenderskich władz.

– Owoce południowe, no proszę – mruknął Paul Hjelm. – To coś takiego jeszcze istnieje? Kontaktowali się z kimś?

– Na razie nie mamy wystarczająco dobrego sprzętu obserwacyjnego, żeby móc to stwierdzić – odparł Sifakis. – W ciągu dnia przyjdzie raport z kolejnymi informacjami.

– Mamy jeszcze jedną sprawę, którą musimy się zająć – podjął Hjelm, przewracając stronę. – Wczorajsza duża akcja dostarczyła nam informacji nie tylko o nazwie miejscowego biura 'ndranghety, Notus Imports, lecz także, jak przypuszczamy, o ich przychodach z całego miesiąca. Dane księgowe z dwóch pasków magnetycznych skopiowanych wczoraj przez Juttę i Arto wydają się zgodne z kwotą, którą widzieliśmy wczoraj w magazynie. Tyle zgarnia żebracka szajka w ciągu miesiąca. Mówimy więc o milionach euro. Handel ludźmi to w dzisiejszych czasach najbardziej dochodowa branża, być może z wyjątkiem najemników, broni i narkotyków.

– I co z tym zrobimy? – spytała Balodis. – Nie przyszła pora, żeby uderzyć?

– Uderzymy w szajkę żebracką – odparł Hjelm. – Aresztujemy Vlada, Cipriana i Silviu oraz tego doktora ekonomii, który pierze im pieniądze, Jaapa Van Hoensbroeck. O to się nie martwcie. Teraz mamy solidne dowody. To przede wszystkim kwestia wyczucia czasu. Bo co jest najważniejsze w całej tej sprawie?

– Uwolnienie żebraków – powiedziała Miriam Hershey. – Zwrócenie wolności niewolnikom.

– Słuszna uwaga – przyznał Hjelm. – Oczywiście, że tak jest. Ale ta działalność będzie się raz za razem odradzać, jeśli nie wyrwiemy zła razem z korzeniami. Musimy dopaść właścicieli, którzy tym wszystkim kierują. I prawdopodobnie jesteśmy bliżej niż kiedykolwiek dotąd. Po raz pierwszy naprawdę śledzimy członków 'ndranghety, jeśli to rzeczywiście oni. Mamy mafijnych bossów prawie w zasięgu ręki. Nie możemy tego spartaczyć.

– Co to oznacza w praktyce? – spytała Balodis.

– Mamy nadzieję, że ktoś z Notus Imports wkrótce skontaktuje się z wyżej postawionym bossem – odparł Sifakis.

– Albo w najlepszym przypadku wróci do Włoch – dodał Hjelm.

– Śledzony – pokiwała głową Hershey. – No jasne.

– Czyli wypuścimy te pieniądze? – spytała Balodis.

– Banknoty są oznaczone – wyjaśnił Sifakis.

– Wczoraj wysłaliśmy do magazynu Bruno i Bouhaddi, żeby oznaczyły chemicznie wszystkie banknoty.

Będziemy mogli śledzić ich ruchy i dzięki temu zgarnąć Japa Van Hoensbroeckę i przydusić ten bank inwestycyjny. Ale powtarzam: we właściwym czasie. *Timing is everything* – powiedział Paul Hjelm. –

A do tego mamy jeszcze nową sprawę. Dostaliście raport, który napisałem wczoraj wieczorem, o postępach moich i Laimy, między innymi w Berlinie. Mamy więc do rozpracowania kolejną sprawę. Przypuszczam, że rozumiecie, dlaczego z początku musiałem ją prowadzić nieoficjalnie.

– Nie do końca rozumiem, jak one mają się ze sobą łączyć – powiedziała Miriam Hershey.

– To trochę niejasne – przyznał Hjelm. – Podczas wczorajszej akcji w Amsterdamie słyszeliśmy, jak Włoch instruuje Cipriana, że „nowy priorytet to plan G”. Plan G to nieznanym, ale złożony plan obliczony na to, by na wielu frontach udaremnić projekt aktu prawnego, który ma wkrótce zostać przedstawiony przez komisarz Unii Europejskiej do spraw środowiska Marianne Barrière. Wspomniany akt prawny dotyczy Europy i promowania samochodów z napędem elektrycznym, na dłuższą metę zaś ma wprowadzać zakaz używania samochodów na benzynę w europejskich miastach po roku dwa tysiące szesnastym. Za tym, co z początku wyglądało jak zwykła próba szantażu, kryły się znacznie poważniejsze przestępstwa, w tym kilka wymierzonych w międzynarodowy zespół badawczy ze Sztokholmu pracujący nad rewolucyjnym akumulatorem samochodowym. Szef zespołu, Niels Sørensen, został tydzień temu brutalnie zamordowany na ulicy, pozostali członkowie zaś padli ofiarą poważnego przestępstwa, próby porwania, w trakcie której jeden ze szwedzkich przedstawicieli grupy Opcop został porażony paralizatorem w pierś.

– Chavez! – zawołała spontanicznie Laima Balodis. – Nic mu się nie stało?

– Nic mu się nie stało – zapewnił Hjelm. – Również w trakcie wydarzeń, które zaszły wczorajszego wieczoru, kiedy to on i Sara Svenhagen zgarnęli dwóch najemników, szukając komórki pozostawionej przez Sørensenę. Telefon zawierał ważne informacje dwojakiego rodzaju. Po pierwsze, był na nim pamiętnik, w którym mowa jest między innymi o tym, że badacze podzielili pomiędzy siebie, na trzy części, ostateczną formułę. Wygląda na to, że Sørensen ukrył swoją część w domku letniskowym, w którym bywał w dzieciństwie, w Ebeltoft na Jutlandii. Wspomina o „przechowalni”. Po drugie, komórka zawierała nocną rozmowę telefoniczną z elementami bezpośrednich gróźb, którą profesor w swej przytomności umysłu nagrał na kilka godzin przed śmiercią. Chcę, żebyście tego dokładnie posłuchali.

Hjelm uruchomił plik dźwiękowy:

– Tak, tu Sørensen?

– *Do you speak English, professor?*

– *Of course I do.* Kto mówi?

- To nieważne. Wiesz, czego chcę.
- Nie mam zielonego pojęcia.
- Musisz odrzucić następne wyniki, profesorze.

Laima Balodis zareagowała już po kilku pierwszych słowach. Gdy zerwała się również Miriam Hershey, blada i wzburzona, Hjelm zatrzymał nagranie.

- Ten głos... – powiedziała ochryple Hershey.

Znów znalazła się w podziurawionej kulami myśliwskiej chacie w Andaluzji, w chacie, którą przepełniała śmierć. Leżała, a wszystko w jej polu widzenia było czerwone. Krew zalewała jej oczy, jej pistolet wdeptano w podłogę. Wciąż była na tyle świadoma, by przesunąć wzrokiem po ubraniu w barwach maskujących i spojrzeć na twarz. Była raczej bez wyrazu, z wydatną szczęką i żarliwym spojrzeniem brązowych oczu. Mężczyzna powiedział kulturalnie: „Niech się pani nie boi, nie zabijamy policjantów”.

- Poznajesz ten głos? – spytał Paul Hjelm, patrząc Hershey prosto w oczy.
- Tak, do diabła. Nazywali go Chris.
- Ja też go poznaję – dodała Balodis. – To on.
- Odsłuchajcie resztę – powiedział Hjelm i znów włączył plik dźwiękowy.

Rozmowa toczyła się dalej, póki nie zakończył jej drżący głos z duńskim akcentem, który heroicznie oświadczył: „Jeśli tego nie zrobię, umrze coś o wiele ważniejszego”.

- No i? – spytał Hjelm.
- Tylko jeszcze bardziej się upewniłam – odparła Hershey. – To Christopher James Huntington.
- Z tak zwanej firmy ochroniarskiej Asterion Security Ltd. – dodała Balodis.

Hjelm przez chwilę kiwał głową.

– Tak mi w pierwszej chwili podpowiedział instynkt. Ale nigdy nie słyszałem jego głosu. Słyszeliście go tylko wy. Wy dwie.

- Ale co to znaczy? – spytała Balodis.

– Że planem G kieruje Asterion – odparł Hjelm. – Firma ochroniarska, która często bywa angażowana w związku z poważną przestępczością zorganizowaną. I która już wcześniej współpracowała z 'ndranghetą.

- A więc to ma stanowić związek między tymi sprawami?

– Może bardziej na zasadzie przysługi za przysługę. Huntington mówi: „Możecie być w gotowości, jeśli będziemy potrzebować pomocy z planem G?”. Mafia odpowiada: „Jeśli trochę przygotujecie teren dla naszych żebraków w kilku amerykańskich miastach”. Coś w tym stylu.

- Czy ci schwytani w Sztokholmie najemnicy coś powiedzieli? – spytała Hershey.

– Od czasu do czasu łapiemy ludzi z Asteriona, ale wszystkich łączy to, że milczą, nie mają tożsamości, nie figurują w żadnych kartotekach. Odsiadują swoje wyroki, nie pisnąwszy nawet słowa. Huntington wypracował skuteczny system.

– I dochodowy – dodał Sifakis. – Według nieoficjalnych obliczeń grupa Asterion zalicza się do pięciu najlepiej prosperujących firm ochroniarskich na świecie.

– Wojna, przemoc i przestępczość są i pozostaną najlepszymi pomysłami na biznes – powiedział Hjelm, zbierając swoje papiery.

– I jak teraz będzie wyglądać kontynuacja tej tajnej części sprawy? – spytał Sifakis, gdy Hjelm już wstał.

Paul Hjelm zrozumiał, że to zemsta Sifakisa. Był łagodnym człowiekiem i jego żądza zemsty również była łagodna, ale w ten sposób mścił się za to, że wykluczono go z tak wielkiej części śledztwa. Bądź co bądź był zastępcą szefa. Hjelm odpowiedział:

– Naszym zadaniem będzie zadbać, by komisarz Unii Europejskiej Marianne Barrière mogła wygłosić swoje wielkie przemówienie, cokolwiek byśmy sądzili o jego politycznej treści, i by nie była przy tym narażona na jakiegokolwiek naciski ze strony świata przestępczego. Jeśli chodzi o szantaż, to najprawdopodobniej Asterion wcale nie był w to zamieszany. Wygląda na to, że zleceniodawca przeprowadził atak na dwóch osobnych frontach, przy czym szantażem zajęła się grupa podejrzanych typów, którym przewodził spin doktor skrajnej prawicy Fabian Fazekas. Próba szantażu się nie powiodła, na tym froncie wygraliśmy, ale wciąż pozostaje ten drugi, brutalny. Zespół badaczy z Królewskiego Instytutu Technologicznego w Sztokholmie musi odebrać ostatnie potwierdzenie w postaci wyników testów oraz przedstawić ostateczną formułę nowego, przełomowego elektrolitu do akumulatorów samochodowych. Kiedy tę formułę będzie można upublicznić, bo to przecież publiczny projekt, nie prywatny, i nie ma na celu osiągnięcia innych zysków niż pozytywny wpływ na środowisko, będzie mogła się rozpocząć komercyjna produkcja nowych samochodów z napędem elektrycznym. Wzór nie będzie jednak kompletny, dopóki nie zostanie uzupełniony ukrytą jedną trzecią profesora Sørensen, która, jak wszystko na to wskazuje, znajduje się w małym duńskim miasteczku Ebeltoft na Jutlandii. Dziś nasza szwedzka grupa Opcop połączy siły z duńskimi kolegami i uda się w to miejsce. Według ostatnich informacji ze Sztokholmu chodzi o elektrolit, który sprawi, że akumulatorów samochodowych nie będzie już trzeba ładować prądem, co stanowiło słabe ogniwo; zamiast tego będą ładowane chemicznie, bez produktów ubocznych. Ma to działać zupełnie tak jak benzyna: jeździ się, póki nie wyczerpie się akumulator, a wtedy po prostu wymienia się płyn akumulatorowy, elektrolit. Będzie się to odbywało na „stacjach benzynowych”, gdzie akumulatory będą ładowane chemicznie w wielkich kadziach, bez produktów ubocznych. To zamknięty cykl, niemający właściwie żadnego wpływu na środowisko.

– *Shit!* – zakląła Hershey. – Skomplikowane. Ale wspomniałeś o zleceniodawcy. Kim jest zleceniodawca? Kto stoi za planem G?

– Nie wiem – odparł Hjelm. – Ale możemy spekulować. Komu zależy na tym, by ludzie nadal w zawrotnym tempie zużywali produkty ropopochodne?

– Koncernom naftowym – pokiwał głową Sifakis. I nagle odniósł wrażenie, że widzi o wiele wyraźniej. Dostrzegł różnicę między starą a nową Katedrą. Zobaczył to tak, jakby nagle jego oczy mogły



widzieć więcej. Jakby miał rentgenowskie spojrzenie.

– A co z samą komisarz Unii Europejskiej? – spytała Laima Balodis. – Z tą Barrière? W ostatnich dniach przed przemówieniem musi być chyba w poważnym niebezpieczeństwie?

– To rakietka dwustopniowa – odparł Hjelm. – Jeśli uda nam się odzyskać formułę, wkrótce trafi ona do producentów samochodów, choć jej istnienie wciąż pozostaje tajemnicą. W każdym razie formuła prędzej czy później doprowadzi do tego, że benzyna i olej napędowy znikną z naszych pojazdów. Koncerny naftowe, jeśli to one maczały w tym palce, i tak już przegrały. Ale wtedy dostaną trochę czasu na to, by się przestawić. Unijna ustawa jest bombą z precyzyjnym zapalnikiem czasowym, która wyrządzi wiele szkód wśród niektórych największych i najbardziej wpływowych firm na świecie. Ale jeśli formuła zostanie upubliczniona, Marianne Barrière powinna być bezpieczniejsza, bo wtedy będzie już za późno. Od dziś żyje otoczona ochroniarzami. Zaangażowano służby bezpieczeństwa z kilku krajów, ponieważ na razie nie mamy wspólnego europejskiego biura ochrony. – A po chwili dodał: – *Nie będziemy wynajmować prywatnych ochroniarzy.*

# Rentgenowskie spojrzenie

Bruksela, 7 lipca

MARIANNE BARRIÈRE rozejrzała się po swoim przestronnym gabinecie w budynku Berlaymont. Bez wątpienia świat stanął na głowie. To, co w ostatnich latach było jej gniazdem, oazą samotności i miejscem, w którym ujrzała światło dzienne większość jej pomysłów, teraz stało się jej więzieniem. I to nie zachodnim więzieniem, lecz raczej afrykańskim, zatłoczonym.

Dwie kobiety z ochrony zamieszkały razem z nią w gabinecie. Dwóch mężczyzn zamieszkało u Amandine, która z kolei musiała się przenieść do sąsiedniego pokoju.

Poza tym Marianne Barrière nie wolno było opuszczać budynku. Właśnie przewożono tutaj jej rzeczy. Do momentu, gdy wygłosi swoje wielkie przemówienie na placu Schumana tuż pod budynkiem Berlaymont, nie mogła opuszczać gabinetu.

Siedziba Komisji Europejskiej już w normalnych warunkach była bardzo dobrze strzeżona. Teraz przybrało to absurdalne proporcje, jakby Europa stała w płomieniach. Tyle tylko że potajemnie. Nikt nie mógł się dowiedzieć o zagrożeniu wobec komisarzy Unii Europejskiej do spraw środowiska, a przynajmniej nie teraz. Kiedy już wygłosi swoje przemówienie, będzie mogła powiedzieć, ile będzie chciała. Ale pewnie nie będzie na to miała najmniejszej ochoty. A może i możliwości.

Bo niewykluczone, że będzie wtedy martwa.

Zdawało jej się, że minęły całe wieki, odkąd zatrzymała się na śliskiej nawierzchni Autobahn i patrzyła, jak świat eksploduje w płomieniach benzyny. Ten mały, biały samochodzik z napędem elektrycznym. Mężczyzna, który ku swemu ogromnemu zdumieniu wyszedł cało z piekielnego ognia.

To się stało symbolem tego, w co wierzyła.

Świat przechodzący przemiany. Świat, który traktuje serio swoje demokratyczne założenia. Świat, w którym wielkie koncerty nie zawsze mogą robić dokładnie to, co chcą.

Próbowali wielu sposobów, ale do tej pory unikali bezpośrednich gróźb. Paul Hjelm oceniał, że zagrożenie jest bardzo duże, ponieważ wszystko inne zawiodło. Wszystkie pośrednie metody zostały wyczerpane i teraz zamachowcy będą zmuszeni sięgnąć po te bardziej bezpośrednie. Jakimiś niezbadanymi sposobami Hjelmowi udało się udaremnić szantaż; wkrótce również odzyska formułę. Przez krótki czas się zastanawiała, jak wyglądają jego metody. Potem przestała o tym myśleć.

Bardziej niż ktokolwiek inny pragnęła pokoju na świecie, pragnęła świata, w którym władza znaczy mało, a siła nigdy nie jest decydująca. Nie była jednak naiwna. Żeby pokonać bardzo silne zło, trzeba było jeszcze większej siły; nie istniała inna możliwość.

W każdym razie cieszyła się, że nie zawiódł jej instynkt podczas tej dziwnej średniowiecznej kolacji w Muiderslot. Paul Hjelm okazał się policjantem, któremu mogła ufać.

Usiadła przy biurku i próbowała sobie wmawiać, że jest normalnie, że jest tak jak zwykle. Trochę trudno było symulować normalność, gdy za oknem, na dwunastym piętrze, opuszczono z dachu dużą platformę z trzema mężczyznami, którzy z pomocą dwóch kolejnych w jej gabinecie starannie wymienili wszystkie szyby na kuloodporne. A jednak musiała symulować normalność. Pozostało już niewiele dni. I wszystko to, o czym myślała i co omawiała w ostatnich latach – jej polityczne przekonania i wizja tego, jak należy zorganizować przyszłe europejskie społeczeństwo – musiała zawrzeć w przemówieniu, które nie mogło trwać dłużej niż trzydzieści minut.

Media już nie dawały jej spokoju. Zwietryły, że dzieje się coś niezwykłego, a to za sprawą genialnej zdolności Laurenta Gatiena tworzenia atmosfery wyczekiwania. Zasugerował pewne rzeczy właściwym osobom, wyczuł właściwy ton w komunikatach prasowych, wytworzył jakiś głód, którego nie dało się dokładnie określić. Po mistrzowsku wzbudził ciekawość dziennikarzy.

Podczas porannego spotkania Laurent wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Zresztą Amandine również. Najwyraźniej ta groteskowa sytuacja wywierała wpływ na wszystkich. Wydawało się, że Laurent dostał zastrzyk nowych sił życiowych. Niczym człowiek skazany na śmierć, któremu dano jeszcze jedną szansę. Natomiast Amandine była o wiele bardziej cięta niż zwykle. Krzywo patrzyła na Laurenta. A on, oczywiście, w ogóle jej nie dostrzegał. Pewne oznaki świadczyły o tym, że Laurent Gatien nie zdaje sobie sprawy z istnienia Amandine Mercier.

Słysząc było trzaski i syki podczas wymiany szyb pod czujnym okiem ochroniarzy. Marianne Barrière próbowała znaleźć odpowiedni wstęp dla przemowy swojego życia. Nie było mowy o tym, by ktoś jej napisał to przemówienie. Oczywiście później Laurent przejrzy jej notatki i wprowadzi drobne retoryczne udoskonalenia. Ale musiała to być jej własna przemowa. Każde słowo musiało wypływać z niej samej.

Gdyby była trochę innym człowiekiem, pomyślałaby: *to jest to, dzięki czemu mnie zapamiętają.*

Zamiast tego myślała: *to jest to, co zaszła.*

Ale sama nie zastanawiała się nad tą różnicą.

Kiedy podniosła wzrok znad wstępu przemówienia, kuloodporne szyby były już na miejscu, a pięciu specjalistów znikło bez śladu.

To dobrze. Nic nie zauważyła i była na właściwym tropie.

Z pełną energią zabrała się do kolejnego ustępu.

Amsterdam – Strasburg, 7 lipca

FIRMA NEW MEDIA N.V. z dzielnicy Amsterdamu Oud-Zuid wyprowadziła się w wielkim pośpiechu. Arto Söderstedt zakładał, że ta najwyraźniej odnosząca bardzo niewielkie sukcesy agencja medialna otrzymała ofertę, której nie mogła się oprzeć.

Lokal był mały i ciasny, ale w idealnej lokalizacji dla ich celów. Söderstedt i Beyer musieli się wcisnąć w kąt, gdy technicy montowali znaczną część sprzętu znad Lauriergracht. Ogromna przestrzeń robocza Navarro zostanie znacznie ograniczona – pomyślał Söderstedt i nie była to myśl całkowicie altruistyczna. W końcu technicy wyszli i Jutta Beyer udzieliła Arto koniecznych instrukcji.

Trzy kamery, w tym jedna termowizyjna, i trzy mocne mikrofony kierunkowe skierowano na Notus Imports po drugiej stronie spokojnej uliczki. Do tego dochodziły kamery już wcześniej zamontowane na sąsiednich nieruchomościach; najwyraźniej Europol je wynajął, a kamery skierowano na Notus. Pewnie znów była to oferta nie do odrzucenia. Oznaczało to w każdym razie, że mieli widok z kamer na wszystkie cztery strony budynku.

W przypadku Amsterdamu nie mogło być mowy o przedmieściach – albo mieszkało się w mieście, albo w pobliskiej wsi. Nie istniały tu żadne warte wzmianki dzielnice willowe. Stojące tu budynki były wprawdzie willami – można by je określić mianem wielkich willi – ale znajdowały się w mieście. W zewnętrznym mieście, pomyślał Arto Söderstedt. To było takie ładne, staromodne, niemal finoszwedzkie określenie.

Kamera termowizyjna potwierdziła to, co już zaobserwowali: miejsce było silnie strzeżone. Najwyraźniej całą pokazną nieruchomość wynajmowało Notus Imports, co oznaczało, że aż osiem przebywających tam osób pracowało dla tej organizacji. Sześć z nich sprawiało wrażenie zwyczajnych ochroniarzy – od czasu do czasu na obrazach z kamer migą broń. Tylko Włoch z Domu Anny Frank i jego szofer wydawali się zajmować czymś innym niż łożenie po willi z bronią.

– Nie możemy go nazywać „Włochem z Domu Anny Frank” – stwierdził Söderstedt i zbliżył obraz z kamery noktowizyjnej, na którym widać było wspomnianego mężczyznę. Sądząc po jego pozycji i promieniowaniu, siedział przy biurku przed komputerem. W budynku było bezprzewodowe połączenie z internetem, ale jak na razie technikom nie udało się złamać szyfru. Musiał być niezwykle skomplikowany.

– No to jak mamy go nazywać? – spytała Jutta Beyer i poprawiła ustawienie jednej z kamer na sąsiednim domu, tym po lewej, gdzie grupka drzew liściastych i mała skałka miały imitować zagajnik. Przez zagajnik widać było główne wejście do Notus Imports. Beyer precyzyjnie ustawiła kamerę i wyregulowała ostrość.

– Na umowie najmu jako dyrektor zarządzający Notus Imports figuruje niejaki Antonio Rossi. To chyba jedno z najpospolitszych włoskich imion. Mogę zaproponować, żebyśmy go tak nazywali?

– Antonio?

– Pseudonim „Antonio”.

Kiedy Paul Hjelm skrzywił się paskudnie na widok tej propozycji, znajdował się w oficjalnej siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu. Co najmniej tyle samo prac parlamentu odbywa się w Brukseli, a do tego jego sekretariat generalny mieści się w Luksemburgu. Grymas Hjelma wiązał się również z faktem, że właśnie usłyszał zawrotną sumę, jaka jest wydawana na przejazdy niemal ośmiuset europosłów oraz ich co najmniej równie liczny personel pomiędzy tymi miastami. Sądził, że włączyło mu się widzenie tunelowe i nic nieistotnego nie będzie miało do niego dostępu, nawet coś tak idiotycznego jak „pseudonim Antonio”, ale ku własnemu zdumieniu wyrzucił z siebie:

– Dwieście milionów euro rocznie?

– Tak, w zaokrągleniu – powiedział z uśmiechem jowialny chrześcijański demokratą siedzący naprzeciw Hjelma na sofie w jednej z wielu sal konferencyjnych budynku imienia Louise Weiss. – To kontrowersyjna kwestia, z którą musimy się uporać. Czy wszystko, co ma związek z Unią Europejską, powinno skupić się w Brukseli, czy może decentralizacja ma sens? Raczej powinniśmy się przenieść do jednego z tych miejsc. Ale to trwa, drogi panie komisarzu, demokracja potrzebuje czasu.

– Rozumiem to – odparł Hjelm. – Pośpiech jest wrogiem demokracji. Ale to ogromna suma.

– Niemniej przypuszczam, że nie przyjechał pan tutaj z Hagi, by dyskutować o wydatkach na podróże posłów Parlamentu Europejskiego.

– Bynajmniej. Chciałbym natomiast porozmawiać o planie G.

Włoski europoseł Mauro Morandi natychmiast przestał być jowialny. Opuściła go cała toskańska radość życia. Jego spojrzenie stało się natomiast ostre jak brzytwa.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, komisarzu.

– Nie jestem komisarzem – odparł Paul Hjelm. – I nie byłoby mnie tutaj, gdybym nie wiedział, że pan wie, o czym mówię.

– Dlaczego miałbym to wiedzieć?

– Kiedy Marianne Barrière i jej spin doktor byli tu, by przekonać pana do głosowania za projektem ustawy o samochodach z napędem elektrycznym, ostrzegł ją pan przed planem G.

– Doprawdy?

– Mylę się?

Europoseł Mauro Morandi odwrócił głowę. Nie było tam jednak nic, na czym mógłby zawiesić wzrok. W okropnej sali konferencyjnej nie było okien, a sama w sobie była zdumiewająco nieciekawa. Nie było tu absolutnie nic, na czym oko mogłoby spocząć. Zamiast tego Morandi zapatrzył się gdzieś w dal.

– Niełatwo jest być w dzisiejszej Europie chrześcijańskim demokratą – westchnął w końcu.

– Niełatwo? – zdziwił się Hjelm. – Wydawało mi się, że jest dokładnie na odwrót.

– Będąc konserwatystą, wierzy się w coś w rodzaju naturalnego porządku rzeczy, ustanowionego stulecia temu. Niektórzy ludzie po prostu bardziej się nadają do rządzenia światem niż inni. Ludzie z tradycjami, ze zdrowym, chrześcijańskim nastawieniem, czymś w rodzaju odziedziczonych kompetencji.

– Istnieje pewien porządek, którego nie wolno naruszyć?

– Właśnie. Problem polega na tym, że sąsiaduje się wówczas ze znacznie mroczniejszymi poglądami.

Trzeba utrzymywać subtelną równowagę pomiędzy tymi ostatnimi a herezjami liberalizmu. Jesteśmy jedynymi prawdziwymi strażnikami zachodnich tradycji.

– Mam zatem zakładać, że to w tych mroczniejszych kręgach usłyszał pan wzmiankę o planie G?

– Nie zmusi mnie pan do podania żadnych nazwisk, komisarzy.

– Bynajmniej nie miałem takiego zamiaru. Miał pan dość przyzwoitości, by ostrzec polityczną przeciwniczkę, którą mimo wszystko darzy pan szacunkiem. Jestem tu, bo mam nadzieję, że ten szacunek nie zniknął.

– A więc pracuje pan dla Barrière, komisarzy?

– Pracuję, by plan G się nie powiódł. To przestępczy, antydemokratyczny plan, obejmujący przemoc i morderstwo.

Morandi znów zapatrzył się w dal. W końcu powiedział z ociąganiem:

– Ponieważ projekt ustawy Barrière podzielił partie chrześcijańsko-demokratyczne, doszło do kilku nieoficjalnych spotkań najważniejszych przedstawicieli. Podczas jednego z takich spotkań, późną nocą, wspomniano o planie G. Osobiście uważam, że to dobry projekt, najwyższa pora uniezależnić się od arabskiej ropy. Dla mnie nie jest to kwestia przede wszystkim związana ze środowiskiem, lecz logiczny krok w ciągłym rozwoju technologicznym Zachodu. W pewnych sprawach liberalna dobrowolność nie wystarcza, czasem trzeba wprowadzić prawo. Ale znaleźli się też pełni nienawiści przeciwnicy, którzy twierdzili, że Barrière trzeba powstrzymać za wszelką cenę. Gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę.

– I co dokładnie pan usłyszał na temat planu G?

– Morderstwo? – powiedział z powątpiewaniem Morandi. – Mimo wszystko nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Morderstwo, porwanie, szantaż – odparł spokojnie Hjelm.

– Cóż, tak jak mówiłem, gra toczy się o wysoką stawkę...

– A więc co pan wie?

– Ja i kilku mi podobnych spotkaliśmy się późną nocą z pewną grupą, która ponoć miała kontakt z pewnymi znajomymi Barrière z czasów młodości. Padło tam wiele mizoginicznych określeń, zapewniam pana.

– Pamięta pan jakieś ksywy?

– Ksywy?

– Pseudonimy tych znajomych z czasów młodości.

– Tak, rzeczywiście. Przede wszystkim przewijał się jeden pseudonim. Sądzę, choć proszę mnie nie

cytować, że to on był mózgiem planu G.

– Pamplémousse? – zdumiał się Hjelm i natychmiast zaczął kwestionować swoją ocenę sytuacji. Czy to możliwe, żeby Pierre-Hugues Prévost tak sobie z niego zakpił? Czyżby zniósł rękoczynny Balodis o wiele lepiej, niż można było sądzić?

– Nie – zaprzeczył Morandi. – Taki pseudonim również padł, ale przywódcą był kto inny. Właśnie próbuję sobie przypomnieć.

Paul Hjelm zamarł. Jego żyły wypełniły się muzyką Bacha. Czy to możliwe, żeby łagodny kantor z berlińskiej katedry, mężczyzna o takiej wrażliwości, był człowiekiem, który stał za planem G?

Natz. Ignatius Dünnes.

Hjelm poczuł, że blednie.

– Gorzej się pan czuje? – spytał Morandi.

– Co to był za pseudonim? – spytał po prostu Hjelm.

– Nie mogę sobie przypomnieć.

– Czy to był Natz?

Morandi milczał przez chwilę. Dłuższą chwilę.

Potem się rozpromienił.

– Nie, właśnie sobie przypomniałem. To był Minou.

Paul Hjelm westchnął z ulgą.

– Minou? – spytał. – Poznał pan też jego prawdziwe nazwisko?

– Nie padły żadne prawdziwe nazwiska, wszyscy zdawali się wiedzieć, o kim mówiono. Ale z tego, co rozumiem, wysoko zaszedł w biznesie. Dyrektor naczelny albo prezes zarządu którejś z największych francuskich spółek.

– Wspomniano może, z jakiej branży?

– Nie usłyszał pan tego ode mnie – odparł Mauro Morandi i utkwiał spojrzenie w Hjelmie.

– Oczywiście, że nie – zapewnił Hjelm.

– Zna pan określenie *supermajor*?

– Nie wydaje mi się...

– Tym mianem określa się pięć czy sześć największych koncernów naftowych na świecie. *Supermajors* stanowią coś w rodzaju elitarniej grupy. I należą do największych prywatnych firm na świecie.

– Dlaczego mi pan o tym mówi?

– Sądzę, że Minou zasiada w zarządzie jednego z takich koncernów. I to się wydaje całkowicie logiczne. Kto miałby być bardziej przeciwny samochodom z napędem elektrycznym niż branża naftowa?

– A co mówiono na temat samego planu?

– Że G oznacza „Gasoline”. Inaczej mówiąc, środki zaradcze w sprawie benzyny. I że prawdopodobnie zaangażowano jakąś międzynarodową firmę ochroniarską. Choć w zasadzie niewiele



było wiadomo. Potraktowałem to jednak poważnie i ostrożnie ostrzegłem Marianne. Jest odważną kobietą. Może odrobinę politycznie zbłąkaną, ale odważną. Bardzo odważną.

Już wówczas, gdy Hjelm wędrował przez europejską dzielnicę Strasburga, gdzie mieści się Parlament Europejski, Rada Europy i Europejski Trybunał Praw Człowieka, a rzeka Ill przecina kanał łączący Marnę z Renem, na jego komórkę zaczęły spływać informacje na temat Minou. Zaniedbany czwarty członek dawnej grupy, która urządziła wspólne orgie. Marianne Barrière, Pierre-Hugues Prévost, Ignatius Dünnés – i Michel Cocheteux.

Ten ostatni po ukończeniu politologii i ekonomii na Sorbonie obronił doktorat z zarządzania. Następnie zaczął pracę w branży naftowej we francuskim koncernie Entier SA – który rzeczywiście zaliczano do spółek *supermajor* – i szybko awansował, by pięć lat temu zostać dyrektorem naczelnym. Dziś był prawdopodobnie jednym z najbardziej wpływowych francuskich biznesmenów.

Paula Hjelma martwiło trochę, że przeoczył ten związek, ale równocześnie musiał przyznać, że dzieliło go od niego nieco zbyt wiele kroków. Niemniej teraz wszystko stało się jasne.

Michel Cocheteux studiował politologię razem z Marianne Barrière, zanim przeniósł się na ekonomię. W tym okresie razem z kochankiem Marianne Pierre'em-Hugues'em Prévostem uczestniczyli w seksualnych ekscesach w Paryżu i Berlinie, gdzie ich spotkania przyciągnęły również Ignatiusa Dünnésa. Cocheteux wiedział, że Prévost podczas tych sesji robił zdjęcia. Możliwe, że gdy wspiał się na szczyt w koncernie, sam zaczął badać, jak wygląda dostęp do tych zdjęć, by żadne intymne fotografie nie wypłynęły i nie ugryzły go w tyłek. Możliwe również, że Prévost usunął wówczas wszystkie zdjęcia, na których widniał Cocheteux. Cocheteux natomiast zyskał pewność, że Marianne jest widoczna na wielu niestosownych zdjęciach. Kilka lat później, gdy stała się realnym zagrożeniem dla jego koncernu i całej branży, znów skontaktował się z Prévostem, który poinformował go, że trzy takie zdjęcia otrzymał już niejaki Fabien Fazekas, działający wtedy z ramienia francuskiego rządu – pośrednio bądź bezpośrednio – w związku z protestami Marianne w sprawie traktowania francuskich Romów. Nie zostały jednak wykorzystane i Fazekas zachował je do ewentualnego przyszłego użytku. I rzeczywiście się przydały, gdy zadzwonił do niego niejaki Michel Cocheteux – albo jeśli się nad tym lepiej zastanowić, był to raczej pewien naprawdę straszny Amerykanin o nazwisku Christopher James Huntington, człowiek, którego – Fazekas świetnie to rozumiał – pod żadnym pozorem nie wolno było zdradzić.

Tak musiało być. Michel Cocheteux miał czyste ręce. Plan G – albo plan Gasoline – był dziełem Asteriona, dziełem Chrisophera Jamesa Huntingtona. To on uruchomił Fabiena Fazekasa na jednym froncie, a drugim zajął się sam. Musiał być na bieżąco z postępami zespołu badaczy z Królewskiego Instytutu Technologicznego w Sztokholmie.

Paul Hjelm spędził noc nad pamiętnikiem profesora Nielsa Sørensen. Przerazająca, a równocześnie dziwnie piękna lektura. Choć Sørensen niechętnie się do tego przyznawał, był obdarzony talentem literackim. Ale przede wszystkim wydawało się całkiem niewykluczone, że dziennikarz naukowy, którego Sørensen po raz pierwszy spotkał w maju w Chicago i który ostatniego dnia czerwca

najprawdopodobniej poderznął mu gardło na Hornstull, to nikt inny, jak tylko Christopher James Huntington we własnej osobie.

Wiedzieli przecież z Andaluzji, z Estepony, że Christopher James Huntington chętnie uczestniczy w działalności operacyjnej, mimo że jest szefem.

Zupełnie jak ja, pomyślał Paul Hjelm.

Plan G był dziełem Asteriona.

Na zlecenie dyrektora naczelnego koncernu naftowego Entier SA, firmy *supermajor* z branży paliwowej.

I z ewentualnym wsparciem najniebezpieczniejszej mafii w Europie.

Wędrując wzdłuż kanału łączącego Marnę z Renem, Paul Hjelm pogwizdywał stary przebój.

Dopiero po chwili uderzyła go myśl, że gwizdże *What A Wonderful World*.

Utrecht – Amsterdam, 7 lipca

KERSTIN HOLM naprawdę wiązała spore nadzieje z tymi tygodniami. Liczyła na to, że Paul będzie miał dla niej czas, że spędzą trochę lata razem, zobaczą więcej Holandii, może Belgię, Luksemburg. Zamiast tego pierwszy tydzień okazał się jednym z najintensywniejszych w całej jego karierze.

A kiedy sama próbowała pracować, zabiła dziecko.

Nie mogła się z tym pogodzić. Nie potrafiła. Paul dość lekko zamiótł to pod dywan, ale dla Kerstin to po prostu nie wchodziło w rachubę. Ta historia prześladowała ją w dzień i w nocy.

Podczas wczorajszej akcji w Amsterdamie siedziała w Hadze jako tymczasowa szefowa. Wiązała z tym pewne oczekiwania i podniosło ją to trochę na duchu. Ale w Hadze nic się nie działo. Absolutnie nic. Wszystko działo się w Amsterdamie.

Śledztwo w sprawie zamordowania dwunastoletniego Lianga Zunronga utknęło w miejscu. Dochodzenie prowadziła amsterdamska policja, która nie poczyniła żadnych postępów. Nikt nic nie widział, nikt nie miał o niczym pojęcia. Kerstin Holm miała wrażenie, że sprawa Lianga Zunronga wkrótce znajdzie się wśród miriadów innych nierozwiązanych spraw i połkną ją gigantyczne archiwa niesprawiedliwości.

Poza tym śmiertelnie się nudziła, gdy wszyscy pozostali uczestniczyli w niesłychanie intensywnej misji w centrum Amsterdamu, i ta sytuacja stawała się nie do zniesienia. Mało brakowało, by Kerstin po prostu wstała, wsiadła w samolot i poleciała z powrotem do Sztokholmu, wróciła do syna Andersa, na posterunek na Kungsholmen i do wszystkiego, co знаła i co miało dla niej jakiś sens.

I wtedy zadzwonił telefon. Ledwie się połapała, jak odebrać. Czuła się jak nowicjusz.

Jak stara babcia.

– Tak – rzuciła oschle.

– Chciałbym rozmawiać z Kerstin Holm – powiedział po angielsku głos, który wydał jej się trochę znajomy.

– Przy telefonie – powiedziała.

– Mówi komisarz Van der Heijden z Utrechtu. Może mnie pani pamięta. Zwróciła się pani do mnie przed tym nieszczęsnym incydentem z młodym Chińczykiem Liangiem Zunrongiem.

– Pamiętam...

– Możliwe, że mam trochę nowych informacji – powiedział Van der Heijden.

To było wczoraj. Dziś znów siedziała na posterunku policji w Utrechcie i patrzyła w oczy Van der Heijdena. Zapamiętała go jako solidnego i bystrego policjanta, ostrożnego w wypowiedziach, ale wyrazistego w poglądach.

„Policjantem zostaje się po to, żeby pomagać ludziom. Niech to diabli, zwierzętom też. Roślinom, *whatever*. Żeby pomagać. Tu nie powinno być granic”.

Teraz powiedział:

– Interesowali panią bliźniacy, którzy przybyli do Szwecji w październiku dwa tysiące piątego i po kilku dniach zniknęli. Wang Cheng i Wang Shuang. Mieli wtedy trzynaście lat.

– Zgadza się.

– Zrobiłem coś być może nie do końca zgodnego z obowiązującym prawem – ciągnął Van der Heijden, nie odwracając wzroku. – Chce pani słuchać dalej?

– Zdecydowanie chcę – zapewniła Holm.

– Coś w tej całej sprawie Chińczyków wzbudziło moje zainteresowanie. Obudziło drzemiącego we mnie policjanta. I ten policjant, nie do końca legalnie, zajrzał do szpitalnego rejestru.

– Cała zamieniam się w słuch – powiedziała Kerstin Holm.

Komisarz Van der Heijden prawdopodobnie nie był wybitnym policjantem. Przez całą swoją karierę próbował zapewne nie zwracać na siebie uwagi. Ale teraz coś się stało. Kiedy mówił, Kerstin Holm pomyślała, że w jakiś sposób przypomina o dziesięć lat młodszego Paula Hjelma.

– Znalazłem jedno z nazwisk w rejestrze pewnego szpitala w Rotterdamie, wpis był z wiosny dwa tysiące szóstego roku.

– Jedno z nazwisk?

– Nazwisk tych bliźniaków. To interesujący dokument.

– Interesujący?

– Trudno to wyjaśnić. Najwyraźniej podczas rejestracji w szpitalu coś poszło nie tak. Pacjenta zarejestrowano podwójnie. Obrażenia były dość wyjątkowe, zmiażdżone *articulationes metacarpophalangeae* i zerwanie ścięgien *rectus abdominis*, ale takie same obrażenia zarejestrowano dwukrotnie z pięciominutowym odstępem, za pierwszym razem nieco połowicznie, za drugim kompletnie, z numerem paszportu.

– Chyba nie nadażam – powiedziała szczerze Kerstin Holm.

– Ja też tego nie mogłem zrozumieć – wyjaśnił Van der Heijden – więc pojechałem do tego szpitala w Rotterdamie i przejrzałem ich odręcznie prowadzone archiwa. Tam spotkałem się z tym samym zjawiskiem, ale wiele się wyjaśniło. Rannego trzynastolatka wpisano najpierw jako Wanga Shuanga, potem z jakiegoś powodu zmienił zdanie i zaczął twierdzić, że nazywa się Shuang Ricci. Na to nazwisko okazano również amerykański paszport. Rozmawiałem z pielęgniarką, która wprowadzała te obrażenia do rejestru. Nie pamiętała tego przypadku, ale powiedziała: „Zmiażdżone *articulationes metacarpophalangeae* i zerwanie ścięgien *rectus abdominis*. Powiedziałabym, że to typowe obrażenia, jakie odnosi się w bójkę”. Ponieważ moja wiedza o ludzkiej anatomii nie obejmuje łacińskich nazw, poprosiłem ją, żeby mi to wyjaśniła. Odparła: „Zmiażdżone kostki i obrażenia mięśni brzucha. Ten chłopak porządnie się z kimś pobił, to pewne”.

Kerstin Holm siedziała w milczeniu i próbowała przetrwać te informacje.

– Tak go bolało, że na chwilę zapomniał o swojej nowej, fałszywej tożsamości?

– Tak to zinterpretowałem – odparł Van der Heijden.

– Amerykański paszport? USA?

– Tak. Sprawdziłem numer paszportu. Naturalnie nie istniał. To był fałszywy paszport. Na wszelki wypadek przeprowadziłem jednak kompleksowe wyszukiwanie nazwiska Shuang Rizzi, obywatela amerykańskiego, urodzonego siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, dokładnie tak, jak widniało na paszporcie. I pojawiło się trafienie. Trochę nieoczekiwane trafienie.

– Wciąż uważnie pana słucham.

– Niejaki Shuang Ricci pół roku temu przyleciał z Nowego Jorku do Holandii. Ma zezwolenie na pracę w kraju.

– A więc on tu jest?! – wybuchnęła Kerstin Holm.

– W przebłysku geniuszu szukałem dalej *Chenga Ricci*. Istniała przecież możliwość, że bliźniacy wciąż są razem. Ta sama data urodzenia. I również pojawiło się trafienie. Niejaki Cheng Ricci przybył tydzień później, lotem z Detroit na Schiphol.

– O do diabła.

– Obaj mają zezwolenie na pracę – ciągnął komisarz Van der Heijden. – I obaj w tym zezwoleniu podali taki sam adres. A konkretnie *ten*.

Gdy surowy komisarz Van der Heijden podał jej żółtą samoprzylepną karteczkę z odręcznie zapisanym adresem, Kerstin Holm była bardzo bliska uściskania go.

Ale spytała tylko:

– Jak pan ma na imię?

Komisarz Van der Heijden odparł:

– Paul.

Siedząc w taksówce w drodze z Utrechtu do miejsca gdzieś na obrzeżach Amsterdamu, Kerstin Holm zastanawiała się nad tym, na co właśnie natrafiła.

Dwunastego października dwa tysiące piątego roku bliźniacy Wang Cheng i Wang Shuang znaleźli się w Szwecji po tym, jak porwano ich matkę Wang Yunli w mieście Bengbu, pięćset kilometrów na północny zachód od Szanghaju. Należeli do większej grupy chińskich dzieci, które trafiły do Szwecji z identycznym wyposażeniem, i wszystkie zniknęły w ten sam sposób z obozów dla uchodźców. Czternastego października bliźniacy zniknęli z obozu w Åkersberdze, by już nigdy więcej się nie pojawić.

Aż do teraz. W marcu dwa tysiące szóstego roku jeden z nich pojawił się w szpitalu w Rotterdamie. Miał teraz fałszywy amerykański paszport, nowe nazwisko i wyraźne obrażenia świadczące o tym, że brał udział w bójce. Co się wydarzyło w ciągu tych miesięcy?

Zerwane ścięgna mięśni brzucha świadczyły o tym, że Shuang dostał lanie. Zmiażdżone kostki mówiły natomiast o tym, że *spuścił* komuś lanie. I to porządne. Musiała zajrzeć do najgłębszych zakątków swojej

świadomości, by wyobrazić sobie, co się wydarzyło. Czy chodziło o jakieś dziecięce walki gladiatorów? Wiedziała, że pewien typ znudzonych cywilizacją mężczyzn kręciło właściwie wszystko, byle tylko przekraczało granice, nigdy jednak nie słyszała o mężczyznach, którzy siedzą i grupowo walą konia, patrząc na bijące się dzieci. To się po prostu nie zgadzało. Amerykański paszport. Wizyta w szpitalu. Nowe nazwisko. Czy nie było raczej tak, że... przechodzili trening?

W każdym razie przeżyli. Bliźniacy Wang mieli teraz dziewiętnaście lat i wrócili do Europy, do Holandii, żeby... pracować?

Taksówka skręciła w jakąś boczną uliczkę w eleganckiej okolicy. Kerstin Holm zupełnie nie знаła tej części Amsterdamu.

– Proszę podjechać trochę dalej – poprosiła, gdy taksówka dotarła pod wskazany adres. Kerstin wysiadła około stu metrów dalej i patrzyła, jak samochód odjeżdża.

Nie miała pojęcia, czym zajmują się Cheng i Shuang, i zamierzała zachować ostrożność. Wiedziała dwie rzeczy. Po pierwsze, że ponad pół dekady temu padli ofiarą przynajmniej jednego poważnego przestępstwa i – być może – w jakiś sposób byli szkoleni w walce; innymi słowy sytuacja wykluczała bezpośrednią konfrontację. Po drugie, musiała po prostu spróbować zrobić im zdjęcie. Musiała przesłać je mailem Wang Yunli do Bengbu czy gdziekolwiek teraz przebywała i uzyskać od niej potwierdzenie, że to rzeczywiście jej synowie. Było oczywiste, że Wang Yunli ich pozna, bez względu na to, co przeszli, i chociaż nie byli już dziećmi. Musiała się tam podkraść i potajemnie zrobić zdjęcie.

Otaczał ją zupełnie inny Amsterdam niż ten, który wcześniej widziała. Okolica wydawała się zamożna, domy stały w wyraźnych odstępach od siebie, a między nimi było nawet trochę zieleni.

Kerstin Holm zakradła się na sąsiednią działkę i znalazła całkiem dobry punkt obserwacyjny: szczyt porośniętej mchem skałki w czymś, co przypominało niewielki zagajnik. Stamtąd mogła spoglądać znad muru na główne wejście do budynku. Budynek, w którym być może przebywali Cheng i Wang.

Były tam okna. Dużo okien. Zakamuflowała się najlepiej, jak potrafiła, i starała się nie ruszać. Od czasu do czasu w oknie pojawiali się jacyś ludzie i rozglądali się po okolicy.

Gdy minęło około pół godziny, w oknie nad wejściem pojawił się mężczyzna o azjatyckim wyglądem. Wydawał się twardy jak skała i przy odrobinie dobrej woli można by go uznać za przedwcześnie dojrzałego dziewiętnastolatka. Uniosła komórkę i zrobiła kilka zdjęć. Stał jeszcze przez jakiś czas i czegoś wypatrywał. Miała szczerą nadzieję, że jej kamuflaż jest wystarczająco dobry. Za plecami pierwszego pojawił się drugi mężczyzna o chińskich rysach twarzy. Przez krótką chwilę rozmawiali. Potem odwrócili się i zniknęli.

Pełna entuzjazmu, bo udało jej się uchwycić obu na zdjęciu, zrobiła fałszywy krok. Co prawda nie spadła ze skałki, ale zsunęła się nogą po mchu i wylądowała w pozycji przypominającej szpagat.

Bolało.

– Coś się dzieje – powiedziała Jutta Beyer.

Arto Söderstedt siedział w ciasnym pokoiku i próbował dostroić mikrofony kierunkowe, ale nic to nie dawało. Czy w tym cholernym Notus Imports w ogóle *rozmawiali*? Czy mafia już tak ma, że nie zamieniają ze sobą nawet słowa?

– Co? – spytał.

Beyer zbliżyła obraz z jednej z dwóch kamer w oknie, nie był to jednak obraz willi Notus Imports, lecz sąsiedniego domu. A raczej sąsiedniej działki.

Söderstedt odłożył myszkę i spojrział na monitor. Faktycznie, z krzaków na sąsiedniej działce wystawała jakaś noga, kobieca noga, która szybko cofnęła się między liście i zniknęła. Ta osoba musiała się znajdować tuż pod kamerą monitoringu na fasadzie domu, kamerą skierowaną na główne wejście do Notus.

Kiedy Söderstedt przyglądał się obrazowi na ekranie, Jutta Beyer wstała. Po chwili rzuciła od drzwi:

– Idę tam.

– Poczekaj – powiedział Söderstedt. – Nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Ktoś przeprowadza zwiad? Ona może być uzbrojona. Wstrzymaj się, Jutta.

Ale wtedy Beyer pojawiła się na monitorze. Właśnie przechodziła przez ulicę.

– Niech to szlag – rzucił w próżnię Arto Söderstedt.

Jutta zakradła się na sąsiednią działkę. Wydawało jej się, że rozpoznała twarz tej kobiety. Podkraśla się bliżej do grupki drzew ze skałką, rozejrzała się ostrożnie.

I poczuła lufę pistoletu na karku.

– Ani słowa – syknął kobiecy głos.

Beyer podniosła ręce i szepnęła:

– To ja, Kerstin. Jutta Beyer.

\* \* \*

Trzy pary oczu oglądały na ekranie zdjęcie z komórki. Dwaj mężczyźni o chińskich rysach po drugiej stronie szyby wyglądali jak klasyczni ochroniarze; twardzi, zimni, profesjonalisci w każdym calu.

– Czyli chcesz powiedzieć, że mafia szkoliła ich od dziecka? – spytał Arto Söderstedt.

– Taką mam teorię – odparła Kerstin Holm. – Porwano ich i zrobiono z nich żołnierzy. Klasyka. Pomyśl o afrykańskich nieletnich żołnierzach, o porywanych dzieciach z Ugandy, które stają się zawodowymi mordercami. Nie mają szans, by choć raz w życiu doświadczyć empatii. To oczywiste, że są pozbawione emocji. Idealne maszyny do zabijania.

– W takim przypadku możemy mówić o całkowitej lojalności – odezwała się Jutta Beyer. – Od trzynastego roku życia przeszli kompletne pranie mózgu.

– Nie wiem, czy pojęcie „prania mózgu” się tu do końca stosuje – zauważył Söderstedt. – Wydaje mi się, że trzynaście lat to mimo wszystko trochę za późno na całkowitą zmianę osobowości. Mogli

zachować ślady wspomnień emocjonalnych, które czynią ich bardziej ludzkimi.

– Mafia toruje nowe drogi we współczesnym handlu ludźmi – powiedziała Beyer. – Zaczyna mi się robić niedobrze.

– Mnie cały czas jest niedobrze – uśmiechnął się dobrodusznie Söderstedt.

– Czy to możliwe – zaczęła z namysłem Jutta Beyer – że właśnie znaleźliśmy do nich dojście?

– Przez bliźniaków? – spytał Söderstedt. – No cóż, niewykluczone, że kontakt z mamusią by ich poruszył.

– Wysłałam mail ze zdjęciem do Wang Yunli – oświadczyła Kerstin, podnosząc wzrok znad komórki.

– Mam nadzieję, że bez żadnych uwag o tym, gdzie zostało zrobione – powiedział Söderstedt. – Jeśli ci chłopcy są absolutnie lojalni wobec swojej nowej „rodziny”, jakiegokolwiek podejrzenie, że ktoś ich obserwuje, może udaremnić całą naszą operację.

– Prosiłam tylko, żeby spojrzała na zdjęcie – odparła Holm. – W Chinach jest teraz chyba późny wieczór, nie wiadomo, czy dzisiaj odpisze.

– A my potrzebujemy trochę czasu, żeby zdecydować, jak sobie najlepiej poradzić z tą sytuacją – powiedziała Jutta Beyer.

Zakończyli dyskusję. Znowu skierowali spojrzenia na obrazy z kamer monitoringu.

Willa po drugiej stronie ulicy wydawała się zupełnie spokojna.



Ebeltoft, Dania, 7 lipca

DUŃCZYCY BYLI najszczęśliwszym narodem na świecie – niedawno wykazało to wielkie badanie Instytutu Gallupa – i duńscy przedstawiciele grupy Opcop wydawali się potwierdzać ten fakt. Gdy jechali na północ z Kopenhagi do Sjællands Odde, skąd odchodził bezpośredni prom do Ebeltoft, Sara Svenhagen pomyślała, że Mads Knudsen i Stine Østergaard dosłownie promieniują zadowoleniem z życia. Knudsen był pozornie nieskomplikowanym młodym mężczyzną o budowie pływaka, natomiast jego szefowa Østergaard była o dziesięć lat starsza, piegowata i miała niewyparzoną gębę. Svenhagen natychmiast oboje polubiła. Wydawali jej się całkowitym przeciwieństwem surowego profesora Nielsa Sørensen. Którego nigdy nie poznała, ale o którym myślała jak najlepiej. Choć być może w inny sposób.

Jednak ich duński było trochę trudno zrozumieć. Był to wyjątkowo szybki kopenhaski dialekt, który konsekwentnie nie dopuszczał choćby milisekundy przerwy między wyrazami. W uszach Sary wszystko zlewało się w jedno, niesamowicie długie słowo.

Jorge Chavez nie miał takich problemów ze zrozumieniem. Sara wiedziała, że kiedyś w przeszłości miał niejasny związek z jakąś Dunką. Ponoć mieszkali nawet przez pół roku w Kopenhadze. Ale Sara nie chciała w tym grzebać. Powiedziała tylko nie po raz pierwszy:

– Mogłabyś to powtórzyć?

Stine Østergaard odwróciła się na miejscu pasażera i wyartykułowała najwyraźniej, jak potrafiła:

– Obecny właściciel, niejaki Morten Thygesen, mieszka z rodziną w Aarhus i wybiera się do domku letniskowego dopiero w przyszłym tygodniu, ale wziął w pracy wolne, żeby spotkać się tam z nami mniej więcej za godzinę.

To było bardzo długie zdanie, które w uszach Sary stało się bardzo długim słowem. Ale zrozumiała.

– To świetnie – odparła.

Prom okazał się miłym katamaranem, który pokonywał odległość między Zelandią a Jutlandią w ciągu trzech kwadransów. W ten piękny, letni dzień panowała flauta. Chavez, który z założenia cierpiał na chorobę morską, domyślał się jednak pewnych niedogodności przy ostrzejszych wiatrach.

W miłych okolicznościach napili się kawy. Na promie było za dużo pasażerów, by móc wprost rozmawiać o toczącym się śledztwie. Zamiast tego gawędzili o codziennym życiu duńskiej grupy.

– Rzadko bywam w Hadze – oświadczyła Østergaard – ale Mads jest tam raz w miesiącu i robi dzieci Holenderkom.

– Mads i ja czasem bywamy tam równocześnie – wyjaśnił Sarze Chavez. – Parę razy imprezowaliśmy razem. Ale bez Holenderek, przysięgam.

– Ja spotykam tam najczęściej niejaką Mette Møller – powiedziała Svenhagen.

– Ona jest na urlopie – wyjaśniła Østergaard. – Musisz się zadowolić nami.

– Jestem bardzo zadowolona – zapewniła Svenhagen.

Wkrótce potem prom dopłynął do portu przy Ebeltoft. Powitał go długi pirs z czterema ogromnymi turbinami wiatrowymi. Wszystkie zastygły w bezruchu podczas letniej flauty.

Mads Knudsen wjechał między łąny zboża. A przynajmniej takie można było odnieść wrażenie, jadąc małymi ukrytymi drózkami, gdzie tuż ponad linią wzroku wznosiły się dostojne kłosa. Drogi stawały się coraz węższe, a w końcu między z rzadka rozsianymi ogrodami ukazało się morze.

– Nie mogli tu dotrzeć przed nami – powiedział Chavez. – Żeby tutaj trafić, musieliby nas śledzić. Jeśli się zjawią, to po nas. Dostaliście raport, z czym mamy do czynienia. Nie podejmujcie żadnego ryzyka.

Duńczycy spojrzeli po sobie. Byli gotowi.

Dotarli do celu. Knudsen odwrócił wóz we właściwą stronę, by móc szybko odjechać, i zaparkował na poboczu. Ruszyli wysypaną żwirem drózką w stronę domu z typowo duńską strzechą z gęstej trzciny. Na dróżce stał SUV z duńską rejestracją. Stine Østergaard szybko sprawdziła numery z notatkami w swoim smartfonie i kiwnęła głową.

Duńczycy obeszlili dom, minęli patio, dotarli na trawnik opadający w stronę morza. To był ulubiony odcinek młodego Nielsa Sørensen, biegł po trawie, po piachu, a potem woda! Chavez i Svenhagen przez dwoje szklanych drzwi we frontowej i tylnej ścianie zobaczyli na tle morza duńskich kolegów po drugiej stronie budynku. Chavez zapukał w szybę. Z głębi eleganckiego domku letniskowego wynurzył się mężczyzna. Nosił strój do tenisa, był wysoki i muskularny i wyglądał bardzo po duńsku. Rozejrzał się w obie strony i spojrzął na nich pytająco.

– Tutaj! – zawołał Chavez.

Mężczyzna otworzył drzwi i spytał po duńsku:

– Przyszliście z obu stron?

– Tak – odparł Chavez. – Ich też proszę wpuścić.

I tak się stało. Mads Knudsen i Stine Østergaard weszli do środka i poczuli ostrą woń środków czyszczących.

Domek letniskowy był widny i minimalistycznie urządzone, a do tego bardzo porządnie wysprzątany, niemal pedantycznie. Chavez domyślał się, jakim typem człowieka jest Morten Thygesen. Pozwolił, by Østergaard prowadziła rozmowę.

– Morten Thygesen? – spytała.

– A któż by inny – odparł Thygesen. – Szczerze mówiąc, nie zrozumiałem, czego dokładnie państwo chcecie.

– Kilka tygodni temu odwiedził tu pana mężczyzna o nazwisku Niels Sørensen, zgadza się?

– Tak – przyznał Thygesen. – Chodził po domu i wszędzie zaglądał. Spędzał tutaj wakacje, kiedy był dzieckiem. Nazwał to nostalgiczną wizytą. Nie robiłem mu problemów.

– Kupił pan ten dom od rodziny Sørensen?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kupiłem go prawie dwadzieścia lat temu od pewnej kobiety, która nazywała się Olsen. Możliwe, że była jakąś jego krewną.

– Możemy się trochę rozejrzeć?

– Oczywiście – odparł Morten Thygesen i zachęcił ich gestem.

Rozglądali się trochę bez przekonania, Thygesen ciągle się przy nich kręcił. Rozdzielili się i udawali, że czegoś szukają. Kiedy Thygesen dołączył do Knudsen i Svenhagen w otwartym salonie, Østergaard podeszła do Chavez i szepnęła szybko:

– Mówiłeś przecież, że wiesz, gdzie jest formuła?

– Bo wiem – odszepnął Chavez. – Ale zacząłem czuć dziwne wibracje. Tu jest za bardzo posprzątane.

Zamierzałem trochę odczekać.

– Dobra – szepnęła Østergaard. – Mam takie samo wrażenie. Przez telefon brzmiał inaczej.

– Coś nam grozi?

– Może.

Znow się rozdzielili. Porozglądali się trochę. Chavez trafił do pokoju, który rozpoznał z opisu w pamiętniku Nielsa Sørensen: „Smutno było zobaczyć, że mój dawny pokój służy teraz do grania w gry komputerowe”. I naprawdę tak było. Pod ogromnym telewizorem leżały na stercie wszelkie możliwe akcesoria. Pod ścianą stały pudła z grami, nieskończona liczba różnych gier. Chavez rozpoznał najwyżej kilkanaście. To nie był zwyczajny pokój dla dzieciaków. Tutaj grali dorośli. Albo przynajmniej *jeden* dorosły.

Morten Thygesen zajrzał do pokoju. Chavez uśmiechnął się do niego szeroko.

– Wielki pokój. Jaka jest pana ulubiona gra?

– Nie za bardzo rozumiem po szwedzku – odparł Thygesen, a wtedy z salonu dobiegł jakiś hałas.

Thygesen natychmiast zniknął. Chavez usłyszał, jak Østergaard skarży się głośno z drugiego pokoju. Sara Svenhagen wsunęła się ukradkiem do pokoju gier.

– Złe przeczucia? – szepnęła.

– Ty też? – odszepnął.

Kiwnęła głową i dodała:

– To nie on. On tutaj nie mieszka, jestem tego pewna.

– W takim razie ma bezpośredni kontakt z towarzyszami – stwierdził Chavez. – Gorącą linię. Słyszą wszystko, co się tu dzieje. Musimy dać mu po łbie i kontynuować rozmowę, jakby nic się nie stało.

– Jak, u diabła, mamy to przekazać Duńczykom?

– Østergaard też tak uważa. Szybko, gry!

Svenhagen zdążyła skojarzyć, o co chodzi. Wyciągnęła na chybił trafił parę gier i z udawanym zainteresowaniem zaczęła się przyglądać opakowaniom. Morten Thygesen znowu wrócił. Svenhagen spojrzała na niego z pełną ubolewania miną i spytała:

– Coś się stukło?

– Nic się nie stało – uśmiechnął się wysoki mężczyzna. – Czego państwo szukacie?

– Są tutaj jeszcze jakieś inne pomieszczenia? – spytała Svenhagen.

– Mamy komórkę przy kuchni, warsztat stolarski, no i oczywiście patio. Chcecie je państwo obejrzeć?

– Chętnie – odparła Svenhagen i wyminęła go.

Mats Knudsen dołączył do Chaveza, pokazał mu kastet i szepnął:

– Zdejmujemy go?

– Absolutnie bezgłośnie – kiwnął głową Chavez. – Przy pierwszej okazji, jaka się nadarzy. Ja go złapię.

W salonie Stine Østergaard kuciała nad odłamkami ceramiki i grzebała w nich. Podniosła wzrok, gdy Thygesen położył rękę na klamce frontowych drzwi.

– Au! – krzyknęła i wsunęła palec do ust.

Morten Thygesen się odwrócił i odsłonił skroń. Knudsen włożył w cios całą swoją siłę pływaka. Thygesen zdołał wydać z siebie jedynie stłumiony jęk. Chavez złapał osuwające się ciało. Było bardzo ciężkie. Same mięśnie.

– Jak to miło, że mi pan pomaga – powiedziała energicznie Østergaard. – To nic takiego, skaleczyłam się tylko odłamkiem.

– Chciałbym jeszcze zajrzeć do pokoju gier – powiedział Knudsen, zsunął kastet i potrząsnął zakrwawioną ręką, krzywiąc się przy tym. Równocześnie Chavez i Svenhagen bezgłośnie opuścili Thygesena na podłogę. Wysunęli mały nadajniczek z jego białych tenisowych szortów. Chavez podał go Knudsenowi i powiedział spokojnie:

– Idziemy się rozejrzeć na piętrze.

– Chciałbym jeszcze raz obejrzeć te gry komputerowe – oświadczył Knudsen, odbierając nadajniczek.

Gdy tylko Knudsen i Østergaard się oddalili, Chavez otworzył bezgłośnie drzwi wejściowe. Razem ze Svenhagen ruszyli w stronę małego budynku, który musiał być warsztatem stolarskim.

Sørensen napisał w pamiętniku: „W warsztacie wciąż jeszcze leżał stary, piękny silnik do łodzi. Jedyna rzecz, którą zachowali. Silnik do łodzi dziadka zmieniony w akcesorium. W przechowalnię”.

Silnik stał w kącie wyraźnie odnowionego warsztatu. Rzeczywiście wyglądał jak akcesorium. Ale ani trochę jak przechowalnia. Chavez podbiegł do niego i odkręcił wieko. Svenhagen próbowała mu pomóc, odebrała wieko, Chavez wsunął palce do środka. Nic tam nie było. Bardzo dokładnie obmacał wszystko dookoła, ale miał za krótkie palce. Sara podała mu sztywny gumowy pasek, który znalazła w szufladzie stołu warsztatowego, i Chavez zaczął nim ostrożnie sprawdzać bak starego silnika. W końcu na coś natrafił. Wyglądało na to, że to papier przyklejony od wewnątrz, w rogu baku. Szturchnął go lekko gumowym paskiem i w końcu coś spadło na dno. Przyciągnął to i zajrzał do środka. I rzeczywiście, był to starannie poskładany arkusz formatu A4. W środku leżał maleńki pendrive.

Wyciągnął go opuszkami palców i wsunął do kieszeni. Dał znak Sarze i wrócili do domku

letniskowego. Gdy weszli, usłyszeli głos Stine Østergaard:

– Potrafię zrozumieć, że najbardziej lubisz Final Fantasy, ale czy siódemka naprawdę jest najlepsza?

Svenhagen wyciągnęła Knudsen z pokoju do gier i kiwnęła głową. Na jej niemy znak przekazał jej nadajnik. Sara dołączyła do Østergaard w pokoju do grania i powiedziała wesoło:

– Nie, na piętrze nie ma nic ciekawego.

Chavez pociągnął za sobą Knudsen na tył domu, do drzwi wychodzących na patio.

– Mamy to – szepnął. – Umiesz daleko rzucać?

– Raczej jestem typem pływaka – odszepnął Knudsen. – Ale pewnie, że umiem rzucać.

– My troje spadamy teraz do wozu. Ty weź nadajnik, powiedz kilka dobrze dobranych słów na zakończenie, rzuć go na sąsiednią działkę i pędź do samochodu, jakbyś płynął pięćdziesiąt metrów stylem dowolnym na olimpiadzie. Dobra?

Knudsen kiwnął głową. Østergaard i Svenhagen wyszły z pokoju. Svenhagen wsunęła nadajniczek w dłoń Knudsen. Stał przy drzwiach na patio, dopóki pozostała trójka nie zniknęła z pola widzenia. Drzwi od frontu zostawili szeroko otwarte.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się też rozejrzeć u sąsiadów – powiedział, otworzył drzwi na patio i z całej siły cisnął nadajniczek. Nie zdążył zobaczyć, gdzie upadł – wybiegł z domu i pędził jak szalony wzdłuż drogi.

Chavez siedział za kierownicą, widząc nadbiegającego Knudsen, uruchomił silnik, a gdy ten wskoczył na tylne siedzenie, ruszył z piskiem opon.

Jakieś pięćdziesiąt metrów za ich plecami włączył się inny silnik. Gdy ostro skręcili w prawo, ze świstem przeleciały obok nich dwie kule. Østergaard obejrzała się przez tylną szybę.

– Teraz! – wrzasnęła. – No dalej, miękki fiucie, teraz!

A wtedy czarną furgonetką szarpnęło i zatrzymała się w poprzek drogi. Wskoczyło z niej dwóch ubranych na czarno mężczyzn, patrzyli na opony. Zanim zniknęli w oddali, jeden z nich kopnął koło.

Stine Østergaard wydała radosny okrzyk i zawołała:

– Każdy szanujący się wóz Europolu ma kolczatki w bagażniku!

Sara Svenhagen zdążyła już otworzyć laptop i wsunąć pendrive. Był na nim tylko jeden plik graficzny w formacie JPEG. Kliknęła adres mailowy Paula Hjelma i przesłała plik. Usłyszała, jak ulatuje ze świstem.

Westchnęła ciężko i wysłała go jeszcze do wszystkich członków grupy Opcop, jacy tylko przyszli jej do głowy.

Samochód wjechał już do Ebeltoft. Z piskiem opon zajechali na posterunek policji.

Tam każdy wziął sobie zimne piwo i wznieśli toast za udaną skandynawską współpracę. Potrzebowali pięciu prób, zanim udało im się stuknąć zielonymi butelkami.

Za bardzo trzęsły im się ręce.

Haga, 9 lipca

BYĆ MOŻE TRUDNO byłoby mówić o spokoju, ale po kilku intensywnych dniach sytuacja trochę się wyciszyła. Bardzo wiele kawałków układanki powskakiwało na właściwe miejsca. Paul Hjelm znalazł nawet czas na to, czego w swojej zawodowej karierze najbardziej nienawidził – na spotkania – ale były to przecież ważne spotkania i wszystkie dotyczyły kwestii bezpieczeństwa.

Głównie bezpieczeństwa Marianne Barrière.

Ze Sztokholmu przyszło potwierdzenie od Virpi Pasanen i Jovana Biševaca. Pendrive ukryty w silniku w Ebeltoft rzeczywiście zawierał jedną trzecią wzoru opracowaną przez Nielsa Sørenseną.

Kontakt z Sarą i Jorgem był krótki, ale treściwy. Wbrew temu, czego się wszyscy spodziewali, Asterion najwyraźniej odnalazł idylliczny domek z dzieciństwa Sørenseną, zanim dotarli tam skandynawscy przedstawiciele grupy Opcop. Pozostawało niejasne, w jaki sposób i w jakim celu. Asterion nie wiedział przecież, że formułę podzielono na trzy części, ani nawet że idąc śladami Sørenseną, znajdzie coś wartego poszukiwań. Christopher James Huntington musiał jednak wyczuć, że na komórce, którą Asterion namierzył, gdy włączyła się nagle na pół godziny, musi być coś istotnego, zwłaszcza że natrafili na tak imponujący opór. Prawdopodobnie próbowali odnaleźć miejsca z przeszłości Sørenseną, choć nie było ich za wiele, i w ten sposób dotarli do Mortena Thygeseną, obecnego właściciela domku letniskowego, który kiedyś należał do dziadka profesora. Thygesen poinformował, że profesor odwiedził go kilka tygodni wcześniej, a wówczas go unieszkodliwiono i podstawiono w jego miejsce duńskiego najemnika.

Prawdziwy Thygesen odnalazł się kilka godzin później, skrupowany taśmą izolacyjną w schowku na przybory do sprzątania w swoim miejscu pracy w Aarhus. Nic mu się nie stało, ale był oszołomiony i niezdolny do złożenia sensownych zeznań.

Podczas pierwszego owocnego przesłuchania pary naukowców przebywających w areszcie ochronnym do Pasanen przyszedł SMS. Przesłuchanie było filmowane, a teraz Hjelm po raz pierwszy od bardzo dawna siedział w swoim gabinecie. I po raz pierwszy oglądał ten film.

Na monitorze Virpi Pasanen na chwilę zamknęła oczy.

– Czy to jest ta tak zwana nieoficjalna komórka? – spytała Sara Svenhagen siedząca po drugiej stronie stołu.

– Tak – odparła przygnębionym głosem Pasanen. – Wyniki ostatnich testów. Wartości są nawet trochę lepsze, niż się spodziewaliśmy. Projekt jest ukończony.

Jovan Biševac nie był ani trochę przygaszony. Zerwał się z miejsca i w ciasnym pokoju przesłuchań na posterunku na Kungsholmen wykonał prawdziwy taniec zwycięstwa.

– Ożeż kurwa! – zawołał, gdy już usiadł. – Teraz dostaniemy Nagrodę Nobla.

Pasanen podsunęła mu komórkę. Zrobił wielkie oczy i zacisnął pięści.

– Co to dokładnie oznacza? – spytał Jorge Chavez.

– Wszystko gotowe – odparł Biševac. – Dostarczymy formułę do Brukseli, żeby ją przejął ich bardziej zorientowany przemysłowo zespół badaczy.

– Ale będziemy uczestniczyć w rozwijaniu projektu – dodała Pasanen. – Żałuję tylko, że Niels tego nie widzi.

Gdy Paul Hjelm zamknął plik wideo, jego wzrok padł na mail, który krył się pod spodem na ekranie. Przesłała mu go Kerstin Holm.

Pomyślał o ostatnich dniach. O tym, jak znów się do siebie zbliżyli, o tym, jak Kerstin dokonała dziwnego odkrycia i odnalazła bliźniaków Wang, obecnie Chenga i Shuanga Riccich. Mimo bezgranicznego zła to było genialne: zachowali swoje chińskie imiona, bo nikomu nie przyszłoby do głowy, że mogą nie być Chińczykami, ale nazwisko sprawdzało się równie dobrze w Stanach Zjednoczonych, jak we Włoszech. A właśnie w tych dwóch krajach prawdopodobnie mieli działać. W krajach, z których wywodziła się mafia.

Rozumiał Kerstin. Była w obcym miejscu i na pewno wiązała jakieś nadzieje z tym pobytem. A on zostawił ją zdaną na siebie i właściwie prawie bez przerwy pracował. Potrzebowała też zawodowych wyzwania, zwłaszcza po tej katastrofie z młodym Liangiem Zunrongiem, którego *być może* miał spotkać taki sam los jak bliźniaków. A więc łatwo go było zastąpić. Był mięsem armatnim.

Dużo o tym rozmawiali. O tym, jak właściwie się odbywa tego rodzaju handel żywym towarem. Zapewne jakiś miejscowy przedstawiciel selekcjonował chińskie dzieci na podstawie określonych cech fizycznych i psychicznych – możliwe, że pewne dzieci wybierano specjalnie do celów wojskowych, inne do seksualnych, jeszcze inne do administracyjnych. Niewykluczone, że był to przemysł na wielką skalę, ale przede wszystkim kreatywna współpraca różnych organizacji mafijnych na świecie.

Kerstin Holm cały czas powracała do losu Lianga Zunronga i podczas którejś z tych dyskusji w głowie Paula Hjelma zagnieździła się pewna myśl. Wbiła w niego *haczyki*. Nie wspomniał o tym nikomu z grupy – nie wiedział jeszcze, czy to dobry pomysł – ale on i Kerstin spędzili wiele nocnych godzin, analizując go na wszystkie strony.

– Jeśli potrafili wykryć chip podczas jazdy samochodem, to każdy ich budynek musi być naszpikowany znacznie czulszymi detektorami – brzmiał pierwszy zarzut Kerstin.

– Tylko jeśli coś podejrzewają – odparł Paul. – Ciało Lianga Zunronga zbadano na wszelkie możliwe sposoby, bo było obcym ciałem w krwiobiegu. Antonio jest częścią tego krwiobiegu.

– Na serio nazywasz go „Antonio”?

– Pseudonim „Antonio”.

– Arto wciąż jest wariatem.

– Trzeba spróbować znaleźć jakieś dojście i może bliźniacy Ricci nim będą. Dostałaś odpowiedź

z Chin?

– Nie – odparła Kerstin.

Ale teraz już ją dostała. Była to długa korespondencja mailowa. Paul Hjelm czytał ją na ekranie. Przeczytał ją jeszcze raz.

Tak, Wang Yunli poznaje swoich synów. Słowa to za mało, by wyrazić, co czuje. Jej życie znów nabrało sensu. Nie, na razie nie mogą jej zdradzić, gdzie przebywają bliźniacy. Ale byłoby dobrze, gdyby mogła przyjechać do Europy. Tak, oczywiście, że to zrobi. Wsiądzie w pierwszy pociąg do Szanghaju i w pierwszy samolot do Amsterdamu. Jej wdzięczność nie zna granic. Nie wie, czy jej komputer jeszcze działa, po wszystkich tych łzach, które spadły na klawiaturę.

– No nie wiem – powiedział wtedy Hjelm. – To ogromne ryzyko.

– Bo teraz są lojalni wobec mafii?

– Ostro ich przeszkolono, przeszli najtrudniejszy możliwy trening. Prawdopodobnie wspomnienia o Bengbu i mamie Yunli zupełnie się w nich zatarły. Jeśli Yunli w jakikolwiek sposób spróbuje się zbliżyć do swoich dzieci, wzbudzi podejrzania. A wtedy oni wszyscy zapadną się pod ziemię i cała nasza robota pójdzie na marne. Nie możemy podejmować takiego ryzyka.

– Ale chyba wychodzą czasem na miasto, prawda? – spytała Holm.

– Z początku wyglądało na to, że nikt z tej ósemki w ogóle nie opuszcza budynku. Teraz wiemy, że od czasu do czasu to robią. Wczoraj bliźniacy byli w centrum Amsterdamu. Zrobili zakupy spożywcze, ale też trochę się przeszli. Praca i wolne w jednym, coś w tym stylu. Kowalewski i Bouhaddi wykonali świetną robotę, śledząc ich, ale nie znaleźli żadnej luki.

– Nie pojawił się żaden wzorzec?

– Jeszcze na to za wcześnie – odparł Hjelm. – Co ci chodzi po głowie?

– Czy można tak zaaranżować przypadkowe spotkanie, żeby nie wzbudziło żadnych podejrzeń...

To było wczoraj. Od tego czasu się nad tym zastanawiał. Nawet gdyby im się udało i spotkanie wyszłoby na przekonujący zbieg okoliczności, do czego to doprowadzi? Co mogli na tym zyskać? Jak Wang Yunli w całej tej powodzi emocji miała wymyślić tajemnicę, którą będzie się dało wykorzystać? I jeśli tak, to jaką?

Podczas tych rozważań zadzwonił Arto Söderstedt.

– Wygląda na to, że problemem nie są mikrofony kierunkowe – powiedział.

– Tylko? – spytał Hjelm.

– Tylko to, że nie rozmawiają.

– Dzwonisz po to, by mi przekazać, że nic się nie dzieje?

– Powiedzmy, że rozmawiają bardzo sporadycznie – poprawił się Söderstedt. – Przy tych Włochach Skandynawowie tacy jak ja czy ty to prawdziwe gaduły.

– Przecież jesteś gadułą.

– Chyba tak.



– Czyli rozmawiali?

– Potrzebują, cytuję: „papieru toaletowego, długopisów, żarówek, tonera do drukarki”. Ma to nastąpić w ciągu najbliższej godziny.

– Zapomniałem, kogo tam mamy, żeby ich śledzić.

– Przecież ty nigdy o niczym nie zapominasz.

– Nie jestem w nastroju, Arto.

– Coś ci się stało, kiedy zostałeś szefem. Coś się zatraciło. Mamy tu Donatellę i Corine. Strasznie się nudzą. ADHD, no wiesz.

– Wiemy, kto ma wyjść na zakupy?

– Właściwie to dlatego dzwonię, choć ciągle się upierasz, żeby mnie wciągać w towarzyskie pogaduszki. Słyszałem, jak jeden z ochroniarzy powiedział: *Giovani viene prima*, co gramatycznie pozostawia wiele do życzenia, ale sądzę, że należałoby to przetłumaczyć jako: „Młodzi mają pierwszeństwo”. To miał być dowcip jednego ze starszych ochroniarzy i nie wydaje mi się, żeby byli Włochami, to raczej Chorwaci albo ktoś taki. Wygląda na to, że wyjdą bliźniacy Ricci.

– *Shit* – zaklął Hjelm. – Daj mi pomyśleć.

– Przecież zawsze daję ci pomyśleć – odparł Arto Söderstedt i się rozłączył.

Paul Hjelm myślał dalej. Podczas obserwacji Antonio Rossi ani raz nie opuścił budynku Notus Imports. Nie mieli żadnych wskazówek, które świadczyłyby o tym, że wychodzi, by zrobić cokolwiek, jeśli pominąć spotkania z przedstawicielem szajki żebrackiej Ciprianem. Ale to się nie mogło zgadzać. 'Ndrangheta (jeśli to byli oni) na pewno nie trzymała w Amsterdamie swoich przedstawicieli tylko po to, by mieć na oku Vlada i jego ludzi. Była to raczej jedna z wielu gałęzi ich działalności. Skupiali się przecież na narkotykach, przede wszystkim kokainie, i prawdopodobnie mieli też udziały w amsterdamskiej branży restauratorskiej, w handlu bronią i osławionych coffee shopach. Ponadto handel ludźmi, nawet jeśli miał niski priorytet, obejmował przecież o wiele ważniejsze elementy niż żebracy – handel kobietami i siłą roboczą. Ponieważ jedyny wzorzec, jaki do tej pory ujawnił się na Oud-Zuid, był paralelny z tym, co obserwowali w mieszkaniu nad Lauriergracht – niemal całkowitym brakiem komunikacji elektronicznej – Antonio powinien często wychodzić na miasto i przynosić na przykład paski magnetyczne albo zaszyfrowane wiadomości. Tyle że tego nie robił. W każdym razie jak dotąd. Może z założenia postępował tak jak jego podwładny Vlad – pozwalał, by to karczycha zajmowały się fizyczną wymianą informacji – ale jeśli tak, dlaczego osobiście spotkał się z Ciprianem, ochroniarzem? I to nie raz, lecz dwa razy?

Bo miał coś bardzo ważnego do przekazania?

Bo chciał podkreślić, że szajka ma położyć nacisk na plan G?

Bo właśnie o tym jednoznacznie wspomniano przy obu okazjach, gdy Antonio Rossi osobiście nawiązał kontakt z szajką żebracką, najpierw na piśmie w dwuczęściowym, zaszyfrowanym liście, a następnie ustnie, na pokładzie barki wycieczkowej.

Czy mafia była głębiej zaangażowana w ten plan, niż Paul Hjelm chciałby sądzić? Jak właściwie wyglądały relacje Asteriona z 'Ndranghetą, gdy współpracowali poprzednim razem?

Powrócił myślami do najstarszej sprawy grupy Opcop, znanej pod nieoficjalnym kryptonimem „głuchy telefon”. Christopher James Huntington działał wówczas na zlecenie 'ndranghety pod pseudonimem „Filoletowy”, „The Purple”, „Il Poropore”. Asterion Security Ltd. organizowała kontakt między przedsiębiorstwami z branży meblowej a mafią, wszystko po to, by pozbyć się szkodliwych chemikaliów na łotewskich wodach terytorialnych. Wówczas związek był wyraźny: 'ndrangheta wynajęła Asteriona.

Czy teraz znów tak było? A jeśli tak, co to oznaczało?

Zamarł. Znieruchomiał.

Nie, to niemożliwe. Nie mogło być aż tak źle.

Paul Hjelm wiedział wprawdzie, że mafia od dawna usiłowała stać się legalna – albo raczej zbudować szanowaną fasadę, prać pieniądze ociekające krwią i fragmentami mózgu i zarabiać równie dużo legalnie, co nielegalnie – żeby na dłuższą metę całkowicie naturalnie zasymilować się z hiperkapitalistycznym globalnym społeczeństwem, gdzie nikt nie będzie się przejmował tym, że cały ten konglomerat firm zbudowano na trupach i cierpieniu. Byle tylko była kasa.

Zdrowa ekonomia.

Bo pieniądze nie śmierdzą.

Zwłaszcza jeśli się je wypierze.

A jednak wydawało się to zbyt wielkie. Branża naftowa. Jeden z głównych filarów całej zachodniej, a nawet globalnej infrastruktury. *Big Oil*.

*Supermajor*.

To, że państwowe spółki paliwowe kontrolowały osiemdziesiąt osiem procent światowych zasobów ropy, nie przeszkadzało sześciu największym prywatnym koncernom łącznie obracać sumą przekraczającą dwa biliony koron rocznie. Krótko mówiąc, zawrotnymi sumami.

Gdyby faktycznie było tak, że 'ndrangheta przejęła kontrolę nad jednym z dziesięciu największych koncernów naftowych na świecie dokładnie w chwili, gdy branża znalazła się w bardzo niewygodnej sytuacji za sprawą radykalnego projektu ustawy jednego z najpotężniejszych polityków Unii Europejskiej, to oczywiście byliby wściekli. Bardzo wściekli. Chcieliby powstrzymać ten projekt ustawy.

W swoim świecie tłamsili każdy opór, wchodzili i strzelali na ślepo, ale teraz znaleźli się w rzeczywistości, w której – przynajmniej na razie – obowiązywały inne prawa niż brutalna siła, do której przywykli. A więc trzeba było sięgnąć po inne metody. Wykonać dużo niebezpośredniej roboty. Bezpośrednio się nie mieszać.

Im dłużej Paul Hjelm się nad tym zastanawiał, tym logiczniejsze mu się to wydawało. *Big business* był obecnie tak wielki, że koncerny były bogatsze od większości krajów. Całe narody stały na granicy bankructwa z powodu zadłużenia wobec wielkiego biznesu. *Big business* gotów był poświęcić całe państwa, całe narody, dla własnych dywidend. Co odróżniało koncerny od mafii? To, że płacili podatki?

Owszem, istniały takie przykłady, ale inne przykłady dowodziły, że jest na odwrót, i pozostawało niejasne, czy *big business* płaci państwu więcej, niż dostaje z powrotem w postaci rozmaitych funduszy, takich jak dodatki lokalizacyjne czy dotacje na zatrudnienie. A może różnica polegała tylko na tym, że *big business* trzymał się cywilizowanego stylu? Choć z drugiej strony *big business* sporo się nauczył od mafii, jeśli chodzi o formę organizacji, wzorowaną na strukturach rodzinnych i przysięgach absolutnej wierności.

Sztuka tworzenia sekt.

Krótko mówiąc, istniała potworna, mroząca krew w żyłach logika w tym, że jeden z największych na świecie koncernów naftowych, Entier SA, próbował powstrzymać kobietę, która zagrażała jego interesom – zwłaszcza jeśli mafia z południa Włoch miała w nim jakieś udziały.

Do tego celu zaangażowano jedną z największych i najbardziej moralnie dwuznacznych firm ochroniarskich, Asterion Security Ltd. Oczywiście ta nazwa nigdy nie pojawiała się na żadnych dokumentach. Poza tym sami zainteresowani zadbali o to, by być na miejscu w Amsterdamie, który wśród wszystkich ważnych dla Unii Europejskiej miast – Brukseli, Hagi, Strasburga – wciąż pozostawał centralnym ośrodkiem tej części świata.

Ten scenariusz stawał się coraz bardziej przekonujący.

Spróbowali uciszyć komisarz Unii Europejskiej, nie udało się, spróbowali wstrzymać projekt badawczy, również się nie udało. Pozostawała tylko sama Marianne Barrière. Jej słowa. Jej słowa, zanim trafią do mediów. Jej słowa, zanim zostaną utrwalone na papierze i podpisane. Jej ciało, zanim fizycznie złoży projekt ustawy odpowiedniemu organowi.

Wciąż mieli szansę.

W umyśle Paula Hjelm nie pozostały już żadne wątpliwości. Antonio Rossi przebywał w Amsterdamie, by nadzorować zamach na Marianne Barrière, zanim jej projekt ustawy stanie się rzeczywistością.

Najprawdopodobniej sam Rossi opuści kraj na długo przed zamachem. Nigdy nie uda się udowodnić, że coś go z nim łączyło. Miał jednak wszystko zabezpieczyć, nie kontaktując się z Asterionem.

Tak, pomyślał Paul Hjelm. Antonio Rossi niedługo wróci do Włoch. To dlatego teraz siedzi cicho. Zostało im najwyżej kilka dni, by wprowadzić w niego chip.

Chip, który się wypija i który za pomocą mikrohaczyków wczepia się w żołądek.

Ocena ryzyka wyglądała teraz zupełnie inaczej. Istniało niebezpieczeństwo, że Rossi lada chwila zniknie, zupełnie niepilnowany. Przez to nagle wzrosło prawdopodobieństwo, że Wang Yunli naprawdę zrobi jakąś różnicę. Jeśli wszystko szlag trafi, to trudno, i tak kończył im się czas. Może jednak uda im się to upozorować na zbieg okoliczności. Wezwał do siebie Angelosa Sifakisa, który po paru zamienionych z nim zdaniach wybuchnął:

– Chińskie autokary?!

– Istnieje jakiś centralny system? Możemy się dowiedzieć, gdzie one są w Amsterdamie? Musimy się

bardzo spieszyc.

– Dostanę jakiś kontekst czy znów będę trzymany w niewiedzy?

– Przestań się czepiać. Możliwe, że bliźniacy Wang niedługo wyjdą. Chcę umieścić ich matkę w chińskim autokarze. Albo chociaż w pobliżu chińskiej wycieczki z przewodnikiem. Ich przypadkowe spotkanie musi wyglądać na wiarygodny zbieg okoliczności. Byłoby najlepiej, gdyby to bliźniacy zauważyli matkę, nie na odwrót. Informuj mnie na bieżąco.

Sifakis wyszedł. Hjelm zadzwonił do Holm.

Po kilku minutach weszła do jego gabinetu. Nie była sama.

Przyszła z nią niska Chinka w wieku około czterdziestu pięciu lat. Paul po raz pierwszy spotykał się osobiście z Wang Yunli.

– No to pora zobaczyć synów – powiedział.

Amsterdam, 9 lipca

CORINE BOUHADDI siedziała w ulicznej kawiarence i patrzyła na Rembrandta. Rembrandt odlany był z brązu i znajdował się na placu Rembrandta w Amsterdamie. Od dawna już tam stał.

A mimo to wydawał się znacznie bardziej żywy niż panowie w kawiarence naprzeciwko. Pili herbatę i robili to już od tak dawna, że Bouhaddi zaczęła się obawiać, że nic z tego nie będzie. Wcześniej zrobili zakupy w hipermarkecie, zajęło im to nienormalnie dużo czasu, jakby nie przywykli do codzienności, a potem, powolnym spacerem, przeszli się po niemal nieprzyzwoicie pięknym Amsterdamie w pełni lata. Nic w ich zachowaniu nie wskazywało na to, że chodzi o coś więcej niż zwyczajny, leniwy dzień na mieście.

Panowie nazywali się Cheng i Shuang Ricci i nie byli żadnymi panami, tylko młodymi chłopakami o budzącym lęk wyglądzie. Dwóch dziewiętnastolatków jakby żywcem wyjętych z niezbyt ambitnego azjatyckiego filmu akcji, których życie potraktowało bardzo brutalnie.

Tylko matka potrafiłaby ich kochać.

Szczerze mówiąc, Bouhaddi była sceptycznie nastawiona do tego całego projektu. To się mogło naprawdę różnie skończyć. Nikt nie mógł zagwarantować, że braciom nie odbije i w biały dzień nie zamordują matki. Prawdopodobnie nie przywykli do silnych uczuć i nie sposób było przewidzieć, jak zareagują na prawdziwy emocjonalny szok.

Czas płynął o wiele za wolno.

Trzeci autokar opuścił właśnie plac i koło Rembrandta wreszcie zrobiło się trochę miejsca. Bouhaddi zerknęła nad głowami braci Riccich do następnej z długiego szeregu ulicznych kawiarenek przy placu Rembrandta. Po drugiej stronie siedziała Donatella Bruno. Doskonale pasowała do kawiarenki w wielkim, europejskim mieście. To jakże włoskie obycie. Przez ponad pół godziny, które tu przesiedziały na świeżym amsterdamskim powietrzu, Bouhaddi liczyła próby podrywu. Cztery propozycje dla Bruno, w tym jedna od lesbijki kulturystki z kolczykiem w nosie, zero dla Bouhaddi. Jeśli nie liczyć dwóch sprzedawców kwiatów, którzy trochę apatycznie próbowali jej wcisnąć smutne róże, choć najwyraźniej widzieli, że mają do czynienia z beznadziejnym przypadkiem.

Jej telefon zaczął wibrować. Zobaczyła, że Donatella Bruno równocześnie sięga po swój.

– Sytuacja bez zmian? – spytał Paul Hjelm.

Bruno zareagowała pierwsza.

– Ale nie zostało nam już dużo czasu – odparła. – Co wy wyprawiacie?

– Cztery autokary były rosyjskie – powiedział Hjelm. – To by nie zadziałało. Następny będzie chiński.

Przygotujcie się. Wang Yunli pojawi się gdzieś w tłumie Chińczyków, z aparatem fotograficznym na szyi

i podniszczonym przewodnikiem w ręce.

Wang Yunli i jej misja, pomyślała sceptycznie Corine Bouhaddi. W całej tej burzy uczuć Chinka miała jakoś wpleść pytanie o plany braci. Hjelm i Sifakis ciężko się napracowali, żeby wymyślić najlepsze sformułowania. O ile bliźniacy w ogóle przyjmą propozycję matki.

Po kilku minutach na plac Rembrandta faktycznie wtoczył się duży autokar. Drzwi się otworzyły i wysypała się z niego zdumiewająca liczba Chińczyków. Hjelm mówił, że Wang Yunli lubi czerwony kolor, będzie ubrana w czerwień, tak jak zawsze. Poza tym to mogło podziałać na braci.

Nikt nie mógłby już powiedzieć, że wszyscy Chińczycy ubierają się tak samo – rewolucję kulturalną zostawili daleko za sobą – więc w tłumie znalazło się kilka ubranych w czerwień osób. Ale tylko jedna z nich miała na sobie sukienkę, czerwoną sukienkę, i udało jej się dołączyć do grupki rozmawiających ludzi zmierzających w stronę kawiarenki, w której siedzieli Cheng i Shuang Ricci ze swoimi wielkimi filiżankami herbaty.

Corine Bouhaddi poruszyła głową, aż strzeliło jej w karku. Wcale nie była pewna, czy ma ochotę w tym uczestniczyć, bez względu na to, jak to się potoczy. Albo będzie musiała sięgnąć po broń, albo będzie świadkiem czegoś bardzo żenującego.

Wtedy zerwał się jeden z bliźniaków. Bouhaddi przypuszczała, że należeli do osób, których wyraz twarzy rzadko radykalnie się zmieniał. Ale teraz tak się stało. Siedzący bliźniak zobaczył reakcję brata i z imponującą szybkością wyciągnął broń – Bouhaddi poczuła, jak serce podjeżdża jej do gardła – ale na znak tego, który stał, broń równie błyskawicznie trafiła pod dzinsową kurtkę. Nikt nic nie zauważył. A przede wszystkim nic nie zauważyła kobieta w czerwonej sukience, która teraz najprawdopodobniej zmagająca się z najsilniejszymi emocjami w życiu, a mimo to udało jej się kontynuować rozmowę z rzekomymi towarzyszami podróży.

Cel postawiony przez Hjelma został osiągnięty: to bliźniacy zauważyli matkę, a nie na odwrót. Dzięki temu wszystko wydawało się o wiele bardziej prawdopodobne.

Usłyszeli wołanie. Wołał stojący z bliźniaków. Wang Yunli spojrzała w stronę, z której dobiegał głos, i zasłoniła usta dłonią. Przewodnik uderzył o bruk. Na bardzo drżących nogach podeszła do stolika.

Bouhaddi nie musiała sięgać po broń ani nie stała się świadkiem niczego żenującego. Musiała natomiast uzbroić się w cierpliwość. Dużo cierpliwości. Po początkowych niezręcznych, ale wyraźnie serdecznych uściskach Wang Yunli przysiadła się do stolika synów. Ścisnęła ich dłonie, raz Chenga, raz Shuanga, czasem obu, i zaczęła się trwająca godzinę rozmowa.

Donatella Bruno siedziała najbliżej, z mikrofonem kierunkowym w atrapie komórki wycelowanym w tych troje. Jej zadaniem było wychwycenie słów, których nie rozumiała, których nie rozumiał nikt z grupy Opcop. Ale choć Corine Bouhaddi siedziała za daleko, by cokolwiek słyszeć, zdawało się, że rozumie prawie wszystko. To była rozmowa o życiu trojga ludzi, które za sprawą jednego wydarzenia legło w gruzach. Rozmowa o rodzinnych stronach. O życiu bliźniaków. I o absolutnej lojalności, którą tylko śmierć może złamać. Na tym się skończyło. We łzach. I na coraz bardziej niespokojnych

spojrzeniach na zegar. W końcu Wang Yunli została sama.

Wyglądała bardzo, ale to bardzo smutno w swojej eleganckiej czerwonej sukience.

W końcu ruszyła ulicą o nazwie Halvemaansteeg.

Bouhaddi i Bruno szły za nią w różnych odległościach. Częściej oglądały się za siebie, niż patrzyły przed siebie, ale nic nie świadczyło o tym, by Wang Yunli była śledzona. W końcu weszła do z góry ustalonej kawiarenki. Czekali tam Kerstin Holm i Paul Hjelm.

Kiedy Bouhaddi i Bruno weszły do środka, Wang Yunli siedziała pochylona nad stolikiem. Holm ją obejmowała. Hjelm przyglądał jej się z wyczekiwaniem.

W końcu Wang Yunli powiedziała:

– Jutro wieczorem. Mają pójść ze swoim szefem do klubu.

– Do klubu? – spytał Hjelm.

– Klub Pollino – powiedziała Wang Yunli. – O dziewiątej.

A potem wybuchnęła płaczem.

Amsterdam, 10 lipca

NIE BYŁA TO CHWILA, z której był dumny.

Wyświetlił portrety wszystkich swoich żeńskich podwładnych obok siebie na ekranie i próbował na nie spojrzeć oczami włoskiego mafijnego bossa.

Paul Hjelm miał oczywiście mnóstwo ważnych powodów i prawdopodobnie udałoby mu się nawet usprawiedliwić swoje postępowanie przed całą salą radykalnych feministek. Niemniej odczuwał moralną dwuznaczność przyjmowania perspektywy, która w każdej chwili mogła zdominować świat, perspektywy władzy, perspektywy uprzedmiotowienia. Perspektywy, która zmieniała ludzi w rzeczy.

Krótko mówiąc: która z nich była najbardziej seksowna?

Było ich pięć. Jutta Beyer, Miriam Hershey, Laima Balodis, Corine Bouhaddi i Donatella Bruno.

Wszystkie były atrakcyjne, w różny sposób, i wszystkie w kwiecie wieku. Żadna nie skończyła trzydziestu pięciu lat.

Antonio Rossi sam miał trzydzieści pięć lat, był *upcoming man* w strukturach 'ndranghety, prawdopodobnie Włoch z południa, zapewne z Kalabrii. Śródziemnomorski typ. Mężczyźni tego rodzaju lubili blondynki, w każdym razie jako przelotne znajome. W tej kategorii *alfons* Paul Hjelm mógł mu zaproponować Beyer i Balodis, typ północnoniemiecki i typ bałtycki.

Podczas toczącej się sprawy zbliżył się do Laimy Balodis i coraz bardziej doceniał jej osobowość. Była przecież wielką bohaterką grupy Opcop i odegrała decydującą rolę we wszystkich dużych sprawach. Poza tym cenił jej nieco bezczelne poczucie humoru, które prawdopodobnie utrzymało ją przy życiu w tym długim okresie, gdy infiltrowała rosyjsko-litewską mafię. Co również było mocnym argumentem: była doświadczoną infiltratorką. Ale – pora na perspektywę macho – czy nie wyglądała zbyt wschodnioeuropejsko? Czy była dostatecznie ładna dla eleganckiego Włocha?

Jutta Beyer potrafiła taka być, jeśli chciała, ale zawsze startowała we własnym wyścigu i zadowalała się domorosłym stylem. Nigdy nie myślała o tym, by podobać się innym. Mogłaby się sprawdzić w tej roli, ale jej umiejętność bycia zawsze sobą mogła w tym przypadku stanowić wadę. Czy w ogóle byłaby w stanie zachowywać się przekonująco?

Alfons Hjelm musiał zawiesić pomysł z blondynkami.

W oczach Hjelma Corine Bouhaddi była niesamowicie pociągająca. Jednak ciemna, berberyjska karnacja i muskularne ciało ją dyskwalifikowało. Z punktu widzenia macho – tak pierwotnego, a jednak tak współczesnego – była mało interesująca. Antonio Rossi nie poświęciłby jej nawet jednego spojrzenia.

Pozostawały dwie śniade piękności. Mógł wybrać Angielkę żydowskiego pochodzenia, która była



w dodatku doświadczoną infiltratorką. Albo mógł zaryzykować i podesłać mu rodaczkę. Być może Rossi – Notus, południowy wiatr – po długim wygnaniu w północnej Europie był spragniony Włoszek.

Wyeliminował trzy poprzednie zdjęcia i zbliżył obok siebie Miriam Hershey i Donatellę Bruno.

Przeszyło go coś przypominającego porażenie prądem. To było bardzo nieprzyjemne uczucie.

Bez wątpienia były to dwie bardzo piękne kobiety. I w tej chwili obie stały się przedmiotami.

Mięsem.

Wybrał jedną z nich.

\* \* \*

Miriam Hershey siedziała przy stoliku w kącie w klubie Pollino w centrum Amsterdamu. I nie siedziała przy tym stoliku sama.

Pollino jest masywem górskim w północnej Kalabrii. Wyróżniają go przede wszystkim: bogata fauna – najdziksza we Włoszech, wilki, orły przednie, puchacze, sarny – oraz paleolityczne malowidła naskalne w jaskiniach. I w pewnym sensie jedno i drugie było reprezentowane również w tym przepelnionym klubie.

Zarówno dzikich zwierząt, jak i jaskiniowców było tu pod dostatkiem.

Hershey spojrzała na swojego towarzysza przy stoliku. Był silnym facetem. Pochyliła się i spytała:

– To prawda?

– Co?

– Że jesteś, no wiesz, hojnie obdarzony przez naturę?

– Co jest, do diabła?! – wybuchnął Marek Kowalewski i poczerwieniał.

Miriam Hershey uśmiechnęła się krzywo. I jej spojrzenie powędrowało dalej, w stronę baru. Siedziała tam Donatella Bruno w eleganckiej, letniej sukience i była uderzająco piękna. Ale wydawała się również bardzo samotna.

Była to jednak samotność z wyboru. Nie można było powiedzieć, by brakowało jej propozycji. Musiała zbywać miernych kawalerów, którzy natychmiast wydawali się utwierdzać w swoich mizoginicznych przekonaniach.

Klub Pollino był miejscem, które normalnie budziłoby w Donatelli Bruno wstręt. Ordynarny targ mięsny. Rozumiała jednak, jaką pełnił funkcję. Tutaj było to stosunkowo proste, atmosfera seksu, prosty język. Dominowało podejście *no bullshit*, które bardzo trudno było jej strawić. Lubiła złożone, niebezpośrednie akty uwodzenia. Tak, była obytą rzymską intelektualistką, a tutaj to była – no cóż – włoska wieś, a w każdym razie jej kopia, południowe Włochy, Kalabria i tak, 'ndrangheta, to było logiczne. Ale pół godziny temu minęła dziewiąta i Donatella czuła się w tej sytuacji coraz gorzej.

Długo wałkowała tę kwestię z Paulem Hjelmem. Bądź co bądź była od ponad dziesięciu lat włoską policjantką. Czy nie istniało ryzyko, że 'ndrangheta posiada dane o wszystkich włoskich policjantach? Że Antonio Rossi natychmiast wyczuje zagrożenie? Z drugiej strony pracowała tylko w Rzymie, w lokalnej

rymskiej policji, i nigdy nie miała nic wspólnego z żadnym śledztwem dotyczącym mafii. Dopóki nie przyłączyła się do grupy Opcop. Mafia nie mogła przecież znać każdego nic nieznaczącego policjanta w całym wielkim kraju. Poza tym pojawi się w przebraniu albo przynajmniej odstawiona i elegancko uczesana i Rossiemu za nic nie uda się dodać dwóch do dwóch.

Były to głównie jej własne argumenty. Bo chciała to zrobić. Miała ku temu własne, nieoficjalne powody. Prowadziła nieformalne śledztwo i po raz pierwszy nadarzała się szansa, by mogła się przyjrzeć któremuś z nich z bliska. Wysoko postawionemu członkowi organizacji, którą wszyscy z grupy Opcop uważali za 'ndranghetę. Donatella Bruno tak nie myślała. Zaczynała gromadzić dowody.

Drzwi klubu się otworzyły. Weszli dwaj Chińczycy wyglądający na twardzieli. Nie było żadnego wolnego stolika, ale usiedli bez problemu. Wybrali stolik niedaleko baru, niedaleko Donatelli Bruno. Cheng i Shuang Ricci znaleźli się zaledwie pięć metrów od niej. Siedziała ściśnięta przy barze, przed nią stało campari. Zerknęła w stronę stolika w głębi. Szybkie skinienia Kowalewskiego i Hershey. Byli gotowi.

Wtedy wszedł Antonio Rossi i jego towarzysz. Ludzie rozstąpili się jak Morze Czerwone przed Mojżeszem. Mężczyźni minęli bliźniaków Ricci, nie poświęcając im nawet jednego spojrzenia, i podeszli do baru. Przystanęli jakieś cztery metry od Donatelli Bruno i barman natychmiast przyjął od nich zamówienie.

To było przedziwne zjawisko. Że też tak łatwo było zauważyć, z kim nie należy zadzierać. To się zawsze odbywało podobnie, we wszystkich kręgach. Bar znalazł się w wyraźnej dla wszystkich strefie przejściowej między światem przestępczym a zwyczajnym światem. Nikt nie mógł tego przeoczyć i nikt nie chciał się tam znaleźć.

Ale właściwie klub Pollino był tylko przejaskrawioną wersją świata.

Rossi i jego kolega dostali po piwie. Tylko tyle. Piwo. Najwyraźniej nie przyszli do klubu Pollino, żeby się upić. I dało się to również odczuć po spojrzeniu, jakie Antonio Rossi posłał Donatelli Bruno. Było ostre jak nóż.

Od dłuższego czasu jej puls był przyspieszony, serce zaczęło bić szybciej, gdy weszli bliźniacy, a teraz chyba szybciej już nie mogło. Nie przeszkodziło jej to jednak w przywołaniu uśmiechu na usta. Miała nadzieję, że był olśniewający.

Przywołał ją do siebie. W normalnych okolicznościach za coś takiego obsypałaby go gradem obelg. Ale to nie była zwyczajna sytuacja. Ani trochę nie była zwyczajna.

Gdy tylko ją przywołał, kilkanaście osób odsunęło się na metr od baru. Gdy podeszła do niego przez tę nagłą wyrwę w ludzkiej tkance, przejście znów się zamknęło, jakby to było coś zupełnie naturalnego.

Stała oko w oko z najwyższym postawionym mafijnym bossem, jakiego dotąd widziała, choćby tylko na zdjęciu.

– Włoszka? – spytał obojętnie.

Uśmiechnęła się.

– Jak się domyśliłeś?

– Co tutaj robisz?

– Dostałam roczne stypendium artystyczne w Amsterdamie. A ty?

Zbyt odważne pytanie. Nie, raczej naturalne. Ale czy on był przygotowany na naturalne pytania?

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Miał wilczy uśmiech.

– Interesy – odparł. – Owoce południowe.

Roześmiała się. To się stało spontanicznie. Nie powinno się było stać.

– Od dawna nie słyszałam tego określenia – powiedziała przepraszająco.

– Jest absurdalne – przyznał i znów obdarzył ją wilczym uśmiechem.

Bruno mimochodem rozejrzała się po lokalu. Hershey siedziała sama przy stoliku. Przyszła pora.

Nie, wcześniej jej serce nie biło tak szybko, jak mogło. Ale teraz tak.

W głębi lokalu nagle coś eksplodowało. Bliźniacy Wang się zerwali, wsunęli ręce pod dzinsowe kurtki, Rossi i jego towarzysz spojrzeli w tamtą stronę i gdy długie serpentyny powoli pozęgłowały w stronę stolika w głębi lokalu, Donatella Bruno zdążyła wysunąć z kieszeni małą próbkę i szybko wlać płyn do kufła Rossiego. Ludzie siedzący przy tym stoliku byli pijani – właśnie dlatego Kowalewski go wybrał – i chichocząc, zaczęli rzucać serpentyny; szybko rozprzestrzeniły się po całym lokalu. Bliźniacy usiedli, Rossi znów odwrócił się do Bruno.

– Ale się tu dzisiaj dzieje – zauważył. – Często tu przychodzisz?

– Czasami – odparła Donatella Bruno.

– I co? Dobrze jest? – spytał.

Pij piwo, pomyślała Bruno i uśmiechnęła się słodko. Pij, kurwa, to piwo.

– Co masz na myśli? – spytała. – A w ogóle, jak ci na imię?

– Luigi – powiedział Antonio Rossi. – A ty jesteś...?

– Maria – odparła Donatella Bruno. – Na zdrowie, Luigi.

Wzniesli toast, Bruno wypila swoje campari, Rossi pół kufła piwa. Nie wiedziała, czy wypił mikrochip.

– No i? – spytał i utkwiał w niej bystre spojrzenie.

– Co? – spytała.

– Dobrze jest?

– Czasami – odparła defensywnie i uśmiechnęła się.

– Opisz to trochę dokładniej – poprosił z wilczym uśmiechem.

– Skończyło mi się campari – oświadczyła. – Proponuję, żebyś zamówił mi nowe, a ja pójde przypudrować nosek. Co ty na to?

– Z wielką przyjemnością – odparł szarmancko Antonio Rossi.

Bruno wstała i powoli ruszyła w stronę toalety. Gdy już tam dotarła, wyjęła komórkę, która wcale nie była komórką, i spytała:

– No i?

– Poczekaj – szepnęła Hershey. – Właśnie zamawia.

– Wypił?

– Jeszcze nie. Właśnie podchodzi do niego jakaś dziewczyna. O, wygląda na to, że jest nią bardzo zainteresowany.

– Nikt tu nie idzie? Bracia Wang?

– Nie. Teraz.

– Teraz?

– Tak, teraz dopił piwo. Do końca. Odbiera kolejny kufel, daje twoje campari swojej nowej znajomej i coś do niej szepcze.

– Pewnie „i co, dobrze jest?” – stwierdziła Donatella Bruno. Otworzyła drzwi toalety i tylnym wyjściem wyszła w amsterdamską noc.

Oddaliła się stamtąd prawie biegiem.

Haga, 12 lipca

PROPORCJE, POMYŚLAŁ ANGELOS SIFAKIS, rozglądając się po Nowej Katedrze. Z przodu, przy podwyższeniu, przeprowadzano właśnie techniczną diagnostykę i jako najbardziej uzdolniony technicznie członek grupy Opcop w normalnych okolicznościach by tam podbiegł i się tym zajął. Nie zrobił tego jednak. Po raz drugi był w nowej okazałej sali konferencyjnej i potrzebował czasu, by to objawienie, które przeżył pod koniec pierwszego spotkania, jeszcze bardziej się pogłębiło.

To było tak, jakby zdjęto mu przepaskę z oczu.

Wszystko było kwestią proporcji. Dwie pozornie identyczne sale wywierające zupełnie różne wrażenie, a wszystko sprowadzało się do tak drobnych niuansów, że ledwie można je było dostrzec.

To było jak dwie wersje Europy. W jednej panował pokój, wspólne spojrzenie, wolna, inteligentna debata, humanitarne podejście do uchodźców, pewna wiara w przyszłość, świadome podejście do kwestii środowiska, solidarność ze słabszymi, klimat społeczny pozwalający na powstawanie nowych idei.

Druga wersja wyglądała dokładnie tak samo, tyle tylko że proporcje były trochę wykrzywione. Panował klimat agresywnej debaty, ciągła nienawiść i frustracja z powodu utraconych przywilejów, z cudzoziemców robiono kozły ofiarne, zagrożenie dla środowiska ignorowano jako teorie spiskowe, słabi sami byli sobie winni, a nowe idee nie były już możliwe.

To była kwestia proporcji, nic więcej.

Wtedy z przodu uporano się ze sprawami technicznymi i Paul Hjelm powiedział:

– Blip w ruchu.

Ponieważ w Nowej Katedrze nie zebrało się zbyt wiele osób, nie można było powiedzieć, że wszyscy się na niego gapią, ale prawie.

W końcu na dużym zwisającym spod sufitu ekranie pojawił się obraz, który miał towarzyszyć tej zagadkowej wypowiedzi; był odwzorowaniem tego, co widniało na elektronicznej tablicy w otwartym pomieszczeniu biurowym. Widać było na nim czerwoną plamkę poruszającą się po mapie. Albo innymi słowy: blip w ruchu. Hjelm ciągnął:

– Po tym jak Antonio Rossi przedwczoraj połknął mikrochip, pospiesznie i bynajmniej nie sam odwiedził pewien pokój hotelowy w pobliżu klubu Pollino, później zaś przebywał w budynku Notus Imports w Oud-Zuid. Jednak teraz to się zmieniło. Porusza się, według naszych obserwatorów z Oud-Zuid, samochodem i z ochroniarzami, kierunek zaś wskazuje na lotnisko Schiphol.

– *Shit* – powiedział Marek Kowalewski. – Mamy dojsście.

– W najlepszym wypadku tak – odparł Hjelm. – Całkiem niewykluczone, że doprowadzi nas do tajnej

siedziby 'ndranghety. Gdy tylko Rossi wróci do Włoch, a komisarz Unii Europejskiej wygłosi swoje przemówienie, uderzymy. Do tego czasu będziemy kontynuować obserwację Vlada, Cipriana i Silviu. Następnie rozbijemy szajkę żebracką znad Lauriergracht i aresztujemy doktora Jaapa Van Hoensbroecka. Gotówkę zabrano z magazynu i dzięki niej poznamy zawile ścieżki prania pieniędzy.

– Kto z nas ma wziąć udział w jutrzejszej operacji w Brukseli? – spytała Laima Balodis.

– Tak, przyszła pora na to pytanie – stwierdził Hjelm. – Przygotowania do ochrony placu Schumana pod budynkiem Berlaymont w Brukseli dobiegają końca. Weźmie w tym udział stu dwudziestu policjantów, w większości specjalistów od ochrony. Nie pozostał ani jeden zakątek placu, z którego można by dokonać zamachu. Wszystko jest świetnie zabezpieczone.

– Przed Asterionem? – spytała sceptycznie Donatella Bruno.

– Wiem. Dlatego chcę, żeby jak najwięcej z nas było obecnych na placu Schumana. W związku z tym zrobimy spotkanie dziś wieczorem, kiedy wszyscy tu będą. W każdym z obserwowanych miejsc musimy zostawić jedną osobę, to wystarczy. Adrian zostanie i będzie miał na oku Lauriergracht, sądzę też, że ty, Donatello, masz na razie dość silnych wrażeń. Mogłabyś jutro przejąć obserwację Notus Imports?

Donatella Bruno uśmiechnęła się słabo i kiwnęła głową.

– Ktoś tam będzie? – spytała.

– Nie wiemy tego – odparł Hjelm. – Możliwe, że ta obserwacja też dobiega końca.

– Zbliżamy się do kresu drogi – stwierdził filozoficznie Sifakis i przyjrzał się proporcjom Katedry.

Na tym spotkanie się zakończyło. Członkowie grupy Opcop się rozeszli. Zostali tylko Hjelm i Sifakis.

– Przecież to jasne, że Huntington ma jakiegoś asa w rękawie – powiedział Sifakis.

– Wiem – przyznał Hjelm. – Ale co, u diabła, możemy zrobić, oprócz tego, że wszystko sprawdzimy i wszystko obsadzimy ludźmi?

– Zmienić miejsce? – podsunął Sifakis. – Zaplanować wszystko w zupełnie innym miejscu i w ostatniej chwili poinformować prasę o zmianie lokalizacji na inną, w pobliżu tej pierwszej?

Hjelm uśmiechnął się słabo.

– A jak myślisz, co zrobiliśmy?

Sifakis wybuchnął głośnym śmiechem.

– To takie wspaniałe uczucie, że konsekwentnie uwzględniasz w planach swojego zastępcę.

– To była ściśle poufna decyzja sześciu komendantów policji – odparł Hjelm. – I teraz też nie mogę o tym mówić.

– Coś jeszcze?

– Marianne Barrière będzie stała za kuloodporną szybą w bezpiecznym budynku. Wystąpienie pod gołym niebem było zbyt ryzykowne. Duża sala koncertowa z bardzo ograniczoną liczbą wejść. Zadowolony?

– Teraz już bardziej – odparł Angelos Sifakis.

Sifakis opuścił Nową Katedrę. Hjelm jeszcze trochę został. Przyszła pora na małą podróż za granicę.

Kiedys pewnie będzie miał czas, by wykorzystać wszystkie te punkty, które nazbierał w różnych liniach lotniczych, ale jeszcze nie teraz, może w innym życiu. Przyglądał się, jak ekran podejżdża pod kasetonowy sufit i w końcu chowa się w dziwnie małej obudowie.

Na spiralnych schodach prowadzących do otwartego pomieszczenia biurowego nagle ogarnął go niepokój. A co, jeśli robili to wszystko, żeby ich zmylić? Co, jeśli Antonio Rossi wcale nie jest w drodze na lotnisko?

Na najbliższym biurku stał komputer; Hjelm nie zastanawiał się czyj. Otworzył mapę. Czerwona plamka z całą pewnością poruszała się w stronę Schiphol, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Tylko Paul Hjelm zaczynał tracić rozum, kiedy rozmyślał o wszystkich ścieżkach, którymi toczyło się to śledztwo.

Z pełnym autoironii uśmiechem zamknął okno z mapą i jego oczom ukazał się jakiś dokument. Odruchowo przeczytał fragment i się zdumiał. Ujrzał nazwisko, którego nie widział od bardzo dawna, potem drugie.

Podniósł wzrok i zobaczył Donatellę Bruno wracającą z damskiej toalety. Szybko odszedł od komputera, zatrzymał ją i jakby mimochodem spytał:

– Masz ochotę zajrzeć na chwilę do mojego gabinetu?

– Wszystkim dziewczynom tak mówisz? – zapytała Donatella Bruno.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Hjelm usiadł ciężko przy swoim biurku.

– Prowadzisz nieoficjalne śledztwo? – spytał.

Spojrzała na niego i zmieszana zerknęła przez ramię na otwarte pomieszczenie biurowe. Zobaczyła, że jej komputer jest włączony.

– Widziałem dwa nazwiska, które się przewijały tu i ówdzie – ciągnął Hjelm. – Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac. Nasi koledzy, którzy zginęli.

– To tylko włoskie śledztwo – odparła Bruno.

– Nie – pokręcił głową Hjelm. – To nie tylko włoskie śledztwo. Czytałem je tyle razy, że krwawiły mi oczy, a krew mieszała się z łzami. Zgadza się, są tam te materiały, ale jest tam też o wiele, wiele więcej.

– Sprawdzam niektóre rzeczy w wolnym czasie – odparła wymuszonym tonem Bruno. – Nie robię nic niezgodnego z prawem.

– O nic cię nie oskarżam – odparł Hjelm. – Chcę tylko wiedzieć, czym się zajmujesz. I czy to ma jakiś wpływ na nas i na naszą sprawę.

Bruno przysunęła sobie krzesło dla gości i usiadła. Wydawała się zaszczuta. Jakby została przyłapana na czymś bardzo wstydlwym i gorączkowo szukała jakiegoś usprawiedliwienia.

– Po prostu mi opowiedz – powiedział Hjelm swoim najbardziej ojcowskim głosem.

– Zawiozłam ich do niezarejestrowanego samochodu w tajnym miejscu pod Rzymem – powiedziała Bruno. – Nie tylko pozwoliłam im odjechać na pewną śmierć, ale jeszcze ich w tym utwierdzałam, zachęcałam.

– To tylko i wyłącznie moja wina – powiedział Hjelm. – To ja umrę z tym poczuciem winy. Nigdy mnie nie opuści.

– Są pewne rzeczy, które się nie zgadzają – powiedziała Donatella Bruno zupełnie innym głosem. Pewniejszym, dobitniejszym.

– Co? – spytał Hjelm, również innym głosem.

– Nie jestem pewna, co się stało w tym zamczku w Bazylikacie.

– To przecież oczywiste. Il Sorridente i Il Ricurvo, członków 'ndranghety, którzy zawiedli, wysadzono w powietrze w tym zamczku razem z Tebaldim i Potorac. Potwierdziły to wszystkie badania DNA. Potorac wysadzono w powietrze najpierw, mniejszym ładunkiem wybuchowym, potem Tebaldiego, większym. Następnie zameczek spłonął, ponieważ parter nasączono bezwonnym, łatwopalnym paliwem. Bomba, która zabiła Tebaldiego, była przyklejona do ciała Il Sorridente. Il Sorridente i Il Ricurvo też wylecieli w powietrze, ale wtedy byli już martwi. W spalonym zamczku nie znaleziono żadnych innych śladów DNA. *End of story.*

– Nie, jeśli wczytasz się dokładnie – powiedziała Bruno. – Hipoteza, że Potorac wysadzono wcześniej, opiera się tylko na małej próbce DNA znalezionej w pobliżu miejsca, gdzie wybuchła pierwsza, mniejsza bomba. Po Tebaldim pozostały podobnie drobne ślady DNA.

– W zamku wybuchł potężny pożar – stwierdził Hjelm. – Naprawdę potężny. Widziałem zdjęcia. Wnętrze zamczku było kompletnie spalone. Została czarna dziura.

– No to skąd wiadomo, że Il Sorridente i Il Ricurvo byli już martwi? Na ciele Il Sorridente była przecież jeszcze większa bomba. I skąd wiadomo, że ją tam umieszczono? I była po prostu „przyklejona”?

Hjelm spojrział na zegar i zamrugął oczami.

– Wkrótce będziemy musieli dokładniej o tym podyskutować. Teraz nie zdążę. Muszę wyskoczyć za granicę. Masz jakąś puentę, hipotezę?

– Materiały ze śledztwa są tak niekonsekwentne, że ręce mi opadają – powiedziała Bruno. – Ale widać to tylko wtedy, kiedy czyta się bardzo dokładnie.

– Hipoteza? – powtórzył Hjelm.

Donatella Bruno westchnęła ciężko i zebrała się w sobie.

– Sądzę, że Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac nie zginęli w tym zamczku. Uważam, że zabrała ich mafia.

– Do kurwy nędzy! – krzyknął Hjelm i zerwał się. – Myślisz, że żyją?

– Minęły ponad dwa lata – odparła Bruno. – Bardzo w to wątpię. Ale nie zginęli tam. Te ślady DNA musiały być podrzuczone.

– I czemu by to miało służyć?

– A co nowego się wtedy wydarzyło? W Europolu właśnie pojawiła się nowa, tajna jednostka operacyjna. Oczywiście chcieli się o niej więcej dowiedzieć.



– O Opcop? Chcesz powiedzieć...?

– Tak. Jeśli mam rację, przez cały czas mają nas na oku.

– O ile wcześniej nie byłem sceptycznie nastawiony, o tyle teraz zdecydowanie jestem – powiedział Hjelm. – Jeśli prowadząc prywatne śledztwo, dotarłaś do tak drastycznych wniosków, musisz przecież wiedzieć, że to w ogromnym stopniu wpływa na naszą obecną sprawę. Cholera, w ogromnym! Próbują zamordować komisarz Unii Europejskiej i udaremnić ważną międzynarodową ustawę. Nigdy nie zasłibiśmy tak daleko w tym śledztwie, gdyby mieli nas na oku. Nie kupuję tego. I gdybyś sama w to wierzyła, powiedziałaabyś mi o tym na samym początku.

– To wszystko tylko poszlaki – powiedziała bezradnie Bruno. – Nie mam żadnego dowodu.

Hjelm usiadł i przymknął oczy. Ścisnął grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, skrzywił się.

– Kiedy tylko to się skończy, musisz przejrzeć razem ze mną cały materiał. Czy uważasz, że to ma jakiś wpływ na ochronę Marianne Barrière w Brukseli?

– Nie – odparła Bruno. – Zgadzam się z tobą. Próbowali, ale im się nie udało. Fabio i Lavinia milczeli, w przeciwnym razie coś byśmy zauważyli, w ten czy inny sposób. Byli torturowani, niczego nie zdradzili, zginęli. Właściwie najbardziej interesuje mnie to, jak można było tak mocno sabotować policyjne śledztwo.

– I masz jakieś przypuszczenia?

– Fabio wspominał mi o czymś. O plamach po kawie. Jeśli na jakichś ważnych dokumentach była plama po kawie, to w całej tej atmosferze zdrady stanowiło to potwierdzenie, że są autentyczne. Myślę, że „Fusiarz”, jedyny, któremu Tebaldi ufał, zdradził go.

– To wszystko?

– Jest jeszcze jedna sprawa, ale nie wiem, czy odważę się o tym wspomnieć.

– Naprawdę muszę już iść. Będziemy musieli odłożyć tę rozmowę na później. Ale powiedz chociaż, o co chodzi.

– Uważam, że to nie jest 'ndrangheta.

– Dobra, lecę – powiedział Hjelm. – Wezwij Balodis.

Paryż, 12 lipca

W DWUPOZIOMOWYM MIESZKANIU przy Avenue Montaigne nastały gorączkowe dni. Dopiero co zaczęły się wakacje, troje nastolatków bardzo niechętnie opuszczało swoje pokoje i porozumiewali się głównie za pomocą gardłowych dźwięków zrozumiałych jedynie dla im podobnych. Ich matka, Angelique Cocheteux, ciągle biegała do pokoi dzieci i próbowała je nakłonić, żeby wyszły chociaż zjeść śniadanie. Z reguły kończyło się na tym, że zanosila je do pokoi, w których jedne krwawe gry komputerowe zagłuszały inne.

Na ich ojca, Michela Cocheteux, ta nieustanna poranna kakofonia działała uspokajająco, zwłaszcza że sam, w odróżnieniu od żony, mógł w każdej chwili wyjść.

Siedział w przestronnym gabinecie i planował dzień, ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad paryskimi dachami. Był szczęśliwym człowiekiem i wiedział o tym. Wiedział też, że stworzenie takiego szczęścia kosztuje. Taka była w życiu rola patriarchy, wyszydzanego i zaniechanego, który jako jedyny przynosi do domu pieniądze. Uśmiechnął się.

Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatni raz się uśmiechał. Jego praca wkroczyła w krytyczną fazę, bardziej krytyczną, niż mógłby przypuszczać, gdy zaproponowano mu prestiżowe stanowisko dyrektora naczelnego renomowanej firmy Entier SA, jednego z najjaśniej lśniących klejnotów w koronie francuskich przedsiębiorstw. Nikt nie mógłby się spodziewać, że przemysł naftowy czeka cokolwiek innego niż wspaniałe rozwój. Istniało co prawda zagrożenie, że światowe zasoby ropy będą się kurczyć, ale z jednej strony nie do końca w to wierzył – był przekonany, że na świecie wciąż jest wiele nieodkrytych złóż – z drugiej zaś była to odległa przyszłość, w której na pewno już od dawna nie będzie dyrektorem. Nigdy by się nie domyślił, że zagrożenie może przyjść od wewnątrz. Z Europy, z Unii Europejskiej.

Unia Europejska powstała oczywiście jako pokojowy projekt, w czasach gdy pamięć o nieustannych wojnach targających kontynentem wciąż była żywa, ale nikt z jego otoczenia nie wątpił, że obecnie Unia jest organizacją promującą przedsiębiorstwa, przede wszystkim ekonomicznym zrzeszeniem państw, które nieustannie pracowały nad tym, by zminimalizować własne znaczenie i wyprzedać własność ludziom znającym się lepiej na tym, jak nią zarządzać. Wojny należały już do przeszłości, rewolucjoniści zostali pokonani, a w polityce chodziło tylko o to, by utorować drogę firmom. To firmy były przyszłością świata. Firmy wiedziały, jak nim rządzić.

Wszystko to było do tego stopnia oczywiste, że nie uwierzył pierwszym pogłoskom o szykującej się unijnej ustawie mającej ograniczyć motoryzację. Wszyscy wiedzieli, że byłoby to nierealistyczne. Wprawdzie przemysł motoryzacyjny pracował nad tworzeniem coraz efektywniejszych silników

spalinowych, ale miało to zostać zrekompensovane nieustannie rosnącą liczbą pojazdów. Nikt na serio nie brał pod uwagę, że kiedyś największe koncerny świata będą miały problemy ze znalezieniem zbytu na swoje produkty.

Pogłoski stały się jednak coraz bardziej uporczywe i w końcu dotarły do zarządu. Zarząd nie był zadowolony, uważał, że należy coś z tym zrobić.

Michelowi Cocheteux, doktorowi ekonomii z Sorbony i dyrektorowi naczelnemu Entier SA, trudno byłoby opisać obecną strukturę akcjonariatu. Właścicielami były konsorcja, banki inwestycyjne, podmioty *private equity*, stowarzyszenia kapitału ryzyka i niełatwo było dojść do tego, kto tak naprawdę jest właścicielem. Niezbyt się tym przejmował – oczywiście z wyjątkiem własnej pokaźnej liczby akcji i opcji – ponieważ zaproponowano mu tę posadę, by wykonał robotę, i to właśnie zamierzał zrobić. Zwłaszcza że wspomniani akcjonariusze wywierali na niego naciski poprzez zarząd.

Potrzebował pomocy w zbadaniu, o co właściwie chodzi w tych plotkach. Doradzono mu dobre firmy ochroniarskie i skontaktował się z jedną z nich. Nazywała się Asterion Security Ltd. i cieszyła się doskonałą reputacją w świecie biznesu. Ci ludzie potrafili załatwić powierzone im sprawy. Michel Cocheteux spotkał się z dyrektorem Asteriona, twardym Amerykaninem o nazwisku Christopher James Huntington. Huntington miał mu przedstawić raport i zaproponować odpowiedni pakiet środków zaradczych.

Uwinał się z tym szybko. Raport był alarmujący. Faktycznie szykował się projekt ustawy i miało to nastąpić w bardzo niedalekiej przyszłości. Michelowi Cocheteux trudno było uwierzyć w słowa Huntingtona. Samochody z napędem elektrycznym. Nowy rodzaj samochodów elektrycznych, które miały stanowić podstawę przyszłego zakazu używania pojazdów z silnikami spalinowymi w europejskich miastach. Najgorsze było to, że wspomniane silniki elektryczne mogły być wykorzystywane również w ciężarówkach, statkach, a w dalszej perspektywie nawet w samolotach.

– Chodzi o akumulatory – powiedział Huntington.

– Akumulatory?

– Prowadzą nad nimi badania. Nie wiemy jeszcze jak ani gdzie, ale dowiemy się tego, to jeden z proponowanych środków zaradczych w ramach przedstawionego pakietu.

– Potrafilibyście powstrzymać ten projekt ustawy?

– To by wymagało ogromnych nakładów, ale tak, tak sądzimy. Za projektem ustawy stoi komisarz UE ds. środowiska, Francuzka o nazwisku Marianne Barrière.

Marianne, pomyślał Michel Cocheteux. Przyszło mu do głowy słowo, o którym nie myślał od bardzo dawna – „Minou” – i możliwe, że się zarumienił. Huntington zapewne to zauważył, bo spytał:

– Zna pan tę damę?

Michel Cocheteux nagle powrócił pamięcią do najbardziej hedonistycznych lat swojej młodości. W jego wyobraźni rozgrywało się wiele scen.

– Tak – odparł. – I tak, właśnie w ten sposób.

Później nie spotykał się już z Christopherem Jamesem Huntingtonem. Doszli do porozumienia, że tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. A teraz znajdował się w śniegowej kuli, która toczyła się coraz szybciej i stawała się coraz większa i większa.

Stwierdził, że tylko przed południem ma pięć spotkań, z ponurym grymasem zerknął na swojego rolexa, spakował do aktówki najważniejsze dokumenty na dziś i zajrzał do pokoju najstarszego syna. Wydawało mu się, że to tam ostatnio słyszał żonę. Siedzieli oboje na łóżku syna i grali w jakąś grę komputerową, w której ciągle spadały głowy.

– To tylko zombi, tato – wyjaśnił mu syn jakiś tydzień temu.

– Wychodzę już! – zawołał Michel Cocheteux. – Na razie.

Żona i syn pomachali mu, nie podnosząc głów znad gry, i Michel wyszedł na klatkę schodową.

Zgodnie ze swoim nawykiem, zamiast użyć windy, ruszył schodami. Schody prowadzące z nieba pod ziemię, jak zwykł żartować. Prężnym krokiem skierował się do imponującego porsche cayenne turbo S. Ale stali tam jacyś ludzie. To się nie zgadzało. Nikt nie mógł wejść do tego garażu.

Michelowi Cocheteux nie przyszło do głowy, że powinien się bać. Aż do chwili gdy obie osoby się odwróciły. Był prawie pewny, że zobaczył broń w ich rękach.

Nie zdążył nawet krzyknąć.

Upuścił aktówkę. Otworzyła się. Papiery wysypały się jak w zwolnionym tempie. Ważne papiery.

Otworzył usta. Wiedział, że już jest martwy.

Wtedy odezwał się mężczyzna, który wcale nie trzymał w ręce broni, tylko notes:

– Chcielibyśmy porozmawiać z monsieur Cocheteux.

Porozmawiać, pomyślał Michel Cocheteux i poczuł, że blednie. Porozmawiać.

– Nazywam się Karlsson – powiedział mężczyzna.

– A ja Abromaite – powiedziała kobieta.

Bruksela, 13 lipca

GDY GRUPA OPCOP przybyła do sali koncertowej, byli tam tylko oni. To był świadomy wybór. Zegar wskazywał piątą rano, dopiero co zrobiło się widno. Paul Hjelm spotkał się z nimi przy głównym wejściu i poprowadził ich przez duże, nowoczesne foyer do wejścia na salę po lewej stronie. Powędrowali gęsiego przejściem w stronę sceny, spojrzeli na miejsca na parterze, których było około pięciuset, i w górę, na dwa rzędy balkonów. Pomieszczenie wyglądało jak tradycyjna sala koncertowa, architektonicznie dość prosta, zaprojektowana dla najlepszej możliwej akustyki.

Głęboką scenę – gdzie zmieściłaby się pełna orkiestra symfoniczna – ograniczała dziwna szklana klatka złożona z czterech wysokich szyb. W klatce znajdowała się mównica.

Tuż poniżej, przed pierwszym rzędem miejsc na parterze, stała jeszcze jedna prowizoryczna mównica. Na skraju sceny równie prowizorycznie zamontowano wielki ekran. Hjelm podszedł tam i otworzył laptop. Obraz z laptopa pojawił się na wielkim ekranie.

– Kuloodporne szyby zamontowano wczoraj – powiedział Hjelm – i ponoć są najlepsze na rynku. Niemniej istnieje oczywiście specjalna broń snajperska, nie wspominając nawet o amunicji przeciwpancernej czy działach bezodrzutowych, która może je przebić. Należy więc pokryć wszelkie możliwe pozycje snajpera. To jest oczywiste. Potem mamy też transport w obie strony. Kiedy oficjalna unijna limuzyna będzie jechała z budynku Berlaymont, Marianne Barrière zostanie tu przywieziona osobiście przeze mnie i przez Balodis moim samochodem. Wprowadzimy ją wyjściem awaryjnym na tyłach, tym od strony łóż. Są jeszcze trzy wyjścia awaryjne, dwa z foyer i jedno na górze z balkonów, do tego dwa wejścia na scenę, dwa wejścia dla personelu i kłapa na dach. Włącznie z głównym wejściem mamy więc dziesięć wejść do budynku. Widzicie to tutaj na planie. Spośród nich wejścia na scenę i wejścia dla personelu są zablokowane. Wszystkie sześć pozostałych wejść będzie silnie strzeżonych przez umundurowanych funkcjonariuszy służb bezpieczeństwa. W ogóle cała ochrona będzie w mundurach, żeby ułatwić identyfikację. To oznacza, że *jako jedyni* w budynku będziemy policjantami po cywilnemu. Jeśli wyczujecie, że jest tu ktoś jeszcze, *nie będzie* to policjant. Dostaniecie też wyraźne identyfikatory do przypięcia do ubrania, żeby policjanci w mundurach mogli was rozpoznać.

– Co jest pod i nad sceną? – spytała Jutta Beyer.

– Dowiedziałem się, że otwarta przestrzeń nad sceną nazywa się nadsceniem. Nic tam nie ma, z wyjątkiem reflektorów i tym podobnych rzeczy. Wszystkie prowadzące tam drabinki zostały zdemontowane; w tej chwili nie można się tam dostać. Pod sceną znajduje się natomiast zamknięte pomieszczenie z luką w podłodze, z której ktoś może wyjść. To pomieszczenie, do którego dochodzi się schodami z zaplecza za kulisami, będzie silnie strzeżone. I będzie się też tam znajdować jedno z was.

– Pozostałe pomieszczenia? – spytała Corine Bouhaddi.

– Kilkanaście łóż i pomieszczenia za sceną. Na górze, przy balkonach, znajduje się pomieszczenie techniczne, głównie sprzęt elektryczny, oraz kanciapa na przybory do sprzątanania, nic poza tym. Na dole, po prawej stronie sali, też jest jedno pomieszczenie techniczne. Technik dźwięku siedzi jednak na sali, niedaleko wejścia po prawej. Potem mamy jeszcze oczywiście kilka pomieszczeń w foyer, szatnie, toalety, pokoje administracyjne. Ale tu na sali jest niewiele miejsc, w których można się ukryć. Najwięcej pomieszczeń jest za sceną. Pozostałego personelu będzie niewiele, belgijska policja zajmie się kontrolą akredytacji prasowych oraz obsługą przenośnych wykrywaczy metalu i wykrywaczy rentgenowskich; o sprzedaży biletów oczywiście nie ma mowy. Technik dźwięku jest jeden, poza tym czterech tak zwani gospodarze imprezy z sali koncertowej zarządzają rozmieszczeniem kamer telewizyjnych i fotografów, na miejscu będzie też dwóch techników scenicznych. Wszystkie osoby z personelu sali koncertowej będą nosiły czerwone T-shirty z wyraźnym logo.

– Chyba najbardziej prawdopodobne jest to, że spróbują się tutaj dostać przebrani za dziennikarzy? – spytała Miriam Hershey.

– Zgadzam się z tobą – odparł Hjelm. – Impreza zaczyna się o jedenastej, policja zostanie poinformowana o zmianie miejsca o ósmej, prasa o dziesiątej. Asterion będzie miał godzinę na zmianę planów. Co osiągnęliśmy, przenosząc się tutaj? Jeśli nie doszło do żadnego przecieku, nie umieszczą tutaj wcześniej żadnego płatnego mordercy ani ładunków wybuchowych. Niemniej my, krajowa policja i grupa psów wyszkolonych do szukania materiałów wybuchowych przetrząśniemy każdy milimetr tych pomieszczeń.

– Kto mógłby być źródłem przecieku? – spytał Marek Kowalewski.

– Nas dziewięcioro – powiedział Hjelm i przez chwilę w milczeniu przyglądał się swojej jednostce. A potem dodał: – Poza tym dyrektor Europolu oraz krajowi komendanci policji z Holandii, Belgii, Francji i Niemiec. Nawet Bruno i Marinescu nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

– Ale mundurowi dostaną wiadomość o ósmej? – spytał Arto Söderstedt. – Chyba to jest dla nas największe ryzyko przecieku?

– To oczywiste – zgodził się Hjelm. – W takim wypadku Asterion będzie miał trzy godziny zamiast jednej. Nie zmienia to jednak w radykalny sposób naszych założeń. To była najpóźniejsza pora, do jakiej udało mi się nakłonić krajowych komendantów policji.

– Ile osób z prasy? – spytał Angelos Sifakis.

– Wejść będą mogli tylko wcześniej zgłoszeni dziennikarze – odpowiedział Hjelm. – Kiedy ostatni raz sprawdzałem, było ich trzystu osiemdziesięciu z całej Europy, a ta liczba z całą pewnością jeszcze wzrośnie. Prawdopodobnie sala będzie wypełniona po brzegi. Rozeszła się plotka, że ma się wydarzyć coś wyjątkowego.

– Ten cały spin doktor wykonał świetną robotę z prasą – stwierdziła Laima Balodis. – Ale nam utrudnił życie.

– Nie będzie żadnych dziennikarzy na balkonach? – spytał Felipe Navarro.

– Nie – powiedział Hjelm. – Balkony są do obserwacji. Dwoje z was będzie siedzieć na górze z lornetkami. I kilku mundurowych. A tak à propos, kamizelki kuloodporne niedługo dojadą.

– No to teraz powiedz, jak się podzielimy – poprosił Söderstedt.

Hjelm wciągnął powietrze i odparł:

– Ja i Balodis pojedziemy z Barrière pod tylne wyjście awaryjne. Wprowadzimy ją na scenę i do szklanej klatki. Potem Balodis wraca na zaplecze za kulisami i razem z Bouhaddi ma na oku lożę. Za lożami są schody prowadzące na dach i Bouhaddi odpowiada również za samo wyjście na dach, natomiast Balodis za zejście schodami do pomieszczenia pod sceną. Ja sam będę na scenie i będę miał widok na salę, na której znajdują się Sifakis i Navarro, Sifakis po lewej, Navarro po prawej, patrząc od widowni. Kowalewski i Hershey zajmą się balkonami, Kowalewski górnym, Hershey dolnym. Söderstedt pilnuje foyer i obu wyjść awaryjnych, a Beyer odpowiada za krytyczne pomieszczenie dokładnie pod sceną.

– Bo się przyzwyczaiałam do ciasnych, ciemnych pomieszczeń? – mruknęła Jutta Beyer.

Hjelm całkowicie ją zignorował i wskazał na ekran.

– Ponieważ mamy silną ochronę mundurowych przy wszystkich wyjściach awaryjnych i oczywiście przy głównym wejściu, Söderstedt musi poradzić sobie sam w foyer, ale mimo wszystko powinniśmy mieć na oku przejście awaryjne, które prowadzi stromymi schodami od balkonów na ulicę, pod foyer. Dlatego pozwoliłem sobie wezwać dodatkowy personel. Tym wąskim przejściem zajmie się Kerstin Holm. Zjawi się wkrótce. Jakies pytania?

Nie było żadnych pytań.

I ani jednej odpowiedzi.

\* \* \*

Marianne Barrière siedziała skupiona i milcząca na tylnym siedzeniu. Zapatrzyła się na to dziwne miasto, które stało się stolicą Europy, symbolem Unii Europejskiej, na dobre i na złe. Paul Hjelm widział ją we wstecznym lusterku. Wydawała się spokojna i opanowana, ale rozumiał, ile się dzieje w jej głowie.

Przed chwilą przeszła przez budynek Berlaymont otoczona tak gęstym tłumem ochroniarzy, że wyglądało to, jakby połknął ją boa dusiciel. Tuż przy głównym wejściu pojawili się Hjelm i Balodis i zaprowadzili ją do garażu. Tłum ochroniarzy jak gdyby nigdy nic ruszył w stronę czekającej limuzyny i utworzył zbitą grupkę przy drzwiach pasażera. Być może zmyli to Asteriona, jeśli obserwował siedzibę Komisji Europejskiej.

Ale prawdopodobnie nie.

Przed nimi i za nimi jechały wozy z ochroniarzami, oba anonimowe i nierzucające się w oczy, tak jak samochód Hjelma, toyota prius.

– Będziemy na miejscu niecałe dziesięć minut przed twoim wyjściem na scenę – powiedział Hjelm. –

Będziesz miała jakieś pięć minut, żeby dojść do siebie w łóży. Wtedy ostatni raz sprawdzimy zaplecze, a później zaprowadzę cię na scenę. Ja i nikt inny.

– I do klatki – uśmiechnęła się krzywo Marianne Barrière.

Po kilku świadomie skomplikowanych meandrach w centrum Brukseli dotarli na miejsce. Krótka droga podjazdowa prowadząca na tyły sali koncertowej była porządnie zablokowana i mocno strzeżona. Przejechali powoli przez blokadę i dotarli pod tylne wyjście awaryjne, które również było świetnie strzeżone. Ochroniarze wyskoczyli z wozów eskorty i utworzyli mur aż do samych drzwi. Hjelm, Barrière i Balodis weszli do budynku. Czekająca na nich Bouhaddi skinęła głową.

– Łoże czyste – powiedziała i wróciła na schody prowadzące na dach. Na tym samym piętrze co górny balkon, z którego prowadziły drzwi obstawione przez Kowalewskiego, znajdowało się niewielkie pomieszczenie ze stalowymi schodami wiodącymi do kłapy w suficie. Do wejścia na dach. Pod nią stało i siedziało trzech umundurowanych, ciężko uzbrojonych francuskich policjantów z elitarnej jednostki. Niestety, ochrona była międzynarodowa, a Bouhaddi nie przepadała za francuskimi policjantami. Znowu miała pecha i zastanawiała się z lekkim rozczarowaniem, czy nie przypadła jej najnudniejsza pozycja. Tędy nikt się nie przedostanie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– A jak myślisz? – odparł jej samozwańczy przywódca Francuzów.

Właśnie przed takimi typami z francuskiej policji uciekła. Zeszła z powrotem na dół, w stronę łóż. Zajrzała do wybranej łóży. Balodis stała na straży przy drzwiach, Barrière siedziała i przeglądała papiery, Hjelm skinął głową Bouhaddi, trzymając rękę nad komórką, na którą wskazał i powiedział:

– Lauriergracht.

Bouhaddi kiwnęła głową i poszła dalej do pozostałych łóż. Hjelm wyszedł na korytarz i powiedział przez telefon:

– Dwóch?

– Tak – potwierdził Adrian Marinescu. – Właśnie się obudziłem. Mieliśmy przecież rozluźnić obserwację, więc się trochę zdrzemnąłem.

– Brakuje Vlada?

– Nie, Cipriana. Karczycha przecież czasem gdzieś wychodzą...

– Poza tym nic godnego uwagi? – spytał Hjelm.

– Nie – odparł Marinescu. – Wydają się uważać, że życie toczy się swoim zwykłym torem.

– Dobra – rzucił Hjelm. – Na razie.

Skorzystał z okazji i zadzwonił na Oud-Zuid.

– Dobrze, że się odzywasz – powiedziała Donatella Bruno. – Nie wiedziałam, czy odważę się do ciebie zadzwonić.

– Czyli w Notus Imports coś się dzieje?

– Nie wiem tylko, jak mam to interpretować – odparła Bruno. – W budynku zostali tylko bliźniacy



Wang. Prawdopodobnie ich zadanie polega na tym, by usunąć wszystkie ślady.

– I potem wrócić do Stanów Zjednoczonych albo wyruszyć za resztą do Kalabrii. Mamy tam przecież blipa w brzuchu Antoniego Rossi. No i?

– Nie jestem do końca pewna, co teraz robią – powiedziała Bruno.

– Mam strasznie mało czasu, Donatello.

– Dobra. Moja interpretacja jest taka, że przed chwilą wciągnęli do willi dwa trupy w plastikowych workach, a teraz wszystko oblewają benzyną.

– Ożeż kurwa! – wykrzyknął Hjelm. Bouhaddi wybiegła z jednej z łóż i wpatrywała się w niego.

– Wiem – powiedziała Bruno. – Co mam robić, do cholery? Lada chwila to podpałą.

– Dobra – powiedział Hjelm i gestem uspokoił Bouhaddi. – Jeśli możesz, weź samochód i jedź za nimi. Ale bądź ostrożna. I najpierw zadzwoń do straży pożarnej.

– Teraz?

Hjelm westchnął ciężko, podjął decyzję i odparł:

– Nie. Poczekaj, aż zaczną się palić.

Balodis wyjrzała z głównej łoży i wskazała na zegarek. Hjelm, zły na siebie, zakończył rozmowę. Powinien był o tym pomyśleć. Powinien był przewidzieć, że Chen i Shuang Ricci zrobią wszystko, by znów być Wangiem Chengiem i Wangiem Shuangiem.

Do kurwy nędzy, nie zamierzał im w tym przeszkadzać.

Wszedł do łoży. Marianne Barrière wstała i pozbierała swoje papiery. Uśmiechnęła się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem. Weszła Bouhaddi i powiedziała:

– Maszynista sceniczny czegoś chce.

Do łoży zajrzał bardzo zdenerwowany młody człowiek w czerwonym T-shircie i wyrzucił z siebie:

– Prosimi mnie, żebym spytał, czy podać wodę mineralną na scenę.

– Poproszę – powiedziała Marianne Barrière.

Hjelm odebrał od niego butelkę wody mineralnej, otwieracz i szklankę, po czym go przegonił. Poprowadził komisarz UE schodami prowadzącymi na scenę. Przystanęli przy dużej czarnej kurtynie. Byli tu tylko oni.

Paul Hjelm i Marianne Barrière.

– Już pora – powiedział Hjelm. – Wciąż możesz zmienić zdanie.

– Nie powiedziałaś tego – odparła Marianne Barrière i uściśnęła go.

Rozsunął kurtynę i wyszedł. Sala rzeczywiście była wypełniona po brzegi. Aparaty fotograficzne klikały jak karabiny maszynowe. Ekipa telewizyjna stała pod tylną ścianą i wzdłuż bocznych przejść. Głuchy gwar głosów, który dotarł do jego uszu, gwałtownie ucichł, gdy rozsunął kurtynę. Hjelm podszedł do szklanej klatki i otworzył drzwi. Pospiesznie rozejrzał się po ciasnym pomieszczeniu. Sprawdził każdy kąt i spojrzał w górę, na sufit sali i nadscenie. Nic. Odstawił butelkę wody na mównicę i zrobił miejsce komisarz UE do spraw środowiska. Starannie zamknął drzwi, przeszedł na bok sceny i omiótł

wzrokiem widownię. Zobaczył Kowalewskiego na górnym balkonie, Hershey na dolnym, Sifakisa i Navarro po dwóch stronach sali, Sifakisa po swojej prawej, Navarro po lewej. I mnóstwo umundurowanych policjantów o czujnych spojrzeniach.

Marianne Barrière zaczęła mówić. Ale nie wydobył się żaden dźwięk. Technik dźwięku siedział po prawej stronie od wejścia na salę, czyli dla Hjelma po lewej, na odgrodzonym miejscu obejmującym kilkanaście siedzeń. Podobnie jak wszyscy z personelu sali koncertowej ubrany był w czerwony T-shirt i gdy Hjelm spojrzał na niego ze złością, zabrał się do swojej roboty, jakby paliło mu się pod tyłkiem. Nagłośnienie zaczęło działać. Marianne Barrière powiedziała:

*– Tak, znajduję się w klatce, jak jakieś zwierzę w zoo. Jeśli dotrę do końca tego przemówienia, zrozumiecie państwo dlaczego. Do tego czasu musimy udawać, że wszystko jest jak zwykle. A więc serdecznie państwa wszystkich witam na kolejnym tradycyjnym przemówieniu komisarzy Unii Europejskiej. Miło mi widzieć więcej przedstawicieli mediów niż tradycyjną garstkę dwudziestu trochę sennych reporterów. Albo media w całej Europie przeżywają wakacyjny sezon ogórkowy, albo też obudziły się w państwie dziennikarskie instynkty. Ponieważ to jasne, że nie chodzi o tradycyjne, do niczego niezobowiązujące przemówienie jednego z polityków, których głównym celem jest dorobienie się porządnych unijnych pieniędzy i niewchodzenie w drogę niewłaściwym ludziom, polityków, którzy pragną prowadzić swoją karierę tak łatwo i bezboleśnie, jak to możliwe. Nie. Chodzi dziś o dwie ważne sprawy. Chodzi o przedstawienie nowego, unikatowego wynalazku europejskich badaczy. I o projekt ustawy, który przypomina bardzo niewiele wcześniejszych projektów ustaw w sześćdziesięcioletniej historii Unii Europejskiej. To dlatego stoję tu przed państwem, otoczona kuloodpornymi szybami. To przemówienie jest moją opowieścią o tym, jak dotarłam do tego punktu.*

Przemówienie trwało. Hjelm spojrzał ze skraju sceny na Sifakisa w przejściu, przy wyposażonym w wykrywacz metalu wejściu na salę. Sifakis rozejrzał się i zerknął przez drzwi, gdzie dostrzegł Söderstedta. Arto szedł w głąb foyer i ku swemu poirytowaniu musiał stwierdzić, że przegapił całe przemówienie. Wyjrzał przez okno na dobrze strzeżone wyjście awaryjne na dole przy kawiarence i pomachał szybko do Holm, która kiwnęła głową strażnikom i zniknęła w podziemnym przejściu. Tam przywitali ją krótko inni ciężko uzbrojeni strażnicy. Nieprzyjemne było to, że to wejście wydawało się idealne dla zamachowca. Holm dotarła do stromych schodów na balkony i najpierw zbliżyła się do dolnego z nich. Otworzyła drzwi awaryjne i spojrzała na Hershey, która odsunęła lornetkę od oczu i szybko do niej pomachała. Potem znów przysunęła lornetkę do oczu i omiotła spojrzeniem morze ludzi. Wszystko wydawało się pod kontrolą i przebiegało zgodnie z planem, ale minuty upływały bardzo powoli. Hershey skupiła uwagę na Navarro, który stał na dole, na prawo od sceny. Zobaczył to i uniósł rękę, następnie spojrzał trochę wyżej i dostrzegł Kowalewskiego w mniej więcej takiej samej pozycji bezpośrednio powyżej. Navarro też do niego pomachał, a Kowalewski, trochę poirytowany, zwrócił lornetkę w stronę drzwi w głębi, na prawo, na poziomie swojego balkonu, bo właśnie zajrzała tam Bouhaddi i zasygnalizowała mu, że wszystko jest w porządku. Następnie odwróciła się od działających

jej na nerwy francuskich policjantów i zajrzała na schody za sceną, gdzie Balodis właśnie sprawdzała pustą łóżę. Balodis skinęła jej głową i ruszyła dalej korytarzem wśród łóż. Było tam wiele pomieszczeń, niepokojąco wiele, wprawdzie skrupulatnie przetrząśniętych, ale to było wtedy, kwadrans temu, ponad kwadrans. Od tego czasu sporo mogło się zmienić. Dotarła do schodów prowadzących w dół do pomieszczenia pod sceną. Wyrzała stamtąd Beyer i wykonała pytający gest, ale Balodis dała jej znak, że wszystko w porządku, i Jutta wycofała się z powrotem w ciemność do trzech uzbrojonych niemieckich policjantów. Spojrzała w górę, na klapę pod stopami Marianne Barrière. Tu na dole, w mroku, naprawdę nic się nie działo.

I wtedy nagle usłyszała nad głową kroki biegnącego człowieka.

*– Europa składa się i zawsze się składała z mozaiki porozrzucanych pozostałości narodów, które na tyle długo żyły w izolacji, by wytworzyć własne języki. Naszą wspólną historię – która stała się wspólną, gdy udało nam się pokonać tę stosunkowo niewielką przepaść – poznały wojny. Kiedy ludzie spotykają się z nieznanym, stają się agresywni, tak uczy nas historia. Poszukujemy równowagi, poszukujemy tego ponadczasowego stanu, ale gdy udaje nam się go osiągnąć, stajemy się niespokojni. Kiedy coś się pojawia i zaburza naszą równowagę, zaburza ten ponadczasowy stan, którego wydajemy się pragnąć, przepełnia nas nienawiść. Kiedy czujemy, że ta ponadczasowość została zatracona, wybuchają wojny. Ale po tysiącletnich wojen zmęczyliśmy się nimi – absolutnie niewyobrażalne cierpienia drugiej wojny światowej pozwoliły nam zrozumieć, że nie musi tak być. Spróbowaliśmy stworzyć organizację, która miała uniemożliwić wojnę w Europie.*

Gdy Paul Hjelm spojrzał na morze ludzi, a potem na Barrière, która właśnie otwierała butelkę z wodą mineralną, z głębi jego umysłu wyłonił się jakiś kolor. Rozpoznał to uczucie, jeszcze zanim rozpoznał kolor. To było przypomnienie o zaniedbaniu, o czymś, co przeoczył. Przypomnienie o tym, co spartaczył. Wtedy pojawił się kolor. Był czerwony. Czerwony jak krew, ale nie do końca, raczej... czerwony jak T-shirt. Gdy Barrière nalewała wody do szklanki, Hjelm zrozumiał, czyj był ten T-shirt. Należał do *bardzo zdenerwowanego* młodego człowieka. Bardzo zdenerwowanego?

Rzucił się biegiem, pokonał scenę, otworzył szklane drzwi, chwycił dłoń Marianne Barrière dokładnie w chwili, gdy miała unieść szklankę do ust, uśmiechnął się do niej krzepiąco i zabrał szklankę oraz butelkę za kulisy, za czarną kurtynę. Stała tam Balodis z wyciągniętą bronią. Pokręcił głową i podał jej wodę.

– Maszynista sceniczny – rzucił tylko.

Balodis rzuciła się biegiem.

Hjelm uruchomił sprzęt komunikacyjny i powiedział:

– Zatruta woda mineralna. Bądźcie czujni, to nie koniec. Marek, raport?

– W tej chwili nic szczególnego nie widzę – odpowiedział Kowalewski z górnego balkonu. – Barrière przemawia dalej, jakby nic się nie stało. Poruszenie na widowni, szmer, nic poza tym.

– Dobra. Jak mówiłem, bądźcie czujni. *Zaczęło się.*

Hjelm wrócił na scenę. Dokładnie w chwili gdy kątem oka, przez czerwoną błonę, która znów się pojawiła, wychwycił szybki ruch w lewym przejściu, spojrzała na niego Marianne, która mówiła dalej:

*– Problem polega na tym, że nasza organizacja w ogromnym stopniu zmieniła się z projektu pokojowego w projekt biznesowy. To prawda, że musimy być silni, by móc konkurować z silnymi gospodarkami, takimi jak Stany Zjednoczone czy Chiny, ale kapitalizm stał się ideologią. Nigdy nie był zamierzony jako ustrój polityczny. Nie został stworzony do niczego innego niż efektywne kierowanie przedsiębiorstwami. Kiedy nagle stał się ideologią, powstało wiele niekorzystnych skutków ubocznych, ponieważ ten system ma nieskończenie wiele ślepych punktów. Musimy odbić Unię Europejską z rąk kapitalistów i odbudować pierwotny projekt pokojowy, projekt, który opierał się na idei wspólnoty, tak byśmy wszyscy jako europejskie narody mogli poczuć się uczestnikami tej wspólnoty. Kapitalizm jest zawsze przeciwieństwem wspólnoty, kapitalizm to ideologia głosząca, że samotność jest siłą. Czy naprawdę chcemy, by jedyną siłą napędową całego wielkiego kontynentu było widzenie tunelowe skierowane na własny portfel? Czy nie zaszliśmy trochę dalej w swoim rozwoju?*

Tym, czego Felipe Navarro nauczył się od swojego niewidomego od urodzenia syna Félix, była bardzo wyostrzona wrażliwość na... no cóż, właściwie na wszystko. Obecnie postrzegał rzeczy w inny sposób. Zaczynał wyczuwać metodę przeniesienia innych wrażeń zmysłowych na wrażenia wzrokowe i czasem mu się wydawało, że zyskał coś w rodzaju rentgenowskiego spojrzenia. Co prawda nie do końca mu się to udało przy wielkim panelu kontrolnym nad Lauriergracht, ale również tam miał wrażenie, że jest na właściwym tropie.

Teraz też coś wyczuł, choć było to niewyraźne. Paul Hjelm właśnie wpadł do szklanej klatki na scenie i odebrał Marianne Barrière szklankę z wodą. Przez morze ludzi przeszła fala niepokoju, rozległ się szmer, ale gdy Navarro spojrział ze swojej pozycji przy scenie na widownię, poczuł, że dostrzega jakąś anomalię. Coś, co odbiega od normy. Ktoś gdzieś zareagował inaczej. Opanowane reakcje Hjelm i Barrière przywróciły spokój – a przynajmniej coś, co go przypominało – a Navarro nie wiedział dokładnie, co takiego zobaczył. Wyczuwał kierunek, nic więcej. Gdy Hjelm wezwał przez komunikatory do zwiększonej czujności, Felipe Navarro poruszał się już w górę przejściem.

*– Gdy neoliberalizm przebił się szerokim frontem, wszelkie myśli o wspólnocie zeszły na dalszy plan. Społeczeństwo, w którym samotność ma być siłą, oznaczało, że wykluczenie stało się istotnym, a nawet jednym z kluczowych mechanizmów społecznych. Świat stał się polem rywalizacji, grą o bardzo ograniczonych regułach, ekonomiczna zręczność była odtąd jedyną liczącą się zdolnością. Bardzo wielu ludzi wyrzucono na mróz. Bezrobocie i wykluczenie społeczne wytwarzają ogromną frustrację. Wyłoniły się nowe wspólnoty, które wcale nie były nowe, lecz wręcz prastare. Wspólnoty, które opierają się na wskazywaniu kozłów ofiarnych. Posunę się nawet do stwierdzenia, że ta fala prawicowego ekstremizmu, którą z przerażeniem obserwujemy wokół nas, w Europie, to skutek neoliberalizmu, kapitalizmu przekształconego w ideologię. Nieliczni wiele zyskali, ale tym więcej straciła większość. To, co teraz widzimy, to mściwy rewanż przegranych. Przegranych, którzy wcale nie*

*musieli przegrać.*

Navarro usiłował sobie przypomnieć, co takiego zobaczył. Kogoś, kto zareagował inaczej niż pozostali? Nie przerażeniem i zdumieniem, jak wszyscy, lecz rozczarowaniem. To było niewiele, tylko wyraz twarzy. I nagle już wiedział. Ujrzał to klarowniej, niż pozwalał mu na to wzrok.

Felipe Navarro był prawie w połowie drogi, gdy ujrzał oczami wyobraźni, jak po twarzy technika dźwięku szybko przemyka wyraz zawodu. I nagle wszystko stało się całkowicie jasne. Pierwsza faza się nie udała, teraz przeszedł do drugiej fazy. Technik dźwięku wyjął coś ze stojącej przed nim małej torby. To była fiolka, szklana fiolka w kształcie kuli wypełniona jakimś bezbarwnym płynem. Technik wstał i uniósł rękę do rzutu. Wtedy zobaczył Navarro, który zdążył już wyciągnąć broń i biegł w jego stronę. Technik chciał sięgnąć do torby na stole mikserskim, ale opóźniły go dwie rzeczy. To, że trzymał najwyraźniej kruchą szklaną kulę i że trzymał ją w prawej ręce. Musiał ją więc przełożyć do lewej, zanim wydobyl z torby coś, co wyglądało jak pistolet. Ale wtedy Navarro zdążył go już rąbnąć własnym pistoletem w skroń z siłą, o jaką się nie podejrzewał.

Technik runął do tyłu na wolne miejsca za barierką, a szklana kula poleciała łukiem w stronę przejścia między rzędami. Kiedy znalazła się w najwyższej pozycji, padło na nią światło jednego z wielkich, kryształowych żyrandoli. Mała szklana kula rozbłysła jak piorun kulisty. Navarro upuścił broń i rzucił się za nią jak bramkarz. Chwycił ją miękko, ale z tym większym impetem runął na ziemię. Uderzył żebrami w oparcie fotela i niemal zemdlął z bólu. Mimo to zdołał się podźwignąć, zanim z drugiej strony dobiegł Sifakis, i wspólnie wytaszczyli technika dźwięku z sali. Marianne Barrière wydawała się domyślać, co się stało, ale ciągnęła z emfazą:

*– Niektóre rzeczy bardzo łatwo zburzyć, ale bardzo trudno odbudować. Przede wszystkim chodzi o wspólnotę, poczucie wspólnej pracy dla wspólnego celu. Poczucie, że przynależy się do czegoś sensownego, a może nawet dobrego. W ostatnich dekadach byliśmy świadkami ogromnej innowacyjności, przede wszystkim w dziedzinie technologii informacyjnej, i większość tego rozwoju nastąpiła w ramach działalności prywatnych przedsiębiorstw, dysponujących takimi środkami na badania, o jakich badacze z instytucji publicznych mogą jedynie marzyć. I to dobrze. Ale prywatne firmy mogą również blokować rozwój. Mogą powstrzymywać rozwój, jeśli nie służy ich interesom. Prywatne firmy nie dbają o wspólne dobro tak bardzo, jak czasem nam się wydaje. Niekiedy ich motywy są zbieżne z tym, co dobre dla nas wszystkich, ale bywa też zupełnie inaczej. Jeśli przedsiębiorstwa z danego sektora staną się wystarczająco silne, nie będą chciały, by cokolwiek zakłóciło ich rutynową działalność. I mogą stać się kontrproduktywne dla nas wszystkich.*

Paul Hjelm widział, jak szklana kula wzleciała w górę, i natychmiast pojął, że to płynny materiał wybuchowy. Długo próbował nakłonić krajowych komendantów policji do montażu dachu na szklanej klatce, ale przegłosowano go z uwagi na budżet. A Asterion natychmiast namierzył słaby punkt.

Ale Felipe Navarro uratował sytuację. Jego akcja była wzorowa, łącznie z rozstrzygającym skokiem. Tłum na widowni wprawdzie się zakołysał i znów z różnych stron dały się słyszeć okrzyki, ale

najwyraźniej słowa Marianne Barrière bardziej przykuwały uwagę. Nie wybuchła panika, nie zapanował chaos. Może uratowali nie tylko jej życie, lecz także jej życiowe przemówienie. Hjelm powiedział przez mikrofon:

– Arto, Kerstin, do prawego wejścia. Felipe i Angelos zgarnęli zamachowca. Biegiem.

Sifakis wrócił przez drzwi wejściowe dokładnie w chwili, gdy nadbiegł Söderstedt. Navarro przyklęknął przy nieprzytomnym mężczyźnie w czerwonym T-shircie i podał Söderstedtowi szklaną kulę wypełnioną płynem.

– Obchodź się z tym bardzo ostrożnie – powiedział i skrzywił się.

Söderstedt odebrał kulę i zrozumiał, czym była. W każdym razie mniej więcej. Nadbiegli policjanci w mundurach i zaczęli obszukiwać mężczyznę w czerwonej koszulce, który właśnie odzyskiwał przytomność. Navarro dotknął lewej strony klatki piersiowej i stłumił jęk. Sifakis wyszedł z małą torbą i ją przetrząsnął. Wyjął z niej broń, pistolet z tłumikiem.

– A wykrywacze metalu? – spytał Söderstedt, delikatnie trzymając szklaną kulę w złączonych dłoniach.

– Niech mnie diabli! Ten pistolet jest z plastiku – powiedział Sifakis. – Musiał go przenieść w częściach i złożyć na miejscu. Weź go.

– Nie mogę – zaprotestował Söderstedt.

Zza jego pleców wyłoniła się zdyszana Kerstin Holm i nagle stwierdziła, że trzyma w ręce dziwny, plastikowy pistolet. Wyglądał zupełnie jak prawdziwy, ale był lekki jak piórko.

– Nie jest to silna broń – stwierdził Sifakis. – Ale na pewno się sprawdza w bezpośredniej walce.

Za nimi pojawiła się Balodis. Popychała przed sobą innego, znacznie młodszego mężczyznę w czerwonym T-shircie.

– No i? – spytała.

Młody, *bardzo zdenerwowany* maszynista sceniczny kiwnął głową.

– Tak – powiedział. – Tak, to on. On mi kazał zanieść picie tej polityk.

W uszach wszystkich członków Opcop zabrzmiał głos Hjelma:

– Za duży tłum. Nie mamy pewności, czy zamach już się skończył. Mogą tu mieć więcej ludzi.

Wszyscy, którzy są wolni, wracają na swoje pozycje. Mundurowi się tym zajmą. Co z tobą, Felipe? Możesz wrócić do roboty?

– Przecież jeszcze jej nie skończyłem – parsknął Navarro. – Jestem gotów.

– Dobra – powiedział Hjelm. – Arto, zobacz, czy uda ci się coś wyciągnąć z zamachowca. Cała reszta wraca na pozycje.

Arto Söderstedt zwrócił się do jednego z mundurowych i powiedział:

– Dowód rzeczowy. Śmiertelnie niebezpieczny materiał wybuchowy. Obchodź się z tym delikatniej niż z noworodkiem.

Młody belgijski policjant spojrzał przerażony na szklaną kulę, zabrał ją i wyszedł. Drzwi się

otworzyły i Söderstedt wreszcie usłyszał choć fragment przemówienia Marianne Barrière:

– Kiedyś, prawie sto lat temu, w Europie prowadzono intensywne badania nad alternatywnym napędem, który mógłby zastąpić ropę. Uważano, że jest zbyt niebezpieczna dla środowiska, zbyt łatwopalna, zbyt trudno dostępna, a jej zasoby zbyt ograniczone. Pracowano na różnych frontach i badania zaszły bardzo daleko, ale wybuchła druga wojna światowa. Była to wojna oparta na ropie. Wszystkie pomysły związane z wodorem, ogniwami paliwowymi i skuteczniejszymi akumulatorami odsunięto na bok i gdy wojna dobiegła końca, nie było już żadnej alternatywy dla gospodarki opartej na ropie. Po zbyt długiej zwłóce znów zaczęliśmy badać alternatywne paliwa. W oczekiwaniu na dopracowane ogniwa paliwowe najsensowniejszą alternatywą stały się akumulatory. Samochody z napędem elektrycznym. I teraz mogę z radością zaprezentować wyniki badań, które nie mają sobie równych. W ostatnim czasie unijny projekt realizowany w Sztokholmie zaowocował znalezieniem rozwiązania. Kiedy akumulator się rozładuje, wymienia się po prostu płyn akumulatorowy – a więc nie ma już mowy o czekaniu, kiedy akumulator ładuje się podłączony do gniazdka. „Tankuje się” samochód na „stacji benzynowej”. Tam, w bezpiecznym procesie chemicznym, zużyty płyn akumulatorowy jest ładowany, a następnie gotowy do ponownego użycia bez żadnych produktów ubocznych. Puenta jest taka, że to tania technologia. Można ją upowszechnić, takie samochody będą tańsze niż samochody na benzynę, równie szybkie, lecz zupełnie nieszkodliwe dla środowiska i będzie się je tankować mniej więcej tak samo często. Przedstawiam państwu opracowany przez unijnych badaczy projekt prawdziwego elektrycznego samochodu dla ludu, który będzie masowo produkowany przez firmy motoryzacyjne i na początku sponsorowany przez Unię Europejską. Wymiana starego samochodu benzynowego na nowy elektryczny będzie tania. Tańsza niż utrzymanie samochodu z silnikiem benzynowym.

Arto Söderstedt spoglądał na leżącego przed nim mężczyznę. Był ubrany w czerwony T-shirt, skuto mu ręce i nogi. Wystarczyło szybkie spojrzenie w jego oczy, by zrozumieć dwie rzeczy: że ten człowiek był na wojnie – widział wiele wojen – i że nie powie ani słowa. Nie puści pary z ust.

– Przypuszczam, że nie ma sensu cię pytać, czy jesteś tu jedynym mięsem armatnim Asteriona – rzucił mimo wszystko Söderstedt.

Mężczyzna nie odpowiedział mu nawet spojrzeniem.

Arto dał znak mundurowym, a ci wyprowadzili podstawionego technika dźwięku. Równocześnie znów odezwał się wewnętrzny głos, głos szefa w słuchawce:

– W porządku, jakiś alarm po drugiej stronie foyer, Arto. Mundurowi zatrzymali w toalecie dwóch mężczyzn. Idź tam i sprawdź.

Choć Hjelm na kilka sekund ściszył dźwięk, usłyszał wyraźne westchnienie Söderstedta. Nie mógł sobie jednak pozwolić na zignorowanie choćby najmniejszej wskazówki. I nagle poczuł, że jednak to zrobił. Stał z boku sceny i patrzył, jak Navarro ni mniej, ni więcej, tylko wlecze się na drugą stronę. Bohater, który zapewne myślał, że czeka go pewnie jeszcze z dziesięć minut męki, nim będzie mógł się

zwalić z nóg. Hjelm domyślał się, że Felipe, podobnie jak wielu piłkarzy, także i ze szwedzkiej reprezentacji, uniesie dwa palce w znaku zwycięstwa, kiedy będą go stąd wynosić na noszach.

Wrażenie powróciło, z nową siłą. Przemawiało do niego w znajomy sposób. Jak przypomnienie o zaniedbaniu, o czymś, co przeoczył. O niedopatrzaniu.

Niedawno? Tak, niedawno. Tu. W sali koncertowej. Co?

– Tu Arto – powiedział głos w słuchawce.

– Tak?

– W kiblu doszło do bójki. Nie starczyło przepustowości łącza dla dwóch reporterów, którzy nie wytrzymali do końca przemówienia i próbowali wysłać swoje przedwczesne raporty z dwóch sąsiednich kabin. Fałszywy alarm.

– Dobra – powiedział Hjelm i zastanowił się, kiedy ostatnio powiedział „dobra”. To uruchomiło jakiś ciąg skojarzeń. Powiedział „dobra” do Marinescu, gdy ten poinformował, że trójka Rumunów znad Lauriergracht „wydaje się uważać, że życie toczy się swoim zwykłym torem”. Chociaż Ciprian zniknął.

– Raporty w porządku alfabetycznym – powiedział, żeby zyskać trochę czasu do namysłu.

Ciprian. Już wcześniej nie dawało mu to spokoju, prawda? Dlaczego wysoko postawiony mafioso Antonio Rossi miałby się zwracać do jednego z pomniejszych bossów, Włada, szefa handlu żebrakami na całą Europę, *przez jednego z jego ochroniarzy?*

Do diabła! Czy Ciprian był kimś więcej niż ochroniarzem Włada?

Ciprian, który teraz opuścił mieszkanie w Amsterdamie.

Kiedy spływały raporty od dziewięciu członków grupy Opcop rozsianych po sali koncertowej, Hjelm próbował sobie przypomnieć rozmowę, którą Sifakis wychwycił na barce turystycznej w Amsterdamie. Ciprian i Antonio Rossi. Końcówka rozmowy. Rossi: „Nowy priorytet to plan G”. Ciprian: „Będziemy czujni”. Rossi: „Dobrze. Tu są osobiste instrukcje”.

„Osobiste instrukcje”? „Tu”?

I nagle olśnienie: Ciprian otrzymał osobiste instrukcje od Rossiego na przeznaczonym tylko dla niego pasku magnetycznym, który dostał *tam*, na barce. A teraz Ciprian opuścił mieszkanie.

– Do diabła, odezwij się szefie!

– Co? – spytał Hjelm. – Tak, Angelos?

– Przecież jedna osoba się nie zgłosiła – powiedział Sifakis w słuchawce. – Kazałeś złożyć raport. Jedna osoba nie odpowiedziała.

Paul Hjelm poczuł gęsią skórę na ramionach.

– Kto? – spytał.

– *Ponieważ już wkrótce pojawi się realna możliwość wymiany szkodliwych dla środowiska samochodów na benzynę i olej napędowy na samochody elektryczne, postanowiłam wzmocnić tę reformę projektem ustawy, która będzie dotyczyć całej Unii Europejskiej, i mam nadzieję, że szybko się rozprzestrzeni dalej po świecie. W roku dwa tysiące szesnastym samochody napędzane produktami*



*ropopodobnymi zostaną zakazane we wszystkich miastach powyżej dziesięciu tysięcy mieszkańców. Środowiska miejskie w Europie ulegną szybkiej poprawie, drastycznie zmniejszy się emisja gazów cieplarnianych i będzie mniej wypadków samochodowych. Radykalnie spadnie nasze ogólne zapotrzebowanie na szybko kurczące się zasoby ropy na świecie. I oczywiście technologia ta będzie rozwijana dalej. Już teraz powinno być możliwe wykorzystanie jej w miejscach o dużym natężeniu ruchu, w ruchu ciężarowym. Jestem też przekonana, że wkrótce na bazie tej technologii opracowane zostaną silniki samolotowe. Przyjaciele, stoimy w obliczu zmiany paradygmatu. Od teraz świat stanie się innym miejscem, lepszym miejscem do życia. Niedługo spaliny będą tylko wspomnieniem.*

Balodis i Bouhaddi zdążyły szybko zamienić parę słów w korytarzu biegnącym na tyłach łóż, ale usłyszały wyraźnie głos Jutty Beyer, skarżącej się na brak roboty.

– Chyba lepiej wróć już na górę – powiedziała Bouhaddi.

– Nie zazdroszczę ci – odparła Balodis.

– Na pewno teraz wszystko w porządku?

– Myślę, kurwa, że teraz już damy radę. Nie mogło zostać więcej niż pięć minut.

– Raczej osiem – powiedziała Bouhaddi, zerkając na zegarek, po czym się oddaliła. Naprawdę nie miała najmniejszej ochoty iść na górę do tych nieokrzesanych Francuzów. Byli jak typy z Legii Cudzoziemskiej.

Pokonała schody, przeskakując po trzy stopnie. Dopiero na ostatnim dostrzegła obiekt swej niechęci, przywódcę francuskich policjantów. Gapił się na nią.

Gapił się na nią z podłogi.

Spod linii włosów po jego czole spływała ukośnie strużka krwi.

Z rozpędu wpadła na samą górę. Zobaczyła trzech martwych policjantów, zanim dostrzegła mężczyznę. Nie było szans, by zdążyła skojarzyć tę twarz z Lauriergracht. Oddał dwa precyzyjne strzały z pistoletu z tłumikiem.

Ciprian? – pomyślała Corine Bouhaddi i runęła do przodu. Mężczyzna kopnął ją w twarz.

Zabrał jej policyjny identyfikator i przypiął go do swojej o wiele za szerokiej marynarki. Wszedł na balkon, niosąc podłużną torbę, i skulił się za balustradą, czekając, aż dwaj mundurowi wyjdą z za rogu. Wyprostował się i wesoło do nich pomachał. Jeden odpowiedział mu tym samym, drugi wyglądał, jakby się pogubił. Zastrzelił obu, po dwa strzały w pierś, i znów się przyczaił.

Marek Kowalewski odsunął lornetkę od oczu i spojrzął w bok. Czy ci gliniarze nie za szybko zniknęli? I czy nie słyszał przypadkiem jakiegoś dziwnego dźwięku?

Wyjął broń i odłożył lornetkę. Ruszył w prawy róg górnego balkonu i ostrożnie wyjrzał. Dwa ciężkie, bezgłośnie strzały trafiły go w pierś. Upadł z bólu. Gdy spojrzął w górę, zobaczył mężczyznę, którego znał. O kurwa, to Ciprian! To było ostatnie, co zobaczył, zanim zaliczył kopniaka w twarz.

Ciprian znów się przyczaił i skreślił za róg. Skulony za balustradą otworzył podłużną torbę i zaczął starannie składać potężny karabin, który od wielu lat tak wiernie mu służył. Jego pociski przebijały

pancerz. Zatrzymywał tym karabinem czołgi, leżał z nim na wzgórzach wokół Sarajewa i przebijał potrójne ściany. Ta broń nigdy go nie zawiodła. Był zupełnie spokojny. Wprawdzie było trochę późno na pozbycie się wroga, ale bez jej uporu i woli walki nigdy nie przepchną tego projektu ustawy. Misja Cipriana jak zwykle była jednoznaczna.

Marek Kowalewski nie lubił się poddawać. Czuł w ustach smak krwi i żuł bezzębnymi dziąsłami własne zęby. Miał też wrażenie, że nos mu się przekrzywił. Ale, kurwa, nie zamierzał się poddać. Pistolet leżał dwa metry od niego. Zaczął powoli czołgać się w jego stronę. Ciprian zdążył oprzeć karabin o balustradę. Odwrócił się i dostrzegł wysiłki Kowalewskiego. Pokręcił głową, jak na widok nieposłusznego dziecka, odłożył karabin i skulony podszedł do Kowalewskiego.

Kowalewski był pół metra od swojego pistoletu, kiedy Ciprian wyjął broń z tłumikiem. Kowalewski znieruchomiał i patrzył Ciprianowi prosto w oczy, gdy ten uniósł pistolet i wycelował mu w twarz. Kowalewski nie zamierzał odwracać wzroku. Rozległ się stłumiony huk wystrzału. Choć pewnie kula właśnie trafiła go w czoło, Kowalewski patrzył dalej. Ciprian zrobił zatroskaną minę, jakby zaciął mu się pistolet. Potem rozległ się kolejny głuchy wystrzał i na czole Cipriana wykwitła krew. Runął ciężko do przodu.

Kowalewski dostrzegł niewyraźną postać za nim. Z uniesioną bronią. Z pistoletem wyposażonym w tłumik.

Z pistoletem z plastiku.

Postać coś powiedziała i Kowalewski usłyszał głos w słuchawce:

– Tu Kerstin Holm. Zabiłam snajpera.

Kowalewski poczuł, że się uśmiecha. Wyseplenił:

– Jeszcze jeden strzał. Na wszelki wypadek.

Potem zemdlął.

Kerstin Holm rozpięła mu koszulę i ściągnęła kamizelkę kuloodporną. Na nieowłosionej piersi Kowalewskiego widniały dwa wielkie siniaki.

Wstała i podeszła do balustrady. Wzięła lornetkę i spojrzała w dół, na scenę. Lornetka strasznie się trzęsła. Marianne Barrière wciąż przemawiała, ale to postać na lewo od niej przykuła uwagę Kerstin. To był Paul Hjelm.

Nic nie powiedział.

Ale jak prawdziwa operowa diwa posłał jej całusa w stronę balkonu.

– *Niech to będzie początek nowej ery również pod innym względem. Niech w polityce zaczną się liczyć nowe wartości. Niech prawa ekonomii nie umniejszają nas dłużej jako ludzi. Musimy wyprostować plecy. Musimy znów zacząć myśleć w szerszej perspektywie. Niech hojność i przyzwoitość znów staną się częścią polityki. Mimo katastroficznych scenariuszy w wielu kwestiach jesteśmy na właściwej drodze. Świat stał się lepszym miejscem, upadły dyktatury w Ameryce Łacińskiej i Afryce, zmniejszyła się ksenofobia, zwalczyliśmy choroby, w przygotowaniu jest szczepionka na malarię,*

wojen, mimo wszystko, jest coraz mniej. Dzisiejsze zło jest konserwatywne, pragnie powstrzymać wszystkie te dobre siły, bo zagrażają jego przywilejom. Zawróćmy znów historię we właściwym kierunku. Zostawmy za sobą stary ekonomizm. Kapitalizm to nie ideologia, przywróćmy go do roli, w której sprawdza się najlepiej, skutecznego wytwarzania towarów i usług. Nie ma czego szukać w naszych głowach. Od teraz głównym nurtem polityki ma być dobro jak największej liczby ludzi, a nie pogłębianie przepaści między biednymi i bogatymi, nie myślenie, że samotność jest siłą, nie zmuszanie ludzi, by ciągle zaglądali do własnych portfeli. Nas, ludzi, stać na więcej. Niech to będzie pierwszy krok ku przywróceniu przyzwoitości w polityce.

# Ślepota

Gnesta – Haga, 15 lipca

PIWNICZNA ISTOTA, której broda i włosy tworzyły jedną wielką piłkę, w lesie przypominała trolla – brakowało tylko ogona. Mężczyzna poruszał się między drzewami, jakby czuł się tu jak w domu. Jakby w głowie miał mapę z dawno minionych czasów. Gdy las się przerzedził, po drugiej stronie osikowego zagajnika, przystanął i zapatrzył się przed siebie.

Idąca za nim przez las rodzina też przystanęła. Nie widzieli dokładnie tego, co on, ale to, co widzieli, wystarczało aż nadto. Małe leśne jeziorko błyszczało w leśnym słońcu i puszczało zajaczki na podupadłą letnią chatkę. Nie pozostał tu nawet ślad zła z tamtego straszego wieczoru ponad tydzień temu.

– Wow! – zawołała dziewięcioletnia Isabel.

– Chcę do wody! – krzyknął pięcioletni Miguel.

– Kąpiel na golasa! – wrzasnął Jorge Chavez i rzucił się biegiem w stronę jeziorka. Dzieci popędziły za nim zdumiewająco lekkim krokiem. Sara Svenhagen zastanawiała się przez chwilę, po kim to mają. Kto miał w genach ten lekki krok?

Gdy Jorge, Isabel i Miguel rzucili się w ciemne wody jeziorka, piwniczna istota podeszła do starej zielonej pompy i dotknęła jej. Pieszczotliwie przesunęła po niej palce.

– „I tęsknię za kamieniami, gdzie bawiłem się”<sup>3</sup> – powiedział głucho Janne.

Sara go dogoniła.

– Przecież *możesz* się tutaj wprowadzić.

Janne powoli pokręcił głową.

– Nie, nie pasuję na zadupie – odparł. – Dobrze mi na Hornstull. Ale miło byłoby mieć własne mieszkanie.

– Załatwimy to. Jeśli chcesz. I będziesz też miał znośne pieniądze.

Janne ruszył dalej do ziemianki. Oparł dłoń na drewnianych drzwiach, z których łuszczyła się farba.

– Do diabła – powiedział. – Wspomnienia, o których nie miałem pojęcia, że je mam.

Sara znów do niego dołączyła.

– Przeczytałam twoją książkę – powiedziała.

Janne uśmiechnął się krzywo i potarł ręką kulę włosów.

– Oj – powiedział.

– Była dobra – zapewniła Sara. – Dziwna, ale dobra. Wciąż to masz.

Janne się odwrócił i utkwiał w niej wzrok.

– Tylko jedna sprawa.

– Tak?

– Chcę móc czasem przychodzić w odwiedziny.

Sara Svenhagen spojrzała na swoją pluszczącą się rodzinę i uśmiechnęła się. A potem odparła:

– Jeśli nie zostaniesz za długo.

Janne wybuchnął głośnym śmiechem i ruszył w stronę wody. Ściągnął ubranie i skoczył.

\* \* \*

Paul Hjelm przez dłuższą chwilę siedział sam w Nowej Katedrze, zanim zaczęli się schodzić członkowie grupy Opcop, jeden po drugim, mniej czy bardziej poprzetręcani. W końcu zjawili się wszyscy z wyjątkiem dwojga.

– Navarro? – spytał Hjelm.

– Na zwolnieniu – odparł Angelos Sifakis. – Sześć złamanych żeber. Nie wiedziałem, że można sobie aż tyle złamać.

– Uratował życie pięciuset ludziom – oświadczył Hjelm. – Sądzę, że on myśli adamicznie.

Nikt nie zdążył zapytać, co to znaczy, bo wtedy w drzwiach zjawił się mężczyzna z wyraźnymi odgnieceniami na łysym ciemieniu. Rozejrzał się zdumiony po okazałej sali konferencyjnej.

– Aha – mruknął Arto Söderstedt. – Adrian Marinescu, *as I live and breathe*. Myślałem, że jesteś jak te odmienne jaskiniowe.

Marinescu w zamyśleniu przekrzywił głowę i podszedł do miejsca siedzącego w Katedrze. Bez słuchawek i szlafroka nikt go nie poznawał.

– Odmienne? – spytał i usiadł.

– Takie płazy ogoniaste, które żyją tylko w jaskiniach krasowych na Słowenii i w Chorwacji – wyjaśnił Söderstedt. – Są całkowicie ślepe i giną, jeśli opuszczą swoje jaskinie.

– Bardzo zabawne – powiedział Marinescu. I wybuchnął śmiechem.

– A jak tam nasi ranni bohaterowie? – spytał Hjelm. – Corine?

– Cóż – odparła Corine spod bandaży upodabniających ją do mumii – boli mnie głowa, ale może chirurgia plastyczna jest tego warta. W każdym razie nie może być gorzej niż poprzednio.

– Kurwa, ale on kopał – wyseplenił Marek Kowalewski spod podobnych bandaży. – Nie został mi z przodu ani jeden ząb.

– Czemu, u diabła, krajowi policjanci nie nosili kamizelek kuloodpornych? – spytał jakiś głos dobiegający z głębi Katedry. Należał do Kerstin Holm.

– Lekarz sądowy znalazł trzy ostre jak brzytwa plastikowe pociski w głowie Cipriana – powiedział Hjelm. – W tym jeden wystrzelony z bardzo bliska. Potrzeba było aż trzech?

– To był plastikowy pistolet, do cholery – odparła Holm. – Nie miałam pojęcia, jak to działa. Ostatni raz kogoś zabiłam w pomniku Pomordowanych Żydów Europy. To był terrorysta, który miał na imię Ata. Nic miłego.

– Jestem dozwonnie wdzięczny twojej żonie – zapewnił Kowalewski.

– Nie jesteśmy małżeństwem – stwierdziła Kerstin Holm.

Hjelm na chwilę zmarszczył brwi i ciągnął:

– To krajowi komendanci policji decydowali, czy ich ludzie będą mieli kamizelki kuloodporne.

Sugerowałem, żeby je mieli. Powiedziałem, że moi ludzie na pewno będą w nie wyposażeni. Ciprian zabił pięciu policjantów, wszyscy byli Francuzami.

– Centralne dowództwo byłoby lepsze – stwierdził Söderstedt. – Może do tego zmierzamy.

– A poza tym – ciągnął Hjelm – jak wiecie, wczoraj zrobiliśmy nalot na Lauriergracht. Vlad i Silviu zostali aresztowani. Można by się spierać w nieskończoność, czy to był idealny moment, czy nie. Gdybyśmy uderzyli wcześniej, zgarnęlibyśmy też Cipriana, a wtedy nie miałby szans, by kogoś zabić, żyłoby pięciu francuskich policjantów, a dwoje członków grupy Opcop nie miałoby złamanych nosów. Z drugiej strony ostrzegliśmy naszych przeciwników, a mafia i Asterion miałyby okazję się przegrupować. Gdyby się dowiedzieli, że jesteśmy tak blisko, wszystko przebiegłoby inaczej. Gdyby zdawali sobie sprawę, że przejrzelibyśmy ich plan zamachu podczas przemówienia, zapewne sięgnęliby po znacznie silniejsze środki, żeby wyeliminować Marianne Barrière. Przypuszczam, że w takim wypadku musielibyśmy się liczyć z wysadzeniem w powietrze sali koncertowej i setkami ofiar. Wtedy nie byłby to plan awaryjny, lecz główny plan. A więc uważam, że mimo wszystko myśleliśmy właściwie.

Milczenie, które zapadło w Nowej Katedrze, było bardzo wymowne.

– Chciałoby się zobaczyć grupową scenkę, prawda? – odezwał się w końcu Arto Söderstedt. – Gdy tylko łapiemy tę cholerną szajkę handlarzy niewolników, w każdym małym miasteczku Europy otwierają się drzwi cel i zdumieni romscy żebracy wyglądają na wolność. A zamiast tego dostaliśmy... no właśnie, co?

– Niezbyt przejęte kierownictwo handlarzy niewolników – powiedział Hjelm. – Vlad nie powiedział ani słowa, Silviu też nie, ale przynajmniej mu się wymknęło, że Ciprian był w przeszłości najemnikiem i snajperem na różnych wojnach, także w Jugosławii. Pocisk z jego karabinu zdecydowanie przebiłby szklaną klatkę. A to znaczy, że życie Marianne Barrière uratowały dwie osoby: Marek i Kerstin.

– Tylko się czołgałem – wysyczał Marek Kowalewski.

– Strzeliliby, gdybyś się nie czołgał – powiedziała Kerstin Holm. – Wyszłam wyjściem awaryjnym i ledwie zdążyłam podnieść plastikowy pistolet.

– A więc twoje czołganie z pewnością też się do tego przyczyniło – oświadczył Hjelm.

– Człowiek nigdy nie powinien się poddawać – wyseplenił mądrze Kowalewski.

– Nie udało nam się jednak i pewnie nam się nie uda ustalić tożsamości Vlada, Silviu i Cipriana.

Wymazane tożsamości. I z tak zwanym technikiem dźwięku, zamachowcem Asteriona z sali koncertowej, jest podobnie. Żadnej tożsamości. I nie puścił pary z ust. Szklana kula zawierała materiał wybuchowy znacznie silniejszy od nitrogliceryny. Gdyby został uwolniony, prawdopodobnie zginęliby wszyscy na sali. Stąd ta zawiedziona mina, którą opisywał Felipe. Przez tę wpadkę z wodą mineralną technik dźwięku z płatnego mordercy zmienił się w zamachowca samobójcę. Butelka zawierała śmiertelną

truciznę, a na kapslu był ślad igły. To był plan A.

Hjelm umilkł i spojrzał na swoich ludzi. Szukał jakiegoś podsumowania, ale strasznie trudno było jakieś znaleźć. To była niesamowicie złożona sprawa.

I wyjątkowo ważna.

Ciągnął:

– Pod pewną presją Minou alias Michel Cocheteux przyznał się i powiedział wszystko, co wie. Niestety, nie było tego dużo. Prócz tego, że odczuwał naciski ze strony zarządu, by powstrzymać projekt ustawy. Fakt, że jako ostatni płatny morderca zjawił się Ciprian, musimy chyba traktować jako dowód, że 'ndrangheta była jedną z zainteresowanych stron. Antonio Rossi i 'ndrangheta nie ufali do końca Christopherowi Jamesowi Huntingtonowi i Asterionowi, chcieli dodatkowo się zabezpieczyć. Ciprian, prócz tego, że był pomagierem Vlada, był też starannie wybranym przez 'ndranghetę zamachowcem. Ale nigdy nie poznamy jego tożsamości.

– A żebracy? – spytała Jutta Beyer. – Niewolnicy Europy?

– Sytuacja jest niejasna – odparł Hjelm. – Pytanie brzmi, czy krajowe i regionalne jednostki mogą dalej prowadzić działalność bez centralnego kierownictwa. Może tak, a może nie. Niestety nie wiadomo, czy efektem naszego sukcesu jest zwrócenie wolności wielu żebrakom. W każdym razie na pewno nie było żadnej grupowej scenki. Zdjęcie tego duńskiego członka szajki zrobione w porcie w Amsterdamie rokuje jednak pewne nadzieje. Być może poczynając od tego punktu, uda nam się rozpracować całą ich hierarchię.

– W każdym razie dwie osoby zostały uwolnione – odezwała się Donatella Bruno. – Cheng i Shuang Ricci podpalili siedzibę Notus Imports na Oud-Zuid i zniknęli na Schiphol. Zgubiłam ich na lotnisku. W spalonej willi znaleziono dwa zwęglone ciała, a analiza DNA wykazała, że byli to bracia Ricci. A dziś przyszła wiadomość, że Wang Yunli, która wyjechała stąd przedwczoraj, zginęła w wypadku samochodowym w Pekinie.

– Nasi bliźniacy sporo się nauczyli od mafii – stwierdził Hjelm. – Miejmy nadzieję, że to im wystarczy na nowe życie. Jeśli gdzieś na świecie można jeszcze zniknąć, to właśnie w Chinach.

– Poza tym doktor Jaap Van Hoensbroeck został aresztowany i zaczął mówić – poinformował Sifakis. – Zaczęły się też pojawiać oznakowane banknoty. Wraz ze sprawozdaniami z pasków magnetycznych z mieszkania stanowi to idealną podstawę do stworzenia jak dotąd najwyraźniejszego obrazu organizacji europejskiego handlu żebrakami. Choć nie udało nam się ująć samej góry, teraz przynajmniej wiemy, że mafia też jest zamieszana w europejski handel żywym towarem.

– Niemniej wczoraj straciliśmy kontakt z Kalabrią, co nas bardzo smuci – dodał Hjelm. – Przez kilka dni naprawdę mieliśmy bezpośredni kontakt z czymś, co mogło się okazać samą górą 'ndranghety. Śledziliśmy kroki Antonia Rossiego w San Luka i innych pobliskich miastach Kalabrii. Ale potem nagle kontakt się urwał. Blipl przestał mrugać. Próbuujemy z pomocą techników poznać dokładne szczegóły, ale wygląda na to, że sprawa jest skomplikowana. Nie wiemy dokładnie, kiedy ani gdzie zniknął. Pozostaje



nam mieć nadzieję, że sprawa się rozwiąże i chip znów się uaktywni. To *może* być czysto techniczna usterka. – Umilkł na chwilę i omiół wzrokiem słuchaczy. Westchnął ciężko. – Jeśli dokładniej się przyjrzymy temu, co osiągnęliśmy w ostatnich tygodniach, jest to kawał świetnej policyjnej roboty. I mam nadzieję, że wkrótce doczeka się ona właściwego uznania. Niestety nasza działalność wciąż jest tajna i nie wiadomo, jak długo taki stan rzeczy potrwa. Ale moi przyjaciele, to była wspaniała robota. Bardzo wam wszystkim dziękuję.

Członkowie grupy Opcop wstali i zaczęli zbierać swoje rzeczy. Paul Hjelm przyglądał im się. Nigdy nie będzie mu dane pracować z lepszymi. Mimo wszystko to był zaszczyt uczestniczyć w tym wszystkim w tak krytycznym dla Europy okresie.

Kiedy z lekkim wahaniem skierowali się do wyjścia z Nowej Katedry, odchrząknął i dodał:

– Poza tym udało nam się trochę oczyścić Europę.

Miał nadzieję, że to, co usłyszał, nie było rechem.

\* \* \*

Mała istotka chwyciła krawędź łóżka i wciągnęła się na górę. Felipe Navarro był pewny, że mały Félix naprawdę na niego *spojrzał*, gdy on sam leżał tak żałośnie na prawym boku; nawet nie miał co marzyć o tym, by położyć się na lewym albo chociaż na plecach. Tak, synek na niego spojrział, chociaż nie oczyma.

Potem Félix zaczął się wdrapywać na krawędź łóżka w nogach ojca. I udało mu się. Wdrapał się. Zaparł się o ciało Navarro i przyciągał się do niego, coraz bliżej jego twarzy. I dotarł do celu.

Felipe nie zamknął oczu, jak zwykle to robił, kiedy Félix chciał dotknąć jego twarzy. Patrzył. Patrzył, jak małe paluszki badają, jak *widzą*. To było fantastyczne.

– Wiesz, co to jest ciuciubabka, Félix? – spytał synka. – *La gallina ciega*? To taka zabawa. Jedna osoba jest ciuciubabką, ma zawiązane oczy. Musi złapać kogoś z pozostałych. Wtedy złapany staje się następną ciuciubabką. To takie proste. I takie skomplikowane.

Wtedy Félix wdrapał się na jego tors. Mózg Felipe Navarro przeszyły błyskawice czystego bólu. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie czuł. A wówczas synek podskoczył na jego sześciu złamanych żebrach.

Powinien go zdjąć, gdyby miał na to siłę. Naprawdę powinien. Podpowiadał mu to czysty rozsądek.

Nie, pomyślał Felipe Navarro, gdy niewidomy synek jeszcze raz podskoczył na jego piersi.

Nie, pomyślał. Właśnie tak ma być.

Bruksela, 16 lipca

CHOĆ BYŁA SOBOTA, Amandine Mercier przyjęła go z szerokim uśmiechem i skąpała ożywczą chmurą energii. Odzyskała swój pokój, swój mały przedsiönek. Wstała i spytała:

– Komisarz Karlsson, jak zakładam?

– *Fuck off* – odparł Paul Hjelm i uśmiechnął się czarująco.

Odpowiedziała mu jeszcze bardziej czarującym uśmiechem i zaprowadziła go do swojej szefowej.

Marianne Barrière wydawała się zaskakująco pełna życia. Wyszła mu na spotkanie i uściskała go. On też ją uściskał. Stali tak przez dłuższą chwilę.

– Co słyhać? – spytał w końcu.

– Właśnie, co słyhać, Paul? – spytała, z ręką na jego ramieniu. – Dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdzie, że miałam dość rozsądku, żeby ci zaufać. Przez cały ten czas nikomu innemu nie ufałam, nawet Amandine.

– Powinnaś była – powiedział Paul Hjelm.

Marianne Barrière uśmiechnęła się krzywo i zaprowadziła go na sofę tuż przy kuloodpornych oknach.

– Była w to zamieszana?

– Pomogła nam odkryć zdradę Gatiena – odparł Hjelm.

– Rozmawiałam z Laurentem – odparła Barrière. – Wiem o jego córkach. Wygląda na to, że już nikt ich nie śledzi.

– Czyli mu wybaczasz?

Marianne Barrière spojrzała za okno na pogodne letnie niebo nad Brukselą.

– Potrzebuję go – odparła. – Jeszcze przez jakiś czas.

– Media biją w wielkie bębny – powiedział Hjelm. – Ale i tak powiedziałbym, że to *twoja* zasługa, nie Gatiena.

– W każdym razie moje przesłanie dotarło do szerokich kręgów. Zobaczymy, czy to wystarczy. Zasugerowałam światu, że polityka może być czymś innym niż administracją kapitału.

– Myślę, że zrobiłaś coś więcej – powiedział Hjelm.

– Chcesz coś? Kawy, herbaty? Góry złota i zielone lasy?

– Zielone lasy chętnie. Nie, muszę zaraz lecieć, Kerstin czeka na dole w samochodzie, robimy sobie kilkudniowy urlop. Jutro wyjeżdżamy do Paryża na kilkudniowy miodowy miesiąc.

– Ale dlaczego nie wejdzie na górę? Tak dawno się nie widziałyśmy. Na imprezie inauguracyjnej w tym, jak mu tam... Muiderslot. Jakie to było dziwne przyjęcie.

– Nie weszła na górę, bo chciałem z tobą porozmawiać sam na sam – odparł Hjelm.

– Ups! O czym?

– O spalonych brwiach drugiego stycznia bieżącego roku. O poważnym karambolu na Autobahn, dwanaście ofiar śmiertelnych. O świadku – „M. Barrière, urzędniczka unijna” – przesłuchiwanym przez najaktywniejszą drogówkę Europy, policję z Brunszwiku.

– Opowiadałam ci przecież o moim objawieniu na Autobahn – powiedziała Barrière. – To było takie dziwne. Świat płonął w oparach ropy, a pośrodku morza płomieni stał ten mały, biały samochodzik elektryczny i przetrwał. Kierowca przeżył. Bo w samochodzie nie było benzyny, która mogła wybuchnąć albo się zapalić. Zmniejszymy też znacznie liczbę ofiar wypadków drogowych, Paul.

– Wiem – przyznał Hjelm – i zgadzam się z tobą. To fantastycznie. Ale dlaczego tam byłaś?

– Jechałam po Autobahn. O co ci chodzi?

– Nigdy nie prowadzisz. Jesteś komisarzem UE, masz szofera, limuzynę. Nie musisz sama prowadzić. Ale akurat tego dnia zaraz po Nowym Roku sama prowadziłaś, i to na bardzo śliskiej nawierzchni na najniebezpieczniejszym odcinku Autobahn.

– Chyba nie ma w tym nic dziwnego. To był mój zimowy urlop. Miałam wolne. Mój szofer miał wolne.

– Ale dlaczego pojechałaś samochodem do Berlina? Dlaczego nie poleciałaś samolotem?

– Spędzałam Nowy Rok z bliskim przyjacielem. O co ci chodzi?

– Trudno mi się pracuje, kiedy ludzie nie mówią mi prawdy. Tak po prostu. Pojechałaś samochodem, bo nie chciałaś zostawić żadnych śladów. Ale to ci się nie udało.

– No i?

– Mówiłaś, że to były zdjęcia z młodości. Mówiłaś, że te erotyczne zabawy to sprawa z dalekiej przeszłości. Ale tak nie jest, prawda? Dopiero co odbyłem długą rozmowę z Natzem, fantastycznym organistą Ignatiusem Dünnesem. Nagle mnie uderzyło, dlaczego jemu też przysłali zdjęcie waszych wspólnych błędów młodości. To była pośrednia groźba, która mówiła: „Wiemy, że wy dwoje wciąż to robicie”.

– Natz – rozmarzyła się Marianne Barrière. – Zawsze ma takie straszne problemy z dochowaniem tajemnicy.

– To u niego byłaś w Berlinie, prawda? To on cię ostrzegł. „Najniebezpieczniejszy odcinek autostrady w Niemczech to A2, między Helmstedt a Peine”.

– A jakie to ma znaczenie?

– Bo wy dwoje wciąż uprawiacie grupowy seks. Jeśli właściwie zrozumiałem Natza, byłaś na prawdziwej noworocznej orgii. Nie rozumiesz, na jakie ryzyko szantażu się narażasz? Jesteś teraz nadzieją Europy.

Marianne Barrière znów zapatrzyła się za okno.

– Dlaczego jesteś na mnie zły? – spytała.

– Tak się akurat *złożyło*, że to było zdjęcie sprzed dwudziestu pięciu lat – odparł Hjelm. – Ale równie

dobrze mogło być z tego roku. Narazasz się na potworne ryzyko.

– Nauczyłam się ostrożności – odparła spokojnie Barrière. – I czy w ogóle kiedykolwiek można powiedzieć o sobie prawdę? Całą prawdę? Co to by był za świat...

– Po prostu boję się o ciebie – powiedział Paul Hjelm.

– Doprawdy? Po co właściwie tu jesteś?

Hjelm wstał i przeszedł się po gabinecie. Potem odparł:

– Żeby ci powiedzieć, że Kerstin i ja dziś bierzemy ślub.

Chios, Grecja, 16 lipca

GUNNAR NYBERG miał bardzo dziwny dzień. Przed południem dostał wiadomość. Potem chodził w kółko, czuł się dziwnie i w końcu spędził intensywną godzinę w swojej szopie. Nowo zainstalowana klimatyzacja, na którą teraz było go stać, bardzo wszystko ułatwiała. Dzięki niej mógł trenować również po południu. W najgorętsze godziny w południe wciąż było to niemożliwe – z tym upałem nie radziła sobie żadna klimatyzacja – ale teraz, pod wieczór, było znośnie. Zajrzał do Ludmiły i spytał, czy chce się z nim pójść wykąpać. Siedziała zaczytana i tylko machnęła na niego ręką. A więc poszedł sam, ze swymi głupawo napompowanymi mięśniami. Krętą ścieżką dla owiec ruszył na rajską plażę.

Słońce zaczynało zachodzić, absolutnie pogodny letni dzień nabrał szkarłatnych niuansów i gdy dwadzieścia minut później Gunnar znalazł się na samym dole, cała zatoczka była skąpana w różowej poświacie. Wrażenie było niezemskie.

Innymi słowy, wszystko było tak jak zwykle.

Tyle tylko, że ktoś tam był.

Siedział w najgorszym miejscu na całej plaży. Widok, który z innej perspektywy zapierał dech w piersi, tam zasłaniała duża skała. Przez chwilę Nyberg nie był pewien, czy powinien podejść do nieznanego.

Ale głupio by było tego nie zrobić. Podeszedł.

Nieznamy miał zniszczone ubranie, śniadą cerę, pomarszczoną twarz i przymknięte oczy.

– *Hi there* – zagaił szczerze Nyberg po angielsku.

Nieznamy się nie odwrócił. Siedział bez ruchu w swoim beznadziejnym punkcie widokowym.

– To twoja plaża? – spytał.

Nyberg zbliżył się do niego.

– Z tego, co wiem, jest niczyja. Ale ja i moja żona często bywamy tu sami.

– Jesteś z żoną?

Nyberg bardzo się starał nie podkraść do gościa. Ostatnie dwieście metrów przeszedł po zupełnie otwartej przestrzeni. Dopiero teraz zrozumiał. Z typową dla siebie bezpośredniością spytał:

– Jesteś niewidomy?

Gość – nie chciał go już nazywać nieznanym – odparł:

– Tak. Od urodzenia.

– Rozumiem – powiedział Nyberg i podeszedł jeszcze trochę bliżej. – Nie, nie ma ze mną żony. Była zajęta.

– Przeszkadzam ci? – spytał gość.

Nyberg się uśmiechnął. Ten mężczyzna wydawał się równie bezpośredni jak on.

– Ani trochę – odparł. – Mogę kąpać się nago, tak jak zwykle.

Wtedy gość naprawdę się roześmiał. Otworzył oczy.

– Rany, jakie ty masz białe oczy – powiedział Nyberg.

– Tak powiadają – stwierdził gość. – Sam nie mam o tym pojęcia. Z drugiej strony nie wiedziałem też, że jestem Cyganem, dopóki nie dostałem za to lania.

– Mówi się „Cygan”? – spytał Nyberg. – Myślałem, że mówi się „Rom”.

– Mówi się, jak się chce – odparł gość. – Jestem osobą, a nie grupą.

– *Blind bastard*? – podsunął Nyberg.

– Czemu nie – roześmiał się gość.

– Jak ci na imię?

– Możesz mnie nazywać Demodok – powiedział gość.

– A ty mnie możesz nazywać Omiros – powiedział Nyberg.

– Jesteś Grekiem? – spytał Demodok.

– Jestem osobą – odparł Nyberg. – A nie grupą.

Zarechotali cicho. Powoli zapadał zmierzch.

– Niedawno byłem w paru miejscach, gdzie nie traktują dobrze twojego ludu – powiedział Nyberg.

– Ja nigdy nie byłem w innym miejscu – odparł Demodok.

Minęło trochę czasu. Nyberg przetrawił to, co usłyszał, i powiedział:

– Siedzisz w złym miejscu. Jeśli chodzi o widoki.

– To pokaż mi najładniejsze miejsce – poprosił Demodok.

Nyberg zaprowadził gościa w miejsce, które sam najbardziej kochał, na skraju plaży, skąd między skałami widać było zachodzące słońce. Dopiero gdy wstali, zauważył, że gość ma ze sobą gitarę.

– I co, czujesz różnicę? – spytał Nyberg, gdy już usiedli.

– Poczekaj, to poczuje – odparł gość.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Nyberg powiedział:

– Demodok. No właśnie. Podobno tak nazywa Homer samego siebie w *Odysei*.

– Nie jesteś Grekiem. Masz taki sam akcent jak ludzie w kraju, z którego właśnie przyjechałem.

– Jestem Szwedem – powiedział Nyberg. – Nazywam się Gunnar Nyberg. Przeniosłem się na Chios, żeby napisać książkę. Już ją skończyłem. Teraz w sumie nie wiem, co ze sobą począć.

– Ho, ho! – powiedział Demodok. – Książkę? Naprawdę?

– Nie wydaje mi się to do końca rzeczywiste – odparł Nyberg. – Ale dziś rano dostałem wiadomość, że jedno wydawnictwo chce wydać moją powieść.

– Gratuluję – powiedział Demodok. – Jaki ma tytuł?

– *Nostos* – odparł Nyberg. – Po grecku to znaczy „powrót do domu”.

Demodok długo kiwał głową. W końcu powiedział:

– Tak, masz rację. Tutaj jest ładniej.

Nyberg też pokiwał głową.

– Mówi się, że Homer wrócił do ojczystego Chios, kiedy znużyły go już podróże po świecie, którym ciągle targały wojny.

– Też to słyszałem – stwierdził Demodok i podał mu rękę. – I nie nazywam się Demodok, tylko Mander Petulengro.

Gunnar Nyberg uściśnął mu dłoń i powiedział:

– Pomyślałem sobie, że się wykąpię. Chcesz iść ze mną, Mander?

– A masz mydło? Brakowało mi mydła.

– Mam nawet szampon – odparł Nyberg.

Gdy wyszli z morza, słońce zanurzyło się już w wodzie, która przybrała krwawą barwę. Mander Petulengro sięgnął po gitarę i zaczął grać. Zaśpiewał pieśń w języku romani. Słońce powoli zniknęło, pozostawiając po sobie tylko pomarańczowe smugi światła.

– Dziękuję – powiedział Gunnar Nyberg.

Gdy zobaczył, jak ostatnie promienie światła odbijają się w białych oczach Mandera Petulengro, był przekonany, że gość widzi.

Haga, 16 lipca

PAUL HJELM i Kerstin Holm pobrali się potajemnie w haskim ratuszu. Bez udziału świadków.

Kiedy wyszli, zapadał już zmierzch. Pojechali do domu i kochali się. Dwa razy.

W międzyczasie wyjęli laptop i zarezerwowali podróż do Paryża, cztery noce, mały miodowy miesiąc, ale nie zdążyli zamówić hotelu, inne instynkty wzięły nad nimi górę. Kiedy wchodził w nią od tyłu, laptop spadł na podłogę i wydał z siebie niepokojący dźwięk, którym ani trochę się nie przejęli.

Potem zasnęła na jego ramieniu. Głaskał ją po włosach i myślał o jej pobycie w Europie. Mimo wszystko sporo zdążyła zdziałać. Dzięki niej Wang Yunli odnalazła synów, ale Kerstin doprowadziła też niechcący do zamordowania dwunastoletniego Chińczyka. Po raz drugi w życiu zastrzeliła mordercę. Uratowała życie Markowi Kowalewskiemu i Marianne Barrière. I możliwe, że ocaliła też Europę.

Dopiero teraz Paul Hjelm poczuł, że jest bezbrzeżnie zmęczony. Ta sprawa wyssała z niego wszystkie siły. Na krótką chwilę pozwolił sobie na poczucie zadowolenia. Mimo wszystko większość rzeczy im się udała.

Ale nie mógł zasnąć.

Był szczęśliwym nowożeńcem, a jego żona spała głęboko, opierając głowę na jego ramieniu, ale nie mógł zasnąć.

Sięgnął po laptop.

\* \* \*

Donatella Bruno siedziała na jedynym własnym meblu, rozkładanej sofie, w nowej kawalerce w najstarszej części Hagi. Na stoliku przed nią leżały wielokrotnie przekartkowane nieoficjalne materiały ze śledztwa. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Była dziesiąta, sobotni wieczór, nikt nie powinien dzwonić o tej porze. Wyjęła broń i wyjrzała przez wizjer. Po drugiej stronie stał młody mężczyzna w czapce firmy kurierskiej. Trzymał w ręku paczkę.

Donatella Bruno ukryła prawą rękę z pistoletem za plecami i otworzyła:

- Paczka dla pani Donatelli Bruno – powiedział kurier.
- Jestem panną – sprostowała.
- Oczywiście – uśmiechnął się.
- Dostarczacie paczki w sobotę wieczorem? – spytała.
- Przez całą dobę, we wszystkie dni w roku – odparł młodzieniec. – To nasza nisza, przy ostrej konkurencji.
- Postaw to tam – poprosiła i wskazała na komodę przy drzwiach.



Lewą ręką złożyła elektroniczny podpis i zobaczyła, jak posłaniec zbiega po schodach. Zamknęła drzwi i jeszcze przez chwilę wyglądała przez wizjer. Spokój.

Odłożyła broń i przyjrzała się paczce. Miała kształt sześcianu o bokach długości około trzydziestu centymetrów. Obejrzała ją dokładnie. Nadawcą było jakieś Loving Gifts z Londynu. To ją trochę uspokoiło. Jej ostatni kochanek był wykładowcą uniwersyteckim z Londynu i miał dziwną skłonność do zaskakujących prezentów.

Zaniosła paczkę do pokoju i postawiła na stoliku, na materiałach ze śledztwa. Prawdopodobnie nie powinna jej otwierać.

Ale ciekawość zwyciężyła. Przecięła taśmę nożem do listów i rozpakowała paczkę.

W środku była głowa mężczyzny. Kąciki ust zastygły w wilczym uśmiechu.

Z ust Donatelli Bruno wyrwał się krzyk, cofnęła się.

Przyjrzała się trochę dokładniej.

Z ust jak dziwaczne cygaro sterczała mała próbówka z płynem. W płynie unosił się maleńki przedmiot.

Mikrochip.

Potem dostrzegła świecące cyfry obok głowy. Odliczały wstecz.

00:05, 00:04.

Donatella Bruno westchnęła ciężko i pomyślała:

Wygraliście.

00:03, 00:02.

Kurwa, pomyślała jeszcze.

00:01, 00:00.

I nie było już nic.

\* \* \*

Paul Hjelm stwierdził, że laptop przetrwał upadek z łóżka, i zaczął szukać hotelu w Paryżu. Szukał czegoś specjalnego, chciał, żeby to były wyjątkowe dni.

Ale wtedy rozległ się alarm. Nie pamiętał, co takiego ustawił.

To był blip. Elektroniczny sygnał Antonia Rossiego znów się uaktywnił. Puls Hjelm przyspieszył.

Potem ku swojemu ogromnemu zdziwieniu stwierdził, że blip jest tutaj. W Hadze. Ze wszystkich miejsc na świecie Rossi przyjechał akurat *tutaj*?

Dokładnie w chwili gdy blip znów zniknął, zza okna dobiegł głuchy huk. Wyjrzał na zewnątrz. Gdzieś ze starego miasta uniósł się obłok dymu.

Wtedy laptop zapiszczał. Paul Hjelm znał ten dźwięk. Dostał mail.

Mail przyszedł od nadawcy, którego nie znał. Otworzył wiadomość. Nie zawierała żadnego tekstu, tylko plik wideo.

Kliknął w niego. Otworzyło się okno.

Nie rozumiał, co widzi, ale zauważył, że film trwa tylko dwadzieścia pięć sekund.

Dwoje ludzi siedziało pod murem, w sporej odległości od siebie. Na dworze, w dziennym świetle. Kamerzysta powoli szedł w ich stronę, dwójka siedzących była coraz bliżej. W końcu Hjelms zobaczył, że to mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był pokryty bliznami, wykończony, brudny, zarośnięty i trzymał codzienną gazetę. Z kobietą było równie kiepsko, nie miała zębów. Hjelms ich nie poznał, nie rozumiał, co widzi.

Dopóki kamera nie zbliżyła się na tyle, że było wyraźnie widać gazetę. To była „La Repubblica”, największy włoski dziennik. Dzisiejsze wydanie, z soboty szesnastego lipca.

Powoli zaczął poznawać twarze – były coraz bliżej i bliżej, i w końcu dostrzegł w nich znajome rysy.

Dwa lata temu zostawił ich własnemu losowi w zameczku w Bazylikacie na południu Włoch.

Fabio Tebaldi i Lavinia Potorac.

Zaschnięte usta Tebaldiego ułożyły się w dwa słowa. W mieszkaniu Paula Hjelmsa rozległ się szept, jak mrozący krew w żyłach krzyk z za grobu.

– Pomóż nam.

Potem film się skończył.

# Przypisy końcowe

1. W przekładzie Lucjana Siemieńskiego (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Rainer Maria Rilke, Elegie duinejskie, tłum. Mieczysław Jastrun. [\[wróć\]](#)
3. Werner von Heidenstam, fragment wiersza Ur Ensamhetens tankar z tomu Valfart och vandringsår. [\[wróć\]](#)

# Spis treści





[Strona redakcyjna](#)

[JEDNOSTKA OPCOP, EUROPOL](#)

[Ślepota](#)

[Autobahn](#)

[Transakcja](#)

[Kontakt](#)

[Duński pamiętnik I](#)

[Bankiet](#)

[Zielone światło](#)

[Nożowy Södermalm](#)



[Niedowidzenie](#)

[Żadnych podchodów](#)

[Kłapa](#)

[Samarytanka](#)

[Inauguracja](#)

[Spin doktor](#)

[Z ciemności](#)

[Komórka](#)

[Duński pamiętnik II](#)

Słaby wzrok

Analiza nagrania

Pradawna kolebka

Triady

Komunikacja

Rzeczniczka

Agora

Konfetti

Duński pamiętnik III

Kanareczki

[Klarowne spojrzenie](#)

[Kawalerka](#)

[Szebb Jövöért Polgárör Egyesület](#)

[Zadano pytanie](#)

[Bruce Lee z Tullinge i Homer z Hornstull](#)

[Katedra w Berlinie](#)

[PRZETWORY, PRZETWORY, PRZETWORY](#)

[Duński pamiętnik IV](#)

[Nowa Katedra](#)

[Rentgenowskie spojrzenie](#)

[Samotna w tłumie](#)

[Parlament Europejski](#)

[Bliźniacy](#)

[Kolczatki](#)

[Refleksje](#)

[Rembrandtplein](#)

[Klub Pollino](#)

[Zameczek raz jeszcze](#)

[Minou](#)

[Przemówienie](#)

[Ślepota](#)

[Ciuciubabka](#)

[Cała prawda](#)

[Nostos](#)

[Po zmroku](#)



# CZARNA SERIA

KRYMINAŁ

PORUSZAMY SIĘ PO OMACKU  
Z OPASKĄ NA OCZACH,  
NIEZDOLNI WIDZIEĆ RZECZYWISTOŚĆ  
I POSTRZEGAĆ ISTNIEJĄCE MOŻLIWOŚCI.

CIUCIUBABKA

arne  
dahl